
HN 3U4M D

THE SLAVIC COLLECTION



Author ST. TARNOWSKI, Stanisław, Hrabia

STUDIA DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

KI.

A Study in the History of Polish Literature
The XIX. century,
Zygmunt Krasiński
by Stanisław Tarnowski.
(Polish) Cracow 1893

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAW... POLSKIEJ.
1893.



ST. TARNOWSKI.

STUDIA DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

WIEK XIX.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

NAKŁADEM AUTORA.

W KRAKOWIE,
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1893.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.



Ary Scheffer pinx

Zygmunt Krasiński



Stanisław

ST. TARNOWSKI.

STUDIA DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

WIEK XIX.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

NAKŁADEM AUTORA.

W KRAKOWIE,
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1892.

PRZEDMOWA.

Na schyłku wieku, kiedy gasnąć się zdają jedne po drugich te wielkie myśli, dążenia, nadzieje, które nad nim jaśniały, a świat nasz chciały wieść do lepszej przyszłości; kiedy pękają formy, w których wiek ten żył, a nierozwiązane leżą kwestye i sprawy, któremi się zajmował, i kiedy w miejsce ich wstępują inne myśli i dążenia i wykształcą sobie zapewne formy inne i inne porządki rzeczy; na tym schyłku wieku czas jest i potrzeba zebrać, co się wié i co się myśli o człowieku, który tych dążności szlachetnych, potężnych, nieurzeczywistnionych, był najwierniejszym, najdokładniejszym, a podobno i najwyższym wyrazem; który „na światach poczętych, na światach mających zginąć“ przeczuwał, przenikał, wskazywał myśl Bożą w ludzkich dziejach — o Zygmuncie Krasińskim. Świat się zmienia; ludzie, którzy po nas nastąpią, któż wié, czy zdołają rozumieć go tak dobrze jak my, którzy nawet kiedy nie jednako z nim myślimy, czujemy zawsze i chcemy zawsze taksamo jak on? O wielkość i o chwałę jego jesteśmy spokojni; czas i bieg wypadków sprawdzi,

udowodni mądrość i wzniosłość jego myśli, ukaże gieniusz jego w jasnem świetle, i postać jego po długich latach nie maleć i znikać, ale owszem, róść będzie w wyobrażeniu i w poszanowaniu świata. Ale po tych długich latach, zwykłym ludzkich rzeczy porządkiem, zatrze i zapomni się wiele z tego, co do znajomości i rozumienia tego poety potrzebne, nam dziś jest wiadomem, a dla potomnych byłoby zagadką. Lepiej więc nie zwlekać, i pomimo wszystkiego czego po temu w przedmiocie samym jeszcze, lub w piszącym, brak, podjąć tę pracę o Krasińskim, która potrzebna jest; która się jemu i narodowi naszemu należy (jednemu jako prawo, drugiemu jako powinność), a która jest obowiązkiem tego pokolenia, które się jeszcze na Krasińskim chowało, z niego głównie wzięło ten zapas pojęć i przekonań, którym kierowało się w swojem życiu.

Wiemy dobrze, że nie wszystko jeszcze jest odkryte, co do gruntownego poznania i zrozumienia Krasińskiego potrzebne. Z dokumentów najważniejszych, z własnych jego słów i zeznań o sobie, z jego listów, wiele dotąd zostaje w ukryciu; są i pisma (zwłaszcza młodzieńcze), których zgoła nie znamy. Te, jeżeli kiedyś będą ogłoszone, posłużą zapewne za podstawę do prac nowych, do pojęć jaśniejszych i dokładniejszych. Ale względy, które dotąd ogłoszeniu ich stoją na przeszkodzie, mogą trwać długo, mogą zresztą być tego rodzaju, że na ogłoszenie całego zasobu nie pozwolą nigdy; a tymczasem lata uchodzą, a tymczasem korrespondencya już ogłoszona jest materyałem, który może być korzystnie uzupełnionym i rozszerzonym, ale który jest wystar-

czającym na to, by z niego czerpać i na nim pracę opierać. Uzupełnienie i prostowanie dzisiejszych wiadomości i sądów, niech będzie zadaniem tych, co kiedyś będą ich mieli więcej i lepsze, z nowych źródeł powzięte. Czas dzisiejszy może pracować na tym tylko warsztacie i temi narzędziami jakie ma; a że z niemi coś zrobić da się, że on ma obowiązek do tej roboty się wziąć, więc nie oglądając się na doskonałość, która dziś jeszcze osiągniętą być nie może, niech daje to, na co go stać.

Książki niniejszej nie uważam za dostateczną i wyczerpującą pracę o Krasińskim; sądzę i spodziewam się, że nastąpią po niej inne i lepsze. Ta jest tylko pierwszą obszerną; pierwszą, która obok rozbioru dzieł, stara się złożyć i całkowity rys życia poety. Jak do niej nie byłoby doszło, gdyby nie liczne (po części znakomite) poprzednie prace mniejszych rozmiarów, tak z kolei ona może posłuży w przyszłości do gruntowniejszych i piękniejszych dzieł o Krasińskim; do takich, któreby były zupełnie godne przedmiotu.

W skład jej weszły niektóre moje prace dawniej drukowane. Przedmowa do zbiorowego lwowskiego wydania dzieł Krasińskiego (1875), była poniekąd planem na tę książkę i jej szkicem; weszła w nią też w rozdzielonych i cokolwiek zmienionych ustępach. Taksamo drukowana w roku 1877 wiadomość o *Listach Krasińskiego do Sołtana* i mała rozprawka (z roku 1888) o jego *Poezyi Miłosnej.* Rozbiór *Nieboskiej komedyi* ogłoszony był w całości w warszawskiej *Niwie* w roku 1881. Reszta pocho-

dzi w części z uniwersyteckich wykładów, w części (większej) pisana była w roku bieżącym.

Pisząc, zadawałem sobie pytanie, czy dobrze jest przytaczać w długich ustępach listy człowieka, o którym się pisze? Czy to nie jest ułatwienie zbyt wielkie, dla lenistwa piszących wygodne i miłe? Streszczenie listów i stósowne ich objaśnienie, byłoby trudniejszem, ale może właściwszem? Czytelnik niech raczy wierzyć, że nie lenistwo, ale sumienna rozwaga i przekonanie, kazały mi obrać ten sposób. Sądziłem, że streszczenie, choćby najlepsze — a takiego pewien nie byłem — nie zdoła tak myśli Krasińskiego dać poznać, cóż dopiero tak jej pięknie wyrazić, jak jego własne słowa. Zastępować je swojemi, byłoby to okradać czytelnika z piękności często zdumiewających; dawać mu zamiast prawdziwych brylantów, ich szklanne naśladowania, ze szkodą i czytelnika i Krasińskiego. Przytaczałem więc listy w oryginalnym texcie; czy za często i w wyjątkach zbyt obszernych? Nie powié tak, tuszę, kto te listy przeczyta i nad niemi się zastanowi.

Czegokolwiek zresztą książce brak, lub czego w niej za wiele być może, choćby zasługiwała najsłuszniej na najcięższe zarzuty, niech idzie w świat jaka jest: bo czas już wielki, żeby jakaś o Krasińskim raz przecie była.

Autor.

W sierpniu 1892.

ROZDZIAŁ I.

Charakter Poezyi Krasińskiego.

Czas Krasińskiego. Odrębność jego poezyi i związek z współczesnym stanem świata. Treść: kwestye społeczne i polityczne, i zagadnienia przyszłości. Skutkiem takiej treści jest allegoryczna i symboliczna forma. Konieczność tej formy i jej wrodzone niedostatki. Poezya Krasińskiego jest skutkiem naszych stosunków i ich obrazem. Jej bezosobistość. Brak zamiarów i dążności literackich. Klaczko o jej okresach i przedmiotach.

Było już po wojnach Napoleona i po jego śmierci. Kongres wiedeński zaprowadził nowy porządek rzeczy, którego strzegło Święte Przymierze. Europa została pod wrażeniem czegoś niedopełnionego, czegoś wielkiego co się stać miało, a nie stało. Ta nadzieja, którą jedni wiązali z Napoleonem, drudzy z jego nieprzyjaciółmi, nadzieja nowego i lepszego stanu świata, opartego na wolności i sprawiedliwości, zawiedziona, zostawiła we wszystkich społeczeństwach europejskich gorycz, pragnienie odwetu, zaród wielu późniejszych wstrząśnień i zaburzeń. „Wszędzie mus, wszędzie gwałt“ — wskutku tego „wszędzie bunt“, pożądany, zamierzony, gotowany, gdzieniegdzie próbowany. W Polsce, Królestwo kongresowe, forma bytu nietylko znośna, ale cenna i przydatna, jak się widzi i sądzi dziś, zdaleka, po klęskach, i w porównaniu z tem co po niej nastąpiło; nieznośna, bo ciasna, upokarzająca, niezupełna, dla tych, co w niej żyli a przed kilkoma laty wierzyli i powtarzali: „będzie Polska, co mówię, jest już Polska“. W porządku politycznym nienawiść do rządów despotycznych i policyjnych (w Niemczech, w Hiszpanii, w Neapolu i Sardynii), do rządów narzuconych (we Francyi), do rządów obcych w północnych Włoszech i w Polsce. Dążenie do wolności, poczęte w wieku XVIII, skrzywione i zawiedzione przez Rewolucyę, stłumione przez Napoleona, tłumione teraz przez policyjne systemy rządzenia, odezwało się z nową siłą w tych latach pokoju, w różnych kształtach, w różnych stopniach szlachetności, od wzniosłego i czystego idealizmu i patryotyzmu, do fanatycznego (ukrytego) uwielbienia rewolucyjnych terrorystycznych tradycyj i praktyk.

W życiu umysłowem ferment podobny, tylko w rzeczywistości objawiający się nie chęciami i dążeniami, ale skutkami. Dawna filozofia XVIII wieku zwyciężona, zmuszona do milczenia, a na jej miejscu staje (i do przesady dąży) apoteoza pierwiastków duchowych, myśli. W ślad za odrodzeniem religijnych uczuć, idzie odrodzona znajomość umiejętna Religii i miłość jej mocniejsza, bo na przekonaniach oparta. (Z tej wyjdzie niebawem żądanie, by Kościół zrobił to, czego Rewolucya zrobić nie mogła, czego rządy zrobić nie chciały, a gdy się pokaże, że jemu zbywa na mechanicznych po temu środkach, odstaną od niego, zbuntują się przeciw niemu niektórzy). Sztuka jak niegdyś z maniery pudrowanej i przesadnie gracyjnej, tak teraz wyzwala się z konwencyonalnie klasycznej maniery czasów Napoleońskich. Odrodzenie poezyi już się dokonało wszędzie. Byron, skutek i wyraz doskonały tej sprzeczności między tem co jest, a tem co być powinno, którą ludzkość ówczesna czuła boleśnie, był na szczycie wziętości, chwały i wpływu. Pod jego potężnem tchnieniem, za jego przykładem, krzewiła się poezya wszędzie; ale w tej pierwszej chwili swego odrodzenia nosiła już w sobie ten pierwiastek chorobliwy (nieunikniony), który potem słusznie nazwano byronizmem. Mickiewicz, głośny już autor *Gustawa* i *Grażyny*, zwracał na siebie oczy całej Polski i był przedmiotem walki klasyków z romantykami, a pomimo wszystkich cierpień czy swojej pierwszej miłości, czy więzienia, czy później wygnania, mógł czuć się szczęśliwym z siebie i swego zawodu.

W takiej chwili w jednym z najświetniejszych pałaców świetnej podówczas Warszawy, rósł chłopiec przeznaczony na to, by był drugim obok niego poetą Polski podzielonej, by ten cały „czyściec dni teraźniejszych“ i te wszystkie „ducha ludzkiego duszności“ przeniknął najgłębiej swoją myślą, uczuł najboleśniej swojem sercem, odtworzył najwierniej swoim geniuszem. Rósł on zamyślony i posępny, ten chłopiec, dla którego ojciec marzył zapewne przyszłość świetną, błyszczącą, szczęśliwą; tem łatwiej, że sam, swojem stanowiskiem i znaczeniem, swoją niepoślednią sławą świetnego wojskowego, wygładzi lub usunie wszystkie z drogi syna trudności i za-

wady. Jaki zawód wspaniały dla tego syna, jaki pośrednio blask dla swego imienia i domu musiał obiecywać sobie ojciec w swoich widokach przyszłości! I nie zawiódł się; owszem, chwała syna przeszła wszystkie nadzieje ojca; tylko była zupełnie inna aniżeli on sobie wyobrażał. Syn ten, trafem urodzenia powołany do jednej z łatwych i świetnych exystencyi wielkiego pana w Polsce, nie błyszczał nigdy zewnętrznemi oznakami znaczenia czy bogactwa, żył samotny i żałobny jak pustelnik, a na głowie nosił nie błyszczący hełm rycerski, nie ułańską czapkę po ojcu, ale pokutny popiół i wieniec laurowy, pod którego każdym liściem krył się cierń i krwawił mu skronie. Ten ojciec, który sobie obiecywał, że przed jedynakiem wszystkie drogi życia wyprostuje i wyrówna, sam stał się mimowolnie kamieniem, o który syn ugodził nogą na pierwszym zaraz kroku swego życia, i to w wieku, kiedy zazwyczaj stopa ludzka lekko odbija się od gładkiej ścieżki, na której więcej bywa murawy i kwiatów, aniżeli kamieni i cierni. Jak ów bajeczny król, dotknięciem ręki wszystko przemieniał w złoto, tak Zygmunt Krasiński czego się tknął, wszystko przemieniało mu się w gorycz; a los zrobił z niego srogą igraszkę swojej ironii, bo wysypawszy na niego, jak z rogu obfitości, wszystkie dary z jakich złożyćby się dało szczęście, dał mu życie, którego jedynym faktem, jak on sam mówi, był ból. Wszystko stawało mu na wspak, wszystko mu zaprzeczało, wszystko było z nim w przeciwieństwie, oprócz jednego tylko: sam sobie nigdy się nie sprzeciwił, sam sobie nigdy nie zaprzeczył, sam siebie nigdy nie zawiódł.

Szczególna to, niepodobna do żadnej innej, postać poety i jedyny charakter poezyi. Gdzie jej pochodzenie, gdzie jej rodzina, krewni lub bliscy, gdzie jej wzory, jej mistrze, jej szkoła? nie ma ich. O Mickiewiczu naprzykład powiedzieć tego nie można. Jego poezya łączy się węzłami bardzo widocznemi z angielską i niemiecką; ona duchem, formą, nieraz sposobami tworzenia, należy do powszechnego europejskiego romantyzmu, wyznaje jego estetyczne *Credo*, trzyma się jego zasad, należy do jakiejś grupy, do jakiejś szkoły

poetycznej. Poezya Słowackiego tembardziej; każdy znajdzie i wskaże łatwo pomiędzy poezyą innych narodów pokrewieństwo *Beniowskiego, Mazepy, Balladyny, Kordyana.* Poezya Krasińskiego stoi sama i odosobniona jak jaka wśród morza wyspa wulkanicznej formacyi, mająca zaledwo gdzieś we wnętrznościach ziemi głęboko ukryty związek z otaczającemi lądami, jak te skały, które nie wiedzieć zkąd i dlaczego biorą się czasem w odległości od wszelkiego pasma gór, z żadnemi innemi nie połączone. W jakiej poezyi, lub u którego z poetów szukać będziemy podobieństwa z Krasińskim, podobieństwa czy to natchnienia czy formy? Pomysły jego niektóre znajdziemy w Mickiewiczu, w *Księgach Pielgrzymstwa,* w *Widzeniu ks. Piotra,* to prawda. Ale czy możemy dlatego odnieść *Irydiona* do *Dziadów, Psalmy* do *Ksiąg Pielgrzymstwa* i wykazać u tych poetów coś wspólnego, prócz jednego uczucia, które ich ożywia? Albo, czy upatrzymy może związek pomiędzy poezyą Krasińskiego i Byrona? czy powiemy, że się zapatrywał na piękności Göthego, Schillera, poetów starożytnych? Nie, ta poezya jak przedmiotem tak formą różni się od nich wszystkich.

Ale od poezyi, współczesnej czy dawniejszej, tak odmienna, że napozór prawie od niej oderwana, łączy się poezya Krasińskiego z całym historycznym stanem naszego świata; samotna wyspa ma głęboko pod przepaściami morza granitowy, mocny jak posady ziemi związek z otaczającemi lądami. Przez to łączy się pośrednio ze wszystkiemi tego stanu objawami i skutkami, ze wszystkiem co on z siebie wydał, zatem i z poetami także. Formy są inne i pojęcia inne, ale tesame „ducha ludzkiego duszności“, w których szarpała się poezya Byrona, zrodziły później poezyę Krasińskiego; tembardziej to łaknienie sprawiedliwości, które wydało — i skrzywiło — natchnienia Mickiewicza. Sprzeczność pomiędzy tem co jest, a tem co być powinno, męka ludzi i społeczeństw, które w sprzeczności tej żyć muszą a zerwać i zwyciężyć jej nie mogą, ten „czyściec dni teraźniejszych“ w którym dręczyły się, z którego o sprawiedliwość wołały wszystkie głębsze umysły i serca szlachetne w Europie, to

jest sam grunt z którego poezya Krasińskiego wyrosła, a jej istotą i duszą jest pragnienie i szukanie dróg, któreby z tego czyśćca wywiodły, skrzydeł, któreby z niego dały wylecieć. Z goryczami i bluźnierstwami Byrona nawet ma poezya Krasińskiego pewną wspólność początku; ale ma ją wyraźniejszą i mocniejszą z dążeniami i walkami tych młodszych, którzy w pierwszej połowie naszego wieku wierzyli, że przed jego końcem spełni się to, co mieli za jego w dziejach zadanie, panowanie sprawiedliwości, prawo narodów na prawie Bożem oparte i do niego zastosowane. Jest w bliskiem pokrewieństwie z Krasińskim Lacordaire i Montalembert: ale jest w dalszem i Lammenais, i Mazzini. Odbiciem tego uczucia jest poniekąd nawet ten obłęd rosyjski, który mniema, że Królestwo Boże zstąpi na ziemię przez Rosyę, przez Iwana Groźnego, Katarzynę, i Murawiewa! Wszyscy oni czują, że „już się ma pod koniec starożytnemu światu“ — że złe, jakie w nim jest, albo zwycięży, a wtedy sprowadzi ostateczny upadek i zgon naszej cywilizacyi: albo się przesili, a na jego miejscu pocznie się coś lepszego. To przesilenie wyobrażają sobie wszyscy inaczej; drogi, sposoby, proces jego jedni pojmują jako połączone zgodne działanie objawienia Bożego i Kościoła z świecką i polityczną wolnością, drudzy jako rewolucyjny gwałt i terror, inni jako nowe objawienie prawdy i woli Bożej, ale w tem oczekiwaniu i w tej nadziei wszyscy się spotykają i łączą. I to jest związek poezyi Krasińskiego z otaczającym światem, z historycznym stanem ludzkości w naszym wieku.

Związek jej ze stanem naszego narodu jest tejsamej natury, tylko bliższy, ściślejszy, oczywistszy. Sprzeczność pomiędzy tem co jest, a tem co być powinno, nigdzie nie była tak rażąca, nigdzie tak boleśnie znana i doznana jak u nas. Ztąd nieustanne w duszy tego narodu pytanie, dlaczego tak się dzieje? jak godzi się ucisk i gwałt z Opatrznością i z wolą Boską? jaki w tem tej Opatrzności cel? i jaki, zkąd, kiedy przyjdzie koniec? To co było w duszy narodu, odzywa się w jego poezyi od samej chwili ostatniego rozbioru. Zrazu cicho i słabo, zaledwo dosłyszalnym tonem; im dalej, tem

wyraźniej; aż po wielkim porywie do broni i po wielkiej przegranej roku 1831, to pytanie bierze górę nad wszystkiemi innemi, poezya obraca się ku przyszłości, chce odgadnąć przyszłość, ma sobie za obowiązek i powołanie przewidywać, przepowiadać, być wieszczą i proroczą.

Poezya Krasińskiego jest skutkiem tego stanu rzeczy, a w tym charakterze i kierunku, ona jest ze wszystkich najwyraźniejszą i najbardziej wyłączną. Ona wprawdzie nie przeczuwa, tylko rozumuje, nie przepowiada, tylko dowodzi; ona jak Skarga niegdyś mówi, że „osobnego objawienia niema“, i proroczego daru sobie nie przypisuje. Ale żadna inna nie jest tą sprawą przyszłości w tej mierze, żadna tak zupełnie zajęta. Ona niema i nie zna innego przedmiotu, jak ten przełom w dziejach, to wykształcanie się przyszłości, to wielkie zagadnienie, które ludzkość ma rozwiązać. Wszystkie inne poezye, nawet poezya polska, nawet Mickiewicz w *Dziadach*, za swój bezpośredni przedmiot ma człowieka, individuum ludzkie, jego uczucia, przejścia i przemiany. Poezya Krasińskiego przeciwnie. Ona nie zajmuje się ludźmi, zna tylko wcielenie, typ pewnych wyobrażeń, dążności, pewnych sił i prądów historycznych i społecznych. Tak różna w swojej istocie, w swoim duchu od wszystkich innych, rzecz prosta, że musiała ona różnić się od nich i w formie. Żadna z form dotąd używanych przystać do niej nie mogła. Ta wyjątkowa oryginalność Krasińskiego, ta jego odmienność od wszystkiego, co się przed nim w poezyi widziało, nie dowodzi wcale jakoby jego poezya była od wszystkich innych piękniejszą; owszem, pociąga za sobą skutki, które artystycznej piękności częstokroć szkodzą. Ale nie była to odmienność przypadkowa, zależna od poety, pozostawiona jemu do woli i wyboru: była ona konieczną, zrobiła się sama, bez zamiaru i wyrachowania z jego strony. Mickiewicz, który tak wiele mówi o literaturze mesyanicznej, i przyszłej wyższej epoce przepowiada poezyę, która będzie tylko wieszczą intuicyą przyszłości, jako objaw i okaz tej poezyi, przytacza *Nieboską Komedyę*, której treść, akcya, odbywa się w przyszłości. Na ten przydomek „mesyanicznej“ dany poezyi Kra-

sińskiego, zgodzić się nie można w tem znaczeniu, jakie mu nadawał Mickiewicz (bo choć Krasiński nieraz bliskim był Mickiewicza w swoich pojęciach historycznych i filozoficznych, i wyglądał dla świata jakiejś epoki Ducha św., to od Mesyanizmu, w znaczeniu *Biesiady,* w znaczeniu *Kursów* Mickiewicza, był bardzo dalekim); ale opuściwszy przydomek, a wziąwszy rzecz samą, to jest poezyę, która w przyszłość tylko patrzy i przyszłością się zajmuje, to żadna nie jest tem tak zupełnie, tak wyłącznie, jak poezya autora *Irydiona* i *Psalmów.* Nietylko przez to, że akcya *Nieboskiej komedyi* odbywa się w jakimś nieoznaczonym czasie przed nami, ale że cała, nawet kiedy na pozór przedmiotem jej jest przeszłość, jeszcze i wtedy tylko przyszłością jest zajęta, do niej zmierza, na nią z tej przeszłości stara się wyciągać wnioski. *Irydion* odgrywa się w Rzymie za Heliogabala, *Psalmy* są pisane pod wrażeniem teraźniejszej chwili, a przecież i ta odległa przeszłość, i ta dzisiejsza teraźniejszość, służą tylko za podstawę i argument do przewidzenia i wskazania przyszłości. U wszystkich innych poetów, poezya trzyma się w zakresie przeszłości lub teraźniejszości, nawet u poetów polskich. *Dziady* są poematem przeszłości, poematem rzeczywistych faktów i rzeczywistych ludzi, raz tylko usiłuje w nich poeta uchylić zasłonę z przyszłości; co innego jest jedno chwilowe, oderwane przewidywanie przyszłości (trafne lub nie, mniejsza o to), a co innego rozmyślne i umyślne oddanie swojej poezyi w służbę przyszłości, użycie jej na to, by mówiła i uczyła, jaką ta przyszłość być ma. Otóż rodzaj tej poezyi, był tylko naturalnym i koniecznym skutkiem tego kierunku; forma, pomysły, tworzone postacie, musiały wskutku tego być różne zupełnie od wszystkiego, co się pod tym względem widzi u innych poetów.

Poezya, która nawet kiedy napozór zostaje w sferze przeszłości, w istocie za przedmiot ma zawsze przyszłość, zmienne z natury dążności polityczne lub społeczne, ta musi być allegoryczną, musi się wyrażać przez postacie, które nie są ludzkiemi jednostkami, ale typami, symbolami i wcieleniami tych różnych społecznych i politycznych dążności, tych

historycznych prądów. Ona zajęta zmiennemi dążnościami człowieka zbiorowego, społeczeństwa, o naturę człowieka dba o tyle tylko, ile potrzeba koniecznie, żeby ten symbol, ten typ, który stwarza, miał ogólne zarysy, zewnętrzny kształt, podobieństwo człowieka, kiedy jego istotą i przeznaczeniem jest to, żeby był personifikacyą jakiejś historycznej siły lub dążności. Poezya Krasińskiego w drugiej swojej epoce pozbywa się tej pomocy i tej formy symbolów, staje się wprost upominającą i przykazującą, odrzuca allegorye, typy, postacie ludzkie, sama dla siebie staje się tak jasną, że wszystkich tych form i przyborów nie potrzebuje, że wystarcza jej za całą formę proste słowo i rytm, staje się prawie niematerыalną, prawie bez formy, jak dawna poezya religijna hebrajska. Ale w swojej epoce pierwszej, w epoce *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona*, ma formę allegorycznego dramatu, którego osoby są symbolami i personifikacyami, formę, którą można powiedzieć sama dla siebie urobiła, i której, jako poezya przyszłości, jako poezya polityczna i społeczna, inaczej sobie urobić nie mogła.

Z tej treści, która musiała wyrobić sobie formę allegoryczną, i która musiała zawsze mieć charakter nauczający, tendencyjny, wyniknęły równie logicznie wszystkie dalsze cechy, zalety i niedostatki tej poezyi.

Nie potrzeba mówić jakim wdziękiem, jakim wielkim warunkiem piękności w sztuce w ogólności, a więc i w poezyi, jest jasność, zrozumiałość kompozycyi, przejrzystość i prostota figur. Za ten to przymiot, w którym jej nikt nigdy nie dorównał, nosi sztuka starożytna swoje miano klasycznej — ten przymiot jest tajemnicą uroku jaki wywiera *Pan Tadeusz* albo *Herman* Göthego, albo jego *Ifigienia*. Poezya allegoryczna, symboliczna, tego przymiotu mieć nie może. To jej nie ubliża, to jest skutkiem jej natury: to nie zarzut, tylko wskazanie niepodobieństwa. Kiedy myśl poety, bo przy takiej poezyi myśl musi zawsze być czynniejszą od fantazyi, kiedy myśl poety musi wytężyć się na to, by objąć i zrozumieć jakiś wielki proces historyczny lub duchowy; żeby wszystkie siły walczące w tym

procesie, rozpoznać w ich naturze i w ich wzajemnym stosunku, i osądzić w ich absolutnej prawdzie; kiedy potem z pomocą wyobraźni, musi pracować nad tem, żeby te idee lub siły oderwane odziać jakimś ludzkim kształtem, wtłoczyć je w tę formę dla nich za ciasną ludzkiej jednostki, rzecz naturalna, że ta jasność, przejrzystość i prostota, musi być poświęconą, jeżeli nie zupełnie, to choć w części. Treść i forma nawzajem sobie szkodzą. Treść, czy ją nazwiemy ideą, czy dążnością, czy siłą, żeby dla nas mogła stać się widoczną i zrozumiałą, musi się wcielić w jakąś postać, w jakiś kształt, ochrzczony jakiemś imieniem, i musi się do tego kształtu skurczyć, ściągnąć, nagiąć, musi się nim tak dać ograniczyć, jak dusza ludzka ograniczona jest ciałem; a przez to na swojej swobodzie, na swojej jasności, na swojej wyrazistości traci. Naodwrót forma, ta postać, to imię, które owemu pomysłowi służy za odzież, za sposób uzmysłowienia się, ten człowiek wzięty na symbol dla idei, ten z góry jest poświęconym, jest zawsze tylko pozorem, tylko kształtem, tylko sługą: on napozór zdaje się być człowiekiem, mieć swoją indywidualność, swoje życie, swoją poetyczną piękność — w gruncie on jest tylko środkiem do wyrażenia czegoś, co nie jest nim, jest hieroglifem, którego myśl ukryta tylko coś znaczy, nie kształt; on tylko swojej ludzkiej postaci i swego imienia pożycza. A jak dla myśli w symbolu takim zawartej, symbol bywa częstokroć za ciasnym, tak naodwrót forma ta cierpi na takiem połączeniu, traci swoją swobodę i swój osobny własny byt; często też nie zdoła być tej treści wyrazem jasnym i dokładnym, tłómaczeniem zrozumiałem. Rzecz bardzo rzadka, żeby w allegoryi znaczenie ukryte przemawiało przez swoją formę tak wyraźnie, iżby się nikt na niem pomylić nie mógł; najczęściej pozostaje wątpliwość i niejasność, na której szwankuje i ta myśl ukryta i ten zewnętrzny kształt. A jeżeli to jest fenomenem niechybnym i niezmiennym, koniecznym, przy każdej poezyi allegorycznej i symbolicznej, jej przyrodzonem prawem, to ileż silniej prawo to działać musi w poezyi takiej, której symbole i allegorye odnoszą się do przyszłości, do tej wiel-

kiej zagadki, która samemu poecie musi przedstawiać wiele wątpliwości, przed którą jego myśl sama musi nieraz wahać się, i z której zupełnie jasno sprawy sobie zdać nie może. Rzecz naturalna, że w takich razach, poeta nieraz myśli swojej nada kształt mglisty i niewyraźny, że w ciągu swojego poematu nieraz zostawi luki i przeskoki, które czytelnik z wielkim trudem zapełniać musi rozwagą i domysłem (i często mylnym); że w kompozycyi, w budowie poematu, powstaje nieraz pewien brak ładu i związku, pozorny tylko, ale do uporządkowania i do zrozumienia trudny; że w samych postaciach tego poematu czytelnik natrafi co krok na znak zapytania, na jakąś zagadkę, której sobie rozwiązać nie może. Skarżymy się nieraz na niejasność, niezrozumiałość Krasińskiego; mówimy: „cóż mi to za poezya, której bez komentarza, bez odsyłacza zrozumieć nie mogę? Odsyłacz zabija poezyę, bo przez czas kiedy myśl szuka tłómaczenia niejasnej rzeczy, wrażenie już uleciało, uczucie już ostygło". To prawda. Zaprzeczyć nie można: poezya symbolów i allegoryi, postawiona obok prostej poezyi ludzkich indywiduów, zawsze będzie w niekorzyści. Może być równie mądrą, głęboką, natchnioną i wzniosłą, równie piękną być nie potrafi. To prawda, że ze stanowiska artystycznego, poezya Krasińskiego nie jest taka jak poezya Mickiewicza, że się z nią równać nie może. Tylko o tem pamiętać się godzi, że ona symboliczną i allegoryczną być musiała, i że jako taka, jest jeszcze, pomimo swoich niejasności, bardzo zrozumiałą, a warunkom piękności artystycznej, warunkom sztuki, czyni zadosyć w mierze bardzo szerokiej.

Jeszcze jedna rzecz, która takiej poezyi jest właściwą i przyrodzoną to, że w niej treść musi zawsze górować nad formą i równowagi między niemi być nie może. Poezya taka, cokolwiek się pod jej symbolami ukrywa, filozofia czy polityka, czy religia, musi z natury rzeczy być tendencyjną; musi być przedstawieniem, obroną, nieraz i dowodzeniem jakiejś myśli, jakiejś prawdy. Od chwili zaś jak w poezyi w sztuce w ogólności, występuje tendencya, równowaga pomiędzy dwoma jej pierwiastkami, pomiędzy pięknością a prawdą,

musi być zniszczoną na korzyść prawdy (tego co poeta ma za prawdę), a za tem idzie, że zapatrzony w swój cel główny, w obronę i tryumf jakiejś myśli lub zasady, poeta w akcie tworzenia posługuje się nierównie więcej tą władzą, pod którą podpadają idee dążności i zasady, rozumem, aniżeli wyobraźnią, która schodzi na stanowisko drugorzędne, pomocnicze. Otóż poezya Krasińskiego, która jest na wskróś i wyłącznie tendencyjną, polityczną, nawet kiedy przestaje być allegoryczną, nosi w wysokim stopniu ten charakter przewagi myśli, refleksyi, nad wyobraźnią. Jednem słowem możnaby ją opisać jako pewien system historyozofii w poematach lirycznych lub dramatycznych (system, który nie jest wyrobiony odrazu, ale wyrabia się przez całe życie poety, dochodzi do konkluzyi, a wszystkie przemiany tego systemu i przejścia układają się w logiczny ciąg, w harmonijną całość). Jako taka musi ta poezya być przeważnie poezyą rozumu, reflexyi, obok tego jest poezyą uczucia bardzo głębokiego, które często staje się potężnem natchnieniem; rola fantazyi jest w niej nierównie mniej obszerna i mniej ważna. Byłoby niedorzeczeństwem powiedzieć, że Krasińskiemu zbywało na wyobraźni; poeta bez niej pomyśleć się nie da, jest moralnem niepodobieństwem, a fantazya, w której poczęły się postacie Pankracego i Henryka, albo kolosalny obraz upadającego Rzymu, musiała być czynną i potężną. Jednak temu zaprzeczyć nie można, że, bądź to wskutek kierunku jaki poezyi swojej nadał, bądź też wskutku wrodzonej organizacyi swego talentu, Krasiński nieraz wydaje się raczej wielkim myślicielem, który swoje pomysły dobywa ze swego rozumu, aniżeli poetą, który je tworzy czarodziejską różdżką wyobraźni. Najmniej może widocznem to jest na *Nieboskiej Komedyi,* więcej już na *Irydionie,* bardzo widocznem jest na *Niedokończonym Poemacie;* a nawet w tych rzeczywiście natchnionych wybuchach uczucia jakiemi są *Psalmy,* nawet w tych, przewaga reflexyi stwierdza się widocznie na wyrażeniach, na całych ustępach, których ton staje się tonem polemiki, rozumowania, argumentacyi, język językiem filo-

zofii, dyskusyi, prozy, na co fantazya, ta lotna i skrzydlata, nigdy nie powinna była pozwolić.

Ten kierunek tendencyjny i filozoficzny poezyi Krasińskiego, jak nieraz obciąża jego natchnienie i czasem rozbija wrażenie o słowa lub zwroty prozaiczne, tak, korzystnie lub szkodliwie nie pytam, ale widocznie odbija się i na jego sposobie tworzenia, i na jego postaciach, i na samym jego stylu. Znana jest i nieraz ganiona pewna mglistość i jak żeby umyślna niejasność jego myśli, te figury lub grupy figur ukazujące się jak żeby w półcieniu, nie nazwane, zostawione do domysłu, do uzupełnienia; przykładem tego sposobu przedstawienia rzeczy może być Prolog *Irydiona* nawet, a cóż dopiero *Sen Cezary* albo *Legenda*. Znane jest także i także już nieraz wytykane, że jego styl bardzo piękny, majestatyczny, energiczny, obrazowy, niekiedy przebiera miarę w tych zaletach i staje się wymuszonym, nienaturalnym, przesadnym. Istotnie, i jego sposób przedstawienia figur i jego styl, rysunek i koloryt, mają w sobie czasem coś naprężonego, coś nienaturalnego. Otóż i to pozwoliłbym sobie uważać za skutek poezyi allegorycznej, poezyi przyszłości. Spróbujmy sobie wyobrazić, jak jego myśl i jego wyobraźnia musiały ciężko pracować, żeby wydobyć z siebie rozwiązanie tych zagadnień, z jakim trudem i bólem one musiały rodzić kształty dość wielkie, iżby się w nich zmieścić mógł pomysł Hrabiego Henryka albo Pankracego? Trzeba było w pocie czoła wyrabiać myśl, treść, i dla niej wyszukać formę. Starożytna pythia męczyła się długo, zanim wydobyła z siebie słowo wyroczni; podobnie myśl i wyobraźnia Krasińskiego pracują ciężko, mozolnie, zanim te pomysły tak trudne do poczęcia, do zupełnego wykształcenia, i tak wielkich rozmiarów, wydać z siebie zdołają w jakiejkolwiek formie. Dlatego to figury te tak nieraz wydają się dziwne, jak niedokończone posągi tytanów, albo jak widma jakieś powstające z mgły, a niewyraźne, o konturach nie stałych i jakoby zatartych; dlatego ich mowa tak nam się nieraz wydaje naprężoną, sztuczną. Poprostu, pomysł ogromny, szuka odpowiedniej dla siebie formy i znajduje ją; ale nie zawsze wyraźną i skoń-

czoną. Szuka także tonu, którymby najswobodniej mógł przemawiać, i znajduje w tym wysokim stylu prozaicznym, który dochodzi prawie majestatu i powagi wiersza, a wymaga mniej starania i pracy, ma więcej swobody. Że w powadze i w obrazowości stylu zdarzy się tu i owdzie przesada, ton fałszywy i nienaturalny, że figury same czasem robią wrażenie jak żeby chodziły na koturnie zbyt wysokim, to prawda. Tylko, usterków tych nie przecząc, trzeba odnieść je do naturalnego powodu, którym jest to, że pomysły zupełnie nowe, nowy rodzaj poezyi, musiał sam sobie wyrabiać i formy swoje, i swoje narzędzie, język do swoich potrzeb naginać. Że tu i owdzie forma nie zupełnie przypadła do miary, albo, że styl tu i owdzie jest do zbytku ozdobny i obrazowy, to daleko mniej dziwne aniżeli to, że na pomysły takie jak *Irydiona* lub *Henryka* znalazły się kształty ludzkie prawdopodobne i dobrane do ich rozmiarów, rzeczywiście wielkie, imponujące, majestatyczne i jako całość piękne — aniżeli to, że proza *Irydiona,* miejscami może nieco wymęczona i męcząca, potrafi przez cały ciąg poematu utrzymać się w tym tonie majestatycznym, i tak rzadko z tonu prawdziwego przejść w przesadny i napuszysty.

Jakiemi drogami doszedł Krasiński do tego, żeby się stać takim poetą przyszłości? kiedy Mickiewicz w swoim rozbiorze *Nieboskiej Komedyi* mówi, że ona jest typem i zapowiedzią tego, czem będzie poezya w przyszłej epoce, że jak się ludzkość podniesie, cała poezya będzie tylko wieszczą, intuicyjną, proroczą, Mickiewicz podobno się myli. Nie myśląc wdawać się w przewidywanie tego, czem poezya będzie kiedyś, można przecież twierdzić, że poezya Krasińskiego, choć zwrócona w przyszłość i nią jedynie zajęta, jest na wskróś poezyą dzisiejszą, skutkiem, produktem dzisiejszego stanu świata. Epoki szczęśliwsze, spokojne, żyjące w warunkach stałych i normalnych, a taką zapewne ma być owa lepsza która ma nastąpić, takie właśnie nie lubią, nie potrzebują odchylać zasłon przyszłości; one owszem żyją w teraźniejszości, której mogą używać spokojnie, która im pozwala czuć wdzięk i wartość życia. Ale taka jak nasza

dzisiejsza, taka, w której wszystko się trzęsie i wali, w której nikt dziś wieczór nie wié, co się stanie jutro rano, nie już z nim samym, z jego rodziną i domem, ale z jego ojczyzną, z jego kościołem, z jego wiarą religijną, polityczną, społeczną, w której wszystko jest zagrożone, zaprzeczone, zwalone, taka epoka musi pytać o przyszłość niespokojnie, niecierpliwie, gwałtownie. Ludzie, którzy w stosunkach pośród których żyją, nie znajdują żadnego zaspokojenia dla swoich sumień, pragnień, nawet dla swoich interesów, tacy naturalnie stają się skłonni do tego, żeby pytać co będzie? kiedy i jak ten stan się skończy? czy już zawsze tak ma zostać, lub też, czy przejdzie raz ten atak konwulsyi, który ludzkość całą łamie i tłucze, co go usunie, co jej zdrowie przywróci? Tacy żyją nieustannie w wielkiem utęsknieniu do przyszłości, i w dręczących przed nią obawach. Oni, na wspak potępieńcom Danta, nie mają głowy przekręconej w tył, ale mają ją nieruchomą, jak przymurowaną, patrzącą nieodmiennie przed siebie, i tylko przed siebie; wbok te głowy prawie obrócić się nie mogą, wzrok nie pada dokoła na prawo i na lewo, utkwiony jest prosto przed siebie. Niepewność i udręczenia teraźniejszości, przechodzą u nich w stałe i wyłączne prawie zajęcie myśli przyszłością. Poezya Krasińskiego, którą Mickiewicz nazywa mesyaniczną, należącą do epoki już nie naszej, przedmiotem tylko należy do przyszłości, ale jest naturalnym produktem, jest koniecznością naszego stanu, naszego życia: jest kwiatem, który na tym tylko gruncie mógł wyróść, cyprysem tych grobów, smutną lilią białą, nieskalaną, strzelającą śmiało w górę, ale taką co wyróść mogła tylko na tych gruzach, śmieciach i błotach. Kiedyś poezya Krasińskiego będzie takim komentarzem, taką illustracyą do historyi XIX wieku, że będą ludzie patrzeć na nią jak na portret, i będą mówili z pewnością, że te rysy, te znamiona tak charakterystyczne do żadnego innego należeć nie mogły; będą studyować nas, nasze wyobrażenia, nasze namiętności, nasze stronnictwa, nasze złudzenia i nasze zwątpienia, i cały nasz „czyściec dni teraźniejszych“ w poezyi Krasińskiego nie tak wygodnie, ani tak szczegółowo, ani tak wyraźnie zapewne,

ale w podobny sposób, jak my uczymy się z poezyi Danta, czem były Włochy wieku XIV.

Że nie ma drugiej w Europie, któraby była w tej mierze obrazem politycznego i społecznego stanu epoki, to pewna; że ten kierunek poezyi zjawił się właśnie u nas, najbardziej prześladowanych od losu, najbardziej na tym stanie rzeczy cierpiących, to jest może naturalne. Ale co dziwne, szczególne, a może jedyne w dziejach poezyi, co Krasińskiego tak wyróżnia od innych poetów i nadaje mu fizyógnomią zupełnie odmienną, to, że jego poezya cała, jak jest, poświęcona jest bez najmniejszego wyjątku tym politycznym i społecznym stosunkom, ideom i cierpieniom. Zwykle poeci, jeżeli nawet do tego dochodzą, to nie rozpoczynają od tego. Nasza poezya polska jest na wskróś polityczną i patryotyczną jak żadna, a przecież i Mickiewicz nie zawsze o samej tylko myśli i pisze ojczyźnie; przecież jego poezya żyje i dla uczuć osobistych, i dla piękności przeszłego lub dzisiejszego świata; pierwszy popęd daje jej miłość, a cierpienie za miliony, zostawia jej przecież czasem chwile ulgi i wytchnienia, i w takich chwilach powstaje *Grażyna,* nawet *Tadeusz,* w którym jest miłość ojczyzny, ale smutku i cierpienia nie ma. Słowacki, wiemy jak wszystko do siebie ściąga, jak jego poezya jest wyrazem własnych jego uczuć, i jak jest niezmiernie czuła na piękności natury, historycznych postaci, jak się nieraz rozkosznie pieści z otaczającym światem, i jak się gorżko użala nad sobą. Krasiński jest jedynym może na świecie poetą, w którego poezyi niema nic osobistego; przez jego serce przechodzą jedna po drugiej srogie burze, począwszy od tej pierwszej i najboleśniejszej może, w Warszawie, po niej różne uniesienia i różne gorycze miłości, a żadna nie dobędzie z niego ani skargi, ani wspomnienia. Gdzie jest *Gustaw* Krasińskiego? albo jego *Szwajcarya?* nie ma ich; i gdybyśmy o nim tylko z jego poezyi wiedzieli, nie moglibyśmy ani próbować nawet domyślać się kolei jego życia, przejść jego duszy. *Noc Letnia,* wprawdzie poświęcona jest jakiemuś „sercu niewieściemu“, które zapewne nie było mu obcem, w *Przedświcie* jest wspomniana jakaś Beatrice, ale

widocznem jest aż nadto, że nie miłość natchnęła *Noc Letnią*, i że ta postać Muzy lub raczej Anioła z arfą w ręku, na łodzi wśród włoskiego jeziora, to ani zwierzenie, ani historya jakiejś miłości. Kiedy o własnych uczuciach lub losach pisze — a zawsze nie wiele — to wiersze te posyła przyjaciołom jak poufne listy lub w listach; ogłaszać ich nie myśli, a my, w wiele lat po jego śmierci dopiero, dowiadujemy się, że one są na świecie. Nawet tam, gdzie, jak w *Poemacie Niedokończonym*, znajdują się alluzye i wspomnienia własnego życia, gdzie bohater ma widocznie pewne z autorem podobieństwo, nawet wtedy podobny jest do niego swoim stosunkiem do dążności i aspiracyi wieku, jest wizerunkiem jego wierzeń i pojęć politycznych lub społecznych, daleko więcej, niż jego uczuć odnoszących się do siebie samego lub do drugich ludzi. Dziwna jest ta bezosobistość poezyi Krasińskiego, i w każdym razie bardzo piękna. Bo, jeżelibyśmy ją chcieli tłómaczyć tylko przez dumę wysokiego serca, które się z przejść i uczuć swoich zwierzać i na swoje smutki skarżyć nie chce i nie raczy, to taka duma kazałaby się bardzo szanować i podziwiać. A byłaby, jeżeli jest powodem tej bezosobistości, tego milczenia o sobie (może być, że w części jest nim i ona) powodem dopiero najniższym. Bo drugim, i wyższym, szlachetniejszym, jestto zajęcie się przeznaczeniem ludzkości i ojczyzny tak zupełne, tak wyłączne i głębokie, że obok tego wszystko malało i bladło, że obok tego nic innego nie było godnem uwagi i wzmianki, że nie było czasu nietylko o sobie mówić, ale nawet rozmyślać i płakać nad sobą, choć nikt nigdy nie miał więcej powodów i prawa do żałowania siebie samego. Jego milczenie o sobie nie jest skutkiem przypadku, tylko skutkiem wyłącznego zwrócenia serca i myśli do uczuć wyższych i większych zagdanień. Jakie tam musiały być niezmierzone głębokości i jakie nieprzebrane skarby miłości świata i ojczyzny, jak ona musiała górować nad wszystkiemi jego uczuciami, kiedy żadne z nich, ani miłość siebie, ani miłość kobiety, ani miłość piękności i poezyi, jako takiej, nie pchnęło go nigdy do tworzenia, tylko to jedno.

Nie ma też między poetami świata tego, któryby był mniej poetą, nie w tem znaczeniu, żeby mu zbywać miało na geniuszu, twórczości lub artystycznem uczuciu, ale, że nigdy piękność, nigdy poezya nie jest dla niego celem ani głównym przedmiotem jego zajęcia. Mickiewicz nawet, kiedy za miliony cierpi, nie przestaje być poetą. Pierwsze *Dziady* pisze on, żeby sobie ulżyć w cierpieniu, dalsze *Dziady* i *Wallenroda* z zamiarem, z tendencyą; ale i wtedy jeszcze pisze poemat. Jeszcze cel artystyczny przyświeca mu jasno; nie mówiąc o tem, że *Grażynę* pisze tylko na to, żeby była piękną, że *Tadeusz,* poczęty w tęsknocie za krajem, napisany był z myślą, żeby był pięknym. Kiedy inny cel, tendencya, powołał go do swojej służby, wtedy on poezyę porzucił. Krasiński, czy kiedy pisał dla tego żeby pisać, żeby tworzyć, żeby z fantazyi swojej wydać coś pięknego? Chyba wtedy, kiedy jako dziecko prawie układał swój dziwaczno ponury romans o *Rodzinie Reichstalów,* albo kiedy jako młodzieńczyk podobał sobie w szumnych okresach i jaskrawych obrazach *Agaj-Hana;* ale później, odkąd wyrósł i dojrzał, i stał się świadomym siebie i swego poetycznego powołania, nigdy. Jak nie pisze pod wpływem osobistych wrażeń i zdarzeń, tak też żadna piękność historyi, żadna wzruszająca i patetyczna sytuacya, nie pobudzi go do tworzenia, nie pomyśli on nad nią: jakby z tego można zrobić piękną powieść, piękny dramat?

On z walk i zapasów i ucisków dzisiejszego świata, politycznych i społecznych sił i prądów, chce odgadnąć i wnieść, czy one mogą, i jakim sposobem, ułożyć się kiedyś w harmonię i zgodę. To jego natchnienie, to treść jego myśli i utworów, to jedno, co go do tworzenia pobudza. Rzecz charakterystyczna, w całej poezyi Krasińskiego jest jeden tylko uśmiech, jest nim przedmowa do *Trzech Myśli Ligenzy.* Jakiś fizyolog mówi, że do rzeczy, któremi człowiek różni się od zwierząt, należy śmiech; żadne zwierzę się nie śmieje. Musi ta zdolność wesołości być wielkim darem Bożym, kiedy go niższe istoty nie mają; i jak biednym musi być człowiek na to, żeby go nie używał, żeby się tej swojej zdolności

oduczył. Mickiewicz się śmieje, Słowacki się śmieje, Byron się śmieje, Krasiński nigdy. U żadnego także z poetów europejskich, starego czy nowego świata, preokkupacya artystyczna, pierwiastek literacki i pisarski, nie są tak podrzędne jak u niego. On jest cały i wyłącznie na usługi myśli, idei, celu; kiedy go taka idea uderzy i chce wyjść na świat, wtedy on bierze się do dzieła, ale to dzieło jest środkiem, jest sługą. A jak u Żydów proroctwa, lub skargi Dawida ze swoją treścią religijną i moralną, która miała na owe czasy i pierwiastek tendencyjny, patryotyczny, choć nie są tem cośmy ściśle za poezyę brać przywykli, wylewają się w języku i w tonie poetycznym, w rytmie: jak greckie wyrocznie i włoskie Sybille, przepowiednie swoje dawały w wierszu: tak i u Krasińskiego myśl, która najczęściej jest przewidywaniem przyszłości, wyraża się przez poetyczne formy, przez postacie i sceny, przez wiersz lub rytmiczną prozę. Jak bardzo Krasiński różni się od wszystkich poetów, miarę wziąć można ztąd, że nie możemy określić formy i rodzaju jego poezyi żadną z tych miar i definicyi, podług których przywykliśmy sądzić innych poetów. Czy go zaliczymy do romantyków, jego, który z romantycznością ballad, romansów, dramatów fantastycznych, a nawet scenicznych, niema żadnego pokrewieństwa? a więc nazwiemy go klasykiem? niedorzeczeństwo. Czy powiemy, że on jest poetą lirycznym, dlatego, że *Przedświt* i *Psalmy* są poezyą uczucia, a nie są dyalogiem ani powieścią? Wszakżeż i poezya liryczna ma pewne swoje kategorye i odznaczenia, podług których się klasyfikuje, do której z tych przyłączymy *Przedświt* i *Psalmy?* nie wchodzą one w żadną, a jeżeli uczucie i natchnienie daje im prawo do nazwy lirycznej poezyi, to w każdym razie ten liryzm historyozoficzny, abstrakcyjny, nie jest podobny do tego indywidualnego, jaki jest u wszystkich liryków świata, od Petrarki do Schillera, Byrona i Mickiewicza. Czy powiemy, że Krasiński jest poetą dramatycznym dla tego, że w *Irydionie* i w *Nieboskiej* są sceny i dyalogi? czy go nazwiemy poetą subjektywnym, jego, który o sobie i swoich uczuciach zawsze milczał? a więc jest objektywnym, on, którego każdy pomysł przesiąkły jest jego

pojęciami i ideami, każda figura widziana i przedstawiona ze stanowiska tych pojęć i idei? Nie — poezya ta i treścią swoją i formą wychodzi z granic zwykłej poezyi, jej rodzajów i znamion. A jeżeli szkoduje na tem jej piękność jako taka, jeżeli symbole i allegorye nie mogą mieć klasycznej prostoty i jasności prawdziwych ludzkich postaci, jeżeli poezya filozofii i historyozofii do czasu tylko i dla pewnego czasu może mieć ten urok, jaki poezya prostych, wrodzonych, ludzkich uczuć, ma dla wszystkich i zawsze, jeżeli wskutku tego, stwierdzając odmienność Krasińskiego od wszystkich poetów, nie możemy w tej odmienności widzieć wyższości poetycznej, doskonalszej piękności, — to wspomniawszy na powód, dla którego ona jest taką, na ciągłe i wyłączne zajęcie jednym przedmiotem, jednem uczuciem, miłością ludzkości i ojczyzny, uznać w niej musimy przynajmniej wyjątkową siłę miłości, wyjątkową wielkość duszy. W żywotach świętych, czyta się o stygmatyzowanych, którzy przez wielką miłość Chrystusa i wielkie zatopienie się w kontemplacyi Jego męki, dochodzili do takiego stanu extatycznego, że nie żyli prawie na tym świecie i dla niego zdawali się być w uśpieniu i odrętwieniu, a tymczasem dusza ich tak żyła w Męce Pańskiej i tak ją czuła, że ciało samo pociło się krwawym potem Ogrojca i znaczyło znakami pięciu ran Golgoty. Do takich stygmatyzowanych, do takich zatopionych całą duszą w jednej miłości, a dla reszty świata prawie nie żyjących, podobna jest poezya Krasińskiego.

W najpiękniejszej, jaką posiadamy, w jedynej sądzę prawdziwie pięknej i wyczerpującej pracy o Krasińskim, w francuskiej rozprawie J. Klaczki o *Bezimiennym Poecie Polskim,* jest pośród innych wielu, to spostrzeżenie bardzo trafne, że na odwrót tego co się zwykle widzi, geniusz Krasińskiego rozwijał się pochodem dośrodkowym „zstępującym od kwestyj „ogólnych, obejmujących ludzkość całą, do kwestyj narodowych „i psychologicznych. Fenomen to tem dziwniejszy, że nie „taki bywa zazwyczaj kierunek poetycznego geniuszu. Weźmy „Danta, Szekspira, Göthego, wszyscy oni wznoszą się sto„pniowo od szczegółów do ogółu, od rzeczy skończonych do

„coraz szerszych, do coraz bardziej nieskończonych, od *Vita „Nuova* do *Raju*, od dramatu historycznego i od *Romea* do „wielkich i głębokich pomysłów *Macbetha* i *Hamleta*, od *Wer„thera* i *Götza* odo drugiej części *Fausta*. Ażeby nie wycho„dzić z zakresu poezyi polskiej, zawód Mickiewicza przed„stawia widok takiego pochodu odśrodkowego. Zaczyna on „od *Ballad i romansów* wziętych z legend ludowych... „wznosi się potem do powieści o *Grażynie*, w której odbijają „się wspomnienia historycznej przeszłości, i do *Wallenroda*, „w którym znać całą teraźniejszość narodu i cały jej go„rączkowy niepokój, w którym już słychać odgłosy roku „1831; potem, *Pan Tadeusz* przedstawia życie narodu w ca„łości jego obyczajów, wspomnień i zwyczajów, a dopiero „wtedy w *Księgach Pielgrzymstwa* przystępuje poeta do za„gadnień przyszłości. Inaczej ma się rzecz z *Bezimiennym „poetą*. Ten w dwudziestu latach życia i na samym wstępie „swojego zawodu, wznosi się odrazu na najwyższe szczeble „spekulacyi, obejmuje jednym rzutem oka społeczeństwo całe, „ale raz przeszedłszy przez tę sferę, już do niej więcej nie „wraca, umyślnie zwija skrzydła i zakreśla sobie koła coraz „ciaśniejsze; sam wybór form, jakich po kolei używa, jest „obrazem tego wewnętrznego rozwoju. W pierwszych swoich „dziełach podoba on sobie w allegorycznym dramacie, to jest „w formie najobszerniejszej i najswobodniejszej, jaką na„tchnienie znaleść może; potem ścieśnia się do powieści, fan„tastycznej wprawdzie, ale już daleko bardziej jednostajnej „i regularnej aniżeli ów dramat, a dochodzi w końcu, do formy „najbardziej skupionej i indywidualnej, do liryzmu oznaczonego „smutkiem i surową powagą“. Fenomen ten, tłómaczy autor przyczynami moralnemi, głębszemi od przyczyn historycznych i literackich, i mówi, że ten „rozwój dośrodkowy poety, odpo„wiada pojęciom jego o obowiązkach dzisiejszej chwili, o po„wołaniu ludzi i narodów w tej krytycznej epoce, którą prze„bywamy. W *Nieboskiej komedyi* poeta żegnał raczej, niż „witał, humanitarne nadzieje; protestował przeciw fatalnym „złudzeniom wieku, który myśli, że potrafi odrodzić ludzkość, „nie odrodziwszy człowieka, i ustalić powszechne prawo, nie

„utwierdziwszy wpierw człowieka w jego obowiązkach. Poeta „chciał zastosować piękne prawidło, że kto chce powitać „wschód słońca, powinien patrzeć nie wysoko nad sobą, ale „horyzontalnie, równo z sobą; usiłował więc rozpoznawać co„raz lepiej pole zostawione otworem jego czynności, jego „dobrej woli, określać coraz wyraźniej i coraz dokładniej „obowiązki jednego człowieka, w warunkach w jakich on się „znajduje, i w ten sposób, ścieśniając kolejno swój zakres, „doszedł w końcu do jednego punktu, do duszy ludzkiej, do „duszy polskiej, do tego punktu zaledwie dostrzeżonego, który „choć tak mały, ma przecież obwód nieskończony, skoro „obejmuje Boga“.

Zbyteczna prawie wskazywać, jak poemata Krasińskiego oznaczają koła coraz ciaśniejsze „dośrodkowego ruchu“ jego myśli. Pierwsze, najszersze, to *Nieboska Komedya,* której przedmiotem jest wielka walka społeczna, tocząca się w całej Europie, a teatrem przyszłość. Choć napisana po polsku, choć aktorowie Henryk i Pankracy są Polakami, *Nieboska Komedya* nie należy do Polski tylko, ale do Europy, do wieku, bo jest zarówno ich obrazem, obrazem tej kwestyi najogólniejszej, która stanowi sam rdzeń historyi naszego wieku. Za nią idzie *Irydion,* na pozór obszerniejszy jeszcze, obejmujący dwa społeczeństwa, rzymskie treścią, nasze przystosowaniem, a co do czasu, obejmujący ogromny szereg wieków, cesarstwo rzymskie, w epilogu chwilę dzisiejszą, a przez posłanie *Irydiona* do ziemi mogił i krzyżów, otwierający jeszcze widok na przyszłość przed nami. Ale pomimo tych pozorów, koło *Irydiona* jest rzeczywiście ciaśniejsze; przedmiotem jego nie jest proces odbywający się w łonie ludzkości całej, ale tylko proces odrodzenia jednego narodu, z kwestyj powszechnych, społecznych, przechodzi poeta do kwestyi patryotycznej. W *Przedświcie* i w trzech pierwszych *Psalmach,* już zagadnienie przyszłości ukazuje się dla poety rozwiązanem i ściągniętem do swego najprostszego wyrazu. To już nie rozpaczliwy koniec *Nieboskiej Komedyi,* w której nikt nie ma słuszności i prawdy, nie nadzieja wątpliwa jaka tkwi w posłaniu Irydiona do Polski, niejako na próbę, to już pewność

zupełna, i pewność nie rzeczy tylko, ale nawet środków. Poeta zdaje sobie sprawę doskonale ze wszystkiego co jest, i jest pewien, że odrodzenie nastąpić musi, jeżeli my zachowamy się tak, żeby mu nie przeszkodzić. Poezya jego staje się więc słowem nauki, podaje prawidła tego postępowania, zamyka się coraz szczelniej w zakresie idei patryotycznej i moralnej, a ze swojem natchnieniem, ze swoim mistycyzmem, schodzi niemal na pole praktyczne, na pole bezpośredniego użytku i zastósowania. Od *Przedświtu* już ten charakter zostaje i nie zmienia się, tylko owszem, staje się coraz wyraźniejszym, coraz bardziej określonym; poeta ukazuje się jakżeby coraz silniej przekonanym o prawdzie do której doszedł, formułuje ją coraz dokładniej i jaśniej, najjaśniej w ostatnim *Psalmie;* stosuje ją do szczegółów niejako, wykazuje na przykładach w *Dniu Dzisiejszym,* aż wreszcie nadaje jej wyraz najkrótszy, najtreściwszy, w kilkunastu wierszach *Resurrecturis.*

Tylko zważać i pamiętać trzeba, że to zwężenie się kręgów jego myśli, oznacza tylko coraz bliższe jej dochodzenie do konkluzyi, do prawdy, nie zaś zwężanie się jej widnokręgu lub jej lotu. Ona tylko z obwodu dąży do środka, do samego jądra prawdy, a im bliżej jego jest, tem jaśniej ten swój przedmiot widzi i określa. Ale razem i równocześnie ściąga się ona i zbliża coraz bardziej do środka, do konkluzyi, i obejmuje coraz szersze okręgi od tego środka zależne i nim rządzone. Budzi ją fakt, dostrzeżenie faktu: i ona zrazu (w *Nieboskiej Komedyi)* tylko jeden fakt rozważa i sądzi. Ale im więcej dostrzega i rozważa, tem więcej napotyka faktów, równie wielkich i równie złych jak ten pierwszy (obok kwestyj społecznych kwestye polityczne, w jednych jak w drugich, kwestye moralne), i wtedy pyta jakie są prawa stałe, wiekuiste, boskie, które temi zjawiskami rządzą? dostrzeżone fakta stara się odnieść do jakichś przyczyn wspólnych, wyrozumieć i wytłómaczyć ich kolejne następstwo za pomocą pewnych praw niewzruszonych i niemylnych. Od zjawisk, od dzisiejszych faktycznych stosunków, które ocenia i sądzi rozumem polityka i sumieniem chrześcianina, przechodzi poeta do ogółu spraw ludzkich i praw boskich, związku

jednych z drugiemi dochodzi umysłem filozofa, aż wreszcie znajduje i określa ten wzajemny stosunek, tę zależność jednych od drugich, czyli składa cały system filozofii, obejmujący stworzenie i Stwórcę, przeszłe dzieje i przyszłe przeznaczenie ludzkości. Do środka, do ostatecznej konkluzyi, dąży on coraz usilniej i określa ją coraz ściślej; ale zarazem zatacza coraz szerzej obwód tego koła swojej myśli, ogarnia niem przestrzenie coraz szerze; a znaleziona prawda, odkryte prawo, tłómaczy mu wszystkie zjawiska fizycznego i moralnego świata, osobistego życia człowieka i zbiorowego życia ludzkości na ziemi.



ROZDZIAŁ II.

1812—1833.

I. Dzieciństwo. Rodzice. Charakter Jenerała Krasińskiego. Starościna Opinogórska. Sprzeczność natury ojca i syna. Nauki. Przyjaciele. Pociąg do czytania i pisania. *Grób Rodziny Reichstalów. Władysław Herman.* Jenerał Krasiński w Sądzie Sejmowym. Pogrzeb Wojewody Bielińskiego. Wyjazd młodego Krasińskiego z Warszawy. II. Usposobienie Krasińskiego w pierwszych czasach pobytu za granicą. Małe Powieści. *Agay-Han.* Znajomość z Mickiewiczem. Pobyt w Rzymie. Powstanie roku 1830. Przeobrażenie dokonane w Krasińskim pod wpływem tych wypadków. Pierwszę listy do Gaszyńskiego. Wyjazd z Genewy. *Wygnaniec.* Pierwsze pomysły do *Ostatniego.* Pisma francuskie. Pobyt w Petersburgu. Powrót do Wiednia. Doniesienie o *Nieboskiej Komedyi.*





Zygmunt Krasiński

w czwartym roku życia (1816)

(podług rysunku Waleryi ze Stroynowskich kasztelanowej Tarnowskiej)

I.

Dzieciństwo. Rodzice. Charakter Jenerała Krasińskiego. Starościna Opinogórska. Sprzeczność natury ojca i syna. Nauki. Przyjaciele. Pociąg do czytania i pisania. *Grób Rodziny Reichstalów. Władysław Herman.* Jenerał Krasiński w Sądzie Sejmowym. Pogrzeb Wojewody Bielińskiego. Wyjazd młodego Krasińskiego z Warszawy.

Urodził się w Paryżu, 19 Lutego 1812. O jego dzieciństwie wypisują z pamiętników, podsłuchują z podania i zapisują jego biografowie czy recenzenci różne szczegóły. Kochał bardzo rodziców, i słaby prosił żeby matce nie mówiono że cierpi, boby się zmartwiła; przed cesarzem Aleksandrem (w roku 1816) zapytany co umie, i proszony żeby powiedział na pamięć jakie wiersze, deklamował naiwnie republikańską tyradę Brutusa z Voltaira. Cesarzowej, matce Aleksandra, dał odpowiedź dowcipną, która była zgrabnym komplementem, ale zarazem warowała całość i nietykalność jego polskiego uczucia i honoru[1]). Dla piastunki, francuzki, napisał jakąś historyjkę po francusku. Do tych oznak dziecinnego rozumu, do tego zbioru anegdot, można dodać jeszcze jednę, która zarazem jest pierwszym jego wierszem. Bawił się z innemi dziećmi, przebierali się w różne stroje. Mały rówiennik, Bronisław Stadnicki, przebierał się za rycerza: miał pancerz, hełm, tarczę. Zygmunt już świadomy średniowiecznych obyczajów przypomniał, że na tarczy powinno być wypisane godło i ułożył następujące:

---

[1]) Voulez-vous-être mon défenseur? — Non, Votre Majesté n'a pas besoin de défenseurs, n'ayant point d'ennemis.

„Dawnych rycerzy plemię jeszcze nie wygasło:
Ich duch żyje w mem łonie, a w imieniu hasło".

Do tych wiadomości dodawszy jedną jeszcze, że za nauczyciela miał sławnego później pisarza Józefa Korzeniowskiego, i że ten uczył go przez czas krótki (bo — jak chcą niektórzy — nie mógł dojść do zgody i porozumienia z jenerałową), będzie podobno wszystko co o jego pierwszem dzieciństwie wie się i pamięta.

To wszystko wszakże nie odpowiada na jedno pytanie. Dla czego on sam pisze o sobie (w liście do Gaszyńskiego) „byłem dzieckiem niezmiernie żywem ale zawsze smutnem"? Patrząc na portret chłopaczka, może czteroletniego, w białym żupanie i czerwonym kontuszu, jadącego na ojcowskiej szabli jak na koniu, (Kajetan Koźmian napisał na ten portret czterowiersz bardzo dla ojca pochlebny) przypuszcza się, że wszystkie rodzicielskie uczucia i marzenia, wszystkie błogosławieństwa i wszystkie pieszczoty, otaczały to dziecko taką atmosferą szczęścia, że swobodnie i wesoło róść w niej musiało. A jednak dziecko było smutne... dlaczego? ani pieszczot, ani miłości rodziców mu nie brakło. Ale i dzieci, choć najbardziej kochane, rozwijają się smutno w domach smutnych; a ich dusza choć nie świadoma jeszcze, przeczuciem jakiemś chwyta cierpienia drugich, czasem, kiedy są wyjątkowo czułe, wtóruje tym cierpieniom jak arfy eolskie, dotknięte jakimś tajemniczym, nie wiedzieć skąd, powiewem. Dom był smutny, a dziecko musiało to czuć, choć o tem nie wiedziało. Dom, w którym nie było nieszczęścia, ani złego obchodzenia, ani tembardziej występku lub zgorszenia: ale w którym nie było oddawna i zgoła zrozumienia się i miłości. Przez całe życie, syn nie mógł nigdy zrozumieć się z matką; przez całe życie, między mężem i żoną nie było nic wspólnego, prócz dziecka.

Jenerała Krasińskiego sądzono i opisywano rozmaicie. Od Sądu Sejmowego w r. 1829 uchodził za odstępcę i moskala; później, w ostatnich latach życia, kiedy po śmierci Paszkiewicza zastępował przez krótki czas Namiestnika Kró-

lestwa Polskiego, opinia zaczęła być dla niego łaskawszą. Po roku 1863, kiedy obliczono, że zerwanie się do broni, a bez siły, prowadzi do zagłady polskich instytucyj w Królestwie, a polskiego żywiołu na Litwie i Rusi, Jenerał Krasiński, który swojem głosowaniem w Sądzie Sejmowym dał dowód przezornego szanowania bytu Królestwa, został znowu (a niekiedy przesadnie) rehabilitowanym. Niektórzy biografowie syna widzą w nim wielki charakter, wielką siłę przekonań, wielką cywilną odwagę, i tę stałość, która robi co przekonanie i sumienie każe *si totus illabatur orbis.*

Oskarżenie przed pół wiekiem i te pochwały, równo niezasłużone. Wincenty Krasiński nie był nigdy złym Polakiem ani odstępcą, ani złym, tem mniej, nikczemnym człowiekiem; nie był też nigdy wielkim charakterem. Był, owszem przeciwnie, charakterem raczej małym, przez wielką próżność. Odważny i waleczny w boju, świetny oficer, nie bez wojskowych zdolności, w obejściu z ludźmi bardzo podobno miły, pełen wesołości i wdzięku; bardzo piękny przytem i za młodu obdarzony nie małem do płci pięknej szczęściem, skłonny do zabaw i hulanki, z sercem miękkiem i dobrem, byłby skończonym typem zwykłego napoleońskiego oficera, który bohaterskim pozorem zawracał głowy pannom i mężatkom, żenił się bogato, żonie wiele szczęścia nie dawał, a często ją swoją wewnętrzną czczością rozczarowywał lub odstręczał; w wojsku był przydatny i nawet świetny, szarżował jak bohater, dochodził do wyższych stopni, — ale większego dowództwa nie obejmował, bitwy nie byłby zdołał poprowadzić, bez rozkazów, na własną odpowiedzialność, działać nie mógł. Rodzaj to ludzi bardzo w wojsku potrzebny, i dla wszystkich — z wyjątkiem może żon — bardzo miły. W Krasińskim wszakże psuła i szpeciła tę naturę wada jedna — niestety częsta między Polakami — próżność. Była ona u niego osobistą, i była niebezpieczniejszą od tej, familijną. Chciał sam błyszczeć i świecić, i chciał, żeby błyszczał i świecił jego dom. Wada ta napozór nie wielka i nie szkodliwa, jego, jak wielu, doprowadzała i do uczuć nieszlachetnych i do uczynków śmiesznych. Nie cierpiał naprzykład księcia Józefa. Zdaje się dziwnem,

żeby młody chłopak, jeszcze nie dwudziestoletni, naprzód nie czuł raczej zapału i uwielbienia do rycerskiego dzielnego dowódzcy z pod Zieleniec i Dubienki, a powtóre, żeby mógł siebie z nim równać, przypuścić tylko do głowy jakąś możliwość współzawodnictwa. Jednak Krasiński niecierpiał księcia Józefa, bo mu zazdrościł, bo go tamten ćmił swoim blaskiem. W pierwszych latach naszego wieku, a najmniej właśnie świetnych w życiu księcia, Krasiński dorastający i rozkwitający młodzieniec chciałby był koniecznie być pierwszym w Warszawie; a tymczasem w opinii ludzkiej, jak w łaskach kobiet, jak w dochodach i trybie domu, pierwszym był tamten; współzawodnika (którego zapewne ani się domyślał), przyćmiewał i gasił; ztąd żal, niechęć, zazdrość w próżnem sercu Krasińskiego, na które nic już nie pomogło, chyba je wody Elstery ugasiły.

Człowiek, który mógł być zupełnie tęgim i sympatycznym, przez tę nieszczęsną próżność stawał się samochcąc śmiesznym, a czasem nieszlachetnym.

Ojciec odumarł go w dzieciństwie; między matką a synem zaś nie było nigdy zbliżenia, ufności.

Antonina z Czackich Krasińska, starościna Opinogórska [1]), była niewiasta niepospolitej wartości, powagi, energii, ale usposobienia despotycznego. Surowa dla siebie, trzymała w surowej karności wszystko co ją otaczało; syn rygoru tego znosić nie chciał. Ztąd częste, a raczej nie ustające, od pierwszej jego młodości nieporozumienia. Romansowe przygody, kawalerskie wybryki, albo długi młodego chłopca, gniewały matkę i sprowadzały takie burze, że pobyt w domu był dla syna nieraz przykrym; że często z rodzicielskiego, do domu krewnych i pod ich opiekę się uciekał. Surowość matki musiała istotnie być zbyteczną, skoro syn już stary, w ostatnich latach życia, jeszcze z pewną goryczą o niej mówił, a z wdzię-

---

[1]) Córka Szczęsnego Czackiego Podczaszego Wgo. Kor. i Katarzyny Małachowskiej; siostra Tadeusza Czackiego; siostrzenica Stanisława (Marszałka) i Jacka (kanclerza) Małachowskich.

cznością rzewną wspominał krewnych, którzy (jak się wyrażał) *garnęli do siebie sierotę*. Z latami rosło jego pragnienie wolności, i romansowe przygody, i długi, a z niemi znowu wzrastał żal i gniew, często słuszny, matki. Doszedł zaś do wysokiego stopnia, kiedy syn, pokryjomu bez jej wiedzy, wstąpił do wojska. Że nie mógł nic lepszego zrobić, że ze swoją naturą do wojska był stworzony, że uczucie polskie kazało mu służyć w szeregach zwycięzcy z pod Austerlitz i Jeny, to jasne; i to matka powinna była zrozumieć, ocenić, i pochwalić. Ale starościna Opinogórska niecierpiała Rewolucyi francuskiej, niecierpiała Napoleona. Łączyły się na to zapewne jej uczucia katolickie, jej staropolskie szlacheckie wyobrażenia, z wpływem emigrantów francuskich, których wielu na Wołyniu i Podolu, wielu u jej krewnych i przyjaciół osiadło. Dość, że dla córki Podczaszego Czackiego, wychowanej w katolickich i szlacheckich tradycyach, w czci rodziców, heroicznie do tej tradycyi przywiązanych, widzieć syna w służbie tego porządku rzeczy, który powstał z rewolucyi, widzieć potomka starego senatorskiego domu, Krasińskiego, w służbie parwenijusza i uzurpatora, było zgorszeniem i wstydem.

Ożenienie syna (wcześniejsze od jego wojskowej służby), nie zdołało jej chwycić za serce i złego stosunku naprawić; bolała ją i upokarzała nie osoba synowej, tylko sposób i powód ożenienia syna.

Marszałek Małachowski, po śmierci swojej pierwszej żony, Czapskiej z domu, bezdzietny, ożenił się powtórnie z jej siostrą, księżną Radziwiłłową, rozwódką. Ta miała córkę Radziwiłłównę. Umarła wkrótce; księżniczka Marya została przy ojczymie. Ojciec (także powtórnie żonaty), nie dbał o nią i nie pytał; ojczym przywiązał się jak do własnego dziecka. Młodej, żywej, dowcipnej dziewczynie mogło nieraz być ciężko i nudno przy starym, poważnym, może trochę pedantycznym Marszałku; ale innej opieki nie miała, dla niego miała wdzięczność i przywiązanie; zresztą, jak dowodzą jej własne listy [1]),

[1]) Falkowski — *Z życia ostatnich kilku pokoleń.*

ojczym dawał jej jak na owe czasy dość wolności, i nie zbywało jej na towarzystwie, na zabawach, na przyjaciółkach. Zbywało na wielbicielach i konkurentach. Księżniczka miała dobre serce, dużo rozumu, jeszcze więcej dowcipu, i bardzo duży majątek: ale była bardzo nie ładna, jak mówią współcześni, jak świadczą portrety, jak sama nieraz w listach swoich przyznaje. Bolało to i niepokoiło troskliwego ojczyma, że panna już dorosła nie wychodziła za mąż. Że zaś była bogatą dziedziczką, pragnął ją wydać za jakiego swojego krewnego. Była jeszcze małą dziewczyną, kiedy już układał różne plany, szukał jej przyszłego męża naprzód między synowcami, Małachowskimi. Plany się nie udały; panna dorosła, doszła nawet lat 24. Młody Krasiński był od niej młodszy, był trochę lekkomyślny, ale miał piękne nazwisko, duży majątek, i był przez matkę krewnym pana Marszałka. Na nim więc spoczęły teraz nadzieje opiekuna. Panna zrazu uważała to małżeństwo za rzecz niemożliwą, trochę śmieszną; przyszłego męża nazywała w listach chłopczykiem. Kawaler z pewnością nie czuł dla niej żadnego affektu. Ale wujaszek, patryarcha familijny, namawiał, długi dokuczały, ożenienie dawało mu odrazu rzecz wielce pożądaną, niezależność od matki, więc oświadczył się. Panna, może upokorzona tem że dotąd męża nie znalazła, ujęta zapewne pięknością i wdziękiem „chłopczyka“, oddała mu rękę bez trudności i przykrości, ale bez zapału i złudzeń. Matce małżeństwo to było przykre; syn żeniący się z panną starszą od siebie, nie kochaną, dla tego że była bogata, spadał niżej w jej opinii. Synowa podobać jej się nie mogła. Uznawała wszystkie zalety i cnoty, ale drażnił ją sam widok starszej i brzydkiej żony przy chłopcu młodziutkim i ślicznym, a niecierpliwiły ją nerwy biednej kobiety, która przy wszystkich swoich pięknych przymiotach miewała dziwactwa, przywidzenia, urojenia, kaprysy. Pożycie z mężem nigdy złe, szczęśliwem przecież być nie mogło. Dopóki trwały wojny, a mąż z konieczności rzadko w domu bywał, oddalenie samo ułatwiało pożycie. Ale kiedy wojny się skończyły, kiedy Jenerał odprowadziwszy wojsko

z Fontainebleau do Polski, osiadł w Warszawie, kiedy zaczęło się na prawdę życie wspólne a bezczynne, oboje przekonali się już do reszty, że nie mają nic innego do roboty, jak zachowywać pozory. Jenerał był w sile wieku i zawsze piękny, choć zaczynał nabierać zbytecznej tuszy; Jenerałowa coraz starsza, coraz mniej powabna, stawała się i coraz mniej przyjemną; zdrowie zawsze wątłe, zepsuło się zupełnie, a z niem zniknął humor i dowcip. Stosunek z matką, która przez zimę mieszkiwała w Warszawie (ale w innym domu) nie stawał się lepszym. Była to więc rodzina, w której wszyscy wprawdzie kochali bardzo dziecko, ale tylko to dziecko; zresztą, między sobą kochali się mało. U Jenerałowej wreszcie rozwinęła się piersiowa choroba, która ją też w roku 1822 zabrała. Syn odziedziczył po niej organizm wątły i słabowity, twarz nie piękną (z wyjątkiem oczów, a i tych piękność zginęła prędko, bo od młodości były zawsze chore), cerę czerwoną, i zaród chorób, które go przez całe życie dręczyły. Czy chłopczyna dziesięcioletni bardzo żywo uczuł swoje osierocenie? Zapewne. W listach swoich (rzecz dziwna) on jeden raz tylko o matce wspomina; zdawałoby się, że jedynym dowodem pamięci było jej imie dane później córce. Jednak czy mały Orcio z *Nieboskiej Komedyi* rozmawiający z duchem matki i odmawiający poetyczne jakieś pacierze na jej grobie, obok ojca, który na ten grób patrzy obojętnie, nie jest choć trochę odbiciem własnych dziecinnych wspomnień lub marzeń? „Byłem dzieckiem smutnem“. Do tego smutku mogła się przyczynić, jeżeli go nie poczęła tęsknota za matką, uczucie osierocenia i samotności, w jakich po jej śmierci znalazł się w jej dziedzicznym wielkim pałacu. Współcześni mówią, że Jenerał łatwo i lekko znosił swoje wdowieństwo. Synek zaś może czuł, że dłużej od ojca pamięta, że żałuje więcej; i znowu może nowy powód do smutku, jedna sprzeczność więcej między temi dwoma, wprost sobie przeciwnemi, naturami.

Oni nawzajem kochali się niezmiernie, a nigdy zrozumieć się nie mogli. Pojęcie życia, jakie miał Jenerał, dla syna było za ciasne, za płytkie; to znowu, jakie miał syn, ojcu

wydawało się przesadzonem, romansowem, fałszywem. Ztąd, pomimo najrzetelniejszej wzajemnej miłości, pomimo zaufania tak zupełnego, że syn wyznawał i zwierzał ojcu wszystko co myślał, czuł lub robił (choć najłatwiej mógłby był milczeć i taić), wzajemnego zrozumienia się nie było nigdy. Jenerał naprzykład cieszył się poetyczną sławą syna, ale nie pojmował, na czem się ona zasadza. Ta poezya mglista nieraz, a zwykle allegoryczna, jemu wydawała się brzydką albo niedorzeczną. Syna nawzajem dręczyły lub gniewały często wyobrażenia ojca, a różnica tych dwóch charakterów, dawała się widzieć już od pierwszych lat Zygmunta.

I znowu ironia losu:

..... „Warum von tausend Vätern
„Just eben diesen Vater mir? und ihm
„Just diesen Sohn?...
„Zwei unverträglichere Gegentheile
„Fand die Natur in ihrem Umkreis nicht“.

W naukach, mówią współcześni, postępował dziwnie szybko, a zwłaszcza pojmował je na swój wiek dziwnie głęboko. Kajetan Koźmian zaproszony raz na egzamin dwunastoletniego chłopczyka, wspomina w pamiętnikach o jego nadspodziewanie bystrych odpowiedziach. Ale tu nasuwa się uwaga, czy razem z synem nie zdała także egzaminu i próżność ojcowska? Na popis małego chłopca, zaprosić najpoważniejszych i najgłośniejszych w owym czasie pisarzy i uczonych, choćby bliskich przyjaciół domu, było nierozważnie, niebezpiecznie, bo chłopiec mógł łatwo pomyśleć że musi być czemś nadzwyczajnem, kiedy aż tacy ludzie przychodzą go pytać i słuchać, wpaść w zarozumiałość, w pychę. Uniknęła jej wszakże, i przez całe życie, bardzo szlachetna, wzniosła natura Zygmunta.

W roku 1826 wszedł do Liceum. Ważny w jego życiu wypadek. Samotny dotąd, znalazł w szkole kolegów, między kolegami przyszłych całego życia przyjaciół. W tej samej klasie był Stanisław Koźmian, w dalszem zwłaszcza życiu złączony z Krasińskim serdeczną przyjaźnią; i odrazu umi-

łowany, wybrany, najdroższy może w całem życiu przyjaciel, Konstanty Gaszyński.

Był to właśnie sam wir walki klasyków z romantykami, sam najsilniejszy paroksyzm tej literackiej i poetycznej u nas gorączki, tej pasyi czytania i zachwycania się nad Mickiewiczem naprzód, a potem nad Byronem, a potem nad wszystkiem, czego dostarczała literatura europejska. Młody studencik, który już w samotności wiele czytał, wiele marzył i fantazyował, wiele miał ciekawości i żądz literackich, kiedy się zaprzyjaźnił z drugim, u którego znajdował te same uniesienia i pragnienia, który, jako starszy, więcej już może od niego był przeczytał, który sam wierszyki pisać zaczynał, musiał w tem zetknięciu, jak krzemień, sypać z siebie iskry coraz większych zachwytów marzeń i pragnień, musiał zwłaszcza marzyć o pisaniu. Rzecz dziwna, syn żołnierza i światowego człowieka, od dzieciństwa ma w sobie wprost przeciwne powołanie; a poeta, który był jednym z najmniej płodnych na świecie, który bardzo mało pisał i zawsze tylko pod wpływem jakiejś przemagającej siły wypadków i potrzeb, na szkolnej ławce marzy o autorskim zawodzie; przyszły poeta zaś i filozof, zdaje się mieścić swoje powołanie i swoją chwałę w skromniejszym zawodzie pisarza powieści.

Nie bogate są źródła wiadomości o tych jego latach i literackich z Gaszyńskim rozmowach i zamiarach. Z jego listów jedynie dowiedzieć się można, że w ogrodzie, czy przy kominie, kryjąc się z fajkami, których Jenerał palić jeszcze zabraniał (później już się nie kryją), gadali i marzyli bez końca. To samo i prawie tak ogólnie mówi napisany przez Gaszyńskiego (dotąd nie wydany) żywot Krasińskiego. To samo źródło wspomina o jakiejś młodocianej miłości przyszłego poety; miłości rzeczywiście nic nie znaczącej. Oznacza ją Gaszyński imieniem tylko: panna Helena. Krasiński zaś w jednym z listów do niego, pomiędzy innemi wspomnieniami warszawskiemi, pyta go „czy pamiętasz pannę Helenę i scenę w garderobie mojej babki“. Co to za scena być mogła? Czy sroga starościna zjawiła się groźna jak statua Ko-

mandora i przerwała jakie czułe westchnienia? Tego już zapewne historya nigdy nie dojdzie [1]).

Echa walki klasyków z romantykami, i dyskussyi toczących się u Jenerała, dochodziły do syna przez Gaszyńskiego, który, jako starszy, był dopuszczony do słuchania, a czasem się już nawet śmiał i odezwać; i przez Odyńca, który z heroiczną odwagą, młody Daniel romantyczny w lwiej jamie klasyków, stawiał czoło Osińskiemu i walczył za chwałę Mickiewicza, a potem małemu Krasińskiemu opowiadał co słyszał i mówił. Może nie zdarzało się to tak często i regularnie jak z *Listów* Odyńca wnosić by można, ale zdarzało się istotnie.

Z tego przecież, co o tych czasach pisze Gaszyński w owym Żywocie, a Krasiński w listach, wychodzi wniosek dość zadziwiający, że musieli myśleć i mówić najwięcej nie o Mickiewiczu, o którym mówiła cała Polska, nie o Byronie o którym mówiła cała Europa, ale o Walter-Skocie. Może byli jeszcze tak młodzi, że powieść, jako lżejsza, trafiała im łatwiej do pojęcia i do wyobraźni, od poważnej poezyi. Może też te średniowieczne rycerskie dekoracye i sceny, turnieje, więzienia, bitwy, giermki, damy, zamki, klasztory etc. w romansach Walter-Scotta z niepospolitą siłą kolorytu malowane, swoją dekoracyjnością samą czarowały wyobraźnię młodego Zygmunta. Jakkolwiekbądź jego popęd do pisania nie trysnął wierszami jak u Gaszyńskiego, ale wylał się naprzód w to łożysko powieści przez Walter-Skotta wyżłobione. Pierwszym jego literackim sukcesem był przekład *Świteziankі* na język i wiersz łaciński — osobliwszy pomysł! Drugą próbą (ale nie sukcesem) była jakaś powieść, którą w domowej drukarni na bibule wydrukował, i ojcu w darze złożył. Ojciec (bardzo rozsądnie) podziękował, ale zalecił, żeby się od drukowania wstrzymał. Trzecim z kolei był *Grób Rodziny Reichstalów,* który Dmóchowski ogłosił w dodatku do *Korrespondenta Warszawskiego* 1828. Dziwili się

[1]) Odyniec w *Listach* mówi o miłości Krasińskiego do *hrabiny Z.* ale w listach Krasińskiego, w żadnych innych źródłach, niema najmniejszego śladu ani wzmianki o takiem uczuciu.

wtedy ludzie Jenerałowi, że chłopcu pozwala drukować, i jeszcze takie głupstwa. Bez wiedzy ojca zapewne stać się to nie mogło; ale raczej dziwićby się trzeba wytrawnemu i wykształconemu Dmóchowskiemu, że tę powieść przyjął, gdyby się nie wiedziało, że redaktor w kłopocie zdolny jest wiele popełnić, że czasem w kłopocie (albo z natury), wmawia w siebie obowiązek zachęcania młodych talentów, że powieść małego Krasińskiego, jakakolwiek była, mogła obudzić ciekawość publiczności znającej ojca, a wiedzącej o synu; że wreszcie redaktor nie chciał może być niegrzecznym dla młodego autora a pośrednio dla ojca. Raczej dziwić się można tym biografom i recenzentom Krasińskiego dzisiejszym, którzy w tej powieści odkrywają jakieś zalety. Wszystko, co na jej korzyść powiedzieć bowiem można, to, że autor miał lat czternaście czy pietnaście, że powieści równie lichych było dużo, że w latach kiedy wogóle było mniej polskich powieści, ta mogła się wydawać mniej lichą niż dziś i niż była w istocie, i wreszcie, że w innym wprawdzie rodzaju i formie, ale równię liche piszą się jeszcze i za naszych czasów.

Grób Rodziny Reichstalów jest to romans z czasów Wojny Trzydziestoletniej. Bohaterem jest Wallenstein, w początku powieści młody pułkownik, zakochany w córce sławnego astrologa i alchemisty, Reichstala, mieszkającego w Egrze. Ten, wyczytawszy w gwiazdach świetną przyszłość pułkownika, zmusza do zamęścia córkę, która nie mogąc się doczekać ratunku od wezwanego na pomoc nieobecnego brata, truje się w ostatniej chwili przed ślubem. Ojciec, sekretem jakimś swojej sztuki, zabezpiecza jej ciało (jak niegdyś żony) od zepsucia, i zupełnie taką jak była za życia chowa w grobie rodziny. Brat przybywa zapóźno, ale poprzysięga zemstę, i dotrzymuje po wielu latach, w tej samej Egrze. On to, pod przybranem nazwiskiem szkota Leslie, zabija księcia Friedlandu.

Ale cokolwiek i jakkolwiek on pisał, pisma te dowodzą kierunku jego umysłu, dowodzą, że był otoczony jakiemiś utworami swojej wyobraźni; że nie mając powodu do

cierpienia uczuciem, szukał go fantazyą, chciał je odgadnąć, wystawić sobie. Wskazuje ta powieść, że fantazya młodego chłopca lgnęła do jakichś figur ponurych, do przygód strasznych, do fatalizmów ciążących na całych rodzinach; że cała ta strona dekoracyjna ówczesnej romantyczności, przynajmniej ówczesnych romansów, podobała mu się i pociągała go silnie. Kto wié czy nie z tych wczesnych skłonności i przyzwyczajeń poszło pewne u Krasińskiego zamiłowanie ozdób dekoracyjnych i przesadnych, którego nigdy zupełnie pozbyć się nie umiał; do końca lubi on takie *effekta*, i nieraz ich istotnie nadużywa.

Dość, że żył w sobie, życiem wewnętrznem, z wyobraźnią chciwą wrażeń, a na ich podstawie rojącą jakieś własne marzenia i kształty. Umysł rozwijał się szybko i bujnie. W sercu gorącem wzmagała się z każdym dniem potrzeba kochania; im więcej ją tłumił, im bardziej był na pozór chłodny i hardy, tem ona gwałtowniej domagała się praw swoich. Ztąd jego popęd do przyjaźni, i wielka potęga tego uczucia; ztąd skłonność do idealizowania przyjaciół (która mu na całe życie została). Kiedy pośród kolegów znalazł takiego, który mu był szczególnie miły i sympatyczny, lgnął do niego i oddawał mu całe serce. A i z tej strony także czekał go zawód bolesny.

W każdym razie były te lata nauki (szkolnej naprzód, a od roku 1828 uniwersyteckiej), ta *Era Fajkowa*, którą w listach zawsze rzewnie wspomina, epoką najpogodniejszą, najszczęśliwszą w jego życiu. Głowa pełna rojeń i pomysłów, myśl ciągle zajęta, w sercu jakaś miłość i przyjaźń szlachetna, i wreszcie dość swobody, wrażeń dużo czy w książkach, czy na przechadzkach i polowaniach z Gaszyńskim w Opinogórze; a w dodatku pisanie. To było piękne, i lepsze od Reichstalów, że dla Lelewela przetłómaczył na język francuski, część pierwszą *Początkowego Prawodawstwa Polskiego*, ogłoszoną przez L. Chodźkę w Paryżu, jako *Essai historique de la législation civile et criminelle jusqu'au temps des Jagellons, traduit par Sigismond Krasiński sous les yeux*

de l'auteur[1]). Jego przecież (jak naturalnie) zajmowały i cieszyły bardziej własne i poetyczniejsze pomysły, i w ślad za *Reichsthalem* ukazał się w trzech tomach *Władysław Herman i Dwór jego.*

Zbigniew porwał i zaślubił tajemnie Hannę z Ciechanowa. Ojciec, i Mieszko (syn Bolesława Śmiałego), przeznaczony jej na męża, szukają sprawiedliwości u Władysława Hermana, potem oblegają zamek Zbigniewa. Bitwy, potyczki, szturmy, pojedynki, turnieje, bez liku i miary. Jest naturalnie i zdrada. Zbigniew ma przy sobie Niemca Mestwina, który pała wściekłą namiętnością do żony swego pana, a gdy nie może zyskać jej wzajemności, grozi, straszy ją, i gubi. (Taksamo postępuje straszny Golo z Genowefą Brabancką). Po śmierci nieszczęśliwej Hanny, Zbigniew poznał się na zdradzie, i strasznie pomścił się na zdrajcy. Powieść, jedno z niezliczonych ówczesnych naśladowań Walter-Skotta, lepsza jest od *Grobu Reichsthalów,* a może nie gorsza od wielu takich, które były w swoim czasie czytane, a dziś bywają jeszcze niekiedy wspominane; gdyby ją był napisał którykolwiek mniejszego talentu młody romantyk, nie byłaby dziwną, a może nawet uchodziłaby za oznakę pewnej zdolności. Tylko z tem pogodzić się, to zrozumieć trudno, że wyszła z tejsamej głowy co *Nieboska Komedya* i *Irydion.*

Ale kiedy *Władysław Herman* wyszedł z pod prasy (1830), już się skończyły szczęśliwe lata pierwszej młodości, już Krasińskiego nie było w Warszawie.

Miał on lat siedmnaście, kiedy spadł na niego pierwszy krzyż, a tak ciężki, że i najmocniejsze barki mogły się pod nim złamać. Obejmował on bólów wiele, między któremi była i doznana krzywda, i konieczność zniesienia złego pozoru, i zerwanie przyjaźni, i upokorzenie, i ból najcięższy ze wszystkich, konieczność poddania się woli, której słuszności nie przyznawał. I to tak wcześnie, w siedmnastu latach? kiedy życie zwykło jeszcze mieć litość nad człowiekiem, kiedy on

---

[1]) Malte-Brun: *Tableau de la Pologne ancienne et moderne.* Paris 1830.

bywa zwykle najszczęśliwszy, najswobodniejszy, kiedy właściwie zaczyna czuć że żyje, bo spostrzega się, że czuje i myśli, a z każdym dniem odkrywa coś nowego w sobie i w świecie otaczającym, i cieszy się sobą, życiem i światem. On w tych latach musiał wziąć swój krzyż; a umiał go nosić. W tej plątaninie sprzecznych obowiązków znalazł prostą drogę cnoty; żadnego nie obraził, żadnego się nie wyparł, żadnego nie poświęcił — ani obowiązku względem ojca, ani względem ojczyzny — poświęcił tylko siebie.

Wiadomy jest dostatecznie i powszechnie ten pierwszy krok na drodze, którą on „jak Dant za życia zaczął iść przez piekło". W sądzie sejmowym na Krzyżanowskiego i towarzyszy, Jenerał Krasiński głosował za uznaniem oskarżonych winnymi zbrodni stanu. Głosowanie to poczytano mu za grzech przeciw ojczyznie, za odstępstwo, niemal za zdradę.

Dziś łatwo nam wiedzieć, że i spisek Krzyżanowskiego, i ów wynik sądu sejmowego, był nieszczęściem. Nieszczęściem dlatego, że był krokiem stanowczym ku powstaniu roku 1830, a to pokonane, miało skutki zgubne na całe dalsze nasze dzieje i losy w tym wieku. Powtóre nieszczęściem dlatego, że sąd sejmowy, kiedy nie uznał tej winy w oskarżonych, dawał niejako milczącą sankcyę tajnym sprzysiężeniom i ich polityce, ster spraw wypuszczał z rąk ludzi starszych i rozważnych, a pozwalał go ująć młodym, niewidzialnym i niewiadomym. Ale to wszystko jasne i zrozumiałe dziś, w owych latach przedstawiało się inaczej. Zachodzą tu dwa pytania, na które należy zwrócić uwagę: pierwsze, czy członkowie sądu sejmowego mogli w sumieniu swojem uznać spisek Krzyżanowskiego za zdradę stanu? drugie, czy wobec praw obowiązujących, wobec kodeksu, zachodziła lub nie istota czynu, istota zdrady stanu? Co do pierwszego, sędziowie w swojem sumieniu mieli spiskowych za winnych, bo winnym jest zawsze przeciw ojczyźnie ten, kto zamiar jakiś podejmie śmiało, a potem go nie wykona lub źle wykona, a sprawę przez to głębiej w przepaść pogrąża. Ale zamiaru samego sędziowie w swojem sumieniu za winę, za zdradę, uznawać nie mogli. Co się zaś tyczy kodeksu, pisarze dzisiejsi utrzymują, jedni,

że istota zbrodni stanu była oczywistą, a wyrok, który jej nie uznał, a oskarżonych skazał tylko za należenie do zakazanych związków, naciąganym i tendencyjnym; drudzy przeciwnie sądzą, że jakkolwiek nie ulegało wątpliwości i sędziowie mieli przekonanie, iż spiskowi chcieli popełnić to, co ze stanowiska rządu rosyjskiego i ustawy konstytucyjnej Królestwa było zrodnią stanu, to jednak z aktów i zeznań nie okazywało się to tak dowodnie, iżby prawne określenia zdrady stanu do uczynków przypadały, i by na podstawie paragrafów można było skazać oskarżonych za zdradę stanu, a wobec tego, wyrok skazujący byłby naciąganym i tendencyjnym. Które z tych zdań jest prawdziwe? nie mamy ani nauki po temu, ani potrzeby roztrząsać, bo nie o historyę sądu sejmowego nam chodzi, ale tylko o wpływ, jaki on wywarł na dalsze życie Krasińskiego, czyli, o głosowanie jego ojca.

„Nie było w tem zdrady“ — mówi Klaczko w *Bezimiennym Poecie* — „tylko było zachwianie się charakteru słabego“. Inni opowiadają, że miał na niego wpłynąć przysłany umyślnie z Petersburga Adam Matuszewicz, który senatorom przekładał, że cesarz oczekuje skazania oskarżonych jako dowodu, że dochowują wiernie konstytucyjnego paktu. Inaczej, i dla Jenerała korzystniej, brzmi świadectwo Kajetana Koźmiana. Ten opowiada w *Pamiętnikach*, że kiedy ledwo zaniosło się na tę sprawę, przed zwołaniem sądu sejmowego jeszcze, Krasiński otwarcie przy niejednej sposobności powtarzał, że „ubolewa nad tymi, którzy dali się wciąg-„nąć w spisek rosyjski, ale tych, którzy do niego należeli, „ma, w swojem przekonaniu, za winnych zbrodni stanu, bo „narazili na zgubę to co mamy, i czego jako Senat strzedz „jesteśmy obowiązani“. Gdy go zaś Niemcewicz zagadnął, czy jako Polak uważa życzenie Polski niepodległej za zbrodnię stanu, odpowiedział: „życzenie sam w sercu noszę, ale „potępiam nierozważne kuszenie się o dopięcie tego życzenia“. Słowa te, wyrzeczone na długi czas przed sądem i w gronie najbliższych, najzaufańszych przyjaciół, z pewnością oddają najlepiej rzetelną myśl i przekonanie Jenerała.

Jakkolwiekbądź, to pewna, że nie było w jego postępowaniu ani uczynku, ani zamiaru odstępstwa. Wszelako tak osądziła to opinia, rozgorączkowana całą tą sprawą i już coraz bliższa wybuchu z roku 1830, a osądziła tak stanowczo i bez apellacyi, że kiedy wkrótce po tym wybuchu Jenerał Krasiński przybył do Warszawy, po to żeby przystąpić do powstania, żeby się bić, znalazł się w niebezpieczeństwie życia na ulicach Warszawy.

To był początek wszystkich krzyżów Zygmunta. Niebawem zaszła śmierć wojewody Bielińskiego, prezesa sądu sejmowego i jego pogrzeb, na który pójść zmówiła się cała młodzież akademicka. Jenerał Krasiński, rozjątrzony gwarem powszechnym na siebie, i wziąwszy na kieł, chcąc zrobić na przekór opinii warszawskiej, zakazał synowi być na pogrzebie, żądał od niego żeby był na lekcyi. Syn usłuchał. Nazajutrz stał się ofiarą oburzenia swoich kolegów; a tym, który go znieważył najboleśniej, który na niego podniósł rękę i obdarł mu znaki akademickie z kołnierza, był przyjaciel jego Leon Łubieński.

Zajście to opisuje szczegółowo w swoich *Pamiętnikach* świadek współczesny Andrzej Edward Koźmian (Tom II, str. 127—129):

„W dniu obrzędu pogrzebowego cała młodzież szkolna akademicka związała się słowem, iż się na prelekcyach rannych znajdować nie będzie, lecz, że cała bez wyjątku uda się tłumem do kościoła. Cała więc znajdowała się na obrzędzie, i gdy już trumnę złożono w katakumbach świętokrzyskich, hurmem rzuciła się na nią i tak, jak to już na pogrzebie Staszica uczyniła, obdarła obicie aksamitne trumny i kawałki z niego między siebie na pamiątkę rozdzieliła. Jeden tylko uczeń uniwersytecki, posłuszeństwem synowskiem przymuszony, oddzielił się od swych towarzyszów. Był to młodzieniec siedmnastoletni, niskiego wzrostu, z żywemi oczyma, ruchliwej postaci, najznakomitszych zdolności, najbystrzejszego pojęcia. W latach jeszcze dziecinnych zadziwiał łatwą pamięcią, łakomą żądzą nauki i żywym dowcipem. Powtarzano jego trafne odpowiedzi, a gdy jeszcze w domu

ojcowskim pobierał nauki i miał zaledwie lat dwanaście, świadkiem będąc jego z nauk popisu, z wszystkimi obecnymi dość wydziwić się nie mogłem temu wszystkiemu, co już wtenczas umiał i jak to wszystko umiał. Wszedłszy do uniwersytetu, objawiającą się szlachetnością młodzieńczej duszy, zdradzającą się już gorejącą wyobraźnią i połyskami ducha, silnie wpływał na wielu towarzyszów i wielu liczył przyjaciół. Młodzieńcowi temu ojciec zakazał znajdować się na pogrzebie Bielińskiego, a raczej żądał niepotrzebnie, aby w tym razie posłuszeństwem woli ojcowskiej udowodnił swoją miłość synowską. Dobry syn, z gorącą polską duszą, cierpiał że tego rodzaju ofiary ojciec po nim wymagał; przewidywał, na co posłuszeństwem i ojca i siebie narażał, przecież dopełnił jego woli i w zwykłych godzinach sam jeden z całej uniwersyteckiej młodzieży udał się do gmachu szkolnego. Młodzieńcem tym był Zygmunt Krasiński.

„Właśnie przypadała prelekcya prawa polskiego profesora Bandtkiego. Ten z właściwym sobie pedantyzmem, chociaż jednego tylko ucznia w sali zastał, dwugodzinną prelekcyę odbył. Współuczniowie młodego Krasińskiego, po powrocie z pogrzebowego obrzędu, dowiedziawszy się o postępku jego, zamiast uznać boleść towarzysza i uszanować cnotę synowską, przejęci byli oburzeniem przeciw ojcu i synowi, a podmówieni przez Leona Łubieńskiego, postanowili ukarać go publicznie. Na drugi dzień, na prelekcyi Osińskiego tłumnie zebrana była publiczność i szkolna i inna; wchodzi do sali młody Zygmunt z głową do góry wzniesioną i śmiałym krokiem. Na wejście jego powstaje szmer powszechny i oznaki nieukontentowania. Lecz ukazuje się profesor na katedrze i hałas ucisza się. Po skończonej prelekcyi, z ławki najbliższej katedry, z odwagą Zygmunt przechodzi przez salę, we drzwiach widzi się otoczony ściśnionym tłumem swoich współuczniów, którzy go gorzkiemi wyrzutami przyjmują. Leon Łubieński między nimi przewodzi, powstaje zamięszanie, rzucają się na niego i obdzierają z munduru znaki akademickie. Po tym niecnym postępku współtowarzyszów łatwo pojąć, jaka burza zawrzała w ognistej duszy Zygmunta, ile tam

sprzecznych uczuć bój z sobą toczyło. Wyzwał on na pojedynek Leona Łubieńskiego, dawniej przyjaciela, wówczas najzaciętszego swego przeciwnika. Przeszkodzono jednak spotkaniu się dwóch niedojrzałych młodzieńców i obydwóch z uniwersytetu usunięto".

Doprawdy, ten młodzieniaszek zaczął życie w sposób bardzo bolesny i trudny. Postawić się w tem położeniu? pomyśleć, że młody człowiek znający się uczciwym, człowiek, który w sumieniu swojem wié że nic tak nie kocha jak Polskę, i nie przypuszcza, nie domyśla się, żeby ktokolwiek mógł o nim myśleć inaczej, bo nikt istotnie nie ma do tego cienia prawa ani powodu, pomyśleć, że taki człowiek posądzony jest o niewierność temu właśnie swemu najdroższemu, najgłębszemu uczuciu? Każdy żałuje kobiety posądzonej niesprawiedliwie o niewierność mężowi, każdy rozumie, co musi cierpieć ta, którą oskarżają o zdradę tego właśnie, co jest jej uczuciem najświętszem i najsilniejszem, każdy takiego potwarcę uważa za człowieka złego i podłego. Dla mężczyzn w położeniu podobnem, nie mamy zwykle tyle współczucia, czy tyle sprawiedliwości: a przecież, tak łatwo wniknąć w ich uczucie, tak łatwo wyobrazić sobie, co musi się kryć żalu i cierpienia pod ich uśmiechem obojętności, ironii, lub nawet przebaczenia. „Każde posądzenie boli", mówi Słowacki, a cóż dopiero takie? a cóż dopiero tego, który miał serce nie zwykłe, pierwsze lepsze, ale wielkie, i kochał, i krzywdę swoją czuć musiał żywiej, silniej, niż my ludzie powszedni. Krzywda była tem większą, im większą była jego miłość ojczyzny. A na posądzeniu nie koniec, dodano do niego obelgę; on, najwyższy, jak się pokazało, w tym tłumie młodzieży, najbardziej Polak, musiał słyszeć jak mu zarzucano że nim nie jest, on może i najdumniejszy, musiał patrzeć jak mu zdarto jego znaki akademickie, jak go uznano niegodnym, wyrzutkiem — co przy tem mógł usłyszeć o ojcu?... a w tym chórze obelg i potwarzy, prym trzymał głos jednego z towarzyszy, których najbardziej kochał... a to wszystko musiał znieść dla ojca, którego postępowanie wydawało mu się niesłusznem! Samo to już było okropnem, i można sobie

wyobrazić, ile go dręczyć musiała cała ta sprawa sądu sejmowego. Ale nie dość na tem: musiał przyjąć na siebie pozory zgodności z tem postępowaniem, którego w sercu nie pochwalał, bo nie mógł odstąpić ojca, którego miasto całe potępiało namiętnie i nad miarę słuszności; musiał znieść krzywdę, znieść wstyd, musiał pozwolić sądzić się inaczej niż był, musiał poświęcić coś więcej jak życie, bo rzecz dla prawego serca najcenniejszą, wolne i głośne przyznanie się do swoich uczuć, i to w tym punkcie właśnie, gdzie te uczucia najbliżej dotykają honoru. Jako moralne męczeństwo, jako szarpanie wszystkich uczuć tak, jak dawne tortury szarpały wszystkie członki ciała, trudno sobie wyobrazić coś zupełniejszego, coś bardziej skończonego i wyrachowanego na to, żeby ani jedno miejsce w sercu nie pozostało wolnem od bólu. Jak on to zniósł, to pięknie opisuje Klaczko temi słowami:

„Człowiek hardy byłby może pod wpływem tego zaj„ścia uniósł się do kroków ostatecznych: w zniewadze i prze„śladowaniu, tak niezasłużonem, byłby może znalazł wymówkę „przed sobą samym, i byłby może przyjął tę pozycyę, którą „jemu zrobiono, nie on sam sobie, a w którą pchała go z je„dnej strony opinia zwyciężonych, z drugiej ciągnęły pokusy „zwycięzców. Człowiek bez skrupułów, ulegający słabościom „tego wieku, ostrzelany z tą doktryną pompatyczną a zepsutą, „która ogłasza wszechwładztwo celu, i obowiązki względem „sprawy publicznej stawia nad wszystkiemi węzłami rodziny, „taki człowiek byłby niezawodnie skorzystał z dobrej spo„sobności, żeby sobie zrobić łatwą i głośną popularność, i po„pisywać się zerwaniem, któreby zewsząd tylko poklask było „spotkało. Ale ten syn, nie był ani Brutusem ani Koriolanem; „on był chrześcianinem. Brał po prostu te słowa „czcij ojca „i matkę“, i nie sądził, żeby mu się godziło wyprzeć się „tego kto mu dał życie, nawet go sądzić. Ale nie mniej „silnie czuł się i synem swojej ojczyzny. Dzielił on wszystkie „udręczenia, wszystkie nadzieje swojego zgnębionego kraju, „a postawiony tak między ojcem a ojczyzną, z poddaniem

„się przyjął tę walkę bez wyjścia, którą te dwa uczucia za-„równo święte, wydały sobie w jego duszy“.

Wspomniony powyżej A. E. Koźmian, kończy swoje opowiadanie o tem zajściu słowem bardzo trafnem i pięknem: „Są czasem“, mówi on, „wśród młodego wieku chwile na „całe dalsze życie stanowcze, chwile, które odbiciem się na „duszy stają się wiekuistemi, które nadają barwę i formę „umysłowi i charakterowi człowieka. Kto wié, czy ta go-„dzina uniwersytecka nie była dla Zygmunta Krasińskiego „tą chwilą, która nadała całemu jego życiu kierunek, i wła-„ściwy charakter jego uczuciom syna i Polaka. On sam tę „myśl wyraził w tym wierszu, w którym rzekł, że:

„Młodość jest rzeźbiarką,
„Co wykuwa żywot cały;
„Choć przeminie sama szparko,
„Cios jej dłuta wiecznie trwały“.

Ten cios był tak głęboki, że wiecznotrwałym musiał pozostać; i rzeczywiście on „wykuł żywot cały“, on z materyału szlachetnego, ale nie ustalonego jeszcze, zrobił ten jednolity posąg wielkiej duszy, którego kruszec złożony był z dwóch pierwiastków, ze szlachetności i z cierpienia.

Po tem zajściu, pobyt młodego chłopca w Warszawie stał się prawie niepodobnym, bo stosunek jego z rówiennikami i kolegami byłby zbyt trudny i przykry. Ojciec wysłał go za granicę.

II.

Usposobienie Krasińskiego w pierwszych czasach pobytu zagranicą. Małe Powieści. *Agay-Han*. Znajomość z Mickiewiczem. Pobyt w Rzymie. Powstanie roku 1830. Przeobrażenie dokonane w Krasińskim pod wpływem tych wypadków. Pierwsze listy do Gaszyńskiego. Wyjazd z Genewy. *Wygnaniec*. Pierwsze pomysły do *Ostatniego*. Pisma francuskie. Pobyt w Petersburgu. Powrót do Wiednia. Doniesienie o *Nieboskiej komedyi*.

W jakiem usposobieniu, w jakich uczuciach, wyjeżdżał Zygmunt Krasiński z Warszawy? Brak wszelkich pod tym

względem zwierzeń. Z pierwszych czasów po wyjeździe, z r. 1829, znamy tylko jeden jego list, właściwie urywek listu, w którym opisuje ojcu widok z Lozanny na genewskie jezioro. W tym mówi on tylko o swoich wrażeniach i zachwytach. Oczywiście, jeżeli się zwierzał ze swoich smutków, jeżeli się skarżył, to nie przed ojcem, którego postępowanie sprowadziło na niego ten smutek; nic więc dziwnego, że nie ma o tem ani słowa. Ale ten list, zawsze może posłużyć do niejakich domysłów. Te zaś byłyby, że po owem warszawskiem przejściu i po wyjeździe, on mógł być zbolały, rozdrażniony, ale, że zrazu czuł więcej niesprawiedliwość tylko, krzywdę, urazę swoją i żal do drugich, a bardzo głęboko jeszcze nie cierpiał. Jestto bowiem list pisany przez młodego chłopca, który patrzy na świat nieznany, nad tym światem się dość swobodnie unosi, chce go opisać tym sposobem poetycznym, który wtedy był w modzie, i widocznie rad jest, że mu się to, jak mniema, udało. Zgaduje się, że on ten list po napisaniu, odczytywał sobie wiele razy i z wielkiem upodobaniem; zgaduje się, że pisząc go, przypominał sobie różne poetyczne opisy francuskie (czy nie Lamartina czasem?), a dostrzega się w liście, naprzód, wielkiej jeszcze młodości i niewprawy piszącego, powtóre, pewnej pretensyi i napuszystości; a wreszcie, tu i owdzie wyrażeń szczęśliwych, energicznych, obrazowych, które mogą służyć za wróżbę, że kiedyś z tego nieszczególnego stylu wykształci się styl *Niebo-skiej* i *Irydiona*. Że pomimo tęsknoty za Polską, o której wspomina, musiał być w sercu dość spokojnym, a w usposobieniu dość jeszcze dziecinnym, dowodzą te powiastki, które pisał już za granicą, a jeszcze w roku 1829 lub w początkach 1830. Człowiek bardzo cierpiący (a jak on głęboki), nie bawiłby się takiemi błahemi rzeczami jak powiastki; człowiek z wyobraźnią i zdolnością dojrzalszą, nie pisałby takich. Ta żyłka literacka, ta skłonność do pisania romansów, którą miał w Warszawie, nie znikła odrazu, musiała nawet w Szwajcaryi być dość silną, kiedy jej wypadki roku 1831 nie przygłuszyły; bo i po nich jeszcze, wśród rozdzierających prawdziwie krzyków rozpaczy, odzywa się w listach

Krasińskiego wspomnienie czy *Zawiszy* czy *Teodora.* A choć o jednym lub drugim powié, że jest słaby i lichy, to przecież pisania takich rzeczy nie uważa za rzecz niegodną siebie, a niektóre z nich wspomina z widocznem upodobaniem. Co więcej, po latach jeszcze, już wszedłszy na swoją prawdziwą poetyczną drogę, autor *Nieboskiej komedyi* dość często w listach swoich wspomina *Agay-Hana,* i wspomina jak rzecz poważną, jak rzecz, która mu się podoba.

Co pewna, to że po tych szwajcarskich jego dziełach nikt nie poznałby, że to pisane przez człowieka gienijalnego. List o *Literaturze Polskiej* pisany do Bonstettena, żeby Szwajcarom dać jakiekolwiek o tej literaturze wyobrażenie, a drukowany w *Bibliothèque Universelle de Genève* w r. 1830, prawda że pisany z pamięci, bez żadnych książek, jest dobrem wypracowaniem gimnazyalnego ucznia, ale niczem więcej; a mieści w sobie jedną pomyłkę grubą, mianowicie twierdzenie, jakoby czasy Zygmunta Starego były piękną epoką literatury polskiej.

Jego powieści zaś? O *Zawiszy*, który zaginął, sam mówi, że to rzecz licha. O jakimś *Adamie Szaleńcu* i *Przeorze,* nie mamy ani takiej wiadomości [1]). O trzech ocalonych i przez p. Twardowskiego wydanych, tyle można powiedzieć, że w jakim zbiorowym *Noworoczniku*, jakie wtedy były w modzie, byłyby na swojem miejscu. Jedna odbywa się na Żmudzi. Rycerz jakiś ubóstwia pannę i dokazuje dla niej cudów waleczności, ale jest brzydki. Więc panna zwleka, kręci, zadaje coraz nowe i cięższe próby, a gdy rycerz wszystkie zwyciężył, namówiona przez drugiego ładniejszego, odprawia go z kwitkiem. Urażony i zdradzony rycerz, przeciął jej dwa razy szablą twarz i zniknął. Po wielu latach wrócił dręczony wyrzutami sumienia, że zeszpecił twarz tak piękną. Niemniej wyrzucała sobie i kochanka, że ułudną piękność oblicza przeniosła nad rzetelną piękność duszy, bo piękny konkurent był najgorszym mężem. Umarł na szczęście. Po-

[1]) Utwory Z. Krasińskiego nie objęte lwowskiem wydaniem. Poznań 1880.

znali się, przebaczyli nawzajem, pobrali się i mieli dużo dzieci — to *Gastołd*.

Wilczki, równie rycerskie i ponure, tylko rzecz dzieje się nie na Żmudzi, ale na Podolu. Rycerz Wilczek poszedł na Tatarów i nie wrócił. Po wielu latach jego żona, zmuszona przez chciwego ojca, ma iść za mąż za jakiegoś bogatego zalotnika. Ale mąż wraca w chwili ślubu. Jest wprawdzie śmiertelnie ranny czy chory, ale ma jeszcze dość siły, żeby zabić niecnego rywala, poczem sam umiera.

Teodoro król Borów, to jakaś korsykańska historya prawdziwa i z opowiadania wprost wzięta, jak mówi autor.

Z tego wszystkiego z zajęciem czyta się tylko ustęp, któremu autor dał tytuł: *Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego*. Spisał w nim swoje wyobrażenia o związku dusz ludzkich po śmierci, przekonanie, że dusze, które się tu na ziemi kochały, muszą zachowywać pamięć tego uczucia, i znajdować, spotykać się na tamtym świecie. Uczucie, czy przekonanie, tosamo co u wielu; ciekawość jest, jak je Krasiński uzasadnia. Za poetycznie trochę, za filozoficznie, ale nie źle. Późniejszej jednak głębokości jego myśli i dowodzeń jeszcze tu nie znać [1]).

Czy *Agay-Han* jest zupełnie tąsamą powieścią co *Maryna Carowa*, którą w tych czasach Krasiński pisał, albo na tensam temat odmiennie w roku 1832 napisaną? w każdym razie do tego okresu i rodzaju, do tych powieści należy, choć od nich większy, choć w samych jego błędach znać więcej niż w tamtych talentu.

---

[1]) Odyniec opowiada w *Listach z Podróży*, że ten *Ułomek* pisany był podczas wycieczki z Mickiewiczem po Szwajcaryi, po jakiejś rozmowie o *Świętych obcowaniu*. List Krasińskiego do ojca z 19 sierpnia 1830, cytowany przez p. Twardowskiego, zdaje się to potwierdzać. Co do jakiejś angielki, Miss Harry, w której podług podania Odyńca, Krasiński miał się kochać w Genewie, prawda, że zakończenie *Ułomku*, dość widocznie, odnosi się do jakiejś kochanki. Ale nie pewno do jakiej. Gaszyński w *Żywocie Krasińskiego* nie mówi nic o żadnej angielce.

W Niemcewicza *Historyi Zygmunta III,* znalazł Krasiński ustęp, który w fantazyi swojej rozwinął; znalazł szczegół, że drugi Samozwaniec był żydem; znalazł nazwisko kozaka Zaruckiego, i jego dla Maryny wierność; znalazł jej więzienie, ucieczkę gdzieś ku Azyi, i wreszcie jej utopienie. Z tej opowieści, w jego fantazyi powstał ataman bohaterski, kochający Carowę i od niej kochany, powstały te zmienne a jaskrawe obrazy bitw, ucieczek, błysków nadziei, zawodów i rozpaczy, kozaka rycerkość, Maryny tęgość i powaga, i wreszcie wschodnia namiętność Agay-Hana. Ten oczywiście giermek, dziecko, kalif, dziki jak Tatar, mściwy jak niewolnik, a zakochany jak Romeo, ten cieszył i zachwycał swego autora najwięcej. Ale i Maryny stałość i godność królewska, i szlachetność jej odnajdująca się w nieszczęściu, i Zarucki, a zwłaszcza obrazowy sposób pisania i koloryt jaki tym obrazom nadał, podobać mu się mogły, raczej musiały. Młodemu człowiekowi jego czasów, wychowanemu na literaturze romantycznej, ten rodzaj pisania nie dziw że wydawał się poetycznym; te sceny, sytuacye i charaktery prawdziwie tragicznemi. W rzeczywistości jest *Agay-Han* bardzo fałszywy, bardzo przesadny w stylu, w obrazowości, w kolorycie; jest tak pisany, jakżeby po *Nieboskiej komedyi* i po *Irydionie*, naśladowca jaki, był chciał pisać na wzór Krasińskiego i jego stylem, przesadził jego właściwe cechy, i poniżej wzoru został. Ale w tej przesadzie, w tym nadmiarze, znać przecież talent i siłę. Koloryt zbyt jaskrawy, styl zbyt ozdobny i malowniczy — ale jest obrazowość w opisach, jest energia w namiętności, jest ponury, tragiczny zakrój w niektórych scenach i chwilach; w postaciach jest przesada, ale jest i życie; pierwsze sceny naprzykład, albo ta awanturnicza Kapua Zaruckiego i Maryny w Astrachanie, albo pogrzeb synka Maryny; a sama figura Agay-Hana, pomyślana oryginalnie, wykonana przesadnie, ma chwile, w których wrażenie robi. Wszystko razem są to drożdże dopiero, ale z tych drożdży, jak się wyburzą, zrobi się język i styl *Irydiona*. W owym czasie, *Agay-Han* powinien był uchodzić za rzecz bardzo piękną. Dziś musi uchodzić za rzecz złą. Tylko, dziś

i zawsze przyznać trzeba, że nie lada kto potrafi w ten sposób źle pisać.

W Genewie spotkał się Krasiński z Mickiewiczem; jego towarzysza Odyńca znał z Warszawy, przez tego znajomość zrobiła się łatwo, a od znajomości, przyszło do wspólnej po Szwajcaryi wycieczki [1]).

Ta wycieczka w góry, znajomość z Mickiewiczem były oczywiście młodemu chłopcu bardzo miłe i niewątpliwie musiały działać na jego wyobraźnię i umysł. Pamięć ich żywą zachował, skoro po wielu latach, zachwycając się nad Mickiewicza *Kursami*, a nie chcąc go w liście wymienić po nazwisku, nazywa go tym, „z którym po Szwajcaryi podróżowałem“. Ale oprócz tego wspomnienia, oprócz paru wyjątków z listów do ojca ogłoszonych (z jakiej kopii?) przez p. Twardowskiego w przedmowie do *Utworów*, nie mamy z czego poznać i osądzić jego ówczesnych wrażeń, wogóle jego stanu duszy. Jeszcze mniej zaś wiemy o jego pierwszej podróży do Włoch. Wyjechał z Genewy pod jesień roku 1830. W Rzymie żył w tem samem polskiem kółku, co Mickiewicz; tam oczywiście dochodziły go wiadomości z Warszawy i z pola bitew. Bywał w domu Ankwiczów i rozstając się z nimi napisał poetyczną prozą ładne pożegnanie w albumie pani Ankwiczowej, czy jej córki [2]). W Marcu 1831 powrócił do Genewy i ztamtąd przez rok przeszło się nie ruszał. Oto co wiadome i pewne. Ważną, a dotąd nie wyjaśnioną okolicznością w jego życiu, jest zawarta tam w Szwajcaryi znajomość z panem Reeve, anglikiem (dotąd żyjącym), która to znajomość przeszła w ścisłą przyjaźń, i doprowadziła do długoletniej między nimi korrespondencyi.

Co się przez ten czas w duszy Krasińskiego działo, to tylko zgadywać można z późniejszych listów do Gaszyńskiego. Listy do ojca, nawet jeżeli będą kiedy wydane, tego nie odsłonią; przed bawiącym w Petersburgu nie mógł od-

---

[1]) Okoliczności i itinerarium podaje Odyniec w *Listach z Podróży*.

[2]) *Kronika Rodzinna*. 1879. Nr. 23.

krywać wszystkiego co myślał, z obawy, żeby listów nie otwierano; przed myślącym inaczej (jak sam pobyt ojca w tem mieście dowodził) nie śmiał zapewne i nie chciał zupełnie się otworzyć [1]).

W każdym razie stanowczym w wewnętrznem życiu Zygmunta, ostatecznie rozwijającym i kształcącym jego duszę, był dopiero rok 1831. Kwiaty tylko rozwijają się w przeciągu jednego dnia albo jednej nocy; przeobrażenia w człowieku potrzebują więcej czasu i z wyjątkiem zmian cudownych, jak nawrócenie św. Pawła, odbywają się powoli, nieznacznie. Dojrzewanie czy przeobrażenie Krasińskiego rozpoczęło się w Warszawie w roku 1829, ale dokonało się w 1831 dopiero, kiedy była wojna i zrazu nadzieja zwycięztwa, wolności, chwały, później klęska i rozpacz; kiedy drudzy się bili z nadzieją lub bez niej, a on siedział daleko, bezpieczny, bezczynny. W owem przejściu warszawskiem cierpiał za-

[1]) Potrzebną wydaje nam się przestroga, że z *Listów* Odyńca wyrastają już różne legendy o Krasińskim (jak o wielu innych rzeczach). Odyniec pisał te listy zapewne na podstawie współczesnych i autentycznych, ale już w starości; i pisał (zwłaszcza o ludziach) podług tego, jak ich w późniejszem życiu znał i sądził, jak o nich myśleć nie mógł w roku 1829 i 1830. Ztąd i jego podania o Krasińskim, o zmianie jaką w nim znalazł spotkawszy go w Szwajcaryi, o jego poetycznych natchnieniach, czytać trzeba *cum grano salis*, bo wyglądają bardzo na poetyzowane, układane *post factum*. Jedną z takich legend jest szczegół, podany przez p. Twardowskiego (*Utwory-Przedmowa*), o wielkiem przywiązaniu Krasińskiego do domu Ankwiczów, zwłaszcza do pani Ankwiczowej, którą miał niby kochać jak matkę. Jest to wielka przesada. Mógł lubić ludzi, którzy go po przyjacielsku przyjmowali, a przy pożegnaniu rozczulić się i rzewnych kilka słów do nich napisać, ale głębszego przywiązania nie było. Dowodzi tego ta okoliczność, że w latach następnych, choć ich w Rzymie spotyka, albo o nich nie mówi, albo mówi obojętnie, a nawet z ironią. Dowodem List do Sołtana. *(Przegląd 1877)*: „odsadzę S (ołtyka), ożenię „się z panną H. (Henriettą), która mnie tak wiernie kocha, „kaczki z Galicyi sprowadzę do Coliseum, i będę przepi„sywał elegie mojej żony nad niemi“.

pewne bardzo, ale wyszedł z niego z wrażeniem doznanej krzywdy przedewszystkiem. I nie bez dumy; (a miał do niej skłonności wiele); dumie zaś podchlebia niesprawiedliwość ludzka, cieszy ją ta wyższość, którą człowiek skrzywdzony nad krzywdzicielem przyznać sobie ma prawo. W tem musiał i Krasiński znajdować pociechę, satysfakcyę — tem się tłómaczy, że po wyjeździe w Szwajcaryi zachowuje i w listach daje widzieć pewną swobodę, śmiałość, pewność siebie; że jest urażony tylko, zapewne do żywego dotknięty i zbolały, ale nie nieszczęśliwy. Ale na te smutki, które przyszły teraz, nie miał już kordyału, nie znajdował pociechy i uspokojenia; zaczęło się cierpienie bez rady i bez końca „czyściec dni teraźniejszych“ bez wyjścia dla niego, choć kiedyś może z wyjściem dla jego narodu; zaczęły się namiętne pytania *co będzie,* i odpowiedzi wątpliwe lub rozpaczliwe, zaczęło się jasne, trzeźwe, odważne a smutne jak śmierć patrzenie na teraźniejszość, jasnowidzenie wszystkich jej chorób, błędów i niebezpieczeństw, — i zaczął się strach o przyszłość, o Polskę. Do tego zaś na domiar, na dopełnienie kielicha goryczy przyszło upokorzenie, wstyd, troska o swoją własną dobrą sławę. Jak Mickiewicz w prześladowaniu uczniów wileńskich z *Gustawa* stał się *Konradem,* tak Krasiński podczas wojny roku 1831, o której z daleka słyszał w Szwajcaryi, nabył tych skrzydeł, któremi wzniósł się nad siebie, przyjął to bierzmowanie — sakrament utwierdzenia, — po którem przyszła łaska powołania i posłannictwa, pod pozorami poetycznego utajony apostolski duch i zawód.

Nie bić się, kiedy się drudzy biją, młodemu, zawsze trudno i boleśnie. Trudniej, boleśniej było w tamtem pokoleniu, w tamtych czasach. Świat, a przynajmniej wiek, był młodszy; wychodził świeżo z napoleońskich epickich wojen, wychował się w widoku, w czci, w tradycyi rycerskich czynów i chwały; wychował się pod wpływem wielkich poetycznych natchnień i ideałów; Niemiec powtarzał Schillera, Polak Mickiewicza, wszyscy Byrona; z czasów, poprzedzających rewolucyę francuską, przeszło do nich i zostało jakieś szlachetne uczucie czy złudzenie, że idą do wolności i sprawie-

dliwości, że w tym pochodzie są przerwy, przeszkody, spoczynki, ale że do celu się idzie i dojdzie. Była jakaś znajomość i poszanowanie prawdy, jakaś zdolność oburzenia, jakieś rozeznanie i otwarte nazywanie złego i dobrego. Dowód, choćby tylko na tym sposobie, jakim państwa europejskie, państwa podziałowe nawet, mówiły i radziły o kwestyi polskiej w roku 1815, na wrażeniu, z jakiem ludy przyjęły powstanie roku 1830. Uczucie złego i dobrego, a co za tem idzie, uczucie honoru, było w całej Europie silniejsze, niż dziś. Ludzkość jak człowiek oswaja się ze złem. Zrazu zrywa i oburza się gwałtownie, namiętnie; ale kiedy zbyt długo i często przekona się, że napróżno, że nie poradzi, zamyka się stopniowo w milczeniu. Chowa w piersi gniew, oburzenie, pogardę, ale ręce zakłada i pięści nie zaciska. To milczenie u niektórych, u wielu, staje się rzeczywistem oswojeniem się ze złem, przyzwyczajeniem, stępieniem sumienia i stępieniem honoru. I w tem leży największe może niebezpieczeństwo długotrwałych tryumfów złego, że psują człowieka i ludzkość; wystawiają na próby zbyt ciężkie, w których gubi się świadomość złego i dobrego. W tej rezygnacyi na fałsz i występek, ludzkość dawno nie zabrnęła tak głęboko, jak dziś. W początkach naszego wieku, ani Rosya ani Prusy, nie byłyby śmiały robić tego, co robią dziś; wzgląd nie na same tylko dyplomatyczne możliwe trudności, ale wzgląd na opinię trzymał je na wodzy. Dziś przeszkodzić nie może nikt, a oburzać i protestować nikt nie czuje odwagi, prawie nikt potrzeby ani prawa.

W czasach, kiedy świat wierzył w bliskie zwycięstwo dobrego, żywszem było i uczucie honoru, i uczucie obowiązku wzięcia za broń. To zaś u nikogo w Europie nie było tak żywem, ten obowiązek dla nikogo tak świętym, jak dla młodego Polaka. A prócz obowiązku, patryotyzmu, honoru, pchał go do broni i wrodzony, najsilniejszy ze wszystkich popędów, popęd własnego szczęścia, bo miał przez krótką chwilę, ale każdy choć na chwilę miał nadzieję, że zwycięży, że się z pod Moskali wybije, że wydrze z historyi, a wytrze z mapy swojej ojczyzny sromotne ślady roku 1772 i 1795.

A to, co czuł każdy młody Polak, o ileż żywiej i goręcej czuł ten, który nie był taki jak każdy, ale był od wszystkich wyższy?

A tak czując, i mając lat już 19, Krasiński się nie bił — ojciec nie pozwolił.

Nie bić się? dość boleści i upokorzenia. Ale nie bić się jemu, Krasińskiemu, synowi Wincentego, to dopiero męka, to dopiero prawdziwa tragedya. Tak niedawno oskarżono ojca, posądzono syna, że sprzyjają Moskalom! Teraz pora zamknąć im oszczercze usta, odpowiedzieć na zniewagę i krzywdę, w sposób godny siebie. Popęd tak naturalny, tak konieczny, że po 29 listopada Jenerał Krasiński przybiegł do Warszawy, żeby wstąpić do wojska i bić się; a dopiero znieważony na nowo, zagrożony niebezpieczeństwem życia, zaciął się, i, jakżeby na złość tej krzywdzącej opinii, pojechał do Petersburga. Jak syn prosił, błagał o pozwolenie, nie wiemy; wiemy tylko z jego słów, że błagał. Że ojciec odmówił, to powodów domyśleć się łatwo. Miał jedynaka, szczupłego i wątłego; w każdym razie byłby się dla niego trudów żołnierskiego życia obawiał; miał majątek, który za udział w powstaniu byłby uległ konfiskacie. Na jedno, tembardziej na drugie, nie byłby Jenerał zważał, byłby naraził i poświęcił, gdyby był dobry koniec, choćby nie przewidywał ale tylko przypuszczał. Tego nie przypuszczając, nie chciał narażać syna, ani syna majątku. Syn wszakże choć mógł te powody znać, może nawet w pewnej mierze uznawać ich słuszność, cierpieć nad zakazem musiał. Sam, ojca z pewnością o nic brzydkiego, o żaden powód niegodny nie posądził; ale co o nich pomyślą i powiedzą ludzie? Czy takie zachowanie się nie potwierdzi wszystkich krzywdzących domysłów, czy nie przyzna słuszności tym, którzy ich obu szarpali? czy oba nie będą zgubieni na sławie? A ci, co przed dwoma laty oskarżali ojca a syna za niego znieważyli, czy wcale słuszności nie mieli? Czy ten ojciec, który mi bić się i zginąć nie daje, nie jest zbyt ostrożnym i uległym? Złego i podłego on z pewnością nic nie chce i nie robi, ale nie czuje i nie myśli jak ja, bo inaczej czyż byłby

teraz, *teraz*, w Petersburgu? czy tam jego miejsce? Jeżeli nie na polu bitwy, to czemu nie w Opinogórze, albo w Dunajowcach, albo gdzieś zagranicą, gdzie bądź, tylko nie tam! Tak on wtedy myślał; wtedy i ojca, i siebie, i obu w kraju stanowisko ujrzał w innem świetle. Ojca zaczął sądzić, dumę niewinnie skrzywdzonego stracił, a zaczął się wstydzić i dręczyć się myślą, że ten wstyd i ten fałszywy sąd ciężyć na nim będzie do śmierci. Taka musiała być treść jego myśli i uczuć, jego walk z własnem sumieniem, kiedy słyszał, że się w Polsce biją, a przypuszczał, że mogą zwyciężyć. Gdy zaś nie zwyciężyli, gdy się dowiedział o wzięciu Warszawy, o emigracyi, to z tym zmysłem politycznym tak niezmiernie czujnym i bystrym, z tym darem przewidywania skutków jaki w sobie miał, on, choć tak młody jeszcze, pewno odgadł odrazu, że to upadek Polski a tryumf Rosyi — na długo. I wtedy dopiero z przedsionka wszedł w głąb czyśca dni teraźniejszych, wtedy dopiero naprawdę już uśmiech zniknął z jego twarzy, wtedy już nadobre i bez odwrotu wszedł na tę drogę, którą „jak Dant za życia przeszedłem przez piekło".

Śladów tych przejść nie ma żadnych. Przez całe dwa lata głucho. Kiedy powstają i biją się z nadzieją zwycięztwa, czy kiedy biją się z rozpaczą i ustępują, on się nie odzywa, nie ma się do kogo odezwać, przed kim wynurzyć i zwierzyć. Przed ojcem nie może; przyjaciele? Któż wie gdzie są, czy są jeszcze? może szczęśliwi polegli gdzie z chwałą — a może pytają z szyderstwem, czemu jego między nimi nie było? Ta konieczność milczenia, niemożność odezwania się i dowiedzenia się co o nim myślą ci, o których dbał i których kochał, to tłumienie wszystkich swoich udręczeń w sobie, przez dwa blizko lata, to dodatkowa tylko i uboczna, ale także sroga musiała być męka.

Ale czy przez ten czas Krasiński pisał? Zdaje się rzeczą niewątpliwą, że pierwsze pomysły, pierwsza nieustalona i niedokształcona redakcya *Ostatniego*, rzucone były na papier teraz, w Genewie. Dostrzegł to pierwszy i (naszem zdaniem) dowiódł, pan Jan B. Antoniewicz w *Kwartalniku Historycznym* (Lwów 1889). Porównywa on niektóre ustępy

Ostatniego, z ustępami *Wygnańca*, i z Listami do Gaszyńskiego z roku 1832, a z porównania wynika, że są to te same słowo w słowo myśli, z tą jedynie różnicą, że jedne prozą, drugie wierszem pisane. Dalej rozróżnia w *Ostatnim* dwa style, dwa różne sposoby pisania; jeden jest ów zbyt znany i wybitny styl i wiersz Krasińskiego, to ustępy późniejsze. Ale w innych tej odrębności i wybitności nie znać, a znać tok, dźwięk i wyrażenia Mickiewicza. Te więc ustępy musiały być napisane dawniej, zanim się jeszcze Krasiński zupełnie wyrobił, i przechowane; a że co do myśli zgadzają się tak zupełnie z *Wygnańcem* i z listami z roku 1832, przeto wnosić i wierzyć można, a nawet trzeba, że były pisane w tym samym czasie, pod temi samemi wrażeniami co tamte.

Przeciw temu świadczyłby tylko Krasiński, kiedy w późniejszych listach skarży się, że wierszy pisać nie umie, i kiedy w jednym z nich, przesyła Gaszyńskiemu wiersze, o których mówi, że są *pierwsze* jakie napisał. Ale dosłownie brać tego nie należy. Naprzód, Krasiński miał zwyczaj nietylko ukrywania się, ale mistyfikacyi ze swemi wierszami. Wszakże przed najbliższymi przyjaciółmi udaje, że *Dzień Dzisiejszy* i *Ostatni* są Koźmiana. Mogło i teraz zajść coś podobnego. Dalej, Odyniec w *Listach* opowiada o wierszach, które mu Krasiński czytał. Wreszcie, on sam, nie ten jeden raz, nie ten jeden wiersz tylko, nazywa swoim pierwszym. Czy *Ostatni* i *Dzień Dzisiejszy* są rozszczepieniem i przerobieniem owego *Adama Szaleńca*, którego Krasiński w Szwajcaryi pisał, jak pan Antoniewicz przypuszcza, nie można ani twierdzić ani stanowczo przeczyć. Nie jest to niemożliwe, ale nie jest też dowiedzione. Ale co do *Ostatniego*, wydaje nam się rzeczą niewątpliwą, że jego pierwsze zarody i niektóre ustępy powstały w Szwajcaryi, w roku 1831 lub 1832.

Tenże sam młody, a około kwestyi Krasińskiego nie mało już zasłużony autor, wychodząc z założenia, że przeskok między młodocianemi pismami jego, a *Nieboską komedyą*, nie mógł dokonać się w jednej chwili, ale musiał przygotowywać i wyrabiać się stopniowo, zwrócił szczególnie

baczną uwagę, właśnie na te lata pobytu w Szwajcaryi, i ze skrzętnością równą przenikliwości, szukał po współczesnych pismach zbiorowych śladów jego myśli. Znalazł też, oprócz znanego listu do Bonstettena o *Literaturze Polskiej*, dziewięć drobnych utworów, pisanych po francusku, których treść, wiele myśli i wyrażeń, zestawiwszy z polskiemi poematami lub wierszami Krasińskiego, doszedł do przekonania, że muszą być jego pióra [1]). Wiadomość o tych pismach podana była na to, by wskazać potrzebę odszukania i wydania francuzkiej części dzieła Krasińskiego. Nie znając tych pism, nie możemy mieć stanowczego o nich zdania; ale argumenta mają w naszych oczach wielką wagę, a twierdzenie wydaje się bardzo prawdopodobnem.

Z emigracyi już, w roku 1832, może z jakiej niemieckiej stacyi, może już z Francyi, odebrał Krasiński pierwszy znak życia, pierwszą wieść o ludziach, których mógł mieć za straconych (poległych lub wywiezionych); był to list od Gaszyńskiego. „Dawnom nie wylał łzy jednej“ — odpisuje mu z Genewy 9 Marca 1832 — „sądziłem że ich źródło „wyschło we mnie, bo mózg mój spiekły oddawna. Ale dziś „płakałem odbierając twój list, czytając pismo przyjaciela. „Jak duch co powstaje z grobu, takeś zawitał do duszy mojej“. I teraz ta dusza do milczenia zmuszona, przywykła, zaczyna puszczać jak rzeka z pod lodu. Zrazu pomału, potrochu, dobywają się na wierzch skargi i zwierzenia, krótkie, tłumione, ale w krótkości swojej wiele mówiące. „Gorzkie „przetrwałem chwile. Ten cały czas przebolałem, przeszala„łem, przechorowałem. Wszystkich sposobów używałem, by „dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory, „drogę mi zajęły, musiałem słuchać o waszych bojach i sie„dzieć na miejscu... dnie i noce na gorączce z początku, „później na szaleństwie schodziły. Wycierpiałem za winy

---

[1]) Tytuły ich są: *Les légions polonaises, le Printemps et le Prisonnier* (szczególnie przypominający *Ostatniego*). *Conrad Wallenrod, le Faris, Sonnets de Crimée traduits du polonais. Le coucher du Soleil sur le Mont-Blanc, Une Etoile, Stances, Le regret, La Confession.*

„wszystkich przodków moich“. Co się pod temi słowami kryło, to przyjaciel odgadywał, uzupełniał; wyobrażał sobie te rozpacze, nad któremi dopiero góruje pytanie: „Gdzie „Ojczyzna, gdzie tyle dusz szlachetnych, gdzie tyle krwi pol„skiej? z pod których dopiero głucho odzywa się prośba: „jeżeli „usłyszysz, że mnie potwarzają to mnie nie broń, ale pomyśl: „to kłamstwo“. W tym pierwszym krzyku jego duszy, są zebrane razem wszystkie cierpienia, które go targały. List charakterystyczny bardzo; oprócz cierpień daje poznać i jego wrodzoną dumę; „nie broń mnie kiedy mnie będą szkalowali“ — i to przywidzenie, które on miał za przeczucie, a które go przez długie lata, prawie przez całe życie nie opuszczało, że będzie uwięziony i wywieziony na Sybir. „Za „dwa miesiące mam wrócić do ziemi mogił i krzyżów. Tam, „na grobie Polski modlić się będę. Mam przeczucie, że nie „dotrzymam oburzenia mej duszy; Sybir mnie czeka“. Obok tego epitetu „ziemi, mogił i krzyżów“, który się znajdzie w *Irydionie*, jest w tym liście jakżeby pierwszy zawiązek na *Ostatniego*, który wyszedł jak wiadomo z takiego fantazyowania o swoim losie, z takiego (mniemanego) przeczucia o więzieniu.

Listy powtarzają się często, a w nich te same zwierzenia, te same przeczucia Sybiru, te same przysięgi. „Pa„miętaj plunąć na moją pamięć, jeżeli usłyszysz, żem od nich „co przyjął (Moskali), żem któremu z nich rękę ścisnął albo „ukłonił się“. (17 Marca 1832), Jest i oznaka, jakim sposobem doszedł do względnego spokoju, co stało się na teraz jego równowagą. „*Que l'homme soit malheureux pourvu qu'il „soit grand*“, „powiedział Cousin. Wielkość u mnie zależy „na tem, by cierpieć a nie żalić się“. Widać, że młody jeszcze bardzo, skoro duma, a w najlepszym razie godność, wydaje mu się wielkością; widać, że nawet dziecinny jeszcze, bo o tem, co przez ten czas pisał, wspomina jak o rzeczach wprawdzie gorączką i rozpaczą natchnionych, ale nie bez natchnienia. „Nie powiem, by poezya we mnie wygasła — „owszem, nieraz natchnienie wraca“. Nie czuje tego, że dziecinnem było natchnienie, które dyktowało *Gastołda*, a nawet

Agay Hana. Ale w tej głowie tak młodej, że zupełnie dojrzałą być nie mogła, są błyski dziwnej jasności i głębokości sądu. Musiał Gaszyński (wnosić można z odpowiedzi) namawiać go, by do Polski nie wracał, by został na emigracyi, jak Mickiewicz. Emigracya zdawała się wtedy obowiązkiem i missyą, a prócz tego zdawała się chwilową; po niejakim (nie długim) czasie, wróci się do Polski z bronią w ręku i z rozwiniętemi sztandarami. Dwudziestoletni Krasiński wie, że tak nie będzie: „Nie unoś się nadzieją szczęścia i wiarą w po„wodzenie; (22-go Marca 1832) dzieło ogromne nigdy w krót„kim czasie się nie dopełnia. Tysiąców cierpień trza, by zba„wić naród jaki; by nastąpiło zbawienie ziemi, trzeba było „śmierci Boga. Nic dobrego, szlachetnego na tym świecie bez „długich boleści i trudów". Zna więc, jakim biegiem zwykły iść rzeczy na świecie, zna historyę i z niej rzeczywistość wyrozumiał; a co dziwniejsza, przeczuwa politykę i jej warunki, widzi złe strony emigracyi. „Czy sądzisz, że należy „wszystkim ziemię ojczystą opuszczać? Moskalom zwycięzcom „i trupom naszych braci ją zostawiać w udziale? Nie. Kto „może ten winien pójść oglądać te mogiły i krzyże, te gruzy „i pobojowiska, i starać się, by w dniach odrętwienia, nastę„pujących zwykle po zdobyczy i ujarzmieniu, nie upadł duch „narodowy; nie zapomniał polski wieśniak, że jest Polakiem".

Wybiera się więc jechać, choć chory. A już teraz jest chory, jak przez całe życie będzie. Już ból oczów nieznośny, prawie ślepota czasami, już jakieś w całem ciele cierpienia, na które leczy się, a wyleczyć nie może. Że choroba ta rozwinęła się pod działaniem moralnych powodów, walk i tortur przebytych, przypuścić łatwo. Oprócz tego dręczy go i wspomnienie jakiejś miłości. „Miałem kochankę (27 Marca) „dziś ona mną pogardza, bom nie bił się za Polskę. Nie wie, „jakie zawady przykuły mi ramiona do piersi". Czy ta angielka, o której wspomina Odyniec w *Listach* i on sam w jednym liście do ojca? *(Kronika Rodzinna)* czy może jaka w Warszawie zostawiona a zapamiętana? jakakolwiek, nie chciał przed nią oskarżać ojca, siebie jego kosztem uniewinnić.

W tymsamym tonie i tejsamej treści, ciągną się listy przez parę miesięcy. Czasem zdarzy się jaki wypadek, jak przewrócenie z koniem, czasem choroba przykrzejsza, a zresztą wszystko taksamo. Czasem tylko jaka dla przyjaciela dobra rada, żeby poeta wczytywał się w wielkich poetów; czasem znak, że Gaszyński musiał mieć jakieś napady czy pokusy niedowiarstwa, a przyjaciel (choć młodszy), ukazuje się bardzo pod tym względem dojrzałym. „Religia jest skrzydłem, „którego cień wiecznie na poezyę zlewać się winien. (27-go „Marca). Patrz, od religii, od Krzyża Chrystusowego odstę-„puje ziemia, ale powiedzcie mi wszyscy, kędyż nowy ołtarz „się zjawił, kędyż klęknąć mam przed nowem bóstwem? Te-„raz nam, Polakom, trzymać się krzyża przystoi, bo tyran „wygania katolicyzm z kraju naszego. Krzyż i szabla: pod „temi znamiony wybawimy Polskę lub zginiemy“. „Zwróć „myśl twą ku Bogu (6 kwietnia)... uwierz głosowi przyja-„ciela twej młodości... Ta krew, co ze wzgórza Golgoty „rozlała się wszędy, by ziemię zbawić, była krwią Boską. „Bóg świat cały zbawił męką własną, my Ojczyznę zbawim „naszemi mękami. Zdaje się, iż to jest odwiecznem prawem, „i że zbawienia być nie może bez cierpienia, bez boleści, bez „krwi. A kiedy cię tęsknota napadnie, kiedy cię smutek obar-„czy, kiedy na obcej ziemi przyjdzie ci przeklinać los twój „i wzdychać do Polski, pomyśl: i Bóg cierpiał za nas! A ta „myśl cię połączy ze światem, nie z owym znikomym, małym, „który przesuwa się przed oczyma naszemi i w każdej chwili „może z pod nóg naszych się usunąć, ale z owym wielkim, „jedynym, obejmującym cały porządek stworzenia, duchów, „ludzi i Stwórcę samego. A wtedy uczujesz, że ku nieśmier-„telności dążysz, że celem twoim jest cierpienie i wiel-„kość na tej ziemi, zaś na tamtej stronie grobu wielkość „i szczęście“.

Ciągle wraca ta myśl gorzka, że się nie bił, ciągle to uczucie, że jest na złą sławę skazany, ta prośba, żeby niektórzy dobrą po nim pamięć zachowali. „Ty pamiętaj, żem „był dobrym Polakiem (24 kwietnia), żem nadewszystko Pol-

„skę miłował, że proszę codzień Boga, by mi pozwolił za „nią zginąć, czy w boju, czy na rusztowaniu, byleby za nią“.

Wreszcie wyjeżdża z Genewy do kraju, ale nie prosto, ani śpiesznie. Podróż ciągnie się długo. Naprzód stacya całomiesięczna w Wenecyi, w złym i coraz gorszym stanie zdrowia. Potem druga w Wiedniu, a im bliżej, tem cięższe cierpienia fizyczne, tem cięższy smutek. I ztąd na wyjezdnem, na pożegnanie, jakżeby spowiedź czy historyę swego życia, posyła przyjacielowi tego *Wygnańca,* którego napisał we Florencyi „po wybuchnięciu naszego powstania“ (3 sierpnia). „Jestto fikcya, w której ramach oprawiłem własne uczucia“. — „Kiedy cię ojciec przeklnie i z domu wypędzi, kiedy cię „burza na bezludny brzeg wyrzuci, kiedy cię wróg uwięzi i na „śmierć osądzi — to wszystko nie wygnanie jeszcze. Ale „kiedy słysząc, że się biją, że zwyciężają, ty dzielić chwały „nie możesz; słysząc, że giną, ty żyć musisz, jeśli się ani „ucieczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie po„trafisz — o wierzaj mi, to jest wygnaniem, i takiem wygna„niem, jakiem Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika i t. d.“ Ustęp pełen żałości, a bardziej od wszystkiego, co Krasiński uważał za swoje poetyczne natchnienia i dzieła, zapowiadający późniejszą siłę autora *Irydiona.*

Znać też także, choć po poszlakach bardzo jeszcze słabych, przyszłego autora *Nieboskiej;* znać, że kiedy pierwszy raz wracał z zagranicy do Polski, miał już te wrażenia, te myśli, z których ona rokiem później powstała. „Wiesz? kiedy rzucę „okiem na przyszłość“ — (z Wiednia 14 lipca 1832) — „widzę „jedno, śmierć dla nas, to jest dla tych, którzy są mojego i two„jego zdania“ (szlachty, nieprzyjaciół rewolucyi). „Czy z góry, „czy z dołu przyjdzie na nas wyrok... ale dlatego nie po„powinniśmy się strachać. Gińmy, byleby była Ta, dla któ„rej zginiemy, a o rodzaj śmierci się nie pytać. Ale ten ro„dzaj z Francyi przybędzie“.

Zaczął więc już wtedy rozmyślać o rewolucyi, jej stosunku do społeczeństwa i jej skutkach, o położeniu tych ludzi, którzy w niej nie zbawienie widzą, ale zgubę. Te rozmyślania w długiej całorocznej samotności rozwijały się

i dojrzewały, z reflexyi przeszły do fantazyi i zaczęły przybierać poetyczny kształt. Ale w tym liście widzi się pierwszą chwilę niedostrzeżonego jeszcze i nieświadomego poczęcia *Nieboskiej komedyi.*

Wyjechał więc z Wiednia (zdaje się, że 5 sierpnia) „do „ojca biednego, chorego, zsiwiałego od zgryzot i smutków“. Mówi o nim zawsze z taką czułością: żałuje go, kocha go, śpieszy go uściskać.

Odtąd na rok prawie (do lipca 1833) głucho. Listy ustają. Do emigranta ich posyłać, od emigranta odbierać, nie można.

Czy wyjeżdżając z Genewy (a nawet z Wiednia), Krasiński przewidywał, jakie w tej drodze czekały go przykrości? Bał się Sybiru; groziło mu nie takie nieszczęście, ale większa przykrość, upokorzenie. Gorzko mu było na myśl, że zobaczy Warszawę zdobytą, rosyjskich żołnierzy i rządy; myślał, że w oczach każdego przechodzącego wyczyta pytanie, czemu się nie bił, i wyrzut. Wszystko to dość bolesne. Ale Polakowi, w roku 1832, ale synowi Jenerała Krasińskiego, jechać do Petersburga! i kiedy ten syn miał Zygmunta duszę! Ojciec tem żądaniem musiał stwierdzać w oczach syna to, co ludzie o nim mówili: syn posłuszeństwem ładował na siebie pozór, że myśli jak ojciec. Dlaczego jenerał żądał od niego takiej ofiary! Musiał zapewne usłyszeć jedno z tych uprzejmych życzeń, które są rozkazem i groźbą; które trzeba wykonać, bo inaczej zabór majątku, albo Sybir, albo jedno i drugie. Inaczej, byłoby to okrucieństwo bez celu i powodu. Jakie musiały być przejścia bolesne między ojcem a synem, prośby, błagania, zaklęcia, obustronne odmowy? ale tego nikt nie słyszał i nie wié.

Dość, że Zygmunt pojechał. I teraz błogosławić musiał swoją chorobę. Klimat petersburski tak ją rozwinął, że przez cały czas pobytu ledwo parę razy mógł się ruszyć z pokoju. Cierpiał, ale przynajmniej nie widywał ludzi, nie robił znajomości, nie odbierał zaproszeń i grzeczności. Jednego wszakże nie uniknął, przedstawienia Mikołajowi. Oto jak o tem mówi jego przyjaciel Stanisław Małachowski, w wydanym bez-

imiennie (i drukowanym jako manuskrypt) *Krótkim rysie z życia i pism Zygm. Krasińskiego,* a wierzyć mu można, bo co wiedział, to pewno z własnych ust Krasińskiego słyszał:

„Tę podróż i ten siedmiomiesięczny pobyt w tej stolicy państwa, w tym zimnym północnym klimacie, liczył Zygmunt do najsmutniejszych dni żywota swego. Oślepły prawie zupełnie, pędził on smutne godziny w ciemnym pokoju i w samotności. Skoro tylko uczuł się nieco silniejszym na zdrowiu i wzroku, ojciec go zawiózł do Cesarza Mikołaja. Cesarz go przyjął z niezwykłą uprzejmością, oświadczając mu całą życzliwość swoją i obiecując mu wszelkie ułatwienie w otrzymaniu posady u Dworu, w dyplomatycznym, lub jakimby chciał, zawodzie. Trudne i bolesne było położenie Zygmunta w tej chwili, którego umysł i serce w innym znajdowały się kierunku, który inne powołanie w sobie czuł, inną przyszłość przewidywał i nic łatwe wyjście z niego. Jedynie smutny stan zdrowia i wzroku coraz się pogorszającego, ułatwił je i wybawił z niebezpieczeństwa. Cesarz uznawszy tego istotną potrzebę, zezwolił na wyjazd jego za granicę, do łagodniejszego klimatu i poratowania tak wątłego zdrowia.

„Wrażenie, jakie wywarł na umyśle jego pobyt w Petersburgu, odbiło się na kartach poematu, który w Wiedniu napisał, pod tytułem: *Pokusa.* Poemat ten ogłosił drukiem później w Paryżu r. 1841, napisany zaś jako przestrogę dla młodego przyjaciela Polaka, Adama Potockiego, mającego jechać do Petersburga".

Dopiero kiedy się ztamtąd wyrwał, kiedy już daleko od Rosyi odjechał, do Gaszyńskiego (o którym przez ten czas mniemał, że do Ameryki popłynął) odezwał się z Wiednia 7 lipca 1833.

List bez zwierzeń, bez opowiadań. „Cztery miesiące przeleżałem w łóżku, coraz gorzej zdrowie mi się psuje;" tęskne wspomnienie młodości, a o teraźniejszości wykrzyk smutny: „Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie — gdzież się podziały wszystkie wiary moje" — oto krótkie słowa, znaki, z których przyjaciel miał odgadnąć, co się w nim działo. Pociecha jedna, Danielewicz, jego przyjaźń i jego towarzy-

stwo nieodstępne, zdaje się od pobytu w Polsce, przez cały ciąg następnego pobytu we Włoszech. Drugi ten przyjaciel był także kolegą z uniwersytetu, także (z Gaszyńskim) obrońcą Krasińskiego w znanem zajściu warszawskiem. Był rodem z Białocerkwi, synem lekarza, a jak się ze wszystkiego zdaje, niepospolitym młodzieńcem. Dla Krasińskiego zaś ideałem, przed którego wyższością rozumu i charakteru schylał głowę szczerze i pokornie. Musiało to być wrodzoną (a piękną) skłonnością jego serca, że siebie miał za niższego, gorszego, mniej rozumnego od swoich przyjaciół. Tak było później z Cieszkowskim, tak z Danielewiczem do jego śmierci.

Danielewicz, który w listach do Gaszyńskiego czasem kilka słów od siebie dopisuje, donosi w jednym, że „Zyg„munt pisze bezustanku, musi w nim być *furibunda vena* „poetyczna... Jestto talent, o którym nie możesz jeszcze „mieć wyobrażenia, bo go teraz nie znasz“.

Jakoż pisze Zygmunt: pisze właśnie na tej pierwszej stacyi w powrocie z Petersburga do Europy, w Wiedniu. I wreszcie, już po przyjeździe do Rzymu w listopadzie 1833, z bijącem sercem, niespokojnie, jak żeby miał zrobić wyznanie pierwszej miłości, pisze do Gaszyńskiego: „Teraz powiem „ci coś, ale żądam od ciebie najświętszego słowa przyjaźni, „że nikomu bez wyjątku nie powiesz nic o tem. Mam dra„mat tyczący się rzeczy wieku naszego: walka w nim dwóch „pryncypiów, arystokracyi i demokracyi. Tytuł: *Mąż*... „Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jestto obrona tego, na co „się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości“.



5*

ROZDZIAŁ III[1]).

Nieboska komedya.

I. Nienawiści i walki społeczne. Określenie ich w liście do Gaszyńskiego. *Nieboska komedya.* Jej tytuł. Wstęp. Jego związek z bohaterem poematu i z autorem. Pozorny brak związku między pierwszą a drugą połową poematu. Prawdopodobny początek i powód dwóch pierwszych części. Henryk jako człowiek i jako typ. Jego ślub. Złamanie ślubu. Hrabina. Ojciec chrzestny. Obłąkanie hrabiny. Zgryzota męża i niedowierzanie własnym uczuciom. Scena w domu obłąkanych. II. Orcio. Jego natura jest karą Henryka. Potrzeba dwóch pierwszych części poematu. Właściwa tragiczność Henryka. Pankracy. Jego przeszłość i teraźniejszość. Jego tragiczność. Powód jego pociągu do Henryka. Tło obrazu. Pierwiastki, stopnie i typy rewolucyjnych popędów. Czego Henryk szukał w obozie Pankracego? III. Rozmowa Pankracego z Henrykiem. Wielkość obu. Zdanie Mickiewicza i jego zarzuty. Część czwarta. Zbyteczna treściwość. Surowość poety względem wszystkich. Znaczenie widzenia Orcia. Pożegnanie z nim i ostatnie słowa Henryka. Zwątpienie Pankracego. Jego śmierć. Zakończenie nie jest rozpaczliwe. Stanowisko i przekonania Krasińskiego. Objaśnienie *Nieboskiej* przez jego syna. Jej myśl filozoficzna, religijna, patryotyczna. Pierwiastki jej wielkości. Jak ją rozumiał sam autor? Objaśnienie w jego liście.

---

1) Rozdział ten był drukowany prawie w całości w czasopiśmie warszawskiem *Niwa*, w roku 1882.

I.

Nienawiści i walki społeczne. Określenie ich w liście do Gaszyńskiego. *Nieboska komedya*. Jej tytuł. Wstęp. Jego związek z bohaterem poematu i z autorem. Pozorny brak związku między pierwszą a drugą połową poematu. Prawdopodobny początek i powód dwóch pierwszych części. Henryk jako człowiek i jako typ. Jego ślub. Złamanie ślubu. Hrabina. Ojciec chrzestny. Obłąkanie hrabiny. Zgryzota męża i niedowierzanie własnym uczuciom. Scena w domu obłąkanych.

„Wiek, który mnie otacza, cięży na mnie jako ołów“, pisze Krasiński do Gaszyńskiego. Cóż to za ciężar i czemu dolega mu tak bardzo?

Cięży mu, przygniata go to, co dostrzegł z dziwną bystrością pod wszystkiemi świetnemi pozorami cywilizacyi, wolności, humanitarnych dążności, postępu; fakt górujący naszego wieku, rdzeń i treść naszej historyi, antagonizm społeczny, ten pierwiastek, który choć nie zawsze się wyraźnie objawia, przecież wszystko przenika, tkwi na dnie wszystkich wypadków, wszystkich polityk; prawdziwa atmosfera Europy współczesnej, w której wszyscy żyjemy, którą wciągamy w siebie z oddechem, która niedokwasi naszą krew i krąży z nią razem w naszych żyłach, i rządzi nami, naszem życiem, losem naszych krajów, panuje w naszych literaturach, wszystko przejmuje, przenika, wszystko sobą ożywia... czy zabija. Krasiński poznał tę duszę wieku odrazu, i z intuicyjnem przewidzeniem, a ze ścisłością i logiką matematyczną, doszedł do tego, co w naturalnym porządku rzeczy mogłoby być, prawie się chce powiedzieć, musiałoby być, tej duszy wieku ostatnim wyrazem. Dopóki chodziło tylko, jak niegdyś, jak w początkach rewolucyi francuzkiej, o udział

narodu w rządzie, albo o formę rządu, o przywilej i równość, arystokracyę i demokracyę, dopóty sprawa zakończyć się mogła pogodzeniem. Mogła pewna, wielka, część ludzkości nawrócić się do jednej lub drugiej zasady, mogło się znaleść zastosówanie tej zasady takie, któreby sprzeczne interesa pogodziło, rewolucya mogła mieć koniec. Ale odkąd przedmiot sporu się zmienił, koniec jego, przez pogodzenie i porozumienie, stał się niemożliwym, walka bez wyjścia. W gruncie bowiem, sprawa ta stoi dziś tak, że wszystkie zwyczajne hasła, pod któremi walczymy, ta lub inna forma rządu, ten lub inny system wyborczy lub podatkowy, wszystko to nie jest zasadą, ale środkiem; celem, przedmiotem sporu, jest nie tasama dla wszystkich wolność, nie tosamo dla wszystkich prawo, ale tosamo dla wszystkich używanie życia. Równość używania, to jest rdzeń wszystkich systemów socyalnych i komunistycznych; a z tem ani zupełnej, ani połowicznej zgody niema, walka jest bez wyjścia i końca. Żeby do tej równości używania dojść, trzeba zdruzgotać miliony ludzi, którzy bronią siebie i swoich rodzin, zatem trzeba terroryzmu, trzeba anarchii, gwałtu i krwi. Przypuściwszy nawet zwycięztwo, i przypuściwszy, że ze zwycięztwa tego nie korzysta żaden dowódzca na to, żeby wynieść siebie a opanować drugich, trzeba dopiero po zwycięztwie zabezpieczyć trwałość tego systemu, tej równości używania. Tymczasem ta, sprzeczna z naturą ludzką, już w drugiej generacyi okazuje się zniszczoną. Żaden rząd, żaden system, żaden terror na to nie pomoże, że jeden człowiek jest zdolny, drugi nie, jeden pracowity, drugi leniwy, i w kilku latach, jedynie wskutku tych przymiotów wrodzonych, mamy znowu bogatszych i uboższych. A więc, chcąc utrzymać i zabezpieczyć równość używania, trzeba szukać po temu środków; zatem znieść prawo dziedziczenia i prawo testamentowych zapisów, postanowić jakąś miarę majątku, której nikomu przekroczyć nie wolno, a wtedy w drugiem pokoleniu powtarza się walka tasama; po zwycięztwie, trzecie pokolenie znalazłoby się znowu w temsamem błędnem kole. Tymczasem człowiek pracujący rękoma, cierpiący, nędzny, głodny, zmar-

znięty, wycieńczony, on tego rozumowania nie zrobi; on widzi tylko, że jest człowiekiem jak drugi, i pyta dlaczego temu drugiemu dzieje się tak dobrze, a jemu tak źle. Porównanie to doprowadza do oburzenia wiele serc szlachetnych i szczerych, i z niego powstają przekonani w dobrej wierze fanatycy teoryj socyalnych; obok tych stoją inni, dla których one są środkiem wyniesienia własnego; a jedni i drudzy muszą zawsze mieć przystęp łatwy do znużonych i głodnych, niezaspokojonych nigdy w żadnej z potrzeb i żądz ludzkich. Historya naszego wieku, jest historyą ciągłej obawy tej walki, i ciągłego do niej przygotowania; sztuka rządzenia w naszym wieku, to w wielkiej części szereg wybiegów, któremi się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga; a w tych wybiegach ludzie kochający wolność, wszystko to, co w naszym wieku zastępuje pierwszych rewolucyonistów francuzkich, ci muszą nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze, i stawać po tej stronie, która samej wolności zadaje cios mniej śmiertelny; poddają się raczej pod despotyzm choć znienawidzony, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, od czasu do czasu objawi się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdaje się wracać peryodycznie, coraz częściej i coraz silniejsze. Jak przyjdzie paroksyzm długi, a tak silny, że go nic odrazu nie przetnie, co zostanie z dzisiejszej Europy?

Takie pytania obracał w głowie swojej Krasiński. Czuł, jak pod jego stopami drgał wulkaniczny grunt włoski, słyszał grzmot podziemny, źle zagłuszony świetnem i głośnem zewnętrznem życiem Francyi; mógł był, powinien był, w swoim wieku wierzyć, że trzęsienia ziemi nie będzie, że wulkan nie zasypie Europy lawą i popiołem, że, jeżeli się ziemia zatrzęsie, to na to chyba, żeby wypuścić jakieś wody ożywcze i dobroczynne, przez które ziemia użyzni się i zakwitnie. Ale nie! on zmuszony pierwszym swoim krokiem w świecie nie patrzeć na świat wesoło, on z kierunkiem umysłu filozoficznym, badawczym, dochodzącym śmiało do ostatnich konsekwencyj rzeczy, on ten stan świata widział w całej surowej i nagiej jego okropności; nie łudził się, nie

złocił przyszłości, nie usuwał jej z przed oczu, owszem, chciał jej odważnie w oczy zajrzeć i pokazać ją jak jest, choćby ten obraz miał być przerażającym i nielitościwym — jak śmierć.

„Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Francyi", pisze on (do Gaszyńskiego) z Rzymu w roku 1834. „Czy „z kupców, którzy panują, czy z robotników, którzy w war„sztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo więcej już nie widzę „na tej ziemi, a przyznasz mi, że ni jedni ni drudzy, nie „zdali się do porządku rzeczy, wymagającego najwyższych „poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną; drudzy „są chciwi, namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie „świata, dwa systemata tylko być mogą, despotyzm i anar„chia. Nie marz więc, że pięknie i cnotliwie dojść można do „ideału twego: bądź pewien, że naprzód, nigdy się nie spraw„dzi, jak każdy ideał; a potem, że usiłowania dążenia ku „niemu, będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem i same „wreszcie się wyniszczą. Cywilizacya nasza ma się ku „śmierci; wiem, że bliskie są czasy, w których zbrodnie „nowe przyjdą karać stare i same się potępić w obliczu Boga, „ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują; przejdą jak „koń Attylli... Dopiero to, czego ani ty, ani ja, ani nikt „nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu, „i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludz„kiego zbuduje. Ale wtedy i twoje i moje kości próchnem „gdzieś będą".

Dziwna jest ta jasność przeczucia, raczej ta głęboka znajomość swego świata, którą historya ostatnich lat pięćdziesięciu tak strasznie sprawdza. Przy takim stanie świata, może być tylko despotyzm i anarchia; i rzeczywiście Europa, jak pijany człowiek, zatacza się od jednego do drugiego. Usiłowania, dążenia do ideału, będą krwią oblane i otoczone zniszczeniem, to rok 1848. Zbrodnie nowe przyjdą karać stare; dzisiejszy stan Francyi karze ją za złe tego, który się co dopiero skończył. Przykładów możnaby przytaczać więcej; a świat nowy kiedy zejdzie, nasze kości dawno już będą próchnem. To jego usposobienie, to jego sąd o historyi współczesnej; a wszystko to odbiło się w poemacie,

pierwszym jaki napisał, głębokim jak morze, a smutnym jak śmierć. Wszystko tam jest: dążenie do ideału przez krew i ruiny, które zniszczywszy wszystko, niszczy wreszcie i siebie; nowe zbrodnie, które stare karzą, a same potępiają się przed Bogiem i przechodzą nic nie utworzywszy, jak koń Attylli — i wreszcie ten na końcu świat nowy, późny, daleki, który się wywinie z chaosu i zbuduje z woli Bożej, to krzyż na firmamencie, który w zakończeniu *Nieboskiej komedyi* staje nad ziemią, na której nic nie zostało.

Nazwawszy ją, trzeba poświęcić słowo jej tytułowi tak dziwnemu. Dlaczego komedya? że nie „boska“ to pewno, ale to połączenie epitetu z rzeczownikiem jakieś nie wytłomaczone, potrzebuje zastanowienia, dochodzenia. Rzecz jest jasna. Nic naturalniejszego jak, że Krasiński ze wszystkich poetów świata, największy czuł pociąg do najsmutniejszego ze wszystkich, do tego surowego i groźnego Danta, który skrzywdzony w ojczyźnie, deptać musiał schody cudzoziemca, a w wielkiem oburzeniu i zgorszeniu na swój świat i wiek, odmalował obraz jego tak ponury, a tak nieubłaganie prawdziwy. Dante ze swoją poezyą filozoficzną i polityczno-moralną, Dante, którego przedmiotem był wiek i społeczeństwo, stworzony był na to, żeby Krasińskiemu przypaść do serca; owszem, jego Krasiński musiał rozumieć lepiej, aniżeli wszystkie piękności Göthego i wszystkie głębie znajomości człowieka w Szekspirze. A czcić go musiał, jak wielki kolos geniuszu i moralnej godności wśród brudów i zbrodni otaczającego świata; a kochać go mógł, bo ten kolos żył, i był nieszczęśliwym, i cierpiał, a w cierpieniu ich było pewne podobieństwo. Dante był więc poetą Krasińskiego; a choć śladów i dowodów niema, to sama *Nieboska* wskazuje, że już w tych latach musiał rozczytywać się w nim, jak im dalej, tem więcej zagłębiał się w nim, oburzał się, gardził z nim razem, i z nim razem z dna piekieł tęsknił za jasnością Raju. A kiedy się zdarzyło, że prawie mimowolnie, prawie bezwiednie, napisał poemat, nie przez Danta natchniony, ani do niego podobny, ale poemat, który jak tamten był obrazem wieku i społeczeństwa, ich nieszczęść, zapasów i nędzy,

nazwał go imieniem, które przypominało tytuł tamtego, a miał do tego prawo, bo pomiędzy ich treścią jest pewne zbliżenie. Tego zaś w roku 1833 krytyka nie była jeszcze wyświeciła, że Dante swojemu dziełu dał tylko nazwę *Komedyi*, a przydomek *Boskiej* dodał zapał wielbicieli. Krasiński więc nazwał swoją *Nie-Boską* przez dwojakie przeciwieństwo: pierwsze, że tamta mogła być Boską, bo z piekieł przez czyściec dochodziła do Raju, szła w górę, aż dochodziła do tej jasności, której wzrok ludzki znieść nie może; a ta wyjścia podobnego niemiała, w tej nikt nie zostawał, nikt nie zwyciężał, nikt nie miał prawdy i nikt nie szedł w górę. — Powtóre, że jego komedya nie była tak „boską“, tak wielką, jak tamta.

Nic smutniejszego, a zarazem nic bardziej charakterystycznego, jak wstęp do *Nieboskiej*. Zwykle młody poeta wstępuje w swój zawód z sercem bijącem od zapału i nadziei, wierzy w siebie, w swoje natchnienie i przyszłość, wierzy w swoją chwałę. Nawet kiedy skromność graniczy z nieśmiałością, kiedy Mickiewicz mówi do Pierwiosnka „zawcześnie kwiatku zawcześnie“, i wtedy nawet przemaga szczęśliwa ufność młodości: „lepsza w Maju jedna chwilka, niż w jesieni całe Grudnie“. Krasiński pisze swój pierwszy poemat w dwudziestym pierwszym roku życia, pisze poemat genialny, w swoim rodzaju jedyny w Europie, i ten który z całej literatury polskiej, najbardziej należy do literatury świata i najbliżej ją obchodzi, a pisze w gorzkiem i nieznośnem uczuciu lekceważenia siebie samego, niewiary w siebie. Nie w poezyę: „nie wyrzekam na ciebie poezyo, matko piękności i zbawienia“, nie w swój geniusz poetyczny ani w piękność swego dzieła: „Gwiazdy wokoło twojej głowy, „pod twojemi nogami fale morza, co ujrzysz, jest twojem; „grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze, splatasz serca i roz„wiązujesz gdyby wianek i t. d.“, ale zniechęcenie i niedowierzanie do zawodu poety, który mu się wydaje czczym i nierzetelnym. „Ale sam co czujesz? ale sam co tworzysz? „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś „pięknością. Biada ci, biada; — kwiat polny, co nie wié o wo„niach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie! —

„Zkądżeś powstał marny cieniu? kto ci dał życie tak nik-„czemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilę, nim „zagrzężniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić „się mułem“.

Nigdy żaden poeta tak gorzko o sobie nie mówił, tak nie gardził sobą. „Twoje rozpacze i westchnienia opadają „na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich „kłamstw i złudzeń“. Dziwna rzecz, ten człowiek, który w miarę jak dojrzewał, dochodził do coraz wyższej czci natury ludzkiej i coraz wyższego o niej wyobrażenia, którego wiara w przyszłość ludzkości tak stałą, tak niezachwianą jak była, mogła być tylko przez to, że się wspierała na wierze w godność człowieka, ten zaczyna od najczarniejszego zwątpienia, od pogardy siebie, od pogardy poety! „Twoja boleść „nic nie utworzy i na nic się nie zda, chwale twojej *niby* „nic nie zrówna — a dziecię co płacze na łonie mamki, wię-„cej ma zasługi od ciebie — Pan cię zaprzeczy i t. d.“

Jestto skutkiem tej wysokiej i szlachetnej dążności Krasińskiego do jedności, do zgody zupełnej wszystkich sfer i zakresów ducha i życia człowieka. On chciał zawsze, a widać, że chciał już w tych latach tak młodych, żeby człowiek, z siebie i swego życia, zrobił doskonałą harmonią, żeby poeta nie był kapłanem piękności tylko z piórem w ręku, żeby nie z wyobraźni tylko snuł piękność, ale żeby swoje życie, siebie samego podniósł do tego samego poziomu, do jedni, do zgody, do wysokości swego ideału. Jeżeli czujesz i tworzysz piękność, jeżeli pojmujesz co najwznioślejsze, bądźże sam wzniosłym i pięknym — jeżeli twoje natchnienie góruje nad ludźmi, niechże wyższem od nich będzie i twoje życie. Inaczej twoja poezya nie jest prawdą, twoje uczucie piękności i dobra nie jest rzetelnem, ty sam „marnym cieniem, którego boleść nic „nie utworzy“, inaczej ty „tylko o świetle znać dajesz, a świa-„tła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz“. Wyobraźnią i natchnieniem wyrywa się poeta gdzieś pod niebo, czuje, pojmuje wszystko co najpiękniejsze: a sam zostaje marnym, drobnym, powszednim człowiekiem jak inni! Dlaczego ja nie jestem tak piękny i tak wysoki jak ideał mojej duszy? dla-

czego go w sobie urzeczywistnić nie mogę, dlaczego ja poeta, jestem istotą prozaiczną jak inne od chwili kiedy tworzyć przestaję? W poezyi jest prawda — w zawodzie poety jest nierzetelność, fałsz, sprzeczność, jest ironia kłamstw i złudzeń szatana.

„Błogosławiony ten, w którym poezya zamieszkała „jak Bóg zamieszkał w świecie, niewidzialny, niesłyszany, „w każdej części jego okazały, wielki“. Błogosławiony ten, który mając poezyę, mając natchnienie, zrobi arcydzieło z siebie, ze swego ducha i życia. „Ten będzie kochał ludzi „i wystąpi mężem pośród swoich braci“. Ale ten, kto mając to uczucie ideału, zwróci je nie na wewnątrz, nie na to żeby siebie do miary tego ideału dociągnąć, ale na zewnątrz, kto go użyje na to, żeby swoje piękne i wzniosłe uczucia rozdać, roztrwonić „na marną rozkosz ludziom“, na pisaną poezyę, „temu poezya sypnie kilka kwiatów na głowę i odwróci się, „a on zwiędłemi bawi się, i grobowy wieniec splata sobie „przez całe życie“.

Zbytecznie mówić, że w tem zniechęceniu i w tej goryczy jest przesada, że to pojęcie poety jest fałszywem. Ale niepodobna jest nie uznać szlachetności i godności w tem uczuciu, w tym gniewie poety na siebie za to, że nie jest pięknością, choć strumień piękności przepływa przez niego. Możnaby jednak spytać dlaczego, jeżeli ten tylko jest błogosławiony, w którym poezya zamieszkała niewidzialnie jak myśl Boża w świecie, dlaczego on poezyę z siebie wydaje na „marną rozkosz ludziom“, dlaczego pisze? Dlaczego? bo on nie pisze na „marną rozkosz ludziom“, ale na gorzkie im upomnienie. „Nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie“, nieszczęśliwy, kto tęskniąc do przeczuwanej piękności światów nie poczętych jeszcze, nosi w duszy czarny obraz świata ginącego. Przez jego duszę przepływa oprócz piękności i strumień okropności: czy go ma zatrzymać w sobie? Nie! Bo gdyby nawet tamy jakie zatrzymać go mogły, gdyby poezya nie wyrywała się z niego tak koniecznie, jak koniecznie rodzi się człowiek kiedy jego czas dojdzie, to i wtedy jeszcze ten

straszny obraz powinien być pokazanym. Na to żeby ludzie byli zdolni począć w sobie świat lepszy, muszą wprzód uznać okropność dzisiejszego. Jest głęboka, choć mimowolna, logika w rozwoju poezyi Krasińskiego; w tem, że ona, która miała skończyć na zupełnej wierze w przyszłość, na optymizmie dobrej woli, żeby się tak wyrazić, zaczęła swój zawód od zwątpień i goryczy *Nieboskiej komedyi*.

Jeszcze możnaby zapytać, jak ten rozpaczliwy wstęp wiąże się z dalszym ciągiem? Co ten zwrot myśli na siebie samego ma wspólnego z treścią poematu? Nie jestto zwrot na siebie tylko, choć jest i na siebie. Przypomnijmy sobie bohatera poematu: Hrabia Henryk jest także takim marnym cieniem, stworzonym w gniewie lub ironii; przez jego piersi także płynie strumień piękności, ale on pięknością nie jest, i jego boleść na nic się nie zda i nic nie utworzy. Jestto właśnie rys podstawny charakteru Henryka, że jest marzycielem, że jest naturą poetyczną, że chce być poetycznym, że ze swoich uczuć i czynów splata przez całe życie grobowy wieniec dla siebie, że chce, iżby ta poezya jaka w nim jest, zamiast być w nim i przenikać go niewidzialnie jak myśl Boża świat, była widoczną na zewnątrz, otaczała go swoim blaskiem i biła w oczy wszystkich, a jego najbardziej. Do niego więc także ściągają się słowa wstępu; nie do niego wyłącznie, ale i do niego, a przez to wiążą się z poematem. Nie są one spowiedzią i wyrokiem autora o sobie samym, nie są zapowiedzią, i odsłonięciem, i sądem postaci bohatera; one są wyrazem tego, co jest ujemnem w naturach poetycznych i ironicznem w przeznaczeniu takich natur marzących, łaknących wrażeń. Ogół ten obejmuje poetę zarówno jak jego bohatera; a pisząc te słowa, Krasiński nie myślał ani o nim ani o sobie wyłącznie; myślał o poecie w ogólności, a to, co o tem mówił, stósował i do swego bohatera i do siebie samego. Jeden i drugi wydaje mu się u wstępu jego poetycznego zawodu, marnym cieniem, stworzonym w gniewie i ironii.

Jedna rzecz uderza w *Nieboskiej komedyi* na pierwszy rzut oka. Waga poematu leży na dwóch częściach ostatnich, jego właściwą treścią jest walka społeczna, jego myślą pod-

stawną, jak już Mickiewicz wykazał, jest brak zwycięztwa, brak słuszności i prawdy u obu stron walczących. W pierwszych dwóch częściach zaś, nic nie zapowiada tej walki; żywioły, które ją prowadzić mają, nie ukazują się wcale; bohater, hrabia Henryk, nie gotuje się do niej, ani o niej nie myśli. W pierwszej połowie poematu, mamy Henryka w stosunkach rodzinnych i w stosunku z sobą samym, i moglibyśmy nie domyślać się wcale, jak się ten Henryk dalej obróci. Dlaczego poeta przeprowadza Henryka przez różne stosunki ciaśniejsze, zanim go pokaże w walce, dlaczego daje niejako psychologiczną historyę jego duszy i rozwija różne jej fałdy? Z drugim bohaterem, z Pankracym, nie zadaje on sobie tyle pracy, nie bada wszystkich tajników jego duszy, nie analizuje go; Pankracy występuje odrazu jednolity jak posąg z jednego odlewu, jako skończony a razem ogólny typ pewnych pojęć i dążności, a jakim był zanim się stał tem czem jest, tego nie wiemy. Henryk przeciwnie, złożony jest z różnych pierwiastków, ukazany z różnych stron, jest nietylko wcieleniem pewnych dążności i zasad, ale i głęboko pomyślanym, starannie analizowanym typem pewnych natur, pewnych charakterów psychologicznych, i temu przedstawieniu jego poświęcona jest połowa poematu. Dlaczego ta różnica? czy takie traktowanie postaci Henryka było potrzebnem i co poeta przez nie dopiąć zamierzał?

„Dlaczego“ to, nie zawsze w poezyi łatwe do odkrycia, trudniejszem niż zazwyczaj musi być w poemacie, który jak *Nieboska* powstał bez poprzedniego rozumowania, bez premedytacyi, bez dokładnej świadomości autora o tem, czem poemat być miał i czem się stał. Rzecz to nie do uwierzenia prawie; w *Nieboskiej komedyi* tak wszystko odpowiada rzeczywistym stosunkom, iż zdawałoby się, że wszystko było z góry obmyślane i odważone, że każde słowo napisane było z celem i znaczeniem. Tymczasem było przeciwnie. Poemat napisany był jednym rzutem, bez jakiejś z góry powziętej myśli i bez planu. Nie możnaby temu uwierzyć, gdyby nie było zeznań poety samego, w których mówi, że poemat obejmuje więcej, aniżeli on chciał i wiedział, a przed tem świadectwem

wszelka wątpliwość musi ustąpić. Nie było planu: Krasiński nie rozumował, nie ułożył sobie naprzód w głowie związku, pomiędzy pierwszą a drugą połową *Nieboskiej;* nie z wyrachowania przeprowadza on Henryka przez różne koleje życia i myśli, pierwszej i drugiej części poematu. A jednak jakiś związek, jakiś ciąg być musi; i musiał być w jego myśli, choć sobie sam może jasno z niego sprawy nie zdawał i w poemacie wyraźnie go nie uwidocznił.

Związek ten wyśledzić się daje z pomocą tego dzieła, w którym poeta, o wiele później, bo już po roku 40-tym, złożył wszystko co sobie wyobrażał o przeszłości swojego Henryka. *Niedokończony Poemat* jest jego historyą, historyą jego młodości, obrazem dróg, jakiemi Henryk chodził, zanim się stał tem, czem go widzimy w *Nieboskiej.* Otóż, całe to wyprowadzenie człowieka z jego przeszłości, cały ten ciąg moralny i psychologiczny dziejów jego ducha, dla nas w *Nieboskiej* niewidzialny, Krasińskiemu był znany; on, choć *Niedokończonego Poematu* nie był napisał, choć o nim jeszcze ani myślał, przecież znał Henryka, wyobrażał sobie co ten Henryk robił, zanim wziął postanowienie „zstąpić do ziemskich ślubów“ (w której to chwili on ukazuje się w *Nieboskiej*). Krasiński nie identyfikuje siebie ze swoim bohaterem, ani w *Niedokończonym Poemacie,* ani (tem mniej) w *Nieboskiej komedyi.* Jednak musiałby *Niedokończonego Poematu* chyba wcale nie znać, ktoby chciał mniemać, że temu Młodzieńcowi, który w nim występuje, poeta nie dał nic z siebie. Niektóre wypadki z jego życia są tam wyraźnie wprowadzone jako wpływające na los i charakter bohatera; stosunek jego do politycznych i społecznych dążności i walk, pojęcia i nauki jakie mu daje Aligier, przypadają zupełnie do myśli i zasad Krasińskiego. Jest i podobieństwo natury, złych jak dobrych skłonności. Że zaś *Niedokończony Poemat* jest dorobioną później do *Nieboskiej* historyą młodości Henryka, że w nim ze świadomością i zamiarem poeta kładzie w bohatera wiele z tego co było w jego duszy i jego historyi, więc wniosek jest bliski i prosty, że w tem dziele dawniejszem może nie tak jasno i świadomie, ale przecież o so-

bie myślał, kiedy tworzył Henryka, że dał mu nie jedno ze swoich uczuć i udręczeń, nie jedną ze swoich skłonności lub wad. W dwóch pierwszych częściach mianowicie, wydaje się to tak wyraźnem i prawdopodobnem, że aż prawie pewnem; jak dwie ostatnie wyszły z rozmyślania o możliwej przyszłości naszego świata, tak dwie pierwsze z dociekań i rojeń (ponurych) o przyszłości własnej. Dużo później, już po smutnym końcu swojej pierwszej miłości, pisze on o swojej przyszłości w takiem uczuciu zniechęcenia i goryczy, w jakiem musiał być Młodzieniec z *Niedokończonego Poematu* w przerwie pomiędzy jego ostatnią sceną, a pierwszą sceną *Nieboskiej*. „Co zrobię? czy świnie paść będę? czy strzydz „owce? czy się wykieruję na dobosza? czy założę fabrykę „garnków? — Nie, ożenię z brodawką, kołtun spłodzę, i za „to zrobią mnie powiatowym marszałkiem". Ta potoczna ale gorzka ironia, czy nie jest wyrazem prozaicznym usposobienia, w jakiem był hrabia Henryk, zanim postanowił „zstąpić do ziemskich ślubów?" i czy Krasiński przed napisaniem *Nieboskiej*, nie mógł tak o swojej przyszłości myśleć, jak myślał przed napisaniem *Irydiona?* Tylko jeżeli w tych rozmyślaniach o przeszłości, które później stały się treścią *Niedokończonego Poematu*, przeważała rzeczywistość, to w *Nieboskiej*, ona musi schodzić do mniejszego znaczenia i znikać. Jeżeli tam poeta pożyczył Henrykowi niektórych przejść ze swego życia i niektórych swoich uczuć tak, że jest między nimi pokrewieństwo widoczne, to tu jest go nierównie mniej; tu poeta oddziela się od bohatera daleko bardziej. Jak przejścia i koleje Henryka w *Nieboskiej*, nie przypominają w niczem przejść żadnego rzeczywistego człowieka, tak i jego postać, jego charakter, nie mają tych rysów podobieństwa, jakie ma Młodzieniec z *Niedokończonego Poematu*; są więcej samoistne, mniej indywidualne, a więcej ogólne i typowe.

Cóż mogło w przyszłości czekać tego młodego marzyciela i poetę zawiedzionego w miłości i w aspiracyach humanitarnych, gdzie on będzie szukał szczęścia i zaspokojenia, urzeczywistnienia swego ideału? Prawdopodobnie opuści nadłamane skrzydła, wejdzie w zwyczajną kolej życia; może

się ożeni. Jeżeli tak, to przez pewien czas będzie się łudził, będzie wmawiał w siebie miłość i szczęście, ale nie na długo. Dawne marzenia, dawne wspomnienia odzyskają swoją władzę, będą go odciągały od domowego ogniska; żona jego będzie nieszczęśliwą. Jeżeliby miał dzieci, to w ich naturze i wychowaniu, a zatem w ich przeznaczeniu, odbije się ta sprzeczność jaka była między rodzicami, i będą to jakieś stworzenia nienormalne, niekompletne i nieszczęśliwe. A gdyby wypadki zmusiły go do wyjścia na pole publicznego życia, gdyby wybuchła ta walka społeczna, którą on przeczuwa, to wtedy on, zapalony entuzyasta wolności, on, humanitarny marzyciel, kto wie, może on będzie musiał stanąć w obronie dzisiejszego porządku rzeczy, którego nie cierpi i nie szanuje, bo tamten drugi, którego prolog widział w podziemiach weneckich, będzie jeszcze gorszym, jeszcze brzydszym.

Takie były jego przypuszczenia o przyszłości tego Henryka, który się jeszcze nie był wcielił w żaden poemat, który się od poety jeszcze nie oddzielił, i dopóki nie był napisanym, miał z nim samym wiele wspólnego. Z tych przypuszczeń i przewidywań przyszłości, tak prostych i tak skąpych, zrobiły się w jego fantazyi dwie pierwsze części *Nieboskiej*, zrobił się poemat, którego pierwsza myśl tylko mogła być myślą o przyszłości jednego człowieka, a który w wykonaniu cechę tę zatracił zupełnie, i zrobiła się ta postać Henryka, wolna już od podobieństw i wspomnień jakiegokolwiek jednego człowieka, a za to podobna do wielu, typ jeden z najprawdziwszych i najgłębszych człowieka XIX wieku.

Powiedziano gdzieś słusznie, że *Hamlet* jest przedewszystkiem człowiekiem XIX-go wieku, że za czasów Szekspira, ludzi takich nie bywało, że jest on fenomenalnem przeczuciem tego kształtu, jaki przyjmie umysł ludzki, pod ciągłem i długiem działaniem analizy wszystkiego, kwestyonowania wszystkiego. I niezawodnie tak jest; nigdy człowiek tak nie zwracał myśli na siebie, nie analizował tak swoich uczuć, swoich wrażeń, swoich kroków, jak w naszym wieku. Ale *Hamlet* reprezentuje tylko zwrot myśli człowieka,

jego refleksyi, na siebie samego. Tymczasem jest inna jeszcze władza umysłu, którą w naszym wieku także powszechnie lubimy zwracać na siebie i sobą zajmować, a tą jest fantazya, wyobraźnia. Cóż to jest naprzykład, ta rzecz w naszym wieku tak częsta, że poeta tworząc, tworzy swój ideał poetyczny na obraz i podobieństwo swoje? dawniej tego nie bywało. Dawniej, jeżeli poeta mówił o swoich uczuciach, jeżeli Horacy wołał wesoło *carpe diem*, albo Kochanowski płakał za Urszulką, to jeden i drugi mówił o tych uczuciach otwarcie, jako o swoich, ale od *Homera* aż do *Göthego*, niema podobno w dziejach poezyi przykładu, żeby poeta jaki był w poemacie pod przybranem imieniem, pod maską, przedstawiał siebie i pod pozorem jakiegoś fikcyjnego bohatera był opiewał swoje uczucie, lub wypadki swego życia. W poezyi i w powieściach naszego wieku jest to zjawisko najczęstsze, codzienne; a zkąd poszło? Ztąd, że nie tylko refleksya, ale i fantazya zwróciła się na wewnątrz, że szukała piękności, szukała poezyi w sobie. Byron, któremu przypisujemy zazwyczaj początek tego kierunku, był sam tylko jego najwierniejszym wyrazem, ale nie jego początkiem, tylko już skutkiem, który za sobą znowu mnóstwo innych mniejszych skutków podobnych pociągnął. Poetyzowanie siebie i swego życia, rozmiłowanie się w poezyi swojego ja i swojego życia, ta rzecz tak powszechna i tak długotrwała w naszym wieku, a obfita w skutki najrozmaitsze, od wielkich jak poezya Byrona, do śmiesznych jak brukowi byroniści udający poetycznych, jak niezrozumiałe kobiety, wszystko to poszło ztąd, że nasza fantazya zamiast szukać zaspokojenia dla siebie, piękności, poezyi, w świecie zewnętrznym, szuka jej w człowieku samym.

Zatem poszła gonitwa za wrażeniami, sztuczne powiększanie tych wrażeń, pragnienie dramatycznych effektów w życiu, umyślne i systematyczne drażnienie nerwów w sobie tak, żeby stały się czulszemi na wrażenia, a w potrzebie mogły nadsztukować uczucie; ztąd wmówione zapały, fałszywe exaltacye, uniesienia na zimno, wszystko to pochodziło z tej chęci, żeby być poetycznym i poetycznie się wydawać, wszystko

to fantazya zwrócona na wewnątrz. Często szło zatem udawanie stałe i systematyczne, maska moralna, którą się nosiło przez całe życie, gwałtowne naginanie swojej natury, żeby się wydała inną jak jest; nieraz ona przez długie przyzwyczajenie zmieniała się istotnie, zrastała się ze swoją rolą. Cała ta poetyczność sztuczna i odniesiona do siebie, całe to krzywe pojęcie życia ze strony dramatycznej, teatralnej, naprężonej i nienaturalnej, wszystko to są skutki w niezliczonych objawach i stopniach tej jednej przyczyny, którą nazwaliśmy zwrotem fantazyi na wewnątrz. Jak refleksya w naszym wieku człowieka samego analizuje, tak fantazya znowu jego poetyzuje.

Tego powszechnego w Europie usposobienia typem dotąd jedynym w poezyi, jest hrabia Henryk z *Nieboskiej komedyi;* a doprawdy bystry i przenikliwy był wzrok poety, który niebezpieczeństwo tej skłonności dojrzał i schwycił na uczynku w chwili, kiedy ona właśnie grasowała najszerzej i najbardziej się podobała. Nasuwałoby się tu pytanie spowodowane pewnem pokrewieństwem Henryka z poetą, czy on tej skłonności nie dostrzegł i w sobie, kiedy swego bohatera zrobił jej typem. Odpowiedzi dostatecznej dać nie można. Był dzieckiem wieku, był poetą, mógł łatwo skłonność tę mieć; z niektórych słów Aligiera do Młodzieńca w *Niedokończonym Poemacie* możnaby wnosić, że ją istotnie w sobie widział. Jeżeli tak, jeżeli ją istotnie miał, to tem dziwniejsza, tem rzadsza i tem szanowniejsza rzecz, że ją dostrzegł i to w wieku tak młodym, i że ją potępił tak niemiłosiernie, kiedy rzekł że „kwiat polny, który nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od Ciebie.“

Piękny to człowiek, szlachetny i podbijający urokiem, ten hrabia Henryk. Czego w nim brak? Geniuszu? nie. Nic rzadszego w poezyi jak takie postacie ludzi wielkich, wyższych od ogółu; jeżeli to postacie historyczne, rzecz jest łatwiejsza, bo poeta zna ich naturę, ich uczucia, łatwiej uchwyci podobieństwo, a z niem rysy wielkości. Ale ludzie wielcy, wprost z fantazyi poety, ci najczęściej nie dochodzą zamierzonej miary, nie wierzy się w ich wielkość. W każdem sło-

wie Henryka czuje się wielkość; nie jest to ta, którą się widzi w Fauście, wielkość mądrości i spekulatywnego ducha, ale wielkość uczuć, zdolność rozkazu, pewność siebie. Uznaje się go wyższym, silniejszym od siebie; patrząc na niego ma się to wrażenie, że ten człowiek mógłby być wojownikiem i odnosić zwycięztwa, mężem stanu i zakładać państwa, poetą i tworzyć piękność, mowcą i trząść tysiącami serc i umysłów; gdyby był uczonym, potrafiłby przeniknąć i zrozumieć wszystkie tajemnice umiejętności lub natury. Przytem to jest człowiek dobry, szlachetny; kocha tylko to, co dobre i piękne, a kocha to z zapałem. Poświęcenie byłoby dla niego rzeczą tak prostą, iżby prawie poświęceniem być przestało. Dlaczegóż ta natura tak bogata i tak bujna, skazana jest na to, żeby była niepłodną i nieszczęśliwą? dlaczego ten człowiek, który wszystkiem być może, nie jest niczem? dlaczego nie wygrywa bitew, państw nie zakłada, nie tworzy jak Szekspir, nie zbogaca nauki, dlaczego drugim szczęścia nie przynosi, dlaczego żyje bez skutku i śladu? jaka na nim klątwa, jaka w nim choroba, co go paraliżuje tak, że choć do wszystkiego zdolny, nie jest do niczego przydatny? A dlaczego *Hamlet* nie działa? bo go krępuje refleksya i analiza; dla tego samego Henryk nie żyje w rzeczywistości i na rzeczywistość nie wywiera wpływu. Fantazya go nie krępuje może, ale odrywa od świata, każe mu szukać poezyi w nadzwyczajności, a zaślepia go na rzetelniejszą piękność rzeczywistego życia; owszem krępuje go także, wiąże go tak, że on nigdy życia w rękę ująć, nigdy z niego i z siebie nic rzeczywistego, nic trwałego zrobić nie może. Gdyby w dzień ślubu swojego, po wszystkich rozczarowaniach przeszłości, był chciał posłuchać słów swego Anioła Stróża, i z „dobrą wolą“ spojrzeć na ten zakres życia, jaki się przed nim otwierał, gdyby był wspomniał na dawną radę Aligiera „kochaj ludzi w czynie“ — byłby zobaczył, że choć ludzkości odrazu nie poprawi i nie zbawi, jak o tem marzył kiedyś, to ludzi ma koło siebie, na których działać może. Ale dla niego było za małem, za płaskiem, wszystko co nie było wielkiem, głośnem, świetnem. Życie codziennego obowiązku

w swoim zakresie, to życie prozaiczne w sam raz „dla fabrykanta Niemca"; żona, odkąd się przekonał, że nie jest jego pieśnią, nie miała u niego ani tyle nawet wartości i względu, ile mieć powinna ludzka istota cierpiąca i smutna; on chce więcej i więcej, a tem co ma, gardzi — chce więcej, a z tego co ma, rachunku zdać nie potrafi — on chce wielkości, sławy, chce w świecie otaczającym i w historyi wyglądać poetycznie i pięknie, i tem zajęty, gardzi wszystkiem co drobne, co powszednie, co nizkie, obowiązkiem, czynem, czy człowiekiem, i przez to skazuje na nieszczęście siebie i wszystkich swoich, na marny koniec wszystkie swoje zamiary. On się czuje tak do wszystkiego zdolnym i usposobionym, że nigdy na wybór zebrać się nie może i nie robi nic. Typ zaprawdę naszego czasu, i typ nieszczęściem bardzo polski, nie indywidualny tylko, ale typ społeczeństwa całego i jego życia.

Taka postać stworzyła się z początków tak małych, jak wskazano wyżej, i jej to służą dwie pierwsze części *Nieboskiej*. Wszak prawda, że choć one niby nie należą do głównej treści poematu, przecież są potrzebne, i nie żal, że są, skoro w nich i przez nie uwydatnia się bohater, właściwy typ wieku, ze strony, z której w ogniu walki społecznej poznaćbyśmy go nie mogli. A jak się uwydatnia... jak się rysuje i wypełnia, za każdem słowem wyraźniejszym staje! Dziwny i oryginalny jest sposób malowania Krasińskiego w *Nieboskiej*. Same szkice, same niewykończone rzuty, sceny zamknięte w kilku słowach, sytuacye zaledwo oznaczone; taka oszczędność, nawet takie skąpstwo słów i szczegółów, że nieraz żałuje się prawie, iż się szerzej nad tym lub owym ustępem, tą lub ową sytuacyą nie rozwiódł. Ale w tej treściwości i zbitości prawie zbytecznej scen i samych nawet wyrażeń, jest taka głębokość myśli i taka obfitość poetycznego materyału, że z każdej jego sceny, inny zrobiłby poemat; w każdej jego figurze, jest taki zasób życia i prawdy, że inny, któryby ją wykończył i rozwinął, znalazłby w niej gotowy przedmiot studium psychologicznego, które mógłby odziać w formę czy to dramatu, czy powieści, czy nawet niekiedy komedyi. A zarazem, charakterystyka tych postaci jest w swojej treściwości

tak dosadna i zupełna, że wszelkie wykończenie, wszelkie wycieniowanie nietylko jej nie pomaga, ale szkodzi, psuje jej wrażenie, jakżeby ona przez to wykończenie była zmalała. Takie wrażenie robi przerobienie *Nieboskiej* przez angielskiego poetę Lyttona [1]), któremu na talencie nie zbywało wcale. Próbował on powtórzyć figury Krasińskiego wiernie, ale zarazem wycieniować, wymodelować zarysy rzucone przez tamtego; poświęca więcej czasu i miejsca wszystkim podrzędnym figurom, Hrabina, ojciec chrzestny, Leonard i t. d. wszystko to jest u niego traktowane bardziej szczegółowo, wszystko postawione niby w jaśniejszem świetle; a wszystko jest tylko bladem i zatartem odbiciem oryginału, tak rysy pociągnięte rylcem mistrza, są pewne, głębokie i wyraźne.

A więc podejmuje poeta tego młodzieńca, w chwili, kiedy on wstępuje w rzeczywistość życia, kiedy ma wykonać ślubną przysięgę. Jego samego jeszcze nie widzimy, a już możemy się domyślać, jakie siły będą z sobą walczyły w jego życiu. Kiedy Henryk ma przystąpić do swojej przysięgi, stoi nad nim po jednej stronie jego Anioł Stróż, po drugiej szatan (chór złych duchów). Anioł mówi, że on może być zbawionym, bo ma serce (zaród wszelkiego piękna, iskra boża, pali się w głębiach tej duszy), a jeżeli zjawi się dla niego żona dobra, jeżeli dziecię narodzi się w domu jego, to on może jeszcze stanąć mężem pośród swoich braci i być człowiekiem dobrej woli. „Pokój ludziom dobrej woli“. Klaczko słusznie i trafnie zwraca uwagę na to dziwne zbliżenie, że „dobra wola“ jest pierwszem słowem poezyi Krasińskiego jak jest i ostatniem. Od niej zaczyna się *Nieboska* i na niej kończą się *Psalmy;* ją także znajdzie się i na dnie *Irydiona,* i w *Przedświcie,* i w *Niedokończonym Poemacie;* ona jest rezultatem jego filozofii, osią i treścią, i ostatniem słowem wszyst-

---

[1]) Lord Lytton, syn sławnego pisarza powieści Bulwera, wicekról Indyi, umarł w roku 1890 jako ambasador angielski w Paryżu. Jego przerobienie *Nieboskiej Komedyi* ma tytuł *Orval, the fool of time.*

kich jego pojęć o człowieku i jego stanowisku w świecie, i to stale od pierwszej do ostatniej chwili jego zawodu.

Ale złe duchy z drugiej strony, nie pozwolą na pokój ludziom i znajdą sposób na to, żeby dobrej woli ustalić się nie dać; podkopią ją marzeniem, zwichną fantazyą, każdy jej zasiew rozniosą w powietrzu złudnemi powiewami poezyi tak, żeby na rolę paść nie mógł. Otoczą go dawnemi widmami, dawnemi marami, żeby mu było wiecznem roztargnieniem w życiu, żeby duszę jego ciągle od rzeczywistości odrywały. Posyłają więc na niego widmo dawnej kochanki „odświeżone we mgle i ubrane w kwiaty nowe“ (odświeżone i wypięknione we mgle wspomnień i tęsknoty) potem sławę, „starego orła wypchanego w piekle“, i ten ma szumieć skrzydłami nad głową poety; obraz Edenu, „stare dzieło Belzebuba z zalepionemi dziurami, powiedzione świeżym pokostem“, wszystko to pokusy, które uwieść mają fantazyą poety, a przez nią jego sumienie.

Potem ten szereg scen urywanych, kilkowierszowych, w których poeta charakteryzuje swego bohatera i daje przeczuć swój sąd o nim. „Jeżeli dotrzymasz przysięgi, będziesz bratem moim w obliczu Ojca Niebieskiego“ mówi Anioł Stróż — ale Mąż wychodząc z kościoła mówi „zstąpiłem do ziemskich ślubów“. On *zstąpił* z swoich wysokich regionów do ziemskich rzeczy i obowiązków, on więc wyższy nad to życie i te obowiązki; nie, on nie dotrzyma swojej przysięgi skoro już w pierwszej chwili nie patrzy na „swoje widnokręgi“ jak mówi Aligier; nie dotrzyma jej, bo w nowo poślubionej widzi nie „żonę wierną jako matka mówiła, jako serce mówi“ ale „pieśń swoją“, i patrzy na nią jak „nieraz patrzał w myśli na sunących aniołów“. Cóż się stanie, jak się pokaże że to nie pieśń wcielona, ale biedna ludzka istota, że ona nie będzie sunąć przez życie jak duch przez powietrze, ale że przejdzie przez nie, powolnym, pracowitym ludzkim chodem?

Co się stanie? Po tych scenach ślubu, które są jakoby prologiem a obejmują zaledwo słów kilkadziesiąt, po przerwie dłuższej, krótszej? nie długiej w każdym razie, mąż

zbudzony ze snu, patrząc na żonę, przeklina chwilę, w której pojął kobietę a zdradził marzenie. On sądził, iż ona będzie marzeniem jego, a ona jest tylko dobra i miła. Pierwsza pokusa, widmo, wspomnienie dawnej kochanki, trafiła do fantazyi, mąż wydaje się sobie prozaicznym. „Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce“. Czyż to dla niego zniżać się do poziomego życia ludzi, poddawać się ich zwyczajom, jeździć po krewnych? zniżyć się do żony, wyrozumieć jej potrzeby, zapytać jak ta dusza czuje, czem żyje, czego pragnie, czem cierpi, czy dla niego myśleć o dziecku, które nie długo będzie mu danem? Nie „do mnie państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją“ — ten świat rzeczywisty zamieszkany ludźmi, którzy jego natchnień nie słuchają, jest pusty, nie warto o nim myśleć, nie warto żyć w nim ani dla niego. Żona, która odwiedza krewnych i po sklepach robi sprawunki, dziecko dla którego trzeba myśleć o niańce i o kołysce, albo świat nudny pustych głów bez myśli, lalek w kilku odmianach odlanych z kilku różnych form, albo świat brzydki i odpychający ludzi brzydkich, brudnych, obdartych, bezmyślnych, grubijańskich, często spojonych, albo świat złego, świat cierpień, ucisków i gwałtów, które natchnień jego słuchać nie chcą i nie ustępują przed niemi, ale walczyć z sobą każą krok za krokiem i najczęściej zwyciężą, czyż to świat dla niego? Nie, to w sam raz dla „żyjątek podlejszego płazu“, im to przystoi żyć takiem mrówczem życiem, ale orzeł jeżeli raczy spojrzeć na tę smutną ziemię, to chyba z góry, w przelocie.

A więc, związek dwóch ciał nie jest niczem, kiedy się dusze odepchną, a więc mąż zostanie przy żonie jak trup przy trupie, ale serce jego dawnej kochance, myśl jego, dusza jego, dawnym państwom zaludnionym i żyjącym.

Szczęśliwe i tak pięknie przedstawione przeciwieństwo natury męża i żony, jest tak znanem, że nie potrzeba nad niem się zatrzymywać. Wskazał jego zalety Mickiewicz pierwszy; on zwrócił uwagę na nielitościwy zabijający chłód męża kiedy mówi: „czuję, że powinienem cię kochać“, na ciężki

smutek żony, która czuje, że on jej nie kocha, a dojść nie może dlaczego, na tę jej odpowiedź tak wymowną w swojej prostocie; „powiedz już lepiej nie kocham“.

Klaczko dodał do tego uwagę bardzo trafną, że w prostem uczuciu tej żony jest prawdziwej poezyi nierównie więcej, aniżeli we wszystkich marzeniach i natchnieniach męża; odznaczył zwłaszcza jej słowa tak charakterystyczne i tak rozrzewniające; „Wczoraj byłam u spowiedzi, przypomniałam „sobie wszystkie grzechy, a nie mogłam nic znaleźć takiego, „coby cię obrazić mogło“. Z dwojga, ona cierpi daleko bardziej, ona jedna cierpi na prawdę; on tylko w siebie cierpienie wmawia i w nie się bawi. Niezawodnie ta postać biednej hrabiny jest bardzo piękna, bardzo szczęśliwie stworzona i pociągająca za współczucie. Jednak, nie wiem czy w tym szkicu, w tej scenie, zaledwo rzuconej kilkoma rysami, nie ma jednego nadto; to kiedy hrabina zdaje sprawę mężowi z tego co robiła, z przygotowań do chrztu, kiedy mu mówi, że kazała robić ciasta z cyframi dziecka; ona o tem mówi, jak żeby te drobiazgi miały dla niej wielką wagę; podaje się w podejrzenie, że nie musi być bardzo bystra jeżeli nie odgadła, że takie rzeczy jej męża nie obchodzą, i że jeżeli istotnie często dzieli się z nim temi gospodarskiemi szczegółami, może go zniecierpliwić. Hrabina nie powinna była być tem, co nazywamy kobietą wyższą, ale właśnie dla uwydatnienia charakteru męża, powinien był Krasiński unikać wszystkiego, coby ją czyniło podobną do „niemki, żony fabrykanta niemca“: powinna była być kobietą średniej intelligencyi, ale przy tem mieć wielki wdzięk prostoty i prawdy, i nie robić nic takiego, coby w niej mogło razić i niepodobać się, drażnić zmysł estetyczny męża. Ten mały szczegół zbliża ją cokolwiek do gospodarnej kobiety niemądrej, ciasnej, niecierpliwiącej. A tymczasem i ona byłaby bez tego piękniejszą, i charakter męża byłby wystąpił jeszcze lepiej i wyraźniej przez to, gdyby on był zmierził sobie kobietę, którejby nic zarzucić nie można, prócz tego, że jest kobietą, nie marą.

Mistrzowska jest scena chrztu w swojej krótkości i w swoim realizmie. Poeta nie myślał i nie chciał robić nic pięknego. Ta scena była mu potrzebną. Żeby ją zapełnić, wprowadził pierwsze lepsze powszednie figury, tak jak się je widzi zawsze i wszędzie. Pośród tej lichej gawiedzi bezmyślnej, głupio-ciekawej, gapiącej się na bladą twarz i zapadłe oczy hrabiny, dochodzącej gdzie Hrabia, dlaczego go nie ma, jaki ta nieobecność kryje pod sobą domowy skandal lub nieszczęście, wystaje figura Ojca Chrzestnego. Ten lekki szkic, to figura jedna z najgłębiej (choć bez namysłu) pomyślanych, jakie kiedykolwiek poeta jaki począł w pogardzie dla *des Lebens flach alltägliche Gestalten.*

Jedna z tych istot, których imieniem jest *płaskość,* jak płochość jest podług *Hamleta* imieniem kobiety. Jedna z tych mechanik ludzkich, które wyglądają zupełnie jak człowiek, umieją nawet mówić; rozumu mają tyle, żeby się ustrzedz śmieszności, potrafią udać i myśl i zdanie, i uczucie nawet, a wszystko powtarzają tylko. Własnego nie ma w nich nic, ani myśli, ani zdania, ani uczucia, ani charakteru, tylko jedno, zwierzęcy instynkt zachowania siebie i zdolność stósowania się do ludzi i okoliczności, ta wrodzona roztropność, żeby przeciw prądowi nigdy nie płynąć. Ojciec Chrzestny jest mechaniką tak dobrze złożoną, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby swoich współczesnych oszukał, gdyby uchodził w ich oczach za rozumnego i poważnego człowieka. Jako deputowany umiałby mówić, a to coby mówił, zdawałoby się mieć myśl i sens; jako urzędnik przestrzegałby ściśle swojej urzędowej powagi; jako dyplomata zwłaszcza, miałby klasyczną postawę i ułożenie; a właściwem jego przeznaczeniem jest po długiej służbie szambelańskiej, umrzeć szczęśliwym mistrzem ceremonii. Płytkość tej głowy i zdolność łatania słów i myśli zasłyszanych, odkrywa się wybornie w pustych oklepanych frazesach jego pierwszej przemowy: „Jerzy Sta„nisławie, dopiero coś wstąpił do towarzystwa ludzkiego „i t. d.“: ale pomysł, żeby tę figurę strach i instynkt zachowania siebie zapędził do obozu Pankracego, żeby ten sam Ojciec Chrzestny przychodził do Henryka w charakterze par-

lamentarza (zawsze pojednawczy, bo zawsze na dwóch stołkach), i missyę swoją zaczynał od tego, że „całe *jego* życie (o jego życie przedewszystkiem chodzi) było obywatelskiem", ten pomysł jest po prostu genialny, to z tej figury podrzędnej robi wielką kreacyą, typ wielce prawdziwy i głęboki.

Z tą sceną chrztu zaczyna się kara Henryka, a ukarany jest tem, czem zgrzeszył. Ta biedna żona, która niby nie była na jego wysokości, nie rozumiała jego natchnień i marzeń, rozumiała więcej, niż się na pozór zdawało; czuła, jak on ją sądził, wiedziała, że ją miał za niegodną siebie. Jak na to poradzić, nie wiedziała: ale w prostocie swojej, w swojem uwielbieniu dla niego, wierzyła, że tak jest. Cierpiała więc i dręczyła się, wyrzucała sobie, że jest jego żoną, że jest nią na jego nieszczęście! gdyby nie ona, on może byłby szczęśliwym. Tego już ona nie odmieni: ale gdyby na świecie on miał choć jedną istotę sobie równą, choć jedną którąby mógł kochać, gdyby jej dziecko godniejszem było od matki miłości ojca, może ojciec byłby przez to choć trochę szczęśliwym, możeby i jej wtedy darował jej małość i nicość! Hrabina tak się tem dręczy, tak tego pragnie całą duszą, że wreszcie zrywa się równowaga tej duszy, nieszczęśliwa wpada w obłąkanie, błogosławi syna, i tem błogosławieństwem wlewa w niego poezyę, „żeby go ojciec kochał i nie odrzucił kiedyś", przeklina go, jeżeli nie będzie poetą. Hrabina oszalała na poezyę.

Szaleństwo to, pochodzące z miłości i z cierpienia, z wytężonej woli, żeby zrównać temu którego kocha i uszczęśliwić go, jest i psychologicznie niezmiernie trafnem i w najwyższym stopniu chwyta za współczucie. Rozdzierający jest widok tej biednej waryatki, szczęśliwej swojem szaleństwem, bo teraz „wszystko pojmie, zrozumie, wygra, wyśpiewa, bo mąż już nią nie pogardzi, ona jest pełna natchnienia, ona równa jemu". Modliła się o to długo, pokutowała i biła się w piersi, prosiła Boga, żeby spuścił na nią ducha poezyi, aż wreszcie Bóg jej wysłuchał i stała się poetą; nieszczęśliwa bierze za zesłanie ducha poezyi tę chwilę, w której rozum jej się pomięszał. Ale nic okropniejszego, nic tragiczniejszego,

jak położenie Hrabiego. Wiedzieć, że jest przyczyną tego stanu żony, widzieć ją w domu obłąkanych szczęśliwą swojem szaleństwem, bo kochającą zawsze i myślącą tylko o tem, że stała się równą jemu, mówić sobie, że to skutek marzeń żądań i samolubnych wybryków jego fantazyi, to straszne. Szlachetna natura Hrabiego odzywa się gorzkim wyrzutem sumienia: „Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy itd.“

Ale jest coś straszniejszego, coś tragiczniejszego jak to. Zaledwo Henryk uczuł to piekło zgryzoty i wyrzutu sumienia, w chwili, kiedy szczerą uczuł boleść i żal do samego siebie, w tej samej chwili słyszy głos zkądsić, który mu szepcze po cichu „dramat układasz“. Ten głos, który on nazywa swoim szatanem, to nie głos z zewnątrz, on jest w nim samym. On to wie, że tyle razy swoje uczucia przesadzał, wmawiał w siebie, udawał przed sobą, żeby wywołać w sobie jakieś silniejsze wrażenie i cieszyć swoją wyobraźnię, że teraz już sam nie jest pewny, sam nie dowierza, czy on rzetelnie i na prawdę czuje, czy w siebie wrażenie wmawia, czy poetyzuje. On w tym razie czuje na prawdę, jest szczerze nieszczęśliwym, żałuje żony, siebie oskarża: a przecież, ma wątpliwość czy to prawda czy udanie. On tyle razy zmusił swoje uczucie do kłamstwa i udawania przed sobą samym, że już mu wierzyć nie może: już jego sumienie nie wie, co w nim jest prawdą, a co fałszem, poetyzowaniem siebie. *Hamlet* przez nadużycie refleksyi dochodzi do rozprzężenia woli, nie wie czego chce i czy chce: ten przez nadużycie fantazyi dochodzi do czegoś może jeszcze boleśniejszego, traci świadomość i pewność swego uczucia, nie wie czy czuje na prawdę, czy mu się to tylko zdaje. To rozdwojenie uczucia na dwa, na doznane, na to co jest, i na to drugie wątpiące, pytające, ta konieczność niewierzenia sobie samemu i drgnięciu swego serca, to jest stan człowieka jeden z najstraszniejszych, najtragiczniejszych, jakie się dadzą pomyśleć lub spotkać w życiu lub w poezyi.

Ale przez te sceny domowe, przez te smutne obrazy stosunku dwóch dusz, przebija już to, co się dzieje w świecie poza niemi, co niebawem ma wystąpić w poemacie. Jak

głuchy daleki grzmot, jak przytłumiony huk zapowiadający trzęsienie ziemi, odzywają się w domu obłąkanych ze wszystkich stron dokoła celi Hrabiny głosy pomięszane, straszne, głosy rozpaczy lub wściekłości, szalone praeludium do tej walki która nastąpi, odbicie w małych rozmiarach w domu obłąkanych tego, co równocześnie dzieje się myśli i mówi na świecie niby zdrowych. Jeden woła: „Na rusztowanie głowy „królów i panów, odemnie poczyna się wolność ludu“, drugi tak się trzyma dawnego porządku rzeczy, tak wierzy w przeszłość, tak się z nią zrósł, że oszalał na nią, sam się królem mniema i każe przed sobą klękać. Inny, który znać cierpiał wiele nad światem i chciał go ratować jakąś nową wiarą, dostał obłąkania innego, mniema, że niósł światu objawienie, i żali się, że „w łańcuchy spętaliście Boga — jeden umarł „na krzyżu, ja drugi Bóg, równie wśród katów“. Jeszcze inny widzi i czuje tylko, że się wszystko łamie, wszystko targa, wszystko przewraca i wali, i wszystko kończy, i rozpacza gorzko nad światem: „kometa na niebie już błyska, „dzień strasznego sądu się zbliża“. Każdy z tych waryatów, to wizerunek tysięcy ludzi; ich słowa, to hasła uczuć w tysiącach piersi; wszystko to jest między nami, i ta wściekłość, i te rozpacze, i ten co się gniewa że choć trzech królów zabił „dziesięciu jest jeszcze i księży stu śpiewających „mszę“, i ten co się żali że słońce trzecią część blasku straciło i gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich. Nad wszystkimi góruje swoim przerażającym tonem szaleństwo Hrabiny. Ona wie, że sama jest w szaleństwie, wie, że na około niej wszyscy szaleją, czuje teraz, choć dawniej zapewne nie wiedziała, że świat cały moralny i społeczny, porwany jakimś szalonym wirem, sam nie wie gdzie idzie. Więc wszystko szaleje? Nie, jeszcze nie; Bóg jeszcze się trzyma, ale kto wie? może i jego porwie to powszechne obłąkanie. Ona przypuszcza że i do tego przyjść może, i jak ciekawość, jak tajemnicę, powierza mężowi, coby „było, gdyby „Bóg oszalał“, a co najstraszniejsze, to, że w tych urojeniach jej szaleństwa jest coś podobieństwa do tego, co ona widzi, do rzeczywistości, że choć „człowiek każdy, robak każdy,

„nie krzyczy, ja Bogiem“ — ale woła przynajmniej „ja środ„kiem i celem świata“, że „krzyż, nadzieja milionów“ istotnie słychać, jak „łamie się, pęka i rozlatuje w kawały“. Tylko Hrabina w obłąkaniu swojem widzi, coby się stało, gdyby Bóg oszalał, myśli że to „Chrystus rzucił swój krzyż w otchłań“ i dla tego myśli, że nic z niego nie zostało tylko „wielki tuman“. Jej szaleństwo wyciąga logicznie ostatnie konsekwencye rzeczy. Ludzie o zdrowych zmysłach, choć słyszą jak wszystko, i krzyż nawet „łamie się i rozbija w kawały“, wiedzą, że tylko ludzkie ręce próbują rzucić go do otchłani, i że jej przepowiednia nie spełni się, bo świat tylko oszaleć może, ale jego granice są i kresem szału: a myśl zbawcza, myśl opatrzności, nienaruszona i wieczna, unosi się nad nim jako lekarstwo na wszystkie obłąkania naszych rozumów i woli.

II.

Orcio. Jego natura jest karą Henryka. Potrzeba dwóch pierwszych części poematu. Właściwa tragiczność Henryka. Pankracy. Jego przeszłość i teraźniejszość. Jego tragiczność. Powód jego pociągu do Henryka. Tło obrazu. Pierwiastki, stopnie i typy rewolucyjnych popędów. Czego Henryk szukał w obozie Pankracego?

Trzyma się Krasiński w *Nieboskiej komedyi* tego zwyczaju, że każdą część swego poematu poprzedza wstępem który jest jakżeby prologiem i uwerturą do dyalogów i scen w niej objętych, i charakterystyką tej postaci, która w niej główne miejsce ma zajmować. Tak wstęp do części pierwszej odnosi się do Henryka, trzeciej do Pankracego; wstęp do drugiej, poświęcony jest synowi Hrabiego, nieszczęśliwemu małemu poecie Orciowi. Przepyszny, pełen wdzięku i smutku jest opis tego dziecka, które „nie hasa na kijku, much nie „morduje, nie wbija na pal motyli, nie tarza się po trawni„kach, nie kradnie łakoci, nie oblewa łzami wszystkich liter „od A do Z, tylko czoło opiera na rączkach i zdaje się ma„rzyć, a jak kwiat obarczony rosą, tak skronie jego obar„czone myślami“.

Co jest tajemniczego, co tak smutnego i fatalnego w tem dziecku, że „cyganka, wpatrzywszy się w jego rękę, nie powiedziała nic, jęcząc odeszła, i dukata wziąć nie chciała?“ co za dziwna siła, że magnetyzer który je chciał uśpić, przeląkł się, bo uczuł, że sam zasypia? ksiądz chciał uklęknąć jak przed świętym obrazkiem, malarz, który go widział w chwili gniewu, wymalował za małego dyabełka w obrazie sądu ostatecznego? Co jest w tem dziecku, że ono wygląda jak „kwiat, któryby miał duszę, ale jak kwiat zwiędły i usychający?“

W tem dziecku tkwi zawsze kara ojca, pod inną formą ta sama zawsze kara, i męka: poezya. Nadzwyczajności, marzeń, natchnień, żądał on zawsze, gardził ludźmi i życiem dla tego, że poezyą nie były, żonę porzucił, bo mu dość wzniosłą nie była; a teraz za karę ma w synu czego chciał: natchnienie, marzenie, intuicyę, poezyę czystą, i to staje się dla niego źródłem nieskończonych udręczeń i zgryzot. Orcio jest stworzeniem najpiękniejszem, najczystszem, najidealniejszem jakie się da pomyśleć; wszystko w nim wzniosłe, przejrzyste, eteryczne. To jest aniołek; ale nie czerstwy, zdrowy, swobodny i dziecinny aniołek malarzów włoskich, tylko zamyślony i tęskny aniołek, który choć w dziecinnych latach i kształtach jest poetą, jak wyrobiony człowiek myśli, czuje, tworzy i cierpi. Wszystkie najdroższe dary zlały się na tę główkę dziecinną; tylko jedno nieszczęście, jest ich za wiele! jest ich tyle, że to stworzenie wiecznie niemi gdzieś w górę unoszone na ziemi nie żyje, jest tak wzniosłe i piękne, że nigdy człowiekiem być nie potrafi. Orcio to nie człowiek, to czysty duch, to jakiś dźwięk, poetyczne zjawienie, ale ziemskiego, cielesnego w nim tak mało, że on bez swojej winy i wiedzy w rzeczywistości żyć nie może, on o niej nic wie ani ona o nim. Od pacierza, który w swoich zwyczajnych słowach nie może wejść mu do głowy, tylko staje się poetyczną waryacyą na temat Zdrowaś Marya, aż do tego ciągłego przebywania wśród świata niewidzialnego, do tych widzeń i rozmów z duchem zmarłej matki, wszystko dowodzi, że rzeczywistość, w jakiejkolwiek swojej formie, dla niego

nie istnieje, że on na tym świecie wprawdzie jest, ale żyje po za nim; jego rzeczywistością jest to, co dla nas niewidzialne, niedostępne i niepojęte. Ciało wątłe, kwiat opadający, do tego życia nie należy wcale, samo nie wie, na co jest i co ma z sobą robić; i dlatego choć nie chore, nie cierpiące, jest przez całe życie mdlejące i opadające. Koroną tego wszystkiego, jest ślepota biednego chłopczyny; źrenice jasne, czyste, błękitne, na pozór najzdrowsze i najżywsze z ludzkich źrenic, a na prawdę martwe i ociemniałe bez ratunku. Na cóż mu oczów, które patrzą w ten świat podpadający pod zmysły, kiedy on ma jakiś swój wzrok inny, wewnętrzny, którym widzi dobrze ten świat w którym żyje. Ale ojciec, który tę ślepotę widzi, musi sobie mówić, że syn jego nie dla ziemskiego życia ani ono dla niego, i cierpi. A cóż dopiero później, kiedy w czasie walki biedny, ślepy Orcio nie widzi tego, co się koło niego dzieje, rzeczywistości wypadków, ale swoim drugim wzrokiem widzi ostatnie ich przyczyny, widzi w zawalonej baszcie sąd na ojca, i powtarza mu te słowa „za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie"; jakąż karą i męką dla ojca są te natchnienia, ta poezya syna! jak on cierpi nad jego losem naprzód, a potem nad tym jego darem wieszczym, przez który to dziecko w stanowczej, najboleśniejszej chwili staje się dla niego tak okrutnym, takim surowym i nieubłaganym sędzią.

Ale oprócz poetycznej piękności i smętnego wdzięku tego Orcia, oprócz tego pomysłu w poezyi bardzo oryginalnego i prawdopodobnego, choć nie wiedzieć czy byłby takim wobec psychologii i fizyologii, tego fenomenu moralnego zapatrzenia się, przez które Hrabina dała swemu dziecku duszę, jaką mu dać chciała, i oprócz tego jeszcze, że w rzeczywistości, istotnie jak tu w poemacie, dziecko bywa czasem dalszym ciągiem i wyższą potęgą natury i myśli ojca; oprócz tego wszystkiego jest w tym pomyśle pewna prawda moralna, którą poeta sam pomija, nie wskazuje jej wyraźnie, ale która przecież logicznie z natury Hrabiego Henryka wypływa. Henryk poeta, Henryk przejęty swoją własną wyższością, i wreszcie Henryk dumny z rodu i zakochany w jego

wielkości i sławie, przez całe swoje życie jeżeli myślał o synu (myślał że go mieć będzie), zawsze widział go człowiekiem wyjątkowym, dzielniejszym, mędrszym, wyższym od innych; innego nie przypuszczał. Jego syn zwyczajnym średnim człowiekiem być nie może, musi mieć naturę wyjątkową i nadzwyczajną! W tych marzeniach o synu, w tych pragnieniach dla niego, Henryk myślał o sobie i siebie kochał; instynktem, nie rozumując, takiego syna chciał i takiego kochał, któryby podchlebiał jego miłości własnej, jego dumie. I znowu ukarany jest tem, czem zgrzeszył. Jego syn jest wyjątkiem, jest nadzwyczajnością, ale jest nią zanadto; jest do tego stopnia, że przez swoją nadzwyczajność ani na tym świecie żyć, ani ojcowskich marzeń o sławie spełnić nie może, że nie może być dla niego ani podporą, ani dziedzicem jego myśli i domu, ani pociechą; owszem, sam nieszczęśliwy, staje się nieszczęściem i dla ojca, przez to tylko, że jego żądania spełnił i przeszedł.

Jeden jeszcze szczegół na który trzeba zwrócić uwagę, to nadzwyczajna drażliwość i delikatność natury tego Orcia. Tak wątły jak jest, on jako poeta jest silny, wystarcza sobie, *odit profanum vulgus.* I on także nie jest śpiewakiem dla ludzi, on o swoich widzeniach i natchnieniach nie mówi. Dopóki jest dzieckiem jeszcze, fantazyuje przed ojcem bezwiednie na temat Zdrowaś Marya, i powtarza wiersze, które słyszał od swoich duchów; ale z latami zamknął siebie i wszystkie skarby swojej poezyi, i jak skąpiec ma je dla siebie i nie pokazuje nikomu. A tak jest w tem dumny i zazdrosny, tak trzyma na wodzy swoje myśli i uczucia, że one, potrzebując koniecznie wylać się na zewnątrz, mogą to uczynić tylko wtedy, kiedy jego wola i świadomość siebie jest nieczynną. Jak zgryzoty sumienia Lady Macbeth, tak natchnienia Orcia wyjawiają się raz tylko i bez jego wiedzy, w somnambulizmie. Dopiero w twierdzy Św. Trójcy, kiedy widzi ów sąd na ojca, wtedy nie kryje się przed ojcem i odpowiada na jego pytania; ale w tej scenie cel autora był oczywiście nie ten, żeby biedny niewinny syn miał straszne widzenie, ale żeby się o tem widzeniu ojciec dowiedział.

Rozdzierające i coraz smutniejsze są słowa, któremi Henryk użala się nad synem: „mnieś przynajmniej obdarzył „siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć. „A jemu? dałeś ciało do pajęczyny podobne, które lada myśl „wielka rozerwie“. A potem ta prośba tak smutna, w której on zrzeka się wszystkiego, tylko żeby mógł „dziecię kochać w spokoju“. I tu już żaden zły duch nie przerywa mu i nie mówi „układasz dramat“! w to uczucie, w ten ból on nie wątpi. A dalej odzywa się ten sam, tylko w wyższej potędze, słowami jeszcze smutniejszemi: „Biedne dziecię, dla win „ojca, dla szału matki przeznaczone wiecznej ślepocie, bez „namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego „anioła rzucony na ziemię... Gdzie się mam upomnieć o krzywdę „mojego dziecka! Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw „śmieje“. Wreszcie to ostatnie, kiedy już słychać grzmoty nad głową, kiedy Henryk wie, że za chwilę będzie musiał stanąć do walki a Orcia zostawić, nie myśleć o nim, nie patrzeć w jego oczy, nie czuwać nad jego snem, i kiedy go na pożegnanie błogosławi, a takim tonem jak żeby go przepraszał, że mu dał życie: „Niech moje błogosławieństwo „spoczywa na Tobie! Nic ci więcej dać nie mogę, ni szczę„ścia, ni światła, ni sławy, a dobija godzina, w której będę „musiał walczyć. Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród „stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto razem, biedny „śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duchem za obrębem ziemi, „a ciałem do ziemi przykuty, o ty nieszczęśliwy, najnieszczę„śliwszy z aniołów, o ty mój synu!“

Doprawdy po tych wszystkich kolejach ma Henryk prawo powiedzieć, że odkrył „grobową próżnię w sercu swo„jem. Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, „żadnej wiary, miłości nie ma we mnie, jedno kilka prze„czuciów krąży w tej pustyni, o synu moim że oślepnie, „o towarzystwie, w którem wzrosłem, że rozprzęgnie się, i cier„pię, tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie“.

Czy doszedłszy do tego, osądziwszy sam siebie tak rozpaczliwie, on się upamięta? Nie. Anioł Stróż w tej chwili

przypomina mu dawną naukę Aligiera, żeby kochał ludzi w czynie: „schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich swoich, biednych bliźnich swoich, a zbawion „będziesz“; ale on dawnym zwyczajem słucha dawnych pokus swoich. Jednego wrażenia nie doznał, jednej poezyi nie wypił do dna, nawet nie zakosztował dotąd, władzy i walki. I kiedy zły duch, jak orzeł unosząc się nad nim, kusi go do chwały, każe mu nie ustąpić nigdy i obiecuje, że wrogi jego pójdą w pył, on nie pyta i nie dba czy to „fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zguba“, ale wierzy posłannikowi chwały: „Przeszłości bądź mi ku pomocy, a jeżli duch twój „wrócił do łona Boga, niechaj się znów odezwie, zstąpi ku „mnie, stanie się myślą, siłą i czynem“. Jak żmija strącona nogą w przepaść, tak jego przeciwnicy stoczą się na „dół i po nich żalu nie będzie, sławy nie zostanie“. On wie co go czeka, kiedy idzie walczyć z bracią swoją: „oni naprzód, ja potem“ mówi, ale myśli, że po nich sławy nie zostanie, a on ją po sobie zostawić potrafi.

Na tem kończą się dwie pierwsze części *Nieboskiej,* te w których Henryk występuje nie w walce z Pankracym jeszcze, nie jako jedna siła w społeczeństwie przeciw drugiej, ale sam z sobą i w codziennych, zwyczajnych stosunkach i obowiązkach człowieka. Dlaczego chciał go poeta w tych stosunkach i obowiązkach pokazać? To co ma nastąpić, mogłoby zdaje się obejść się bez tego co było dotąd. Hrabina i jej szaleństwo, Orcio i jego ślepota, wszystko to nie było koniecznem; Henryk bez tej żony, bez tego syna, mógłbył tak samo walczyć z Pankracym. Być może. Tylko bez tego wszystkiego nie mógł być Henrykiem. Poeta chciał na czemś pokazać, że to jest człowiek naszego wieku, chciwy wrażeń, z fantazyą zwróconą na siebie samego. Naprzód, typ taki miał prawo figurować w poezyi naszego wieku, powtóre, tylko taki mógł prowadzić walkę z Pankracym tak jak ją prowadzi Henryk, z tą dzielnością, z tym uporem, z tem stałem postanowieniem, żeby nie ustąpić. Jakiż bowiem pierwiastek pomiędzy obrońcami dawnego porządku rzeczy, dawnego społeczeństwa, mógłby prowadzić tę walkę z taką ener-

gią i z takim uporem? Interes, własność, kapitał, industria, posiadłość ziemska? nie, ta się broni, ale w pewnej chwili, oblicza, że lepiej coś zachować jak wszystko stracić, i poddaje się; to cała zgraja ludzi bogatych w twierdzy świętej Trójcy. Czy roztropność, wyrachowanie, umiarkowanie? Te przejdą łatwo na stronę mocniejszego, i z Ojcem Chrzestnym uznają, że ich obowiązek obywatelski nakazuje im znaleźć się w obozie Pankracego. Czy arystokracya, nazwiska, tytuły, genealogie? nie, przychodzi chwila, w której się to wszystko zrzuca jak balast z tonącego okrętu, byle uratować życie; Hrabiowie i książęta z Św. Trójcy błagają Pankracego o życie. Religia wreszcie? ta nie walczy; prześladować się daje, ale nie wydaje bitw, naprzód, bo to nie jej powołanie, powtóre, że ziemską bronią i siłą zwyciężyćby nie mogła, a wreszcie dla tego, że cokolwiek się stanie, ona wie, że nikt i nic nie potrafi jej wyśledzić w sercach, w których jest i tam ją pokonać; wie, że jej panowanie może mieć zakres szerszy lub ciaśniejszy, że może być otwartem lub tajnem, ale jest pewna, że go nie straci, zwycięzców się nie boi. Nie w interesie więc, nie w politycznych teoryach, nie w wyobrażeniach kastowych, nawet nie w uczuciu religijnem znalazłby popęd i siłę człowiek, któryby chciał walczyć na śmierć i życie.

Trzeba takiego, któryby naprzód objął to wszystko potężną intelligencyą i wystąpił za całość zagrożonych zasad, uczuć lub interesów; na to Henryka stać. Powtóre trzeba takiego, który broniąc swojej sprawy, widziałby nie jej rzeczywistość tylko, ale jej principium, jej ideał; któryby był przywiązany nie do faktycznego stanu rzeczy, nie do tego historycznego rezultatu, do którego doprowadziły zasady, za które on walczy, ale do ich pojęcia idealnego, do tego stanu rzeczy, jaki one wydać powinny. Słowem takiego, któryby historyę i społeczeństwo pojmował idealnie, a kochał poetycznie; trzeba było poety. Takim jest Henryk. On nie ma zapału ani przywiązania, owszem on ma pogardę dla wszystkiego co jest; on jeżeli ma lub miał jakiegoś króla, nie wierzy w niego i nie czci go tak, jak kiedyś wierzyli w swoich

królów ludzie średniowieczni; on wspólności przekonań i interesów z ludźmi swego obozu nie czuje wcale, co najwięcej rozumuje ją i wmawia w siebie. Ale on myśli o ideale tego wszystkiego. Czy ma nadzieję lub nie, że dawne rycerstwo potrafi odkwitnąć, że monarchia znajdzie jeszcze reprezentantów świetnych jak niegdyś, rycerskich i poetycznych Hohenstaufów, Warneńczyków ginących na polu bitwy, Henryków Czwartych i tym podobnych, to wszystko jedno: on wie, że to było i że być powinno, i dlatego, dla miłości tych rzeczy pięknych jakie były, broni tego co dziś jest, choć go to mierzi. A w odrodzenie tej piękności może wierzy, bo się sam czuje do tamtych ludzi podobnym, czuje w sobie odwagę, honor, rycerskość, popęd do wielkich czynów i t. d. Poprostu on swoją sprawę kocha nie wiarą, nie przekonaniem, ale fantazyą, poetycznie. On żałuje tego świata, który w jego oczach ginie, bo był piękniejszym i poetyczniejszym od tego na który się zanosi. Może on sam nie bardzo wierzy w Boga, ale mówi sobie, że okropny byłby świat, któryby w niego nie wierzył, nie widział żadnego nieba nad sobą; może on nie szanuje cywilizacyi dzisiejszej, ale patrząc na obóz Pankracego mówi sobie, że z niego lepsza nie wyjdzie; on żałuje jak artysta pięknej malowniczości świata i historyi, mówi sobie, że z nim razem zniknie i bujna, dawna indywidualność człowieka, i wszystkie piękne ozdoby świata; Pankracego obóz nie zbuduje gotyckich wież, nie wystawi Wenecyi ani Watykanu, nie wyrzeźbi Mojżesza, nie wymaluje Transfiguracyi, nie wyda ani Cyda, ani Godfryda, ani Sobieskiego; piękność zniknie w tym świecie materyalnych pragnień, zniknie z historyi, ze sztuki, z obyczaju, a on tęskni za nią i pyta jak ten świat wyglądać będzie bez niej, bez jej śladów przynajmniej, choćby tylko bez jej złudzeń.

Musiał więc Henryk być poetą, a żeby go jako takiego przedstawić, potrzebował Krasiński dwóch pierwszych części *Nieboskiej*. Ale prócz tego potrzebne one były na to, żeby tragiczność tej postaci wydała się w całej swojej okropności. Tragiczność ta bowiem polega zapewne w tem, że on sam w siebie nie wierzy, że walczy i ginie i poświęca się dla myśli,

w której nie ma słuszności i prawdy, ale nadewszystko tkwiona w tem, że on nie wierzy w swoją sprawę, że broni porządku rzeczy, którego nie szanuje i nie lubi. „Postęp, szczęście „rodu ludzkiego! i ja kiedyś wierzyłem — ot macie, weźcie „głowę moją, byleby... stało się, teraz trza się mordować „nawzajem, bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia“. Tragiczność Henryka leży w tem, że on wierzył kiedyś w tę wolność, w tę równość, w to uszczęśliwienie ludzi, za które niby walczy Pankracy; wiara jego młodości, jedyny może zapał jego życia był przy tej sprawie, a teraz on musi walczyć po stronie przeciwnej, on, który chciał być apostołem przyszłości, musi być rycerzem przeszłości? Dlaczego? bo ta przyszłość, którą pojmował także wysoko i uczciwie, którą miał za prawdziwe podniesienie i uszlachetnienie ludzkości, objawiła mu się jako nowe wcielenie wszystkich starych zbrodni świata; bo na samym wstępie, w pierwszym kroku jaki chciał zrobić ku urzeczywistnieniu swoich humanitarnych marzeń, powiedział mu Pankracy, żeby sobie wybił z głowy miłość i braterstwo i tym podobne frazesy a znał rzeczywistość, którą jest gilotyna i nóż. To rozczarowanie człowieka, który wolność i postęp kocha, a musi patrzeć jak pod ich pozorem chodzi „o zmianę plemienia“, i przekonawszy się o tem nawraca, zamyka się w świętej Trójcy, nie z miłości ludzi ani form które się tam zamknęły, ale dla tego, że tam jeszcze widzi religię, rodzinę i własność, których u Pankracego nie ma, i dla tych musi bronić twierdzy ze wszystkiem co ona w sobie zawiera, to jest prawdziwa tragiczność Henryka, to jest straszne położenie człowieka szlachetnego w naszym wieku, położenie w które go wpędził Pankracy mówiąc, że „Bóg twój to mara, słowo „ojczyzna“ to przesąd, honor, podarty łachman w sztandarze ludzkości, a Równość i Lud będzie dopiero wtedy, jak już krew wa- „sza i szpik waszych kości, rozłoży się chemicznie i zniknie „w przestworze“. Ta konieczność mimowolna, fatalna, robiąca konserwatystów z ludzi, którzyby właśnie chcieli nie zachowywać ale zmieniać, bo widząc że inni z kąkolem chcą wydrzeć pszenicę, bronią już kąkolu, byle nie dać wydrzeć

pszenicy, to jest sam rdzeń tragiczności Henryka. Postać ta po raz pierwszy pojętą była z tej strony przez Klaczkę w Bezimiennym Poecie: „Zapewne, mówi on, bolesna jest pragnąć „dobra, przeczuwać je, a widzieć się bezsilnym przeciw „złemu; *Hamlet* doznał tej tej strasznej męczarni. Ale czło„wiekowi naszego wieku było przeznaczonem doświadczyć „czegoś nierównie gorszego; tęsknić za dobrem, a być zmu„szonym nie tylko znosić złe, ale go bronić, z obawy cze„goś jeszcze gorszego, że strachu przed otchłanią nicości. „*Hamlet* obrońca panowania głupców i oszustów, Osrików „i Poloniuszów, *Hamlet* zasłaniający własną piersią tron „zbójcy Klaudiusza, a to wszystko dla tego, żeby się nie „poddać logice grabarzy, którzy sądzą, że „najwyższe szla„chectwo należy się garbarzom i grabarzom“ — ironia to „gorzka, piekielna. A przecież taka rola spadła na Hrabiego „Henryka, do której bywa czasem zmuszony człowiek libe„ralny XIX wieku. Walka to nierównie smutniejsza i obfitsza „w zawody, aniżeli bywały w czasach niezbyt jeszcze od„ległych, bo w tej walce sami chwytamy się czasem na go„rącym uczynku nie braku wiary tylko, ale braku dobrej „wiary; a dramat jest rozdzierający najbardziej przez to, że „choć tak tragiczny i „nie boski“ niekiedy bywa przecież „podobnym do komedyi“.

Zrobiono uwagę, bardzo trafną, że ten pierwiastek tragiczności w postaci Hrabiego Henryka, nie mógł być zrozumianym, dopóki świat europejski sam na sobie doświadczenia tego nie zrobił, i że na zrozumienie jego naprowadziły dopiero wypadki roku 1848-go. Dla tego to Mickiewicz tej strony w charakterze i działaniu Henryka nie dojrzał; może i dla tego po części, że nie znał, jak my, jego przeszłości w *Niedokończonym poemacie.* Otóż, żeby ta tragiczność główna i najwyższa w Henryku być mogła, musiał Krasiński przeprowadzić go przez takie koleje życia, któreby w nim nie zostawiły żadnych złudzeń, żadnego przywiązania do ludzi lub zasad. Henryk walczący z przekonania za cokolwiek, za jakąkolwiek monarchię, lub dynastyę, lub konstytucyę, byłby bohaterem piękniejszym może, sympatyczniejszym, ale

nie tak strasznie tragicznym. Potrzebował Krasiński mieć go „z grobową próżnią w sercu“, doprowadzić go do tego stanu, w którym już żądzy żadnej, żadnej wiary ani miłości w nim nie ma. Rzeczywiście on tylko fantazyą żąda walki i sławy, ale w przedmiot walki nie wierzy; on go tylko fantazyą poetycznie żałuje, ale go nie kocha. Człowiek w tym stanie nie byłby dla nas zrozumiałym, gdybyśmy nie wiedzieli, jakim sposobem on do niego doszedł. I dla tego musiał Krasiński pokazać, że wypaliły się w nim wszystkie żądze, wiary i miłości; musiał go przeprowadzić przez humanitarne marzenia do zwątpienia w nie (w *Niedokończonym Poemacie)*, do zwątpienia w marzenia poetyczne, w szczęście, we własne uczucia, w siebie samego, w dwóch pierwszych częściach *Nieboskiej*.

Pankracy nie wymagał tyle przygotowań; natura nie tak zawiła, człowiek z jednej sztuki; jego uczucia, jego dążności i koleje życia nie przedstawiają tylu stron rozmaitych, z którychby każda odbijała jakąś właściwość wieku. Jakkolwiek i kiedykolwiek on na drogę swoją wszedł, wie się, że szedł po niej z wielką logiką i konsekwencyą, aż doszedł tam gdzie go widzimy; że go po drodze nie wstrzymała żadna słabość uczucia, żaden przesąd zasad lub pojęć. Widząc jego teraźniejszość, zna się przeszłość, bo nie znając wypadków jego życia, droga jego myśli leży przed nami otwarta, równa i prosta i w jednym zawsze wytknięta kierunku. Zapewne, przeszłość Pankracego mogłaby dostarczyć wątku na poemat głęboki jak przeszłość Henryka; i w nim byłby materyał na pierwszego bohatera, na główną figurę poematu. Ale tu jest drugą tylko, jest przytem postacią daleko mniej zawiłą, mógł więc Krasiński zostawić go w tyle zupełnie, nie wyprowadzać go psychologicznie i historycznie z przeszłych wypadków, i dopiero w chwili walki go pokazać. Ale przychodzi wreszcie i ta chwila; i jemu czas wyjść naprzód. I na nim znowu, jak na Henryku, jak na Irydionie i Massynissie, okazuje się ten szczególny dar jaki miał Krasiński, kreślenia postaci prawdziwie wielkich, wybijania na nich piętna wyższości. W Pankracym jest siła ogromna. Jest in-

telligencya ścisła, sucha, ale potężna; jest ufność bezwzględna w swoją siłę; sprawiedliwym był poetą względem niego, i jeżeli Henrykowi dał miarę większą od miary zwyczajnych ludzi, tedy i Pankracy nie jest podług miary krawca. Czuć w nim siłę rozumu i woli, czuć, że stworzony jest do rozkazywania. Przepyszny jest kontrast tych dwóch ludzi, ten poeta i marzyciel, który niegdyś wszystko brał uczuciem, dziś wszystko bierze fantazyą, naprzeciw tego człowieka pozytywnego, który tylko rzeczywistość zna i uznaje, którego duszy treścią i siłą jest logika, ścisła, nieubłagana, nie cofająca się przed żadną dedukcyą, tak ufna w siebie, że idzie śmiało i ślepo do ostatnich swoich konsekwencyj: a gdy te zawiodły, gdy się pokazało, że ta logika była złudzeniem, człowiek ginie, bo nic nie miał prócz tej logiki, nic mu już nie zostało, nie miał o czem żyć dalej. „Głos jego przeciągły, „ostry, wyraźny, każde słowo rozeznasz, zrozumiesz; ruchy „jego powolne, łatwe, wtórują słowom jak muzyka pieśni. „Czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce nie „masz, wszystkie wypadły strącone myślami. Skóra przyschła „do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości „i muszkuły, a od skroni broda czarna wieńcem twarz opa„suje. Nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach; oczy „nie wzruszone, chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie „dojrzeć“. Oto opis zewnętrzny. Ale to nie jest ta bladość Kassyusza, której tak nie lubił Cezar; ponurość tej twarzy nie jest skutkiem zgorszenia ani oburzenia, nie smutku za jakimś ideałem straconej republiki, nie tęsknoty za ideałem jeszcze nie wcielonym. On nie zawoła konając jak Brutus „cnota jest tylko złudzeniem“, bo w to złudzenie on nigdy nie wierzył i nie gonił za niem. On namiętność znał kiedyś, (słychać ją w jego głosie w *Niedokończonym Poemacie)*, dziś nie ma już ani namiętności nawet; ale złudzenia nie miał nigdy, bo to mieć mogą tylko ludzie zdolni coś kochać, coś czuć i w coś wierzyć. On nie kochał nic nigdy, nie szanował nic nigdy, wierzył tylko w swój rozum i w swoją siłę. Cóż on miał kochać? i dlaczego? Matka wydała go na świat, bo nie mogła zrobić inaczej; ojciec dał mu życie przypad-

kiem; wielkie pytanie, czy ma im za to być zobowiązanym lub nie. Miłość? on może kochał tak jak człowiek je, śpi, odziewa się kiedy mu zimno, ale innej wartości, innego wdzięku, żadna kobieta dla niego nigdy nie miała. Szanować? cóż on miał szanować i dlaczego? człowieka? to stworzenie ma prawo starać się, żeby mu było wygodnie i dobrze, ale bardzo się myli, jeżeli sobie przypisuje jakąś wartość, zasługę i chce być szanowanem, kiedy robi tylko to wskutku swojej danej organizacyi fizycznej robić musi. Bóg, jest dawno zarzuconym przesądem; prawo moralne sztucznie, a nieraz przewrotnie ułożonym kodeksem czczych konwenijencyj? cóż tu więc kochać? nic — co szanować i w co wierzyć? w swoją siłę, w swoją zdolność kierowania tem ludzkiem bydłem. Zkąd się to wzięło i co się z tem stanie, mniejsza: ale dziś to jest. Dusza tak wyschła i skostniała, że policzyłoby się jej za cnotę nawet zbrodnię popełnioną pod wpływem jakiegoś zapału, jakiegoś popędu, jakiegoś uczucia, byle zdobyła się na zapał i uczucie, bodaj złe: ale tego nie ma. I ta oschłość duszy, to że ona nic nigdy nie kochała, nie szanowała i w nic nie wierzyła, że czuć zdolna była tyle tylko, żeby nienawidzieć, to odbiło się w martwej, ponurej bladości jego twarzy, to wrzyna się żółtawym zmarszczkiem w jego skórę i muszkuły, to sprawia, że jego wzrok się nie rusza a kolor twarzy nie zmienia.

Portret moralny Pankracego znajduje się w *Niedokończonym poemacie*, w jego rozprawie z Aligierem, a rysuje częścią w jego własnych, częścią w słowach tamtego. Oto co tam mówi ścisła i pozytywna logika Pankracego samego: „kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję. Świat zgniły, „szlachta polska zgniła. Rady nie ma, być albo nie być. Ja „chcę być. Kto godzi w cel, ten środków się jak strzał za„trutych chwyta. Przekleństwo bałamucącym na drodze dzie„jów, leniwym i uczonym, miłosiernym i czystym. Brud nie „brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości, zasady „niech żyją, a niech ginie pół Europy“. A na to odpowiada Aligier, „że ten człowiek genialny jest, duch ten potężny“, ale „możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną,

„utajoną w nim — lecz nie potrafi rozmówić się ani z Bo„giem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani z sobą samym „wiarą i przekonaniem. Ty, co powtarzasz tylko Lud, Lud, „a nigdy naród nie powiesz; co chcesz wielkich rzeczy od „siebie się doczekać a od Boga nie poczynasz; co za pod„stawę przyszłej budowy stawiasz mężobójstwo; ty, co za„wiścią zdjęty starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste „postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej imie „konieczności; wierzysz-li sam temu coś tu oświadczył przed „nami?“

Na razie Pankracy odpowiada wymijająco, lub każe innym odpowiadać za siebie; ale przyszedł czas, że mu się to pytanie przypomni, że on sam zamyśli się nad tem, czy wierzy w swoją teoryę, w swój system. W tej chwili wyprowadza go poeta na scenę w *Nieboskiej komedyi.* On zrobił wszystko czego chciał, wszystko zwyciężył, świat jest jego; jego siła nie znalazła zaprzeczenia, jego teorya stała się rzeczywistością. I w tej chwili właśnie, kiedy dopiero mógłby w siebie i w swoje zasady zupełnie uwierzyć, on wtedy zaczyna wątpić. Już to nie ten Pankracy, co za młodu w zborze weneckim dążył i walczył wściekle jak Tytan, a przemawiał ogniście i namiętnie, bo namiętnie chciał; on teraz już nie wie czego chce, czego ma chcieć i co ma robić. On na pozór jeszcze tak samo przemawia, trafia machinalnie na dźwięki i pozory swojego zapału, rzuca swoje słowa tłumowi ludzi, szermuje niemi z Henrykiem; ale tylko nie myślący tłum, co najwięcej zaślepiony fanatyk Leonard, może nie widzieć, że to brzęk pusty, z którego już dusza uleciała, powtarzane hasła, które dla mówiącego straciły swoje znaczenie. Henryk, równy Pankracemu, nie daje się złudzić, przeziera go na wskróś; a on sam, wmawia w siebie wiarę w swoje zasady i w siebie, bo czuje instynktem, że kiedy tę straci, zostanie mu tylko rozpacz i śmierć. Ale on już wie tę rzecz straszną, że nie wie czego chce i czego ma chcieć. „Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łu„dzisz — wstydź się, przecie ty znasz swój cel, ty jesteś „panią ludu, w tobie zeszła się wola i potęga wszystkich,

„i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie. Ludziom „podłym, nieznanym, nadałaś imiona, ludziom bez czucia „wiarę nadałaś, świat na podobieństwo swoje, świat nowy „utworzyłaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiesz „czem jesteś?“ — Rozpaczliwie, jak rozbitek ostatniej deski zbawienia, chwyta się Pankracy wiary w siebie i swoją myśl, odpycha te wszystkie pytania i wątpliwości. „Nie, nie, ty jesteś wielką“ — mówi; ale robak zwątpienia już w nim jest, już go toczy. Jak Henryk w prawdę swoich uczuć, tak ten nie może wierzyć w prawdę swojej zasady, swojego celu i środków, któremi go dopiął — jak tamten ukarany jest spełnieniem swoich marzeń, tem czem grzeszył, poezyą — tak ten ukarany jest tem czego chciał, urzeczywistnieniem swojej teoryi, zwycięztwem swojej zasady. Jak tamten tragicznym jest przez to zwłaszcza, że musi bronić tego co jest, nie wierząc w to i pragnąc czegoś lepszego, tak tragiczność Pankracego polega w tem znowu, że zrobiwszy co chciał, nie może dalej w swoje dzieło wierzyć, a musi je dalej prowadzić. On widzi, że przez niego na świecie została próżnia, czczość, przeczenie, nic innego nie znajduje koło siebie ani w sobie; zwalisk narobił, cały świat dawny roztrząsł jak nawóz pod jakiś zasiew. Ale gdy przyszło do zasiewu, on dopiero się opatrzył, że nie ma ziarna na zasiew, ani w nim, ani w tym porządku rzeczy, jaki stworzył. Jego świat jeszcze o tem nie wie; jeszcze używa wczasu i obfitości, jeszcze upojony zwycięztwem nie patrzy na jutro, nie pyta co będzie, ale niebawem i on uczuje jakiś niesmak i niepewność; i on pozna, że to obozowanie, koczowanie, biesiadowanie i niszczenie, nie może wystarczyć na długo, nie jest stałem i prawdziwem życiem; a wtedy zapragnie czegoś innego i nowego. Wtedy przestanie chwytać łakomie jego słowa i wierzyć w nie. Przyjdzie chwila, że cały ten tłum uczuje czczość i próżnią, uczuje, że już nie wie czego dalej chce, wpadnie w ospałość i w prostracyę, a wtedy zawładnie nim ktokolwiek, choćby ten Bianchetti, który już w obozie Pankracego nosi w sobie zaród przyszłej arystokracyi,—a po dyktaturze niszczenia przyjdzie jakaś dyktatura rządzenia i używania, i wszyst-

kie zbrodnie świata zrzucą nawet swoje szaty nowe i ubiorą się w dawne.

Takiej próżni i takiej rozpaczy w Henryku być nie może. On choć sam ulegnie, może wierzyć w słuszność i zwycięztwo swojej sprawy, może mieć nadzieję, że kiedyś świat ten będzie wyglądał tak, jak powinien. Czy Henryk, choć rycerz i obrońca katolicyzmu, ma jaką religijną wiarę, to wątpliwe, ale uczucie religijne ma, on jakiegoś Boga nad sobą i nad światem zna i dla tego może zdać się na niego, może umierać z pocieszającem słowem: kiedyś! Ale Pankracy, kiedy sam nadziei swoich nie urzeczywistnił, musi zwątpić zupełnie, bo jego sprawa nie jest zwyciężoną, owszem nigdy w szczęśliwszych warunkach nie była, zwyciężyła wszędzie, jest jedna na świecie, a on sam jest człowiek genialny. Jeżeli z temi warunkami ona nic nie stworzy, to nie więcej dokaże w przyszłości, bo szczęśliwszych być nie może: to znak, że w samej tej sprawie musi być jakiś fałsz, jakaś niemożność życia, jakiś pierworodny błąd, że ona musi być wielką utopią, skoro zwyciężywszy, nie może być, nie może trwać.

Dawniej, nie było w Pankracym nigdy złudzeń ani uczuć, ale była namiętność i wola; dziś namiętność się wypaliła, został tylko nałóg rozkazywania i władzy; a wola, ta wola, która niegdyś dumnie obejmowała całkowite przetworzenie świata, dziś osłabiona i chwiejąca ściąga się do przedmiotu bardzo małego, do celu, który niknie przy ogromie jej celów dawnych. Pankracy pewien zwycięztwa, nie myśli o zdobyciu św. Trójcy; wie, że ją zdobędzie, plany i projekta zostawia drobnym ludziom, Bianchettim, Leonardom. On o jednem tylko myśli, jednego chce, widzieć się, rozmówić się, zmierzyć się z Henrykiem. „Dlaczego mnie, wodzowi tysią-„ców, ten jeden człowiek stoi na zawadzie? Czemuż tak „pragnę go widzieć, omamić? czyż duch mój napotkał „równego sobie?“

„Pospólstwo, choć nienawidzi wszelkiej socyalnej wyż-„szości i przeklina ją, przecież mimowolnie ulega jakiemuś „do niej tajemniczemu pociągowi, który je niepokoi, a któ-„remu oprzeć się nie może. W pięknym obrazie Pawła De-

„laroche, ścięty Stuart ze swojej trumny jeszcze imponuje „Cromwellowi... nic dziwnego więc, że i Pankracy czuje po„ciąg nieprzezwyciężony zobaczyć swego arystokratycznego „przeciwnika, że czasem chciałby go i ocalić". Tłómaczenie to, słuszne i bystre, nie jest przecież zupełnem. Zapewne w tym pociągu Pankracego do Henryka jest i taka mimowolna ciekawość, i takie bezwiedne uznanie wyższości; ale jest ten pociąg głębszy jak to wszystko. Henryk dlatego tak Pankracego nęci, tak go magnetycznie do siebie ciągnie, że jakikolwiek jest, ma to, na czem Pankracemu zbywa; ma jakiś świat moralny, ma rzeczy, które szanuje, które kocha, w które wierzy. „Honor, to zdarty łachman wprawdzie w sztandarze ludzkości" mówi Pankracy, jednak wolałby, żeby ten łachman przed nim się ukłonił, żeby mu przyznał słuszność, a on jest w ręku nie Jenerała Bianchetti ani innego podobnego, ale w ręku Henryka. „Ojczyzna" to słowo w które nikt nie wierzy, jednak byłoby lepiej, gdyby można pokazać, że pomiędzy tem pustem słowem a porządkiem rzeczy stworzonym przez Pankracego nie ma sprzeczności, że one się z sobą godzą. Rodzina także jest jedną z przestarzałych form życia, kobieta jest wolną; jednak, gdyby można dowieść, że te nowe formy życia nie przeszkadzają starym, i w tem nie byłoby nic złego. Własność jest niezawodnie nadużyciem; jednak odbieranie własności ma zawsze jakieś nieprzyjemne pozory, a te pozory zmyłyby się zupełnie, gdyby można dojść do porozumienia z ludźmi, którzy się tej zasady własności trzymają. Tego wszystkiego reprezentantem jedynym jest dziś Henryk tylko — a Pankracy który w swojej drodze cały ten świat moralny zdeptał i pogwałcił, zazdrości Henrykowi, że resztki jego przechował. Gdyby jego potrafił pozyskać, przeciągnąć, gdyby tylko mógł zostawić go przy życiu, zrobić z nim kompromis, Pankracy czułby się sam przed sobą usprawiedliwionym, rozgrzeszonym. On w tej chwili, widząc, że w nim i w jego obozie nie ma prawdy, zaczyna przypuszczać, że u Henryka są może niektóre jej ziarna; i gdyby się z nim pogodził, dostałby niejako absolucyę i sankcyę dla swego dzieła od wszystkich

tych praw moralnych, które przewrócił, od religii, ojczyzny, honoru, rodziny i t. d., i wtedy onby na nowo w swoje dzieło i w siebie uwierzył. Jego już ani nikt z jego obozu ani on sam na duchu podnieść nie może, tylko Henryk; on swoimi gardzi, *fervide imitatorum pecus!* mówi o nich. Henryka szanuje i czuje do niego pociąg, nie dla tego tylko, że w nim znalazł człowieka równego sobie rozumem i zdolnością, ani dla tej próżnej chwały, żeby kark ostatniego arystokraty zgiąć do pokłonu przed sobą, ale Henryk budzi jego ciekawość, szacunek i zazdrość, przez to, że ma jakieś prawdy w które wierzy a przynajmniej które szanuje, a uznanie jego przez Henryka byłoby uznaniem jego przez te prawdy, przez cały ten porządek moralny, którego tamten broni.

A na jakiemże tle rysują się te dwie postacie? To jest właśnie co *Nieboskiej komedyi* nadaje wartość tak niepospolitą, co ją robi dziełem tak znaczącem w literaturze, nie polskiej tylko, ale w literaturze całej Europy. Niezawodnie faktem dominującym wieku, treścią jego historyi, jest Rewolucya, nieustająca, chroniczna; a jedynym w Europie poematem o niej, jedynem jej odbiciem w poezyi, jest *Nieboska*. Jej część trzecia, to obraz tych wszystkich doktryn, teoryj i namiętności, którą wrą w łonie społeczeństw europejskich i nurtują pod niemi, tylko już zwycięzkich, już u celu. Jeżeli czego można żałować, to tego jedynie, że Krasiński za mało pojmował swoją poezyę ze stanowiska literackiego, że trafiwszy na pomysł gienialny i wielki, nie cieszył się nim, nie kochał się w nim tak, żeby się nad nim długo zatrzymywać i rozwodzić. Z jednej strony jest to niezawodnie godne uwielbienia, ten brak miłości własnej artystycznej, to że on się ze swemi „dziećmi wieszczemi nie pieści,“ ale z drugiej strony jest to szkodą nieodżałowaną. Wystawmy sobie innego poetę, któryby był więcej literatem jak on, więcej się w pomysłach swoich rozkoszował i o własną chwałę więcej dbał: taki, gdyby w wyobraźni swojej począł obraz tak wielki, niezawodnie nie żałowałby mu czasu ani miejsca, owszem usadziłby się na to, żeby swój pomysł wyzyskać i wyczerpać do dna, żeby go wykończyć, żeby

każde ze swoich głębokich spostrzeżeń wyraźnie odznaczyć, wycieniować w osobnych figurach, grupach i scenach. Krasiński o to nie dba. Prawda, że *Nieboska* napisana jest od jednego rzutu, prędko, bez planu, prawie bez zamiaru, ale też wszystko w niej jest szkicem, spostrzeżenia najgienialniejsze, sądy najgłębsze, zawarte są w kilku rysach; cały obraz jest jak pierwszy rzut kolosalnego kartonu, rzucony tylko kilkoma śmiałemi pociągnieniami węgla lub kredy. Tylko rzut jest mistrzowski; tylko inny, żeby lata przesłęczał nad malowaniem tego kartonu, nie byłby potrafił zrobić go tak, iżby on obejmował wszystko co w nim być powinno, wszystko co w rzeczywistości w nim jest, i żeby każda część tej całości, każda siła w tej walce, miała tam swoje miejsce i swoją właściwą fizyognomię, żeby każda grupa lub każda figura ludzka, zaledwo naszkicowana, nosiła taką cechę prawdy i takie podobieństwo. Analiza namiętności rewolucyjnych, i przedstawienie różnych powodów i różnych odcieni tych namiętności, są tak gienialne, że przedewszystkiem podziwia się w autorze głębokiego, przenikliwego znawcę społeczeństwa, który tak na wskróś przejrzał jego duszę i jego stan, że mógłby wydać się raczej politykiem jak poetą; prawieby się wydać mogło, że on chybił powołania i powinien był stać na czele jakiegoś rządu, chciałoby mu się powiedzieć, kiedy nas tak znasz i tak rozumiesz, skoro po twojej diagnozie pokazuje się, że czytasz w naszym organizmie społecznym jak w książce, to rządź, radź, może potrafisz poradzić! Naturalnie, co innego jest umysł spekulatywny i analityczny, który bada, a co innego umysł praktyczny, który rządzi; Krasiński zapewne nie byłby się okazał wielkim i w syntezie; ale jego analiza jest najśmielsza, najgłębsza i najwszechstronniejsza, jaką dotąd w literaturach zrobiono. Po tym hołdzie podziwienia dla mędrca, dla myśliciela i polityka, dopiero myśl zastanawia się nad poetą, dopiero ocenia jego wielkość, sztukę z jaką on wszystkie te żywioły walki społecznej wcielił w pewne grupy i postacie, oznaczone kilkoma rysami tylko, a tak wyraziste i żywe, że żadnej nie brak tego co stanowi jej istotny charakter; kilka pociągów pędzla, ale

w tych kilku mieści się wszystko, co się w tej grupie lub jednostce ludzkiej mieścić powinno i może; każda dałaby się rozwinąć i rozciągnąć w osobne studium, w osobny poemat, w osobny obraz, a w tem studium, poemacie, obrazie, nie byłoby więcej ani dokładniej ani wyraźniej jak w tych kilku rysach i słowach Krasińskiego.

Kiedy się zastanowić nad tym wielkim faktem naszego wieku, nad rewolucyą, dochodzi się do tej ostatecznej konkluzyi, że jego siłą poruszającą, jego principium życia jest to, iż jednym jest na świecie dobrze, drugim źle. To principium, widoczne i dające się czuć w każdym kroku i stosunku życia, działa różnie na różne ludzkie temperamenta i charaktery, i w różnych ludziach, w różnych warstwach ludzi, wydaje różne skutki, różne namiętności, z których dopiero składa się całość i siła rewolucyjnego prądu. Więc naprzód natury szlachetne i umysły oświecone, które szanując i kochając człowieka oburzają się na to, że jeden skazany jest na ciężką pracę ręczną, na życie trudu i niedostatku, że dzień bez zarobku pociąga dla niego za sobą dzień głodu, że ma życie nietylko bez swobody, bez wygody i wdzięku, ale, że nawet swojej istoty moralnej ani poznać, ani wyrobić, ani uszanować nie może, bo ta konieczność ciągłej pracy zaledwo pozwala mu wznieść się nad bydlę, kiedy drugiemu wszystko łatwo, wszystko wygodnie, wszystko przed nim otworem; takie natury szukając rady na to złe, powiadają, że radą jest wolność, równość, opieka prawa nad wszystkiemi, szkoły dla dzieci, każdemu dostęp do wszystkiego otwarty, zniesienie przywileju, usunięcie wszystkich zawad z drogi przed człowiekiem, który potem niech już idzie o własnej sile i dochodzi gdzie zdoła. To pierwsza demokracya, dawna demokracya XVIII-go wieku, to, ze skłonnością do republiki lub przyzwyczajeniem do monarchii (wszystko jedno), demokracya z pierwszych lat rewolucyi francuzkiej, to Mirabeau, Lafayette, Girondyści, to rok 1789. Stanowisko dawno przebyte, rzecz marna, lekarstwo bez skutku. Po niem jak przed niem świat dzieli się na używających i pracujących. Tych ludzi w *Nieboskiej komedyi* nie ma — takim

był kiedyś Henryk, kiedy „wierzył w postęp i szczęście rodu ludzkiego,“ zanim go Pankracy przekonał, że „dziś chodzi o zmianę plemienia“.

Więc potem ci, którzy widząc że to nie wystarcza, chcą czegoś coby wystarczyło; którzy z natury nie są okrutni ani nienawistni, ale tak przejęci do żywego uciskiem wydziedziczonych, że go znieść nie mogą; a jeżeli on znieść się da tylko wydziedziczeniem innych, tylko gwałtem, a, to darmo, kiedy trzeba to trzeba. Natury żywe i porywcze, sangwiniczne, przekonane o słuszności swego oburzenia, a więcej czujące niż rozumiejące, zapatrzone w jedną tylko stronę rzeczy, dochodzą na tej drodze do konkluzyj niezgodnych ze swoją naturą. Wierzą w siebie, w słuszność swego celu, swojej zasadzie służyć chcą szczerze; ale łatwe do opanowania, do pociągnięcia, dostają się w ręce woli i umysłu silniejszego od siebie, i przyjmują łatwo jego dedukcye. „To czego chcesz „jest dobre, jesteś o tem przekonany — dojść do tego nie mo„żesz tylko środkami, które ci są przeciwne? pojmuję to, ale „jeżeli chcesz szczerze, i jeżeli ten cel stoi u ciebie wyżej „jak te środki?...“ przez szczerą miłość dobrego, natury takie szlachetne a słabe, oswajają się z przeciwnem sobie złem, tak, że gotowe są w końcu widzieć w niem obowiązek i bohaterstwo. To fanatycy szczerzy, niszczyciele w dobrej wierze, to Camille Desmoulins przekonany o konieczności i skuteczności gilotyny, dopóki i jego fanatyzm i jego dobra wiara pod nią nie poszła; to Leonardy wszelkiego rodzaju w służbie u Pankracych.

Nad niemi wielkie ambicye i potężne osobistości, wole niezłomne, temperamenta rozkazujące i despotyczne, stworzone na to, żeby rewolucyą kierować i zawładnąć; to ci w których skupiają się wszystkie rewolucyjne dążności i namiętności, w których jest oburzenie i fanatyzm poprzednich, ale nie ma miłości celu jak u nich, za to większa i głębsza nienawiść przeciwnika; w których instynkt władzy i panowania jest tak silny, że drze się do swego celu przez wszystko, choćby przez zwaliska całego świata; w których obok tej żądzy władzy, jest nieubłagana nienawiść i zazdrość do wszyst-

kiego, co ją trzyma lub trzymać może, i wszystko to usunie sobie z drogi z zimną krwią, spokojnie, bo tak wymaga logika rzeczy; to Sylla i Mariusz i drugi triumwirat w Rzymie ze swojemi proskrypcyami; to Robespierre, to Pankracy wreszcie, to rewolucya, która wcieliwszy się w jednego człowieka połączyła się w nim z despotyzmem i przez niego gotuje sobie grób, jemu dyktaturę. A poniżej tych dopiero, awanturnicy szukający karyery, pseudo-wojskowi szukający szlifów i szpady, jenerałowie Bianchetti szukający podkomendnych, na pół szaleni twórcy filozoficznych i religijnych systemów, Anacharsis Klootz i Herman syn filozofa w *Nieboskiej*, przyjmujący święcenie zbójeckie, bogini rozumu i kapłani tej nowej religii, której obrzędy święci Leonard: a pod tem wszystkiem dopiero najbardziej uniewinnieni, najbardziej usprawiedliwieni w nienawiści i zemście, prawdziwi wydziedziczeni życia, robotnicy warstatów, kopacze podziemnych min, wyrobnicy pól, ci na prawdę „nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi „włosy, w łachmanach, ze spiekłemi twarzami, z dłoniami po„marszczonemi od trudu“, ci co na prawdę patrząc na ludzi w dobrych butach, dobrej odzieży, wypoczywających, nigdy nie głodnych, dotkliwiej od tamtych pierwszych czują różnicę rzeczy i bardziej mogą pytać dlaczego; ci pozbawieni wygody i wdzięku życia, którzy patrząc na ojca z dzieckiem pięknem, zdrowem, starannie chowanem, uśmiechniętem, z goryczą wspominać muszą własne dziecko biedne, wątłe, blade, smutne, zaniedbane, trzęsące się od zimna i głodu — patrząc na męża, którego żona jest wcielonym wdziękiem, gracyą, pięknością, rozumem, najpiękniejszym kwiatem człowieczeństwa, myślą, że w domu żona „głodna i biedna jak on, zwiędła przed cza„sem, bez śladu piękności, w poszarpanej odzieży, w jej oku „coś gasnącego, ponurego, jakby przedrzeźnianie wzroku,“ cały ten wydziedziczony tłum, ten wielki cel, któremu się wszystko przyrzeka, a który się zawsze wszystkiego wyrzekać musi — ten na ołtarzu postawiony, okadzony szumnemi słowy i podchlebstwem a zawsze zawiedziony, nigdy nie zaspokojony, wszechwładny lud.

Wszystko to jest w obrazie Krasińskiego. Lud naprzód; o tym łatwo przewidzieć co robi w chwili, kiedy mu powiedziano, że zwyciężył. Wypoczywa, używa; cieszy się, że jutro wyspać się może wygodnie, nie potrzebuje śpieszyć do warstatu, że może zarżnąć i zjeść woły, „dawne pługów zaprzęgi“, bo już niemi pańszczyzny odrabiać nie będzie. Mści się trochę za swoje dawne krzywdy; gromada chłopów ciągnie na gałęź swojego dawnego Pana, urąga mu, że będzie wisiał „wysoko jako wielki pan wzniesiony nad nimi wszystkimi“; jeden woła, żeby mu wrócił dni pańszczyzny, drugi, żeby mu syna wskrzesił z pod batogów kozackich; ale ta humańszczyzna, ten rok 1846, rzeź, obchodzi go mniej, jak możność używania i wczasu. Lud ten cały zdaje się mówić jak ta dziewka: „a dyć tośmy długo na taki dzień cze- „kały — juści ja myłam talerze, widelce szurowała ścierką, „dobrego słowa nie słyszała nigdy, a dyć czas bym sama „jadła, tańcowała sama“. Co będzie jutro lub pojutrze, kiedy się zjedzą woły pługów zaprzęgi i konwie wypiją? o tem oni nic myślą, tańcują i jedzą. Poeta jednak o tem nie zapomniał — on na to jutro rzuca światło, ukazuje je w postaci rzemieślnika konającego z przekleństwem na ustach, któremu dzień wolności nie przydał się na nic, a nad którego trupem Henryk pyta przechrzty: „Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice, szczęście i doskonałość rodu ludzkiego“?

Za gromadą chłopów i robotników wysuwa się inna grupa ludzi; ci znowu przeznaczeni na to, żeby całe życie patrzali, służyli na wygodę i zabawę cudzą, sami pozbawieni wygody i zabawy — to ci, bez których nie byłoby śniadania ani obiadu, bez których wieczór, bal, jest niepodobieństwem, bez których Pani nigdy nie byłaby piękną, Pan nigdy porządnie ubranym, którzy całe życie mają do czynienia z ozdobami i przyjemnościami życia, sami do nich nie należąc i nie używając, to dworska służba: mniej nieszczęśliwi od wyrobników i rzemieślników, ale także wydziedziczeni osobnym rodzajem wydziedziczenia, służący domowi. Ci, to znowu osobny odcień pragnień; nie upić się, nie najeść się ile tylko można, nic, oni się napatrzyli życia ozdobniejszego,

delikatniejszego, i takiego pragną. „Salonów znają śmieszności i wszeteczności“, ale łakną ich wygód i wykwintów, a wypadłszy z przedpokojów więzień swoich, powtórzą te wygodne wszeteczności i wpadną zaraz w te same śmieszności. Oni tak długo „glancowali buty i strzygli włosy,“ że teraz sami chcą mieć buty dobrze wyglancowane i włosy pięknie uczesane; to przyszłe eleganty, przygotowane do tego swojem przeszłem życiem, którego elegancyę naśladować zaczną — to ludzie, którzy mają chęć rozeprzeć się w powozie zamiast wyprostowani siedzieć na koźle, i nogami w zgrabnych bucikach szastać po dywanach, zamiast nudzić się w przedpokoju.

Chór rzeźników reprezentuje znowu ten rodzaj ludzi, który w krwawych wypadkach przywyka do krwi, upija się krwią; natury dzikie, bezmyślne, głowy ciasne i ciemne raczej niż przewrotne. Ci nie rozumują, sami nie wiedzą dlaczego idą za drugimi; ci się nie mszczą, nienawiści ani namiętności nie mają przeciw nikomu, idą za instynktem dzikości jak zwierzęta: ale ci opamiętają się najłatwiej, z tych najłatwiej może zrobić ludzi dobrych i spokojnych. Dzieci to siły i krwi wprawdzie, ale dzieci; żaden sofizmat nie czepił się ich głowy, „nie rozprawiają o filozofii“. Dziś im wszystko jedno czy „rżnąć woły dla panów, czy panów dla ludu,“ bo im wytłómaczono, że wszystko jedno zarżnąć wołu lub człowieka. Ale też ich najłatwiej byłoby przekonać, że wół i człowiek nie to samo, a raz o tem przekonani, jako natury proste, poszliby za instynktem sumienia, jak dziś idą za instynktem dzikości.

Dziwiono się niekiedy, że on w tym obrazie rewolucyi rozkiełznanej i zwyciężającej umieścił chór Przechrztów, oskarżono go o uprzedzenie, o niechęć, o pogardę do wyznania i plemienia żydowskiego. To jest niesprawiedliwość. Element żydowski, potężny swojemi środkami pieniężnemi i swoją inteligencyą, ma pośród społeczeństw europejskich znaczenie bardzo przeważne, wpływa nie bardzo widocznie może, ale bardzo na ich losy; w obrazie ich pominiętym być nie mógł. Że poeta cały ten element postawił po stronie mocniejszego, po

stronie zwycięzcy, w obozie Pankracego, to jest zupełnie zgodne z naturą tego plemienia, które nie lubi niebezpieczeństwa, i z wielką przebiegłością umie zawsze przeczuć, gdzie jest bezpieczeństwo większe, z niepospolitą giętkością umie się stosować do tych warunków i wypadków, które mu takie bezpieczeństwo zapewniają. Chór Przechrztów nie może, nie ma nawet powodu opierać się Pankracemu a bronić okopów św. Trójcy; a że on z tymi zwycięzcami nie zespolił się więcej jak ze zwyciężonymi, że ich sprawy nie ma za swoją, a ich samych albo lekceważy albo nienawidzi, i to także zgodne jest z naturą ludzi, którzy ze światem europejskim bądź co bądź się nie zlali, którzy w znacznej większości uważają się zawsze za coś poniżonego a wyższego i lepszego od europejskich Filistynów. Nienawiść żyda zaciętego i ciemnego do Chrześcianina, nienawiść Shylocka do Antonia, jego mściwość i pragnienie odwetu za wszystkie upokorzenia jakich doznał, ta nie przestała istnieć i poeta miał prawo umieścić ją w swoim obrazie, obok tej nerwowej bojaźni żyda, który czuje się fizycznie słabszym od Filistyna; miał zwłaszcza wielką słuszność, że tę nienawiść rozciągnął na Pankracego i jego nowy porządek rzeczy. Chór ten oczywiście łatwiej przystaje na ten porządek rzeczy, który wali kościoły i znosi chrześciaństwo, znajduje w nim swoją korzyść, podchlebia mu dla tego; ale w gruncie nie łączy się z nim i ma siebie zawsze za coś wyższego, szlachetniejszego, wybranego. Dziś zresztą dziwić się już Krasińskiemu nie można, fakta przyznały mu słuszność: we wszystkich socyalnych i anarchicznych działaniach i spiskach, od Rosyi do Francyi, Polski nie pomijając, widzimy, że żydzi występują zawsze licznie, a często naczelnie.

W danym razie, znalazłyby się może i kobiety, rade wyzwolić się z mocy mężów tyranów, i przystające do obozu Pankracego. Że kobieta jak raz straci równowagę, spada bardzo nisko, i że w wielkich wstrząśnieniach społecznych traci ją łatwiej niż w czasach normalnych, na to są dowody w historyi; jakkolwiek, na chwałę natury kobiecej przyznać trzeba, że w rewolucyi francuskiej naprzykład, dowodów takich jest mało, że Barrère, Fouquier-Tineville i podobni, kochanki

swoje rekrutowali z pośród kobiet dawno i zupełnie wyzwolonych. Ale jak się czyta, że w rewolucyi czarnych na San Domingo, Toussaint Louverture i jego murzyni znajdowali kobiety białe i cywilizowane, które przystawały do ich sprawy nietylko duszą, widzi się bez podziwienia w obozie Pankracego, te istoty „niegdyś anioły“ Henryka, które społeczeństwu rozdają swoją miłość.

Jest jeszcze w tym obrazie jedna figura podrzędna, jedna scena maleńka, epizodyczna, ale gienialna.

„Któż jest ten dziwny żołnierz, z trupią główką na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach,“ pyta Henryk Przechrzty: „czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś „kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotiery książąt „i rządów.“ Przypadkiem czy umyślnie, ale już to jest uderzające, że temu jenerałowi daje nazwisko włoskie, wyprowadza go z ziemi klasycznej kondotierów. Ale zatem idzie coś ważniejszego i głębszego. Jenerał zatopiony w myślach patrzy przez lunetę na zamek św. Trójcy i kilkoma słowami daje do zrozumienia, że układa jakiś plan głęboki i gienialny. „Jakżeś więc to ułożył obywatelu Jenerale?“ pyta Henryk.

— „Chociażeście moi bracia w w wolności“ odpowiada tamten, „nie jesteście moimi braćmi w gieniuszu — po zwycięztwie dowie się każdy o moich planach.“

A Henryk odwraca się do Przechrzty i radzi mu „zabijcie go, bo tak się poczyna każda arystokracya.“

Ten zaród arystokracyi w samym środku rewolucyi socyalnej, to jest spostrzeżenie niezmiernie bystre i głębokie. Henrykowi można wierzyć, kiedy zaręcza że tak się zaczynają arystokracye, bo on się na tem zna, jest biegły w rzeczy, expertus. To nie jest przesada, to nie upór arystokraty, który wszędzie chce widzieć arystokracyę, bo chce, żeby ona była koniecznością, to historyczna prawda. Nazajutrz po rewolucyach, owszem w ciągu rewolucyi jeszcze, już się z jej koryfeuszów krystalizują zarody arystokracyi. Dowód mieliśmy w historyi dzisiejszej, przed naszemi oczyma, i to w miejscu najmniej w całej Europie zapowietrzonem arystokracyą, w miejscu, gdziebyśmy się go najmniej spodziewali, na wy-

spie Caprerze. Synowie Garibaldego, którzy nie są ludźmi znaczącymi jak ojciec, są znaczącemi figurami przecież przez to tylko, że są jego synami; zajmują wysokie stopnie wojskowe, Paryż chce im powierzyć dowództwo w wojnie domowej, którą prowadzi; nie są oni porucznikami ani kapitanami jak prości śmiertelni, jak wszyscy wojskowi jeszcze młodzi a nie wyjątkowo zdolni lub wyjątkowo szczęśliwi, są pułkownikami i jenerałami tylko dla tego, że są synami swego ojca. Ma Henryk słuszność, tak się poczynają wszystkie arystokracye: nawet w łonie samem najdalej posuniętej demokracyi.

Jedno jeszcze czego Krasiński opuścić nie mógł, bez czego jego obraz nie byłby zupełnym, to rzecz która się przy każdej rewolucyi tak regularnie powtarza, że musi chyba być od niej nie oddzielny, jakimś tajemnym ale koniecznym warunkiem jej bytu, nienawiść religii: nie religii katolickiej jedynie, choć tej głównie i najwięcej, ale zasady religijnej, wszelkiej wiary i religii pozytywnej. Nienawiść ta stwierdziła się w każdej większej rewolucyi społecznej, w roku 1793 i w 1848, i we wszystkich niemal rewolucyach włoskich; i wreszcie na wypadkach roku 1871 w Paryżu. I ona stanowi scenę końcową tego ustępu *Nieboskiej*, zamyka ten szereg obrazów, w których przedstawiony jest obóz Pankracego. „Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzie-„ści dni i nocy, aż zburzyli ostatni kościół na tych równi-„nach“, mówi Przechrzta, a Leonard dodaje tonem tryumfu: „stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga, „członki jego rozerwaliśmy, a duch Jego zwyciężyli naszemi „duchami, duch Jego zstąpił do nicości, chwała nam“. Ale bez czci, bez bóstwa nad sobą, człowiek obejść się nie może. Zaledwo rozwalili ostatni kościół, już jakieś obrzędy święcą, już muszą coś czcić, coś ubóstwiać. Robespierre utworzył kult bogini rozumu, Leonard także jest kapłanem i prorokiem czegoś. Wolności, mówią jego wyznawcy, a jego obrzędy i słowa mówią, że czego innego: natury rozkiełznanej, rozhulanej w swoich instynktach, które bierze za prawo swoje i świata. „Dajcie mi ją do ust, do piersi“, woła prorok patrząc na spi-

nające się ku niemu oblubienice, „dajcie mi ją piękną, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów“, a potem dodaje, że oni oboje, na rozwalinach starych kształtów i starego świata, on mężczyzna, i ta kobieta niepodległa w jego objęciu na jego piersiach, są obrazem wyzwolonego rodu ludzkiego. „Bóg nowy“, któremu Leonard „oddaje niebiosa“, jest „Panem swobody i rozkoszy“. Przeciwieństwo charakterystyczne i głębokie. Filozofia wieku XVIII, który nazywał siebie wiekiem rozumu, w swojej walce z religią, chciała na miejscu dawnego Boga postawić ludzki rozum, jego ubóstwić, w niego ona wierzyła; kult który z niej wyszedł, miał za swoje bóstwo rozum. W naszym wieku, kiedy filozofia przyjęła kierunek materyalistyczny, pozytywny, kiedy dawnego Boga i duszę ludzką chce zwalczyć naturą i na jej korzyść, ta religia natury, religia swobdy i rozkoszy, mężczyzna i kobieta razem na ołtarzu, to, choć nie było dotąd faktem, jest przypuszczeniem zrobionem w kierunku logiki i prawdopodobieństwa; a przypuszczenie tem dziwniejsze, tem głębsze i bystrzejsze, że w latach, kiedy poemat był pisany, panowała w Europie prawie wyłącznie filozofia Hegla, ubóstwienie myśli. Filozofia pozytywna, tłómacząca cały świat przez materyę i siłę, przyznająca im wieczność, dochodząca przez to do ubóstwienia niejako materyi i siły, ta jest późniejsza; a że Krasiński na niej oparł przyszły kult religijny Leonarda tak, jak na ubóstwieniu rozumu opierał się kult Robespierra, to jest tak intuicyjne, takie odgadnienie przyszłości, jak Henryk broniący zasad, których nie wyznaje lub wyznaje nie zupełnie. Nauka moralna tej religii zawiera się w „święceniu zbójeckiem“, jakiego od Leonarda żąda jakiś zagorzały nowy adept.

Prześlicznie zamyka poeta ten obraz chórem duchów unoszących się nad zwaliskami dawnego kościoła i tęskniących za dawną wiarą. Duchy to jakichś ludzi świętych lub aniołów, które niegdyś pełniły służbę pomiędzy niebem a ziemią, a teraz nie mają komu pośredniczyć; nikt z ziemi o nic nie prosi, nikt za nic nie przeprasza. „Płaczmy za Chrystu-„sem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym, gdzie Bóg nasz,

„gdzie kościół Jego! Strzegliśmy ołtarzy i pomników świę-
„tych etc. etc.“

Taki jest obraz społeczeństwa „w anarchii, w błocie „i krwi, z rykiem hyeny na ustach, z kleszczami kata w ręku, „z czarą pełną wódki i z wieńcem tulipanów na głowie, bo „taki ich smak estetyczny“, obraz zupełny, w którym żadna namiętność, żaden odcień namiętności, żaden pierwiastek, ważny i istotny, zapomnianym i pominiętym nie jest. Czy obraz przesadzony? czy to potwarz, złośliwa karykatura? Daj Boże, ale historya świadczy raczej, że to straszliwie podobna fotografia, a każda ze znanych rewolucyj naszego wieku przyznaje się do podobieństwa i reklamuje jeden rys z obrazu jako swój, wzięty z siebie. Jedna przyznaje się do nowo wymyślonych religijnych obrzędów, druga do tych chłopów ciągnących dawnego Pana na gałęź, trzecia do burzenia kościołów, inna do zasady. „Idź i niszcz po wszech stronach „świata, gdzie żelazo nie dojdzie, tam niech trucizna żre „i pali wnętrzności tyranów“. Jedno tylko zdawało się przesadzonem, w jednem zdawało się, że Krasiński przebrał miarę i stał się niesprawiedliwym, że w swojem oburzeniu na rewolucye społeczne widział je gorszemi niż są, posądzał je o złe którego nie robią. Kiedy w *Niedokończonym Poemacie* Pankracy radzi pocichu Blaumannowi, żeby w mowie swojej „nie wspominał tak często ojczyzny, bo to trąci arystokracyą“, kiedy w *Nieboskiej Komedyi* on szydersko uśmiecha się nad Henrykiem, który „wierzy w słowo ojczyzna“, myślało się, że to przecież nie słuszne, to za wiele! Dziś tej illuzyi mieć nie można. Dziś trzeba mu przyznać, że i w tem miał słuszność, i w tem przejrzał rzecz na wskróś i odgadł przyszłość. Bo odkąd w kraju najechanym przez obcego nieprzyjaciela, zniszczonym tysiącznemi klęskami, w mieście jeszcze otoczonem cudzemi wojskami, rewolucya społeczna skorzystała z pierwszej chwili wytchnienia i wzięła za broń, nie na to, żeby tego obcego nieprzyjaciela wypędzić, ale na to, żeby podnieść wojnę domową, odtąd już wątpić nie można, bo w tym dniu ona dowiodła sama i dobrowolnie, że

to prawda, że ona w ten stary przesąd, w „słowo ojczyzna“ nie wierzy.

Dlaczego Krasiński sprowadza Henryka do obozu Pankracego? Po co on tam idzie? Czy dla tego tylko, żeby „ogarnąć wzrokiem ten chaos dobywający się z toni czasu“ z ciekawości myśliciela, filozofa, męża stanu? Albo może z ciekawości marzyciela, który chce się zbogacić o jedno więcej poetyczne wrażenie? Przecież nie w wojennym celu poznania sił przeciwnika i jego planów; Henryk wie, że jest słabszy, i na wojenne środki Pankracego, na strategiczne kombinacye Jenerała Bianchetti, podczas pobytu swego w obozie, nie patrzy i nie zważa. Jego tam ciągnęło co innego, pędził go taki sam instynkt nieświadomy, jaki Pankracego prze do spotkania się z nim. Pankracy szuka i potrzebuje Henryka, chce go pociągnąć do siebie, bo to stanęłoby mu za dowód, że jego dzieło nie jest zupełnie marnem i złem, powróciłoby mu wiarę, w siebie samego i w swoją sprawę. Henryk w swoją wierzy dziś jeszcze więcej, aniżeli dziś już w swoją wierzy Pankracy: ale i on nie wierzy w nią zupełnie, daleko do tego. Przecież i on marzył o postępie, o szczęściu ludzkości, a takie marzenia się nie zapominają; dziś on otoczony ludźmi, którymi gardzi, których wyobrażeń nie dzieli, on broni tej sprawy, pomimo że jest taka jak jest, ale nie dla tego że jest taka. I on więc nie wie czy ma słuszność, nie wie czy robi dobrze; zdaleka tak mu się wydaje, bo przeczuwa, że obóz Pankracego to „wszystkie stare zbrodnie świata przebrane w szaty nowe“: ale jeżeli się myli, jeżeli też tam jest istotnie zaród, choćby najmniejszy „postępu i szczęścia ludzkości“? On tego nie przypuszcza, nie mówi; tylko widzi, że w jego obozie i w nim samym tego zarodu nie ma. Czy więc sam przed sobą może być usprawiedliwionym, że go broni? tylko w jednym razie, jeżeli mniejszego złego, broni przeciw drugiemu złemu, rzeczywiście większemu. Chce się więc przekonać, czy tak jest istotnie, czy jego przypuszczenia były prawdziwe, i dla tego idzie do obozu Pankracego. Jak Pankracy chce porozumienia z nim, jako ponie-

kąd absolucyi dla siebie i dowodu przed samym sobą, że nie jest złem i niesłusznem to co już zrobił, tak Henryk przypatruje się światu Pankracego dla tego, żeby w nim znalazł dowód i przekonanie, że ma słuszność robić tak jak robi.

A w tej chwili, kiedy „ogarnął wzrokiem ten chaos „dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę „jego i wszystkich braci jego“, w tej chwili odzywa się jeszcze po raz ostatni dawny Henryk, ten, który niegdyś „wierzył w postęp i szczęście ludzkości“. Chaos ten jest straszny, ale gdyby „Bóg dał mu potęgę, której nie odma„wiał mu niegdyś, on w jedno słowo zamknąłby świat ten „nowy, ogromny, który sam siebie nie pojmuje, a to słowo „jego byłoby poezyą całej przyszłości“. On bardziej od Pankracego zdołałby z tego zamętu wyprowadzić coś dobrego, ten świat „dźwignąć i uszczęśliwić“, bo „w duszy jego“ jest „zaród wszelkiego piękna“. Więc gdyby on dziś, w imię swoich wiar dawnych, swoich dawnych pragnień, wziął ten świat w rękę.... „Dramat układasz“ szepcze nad nim szyderski głos złego ducha, a to marzenie, ta chwila, która mogła stać się dobrym popędem, gdyby była potrwała, znika bez śladu. „Dzięki za radę“ odpowiada Henryk Duchowi, i „precz z ma„rzeniami. Zemsta za zhańbione popioły ojców moich, prze„kleństwo nowym pokoleniom, ich wir mnie otacza, ale nie „porwie za sobą“. Nie! Chcieć z tego coś dobrego zrobić, podawać do tego rękę, to marzenie. Jedyna rzecz prawdziwa, która mu została i którą zrobić może, to zemsta za zhańbione popioły. I druga jeszcze prócz tej: „Orle, orle, dotrzymaj obietnicy“, mówi Henryk na końcu: to jest, daj mi władzę, daj mi walkę, a ja sobie zrobię sławę. Chwilę używania władzy, chwilę wrażenia walki, a z jedną i z drugą tak sobie dam rady, że przynajmniej będzie o mnie głośno! Ostatnie marzenie, ostatnie poruszenie miłości świata i ludzi przeszło, zostało tylko pragnienie zemsty, i pragnienie władzy i chwały. Henryk w ostatniej części poematu walczy dla siebie więcej daleko, niż dla swojej sprawy, a ta przytoczona prośba do Orła oznacza jego utwierdzenie się w tem

uczuciu, za które on kiedyś usłyszy wyrok: „za to, żeś nic „nie kochał, nic nie czuł prócz siebie i myśli swoich, potę„pion jesteś na wieki“.

III.

Rozmowa Pankracego z Henrykiem. Wielkość obu. Zdanie Mickiewicza i jego zarzuty. Część czwarta. Zbyteczna treściwość. Surowość poety względem wszystkich. Znaczenie widzenia Orcia. Pożegnanie z nim i ostatnie słowa Henryka. Zwątpienie Pankracego. Jego śmierć. Zakończenie nie jest rozpaczliwe. Stanowisko i przekonania Krasińskiego. Objaśnienie *Nieboskiej* przez jego syna. Jej myśl filozoficzna, religijna, patryotyczna. Pierwiastki jej wielkości. Jak ją rozumiał sam autor? Objaśnienie w jego liście.

Gdyby w tej chwili, kiedy Henryk marzył o utworzeniu czegoś z chaosu jaki przed sobą widział, zamiast złego ducha był przy nim stanął Pankracy, wątpiący znowu, czy coś z tego chaosu utworzyć zdoła, i gdyby rozmowa ich była wypadła na tę chwilę dobrej woli, która u poety przybrała formę marzenia, u materyalisty formę zwątpienia, kto wie? może ta rozmowa byłaby się skończyła inaczej. Człowiek każdy ma takie chwile, w których mięknie, w których łatwiej ustąpi, nagnie się, rozczuli się (zwłaszcza jeżeli jest Polakiem), i w nich obu mignęło się takie usposobienie. Ale rozumie się samo z siebie, że gdyby w tej chwili był poeta zetknął ich z sobą, a ich rozmowę zakończył jakimś skutkiem dodatnim, jakiemś porozumieniem, byłby to sentymentalny melodramatyczny effekt, ale nie byłoby prawdy, nie byłoby głębokiej myśli poematu, nie byłoby *Nieboskiej Komedyi*. Rozmowy, dyskusye, nawet zaczęte w najlepszej wierze i w zamiarze pojednania, *colloquia* najbardziej *charitativa*, nie uśmierzą burzy podniesionej długą i zaciekłą namiętnością, owszem doleją tylko oliwy do ognia; a ta rozmowa nie zaczęła się w dobrej wierze i w zamiarze pojednania, owszem, zaczęła się z obustronnem uprzedzeniem i uporem. Cała myśl, cała wartość, cała prawda *Nieboskiej Komedyi* polega w tem, że żadna ze stron nie ma prawdy, nie posiada ani siły ani zdolności ani tajemnicy stworzenia czegoś z chaosu; gdyby z ich zetknięcia było wypadło coś

dobrego, jakaś twórcza iskra harmonii i zgody, wtedy w jednym i w drugim byłaby słuszność i przyszłość. Zakończenie takie, w sam raz na końcowy obraz piątego aktu opery lub melodramy, byłoby fałszem historycznym, społecznym i psychologicznym. Tragiczność i prawda rzeczy polega w tem, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego, że ani Henryk ani Pankracy słuszności nie mają, że w całej tej rozmowie, jak mówi Klaczko, prawda jest tylko to, co jeden drugiemu zarzuca.

Żaden z nich nie staje do rozmowy w usposobieniu pojednawczem, to prawda. Henryk chciałby jakąś inhalacyą wciągnąć w siebie wszystkie duchy swoich ojców i ich siłę, żeby hardą i niezłomną postawą przyjąć człowieka, co „wydobył się z nicości a zacznie może nową epokę“. Pankracy kiedy słuchając swego tajemniczego popędu szedł do zamku, myślał o tem, żeby krok ten jego nie wydał się Henrykowi uniżeniem, uszanowaniem, i utwierdzał się w swojej nienawiści, uzbrajał się w dumę i szyderstwo; ale też przyznać trzeba, że jeden i drugi jest tak sztywny, tak pogardliwy i wyzywający, że ludzie najspokojniejsi, obojętni, gdyby w ten sposób z sobą mówili, musieliby rozejść się nieprzyciółmi; cóż dopiero ci, już rozdzieleni przepaścią. Od pierwszych słów zaraz drażnią się nawzajem jak żeby umyślnie; Henryk drapuje się w dawne prawa gościnności „*starym zwyczajem* piję zdrowie twoje“. Pankracy, przyjęty jak na złość w jakiejś arcy - arystokratycznej sali pełnej herbów i portretów antenatów, uraża Henryka na samym wstępie w drażliwą stronę: „te godła czerwone i niebieskie zowią „się herbem w języku umarłych, coraz mniej takich znacz- „ków na powierzchni ziemi“. A gdy Henryk odpowiada, że „za pomocą bożą wkrótce ujrzysz ich tysiące“ wszczyna się ta rozprawa tragiczna, w której jeden odwołuje się do swego Boga, w którego nie bardzo wierzy, drugi do swego, w którego już wątpić zaczyna, a każdy przegląda doskonale niewiarę drugiego. „Wierzysz *lub udajesz, że wierzysz* w Boga, bo w siebie wierzyć trudno“, mówi Pankracy. „Ateizm to stara formuła“, odpowiada Henryk, „po tobie spodziewałem

się czegoś nowego". Ale Pankracy ma tę ideę nową, tę nową wiarę „silniejszą, ogromniejszą od dawnej. Jęk przez „boleść i rozpacz wydarty tysiącom tysiąców, głód rzemieśl- „ników, hańba ich żon i córek, poniżenie ludzkości ujarzmio- „nej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczaje- „niem, oto wiara moja! a Bóg mój na dzisiaj to myśl moja, „to potęga moja, która chleb i cześć rozda im na wieki". Przykazanie tej wiary, różne jest zupełnie od tego, które dawna nazywała pierwszem i najwyższem; ono owszem wychodzi dziwnie na tę teoryę, która w naszym wieku opanowała równocześnie nauki przyrodzone i politykę, a podług której słabszy nie ma prawa do życia, bo jest słabszym: on jest na to, żeby się przydał mocniejszemu, przez niego zjedzony i strawiony. To nie wzajemna miłość bliźniego, ale wzajemne bestyi pożeranie się, które uznane za prawo w naturze, chce zostać kamieniem węgielnym prawa publicznego. „Jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam, Zwycięztwo" — fakt dokonany, prawo mocniejszego. Jakeśmy daleko od tych ideologów starożytności, którym podobała się sprawa zwyciężonych nawet, kiedy bogowie schlebiali zwycięzcom. „Tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi „i woła do was przez moje usta: „zgrzybiali, robaczliwi, „pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i sil- „nym"". Ustąpcie silnym! wszak to te same słowa, to samo prawo, które Polsce ogłasza codzień prasa rossyjska, to samo *de profundis*, które nad nią śpiewają zwycięzcy na wschodzie i zachodzie. „Ale my jesteśmy, żyjemy, chcemy żyć i mamy prawo — i słabi są ludzie"! — to nic: ustąpcie silnym! Jak w porządku fizycznym, mocniejszy rodzaj zwierza pochłania słabszy podług znanych hypotez, tak w porządku politycznym, hasło jest „słabi ustąpcie silnym, w porządku społecznym nasyceni ustąpcie zgłodniałym" — na dnie tego wszystkiego tkwi jedna zasada, wzajemne bestyi pożeranie się.

Henryk w swoich odpowiedziach nie znajduje ani jednego argumentu, któryby dowodził, że on ma słuszność, ale za to widzi na wylot słabe strony przeciwnika i jego sy-

stemu; poznał je w jego obozie: „Ja także znam świat twój „i ciebie, patrzałem na pląsy motłochu, po karkach którego „wspinasz się do góry. Widziałem wszystkie stare zbrodnie „świata ubrane w szaty nowe, a ich koniec ten sam co przed „tysiącami lat, rozpusta, złe i krew“. Z tych żywiołów lepszy świat się nie złoży. A jak Pankracy przejrzał jego kiedy mu rzekł, że udaje wiarę w swoje zasady, tak nawzajem w Pankracym nie ma tajemnic dla Henryka, i odrzucając mu pocisk, trafia w samo sedno jego słabości: Pankracy nie wierzy w przyszłość swojego świata! „Ciebie tam nie było, nie raczyłeś zstąpić między dzieci twoje, bo w głębi ducha ty „pogardzasz niemi“ — ty wiesz dobrze, że te wszystkie ludzkie głowy ciasne i ciemne to twój szczebel tylko, bruk pod twój pałac, posadzka pod twój tron, zakończony koroną lub nie, wszystko jedno. „Chwil kilka jeszcze, a jeżeli cię rozum „nie odbieży, będziesz pogardzał sam sobą“: — pogardzał za to, żeś wszystko obiecywał a nic dotrzymać nie umiałeś, wszystko zniszczył a nic nie postawił; za to, że dla siebie i drugich byłeś wielkiem złudzeniem; a co najgorzej, dla drugich dłużej jak dla siebie, bo choć sam o sobie zwątpiłeś, im w siebie jeszcze wierzyć kazałeś.

Napróżno Pankracy odpowiada wielkiemi słowami, oklepanemi obietnicami przyszłości. Świat mój jeszcze się „nie „poczuł w sobie, nie wyrósł na olbrzyma, ale przyjdzie czas, „że on powie o sobie Jestem“, a nie będzie na całej ziemi drugiego, ktoby mógł to o sobie powiedzieć; „twarz jego blada, niewzruszona, udać nie umie natchnienia“. Kiedyś, w podziemiach weneckich, Pankracy wierzył w te słowa i powtarzał je z zapałem, ale dziś, on już je poznał z ich owoców... Wszakże w tej chwili on przypomina sobie, że za dni owej przeszłości znali się z Henrykiem, że on wtedy wierzył w postęp i szczęście ludzkiego rodu, i do tych wspomnień, do tych dawnych ideałów próbuje odwołać się ostatecznie: „Jeżeliś „tem czem wydawałeś się niegdyś, jeżeli kochasz prawdę „i szukałeś jej szczerze, nie odrzucaj tej chwili zbawienia“. Nigdy w całym ciągu poematu Pankracy nie przemawia tym tonem: nigdy w imieniu miłości prawdy i zbawienia ludzko-

ści. I Henryk odrzuca propozycyę, nie chce iść za nim, a więc Henryk winien? Byłoby tak, gdyby Pankracy mówił był szczerze. Ale on kusił tylko, sam nie czując i nie wierząc w to co mówi; to wskazane jest wyraźnie w jego słowach wyrzeczonych do siebie samego, „zagiąłem palec pod serce jego, trafiłem do nerwu poezyi“. Henryk, który poznał, że to nie szczerość ale wyrachowanie, pokusa, ma prawo nazwać go młodszym bratem szatana. Bo pokusa wielka, nęcąca niezmiernie! bo wszystkie jego dawne marzenia i ideały zasnęły w nim tylko, nie umarły: a na głos tej pokusy odezwały się na nowo i wabią go tak, że im się oprzeć trudno; „Postęp, szczęście, i ja „kiedyś wierzyłem, i dziś jeszcze... ot macie, weźcie głowę „moją byleby... Ale darmo, może kiedyś, przed stu laty, po„lubowna zgoda mogła jeszcze... ale teraz za późno, teraz „trza mordować się nawzajem, bo teraz im chodzi tylko „o zmianę plemienia“.

Wezwanie Pankracego „zwyciężaj z nami“ Henryk odrzuca; odrzuca ocalenie nietylko własne, co bardzo naturalne, ale i syna, bo lepiej dla niego zginąć jak zostać samemu w tym świecie obcym dla niego; a odrzuca dla tego, że to zwycięztwo Pankracego jemu zwycięztwem się nie wydaje. „Świat ciała do Ciebie należy, tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem“, ale tu kres twego zwycięztwa. Henryk pojmuje je inaczej; on poeta, i on człowiek nie przekonań ale uczuć i popędów religijnych, on zwycięztwo widziałby w tem dopiero, gdyby w ten świat jaki jest wlać duszę, gdyby go zrobić dobrym i pięknym. Tego zwycięztwa Pankracy nie dokaże, a o inne Henryk nie dba. Na zakończenie ciekawa dysputa o przeszłości, o obustronnych przodkach. „Każdy z twoich ojców“ mówi Henryk, „pogrzeban z motło„chem pospołu jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą „i duchem“ — Swoich jednostronnie a umyślnie poetyzuje, idealizuje; „na ich czołach myśl rodziny, domu, ojczyzny, myśl nieprzyjaciółka twoja wypisana zmarszczkami“: same cnoty, same poświęcenia, samo rycerstwo i bohaterstwo. Pankracy nie zostaje dłużnym w odpowiedzi; spieszy pokazać odwrotną stronę medalu, dodając historyczny komentarz do

portretu każdego z antenatów Henryka. Ale i to chybia; Henryk ma tak stałe przedsięwzięcie pozostać przy swojem zdaniu, wytrwać w swojej jednostronności, że odpowiada nową apoteozą przeszłości. Dlaczego poeta daje mu te wyobrażenia tak przesadzone i ten arystokratyczny upór? dlaczego nie pozwala mu w przeszłości widzieć a przynajmniej przyznać nic prócz zasług i piękności? Dla dwóch powodów: naprzód Henryk jest poetą: on w swoją zasadę wierzy i kocha ją poetycznie tylko, fantazyą, gdyby więc ujrzał i przyznał w niej coś brzydkiego, ta wiara zarazby mu się wyślizła, nie zdołałby jej utrzymać. Powtóre, Henryk, choć za młodu marzyciel humanitarny, jest arystokratą, i to nie tyle z przekonania, nie tyle z teoryi, któraby mu mówiła, że arystokracya jest potrzebną w społeczeństwie, nie objektywnie, ale subjektywnie; nie dla zasady, ale dla tego, że się w arystokratycznym domu urodził, i że cała ta przeszłość jest jego dziedzictwem, cząstką jego samego. On swoją zasadę, swoje *credo* polityczne i społeczne ściąga do swego domu, w dalszej konsekwencyi do swojej osoby, i kocha tę zasadę w swoim domu i w sobie, a raczej kocha siebie w nich. Dla tego tak umyślnie i uporczywie zamyka oczy na wszystko co złe, dla tego tylko to chce widzieć, tylko to chce przyznać, co dobre i piękne.

Do takiego typu arystokraty nie brakło poecie wzorów, a zwłaszcza nie brakło ich w Polsce.

Rozmowa kończy się na niczem. Prawdy było w niej tyle tylko, ile wzajemnych zarzutów; każdy z nich dowiódł tylko, że drugi słuszności nie ma, żaden nie dowiódł, że ją sam ma; i w tem właśnie leży głębokość, prawda, tragiczność, i nauka moralna tej sceny. Poeta jak chór grecki stoi wysoko nad obiema stronami i obie sądzi. Ale choć żaden z nich niema słuszności, choć jeden i drugi jest tylko przeczeniem, przecież nie myli się Pankracy, kiedy odchodząc mówi: „dwa orły z nas“. Jeden i drugi mają wielkość rozmiarów, mają potęgę myśli i słowa, mają postawę tak dumną i wyniosłą, że obu trzeba przyznać, iż poziom głów ludzkich przerastają wysoko. Cokolwiek kto powie o poezyi Krasińskiego, tego

jednego odjąć mu nie można, że umie tworzyć ludzi wielkich: że piętno wyższości jakie na nich wybija, jest tak wyraźne i niezaprzeczone, że je każdy musi widzieć i uwierzyć w nie. Zdolność to tem cenniejsza, że zwykle kiedy poeta zerwie się na postać człowieka gienialnego, my zmuszeni jesteśmy wierzyć mu na słowo. On zaręcza, że to człowiek wyższy i wielki, ale po tym człowieku tego nie znać. Faust jest pod tym względem może jedyny w swoim rodzaju; Manfred o wiele nie dochodzi tej miary, jaką mu poeta dać chciał. U Krasińskiego, figury *Irydiona* mają rozmiary półbogów, a Henryk i Pankracy także są ludźmi więcej jak naturalnej wielkości. Henryk jest wspaniały w swoich odpowiedziach, jakkolwiek trochę z umysłu dumnych, trochę jak żeby przygotowanych, naprzykład kiedy na żądanie Pankracego, żeby słuchał jego propozycyi, odpowiada: „Słucham — patrz jakem cierpliwy", albo „słowa twoje kłamią, ale twarz twoja udać nie umie natchnienia". Każde słowo jest jak sonda zapuszczona w serce tamtego; a kiedy opisuje obóz Pankracego, albo kiedy uczuciem zawsze więcej poetycznem jak religijnem, broni krzyża, ma w swoich słowach zamknięte niezmierne głębokości myśli i uczucia. Pankracy znowu, ta wcielona logika, ten człowiek rozumu i woli, który w tej scenie właściwie dopiero się rozwija, ma w niej całą energię, całą siłę i całą suchość umysłu negacyjnego, jakie Mickiewicz uważa za podstawy jego natury w tym trafnie skreślonym wizerunku: „Poeta zlał na niego wszystkie cechy „dążności negacyjnych w rewolucyach europejskich, w sy„stemach wylęgłych z mózgu filozofów. Jest to niszczyciel; „nie posiada nic prócz rozumu, przychodzi do władzy zapo„mocą rozumu, nie zna żadnych uczuć ludzkich". Ma niektóre rysy z Kromwella, z Dantona i z Robespierra, mówi dalej Mickiewicz, a większych wzorów na Pankracego w historyi nie było; w końcu dodaje, że „wszystko tu jest trafnie „dobrane, aż do samego imienia: *Pankracy* znaczy jakoby „zbiór, ogół wszystkich sił materyalnych".

Figurze Henryka robi Mickiewicz zarzut, jeden podobno niesłuszny. „Jest on Polakiem, a myśli, czuje, działa

„po cudzoziemsku; występuje niby w sprawie szlachty, chrze-„ściaństwa, katolicyzmu, ale sprawę tę pojmuje wedle tego, „co wyczytał z książek zagranicznych“. I dalej, dziwi się Mickiewicz, że Henrykowi snują się ciągle po głowie zamki średniowieczne i wieże gotyckie, jakich w Polsce nie ma, a że chrześciaństwo pojmuje nie jak starzy Polacy, ale jak Chateaubriand, który tylko jego stronę poetyczną pojmował. Otóż to nie zarzut, ale zaleta postaci, która inaczej nie byłaby zupełną ani prawdziwą, to chwała i głęboka mądrość Krasińskiego, że tak Henryka pojął i przedstawił. Że mu się snują po głowie gotyckie zamki i katedry, to dobrze, bo on ze swojem usposobieniem szuka we wszystkiem, a zatem i w przeszłości, strony malowniczej, effektowej, dekoracyjnej; jemu nie chodzi o feudalizm, ale o zamki właśnie, o katedry z kolorowemi szybami więcej, niż o katolicyzm. Że ten pojmuje na sposób Chateaubrianda, a nie na sposób dawnych Polaków, to jest raz skutkiem jego usposobienia poetycznego, jego chciwości wrażeń, a powtóre, jest skutkiem i częstem zjawiskiem naszego wieku. Jak są ludzie, którzy się do kościoła katolickiego przyznają i bronią go dla tego, że on odpowiada ich instynktom hierarchii i władzy, a nie wierzą w żadną z jego nauk, nie zachowują żadnego z jego przepisów, nie praktykują żadnego z jego obrzędów, a są tacy potworni katolicy bez wiary, u których katolicyzm jest jednym pierwiastkiem w ich systemie politycznym:— tak są i ci, co się nad katolicyzmem sentymentalnie rozczulają, co poetycznie używają na jego obrzędach i kościołach, a których wiara wiotka nigdy się nie ustala i nie staje przekonaniem. Henryk jest jednym i drugim; składa sztandary u stóp arcybiskupa i każe się przez niego błogosławić, to znaczy, że szanuje władzę, hierarchię i chce pokazać uszanowanie dla religii; żałuje zburzonych kościołów i potłuczonych szyb kolorowych, to jest zewnętrznej malowniczej strony obrzędów; ale ma się z góry za potępionego, mówi, że po śmierci czeka go wieczna walka, uczucie niezgodne zupełnie z religią, którą on tak ostentacyjnie wyznaje, a kończy samobójstwem. Katolik bez wiary, katolik na pół przez system

polityczny, na pół przez wyobraźnię, i jako taki, wierny typ wielu ludzi naszego wieku, czem nie byłby wcale, gdyby mu poeta był dał prostą dobroduszną religijność staropolską.

Że zaś w nim polskiego typu nie ma, że w jego arystokracyi nie ma żadnego podobieństwa z dawnymi magnatami polskimi, ani z dobrymi ani ze złymi, że jego pojęcie arystokracyi i zachowywanie tego stanowiska jest inne, aniżeli było u nich, że jest zagraniczne i cudzoziemskie, to znowu zasługa i mądrość Krasińskiego i głęboka znajomość swego czasu. Czy można wystawić sobie dawnego magnata polskiego pośród tej walki społecznej? tego magnata, którego stanowisko w Rzeczypospolitej i pomiędzy bracią szlachtą było tak silne, niezachwiane, niewątpliwe? Cóżby on pośród naszego wieku robił? Powtóre, Henryk żyjąc w wieku XIX należy już do tej epoki, w której arystokracya polska częścią przez rozbiór kraju, częścią przez długi bo dwuwiekowy wpływ wyobrażeń francuzkich, straciła dawne tradycyjne pojęcie siebie samej i swoją odrębną tradycyjną fizyognomię, a przyjęła i kosmopolityczny pozór i obyczaj, i nawet zagraniczne francuzkie lub angielskie pojęcia o arystokracyi i jej stanowisku w kraju. Henryk pojmujący siebie tak jak się pojmował w Polsce, nie już Salezy Potocki albo Panie Kochanku, ale tak jak książę Jenerał Ziem Podolskich, (choć ten już był zbliżony do typu wielkiego pana europejskiego), byłby naprzód anomalią wśród dzisiejszej Polski, byłby niezgodnym z rzeczywistością, fałszowałby całą prawdę obrazu, a wreszcie, nie mógłby mieć tego co stanowi jego największą tragiczność: nie mógłby być arystokratą bez wiary w arystokracyę, i konserwatystą, któryby wołał nie konserwować tego co jest. W obu tych zarzutach nie Mickiewicz ma słuszność, ale trafny i szczęśliwy instynkt Krasińskiego.

W części ostatniej, w której przychodzi zdobycie twierdzy św. Trójcy, rozwiązanie poematu straszne przez to, że rozwiązaniem nie jest, koniec który nic nie kończy, zwycięztwo, które nie wie co począć, i kara na Pankracego przez zwycięztwo, na Henryka sąd obwieszczony mu przez usta jasnowidzącego Orcia, — w tej ostatniej części każde

słowo waży, każdy rys ma swój cel i głębokie znaczenie, ale ta część jest może ze wszystkich najkrótsza, najbardziej zbita, najmniej rozwinięta. Za każdą sceną ma się wrażenie głębokości, gienialności, prawdy pomysłu i trafności charakterystyki, ale więcej jeszcze jak w poprzednich żałuje się, że poeta nie zatrzymał się dłużej nad każdą z nich, że nie rozwinął obszerniej tych smutnych a tak wiernych wizerunków człowieka i społeczeństwa. W scenie ostatniej zwłaszcza, w scenie śmierci Pankracego, treściwość ta jest istotnie za wielka i obraca się na szkodę pomysłu.

Ale prawda jest we wszystkiem ogromna i nielitościwa, upokarzająca. Żeby wziąć za przykład tylko pierwszą scenę. Jesteśmy w twierdzy św. Trójcy, w obozie Henryka tym razem. Uroczyście, przy dymie kadzideł i dźwięku organów wódz odbiera błogosławieństwo biskupa i miecz św. Floryana. Henryk, który nie jest z tych co się poddają, każe wszystkim przysięgać, że „będą bronić czci i wiary przod„ków do upadłego, że głód i pragnienie umorzy ich do „śmierci, ale nie do hańby, nie do poddania się“; i przysięgają wśród okrzyków i wiwatów. Ale w tej samej chwili odzywają się szepty zazdrości i szyderstwa lekceważenia. Ta gawiedź także wyższości nie znosi, wyższość drugiego wydaje się każdemu jego własną krzywdą. „Jaki dumny, zdaje mu się, że świat podbił, nie dajmy żeby go wodzem obrano“ mruczą w tłumie towarzysze i podwładni Henryka. Jeden woła na głos „nie pozwalam“ — ale kiedy Henryk żąda, żeby każdy głośno i otwarcie powiedział co ma przeciw niemu, naturalnie nikt się nie odzywa, nikt nie ma odwagi wystąpić; temu arystokratycznemu obozowi nie szczędzi poeta charakterystycznych cech motłochu. Zaledwo przysięgli, już jeden po drugim bierze Henryka na bok, na poufną rozmowę: „bro„nić się, to frazes dobry dla tamtych, ale między nami, mnie, „tylko mnie jednemu, powiedz kiedy zaczniesz się układać „o poddanie twierdzy“ — wszystko się boi, wszystko drży, oprócz trzech tylko, starego sługi Jakóba, który się trzyma cnotą wierności i posłuszeństwa bez granic, Orcia, dla którego ten świat jest tak smutny, który swoim drugim wzro-

kiem wszystko widzi i odgaduje, i na wszystko jest przygotowany, i Henryka, który trzyma się honorem, który „umiera ale się nie poddaje“, którego całe szczęście, cała poezya zbiegła się w tej jednej myśli, żeby się nie poddać. Charakterystyczne jest jego słowo w kościele przy objęciu dowództwa: „obiecuję wam sławę“ — to jedno o czem on myśli, czego pragnie i na co liczy; „*tout est perdu, fors l'honneur*“, jeżeli nie dla wszystkich to przynajmniej dla niego.

A uważać należy, że poeta nigdy nie przestaje sądzić go surowo, że od raz pojętego charakteru postaci nie zbacza, że w tych chwilach nawet, kiedy pierwiastek bohaterski w naturze Henryka występuje najjaśniej i zdobywa dla niego uznanie i współczucie, autor ciągle nam przypomina, żebyśmy w tego bohatera nie uwierzyli zanadto, bo on jest bohaterem nie przez miłość swojej sprawy, nie przez wiarę w nią, ale przez miłość bohaterstwa tylko, jako rzeczy pięknej i poetycznej. W tym celu włożony tu jest ten monolog, w którym Henryk rozkoszuje się w swojej władzy podobnie jak Fiesco Schillera, kiedy z tryumfem człowieka, który posiadł przedmiot swoich żądz, zatapia się wzrokiem w miasto i mówi: mein Genua, mein! „Jakże tu dobrze być Panem, „być władcą, choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole „skupione na około siebie. Dni kilka tylko pozostało, użyję „ich rozkoszy mej kwoli, panować będę, walczyć będę, żyć „będę, to moja *pieśń* ostatnia“. On się i tem cieszy, że do celu swego doszedł poetycznie, nie zwykłemi drogami, ale „nagle, znienacka, jako marzył zawżdy“. Zawsze człowiek z fantazyą zwróconą na siebie, zawsze człowiek który sam sobie chce się wydawać bohaterem poematu, który sam przed sobą drapuje się i ustawia w różne postawy żeby się sam sobie podobał, żeby się zajmującym, pięknym, poetycznym wydał. Za tę namiętność udawania przed samym sobą, za to nierzetelne tumanienie siebie sobą, usłyszy on zaraz prawdę gorżką, niemiłosierną, tem surowszą i tem straszniejszą w swojej nagości, im więcej on ją sobie zawsze osłaniał i przystrajał.

Orcio, ślepy i żyjący więcej w nadzmysłowym jak w tym świecie, nie bierze udziału w walce ani nawet w jej namiętnościach; ale jego natura sensytywna, jego władza przeczuć, jego nadzwyczajna intelligencya i wyobraźnia, nie potrzebują widzieć, żeby wiedzieć. On rozumie wszystko, co się koło niego dzieje; on zna i obóz ojca i obóz Pankracego, on wie, że słuszności i prawdy nie ma ani tu ani tam, i że cała ta walka jest tylko marną a straszną rzezią bez celu i zwycięztwa; i on ich sądzi. On jeden ze wszystkich figur poematu widzi rzeczy jak są, w ich absolutnej prawdzie, a nie widząc po żadnej stronic słuszności, on wie, że wyjścia, końca, zgody i spokoju nie ma, i dla tego on jest tak smutny. Naturalnie, to wszystko nie jest wyrozumowane w tym umyśle dziecinnym, ale dostaje się do niego pod formą przeczuć i jasnowidzeń; duch matki przychodzi często do swego małego poety i ukazuje mu w jakichś widmach obrazy tego co się dzieje na ziemi. Teraz, kiedy Henryk, w przerwie pomiędzy dwoma walkami chce korzystać z ostatniej może chwili, żeby z tym synem być, żeby go kochać, patrzeć na niego i słuchać go jak dawniej w domu, kiedy chce wypocząć i odetchnąć jedynem swojem przywiązaniem przy jedynej ludzkiej istocie, którą kocha, Orcio mówi mu o swoich widzeniach i jakimś dziwnie rozkazującym tonem wyższości każe mu iść za sobą do lochów. Tam odbywa się jakiś sąd, schodzą się jakieś widma poważne i blade, na końcu oskarżony; Henryk nic nie widzi, rozpacza nad szaleństwem syna, które i jego o szaleństwo przyprawi, ale Orcio wie, że się nie łudzi i nie szaleje. W obozie Pankracego był świat nowy i wszystko jego złe, pokazane w rzeczywistości, w teraźniejszości; po tym obrazie nie trzeba pytać, dlaczego ten świat stałego zwycięztwa nie odnosi. Ale dlaczego ginie stary? on w poemacie występuje już jako bezsilny i nie robi, nie może robić nic takiego, coby nań ściągnęło ciężką winę, ciężką odpowiedzialność przed Bogiem i historyą. Przeszłości zaś poemat nie pokazuje. Jednak, jeżeli są w poemacie powody wyroku, jaki autor wydaje na Pankracego, a takiemi powodami są sceny w jego obozie, tedy należało mu także podać

i powody wyroku wyrzeczonego nad Henrykiem, który także jest osądzony i skazany. To znaczenie ma owo widzenie Orcia, którego Henryk jest mimowolnym, zmuszonym świadkiem. Należy ono do tych scen, które najbardziej potrzebowałyby szerszego rozwinięcia, w których treściwość najbardziej żałować się każe. To co Orcio widzi, to jest sąd i wyrok na cały dawny porządek rzeczy, wcielony w jednego oskarżonego, w jego ojca, „na którym kończy się ród prze- „klęty, w którym zebrał wszystkie siły i namiętności swe „i całą dumę swoją“. Zamiar autora jest zupełnie wyraźny: „My niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, pozbawieni ziem- „skiej chwały, żelazem rwani, przywalani cegłami i żwirem, mówią widma „my teraz dręczmy i sądźmy“. Oczywiście jest to odwet, kara, za wszystkie nadużycia feudalizmu wieków średnich i późniejszej arystokracyi; zrozumiałe te słowa są. Ale byłoby może lepiej, gdyby ta ogólna formuła oskarżenia, te motywa sądu i wyroku, były przedstawione szerzej i szczegółowiej, na przykładach, na różnych rodzajach nadużyć dawnych, jak motywa wyroku Pankracego pokazane są szczegółowo na różnych rodzajach nadużyć dzisiejszych. Myśl podstawna, sprawiedliwość poematu nie traci na tem; ona jest, i jest nawet dość widoczna i zrozumiała: wszelako jasność jej byłaby zyskała na obszerniejszem traktowaniu tej sceny, na więcej szczegółowem przedstawieniu tej myśli. Wyrok zaś, ten straszny wyrok: „za to żeś nic nie kochał „nic nie czcił prócz siebie“, ten odnosi się nietylko do wszystkich egoizmów i nadużyć przeszłości, ale i do osoby Henryka samego, który nie można powiedzieć, żeby był tylko siebie kochał, on niegdyś marzyciel humanitarny, kochanek ideału, ale który w tem dobrem i pięknem jakie kiedykolwiek kochał, kochał zawsze i najbardziej siebie.

Po tem co usłyszał, nic dziwnego, że Henryk staje się obojętnym na to co widzi: zamieszanie twierdzy oblężonej, w której nie ma żywności, ani kul, ani prochu, w której z resztką żywności i środków obrony znikają i resztki odwagi, a którą wbrew woli wszystkich trzyma potężna wola jednego człowieka. Cała ludność św. Trójcy skupia się około

parlamentarza Pankracego. Ojciec Chrzestny z czapką frygijską na głowie, temi samemi pustemi oklepanemi frazesami, prawi o swojem życiu obywatelskiem, o dążnościach i duchu wieku, „obiecuje wolność, że tak rzekę nietykalność osób waszych“ w imieniu wielkiego obywatela, który go przysłał; hrabiowie, książęta, bankierowie, ich żony i dzieci wołają na gwałt o układy i poddanie twierdzy. Henryk w tej scenie jest wspaniały. Góruje nad całym tym tłumem miękkich i tchórzliwych swoją odwagą i stałością i stoi nad nim jak jego sędzia. Mówi tym ludziom, że mają czego chcieli i na co zasłużyli, że swojem życiem, pojmowaniem swego stanowiska i korzystaniem z niego, tak jak pojmowali i korzystali, sami sobie taki koniec zgotowali. „A chce się wam „żyć jeszcze? a zapytajcie ojców waszych, dlaczego gnębili „poddanych, a ty dlaczego strwoniłeś życie i majątek na po„dróżach i kartach, a ty dlaczego podliłeś się wyższym „a niższymi gardziłeś, a ty czemu synów nie wychowałaś „na ludzi“, samiście sobie winni; i w końcu, kiedy ta cała zgraja przeklina go za to, że jej się trzymać i bronić każe, „za dzieci nasze, za żony nasze“, on odpowiada dumnie: „a ja was za podłość waszą“.

Chwilę później oblegający wdzierają się na mury, bronić się ani myśleć, tylko dla honoru wystrzelać jeszcze trzeba co zostało ładunków. Za chwilę będzie koniec. Henryk jednym rzutem myśli objąwszy całość swego życia, wyciąga z niej wniosek rozpaczliwy, ale zgodny z jego naturą, że „człowiekiem być nie warto, aniołem nie warto, trza być Bogiem, lub nicością“. Rozdzierające jest jego pożegnanie z synem, którego sobie przyprowadzić kazał, żeby go jeszcze raz uściskać: „O synu, „przebacz mi, żem ci dał życie — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty mi kropli rosy nie rzucisz z góry“! — A obok tego myśl o tej, przeciw której tak strasznie zawinił, pytanie czy mu choć w tej ostatniej chwili, kiedy on ma zginąć, nie przebaczyła. Kiedy Orcio mówi, że widział matkę, która go wołała do siebie, biedny ojciec pyta nieśmiało „czy wspomniała choćby imię moje?“ Nie! mówiła tylko o synu. Czegóż on się na tamtym świecie ma spodziewać,

kto mu tam przebaczy, jeżeli ona nie przebaczyła? „Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki“ mówi Henryk do syna, „ale trza mi w inną drogę“ — nie w inną stronę murów, ale w inną drogę wieczności. W tej chwili pada Orcio trafiony kulą, duch matki bierze go z sobą w górę, a „ludzie „nowi wdarli się na wieżę północną, szukają Hrabiego Hen„ryka“. Ale tego zwycięztwa nie będą mieli; zabić się, zabić się na całą wieczność, ale się nie poddać. Ostatnie słowa Henryka, bardzo krótkie, obejmują wszystko, co było w jego duszy: honor i stałość naprzód, potem odwagę, która nie słabnie nigdy, nawet na widok wiecznego potępienia: „wi„dzę czarną wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez „końca“; jest i sceptycyzm, zwątpienie we wszystko, kiedy mówi o Bogu, że „wiecznie jaśnieje a nic nie oświeca“ — a obok tego i jakiś tradycyjny grunt religijnego uczucia, bo kiedy ma skoczyć w przepaść, powtarza chrześciańskie i rycerskie hasło „Jezus Marya“. Wreszcie jest wspomnienie tego, co było treścią i klątwą jego życia, w słowach „poezyo bądź mi przeklęta“— i rozpacz bez dna i granic w słowach ostatnich „jako ja będę na wieki“. Nie na taki koniec zwiastował kiedyś anioł na wstępie poematu nad głową Henryka „pokój ludziom dobrej woli“. Jednak mimowolnie odnosi się z tego końca wrażenie, że autor jest dla swego bohatera za surowym. Ta śmierć z pewnością wiecznego potępienia, z tem uczuciem że mu żona nie przebaczyła, syn kropli rosy z góry nie rzuci, jest straszna. Chciałoby się zawołać na ulatującego w powietrzu ducha Hrabiny co robi? dlaczego nie próbuje zbawić Henryka, jak Kornelia Irydiona, modlitwą. Bo choć dobra wola nie zdołała w nim wziąć góry, ale „zarodu wszelkiej piękności“ jaki w nim był, on do szczętu nie wyniszczył i wiele piękności w nim zostało. „Błogosławiony, kto ma serce, on jeszcze zbawion być może“, mówi ten sam anioł. Serce to dało się uwieść, było dumne, chciało być „podziwem ludzi i siebie samego“, ale było, i było wielkie; kara należy mu się słusznie, ale zguba przechodzi może miarę jego win i miarę sprawiedliwości poetycznej.

Po Henryku kolej na Pankracego. Wchodząc do twierdzy spotyka on cały tłum tych, którzy wołali o układy, i sprawdza to, co im przepowiadał Henryk, że za „pośpiech do hańby czeka ich szubienica i kat milczący z powrozem w dłoni". Wszystkie te figury drżące ze strachu, puste a nadęte, przechodzą przed Pankracym jedna po drugiej, wymieniając swoje imiona i tytuły, a on za każdem imieniem, zwięzłym a nieco deklamacyjnym stylem konwencyonistów francuzkich, odpowiada: „wymazane z listy żyjących, ostatni raz je wymówiłeś" i podobnie. W jedną drogę z nimi idzie i ten Ojciec Chrzestny, który w ostatniej chwili próbuje pośredniczyć; myśli, że swojemi „obywatelskiemi zasługami zaimponuje Pankracemu"! Los zwykły i zasłużony tych, którzy podchlebiają ze strachu. Ze wszystkich ofiar rewolucyi francuzkiej, najmniej ma się współczucia i pożałowania dla Filipa Egalité: ze wszystkich ofiar *Nieboskiej Komedyi,* najmniej dla Ojca Chrzestnego. Pankracy nie raczy nawet spojrzeć na te wszystkie głowy schylone przed nim; nie myśli o zdobytej twierdzy, ostatnim akcie i uzupełnieniu zwycięztwa. On pośród tych ludzi i wypadków widzi i szuka jednego tylko, tego jednego na ziemi, którego szanuje, człowieka który dotrzymał słowa, Henryka. Jego wola, jego namiętność cała zeszła się w tym jednym punkcie, żeby Henryka znaleźć i ocalić. Napróżno, zniszczenie powszechne ogarnęło i jego.

I teraz rozpoczyna się kara Pankracego; teraz, to co parę dni temu w obozie, było w jego duszy jako wątpliwość dopiero, jako pytanie, to objawia mu się jako rzeczywistość, jako prawda widoczna, niezbita i nieubłagana. Głębokie jest przeciwieństwo w tej ostatniej scenie pomiędzy nim a Leonardem. Leonard, gorętszy, a nie doświadczony, płytszy, widzi tylko zwycięztwo, ostateczne zwycięztwo, i wierzy że teraz już wszystko skończone, już przeszkód nie ma żadnych, już będzie wszystko dobrze, „idź wypocząć mistrzu po tylu nocach bezsennych". Pankracy doświadczeńszy od niego, głębszy, człowiek prawdziwego gieniuszu, wie, że to nie koniec, ale początek ledwo! mniej jak początek, nie zero ale

minus, nie życie w zarodzie, ale śmierć panująca na całej przestrzeni. „Nie czas mi zasnąć — patrz na te obszary, „trza zaludnić te puszcze, by we dwójnasób tyle urodziło „się na nich życia, ile śmierci teraz na nich leży“. Tragiczne i straszne położenie niszczyciela, który się spostrzega, że zniszczenie nie jest dobrem, nie jest niczem, i chciałby tworzyć, chciałby stawiać, a czuje, że nie może. Trzeba życie przywrócić i przywołać, bo „inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest“! Leonard nie wątpi o niczem; jemu wszystko zdaje się łatwem, jego fanatyzm, jego przekonanie szczere nie przypuszcza zwątpienia, nie przewiduje niemożności. Trud być może, ale „Bóg wolności sił nam doda“. Wolność? co za srogi żart wobec takich zdarzeń! i Bóg... jaki Bóg? te dwa mimowolne słowa ucznia przeszywają duszę mistrza jak dwa miecze i budzą ją do najsmutniejszego zastanowienia, opamiętania, obrachunku z sobą. Wolność! prawda, on od niej zaczął, o niej mówił, dla niej walczył, do niej dążył, a zaszedł tu? Więc całe jego życie było na wspak tego czem być miało? było kłamstwem i zaprzeczeniem idei, którą wyznawał i głosił? szło od celu a nie do niego? a Bóg? „co mówisz o Bogu? tu ślizko od krwi ludzkiej“. On już nie o tym Bogu myśli, którego wspomniał Leonard. On w tej chwili swojego marnego zwycięztwa uczuł w sobie świadomość, oddawna i umyślnie zagłuszoną, wyższej nad sobą myśli woli i miłości, sprawiedliwości i opatrzności, która się zniszczyć nie daje i przed którą trzeba zdać rachunek; on myśli o Bogu prawdziwym i wiecznym. I po raz pierwszy, od bardzo dawna zapewne, czuje, że przed nim stoi. „Sami jesteśmy, a zdaje mi się, jak żeby tu był ktoś trzeci“. I zjawia się jemu ten trzeci, dla Leonarda niewidzialny, ale jemu widomy i zrozumiały sędzia jego samego i jego dzieła zniszczenia. „Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień“ — tym plotkom człowiek rozumny i silny nie wierzył, a to przecież prawda! — A jeżeli już prawda, to dlaczegóż on nie czeka na swój dzień ostatni, ale zjawia się dziś? Bo to nie dla świata, ale dla Pankracego i jego dzieła jest dzień ostatni, dzień sądu, któ-

rego wyrok brzmi, że „dzieło zniszczenia odkupionem nie jest“. Przepyszny choć tak krótki, w kilku słowach tylko, jest obraz tego zjawienia, tego Chrystusa mściciela opartego na krzyżu jak na szabli „ze splecionych piorunów cierniowa korona“ a od „błyskawicy jego wzroku mrze kto żyw“. Straszliwego majestatu sędzia, *Rex tremendae majestatis*, Chrystus dnia ostatecznego jakiego malarz żaden wykonać nie zdołał, jaki może w sztuce ludzkiej plastycznie zgoła przedstawionym być nie może tylko w wyobraźni i w poezyi cokolwiek przeczutym. Przerażający jest krzyk Pankracego, który jego wzroku znieść nie może: „Połóż mi dłonie na „oczach, zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego „spojrzenia co mnie rozkłada w proch“. Zaczyna się śmierć. Śmierć bez żadnego powodu fizycznego, taka jaką pomrzeć mają ludzie, których dzień sądu zastanie przy życiu. Pierwiastek życia jest zabity, w chwili kiedy człowiek się osądził i poznał, że treść tego życia, pierwiastek jego czynów był złem i fałszem. Od tego wzroku śledczego, przeszywającego na wskróś, przenikającego skrytości serca, nic go zasłonić nie może: „Nędzne twe ręce, jak u ducha, bez kości „i mięsa, przejrzyste jak woda, przejrzyste jak szkło, przej„rzyste jak powietrze, widzę wciąż! daj mi choć odrobinę „ciemności“. Ostatnie słowa Pankracego są tak rozpaczliwe, jak ostatnie słowa Henryka — tamten mówił „jestem przeklęty na wieki“: ten woła „ciemności“! Chce się schować, chce zginąć, chce zniknąć, chce nie być. Tak się boi tego sądu, który nad nim stoi, że woli ciemność, woli nicość; a ostatniem słowem uznaje się zwyciężonym, uznaje, że robił źle, kiedy konając mówi: *Galilee vicisti.*

Że w pomyśle samym i w wykonaniu, w tem zjawisku i w rozpaczających słowach Pankracego, jest ta kolosalna wielkość i głębokość, jaka przystoi takiej scenie i takiej postaci, to pewna. Jednak, scena ta, potrzebowała zdaniem mojem szerszego rozwinięcia. Nie ze względu samej artystycznej piękności, bo nie o tą chodzi tu głównie. Ta, wobec wielkości prawdy moralnej i filozoficznej objętej tem zakończeniem, schodzi do znaczenia skromnego rzeczy podrzędnej

i błahej. Ale w interesie samej tej prawdy moralnej i psychologicznej, należało rozwieśdź się cokolwiek szerzej nad zwątpieniem, jakie ogarnia Pankracego w chwili zwycięztwa. Ono jest, i czytelnik rozumny dojrzy je i pojmie; jednak jest zbyte tak krótko, tak zaledwo oznaczone i naszkicowane, że i taki musi uzupełniać je w myśli, rozwijać je w swojej wyobraźni, żeby zrozumieć i uznać prawdopodobną tę śmierć Pankracego tak nagłą i niesprowadzoną żadnym fizycznym naturalnym powodem. Ostatnie słowa rozpaczy, kiedy on już widzi zjawisko na chmurach, są wspaniałe; i tu nie żąda się ani słowa więcej, każdy dodatek mógłby wrażenie zmniejszyć i osłabić. Ale myśl poprzedzająca „dzieło zniszczenia „odkupionem nie jest, jeżeli nie zrodzi dwa razy tyle życia „ile dziś jest śmierci", ta powinna była być rozwiniętą. Mianowicie potrzeba byłoby kilku słów, w których Pankracy dawałby do zrozumienia, iż wie, że tego życia zasiać nie może, i to dopiero tłómaczyłoby jego ostateczną rozpacz i zwątpienie w siebie. To uczucie w niem oczywiście jest, i mamy wszelkie prawo czytać je między wierszami; ale poeta zaniedbał dać mu wyraz jasny i widoczny, a ten ze względu na logiczny ciąg jego myśli i stopniowanie jego uczuć, był tu potrzebnym.

Od pierwszego sądu jaki był wydany o *Nieboskiej Komedyi*, od rozbioru jej przez Mickiewicza, który pierwszy poznał i dał poznać głębokość tego poematu, na który publiczność polska zrazu nie zwróciła uwagi, stało się jasnem i zrozumiałem, że jego mądrość, jego wartość filozoficzna, polityczna i moralna, i jego prawda historyczna, jego zgodność z rzeczywistością, polega w tem, co stanowi jego charakter tak strasznie i rozpaczliwie smutny i ponury, w tem, że nikt tu nie ma słuszności, nikt nie ma prawdy, nikt nie zwycięża. „Dążenie do ideału oblane krwią i otoczone zniszczeniem, „nowe zbrodnie, które karzą dawne, a same nic nie utworzą, „przechodzą bez śladu jak koń Atylli", jak żeby były bez myśli. Nad światem zwaśnionym, rozprzężonym, rozpadającym się, stoi ten poeta i sądzi go bezstronnie, bez namiętno-

ści, bez uprzedzeń, i bez miłosierdzia. Czy bez nadziei i bez miłości dla niego? To inna rzecz. W tem zakończeniu *Nieboskiej*, które jest osądzeniem i potępieniem wszystkich dążności i kierunków naszego wieku, i rewolucyi, i konserwatyzmu, widziano nieraz jakąś straszną i rozpaczliwą negacyę wszystkiego. Nie ma ratunku, nie ma zbawienia! myślano, że poeta jak jego bohater z rezygnacyą rozpaczy mówi nad światem wyrok „trza mordować się nawzajem, Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do Raju". Istotnie w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi nic, żadna siła, żadna prawda, żadna zasada, żaden fakt nawet ani żaden człowiek, któryby zapowiadał spokój i zgodę choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Bo i Leonard, człowiek dobrej wiary, a przez szlachetniejszą naturę czy przez szczęśliwy traf nie zmazany zbrodniami i nie odpowiedzialny za wszystko co się dokonało, Leonard w którym Klaczko domyśla się reprezentanta pokoleń młodych, które mając ręce czyste od wypadków dzisiejszych, może skuteczniej i szczęśliwiej będą mogły przyszłość budować, nawet ten ze swoją naturą, silny uczuciem ale myślą słaby, i ze swoją religią natury, której obrzędy święci tak uroczyście, nawet ten nie jest zdolny po śmierci Pankracego tym chaosem zawładnąć i cokolwiek z niego wyprowadzić; jego chaos porwie i pochłonie. Z aktorów poematu, z idei i dążności, które oni reprezentują, żaden i żadna nie będzie tym punktem stałym, około którego świat nowy mógłby zacząć się formować. Zostaje więc w konkluzyi nicość najzupełniejsza. Ale nie nicość nieskończona. To jest tylko zniszczenie, unicestwienie wszystkich zaprzeczeń naszego wieku: a wszystko co my nazywamy naszemi zasadami, naszemi affirmacyami, to wszystko w gruncie nie jest niczem zupełnem i prawdziwem, to jest tylko negacyą czegoś, czegoś przeciwnego. Konserwatyzm nasz sam porządkiem i zasadą nie jest, jest tylko przeczeniem rewolucyi; rewolucya na odwrót jest znowu przeczeniem, najogólniejszem ze wszystkich, negacyą wszystkiego co jest; wolność jak my ją pojmujemy i praktykujemy, jest negacyą władzy; władza na odwrót pojmuje się najczęściej jako nega-

cya wolności; państwo, nasze dzisiejsze, jest negacyą narodu, narodowość pojęta przez jednych jako rozbicie jakiegoś ciała politycznego na atomy, na wszechwładność woli każdego powiatu, każdego miasta, każdej grupy ludzi, staje się negacyą i narodu i państwa, pojęta i urzeczywistniana przez drugich jako wspólność rasy i dążność do plemiennego zjednoczenia, staje się negacyą narodu i wolności. I tak wszystko; wolność religijna w naszem ręku staje się negacyą religii, religia często zaprzeczeniem wolności religijnej; równość nienawiścią wyższości intellektualnej, moralnej, urzędowej lub majątkowej — sam lud wreszcie, w naszem pojęciu i w naszych argumentacyach staje się negacyą narodu. Otóż, jeżeli poeta nad to wszystko wzniesiony, wszystkiemu wróży upadek i przepowiada, że z tych wszystkich zaprzeczeń nie zostanie nic, bo żadne z nich nie ma po sobie prawdy i słuszności, to konkluzya jego jest straszna i rozpaczliwa dla nas, którzy w tych zaprzeczeniach żyjemy i o nie się bijemy, ale nie jest rozpaczą i zwątpieniem o prawdzie, o dobru, o przyszłości i o ludzkości. I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły, i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi. To nie wesołe, prawda, to straszne dla nas, bo walka *Nieboskiej Komedyi* skończoną nie jest, bo ona dziś jak w chwili pisania jest jeszcze przyszłością; może my sami, może przyszła generacya po nas, stoczy tę walkę do dna i ujrzy jej straszne rozwiązanie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje a człowiek nie upamięta. Ale to pewna, że rozwiązanie tej walki, będzie, jak w *Nieboskiej Komedyi*, zwycięztwem niczyjem, zaprzeczeniem wszystkich naszych przeczeń. Wtedy świat przekona się ile one były warte, przestanie się o nie bić i mordować, przestanie w nie wierzyć, „a z chaosu wywinie się i z myśli bożej zbuduje świat nowy", dla którego zakończenie smutnych dziejów naszego wieku będzie doświadczeniem i nauką, że w historyi nie zwycięża ani Henryk ani Pankracy, ale Galilejczyk. Konkluzya *Nieboskiej* straszna i rozpaczliwa, przecząca, dla nas, jest dla historyi, dla przyszłości, affirmującą. Dochodzi przez surowy sąd sprawiedliwości bożej nad światem, do zmiłowania, i do podnie-

sienia ludzkości w epoce przyszłej, w której nasze kości, co prawda i co smutno, „dawno już próchnem będą“.

Wobec tak wzniesionego nad wszelkie nędze i małości stronnicze stanowiska autora, byłoby prawdziwą nędzą i małością, sądzić jego poemat z jakiegoś chwilowego punktu widzenia podług naszych ciasnych i marnych uprzedzeń lub upodobań, i naciągać jego konkluzyą na którąkolwiek stronę; robić z niej argument przeciw demokracyi, albo oskarżenie przeciw arystokracyi, oskarżać, że z jedną lub z drugą obszedł się za surowo, słowem brać *Nieboską Komedyę* na przetak naszych jednodniowych niechęci i sympatyi, i przesiewać ją przez niego, żeby wybrać z niej to co na korzyść naszych sądów, na obronę naszych dążności wyjść może. A robiono i to; oskarżano Krasińskiego, że był arystokratą, oskarżano że był rewolucyonistą; ten i ów próbował go naciągać do swoich potrzeb i do swojej miary. Ani arystokratą ani demokratą w dzisiejszem utartem znaczeniu tych słów, w znaczeniu jakie im daje europejska prassa, on nie był. Jeżeli chodzi o jego przekonanie stałe i zastósowane do rzeczywistości politycznych i społecznych stosunków, to wypowiada on je w jednym ze swoich listów (Paryż 1841, str. 84).

„Arystokracya bez demokracyi, jak demokracya bez „arystokracyi, są tylko rzeczami umierającemi. Pierwsze ko„nają w zgłupieniu, w odrętwieniu, w letargowym krety„nizmie i z podejrzliwością wenecką otaczają sobie łoże „śmierci policyantami; drugie w anarchii, w błocie i krwi, „z rykiem hyeny na ustach, z kleszczami kata w ręku, „z czarą pełną wódki i z wieńcem tulipanów na głowie“. To jego sąd stały sformułowany do użytku codziennego życia. Jego sąd i wyrok poetyczny, ten widoczny jest aż nadto z zakończenia *Nieboskiej,* z celu w jakim ona była pisaną. Myśl tę objaśnia pięknie wstęp do francuzkiego przekładu pism Krasińskiego, pisany przez jego syna Władysława; „Hra„bia i Pankracy wyszli oba z tego samego ducha krytycz„nego; jeden odrzuca przyszłość, a drugi przeszłość. Ta je„dnostronność absolutna i wyłączna, jest u obu skutkiem je„dnakowego braku wiary. Pankracy jest wcieleniem rozumu

„który się sam ubóstwia w swojej naturze i dochodzi w swo-„jej wierze do wyrachowania, w czynie do siły liczebnej; „Hrabia jest wcieleniem tego samego rozumu, który się unosi „sam nad swoją indywidualnością, przeczy wszelkiemu prawu „ogólnemu, a za prawidło postępowania bierze tylko swoją „fantazyę. W swoją sprawę wierzy on o tyle tylko, o ile „wierzy w siebie; to też, kiedy przyszła przegrana, wpada „w rozpacz i zadaje sobie śmierć. A tę chwilę właśnie obrał „Bóg, żeby się sobie zaświadczyć sposobem niezaprzeczal-„nym w sumieniu ludzi i narodów.

„Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwnem, że autor „oddaje zwycięztwo Pankracemu, który cynicznie gardzi „prawdą, której tryumf się objawia i uporczywie jej prze-„czy. Ale zwycięztwo to było potrzebne, żeby wykazać, że „w walce prowadzonej bronią nienawiści, zwycięztwo musi „zawsze zostać przy ślepej sile fizycznej. Ale tkwi w tem „zamiar jeszcze głębszy. Zwycięztwo Henryka nad Pankra-„cym, byłoby uwielbieniem człowieka i jego gieniuszu, a zja-„wisko krzyża, zamiast poprawić, byłoby go tylko utwier-„dziło w jego dumie. Tymczasem ani duma ani gieniusz nie „są panami naszych przeznaczeń, ale postęp, który je ku „dobremu kieruje, czyli dobro, i w tem podług pięknych „słów poety, leży „najwyższa mądrość“. Od zupełności i roz-„szerzenia się tego postępu ku dobremu, zależy nasze zba-„wienie w tym i w tamtym świecie. Jeden a troisty, ten „sam w swoich trzech nierozdzielnych objawach, przyczyna, „środek i skutek, jest on pierwiastkiem życia, jest porządkiem „bożym i nieśmiertelnością samą, bo on łączy ducha każdej „istoty ludzkiej z duchem Boga. W działaniu swojem postę-„puje on przez miarę, przez harmonię, przez jedność i przez „miłość, a w wielkiem dziele Boga gra on rolę tła, które na „tym warsztacie łączy i trzyma różne nici stworzenia; nici te „idą każda w swoją stronę, ale każda, każde usiłowanie ludz-„kie musi się tego tła trzymać, jeżeli chce się uwiecznić w skut-„kach rzeczywistych i trwałych. Kto postępuje inaczej, ten „buduje na piasku i burzy dzieło wieków, ale nie zakłada „nic prawdziwego, nic rzeczywistego, a każdy wiatr może

„obalić budowę jego niewiadomości i jego zarozumiałości“.

Tak reassumuje wydawca Krasińskiego jego filozofię w odniesieniu do człowieka, społeczeństwa i historyi, i ona to służy za podstawę temu poematowi, a zamknięta jest i objęta pomiędzy jego słowem pierwszem, którem jest „Pokój ludziom dobrej woli“ i ostatniem „Galilee vicisti“.

Że w tej myśli filozoficznej jest i myśl religijna, to jasne. Myśli patryotycznej nie ma; przynajmniej nie jest nigdzie wspomnianą, i słusznie. Bo naprzód, kwestya, która się w poemacie toczy, nie jest polską tylko, ale powszechną; a powtóre jest to jej cechą i naturą, że jej celem jest nie ojczyzna, ale przemiana społeczna. Mickiewicz uważa bardzo trafnie, że Polska w *Nieboskiej Komedyi* „nie jest naszą Pol„ską historyczną i geograficzną jaką dziś znamy; możemy „ją tylko wyobrazić sobie, przypuściwszy naprzykład, gdyby „nagle, zbiegiem jakich wypadków skutkiem jakiego kon„gresu, stanęła cała i niepodległa, ale bez własnej siły ży„wotnej wewnątrz, natchniona jedynie życiem obcem, rusza„jąca się mocą uczuć i wyobrażeń wyrobionych w Europie“. Charakterystyka bardzo trafna; to jest Polska, ale Polska skosmopolityzowana na której gruncie rozstrzyga się sprawa natury kosmopolitycznej. Że Krasiński nie wtrącił tu ani jednego słowa, któreby przypominało ideę lub dobro ojczyzny, miał słuszność zupełną, bo takie słowo byłoby zmieniło doniosłość i prawdę jego obrazu. Jednak, pomimo tego milczenia, nie można powiedzieć, żeby myśl patryotyczna nie była objęta tą myślą ogólną, i żeby nie znajdowała w poemacie przystósowania i do siebie. Wszak wszystkie żywioły walki, która się toczy w poemacie, są w Polsce; w chwili kiedy Krasiński pisał, one się właśnie bardzo wyraźnie i burzliwie manifestowały. Zatem, prawdy ogólne, przystósowanie ogólne *Nieboskiej*, ściągają się tak samo do Polski jako ogólnym prądem historycznym objętej, jak do Europy całej; a zakończenie poematu, to powszechne zniszczenie na powierzchni ziemi, jest przestrogą i dla niej, jest upomnieniem dla ludzi i pokoleń, którym wśród tej walki żyć wypadło, żeby baczyli co za los mogą zgotować swojej ojczyźnie.

Jest więc w tem pierwszem i najszerszem kole poezyi Krasińskiego myśl patryotyczna, choć ukryta i niewypowiedziana, jak jest i myśl religijna, choć ogólna i nieokreślona. Dodawszy do tego prawdziwą wielkość dwóch postaci głównych i trafną charakterystykę podrzędnych, dodawszy to, że Henryk i Pankracy mają więcej indywidualności, więcej charakteru psychologicznego, jako typy uczuć i namiętności, które poeta znał w świecie rzeczywistym, aniżeli figury z *Irydiona*, których dzieje, uczucia i myśli dobyte są wyłącznie z jego fantazyi, — dodawszy wreszcie i to, że styl przy całej swojej obrazowości nie jest przeładowany ozdobami i że z całej prozy Krasińskiego jest może najprostszy, a przytem zwięzły, jędrny i majestatyczny jak bardziej nie można, byłoby mniej więcej wszystko, co potrzebne do wydania sądu o tym poemacie. A sąd ten wypaść musi na wielką chwałę *Nieboskiej Komedyi;* bo jeżeli w dziele Krasińskiego są rzeczy natchnione wyższem i potężniejszem uczuciem, jeżeli tak oryginalny i rzeczywiście ogromny pomysł *Irydiona* jest bardziej zadziwiający, to w *Nieboskiej* za to jest tak głębokie pojęcie naszego wieku i społeczeństwa, i przedstawienie ich tak trafne i prawdziwe, taka znajomość wszystkich pierwiastków społecznej walki w ich naturze i wzajemnym stosunku, a jej koniec ze stanowiska i moralnego i politycznego jest przepowiedziany tak mądrze, że poezya europejska cała jak jest, nie posiada nic, coby pod tym względem z *Nieboską Komedyą* mierzyć się mogło. A jeżeli które inne z dzieł Krasińskiego nam Polakom mogą być milsze i droższe, to sądząc te dzieła ze stanowiska ogólnego, ona okaże się może ze wszystkich najgienialniejszą.

Jedno tylko zachodziłoby pytanie: czy autor pisząc *Nieboską* rozumiał ją tak, jak ją rozumiał i tłómaczył Mickiewicz a po tym Klaczko, jak rozumieli komentatorowie lub wielbiciele zagraniczni (Lord Lytton naprzykład), jak jest powszechnie rozumiana dziś? Wątpliwość tę nasunąć może ów list Krasińskiego (z Rzymu 21 listopada 1833 do Gaszyńskiego), w którym donosząc, że napisał ten poemat, mówi,

że napisał go na obronę „tego na co targa się wielu — re„ligii i chwały przeszłości“.

A więc może Krasiński nie był tak mądrze sprawiedliwym jak nam się wydaje? może sam nie widział tego, że jego Hrabia Henryk nie ma słuszności? tego że mądrością i prawdą jego dzieła jest to właśnie, że przy nikim nie zostaje słuszność, ani zwycięztwo?

Wniosku takiego ze słów powyższych wyciągnąć nie można.

Że z dwóch głównych postaci, Henryk jest mu bardziej sympatyczny niż Pankracy, to jasne; że gdyby okoliczności były jego samego w walce takiej postawiły, to byłby w twierdzy św. Trójcy, a nie w obozie Pankracego, to równie pewne; a że poemat cały pisany był na okazanie i dowiedzenie, że bez religii, bez ojczyzny, bez rodziny, bez własności, i bez rządu i władzy żadne społeczeństwo ludzkie nietylko szlachetnem i cywilizowanem być, ale w ogóle być nie może, to wiedziało się i bez tego listu. W tem znaczeniu więc brać trzeba i słowa listu: „na chwałę przeszłości“. Na chwałę tego, co ona dobrego i prawdziwego w sobie miała lub zrobiła, a na co się dziś wielu targa. Ale z tego nie wynika ani usprawiedliwienie — tem mniej gloryfikacya tego co w przeszłości było złem lub stało się przeżytem; ani usprawiedliwienie lub gloryfikacya Henryka samego jako człowieka.

A jak list do Gaszyńskiego z 17 stycznia 1834 daje klucz do zrozumienia tych przekonań Krasińskiego, z których poczęła się *Nieboska*, tak znowu list o wiele późniejszy, (z 5 kwietnia 1837, XXXVII) objaśnia jego stanowisko, jego stosunek do różnych sił i zasad w poemacie działających, jego sąd o własnym poemacie już napisanym. List ten spowodowany był recenzyą *Nieboskiej Komedyi* napisaną przez p. Ulrycha, który, jak z tej odpowiedzi wnosić można, musiał Krasińskiemu zarzucać, że uderzył na rzecz w historyi już skończoną, a w Polsce nie bywałą i nie będącą a w dodatku dążność ateistyczną. Oto jak się Krasiński broni:

„Jeśli kto stósuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema: a zatem zarzut, że nie do Francyi zastosowane dzieło, jest niczem.

„Jeśli kto w poezyi pojmuje tylko objawienie się cząstkowe czegoś, dziś, na tem miejscu i przy owych ludziach, a nie przyrodę wiekuistą czegoś: ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą. Poeta nie bierze monarchizmu, arystokracyi lub republikanizmu tak jak był lub będzie, tak jak się zdarzył, ale tak, jak jest wiekuiście w duchu ludzkości. Dopiero ten ideał ogólny w kształty zdarzeń zaszłych lub podobnych do zaszłych ubiera.

„Czemże jest republikanizm? Wiecznie jest siłą odporną, siłą niszczącą, siłą usiłującą na gruzach coś wznieść, a zatem, czy tak burzy czy tak, zawsze burzy; że zaś poetycznie burzenia wystawić inaczej niepodobna, jak przez mury rozwalone, połamane ołtarze, leżące łupy i strzaskane bronie: stało się zadosyć temu we wzmiankowanem dziele.

„Ale w tej jednostce, w republikanizmie, nie zawarty, nie zakończony całki obręb ducha ludzkości. Nad burzą wznosi się coś nieprzemijającego, coś spokojnego, sama natura tego ducha *(La nature des choses, ce maître sans entrailles,* jak mówił Napoleon), czyli moralność, czyli porządek i harmonia, który jest celem ostatecznym. Na ten cel ostateczny, na tę moralność, jakież imię posiadamy dzisiaj? bo jużci coś wyrazić trzeba słowem, symbolem, znakiem, i znakiem dziś używanym. Dziś takim znakiem jest chrześciaństwo. Dotąd nic ludzkość wyższego nie zna, nie pojmuje; a za tem temu także stało się zadość tam.

„I w tem Leon się myli, że dzisiaj rok 93-ci skonał. Skonał jako zjawisko, żyje jako systema. Wierzę, iż Leon jego powrotu nie pragnie, iż Leon zna się z takimi, którzy rzecz tę uidealizowali; tem bardziej się pomylił, bo massa nie idealizuje, ale idzie naprzód, i żelaźnie stąpa. Potem Leon przyznaje, że to prawda dla Niemiec, Włoch, a zatem i dla Polski. A cóż u licha? czyż kto koniecznie winien dla Francyi pisać; czyż przestrzeń od Bałtyku po Afrykę niedosta-

teczną posadą na jeden poemat? Zkąd obowiązek święty, nałożony na człowieka jak honor, by się wdawał z Francyą i z Ameryką; co mu wspólnego z zamorskiemi brzegi? Albož Leon nie widział, že tam kształt najbardziej zbliżony do Polski? A jeśli mi rzeźników i lokajów nie uznaje w Polsce; jeśli mi twierdzi, że Polska wybiegła bardzo daleko naprzód od tych teoryj, to mu poprostu powiadam: „Tak myślisz? żałuję sercem całem, że tak nie jest".

„Dalej, nie wiem, gdzie on ten ateizm widział w tem wszystkiem: niema o ateizmie jednej wzmianki; któżby był tak bezrozumny wprowadzać ateizm w rzecz, w której duch ludzkości występuje".

To własne zeznanie nietylko nie sprzeciwia się w niczem naszemu powszechnemu dziś rozumieniu *Nieboskiej Komedyi*, ale je owszem stanowczo potwierdza [1]).

---

[1]) *Nieboska Komedya* wydrukowana w Frankfurcie w r. 1834 w skutku jakiejś obawy księgarza nie była puszczoną w obieg. Autor nie pojmował długo i dowiadywał się co się z nią stało. Aż jakiś jeden exemplarz przypadkowo dostał się do Paryża, i tam przedrukował go Januszkiewicz, nie wiedząc czyje dzieło i gdzie autora szukać. To więc, drugie w istocie wydanie, rozeszło się dopiero i dało poznać *Nieboską*, a w następstwie zwróciło uwagę na jej autora.

ROZDZIAŁ IV.

1833—1836.

Krasiński w Rzymie. Znajomi i przyjaciele. Zamiłowanie Rzymu. Ślady przekonań religijnych i politycznych i pojęć estetycznych w listach. Zniechęcenie do siebie samego. Pragnienie szczęścia. Pierwsza miłość. Jej ślady w listach. Zachwyty i gorycze. Charakter tego uczucia. Lato w Niemczech. *Irydion*.

Z Wiednia pojechał Krasiński do Rzymu. Był tam już jako młodziutki nie usamowolniony chłopiec. Musiał ten pobyt wywrzeć na nim wrażenie bardzo silne i zaszczepić w nim ten namiętny pociąg do Rzymu jaki został na zawsze, skoro teraz, pan swojej woli, tam naprzód dąży, i tam wraca kiedy tylko może. Zaczyna się odtąd długi szereg wędrówek za Alpy, których właściwym głównym celem jest zawsze Rzym. Pociąg charakterystyczny, a w życiu i poetycznym zawodzie Krasińskiego ważny. Rzecz pewna, że nie na jego fantazyę i jego poezyę tylko, ale na jego umysł, na całość i kierunek jego pojęć, wpłynęły te rozmyślania, jakie mu nasuwała historya i natura Rzymu.

Tam więc widzi się go w drugiej połowie roku 1833, i w początkach następnego.

W jakiem otoczeniu? Przedewszystkiem ma przy sobie serdecznego i nieodstępnego przyjaciela Danielewicza: oprócz tego paru innych, których lubi. Młody rychło potem zmarły Litwin Otton Rajecki, Stanisław Sołtyk później mąż znanej z życia Mickiewicza Henryki Ankwiczówny (2-go voto Kuczkowskiej); Aleksander Potocki, syn Szczęsnego z Greczynki, emigrant, który od owych lat aż do śmierci cieszył się jak mało który z Polaków najpowszechniejszem, najbardziej jednomyślnem uszanowaniem i sympatyą. Emigracya nie wiele osiadała we Włoszech, choć i tam cokolwiek (n. p. Herman i Józef Potocki we Florencyi często przez Krasińskiego wspominani); ale Polaków przejezdnych, wędrownych, przesuwało się dosyć przez Włochy, czasem na dłuższy pobyt osiadało.

Ze stale tam mieszkających Polaków z wieku i z urzędu należało pierwszeństwo księżnie Stolnikowej Czartoryskiej. Osiadła ona na starość w Rzymie, w klasztorze Urszulanek, nie jako zakonnica ale jako lokatorka na dewocyi. Miała przed klauzurą parę pokoików, do których ściągało wszystko co było świetnego w Rzymie; do których z Polski ciągnęły córki już nie młode, i wnuczki świeżo za mąż wydane, i prawnuczęta nawet, a wszyscy co znali tę relikwię XVIII wieku, świadczą zgodnie, że księżna Stolnikowa zachowała do śmierci najpiękniejsze oczy w Koronie i Litwie, i najrzadszy najmilszy wdzięk w rozumie i obejściu. Krasiński jak to z jego listów widać, odwiedzał także jej celę, lubił ją, musiał być częstym i poufałym jej gościem. Serdeczniejsza wszakże przyjaźń łączyła go z inną podeszłą panią, księżną Kaźmierzową Lubomirską. Ta nie mieszkała stale w Rzymie, więcej zdaje się w Wiedniu, ale i tu spotyka się ją często w Krasińskiego listach. Starość miała nie tak pogodną i miłą jak księżna Stolnikowa. Ostatnia z Granowskich, jak jej antenatka Elżbieta Pilecka, trzy razy wychodziła za mąż; a trzy razy bezdzietnie owdowiała [1]). W czasach kiedy ją Krasiński znał i pielęgnował była już stara i była pogrążona w czarnej melancholii. Osoba (jak wszyscy świadczą) najlepsza, która przez całe życie nie zrobiła nic złego a dobrego wiele, pędziła ostatnie lata w dręczących obawach o zbawienie swojej duszy, w przewidzeniu że nie może być zbawioną. Dom jej był oczywiście smutny, najczęściej pusty, towarzystwo często przez te strachy i urojenia nużące. Tem piękniej świadczy to o Krasińskim, że ta samotność i smutek wzruszyły mu serce, że przez pożałowanie doszedł do wielkiego przywiązania dla biednej, opuszczonej starej kobiety, która nie

---

[1]) Wydana naprzód bardzo młodo za Chreptowicza, owdowiała wkrótce po ślubie. Wyszła potem za Aleksandra Zamoyskiego (starszego syna kanclerza Andrzeja, a brata tego Stanisława, który przez większą połowę naszego wieku był ordynatem). Aleksander Zamoyski także umarł młodo. Trzeci mąż Kazimierz Lubomirski, zginął za wojen napoleońskich (podobno pod Sandomierzem w roku 1809).

miała nikogo na świecie; że jej poświęcał swój czas i spędzał z nią długie godziny, które z pewnością łatwo byłyby mu zeszły przyjemniej, że jej służył, pamiętał o jej wygodzie, zdrowiu, rozrywce, o ile chciała przyjąć rozrywkę. Do tej przywiązany był bardzo; i wiele jej, wiele przez nią zrobił dobrego.

Kolonia polska w Rzymie zmieniała się naturalnie; przesuwały się przez wieczne miasto coraz nowe postacie. Za lat parę tam pozna się Krasiński z Juliuszem Słowackim, za kilka w Neapolu (niedaleko) z panią Delfiną Potocką; jeszcze w lat parę potem znowu w Rzymie, oświadczy się o pannę Elizę Branicką. Ale teraz znajomości najważniejsze, przyjaźni najserdeczniejsze i najtrwalsze (z wyjątkiem Danielewicza) są tam dwie. Jedna z Edwardem Jaroszyńskim. Listy Krasińskiego nie podają o nim dość wiadomości, iżby można z nich wyobrazić sobie jakim był, ale przyjaźń była bardzo ścisła, zaufanie zupełne. Drugim przyjacielem, z którym znajomość była może dawniejszą, ale z którym korespondencya zaczyna się w roku 1834 i trwa już do śmierci, był pułkownik Adam Sołtan. Imponujący i pociągający (jak mówią współcześni) wspaniałą powierzchownością, ujmujący był i przywiązujący naturą niezmiernie sympatyczną, kiedy smutne koleje życia i sposób w jaki je znosił, zdobywały mu najwyższą cześć i najrzewniejsze współczucie. Urodzony z Radziwiłłównej, był przez to Krasińskiego krewnym. Pan ogromnego na Litwie majątku, po roku 1831 musiał emigrować. Majątek — wspomniany w Panu Tadeuszu Zdzięcioł — był skonfiskowany. To nic; ale trzech synów, z których najmłodszy miał lat trzy, zabrano także i oddano na wychowanie do Instytutu Paziów w Petersburgu. Dwie małe córeczki zabrano także, oddano do klasztoru; szczęściem nie do prawosławnych Czernic, ale do Wizytek w Kamieńcu. Ojciec pułkownika, stary Marszałek Sołtan, ostatni w Polsce który ten tytuł nosił (Marszałek nadworny Wielkiego Księztwa Litewskiego), został sam w opustoszałym domu, i niedługo po tem wywiezieniu swoich wnucząt umarł ze zgryzoty. Czem mogło być życie tego wygnańca, który nietylko

swoich dzieci nie widzi, nie zna, ale przez długie lata drży o to co się z nich przez takie wychowanie zrobi? Z córek znowu jedna umarła w dziecinnych jeszcze latach. Nic piękniejszego jak Krasińskiego dla niego przyjaźń i współczucie, jak jego troskliwość baczna i niezmordowana w dzieleniu i łagodzeniu smutków tego przyjaciela; jak wytrwałość i zręczność, przebiegłość z jaką pracuje nad tem, żeby los jego osłodzić. I miał tę pociechę, że swojem staraniem a za wpływem ojca wydobył z klasztoru pozostałą córkę Sołtana, wyrobił dla niej paszport pod pozorem zdrowia, i ojcu ją oddał, obmyśliwszy dla niej kobiecą opiekę właśnie u tej księżnej Lubomirskiej, która była przyjaciółką obu a Sołtana krewną.

Oprócz tych stosunków zaś, coby więcej w tych latach zapisać, coby w jego Listach dostrzedz można? Nie dowiemy się z nich, jakie były główne zajęcia jego umysłu, jakie książki wtedy czytywał, nad jakiemi rozmyślał albo się unosił; jakie były jakie drogi, któremi ten umysł chodził i rozwijał się. Domyślać się możemy, że wiele czytał i rzeczy różnych; że czytał i poezye i książki filozoficzne, że nad jednemi i drugiemi głęboko rozmyślał. Ale rzucone tu i owdzie — często — w tych listach myśli uderzające, pokazują nam rezultat tylko, nie pokazują przygotowań, środków.

Co widoczne odrazu, to zamiłowanie namiętne Włoch a przedewszystkiem Rzymu, które zostało na zawsze; to ten właściwy jemu dar łączenia w jednem spojrzeniu, w jednem wrażeniu i myśli, w jednym opisie, natury tego kraju i jego historyi, ożywienia jednej drugą. Z nierozdzielnego połączenia obu wynikał ten urok czarujący a smutny, który Rzym przybierał dla niego, w jego wyobraźni, który ma dla nas w jego poezyi. Żadna inna na świecie nie oddaje go w tym stopniu; nie odbija i nie maluje tak tego charakteru tych widoków, pomników i wrażeń. W listach — a wiadomo, że lubi pisać długo i o swoich wrażeniach w nich mówić — często trafia się jakaś wzmianka, jakaś uwaga, albo jakiś mały

opis, który daje poznać, przeczuć, że z tej głowy wyjdzie kiedyś Irydion i wiersz do Elizy (np. list XV do Gaszyńskiego):

„Ja tu zimę prześlęczę, bo lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości, egoizmu i zbytków, słowem na ten Rzym, co był otchłanią pożerającą wszystkie narodowości świata. A teraz, spojrzyj na te ruiny, na ten bluszcz, rozkosz zieloną jaszczurek; na te groby pomieszane, powikłane, leżące w pustyni, w Kampanii Rzymskiej; a potem, pójdź do pałacu Cezarów, do Koliseum, do gmachów Karakalli! Olbrzymy stawiali te mury, tysiąc ludzi skonało, nim drugie tysiąc dźwignęło te filary, te stosy rzniętych, dłutowatych opok: a dziś wyryte na nich dłonią czasu przekleństwo jak na czole zbrodniarza, i Rzym leży zwalony, leży i gnije, leży i nie powstanie więcej!

„Tu dopiero masz wszystkie idee tego świata rozciągnięte na ziemi i zdeptane, patrycyat w sarkofagu Scypiona, w grobie Metelli; zwierzchnictwo ludu, w cyrku gladiatorów, w pałacach Cezarów, bo Cezar był najwyższy trybun, Cezar był niegdyś reprezentantem ludu. Patrycyat choć srogi, nieubłagany, egoista, miał cnoty wielkie, znał co to poświęcenie dla swojej idei, co to walka długa, uporczywa, i śmierć bez trwogi. Ale lud i Cezar nie znali nic, nie umieli nic; byli zwierzętami zataczającemi się wśród krwi i złota. Patrz, jak się rozpili: z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim, i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż zagrzmiała trąba północy, aż przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki!

„Ale razem tu jest świętszy widok: Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata!“

I zaraz dodatek dowodzący dwóch rzeczy: że Krasiński w tym czasie nie był jeszcze przeszedł przez żadne wstrząśnienie swoich uczuć i przekonań religijnych; i że nie rozumiał, jak bez tych uczuć można być poetą. „Gdybyś tu był, „ukląkłbyś i uwierzyłbyś. Poeto, wstydź się nie być katoli„kiem“.

O tych sprawach, których obraz i sąd złożył tylko co w *Nieboskiej Komedyi*, o tej przyszłości świata i Polski, która z takiego stanu rzeczy wypłynąć może, myśli wiele i gorzko; w listach nie jeden znajdzie się ponury komentarz do ponurego poematu.

Taki naprzykład jest list (do Gaszyńskiego XVI) z 16 grudnia 1833. Młody emigrant musiał przed przyjacielem powtarzać częste podówczas skargi, że przewodnictwo w Rządzie Narodowym r. 1831 ludzi takich jak książe Adam Czartoryski, dowództwo nad wojskiem takich, jak Chłopicki i Skrzynecki, ostudziło popęd i zapał i sprawę doprowadziło do upadku. Krasiński odpowiada mu w sposób dowodzący dziwnej trzeźwości, praktyczności, dojrzałości jego umysłu, kiedy się z praktycznemi sprawami spotyka:

„Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas, co ty mienisz przez przytłumienie jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że wszystko było niedojrzałe; że ideę wielką wcielono w krzyk i hałas i mierność? Jej niedobrze było w tych łachmanach, więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał, i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezya pisana, i elokwencya mówiona, czy to nie małe dzieci wszystko? Czemu ty, drogi mój Konstanty, ufasz słowom, jakoby przyjaciołom doświadczonym; słowa, wierz mi, są niczem, ale możem się przyzwyczaić do uważania ich za wszystko. Krótko mówiąc, nie rozumiem twoich utopij o Rzeczypospolitej, kiedy żyjesz śród najzepsutszego towarzystwa. Potem, naucz się ważyć ludzi na wartość ich, przekonaj się, co to są imiona głośne, sławy, czyny trąbione po świecie“.

„To wszystko było niedojrzałe!“ Niestety sąd o listopadowem powstaniu, który ogłoszony wtedy byłby całą Polskę na Krasińskiego oburzył, a który historya za słuszny uznać musi. Dyskusya musi ciągnąć się między nimi stale; z odpowiedzi Krasińskiego domyślać się można, że w Gaszyńskiego listach były jakieś naiwne uniesienia nad Rzecząpospolitą i młodociane złudzenia o rewolucyi. I na te odpowiada Krasiński w liście z 17 stycznia 1834 (XVII, przy-

toczonym już w rozdziale poprzednim), który ze wszystkich najwyraźniej może określa jego pojęcia, i każe uznać niezwykłą głębokość jego sądu.

Niewątpliwie to jest sam rdzeń, sam grunt jego rozmyślań i uczuć w tym czasie; to nie jest przekonanie tylko, ale jest nieustanna troska i cierpienie nad światem, ale naprzód i najbardziej nad własną ojczyzną; to jest tajemnica jego smutku.

Ale to zajęcie główne myśli i serca nie wyklucza innych, nie przeszkadza mu zajmować się żywo poezyą, własną i drugich, i w ogólności poezyą jako taką, rozmyślać nad jej istotą.

Pod tym ostatnim względem dochodzi on do spostrzeżeń i odkryć zdumiewających; formułuje świetnie nie jedno prawo poezyi wypływające z jej natury i samej jej istoty. Taki naprzykład jest ustęp o poezyi z tego samego listu XVII.

„Co ty mnie chcesz stósować poezyą do ducha czasu. Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności? Literatura romansów, dzisiejsza francuzka literatura, oto mi nałożnica za pieniądze, oto mi małpiarstwo niezrozumianego Byrona — bo ci mówię, że oni go nie rozumieją: *servile imitatorum pecus.* Ale poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest, mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic. Inszem słowem, zowie się to wszystko religijnością — a to, co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem i t. d., ale nigdy poezyą! Zapewnie, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egyptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich, wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrześciańska jest

11*

ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześciańską być nie przestanie. Poeci a poezya, to dwie rzeczy często bardzo różne. Poeta, to śpiewak śpiewający sobie i kołu swojemu; poezya, to pieśń odwieczna ludzkości! Dlatego, poeta może być chemikiem, adwokatem etc.; ale poezya nie może być ani chemią, ani polityką etc. Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych — kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.

„Potem uważaj, że historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, poetyczną się staje: to jest, że budżet, interwencya, handel etc., nikną, a zostaje się tylko ich synteza, to jest, główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność; i dlatego, w końcu, historya jest najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem“.

Rzecz prawdziwa, ale w jego ustach dziwna. Poezya jako taka z pewnością „nie powinna być polityką“; „a jednak nie ma podobno drugiej na świecie, któraby w tej mierze polityką była, co poezya tego, który tak dobrze rozumie, że to nie jej natura i przeznaczenie. Sprzeczność tę czem wytłómaczyć? Tem, że ten poeta sam był przedewszystkiem myślicielem, politycznym filozofem; powtóre powodami, które poezyę polską do takich przedmiotów naturalnie i logicznie zwrócić musiały.

Nie mniej mądre to rozróżnienie starożytnej i chrześciańskiej sztuki, a zatem i poezyi, w Liście XXVI z Neapolu 26 kwietnia 1835.

„Byłem w Pompei. U wnijścia do miasta, groby; zaraz potem za bramą, pierwszy budynek, to dom rozpusty. Śmierć i rozkosz, dwa największe działacze materyalnego świata. W tej odgrzebanej mumii piękne są pomniki. Architektura

grecka skandowana jak wiersze Enejdy; matematyka, prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. Tu dopiero starożytność się pojmuje i porównywa z nowemi czasy. Starożytni szli od nieskończoności w skończoność; co od pierwszej zarwać mogli, opisywali drugą, oddzielali od matki. My ze skończoności wychodzim, a dążym w nieskończoność. Oni mieli obręb ciaśniejszy, ale daleko lepiej go znali i rozumieli, niż my nasz rozumiemy. Ztąd nasze usterki i brak powagi, i skoki, i potykania się; u nich zaś godność i surowość, bo kto zna dobrze drogę swoją, ten poważnie i zwolna stąpa. Ale oni byli synami ziemi i ziemię w głąb kopali; my, jak elektryczność, rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończona. W Pompei równoległobok i ellipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone: nic niema za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii, ty idziesz za strzałą gotycką; a kiedy się przerwie, ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało, i ciało najpiękniejsze w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidiasz nicby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnóżu każdej katedry gotyckiej, Wirgiliusz plunąłby na Fausta Goethego; bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności, co pochodziło ztąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało, i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożonem z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność, i ból, i ruch. To, odbite w naszej architekturze, w naszej poezyi, stanowi pstrociznę. Ztąd my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniejszymi, niż oni. Oni materyalnie bardziej idealnymi byli. Większa część ludzi utrzymywać ci będzie, że starożytni owszem bardziej real-

nymi byli, bo realność zwykle u ludzi to materya. Lecz u mnie rzeczywistość jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury; a zatem, ponieważ my wyżsi dążeniem i wiedzą, zatem realniejsi jesteśmy. Im kto bliżej Boga, tem jest prawdziwszym, rzeczywistszym, a my od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie, fałdy tuniki, fibule, toga, zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości; ale jej duch dziwnie wypiękniał i wyzwolił się".

Nie dziw potem, że dojrzewający poeta przestanie ślepo wierzyć w Byrona, i dojdzie do tej pięknie sformułowanej prawdy, że „moc nad sobą jest poezyą dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć jest poezyą młodości". (List XX z Kissingen 10 lipca 1835).

Ale znakomity kiedy odkrywa i formułuje ogólne prawa poezyi, mniej trafnie sądzi szczegółowe przypadki czy dzieła. Mądre jest bardzo to, co czekając na *Pana Tadeusza* pisze z powodu Ksiąg Pielgrzymstwa (List XX):

„Ciekawym bardzo *Pana Tadeusza* i nowego dzieła Lamennais'go. Już to w modę wchodzi pisać ewanielicznym stylem. Mickiewicz zaczął, Lamennais ciągnie dalej; zobaczysz, że wreszcie tyle się ewanielii namnoży, że vaudeville pan Scribe napisze ewanielicznie. Co to małp się zawsze kupi naokoło gieniuszu. Za jeden gieniusz, sto tysięcy głupców musi się urodzić, jakby massa ducha była na tym świecie skończona, jak massa materyi, i tylko mogła się ukazywać bardziej skupiona w wielkich ludziach, i za to też zaraz rozrzedzać się musiała w ich współczesnych".

Ale sąd o *Tadeuszu* samym, kiedy go już przeczytał, jest dziwny. (List 21 z 23 Augusta 1834).

„*Pan Tadeusz* jest Epopeą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym jak Don Quichotte, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachię, jedynem jest dziełem dla Polski. *Wallenrod* jest poema arystokratyczne, *Pan Tadeusz* jest poematem drobnej szlachty".

Wieczny jak Don Kiszot? Przecież z małą różnicą, którą Krasiński widzieć był powinien, z różnicą poezyi.

Dziwny brak nie już zrozumienia ale uczucia tego rodzaju nieśmiertelności jaka jest w Tadeuszu.

O swojej poezyi wspomina krótko zwykle, ale z pewnym niepokojem. Niecierpliwy jest dowiedzieć się jak przyjacielowi wydała się *Nieboska.* Z pewnem upodobaniem przyznaje się do Agay-Hana (List XVI) i mówi, że to forma nowa, lub donosi (List XXI) że „w Krakowie, w Galicyi, w Poznańskiem Agay-Han robi wielkie wrażenie jak słyszę“. Co więcej, napisał nowy romans i cieszy się, że mu się udało.

„Napisałem w tych dniach powieść à la Balzac. Wchodzi do niej romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy; wchodzi i Grzymała monstrum, i Lelewel etc. Zda mi się, że udała mi się. Addio!“

Ten „romans à la Balzac“ zadziwiający pomiędzy *Nieboską Komedyą* a *Irydionem,* kto wie czy nie był skutkiem usposobienia i postanowienia wyrażonego w Liście XX z Kissingen 10 lipca 1834.

„Dużo ja przez te czasy myślałem nad życiem ludzkiem i odkryłem wielką prawdę, że moc nad sobą samym jest poezyą dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć, jest poezyą młodości. Wiesz ty, że Byron stracił względy moje: wielki zapewne poeta, ale kto go chce naśladować, ten będzie miernym i ślamazarnym. Byron potem nie rozumiał rozmaitości, a to jest połowa całego stworzenia. By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia: wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i napiszę, i to będzie dobrem. Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd, my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy. Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomięszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda. Inaczej niktby nie uczuł sympatyi do niego, inaczej byłoby to stworzenie nieorganiczne

na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe. Tak więc się zmodyfikowałem i z chmur zstąpiłem, i chmury mam odtąd za baldachin nad głową, nie za pobyt i mieszkanie. Co różni człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego, od człowieka idealnego czysto? to, że w pierwszym jest ciągłe życie, to jest przemiana i walka uczuć, a w drugim tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawżdy ta sama. Są chwile uniesienia i opadnienia, to się życiem zowie, to jest ruch, to śledzić i poznać należy. Ztąd się wywija, że człowiek nie może ciągle być wielkim, rozumnym, natchnionym, dramatycznym. Jeśli go takim wystawisz, to będzie afektacya, przywara, brak rozsądku. Czego najwięcej trzeba unikać, to żeby bohatyry nasze nie wyglądały na aktorów. I ztąd pochodzi przesada literatury dzisiejszej, że autorowie, miasto doznawania sami uczuć i faktów, przestają na chodzeniu regularnem na teatr i tam uczą się jakby z natury, kiedy już teatr jest nauką wyciągniętą z natury. Przez drugie ręce więc odbywa się poezya epoki naszej, i ztąd jest śmieszną i przesadzoną".

To zakończenie o przesadzie w literaturze dzisiejszej, ta przestroga, żeby bohaterowie nie byli aktorami, to bardzo mądre, choć przez niego samego nie zawsze przestrzegane. Ale to zniżenie lotu, to umyślne i z góry postanowione szukanie praktycznego życia, to mogło naprowadzić go na myśl zniżenia i poetycznego lotu, szukania form niższych, bardziej do rzeczywistego życia zbliżonych.

Silniejszem wszakże, niż zajęcie poezyą i chęć pisania, jest smutne zwątpienie o sobie, o swojej zdolności i przyszłości. Taka melancholia, taka rozpacz, która nieraz w ciągu jego życia powtarzać się będzie, zupełnie wyraźnie występuje w liście XXIV z Rzymu, 8 lutego 1835.

„Nie pisałem długo, bo długo nad głową moją wisiała jakaś ciemnota, noc jakaś rozumu. Ty wiesz, że czasem to mi się trafia, i wtedy niezdolny jestem do niczego. Wtedy chciałbym się zakopać przed oczyma ludzi; wtedy czuję, że serce moje w garść prochu się obróciło, że wyobraźnia moja podlejsza od robaczka, że siły moje nędzne i przyszłość

nikczemna. Rodzaj to, czy choroby, czy szału, ale ni wolą, ni rozumowaniem odjąć się jej, czy jemu, nie zdołam; aż przejdą dni i tygodnie, aż znów tam rozwidniać się zacznie w tym grobie duszy mojej, i zajaśnieje z powrotem jutrzenka. Ale co gorzkiego, to że coraz częściej takie noce rozumu mnie napastują, coraz dłużej trwają. Może przyjdzie chwila, w której zaczną się, by już nigdy się nie skończyć; wtedy wymówisz *amen* nademną, jak nad umarłym moralnie. Chorobą fizyczną zniszczała lepsza połowa ducha mojego. Tej sprężystości już nie mam, którą dawniej gibki byłem, czy w mówieniu, czy w pisaniu, czy w działaniu, choćby głupstw nawet. Codzień bardziej odstrycham się od życia, świat zewnętrzny nieznośnie mnie cięży. Usuwam się jemu, usuwam się zwolna, a wewnętrzny świat nie przynosi mi pociechy, nie czuję się już potężnym na jego błoniach. Czy to kara za to, że za wiele żądać było zwyczajem serca i rozumu mego? Bądź co bądź, wiem, że mi dogorywa w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie. A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej: owszem widzę każdą iskrę co gaśnie, każdą sprężynę co pęka, widzę duszę moją zwijającą się w popiół jak list spalony, co zżyma się i tli jeszcze, i tuż, tuż, już zczernieje, rozwieje się w nicość. Siła analizy pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutem, sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu.

„Namiętności, któremi żyć lubiłem, nie dopełniły przeznaczenia swego we mnie; w ich płomieniach umiałbym śpiewać, ale nie chcę wtedy, a kiedy miną, rozstrajam się i milczę. Nędzne to życie, które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło; które prócz gorączki, nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada, a z pierwszego dość wspomnień boskich zatrzymać nie umie, by zwyciężyć drugie. Konstanty, jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów i kilku chorób, która zowie się życiem mojem; jabym rad gdzie zasnął na wieki, czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiej ruinie, byleby nie w łóżku. Tybyś kiedy zaszedł w te strony i usiadł na moim grobie! Przypomniałbyś sobie dzieciństwo, młodociane lata i żarty,

i szumne nadzieje; przypomniałbyś sobie, że ktoś kochał cię szczerze kiedyś, gdzieś, i wstałbyś i rzekłbyś: „Pokój jemu“.

„Ale i tam pokoju nie znajdzie stworzenie! i tam zaczynają się okręgi nowe i równie pracowite, które ono przebiegać musi. Nicość się uśmiecha czasem mojej wyobraźni, ktoby mi to był powiedział niegdyś? Ale przyjacielu mój, darmo! nie unikniem rąk potężnych, które nas ulepiły, musim żyć wiecznie i cierpieć lat tysiące, nim dostaniem się do chwały!“

Niezaspokojony dotąd w żadnem ze swoich szlachetnych pragnień, żąda jakiegoś szczęścia namiętnie, gwałtownie. Nie dosięgnie go przez zwycięztwo, przez ojczyznę, ani przez poezyę — zaczyna go żądać przez miłość.

„Wciąż słaby jestem na duchu, roją mi się fantasmata w sercu i mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę jak martwy, ale są i takie, z których myśli duszy mojej wytężam gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi i nieba. Tak Briareus olbrzym stąpał ku mieszkaniu Bogów, i dostawszy piorunem w łeb, zwalił się pod gruzami gór, które dźwigał. O gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ jestem mężczyzna, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej; poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. O! wtedy sam na sam ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem. Nie byłaby to Venus grecka, owszem w jej urodzie przebijałaby powaga Apollina Belwederskiego; ale ta uroda wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkimi, w łzyby się rozpłynęło przedemną. Dla mnie onaby śpiewała piosenkę dziecinną, dla innych straszną pieśń natchnienia“.

Że człowiek tak usposobiony lada chwila kochać będzie, kochać musi, to rzecz jasna. A dotąd w jego latach dwudziestu trzech, w jego sercu gorącem i namiętnem, były dopiero rozmarzenia dziecinne, nie było miłości.

Przyszła chwila i na nią.

Czy przytoczone słowa są wyrazem miłości oczekiwanej, pożądanej dopiero, lub też miłości już rozkwitającej? Ten list do Gaszyńskiego jest z 29 listopada 1834. 24 grudnia, pisze Krasiński do Sołtana już w niepokojach o los i życie tej, którą kocha. Jest wtedy w Neapolu, od niej daleko; troszczy się, przeczuwa coś złego, nie może sobie dać rady. Nie wiedząc już jak ukoić czy oszukać swój niepokój, idzie po wróżby. „Im bardziej człowieka silna wiara odstę-„puje, tem bardziej staje się podejrzliwym i zabobonnym. „Człowiek taki potrzebuje w coś wierzyć, i w końcu w sa-„mego dyabła uwierzy“ [1]). Idzie więc do zakonnic zwanych *Trenta Tre*, o których u Neapolitańczyków jest mniemanie, że czasem przeczuwają przyszłość. W listach do Jaroszyńskiego wspomina, że poszli tam we dwóch, pytali o przyszłość pani B. [2]), a *Trenta Tre* odpowiedziały, że *Donna Giovannina morirà presto.*

Z tych słów można wnosić, że w Grudniu roku 1834, on już nietylko sam przed sobą tę miłość przyznał, ale ją i wyznał; zapewne i wyznanie wzajemności usłyszał; że przed przyjacielem już się był zwierzył, bo nie odkrywa mu swego uczucia po raz pierwszy, ale mówi o niem jak o rzeczy wiadomej. Domyślać się zaś można, że ta miłość poczęła się w Wenecyi, bo tam, na placu św. Marka Młodzieniec z *Niedokończonego Poematu* spotyka po raz pierwszy nieznajomą księżnę Rahoga, przed którą na pierwszy rzut oka jego ko-

---

[1]) Ten, i wszystkie dalsze wyjątki z listów Krasińskiego do Sołtana, bierzemy nie z wydania tych Listów (Lwów 1883), ale z własnej o nich pracy, zrobionej na podstawie listów rękopiśmiennych, a ogłoszonej z wiedzą i pozwoleniem tak właściciela Listów hr. Michała Sołtana, jak spadkobierców Krasińskiego. (Przegląd Polski, Lipiec 1877). Wciągamy też niektóre ustępy z ówczesnej pracy własnej do niniejszej.

[2]) Tak nazywa ją Krasiński w listach. Co do rychłej śmierci *Trenta Trè* pomyliły się bardzo. Osoba, o której mowa, przeżyła Krasińskiego o lat trzydzieści.

lana chcą zgiąć się i klęknąć. Czy jak w tym poemacie miłość przyszła nagle, niespodzianie, jak piorun i jak złodziej? Jakkolwiekbądź, poczęła się, i pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Osoba, którą kochał, była zamężną.

Położenie zawsze fałszywe, przykre, a uczucie złe. Ale jeżeli ten mężczyzna jest człowiek z sumieniem i honorem, który czuje i swoją odpowiedzialność, i niezliczone cierpienia jakich stał się powodem — jeżeli ta kobieta jest istotą bardzo szlachetną, która winę swoją czuje, nie tłómaczy jej sofizmatami, ale wyrzutem sumienia się dręczy, a przecież całą siłą swojej duszy kocha, to w takim razie taka miłość zasługuje na współczucie i politowanie, bo dla tych których opanowała, jest męczarnią, nieszczęściem.

Tak było w tym razie.

Co się działo przez pierwsze miesiące roku 1835?

Część zimy i wiosny Krasiński spędził w Neapolu. Rozłączony z kochanką, za nią cierpiący, do tego sam chory i rozstrojony, nie dziw, że wszystko widzi czarno, a zwłaszcza siebie samego, swój talent i swoje życie.

„Żebym kiedy pisał Odę do mojej Młodości, tobym tak „zaczął: „O ty stara babo!...“ „I ja także jestem w pewnem „rozumieniu wygnaniec bez losu i celu. I mnie zawarła się „brama życia przed nosem. Samą nadzieją żyć trudno, żyję „więc nicością najczęściej. Ale nie bez goryczy, nie z przy„staniem, bo chciałbym być nie zupełnie niczem“. Ale że nie jest tak zupełnie zniechęconym, że wie, że nie jest *zupełnie niczem,* dowodzi choćby prośba do Sołtana żeby mu doniósł, co myśli o *Nieboskiej Komedyi.* Że zaś w tem powszechnem rozstrojeniu i zwątpieniu o poezyi nie zwątpił i trzeźwo na nią patrzeć umiał, za dowód niech posłużą następujące słowa: „To mnie nieraz dziwiło na świecie“ (z Neapolu w kwietniu 1835 r., List V), „ilu tu waryatów i głupców porobiła poe„zya. Kiedy człowiek, który się *positif* urodził z łaski Pana „Boga, chce się poetycznym wydać, to dziwolągi nadzwyczajne „z siebie robi. A..., S..., i inni są tego przykładem. Naprzód, „dobrego instynktu poetycznego nie mają, bo nie jest im dany; „zatem wciąż fałszywie postępują. To osobliwie ich uwadze

„wymyka się, że prawda jest podstawą poezyi, że bez prawdy, „ale to najściślejszej, poezyi nie ma, że gdzie jej nie ma, tam „się nic nie sprowadzi: tylko sama śmieszność przyjdzie i za- „miast bohatera będzie buffon, zamiast pięknej wśród pięknych „będzie garderobiana! Tacy ludzie tak robią poezyą, jak kiep- „ski szewc buty; tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, „że buty ciasne bolą, a ich śmieszność zdrowia nam przyspa- „rza rozśmieszając nas. Bądźcie więc błogosławieni wszyscy „młodzi bohaterowie, którzy sądzicie, że dosyć machać ręka- „mi i językiem na to, by poezyą sprowadzić! którzy jeździcie „po nocach, szeplenicie po salonach, i na góry wśród wichrów „się gramolicie w waszych natchnieniach, samym sobie rozko- „sze miłości własnej a nam przyjemne sprawiacie godziny. „Ale Cervantes to był wielki człowiek! Jego Donkiszot to „nieśmiertelny utwór żyjący wciąż, dopóki świat żyje. Ale „strona szkaradna tej samej rzeczy to, że jeden wielki gie- „niusz staje się zaraz warunkiem koniecznym tysiąca małp „i poliszynelów! Tak, iż się wydaje, że natura tylko pod tą „kondycyą spłodzić może coś wielkiego i pięknego, by za- „raz potem nastąpiło głupstwo i słabość, niby spoczynek po „wysileniu. Tak naprzykład lord Byron jest ojcem tysiąca „głupców, a co ich jeszcze narodzi, to nie wiem".

W poezyi nie przepuścił on fałszywych natchnień i aspiracyi, nawet głębokiej i potężnej postaci hrabiego Henryka; w potocznem życiu i w potocznej prozie nie przepuszcza widać tym, którzy układali już nie dramata, ale miny przed zwierciadłem. A czy się domyślał, że ta głęboka prawda, którą wyrzekł stwierdzi się i na nim także? że on także będzie ojcem wielu „małp i poliszyneli?" Domyślał się czy nie, zawsze w tych kilku słowach dał głębokie wytłomaczenie tego zjawiska.

Na lato, jak zwykle, wybiera się do wód niemieckich, dla swego zdrowia, i dla widzenia się z ojcem. Czy nie w tej drodze, w lecie 1835, spotyka się (znowu w Wenecyi) z tą którą kocha? Zrazu sam zachwyt, sam nadmiar szczęścia.

„Zastałem ją dwa razy tyle kochającą mnie co dawniej. „W życiu mojem zapewne już takich dni szczęśliwych nie „doznam więcej. Może ci miło będzie wiedzieć, że ten, który „cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze“ (List XIII). Ale niebawem nastają przykrości, ludzie prześladują, własne sumienie nie daje pokoju, i te „chwile jedyne a minione“, których pamięci poświęcony był Irydion, minęły prędko. Naprzód list jakiś do Zygmunta od jego ukochanej pisany, dostał się na poczcie do rąk jakiegoś niegodnego awanturnika, który nosił to samo nazwisko i haniebnie tego przypadku nadużył; list otworzył, przeczytał, czytał ludziom, chwalił się nim jako niby do siebie pisanym. Potem na komorze austryackiej, w Salzburgu, poeta wzięty za kogo innego (i za Krukowieckiego jeszcze), wleczony był do urzędów, jego papiery i listy zabrane. *Nieboską Komedyą* tylko ocalił chowając ją w buty. Wreszcie, co najgorsze, ludzie zaczęli się znęcać nad kobietą którą kochał i szarpać jej sławę. „Zastałem ją w najokropniejszym stanie i raj mój nie„bieski prysł odrazu — pisze z Tryestu 12-go sierpnia 1835 r. „(List XIV) — Polki, pani G..., o której ci wspominałem „i drugie, były w Ischl. Nie ma potwarzy, szyderstwa, zło„ści, którąby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G... „zlepiona z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca „za znikłemi wdzięki, wściekła, że kto inny piękny i ko„chany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, „kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca „Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem od„poczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki „pamiętnym, wśród krzewów hortensyi, przy pół-świetle lamp, „przy blasku jej łzawych oczów. Tam jej cała dusza tyle „szlachetna i dobra na łzy roztapiała się przedemną; tam „ją umęczoną za to że kocha, pokochałem jeszcze więcej niż „wprzódy. Ale czułem święty obowiązek, srogą konieczność „wyjechania, by nie szkodzić jej sławie. Ona zaklinała by „zostać, bo kochała nadewszystko. Ale stało się: wyjecha„łem przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą „się na tych, co czują, za to, że sami nie czują nic, którzy

„będą lizać stopy pierwszej metressy pierwszego króla, a rzu„cają potępienie na duszę najszlachetniejszą! Ale dosyć o nich, „dosyć o psach. Wróćmy do ludzi. Zostawiłem ją w rozpa„czy, taki koniec raju mego Adamie! Jestem jak potępiony. „Nigdym nie kochał, nie wiedział co to kochanie; dziś do„piero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to poznałem. Dziś „dopiero chodzę po spiekłym bruku tego miasta i chciałbym „się położyć i skonać na nim, tak mi dolega każda chwila „bez niej. Jeżeli były jakie błędy, Bóg je nam przebaczy. „Trudno tyle walczyć co ona, a tyle kochać i szanować „i czuć, co ja“.

A im dalej, tem ból większy, tem sroższe zgryzoty. „Twój list — pisze z Wenecyi (bez daty List XV) — za„stał mnie w Wenecyi w jednej z tych kryzys, które koń„czą się zwykle szaleństwem lub śmiercią. Słaby jestem bar„dzo, mam gorączkę okropną, źle mi się dzieje. Świat, który „od kolebki mnie napastował i krzywdził, nie wiem za co, „i dzisiaj wlazł mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia „i psuje mi szczęście. Ona, jeśli w tych dniach nie straci „zmysłów na zawsze to cud boski. Ach jakże ona nieszczę„śliwa! Ale nie przezemnie. Świat! świat, cette idole couverte „de clinquant et remplie de boue, ją rozszarpał i zabił. Jam „mu nie hołdował, on się mści. Ja w Wenecyi, ona w Try„jeście. O to prosiła, by niby zwieść tych, co ją prześla„dują! Ona myśli, że im się opędzi, tym psom zajadłym! „A Bóg świadkiem, że to nie była istota co zasłużyła na po„tępienie. Walki jej rozpacznemi były, nigdy walczyć nie „ustawała, ale świat nie pyta o to....“ „Ten rok wielką „zmianę we mnie sprowadził. Miałem chwile takie niebie„skie! i takie piekielne także! Szatan kusił mnie kilka razy „samobójstwem! Terrible tentation: tentation des tentations! „Powiedz mi, co ta ziemia, co ludzie, co ja im zrobiłem, że „od dzieciństwa tylko ich obelgi lub przekleństwa słysza„łem? Tyś mnie kochał, kilku mnie kochało, prawda. Ale „ci wszyscy, żeby mi tak zabić moją biedną, moją kochaną, „w moich objęciach, żeby jej przeciąć na ustach słowo *ko„cham* słowem hańba! I wszędzie, wszędzie ta hańba! I któż

„je wymawia? Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie „potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga“.

To cierpienie nie ustaje, owszem rośnie. W innych listach biedny poeta boi się, że skończy na samobójstwie, to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, których ona ojcu odbierać nie chce; albo unosi się nad jej szlachetnością i godnością tak, że nieraz „nie „już z miłości ale z admiracyi chciało mu się upaść jej do „nóg“. Wreszcie przychodzi chwila rozstania. „Ona wyjeżdża „za dziesięć dni. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem, nie masz „wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto mieć „może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej niż „sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zo„stało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety nie ma „na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremnobym „już szukał w życiu. Ah! co mi życie zatruwa, to, że ona „uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu „sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek „uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. W tem rodzaj „expiacyi widzi. Ale sił nie będzie miała, i umrze, i *Trenta „Tre* się sprawdzą. Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, „blada jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. Ale „piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią „błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż jeśli ten błąd „już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez „to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi? „Biedny to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbro„dnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać „musi...“ „Addio. Za kilka dni skończy się młodość moja „wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: *Ro„zum*, jak mówią ludzie, *rozsądek!* co u niektórych znaczy „*podłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo mało *cnotę*“.

Drukując te słowa, doznaje się pewnej obawy. Co innego czytać w *Niedokończonym Poemacie* o tych samych uczuciach i dziejach poetycznie przerobionych, a co innego chwytać je żywcem w Listach poety, i tak jak były, tak jak każdej chwili w sercu jego biły, wywlekać i pokazywać.

Czy się nie robi źle? czy to nie profanacya? nie okrucieństwo, którego wprawdzie nie czuje ten co pisał, ale którego za życia nie byłby darował? On pisał z głębi swojego żalu, każde słowo jest jękiem, każda litera łzą, a my patrzymy na to i wystawiamy na widok publiczny chłodno, dlatego, że te listy piękne! Czyż wielcy ludzie, dlatego że wielcy, nie mają tego prawa, jakie ma każdy, do poszanowania tajemnicy najtajniejszych uczuć? Nietylko pogarda, każde uczucie prawdziwe „ma swe panieństwo“ i przed ludźmi pokazywać się nie lubi, a cóż dopiero miłość. Poeta może tym razem „znamiętniłby się w przekleństwo“, gdyby wiedział, że jego rozkosze i skargi dostały się do rąk wszystkich, jak rzeczy powszednie, obojętne, jak gazeta!

Nie dla prostej ciekawości też, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdem ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracyą dla pięknie wyrażającego się cierpienia, przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich względów tylko nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia, które byłoby dla nich najlepszym sposobem uczczenia, najwłaściwszą formą współczucia. Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej niż cokolwiek innego odpowiedzieć mogą zwycięzko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia.

Krasiński w tym stosunku okazuje się mniej samolubnym, szlachetniejszym od wielu. Kiedy pyta, jak żeby o tem wątpił, „czy stosunek taki jest błędem“, on oczywiście myli się i łudzi bardzo. Błąd jest zawsze. Tylko bardzo mało, bardzo rzadko kiedy dwie istoty ludzkie zdołały, błądząc, pozostać jednak tak szlachetnemi. Niepodobna odmówić współczucia tym dwojgu ludziom cierpiącym i walczącym: kobiecie, która ma odwagę oskarżyć się sama przed mężem, bo w tej szczerości widzi i rodzaj expiacyi i godność; mężczyźnie, który ten popęd jej serca rozumie, ocenia, i tej potrzebie jej sumienia szczęście swoje poświęca.

Ona zapewne szlachetniejsza, bo cierpi więcej i zdobywa się na większy heroizm; ale i on szlachetny.

I ta strona uczuć i związków Krasińskiego pokazuje się tak jawnie zdaniem naszem w tych jego listach, że po niejakiem wahaniu poważyliśmy się dać z nich wyjątki.

Pobyt w Niemczech musiał przeciągać się długo, bo w Listopadzie tego roku pisuje Krasiński z Wiednia. I tam zapewne był nie przejazdem tylko, lecz stalej, bo w styczniu 1836 jest nie w Rzymie ani w Neapolu, ale dopiero w Medyolanie. Zresztą o tym roku 1835 wiadomości mało, prócz jednej. Podczas tych uniesień i udręczeń pierwszej w życiu Krasińskiego znaczącej i wielkiej namiętności, powstawał poemat przez autora samego przeznaczony na jej pomnik, przypisany „Maryi na pamiątkę chwil jedynych i minionych“ *Irydion.*

9-go Lutego 1836 (List do Gaszyńskiego XXVIII) już on jest gotowy, skończony, powierzony komuś, co w Paryżu ma go dać do druku, ale o rękopiśmie ani o pośredniku żadnej wieści. Autor boi się jakiego przypadku niemiłego, jakiego doznał z *Niebośką Komedyą.* 4-go Marca przecież (list XXIX) uspokojony donosi, że *Irydion* wyjdzie za cztery tygodnie. I tak się stać musiało, skoro już w Maju Krasiński żąda od przyjaciela, żeby mu donosił co o *Irydionie* usłyszy i przysyłał recenzye.

ROZDZIAŁ V.

Irydion [1]).

Zkąd pomysł *Irydiona?* Rozmyślanie o narodach upadłych. Czy odżyć mogą? Przykłady za i przeciw. Możliwość odżycia. Jego sposób. Miłość ojczyzny doskonała. Myśl poematu. Kształt tej myśli. Grek wróg Rzymu i jego uczucia. Chwila jego działania. Rozmiary i zakres obrazu. Tło. Postać bohatera. Jego wielkość: jego dusza człowieka naszych czasów: jego pozór klasyczny. Jego pochodzenie. Jego działanie. Budowa poematu. Prolog. Pierwsza scena. Zmysł artystyczny i miara. Elsinoe. Kobiety Krasińskiego. Elsinoe i Antigona. Effekt przeciwieństw. Massynissa. Szatan w historyi. Jego stosunek do miłości ojczyzny. Przystósowanie. *Irydion* u celu. Spisek z Cezarem przeciw Rzymowi. Postacie Rzymian godnych: Ulpianus, Mammaea, Alexander Severus. Koniec części pierwszej. *Irydion* w katakombach. Symeon z Koryntu. Miłość *Irydiona.* Znaczenie Kornelii. Monolog Massynissy. Spisek pretoryanów. Ostatnia scena Elsinoy. Zwrot w położeniu *Irydiona.* Niezgodność między głębszem znaczeniem wypadków a ich przebiegiem w poemacie. Przegrana. Rozmowa *Irydiona* z Ulpianem. Zamierzone samobójstwo *Irydiona,* zmiana w jego uczuciach. Obietnica Massynissy. Epilog. Obietnica Massynissy dotrzymana pozornie. Żałość *Irydiona.* Sąd nad nim. Przebaczenie warunkowe. Powtórna próba *Irydiona.* Znaczenie Epilogu. Myśl poematu. Jej prawdziwość. *Irydion* i *Wallenrod.* Przystósowanie *Irydiona* i zasługa Krasińskiego. Wartość artystyczna poematu. Poezya Rzymu.

---

1) Niektóre ustępy tego rozdziału drukowane w przedmowie do Lwowskiego wydania dzieł Krasińskiego z roku 1875.

I.

Zkąd pomysł *Irydiona?* Rozmyślanie o narodach upadłych. Czy odżyć mogą? Przykłady za i przeciw. Możliwość odżycia. Jego sposób. Miłość ojczyzny doskonała. Myśl poematu. Kształt tej myśli. Grek wróg Rzymu i jego uczucia. Chwila jego działania. Rozmiary i zakres obrazu. Tło. Postać bohatera. Jego wielkość: jego dusza człowieka naszych czasów: jego pozór klasyczny. Jego pochodzenie. Jego działanie. Budowa poematu. Prolog.

Jaki ciąg myśli mógł doprowadzić poetę do tego pomysłu tak wielkich rozmiarów, tak szczególnego i osobliwszego? zkąd się wziął poemat o Greku, który na próchniejącym Rzymie chce pomścić swoją ojczyznę? który porusza wszystkie siły świata, żeby dokazać swego dzieła zniszczenia i zemsty, zawiązuje wielki spisek przeciw Rzymowi sięgający tak daleko, jak granice państwa, a sprzysiężonych mający w Chersonezie Cymbrów i w puszczy Libijskiej, w katakombach i w pałacu Cezarów? Takiego Greka przecież nigdy nie było? przecież siły, które Rzym obaliły, nie były nigdy sprzężone razem w myśli i w woli jednego człowieka? działały luźnie, każda dla siebie, instynktem? zkąd się wzięło zwłaszcza i co ma znaczyć, przystósowanie tej zmyślonej postaci i historyi, do jakichś czasów dzisiejszych i przyszłych? Co za związek między *Irydionem* przez wieki uśpionym i czekającym na zaspokojenie zemsty nad Rzymem, a ziemią mogił i krzyżów, do której on jest posłany? Pomysł to dziwny, na pozór niczem nieusprawiedliwiony: jakim sposobem Krasiński mógł wpaść na niego?

Przypomnijmy sobie ważne i ciekawe odkrycie Klaczki, który mówi, że gieniusz ten z postępem lat zamykał się

w zakresach przedmiotów coraz bardziej szczegółowych, coraz lepiej określonych. *Nieboska Komedya* była rezultatem jego refleksyi nad dzisiejszym stanem Europy, i wróżbą, tyczącą się końca tej walki społecznej, która się toczy w naszych oczach, a była napisana zapewne pod wpływem tego wrażenia, jakie na umyśle jego wywrzeć musiało bliższe zapoznanie się ze światem europejskim. Ale zaledwo ją skończył, zaraz wstąpił w drugi swój zakres myśli bardziej szczegółowych. Ludzkość, jeżeli dalej pójdzie w tym samym co dotąd kierunku, skończy na jakiejś strasznej rewolucyi socyalnej, której koniec będzie ten, że zniszczy wszystko, a sens moralny, że ani rewolucya, ani dawny porządek rzeczy nie miały słuszności: a potem dopiero rozpocznie się jakiś świat nowy i lepszy. Ale w tej ogólnej przyszłości Europy jaki będzie los poszczególnych narodów, jak one tę kryzys przetrwać zdołają? które z nich znajdą się po drugiej stronie tej przepaści, i co z nich ocaleje? Co w szczególności stać się może z Polską? Ona podzielona, ona po strasznej klęsce roku 1831-go, i porwana równo z innymi prądem rewolucyjnym (w tych latach było to bardzo widocznem), co ona z siebie uratować zdoła? czy ona może jeszcze mieć jakąś przyszłość, czy może odżyć? Czy narody upadłe i podbite wogóle odżyć mogą? Sama utrata niepodległości dowodzi w nich upadku tęgości i zdolności; a jeżeli tę odzyskaćby mogły, to zkądże wziąć dość siły fizycznej, jak bez swego rządu, bez wojska, bez skarbu pokonać mocniejszych od siebie? Nie — to trudno, to niepodobna, żeby narody takie powstać jeszcze mogły. Ale uwierzyć w śmierć, zgodzić się na nieodwołalność wyroku, poddać się... nie, to jeszcze niepodobniejsza! jakiś głos w człowieku się podnosi i woła „nie pozwalam“. Cóż więc z nią będzie? czy w historyi nie ma jakich podobieństw, jakich przykładów i analogii, z którychby coś wnieść, coś przypuścić można? Hiszpania za Maurów? przykład zły, bo cała Hiszpania nigdy opanowaną nie była, miała położenie lepsze aniżeli Polska. Tak samo Rosya z Mongołami: ona im hołdowała, ale nie była przez nich rządzona. Zresztą to wyjarzmienie się z pod siły nieuorga-

nizowanej, tu za przykład służyć nie może. Grecya dzisiejsza? to dowód chyba jak się restauracye narodów nie udają. A naprzeciw tych nielicznych i niedostatecznych przykładów niepodległości odzyskanej, wieleż to historya pokazuje narodów upadłych na zawsze i nie powstających. A cała starożytność, czyż ta nie świadczy, że narody umierają i giną bez ratunku? Rzym miał więcej potęgi, więcej zmysłu politycznego i ducha rządzącego jak Polska; Grecya miała cywilizacyę własną, najwyższą w starożytności, którą cały świat ówczesny obdzieliła i oświeciła, nie brakło jej na żadnej zdolności, na żadnej wielkości gieniuszu lub charakteru: miłość ojczyzny miała taką, że jej bohaterowie liczą się do najpiękniejszych bohaterów świata, a Maraton, Termopile i Salamina do najwznioślejszych kart historyi, a przecież znikła: pomimo Platona i Homera, Fidiasza i Peryklesa, Leonidasa i Thucydidesa, pomimo gieniuszu w sztuce, w nauce, w polityce, pomimo wielkości i cnoty w charakterach, pomimo, że od początku świata nie było nigdy narodu tak obdarzonego, historyi tak pięknej? Dla mniej obdarzonych, mniej zdolnych, przykład to straszny. A jednak czy on rzecz rozstrzyga? czy los Grecyi musi być losem wszystkich ujarzmionych? Nie. W późniejszych latach w *Niedokończonym Poemacie* jasno jest wypowiedziany axiomat Krasińskiego, że „od przyjścia Chrystusa, żaden lud, który stał się narodem, nie umiera". W epoce *Irydiona* może on sobie tego pewnika nie był jeszcze sformułował, ale już musiał mieć tę myśl, to uczucie raczej, że przez chrześciaństwo i cnotę narody mogą się odradzać, tak jak ludzkość całą odrodzić ma krzyż w zakończeniu *Nieboskiej*. Ale czy Polska jest na tej drodze? czy ma ten kierunek i to pragnienie cnoty przynajmniej, jeżeli nie jej rzeczywistość? czy jej miłość ojczyzny jest tą lepszą i wyższą, która narody podnosi, czy jest taka jak Bóg przykazał, lub też czy w tem uczuciu, przy całej jego piękności są i pierwiastki gorsze? To co widział zaspokoić go pod tym względem nie mogło. Naprzód były to lata nienawiści wewnętrznej, nie największej może, ale najgłośniejszej; epoka stronnictw emigracyjnych prześladujących się zajadle, nie-

które z nich samą propagandę patryotyczną zaczynały od propagandy nienawiści. Nienawiść do obcego panowania była celem; środkiem, który do niej prowadził i miał ją obudzić, była nienawiść swoich, posiadających, szlachty, przez tę miał lud wiejski dojść do tamtej. Powtóre, był to czas kiedy miłość ojczyzny przybierała u nas różne formy odmienne, a po większej części ujemne, nienawistne: jako symptom cytuje Klaczko panslawizm, szatańską doktrynę, która doradza zabić siebie, żeby zabijać drugich, zgodzić się z „najstraszniej-„szym ale najsilniejszym z nieprzyjaciół, żeby się zemścić na „mniej winnych, żeby temu światu, który obojętnie patrzał na „zagładę Polski zgotować nowego Attilę. Gorycz zbiegająca „się w sercach zawiedzionych i zakrwawionych, a bijących „zawsze i mimo wszystko, musiała być wielka; a do tego „dodać jeszcze potrzeba, że pokolenia, które przyszły na „świat po rozbiorze, nie znały tej ojczyzny, za którą się biły, „jako żywej rzeczywistości, ale jako bolesne wspomnienie, „wspomnienie wielkiej krzywdy, zbrodni nie ukaranej a wo-„łającej o pomstę. Dodajmy i to, że podziałowi materyal-„nemu odpowiadał i podział moralny, że po każdej nowej „klęsce następował nowy prąd emigracyi, któremu popęd „dawało uczucie protestowania przeciw przemocy najeźdźców. „Wszystko to razem wydało sytuacyę dziwną, wykraczającą „z obrębów zwykłego prawidłowego życia narodów, ciągle „naprężoną, gorączkową, niezdrową, która pod niejednym „względem podkopywała moralność narodu, która groziła mu „przewróceniem pojęcia złego i dobrego, tego co się godzi, „a tego co nie. Obce panowanie jest okropne, nie przez to „tylko, co sobie pozwala względem uciśnionych, ale okropniej-„sze jeszcze bywa czasem przez to, co uciśnieni sądzą być „sobie pozwolonem przeciw niemu. Szczęśliwi tego świata, „ludzie którzy mają ojczyznę wolną i niepodległą, nie mogą „nawet pojąć tego piekła pokus i udręczeń jakie dla naro-„dów podbitych zamyka się w tem jednem słowie: „nie-„wola“. Bezimienny Poeta zrozumiał to piekło, i przeraził „się. Schodząc do głębi duszy polskiej, dostrzegł tam ten „prąd uczuć ponurych i dzikich, i zadrżał. Przeląkł się tego

„patryotyzmu, który się karmił głównie nienawiścią wrogów, „przeląkł się tej miłości ojczyzny, mocnej jak śmierć, ale „pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych. Chciał dać prze- „strogę swojemu narodowi, i napisał *Irydiona*".

Myśl podstawna poematu jest ta, że nienawiść i zemsta nie odbudują, nie odrodzą upadłej ojczyzny; że miłość ojczyzny, jeżeli ma być zbawczą i zwycięzką, musi być w praktyce, w działaniu, tak piękną i dobrą, jak jest w zasadzie, w swojem pojęciu idealnem; że musi być zawsze i we wszystkiem zgodną z absolutnem pojęciem dobrego, z cnotą. Zatem, w uczuciu powinna być miłością dobrego i sprawiedliwości, ale nie nienawiścią, nie pragnieniem zemsty; w działaniu powinna dla swego celu dobrego, używać tylko dobrych środków. Ale jakże, na jakim przykładzie, na jakim fakcie historycznym uwidocznić tę ideę, gdzie szukać dla niej kształtów zewnętrznych takich, któreby mogły być jej wyrazem poetycznym? Tego szukając napadł Krasiński na swoje myśli o narodach upadłych, mianowicie o Grecyi. Grecya najszczęśliwiej obdarzona, najpiękniejsza ze wszystkich narodów na świecie, upadła i nie powstała. Dlaczego? nie dla braku wielkich zdolności, nie dla braku dzielnych ludzi, nie, żeby nie była miała wielkiej, potężnej miłości ojczyzny, bo to wszystko miała. Ale ta miłość ojczyzny u Greka, to jego uczucie, kiedy patrzał na swój kraj ujarzmiony przez Rzymian, kiedy sobie mówił, że ten Rzym twardy i barbarzyński gorszy był od ludzkiej nie chciwej, nie drapieżnej Grecyi, jakież ono być mogło? Tu Krasiński zeszedł z drogi rzeczywistości, rozszedł się z historyczną prawdą, a zaczął fantazyą swoją zagłębiać się w domysły, stawiać rusztowania przypuszczeń, odgadywać, co mógł czuć, co powinienby był czuć Grek z żywą miłością ojczyzny, na widok poniżenia Hellady i tryumfu Rzymu.

Przypuśćmy Greka z naturą bohaterską, Greka w którym żyje dawny duch Miltiadesa i Leonidasa — czy taki Grek był, lub nie, mniejsza o to, — ale gdyby był, i logicznie mógł być, to co on mógł czuć, co mógł robić jak porównał przeszłość własnej ojczyzny z teraźniejszością jej i jej zwy-

ciężców? Oczywiście Grecya musiała mu się wydać piękniejszą, lepszą, mądrzejszą. Najwyższą cywilizacyę ówczesnego świata ona wydała i dobyła ją sama z siebie, a świat cały żywił się jej Platonem, jej Homerem, jej Fidiaszem, jej Thucydidesem. Historya jej była najszlachetniejsza ze wszystkich, szczęśliwa i wolna u siebie, nie była chciwą cudzego, nie myślała narzucać swego panowania drugim i zabierać ich ziemi. Jeżeli Rzym chwalił się cnotą swoich Kuriuszów i Cincinnatów, ona miała przykłady nie mniej bohaterskie w swoich Aristidesach i Epaminondasach, a piękniejsze, bo w jej bohaterach nie było nic twardego, nic suchego, nic drapieżnego. Maraton wart więcej od Zamy, Perikles więcej od Augusta. Cicero to nędzny retor naśladowca przy Demosthenesie, Virgiliusz niedołężny kopista Homera, a okrzyczana *graeca fides* jest jeszcze cnotą w porównaniu z tą dobrą wiarą, z jaką Rzym opanował Grecyę, Pergam, Pont, Libię, świat cały. A exakcye prokonsulów, a proskrypcye triumwirów, a zepsucie Cezarów, a Sejany i Tyberiusze, Caligule, Messaliny, Nerony, z rojem wyzwoleńców, histrionów, gladiatorów, potwory rozpusty, chciwości i okrucieństwa, tego przecież Grecya nie znała, i to nad nią panuje! Boleść patryotyczna Greka musiała więc być naprzód oburzeniem na krzywdę, powtóre tęsknotą za swoim światem piękniejszym i lepszym, a wreszcie nienawiścią i pogardą Rzymu.

W taką duszę Greka musiał się Krasiński przenieść, owszem, on musiał ją stworzyć, wymyśleć, bo duszy takiej Grecya późniejsza już nie miała; bo Grek tych czasów powtarzał Homera, analizował subtelnie Platona, popisywał się z dyalektyką, śpiewał, ciosał marmury i lał bronzy, które dobrze sprzedawał, uczył Rzymianów i smak im wyrabiał, był najemnym condotierem sztuki, filozofii, wymowy, kłaniał się nisko i żył jak mógł najlepiej, ale zrezygnowany był zupełnie; o niepodległej Grecyi, o zemście nawet nad Rzymem nie marzył; echa Termopilów i Salaminy snu nie przerywały mu nigdy. Wbrew historyi więc musiał Krasiński taki ideał Greka wymyśleć; musiał wyobrazić sobie Themistoklesa w Grecyi zawojowanej i w Rzymie panującym nad całym światem.

Coby taki czuł? kochałby Grecyę, nienawidziłby Rzymu. Ale coby robił? Czy w Atenach, w Koryncie, na wyspach Archipelagu, próbowałby rozdmuchać iskrę świętego ognia i powstać przeciw ciemięzcom? Próżna rzecz. Gdyby ta iskra dała się nawet odszukać i rozdmuchać, a i to wątpliwe, to ogień, któryby z niej wybuchnął musiałby zgasnąć zaraz stłumiony żelazną ręką Rzymu. Grecya przeciw całemu światu, to za mało. Na to, żeby ona na nowo istnieć mogła, musi Rzym pierwej zginąć, upadek takiego kolosu zwykł trwać wieki zanim dojrzeje; a i wtedy jeszcze, czy Grecya potrafi stanąć na nowo i być taką jak była? Rzecz wątpliwa. *Irydion* przez cały ciąg poematu nie mówi ani razu jakoby jego celem, jego nadzieją była niepodległa i wskrzeszona Grecya; nie mówi nigdy, że jak Rzym będzie zniszczony, Imperator w Syryi, on wtedy spróbuje postawić nowe Ateny i Spartę. To bardzo charakterystyczne: Grecya żywa i odrodzona, jest dla niego rzeczą tak mało podobną do wiary, w każdym razie tak daleką, że choć wszystko co robi, robi dla niej, jednak o niej i jej przyszłości nie mówi nigdy, bo od tego celu przegradza go przepaść, którą dopiero gruzami Rzymu trzeba zapełnić. Rzym mu ten cel zasłania: trzeba, żeby on upadł, wtedy może odkryje i pokaże się tamto. Cel ten wielki i dobry, poczęty w pięknem i sprawiedliwem uczuciu jest tak daleki, że prawie znika, a samo uczucie, które go wydało chowa się gdzieś w głąb. Naprzód zniszczenie Rzymu, naprzód nienawiść: to pierwszy cel i pierwsza robota. A gdyby tamto drugie nawet nigdy spełnić się nie miało, to niech się spełni przynajmniej pierwsze, niech będzie odwet, niech będzie zemsta.

Gdyby duch wielkich bohaterów greckich był dziedzicznie przechodził z ludzi na ludzi, z pokoleń na pokolenia, to ich miłość ojczyzny pod panowaniem Rzymu byłaby przybrała ten kształt, ten charakter. To rzecz pierwsza, którą Krasiński musiał wymyśleć, urodzić w swojej wyobraźni, a ta znowu pociągnęła za sobą szereg dalszych pomysłów jako logicznych następstw.

Ten patryotyzm grecki (przypuściwszy zawsze, że był i dziedzicznie przechodził z ojca na syna) jak długo on musiał czekać w poniżeniu, w upokorzeniu, jak długo musiał kryć się, czołgać, udawać, wypierać się siebie samego, jak cierpliwie musiał znosić wszystkie tryumfy Rzymu, i jak długo czekać na jego rozprzężenie, zanim wreszcie doczekał się tego, że odwet i zemsta stały się możliwemi! Trzeba było przeczekać Rzeczpospolitą, czekać żeby jej dawna tęgość osłabła, a wtedy gieniusz jednego człowieka tchnął w tę słabość siłę, która znowu na parę wieków miała wystarczyć. Trzeba było przeczekać zwycięztwa i gieniusz organizacyjny Cezara, dyplomatyczny zmysł Augusta utwierdzający cesarstwo z taką przebiegłością — przeczekać Trajana i Marka Aureliusza, którzy próchniejące państwo jeszcze raz podparli i zbili do kupy swoją dzielnością i cnotą; trzeba było czekać przez wieki! bo Rzym był zawsze tak jeszcze potężny i wielki, że mu żadna zemsta zaszkodzić nie mogła, że zamach każdy, spisek, bunt przeciw niemu uknuty, odbić się musiał od jego murów jak garść grochu od ściany. Fikcyjny patryotyzm grecki musiał więc czekać i czekać i przeżuwać, przepędzać w sobie swoją nienawiść i swoje pragnienie zemsty, koncentrować ich moc do coraz wyższej potęgi. Ale wreszcie przyszedł czas, że „miasto nieprawości, „zabiwszy wszystkich, rozpoczęło samobójstwo swoje“. Już go nie trzyma ani dawna *virtus* Rzeczypospolitej, ani gieniusz Cezara, ani sztuka Augusta, ani Trajan energią i wojskową dzielnością, ani Marek Aureliusz swoją stoicką cnotą, ani senat powagą swoją, ani legiony walecznością i karnością; zamiast dawnych Imperatorów Commodus albo Caracalla jeden po drugim, zamiast dawnego Senatu tłum wyzwoleńców podłych, zalękłych i chciwych, zamiast dawnych legii pretorianie, a zamiast dawnego ducha podbojów na zewnątrz, surowego prawa wewnątrz, rozprzężenie, niedołęztwo, rozpusta i zbrodnie od Cezara aż do gladiatora, a z północy i wschodu coraz bliżej walą się ku granicom barbarzyńcy. Patryotyzm grecki, któryby był czekał na dzień odwetu i zemsty, musiałby był czekać aż do czasów późniejszych cesarzów, prze-

trzymać ostatnie resztki wielkości Rzymu, przetrzymać Antoninów.

Wtedy mógł już nie wątpić w upadek swoich wrogów, i mógł się wziąć do dzieła zemsty. A jak je miał prowadzić? To rzecz trzecia, którą poecie wymyśleć wypadło. Oczywiście miał korzystać ze wszystkich żywiołów zepsucia i rozkładu, jakie były wewnątrz Rzymu, i ze wszystkich żywiołów zniszczenia, jakie mogły grozić mu od zewnątrz; wszystkie połączyć, sprządz, skupić w swojem ręku, i wszystkiemi kierować, wszystkie razem puścić na miasto, jak Eolus Virgiliusza wypuszcza wszystkie swoje wichry z jaskini. Takiemi pierwiastkami rozkładu były: naprzód Cezaryzm, ze swoją sztuką rządzenia, a raczej sztuką utrzymania siebie za pomocą konfiskat, proskrypcyi, opłacania się pretoryanom, a schlebiania ludowi chlebem i igrzyskami, ze swoim dworem i obyczajem, którego rysy przechował Tacyt i Juwenal, i ze swoimi reprezentantami takimi jak Tyberiusz, Caligula, Neron, Domicyan, Commodus albo Caracalla. Drugim, działającym nieznacznie i powolnie, ale na pewno, był wpływ miękczący sceptycznego sofistycznego ducha greckiego, który do Rzymu dostał się kiedy już sam był zepsuty, i zmienił dawną jego naturę, przygotował grunt pod to niezdrowe i jałowe zbiorowisko wszystkich pojęć, wszystkich zasad i wszystkich wiar, których napływ i istnienie były skutkiem już upadającego właściwego ducha rzymskiego i przyczyną jego upadku zupełnego. Dalej skoncentrowanie całego świata, stek wszystkich bogactw, wszystkich interesów, wszystkich narodów, wszystkich rodzajów cywilizacyi i wszystkich rodzajów zepsucia, przez co Rzym długo przed upadkiem swoim przestał być Rzymem, a stał się jakimś kosmopolitycznym potworem bez sił żywotnych, jak wszystko co potworne, i co kosmopolityczne. Wreszcie, jedna jeszcze siła rozsadzająca i rozkładająca Imperium od wewnątrz, ta która odciągała od niego a przyciągała do siebie wszystko co było najlepszego i najszlachetniejszego w ówczesnym świecie, która przez samą swoją naukę wiary i moralności, przez sam swój ideał dobrego, podkopywała podstawy miasta i państwa, chrze-

ściaństwo. Po za tem, z zewnątrz, siła fizyczna, która miała obalić Rzym stoczony tamtemi wewnętrznemi moralnemi pierwiastkami, barbarzyńcy.

Oto rzeczy na których Grek idealny Krasińskiego, Grek mściciel Hellady a wróg Rzymu, musiał opierać swoje rachuby, które musiał owładnąć i wedle swojej myśli do swego celu kierować.

Żeby więc wykazać w poetycznej allegoryi, że narody odradzać się powinny, ale nie muszą się odradzać,—że i najszlachetniejsze nawet zginąć mogą, jeżeli w ich miłości ojczyzny przeważa zły pierwiastek nienawiści i zemsty, wybrał Krasiński przykład Grecyi; na to zaś, żeby ona przykładem takim być mogła, potrzebował przypuścić i wymyśleć, że miłość ojczyzny, pragnienie jej niepodległości i pragnienie zemsty nad Rzymem przetrwały w Grecyi dziedzicznie i tradycyjnie przez wieki. Potrzebował przenieść w wieki Cezarów rzymskich Temistoklesa, z którego ducha już w Grecyi całej podówczas nie było i śladu. Dalej, musiał wyobrazić sobie, że ten patryotyzm grecki czeka przez całe wieki w ukryciu i w udawaniu, na chwilę sposobną do swego odwetu. I wreszcie, musiał wyobrazić sobie, że on się tej chwili istotnie doczekał; wyobrazić go sobie w Rzymie już rozpadającym się, i wyobrazić sobie, coby on wtedy robił, jakby okolicznościami zawładnął. Zadanie niezawodnie jedno z najzuchwalszych na jakie się poezya kiedykolwiek zerwała. Wszystko trzeba było stwarzać: ludzi, ich namiętności, ich działanie, wszystko z wymysłu, a wszystko przecież tak, żeby było prawdopodobne, żeby ten Grek abstrakcyjny i idealny nie był wcieloną moralną nauką tylko, ale żeby na Greka wyglądał, żeby jako taki wydawał się możliwym: a żeby jako mściciel Grecyi, wróg Rzymu, produkt nienawiści wieków, jako ten, który wschód i zachód, południe i północ i Rzym sam wprzęga w spisek przeciw Rzymowi, żeby był wielkim jak taka namiętność i takie dzieło! Potem trzeba było w tym obrazie objąć wszystkie te siły, na które i przez które on działa, czyli dać wizerunek Rzymu w rozkładzie: a przez to wszystko dopiero, i nad tem wszyst-

kiem, trzeba było ukazać myśl moralną poematu, nienawiść i zemsta nie odradza narodów, nie wskrzesza, nie odbudowuje ich ojczyzn. Mało, bardzo mało kiedy zerwał się człowiek na pomysł takich rozmiarów i takiej trudności w wykonaniu (która to trudność w tem polegała głównie, że wszystko wziąwszy z fikcyi, z wymysłu, musiał przecież wszystko stósować do pewnej rzeczywistości, do pewnych znanych czasów i ludzi), ale też i mało kiedy podobno zadanie tak zuchwałe, tak najeżone trudnościami, rozwiązanem było z taką głębokością myśli i z taką potęgą fantazyi, z takim gieniuszem, jak rozwiązał Krasiński swoje zadanie w *Irydionie*.

Mieści on akcyę swego poematu w tej chwili kiedy Rzym zgubiony jest bez ratunku: stał się jedynym środkiem świata, i jego wrzodem. Ściąga z całego ciała soki zepsute, zdrowsze sam psuje, żywotnego, całego i zdrowego nie ma w nim nic, oprócz tych, którzy swojego zdrowia i siły na jego korzyść nie użyją, którzy go nie chcą ani ratować, ani gubić, chrześcian. Cezar jest dziełem rąk pretorianów, albo tych lub owych legii, które się trzyma na tronie ich wolą i samowolą, dopóki te same lub jakie inne nie zrzucą go, a nie obwołają innego. Z dawnej Rzeczypospolitej i z dawnej rzymskiej cnoty zostało tylko wspomnienie w kilku sercach uczciwych, a rozpaczających. Tradycya Rzymu, duch Rzymu, tak zaginęły, że diadem Cezarów może świecić na głowie obcego przybysza, w którym niema nic rzymskiego; człowieka, w którym niema nic męzkiego, nic silnego; który obyczajem, mową, życiem powinien być Rzymowi wstrętnym; który przez swoją zniewieściałość i niedołęztwo powinien być w pogardzie; a przecież trzyma się ta lalka i rządzi światem, ścina głowy, stawia budynki, rozrzuca złoto jak mu się podoba. Miarą głębokości upadku Rzymu i jego upokorzenia, tą pieczęcią przyłożoną na niem, jako jego stwierdzenie, było panowanie takiego Heliogabala; i jego to czas właśnie wybrał sobie Krasiński jako ten, który zemście Greka mógł w zupełności uczynić zadosyć: „Z wielką „i misterną sztuką“ mówi Klaczko „doszedł autor do rozpo-

„znania pierwiastków składających tę istotę dziwaczną, która „się nazywała Heliogabalem. Urodzony pod skwarnem słoń„cem azyatyckiem, syn Karakalli w czternastu leciech został „arcykapłanem w Emezie, i poznał wszystkie lubieżności „krwiożercze obrzędów Mitry. W latach szesnastu został „Cezarem, panem świata; a postawiony na tej wysokości, do„stał zawrotu głowy i wyczerpał rychło wszystkie uczucia „i wszystkie wrażenia. Heliogabal Krasińskiego to dziecko „z instynktami zgrzybiałego starca; namiętności niema w nim „żadnej, jeden tylko połyska jeszcze w jego duszy błędny „ognik lubieżności. Światy całe nie zdołałyby zapełnić nu„dów, w których on żyje, to próżnia wcielona". „Krasiński „umiał złożyć i przedstawić jednego z tych Cezarów, którzy, „pomimo Tacyta i Suetoniusza, są dla nas zawsze niepoję„temi zagadkami" i pokazał jak oni wyglądać mogli w rzeczywistości. Obok takiego Cezara dwór wyzwoleńców, błaznów, stręczycieli i trucicieli, rój tych podłych Eutychianów i Kupiliusów, których podobieństwa także w Tacycie znaleść można a jeszcze bardziej w Juwenalu, to sam szczyt Rzymu, tam się przechowuje myśl gieniusz i los miasta i państwa. Tych kilku ludzi, którzy patrzą na to spodlenie z oburzeniem Tacyta i marzą o powrocie do dawnej cnoty, to ideologi skazane na gorzkie rozczarowanie. Surowy stoik Ulpianus, zacny Alexander Severus, nie powstrzymają wezbranego prądu zepsucia. Dawny patrycyat nosi ciężary po Rzymie albo bije się po cyrkach i mrze z głodu, a senat zapełniony kreaturami Cezara. Czego się trzymać, w co wierzyć? nikt nie wie. Sprowadzają sobie Bogów ze wszystkich stron świata, retorowie i sofiści silą się na coraz nowe nauki, ale wszyscy we wszystkiem widzą tylko nieprawdę. „Już się ma pod koniec starożytnemu światu, wszystko co w nim żyło psuje się, rozprzęga i szaleje". Ten obraz zepsucia i rozprzężenia, Rzymu konającego i szalejącego, przedstawiony jest w poemacie, w figurach wziętych ze wszystkich stopni społeczeństwa, od Cezara do Gladiatora, od Heliogabala do Sporusa, a naprzód w streszczeniu, ogólnie nakreślony jest w prologu. „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kro-

„czyły dawniej po swoich siedmiu wzgórzach w Rzymie“ i t. d. Te nieznane kształty „ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy Tytańskich czasów, ale dziwaczne“, ten Rzym, który stał się „cały motłochem i Cezarem“ tylko, ta pstra mieszanina bóstw, których nikt nie czci, i wiar, w które nikt nie wierzy, wszystko to jest w poemacie, dla wszystkiego umiał poeta wynaleźć jakiś typ, jakąś postać, jakiś rys.

Ale to miało być tłem tylko; a z tego tła wystawać miała postać Greka, wcielona miłość ojczyzny, wcielony patryotyczny ból, i wcielone pragnienie zemsty i zniszczenia. Ten Grek, jakiego nie było, musiał być tak wielkim jak najwięksi z tych, którzy byli, musiał być na miarę Fidiasza, na miarę Eschyla, musiał być podobnym do dawnych bohaterów greckiej historyi i do półbogów mytologii greckiej; a musiał mieć rzecz jedną, której tamci nie miewali, duszę smutną, pełną tęsknoty, bolejącą swoim wielkim bólem patryotycznym, i bolejącą nad sobą także, że mu przyszło poświęcić się dla strasznego dzieła zniszczenia, wyrzec się wszelkiego szczęścia prócz zemsty. Tak jak nie było żadnego *Irydiona* w historyi, tak i ten rodzaj uczuć, to piętno duszy ludziom starożytnym właściwe nie było. Rozdarcie człowieka pomiędzy życiem jakie pędzić musi, a tem jakieby pędził, gdyby nie konieczność, nie obowiązek, nie powołanie, to jest właściwość naszego świata, nawet naszego wieku. Grek Krasińskiego ma pewne pokrewieństwo z Henrykiem z *Nieboskiej Komedyi,* z Hamletem; nie pokrewieństwo natury i charakteru, bo kiedy tamci są ludźmi fantazyi i reflexyi, on jest człowiekiem czynu, wie czego chce, i temu wszystko poświęca, w nim jest nierównie więcej jedności i równowagi niż w tamtych. Ale jest zbliżenie w tem, że i on jak tamci jest reprezentantem walki pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem; on jej chce i pragnie, poświęca się dla niej, a przecież ona mu ciąży, nieszczęśliwy jest przez to, że ją prowadzić musi. On się do swojej idei tak przywiązał, tak się jej cały poświęcił, że wszelkie wahanie, wszelka skarga nad sobą jest stanowiskiem przebytem, nie odzywa się pra-

wie. A jednak on jest rozdarty, on jest nieszczęśliwy. Ta natura cierpiąca i tęskniąca nie jest naturą ludzi starożytnych, ale była konieczną u bohatera, którego przeznaczeniem było wznosić się coraz wyżej, gonić przez wieki za ideałem ziemskiej ojczyzny, i w końcu być posłanym do ziemi mogił i krzyżów. Miał więc Krasiński wymyśleć nietylko bohatera, jakiego w historyi nie było, i jego dzieje, ale nadto miał mu dać duszę odmienną od prostego typu ludzi starożytnych, a musiał przytem zrobić go podobnym do tych ludzi zewnętrznie; musiał mu dać postawę klassyczną, „grecką mowę i twarz greckiego półboga". O ile *Irydion* jest podobnym do bohaterów klassycznych? Zapewne znajdzie się w jego metalu wiele pierwiastków nowożytnego człowieka; zapewne, w porównaniu z Orestem albo Ifigienią Göthego nie wyda się tak klassycznym, tak podobnym do postaci Homera i Eschyla jak tamci. Ale łatwiej było zachować to podobieństwo tam, gdzie te same postacie poetów greckich występowały w tym samym zakresie życia co u nich. Ich charakter, ich sposób myślenia i mówienia, potrzeba było tylko zrozumieć i powtórzyć. *Irydion* jest i działa w takiej sferze uczuć i dążeń, w jakiej nie był żaden ani poetyczny ani historyczny bohater starożytności; owszem, musiał mieć uczucia jakich tamci zgoła nie mieli, nie było więc wzoru, nie było żadnego punktu porównania, trzeba było stworzyć go zupełnie samodzielnie. Nie mógł więc być takim istnym Grekiem jak są figury z Ifigenii Göthego, tak klassycznym, tak przejrzystym i prostym; nie mógł już choćby dla tego tylko, że jest symbolem, personifikacyą. A jednak, pomimo że jego natura jest więcej nowożytną, a jego postać allegoryczną, potrafił Krasiński, i tu trzeba podziwiać jego zmysł artystyczny i jego przejęcie się światem klassycznym, umiał mu nadać postawę posągową i piętno wielkości, tak, że pozory są bardzo łudzące, że *Irydion* wydaje nam się prawdziwym Grekiem i prawdziwym półbogiem, że w jego słowach, w jego rozpaczach i skargach jest coś, co przypomina Oresta i Prometeusza. Ta dusza nie jest grecką, ale kształty, pozory, linie antyku, są — i są także rozmiary półboga.

Wspomniało się, że taki Grek mściciel nie mógł wystrzelić nagle z pod ziemi za Heliogabala; że chcąc takiego logicznie pomyśleć, Krasiński musiał przypuścić cały ciąg, cały szereg uczuć i pragnień podobnych, przechodzących z pokolenia na pokolenie, a ten ostatni, który się chwili zemsty miał doczekać, byłby ich spadkobiercą i ostatnią wypadkową. Daje też Krasiński swemu bohaterowi ciekawą genealogię: jest on potomkiem Filopomena „przedostatniego z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu"; po nim nie walczyli już, ale łańcuch nienawiści, dziedzictwo tejsamej myśli się nie przerywa, ono trwa domyślnie i tajemnie, aż do chwili, kiedy zbliża się godzina zemsty, do Amfilocha ojca *Irydiona*. Ten rozumié, że miasto rozpoczęło samobójstwo swoje, i całe życie pracuje nad tem, żeby mu dopomódz. „Wszystkie myśli „Jugurty i Mitrydata odżyły w jego duszy. Gdzie błota „meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, gdzie syrty „w głębiach Afryki, błąkał się naprzemian, szukając nie„przyjaciół nieprzyjacielowi swemu". Ale zemsta nad Rzymem, jego zniszczenie, poszły z dwóch czynników, z miękczącego i sceptycznego ducha greckiego, który Rzym osłabił i rozłożył wewnętrznie, i z napływu barbarzyńców. *Irydion*, wcielony duch zemsty, jest połączeniem i produktem tych dwóch czynników, jest synem Amfilocha Greka i natchnionej kapłanki Odyna, w której łonie skupia się duch i przyszłość ludów północnych. Nie dla tego dał mu poeta takich rodziców, żeby przez ojca złączony z całą Grecyą, przez matkę z barbarzyńcami, miał w tych rodzinnych tradycyach ułatwienie w swojem dziele, ale i dlatego także, żeby oznaczyć, iż z tych dwóch źródeł wyszło zniszczenie Rzymu. Zwłaszcza dlatego, jak pięknie tłómaczy pan Małecki w rozprawie *Irydiona* (Przegląd Poznański 1847) iżby oznaczyć, że ta miłość ojczyzny wyższa, do której on dojść ma, nie mogła przyjść z ducha starożytnego pogaństwa, ale wyrobić się mogła tylko u ludów nowych, do chrześciańskiej cywilizacyi przeznaczonych.

Jakżeż weźmie się do działania ten człowiek, „syn i spadkobierca długo czekającej zemsty, „on który jak *Han-*

13*

nibal umierającemu ojcu przysiądz musiał, że nigdy nienawidzieć nie przestanie? Ojciec zostawił mu dzieło w połowie gotowe i czekające sposobnej chwili; nie napróżno błąkał się od *błot meockich do syrtów libijskich,* to wszystko syn ma w ręku, to wszystko czeka jego skinienia, żeby wziąć odwet na Rzymie. Ale to nie dosyć. W wielkim związku zniszczenia, brak jeszcze pierwiastku trzeciego Rzymu samego: Cezara. Ten był najważniejszy w rzeczywistości, musiał więc w poemacie wymyśleć Krasiński coś takiego, coby niszczycielowi Rzymu, fikcyjnemu *Irydionowi,* pozwoliło wciągnąć Cezara do swego spisku. Wszystko poprzednie było dziełem ojca przygotowanem oddawna, to już jest jego własne: a żeby to stało się możliwem, potrzeba było takiego Cezara jak Heliogabal, dziecka zgrzybiałego, w którego duszy tli się tylko błędny ognik lubieżności. Takiego opanuje *Irydion* strachem, i użyje do czego zechce, tylko go pierwej musi skrępować, związać lubieżnością. Żeby tego dokazać, żadne poświęcenie nie będzie mu za wielkiem; poświęci więcej jak życie, bo cześć, i to droższą od własnej, cześć siostry. Na to, żeby ten trzeci najważniejszy pierwiastek zniszczenia Rzymu mógł słuchać natchnień *Irydiona* i być wciągniętym do poematu, wymyślił poeta tragiczną i samą w sobie bardzo piękną postać Elsinoe. To pierwsza część poematu.

Druga, zawiera świat chrześciański zamknięty w katakombach, który *Irydion* chce także wprządz w swój spisek, a kończy się rozdarciem między chrześcianami, nadzieją *Irydiona,* że połowa ich da się pociągnąć do walki, i szatańskim tryumfem Massynissy, który widzi poczynający się odtąd cały szereg sporów i walk religijnych — dotąd przygotowanie. Z trzecią częścią zaczyna się samo dzieło zemsty. Walka wybucha, zagłada Rzymu zdaje się pewną; w ostatniej chwili ratuje go to, że z katakomb sprzymierzeńcy nie przyszli; wyobrażenie tego faktu, że kiedy Państwo rzymskie upadło, Rzym sam je przeżył; ocaliło go od zagłady to, że był środkiem chrześciaństwa. W części czwartej bohater złamany, zawiedziony, widzi, że cel jego z rąk mu się wymyka, Alexander Severus obwołany Cezarem, Rzym tryumfuje, chrze-

ścianie zdradzili, zdradził nawet Massynissa, który niechybną zgubę Rzymu obiecywał; wszystko skończone, wszystkie poświęcenia daremne. Nawet Elsinoe poświęcona nadarmo! człowiek przeznaczenia nie zwycięży! bohater poematu, jak przystało na Greka potomka Themistoklesów, chce sobie zadać śmierć. Wtedy nieśmiertelny Massynissa przyrzeka mu, że kiedyś nasyci jego zemstę zupełnym upadkiem nienawistnego miasta, i usypia go na długie wieki aż do tej obiecanej chwili. W Epilogu ona nadeszła. Ale po wiekach, zbudzony syn zemsty ukazuje się przemienionym, miłość ojczyzny, ból patryotyczny, stał się lepszym i szlachetniejszym; nie jest już duchem nienawiści, zemsty i zniszczenia, ale ma „być spokojnym na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych, i ufać imieniowi Pańskiemu, bo oni przeminą, „ale ty i słowo moje nie przeminiecie“. Z tym rozkazem ufności i przebaczenia, z drugim rozkazem poświęcenia, „nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam“ *Irydion* posłany jest do ziemi mogił i krzyżów. Miłość ojczyzny ujarzmionej wystawiona jest na próbę drugą, z wyraźną wskazówką, że jeżeli chce cel swój zbawić, musi z tej próby wyjść świętą.

Widocznie budowa poematu jest tu daleko regularniejsza daleko bardziej skończona, aniżeli w *Nieboskiej Komedyi:* żadnych opuszczeń ani przeskoków, wszystko się łączy, wszystko widocznie jedno z drugiego wypływa: a w szczegółach, w scenach nie ma tego pośpiesznego i prawie dorywczego szkicowania co tam, jest daleko więcej wykończenia. Powodem tej różnicy jest to, że *Irydion* był pisany z planem, był naprzód i bardzo starannie cały obmyślany; skutkiem jest to, że on artystycznie jest od *Nieboskiej* piękniejszy.

„Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej“ mówi poeta w prologu, po wspaniałym obrazie tego zamętu starożytnego świata, z którego „wyciśnie myśl jedną i nada jej postać i imię“ — „duch twój pomiędzy jakiemi duchami?“ Nie ma go pomiędzy „widmami senatu obarczonemi pamięcią podłości, ani pomiędzy cezarami panami świata, ani między

świętymi panami Watykanu, ani między męczennikami Chrystusa"; żaden z tych nie chciał być niszczycielem Rzymu, żaden nie chciał mścić na nim krzywd innych i jego nieprawości, syna zemsty między nimi nie ma. On wymyślony, fikcyjny, jak nie żył na świecie, tak w historyi nie ma postaci ani imienia; on jest przypuszczeniem tylko, przypuszczeniem, że mógł być i jaki być mógł, i dla tego nie między duchami ludzi, którzy żyli niegdyś na ziemi, ale w fantastycznej jaskini, w fikcyjnem wiekowem uśpieniu, czeka na chwilę przebudzenia, która właśnie nadchodzi: „Godzina do- „bija, bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki etc." Ten początek prologu, tak, jak epilog, odbywa się w teraźniejszości, dzisiaj — poemat sam w Rzymie przed wiekami; a dalsza część prologu zawiera to, co już w dramacie samym pomieścić się nie mogło, dziedzictwo zemsty i nienawiści spadające na bohatera, i pochodzenie jego, tę myśl, że zemsta na Rzymie za wszystkie jego nieprawości, że zniszczenie Rzymu wyniknęło z dwóch pierwiastków, z wpływu cywilizacyi greckiej, która zmieniła jego naturę, i z fizycznie przemagającego elementu ludów północnych, i tę drugą, że miłość ojczyzny doskonalsza, w duchu młodszych ludów tylko wykształcić się mogła. „Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje" mówi poeta, bo potrzebuje pokazać z jakich to rodziców zrodził się *Irydion,* z jakich czynników składał się upadek Rzymu.

Prolog *Irydiona,* pomimo niektórych twierdzeń przeciwnych, a może cokolwiek uprzedzonych, jako koloryt, jako obrazowość stylu, jest niezawodnie jedną z wielkich piękności naszej literatury. Zarzucano mu pewną mglistość jakoby umyślną, a przez to wyszukaną nienaturalną effektowość, ozdobność posuniętą do przesady. Nie przecząc, że usterki te trafiają się u Krasińskiego, trudno przecież dopatrzeć się ich tutaj właśnie. Zapewne jest to proza tak uroczysta, tak majestatyczna i tak poetyczna, że włos jeden dalej, a wpadłaby w przesadę; zastósowana do przedmiotów drobniejszych, byłaby nienaturalną i śmieszną; a że nieraz widzieliśmy ją stósowaną do takich przedmiotów maluczkich albo

do pomysłów płytkich, żeśmy ją widzieli niezgrabnie naśladowaną, przeto i do niej samej zbliżamy się już z pewnem niedowierzaniem. Jednak, biorąc na rozwagę okres za okresem i słowo za słowem, nie można dojrzeć usprawiedliwienia tych zarzutów. Czy że ten ton *largo* i *maëstoso* przypadał dobrze do obrazów takich rozmiarów i takiej treści, czy że poeta zachował szczęśliwą miarę, zrobił ze swoim stylem to, co rzeźbiarze Laokoona ze swoją grupą, o której krytyka mówi, że jeden muszkuł, jedno skrzywienie ust więcej, a byłaby przesadzoną, że się zatrzymuje na najdalszym punkcie patetyczności, ale tego punktu nie przechodzi i zostaje cudownie piękną i wzniosłą, dość, że o prologu *Irydiona* pod względem stylu powiedzieć można, że mógłby być przesadnym i nienaturalnym, ale tak jak jest, jest zapewne najpiękniejszym specimenem prozy poetycznej, jaki mamy w naszym języku. Który ustęp, który obraz, wypadałoby uważać tam za najświetniejszy, to oczywiście rzecz upodobania; są zdania bardzo poważne, które najwyżej stawiają ustęp o Grymhildzie prorokującej na głazie i zachwycają się obrazem „ziemi srebrnej potoków", całą tą dziką i ponurą dekoracyą lodów, śniegów, czarnych obłoków, sosen zwalonych, głazów, ludzi w skórach i pancerzach z rybich łusek. Zapewne, jest to wszystko bardzo piękne, bardzo wyraziste i żyjące, malowane słowami. Jednak, nie wiem czy nie piękniejszy jest na wstępie obraz Rzymu, mowcy panowie dusz tysięcy, żołnierze legionów, patrycyusze z chmurą grozy na czole, westalki... a obok tego Rzym dzisiejszy, wielka ruina obrośnięta pełzającym bluszczem i ludem. W tem znać doskonale, że to znane, doznane, z własnych wrażeń wzięte; znać, że poeta siadywał nieraz „na Palatynie wzgórzu ruin i kwia„tów" i dumał o tych wszystkich postaciach, wywoływał te cienie, że je oczyma duszy nieraz przed sobą widział, że namiętnie, lubieżnie karmił swoją wyobraźnię gorżką poezyą rzymskich ruin: i może nikt jej tak nie czuł, tak w swoich dziełach żywo nie odbił jak on. Obraz *Chersonezu* Cymbrów, pomimo całej swojej piękności nie jest tak zupełnie własny; w tych mgłach i chmurach, w tych skaldach z brodami i ar-

fami, słychać czasem coś, jakby przypomnienie Ossijana. Może to wrażenie fałszywe, ale zdaje się jak żeby on tego północnego kraju nie był tak jasno widział w swojej wyobraźni, jak widział Forum Romanum i „westalkę wstępującą w milczeniu na schody kapitolu“, jak żeby w tym obrazie były rysy, które się już gdzieś widziało. Jakkolwiekbądź, tego nikt zaprzeczyć nie potrafi, że pomysł tej natchnionej kapłanki, która reprezentuje niejako instynktowy popęd swego ludu do wędrówki i przeczuwa jego przeznaczenie, oczarowanej i podbitej przez Greka, który im spełnienie tych przeznaczeń już naprzód ułatwił, jest filozoficznie głęboki. A w przedstawieniu poetycznem, w tych dwóch figurach Greka w korynckiej zbroi, podobnego do bogów starożytnej rzeźby, i tej północnej smutnej Welledy, jest bardzo piękny; nie byłoby nic dziwnego, gdyby malarz pokusił się oddać tę parę ludzi kolorami na płótnie.

Piękna jest ta nauka historyi, te kilka słów o Grecyi i Rzymie, któremi Amfiloch tłómaczy Grymhildzie tajemnice tego dzieła, do którego spełnienia potrzeba mu jej piersi natchnionej; to objaśnienie zemsty, to powody wszystkich czynów i namiętności, nienawiści *Irydiona*, to wreszcie wskazówka, że ta nienawiść i zemsta zbiera się i rośnie oddawna, jeszcze od Filopoemena. Zwłaszcza piękne jest opowiadanie o wyspie Chiarze, o wyprawach, które podejmował Amfiloch „szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu“ o jego układnem, chytrem, greckiem postępowaniu z pretorami i prokonsulami, kiedy im prawił o chwale Rzymu „i pił zdrowie Imperatora, aż puhar pękał w palcach jego“.

Tajemniczy zgon Grymhildy, gniewny głos Odyna, który ją do siebie wołał i groził, jej posłuszeństwo i niezachwiana wiara w tego boga, jej tęskota za ziemią srebrną, i śmierć dobrowolna, wszystko to jest poetycznym tylko dodatkiem, jest zakończeniem tego epizodu przeszłości, który zakończenia jakiegoś potrzebował.

Dzieje rodu uśpionego *Irydiona* i jego pochodzenie są opowiedziane: Amfiloch przeniósł się do Rzymu, pośród wro-

gów, gdzie „przynajmniej całą duszą nienawidzieć będzie“; umarł potem, przekazując synowi zemstę swoją: a teraz czas pokazać jak ten syn, kiedy sam pozostał dopełnił swojej przysięgi, jak dalej dzieło ojca prowadził.

II.

Pierwsza scena. Zmysł artystyczny i miara. Elsinoe. Kobiety Krasińskiego. Elsinoe i Antigona. Effekt przeciwieństw. Massynissa. Szatan w historyi. Jego stosunek do miłości ojczyzny. Przystósowanie. *Irydion* u celu. Spisek z Cezarem przeciw Rzymowi. Postacie Rzymian godnych: Ulpianus, Mammaea, Alexander Severus. Koniec części pierwszej.

Pierwsza scena poematu jest jedną z jego wielkich piękności. „Dla wszystkich dotąd we śnie leżę“ mówi *Irydion* patrząc na posąg ojca „ale ty wiesz, że ja czuwam“. Jest to bolesna sytuacya dyssymulacyi, posuniętej do najwyższego stopnia; bohater, który żyje dla swojej zemsty tylko, tak się z nią chytrze ukrywa, że przyjmuje na siebie pozór nietylko bezczynności, nietylko dobrych stosunków z nieprzyjacielem, ale ostatniej podłości. Sytuacye podobne trafiają się w poezyi: Fiesco ściska rękę Doryi, zaprasza go na uczty, zdaje się cały zatopiony w rozpuście, żeby uśpić nieprzyjaciela, *Wallenrod* udaje krzyżaka przez całe lata, ale żadna nie jest tak straszna jak ta. Fiesco poświęca tylko pozory, i to na krótko, *Wallenrod* tylko szczęście; *Irydion* coś więcej. *Irydion* poświęca rzeczywistość czci, i to nie swojej tylko, ale cześć droższą od własnej, cześć kobiety, siostry, czystej, niepokalanej, jak pogańska Diana, jak chrześciańska święta: otoczonej taką aureolą godności i czystości, że żadna myśl ziemska nie śmiałaby do niej się podnieść, że żadne spojrzenie pożądliwe nie śmiałoby zatrzymać się na jej czole. I tę trzeba oddać Heliogabalowi dlatego, że żąda jej jego kaprys dziecka tyrana: za samą myśl taką, za samo przypuszczenie możliwości, człowiek zabija, to jego pierwszy popęd. *Irydion* nie zabija ani Cezara, ani siostry, ani siebie, oddaje ją: oddaje człowiekowi, którym gardzi, bo na niej

opiera się rachuba jego zemsty, przez nią opanuje on Cezara, przez Cezara zgubi Rzym. Niech ludzie myślą i mówią co chcą, niech stawiają jej posągi między Messaliną a Poppaeą i niech na nie potem plują, o nim niech mówią, że ją sprzedał, on jest przygotowany; zemsta, która się zbiera od wieków, nabrała takiej mocy, że nawet to poświęcenie wytrzyma. Poświęcenie zapewne, heroizm straszliwy. Stary Virginiusz, kiedy własną córkę zabijał, robił rzecz przyjemną w porównaniu; coby człowiek nadto jeszcze poświęcić mógł? podobno nic. Otóż ta miłość ojczyzny namiętna i nieubłagana, ta wściekła żądza zemsty, poświęci i to nawet; owszem w poświęceniu tem Grek pogański idzie dalej, niżby mógł pójść człowiek ery chrześciańskiej. Ten pomyślałby, że są rzeczy, których poświęcać nie ma prawa, że niektóre heroizmy są „człowiekowi grzechem". Takie poświęcenie było możliwem tylko w czasie, kiedy kobieta była rzeczą w ręku ojca rodziny, męża ojca czy brata, i kiedy człowiek nie wiedział tego, że może być odpowiedzialnym za duszę drugiej ludzkiej istoty. Byli i są może tacy, którzy robią to samo co *Irydion*, ale robią przez podłość; przez szlachetność, przez heroizm w naszych wiekach nikt tego zrobić nie może. Można sobie wyobrazić taką Elsinoe, którаby pod wpływem jakiejś złudnej exaltacyi sama poświęciła się na taką ofiarę, ale musiałaby to zrobić dobrowolnie; jej poświęcić niktby nie śmiał, niktby sobie nie przyznał prawa ani władzy.

Kiedy się scena otwiera, rzecz jest już rozstrzygnięta, postanowiona, nieodwołalna: poświęcenie w duchu dokonane. Doznaje się jakiegoś uczucia wdzięczności dla poety, że tak jest, że nam oszczędził widoku tego wszystkiego, co tę ofiarę poprzedziło. Wyobrazić sobie walkę wewnętrzną *Irydiona*, kiedy się dowiedział o żądzy Heliogabala, i kiedy musiał postanowić, że jej dogodzi, bo tego wymaga jego missya: wyobrazić sobie taką scenę, w którejby on siostrze miał pierwszy raz powiedzieć na co ją skazał? pomijając już to, że są okropności tak okropne, że żadna sztuka poety nie może liczyć na pewno, iż im wydołać potrafi, zważać jeszcze trzeba i to, że są sytuacye tak bolesne, tak naprężone, tak

straszne, że tego nadmiaru patetyczności, jaki w nich jest nie możnaby znieść bez wstrętu, tak jak się nie znosi widoku męczarni fizycznych. Wprawdzie nieraz poeci z upodobaniem traktują takie właśnie sytuacye i wyczerpują sumiennie ich okropność do samego dna. Słowacki tak napręża sytyacyę Wojewodziny i Zbigniewa w Mazeppie, albo sytuacyę nieszczęśliwej Beatrix Ceuci; Wiktor Hugo prawie nigdy nie postępuje inaczej, w tem mieści tragiczność rzeczy i gieniusz poety. Ale Krasiński ma więcej miary, i ufa sobie, że potrafi oddać wszystko, co jest tragicznego i bolesnego w sytuacyi, którą przedstawia, choć uniknie tego, coby było nie do zniesienia. Wszystkie rzeczy poprzednie, wszystkie przygotowania już się odbyły; i *Irydion* i Elsinoe już ofiarę zrobili, poddali się losowi; rozdarcia walki oszczędza im poeta. Ale nie oszczędza boleści wykonania ofiary, rozstania. Wyprowadza ich w tej przedostatniej chwili, kiedy nieszczęście jeszcze się nie spełniło, a spełnić się musi. „Słychać, że dziś „w nocy porwać ją mają murzyny Heliogabala", mówi niewolnik, myśląc, że pan jego śpi i nie słyszy; a te słowa wprowadzają nas *in medias res*, i przejmują dreszczem; czuje się, że tu zajdzie coś okropnego. „O takiej godzinie, mówi „*Irydion*, musiał Brutus zabijać synów: ale dawniej dla zbawienia narodów dość było życia; dziś inne czasy, dziś cześć „poświęcić trzeba". A jest w nim tyle dobrej wiary, tyle przekonania, że robi, co powinien; to poświęcenie choć pojęte fałszywie, jest tak zupełne, i tak dla niego ciężkie, że okupuje okropność jego czynu, że jedynem uczuciem, jakie on budzi, jest pożałowanie, współczucie i uszanowanie. Jeszcze więcej wzbudza je Elsinoe. Przypominają się tu wszystkie bohaterki poezyi prowadzone na śmierć, od Antigony, aż do Maryi Stuart Schillera; przypomina się to wrażenie, jakiego się doznaje, patrząc na nie, wrażenie podziwienia i współczucia dla nich, oburzenia na ich los; rozumie się tak dobrze, czuje się tak żywo to, co one czuć muszą, kiedy sobie mówią, że to ostatnia chwila, jeszcze godzina, jeszcze pół godziny, a wszystko się skończy. Tu jest gorzej: ta ofiara idzie na coś gorszego jak śmierć; ta sobie mówi, że jeszcze

godzina, jeszcze pół godziny, a przestanie należeć do siebie, stanie się własnością i igraszką stworzenia, którem gardzi; przed nią jest nie śmierć, ale życie ciągłego obrzydzenia, i życie wstydu! Zdanie bardzo poważne, zdanie Klaczki, przyznaje Krasińskiemu szczególny dar tworzenia postaci niewieścich; czy ono jest zupełnie uzasadnionem? Naprzód, tych postaci niewieścich jest u Krasińskiego niezmiernie mało, szkic Hrabiny w *Nieboskiej Komedyi*, i dwie kobiety w *Irydionie*, to wszystko. Zapewne; nie chodzi o ilość ale o jakość; poeta, któryby stworzył jedną Gretchen, jedną Desdemonę, jedną Antigonę, nie potrzebowałby więcej, żeby być uznanym mistrzem pod tym względem. Ale żadna podobno z kobiet Krasińskiego taką nie jest. Hrabina, to figura zbyt epizodyczna i zaledwo naszkicowana. Zostaje więc tylko Kornelia i Elsinoe; a te obiedwie są tak poetyczne, tak idealne, tak powiewne, przeźroczyste i mdlejące, że aż prawie za nadto. To nie kobiety, to duchy, wcielone idee; jedna wygląda jak wcielone nieszczęście i poświęcenie, druga jak wcielona exaltacya. One są w poezyi podobne do kobiet z obrazów Ary Scheffera w malarstwie, pięknych, idealnych, szlachetnych i cierpiących, ze łzawemi oczyma, z głową pochyloną od smutku, ale to piękność tak doskonała i tak poetyczna, że aż wydaje się cokolwiek przesadzoną, cokolwiek wyszukaną. Przecież z dwóch, Elsinoe podobno jest piękniejsza. Naprzód samo jej położenie zdobywa więcej współczucia, aniżeli gwałtowna a nie zbyt zrozumiała exaltacya Kornelii; powtóre ta natura cicha, czuła do najwyższego stopnia, a tak odważna, tak spokojna i silna, jest sympatyczniejsza od extatycznej natury Kornelii, która żyje w samych jakichś nadnaturalnych czy nienaturalnych zachwytach i podrzutach. Ta jest więcej kobietą, a zwłaszcza jest kobietą większego uroku, jest pomimo poetyczności i idealności cokolwiek przesadzonej i wyszukanej, jedyną w poezyi Krasińskiego kobietą prawdziwą i jedyną prawdziwie piękną, prawdziwie sympatyczną. Kilka razy w rozbiorach *Irydiona* mówiąc o Elsinoe, wspomniano imię innej, idealnie szlachetnej i pięknej ofiary, Antigony, najbardziej może rozrzewniającej ze wszystkich bohaterek tragicznych: i rzecz dziwna, to po-

równanie nikogo nie oburza ani nie dziwi; znać że Elsinoe znieść je może. Nieszczęśliwsza od Antigony, a tak jak ona szlachetna, ma jak ona powagę swojej dziewiczej godności i powagę klasycznej statuy, a jak tamta, także ma rozdzierające słowa skargi i żalu. To nie jest twarda heroina zahartowana na wszystko, to nie stoik w kobiecem ubraniu; to młoda dziewczyna, która zrobi z siebie ofiarę kiedy tak być musi, ale która żałuje siebie, swego szczęścia, swojej młodości, swoich marzeń, swojej czci; która sobie mówi, że mogła być szczęśliwą i szanowaną jak wszystkie; która z płaczem wyrzeka się swego Alexandra Sewera, jak Antigona z płaczem myśli o Haimonie, kiedy się skarży że idzie do grobu nie poślubiona; tylko tej jest gorzej, bo tę nie Acheron woła do siebie ale Heliogabal. Ona jest bardzo odważna, bardzo spokojna, łagodna i cierpliwa, przygotowana na tę straszną ofiarę. Ale w chwili kiedy ją ma spełnić, opadają ją wszystkie wspomnienia przeszłości i wszystkie zgrozy przyszłości, i łączą się w rozdzierającą skargę, w prośbę, żeby od niej odsunięty był ten kielich goryczy. Jak ona się prosi, żeby tylko trochę później! ona zrobi co potrzeba, jutro, pojutrze, tylko nie dziś jeszcze; — jak przypomina bratu dziecinne lata, jak mu rozdziera serce uwagą: „teraz na twojej piersi, a za chwil kilka na czyjej“... *Irydion* chce być od niej silniejszym: „nie kuś mnie do litości“ mówi; „dawniej „dość było życia, dziś cześć poświęcić trzeba, nie bluźń myślom ojca“. Ale choć się hartuje i zbroi w stałość jak może, ból jest silniejszy od niego. Kiedy po raz setny, tysiączny może, a ostatni, w chwili stanowczej, stanęła w jego głowie myśl że „ostatni raz przyciska ją do serca w świętym domu „rodzinnym; że taką, jaką ją żegna, już jej nie ujrzy nigdy — „nigdy już... że Cezar splami ją swojem tchnieniem zatru„tem“, on wtedy słabnie, w głowie mu się zawraca, „filary „drżą na swoich podstawach, plamy jakieś czarne biegają „między niemi“ zda się, że zmięknie, że zabraknie mu siły a raczej okrucieństwa, że się zmiłuje nad siostrą, wysłucha jej próśb, i pchnie ją sztyletem. Ale czuwa nad nim wyższa potęga, która nad nim góruje i panuje: „Kto się waha, ten

„się urodził do słów nie do czynów“ odzywa się z za filarów głos Massynissy, a niebawem staje on sam w swojej niezachwianej powadze i w swojej przygniatającej sile, zrzuca żałobny wieniec cyprysowy z głowy nieszczęśliwej ofiary, każe jej włożyć wieniec z kwiatów, jak przystało na szczęśliwą oblubienicę Cezara, po którą już przyszli jego wysłańcy. I wtedy zaczyna się ta scena przeciwieństw straszniejszych od najśmielszych przeciwieństw Szekspira; rubaszne śmiechy oswojonych ze śmiercią grabarzy w piątym akcie Hamleta, wesoła muzyka grajków wchodzących do domu Capuleta, w chwili, kiedy rodzice zastają Julię niby umarłą, wszystko to nie tak przykre, nie tak okropne, jak ten chór weselny służebnic czy swatek, które śpiewają nad siostrą *Irydiona* jakiś tryumfalny hymn miłości i szczęścia, które ją witają powinszowaniem i zazdrością, jak żeby szła w dom męża, w dom czci i szczęścia, kiedy ją stroją w purpurę i kwiaty: jest coś strasznego, coś obrzydliwego w tych hołdach i hymnach składanych tej, która będzie miała honor zaspokoić zachcenie Imperatora — a jakiemże dopiero echem fałszywem hołdy te i powinszowania odbijać się muszą w sercu tej, która je odbiera, a wie, że idzie na hańbę! w sercu brata, który ją do tego zmusza! jaki wstręt i jakie obrzydzenie budzi ten praefekt praetorium, nadworny błazen Eutychian, kiedy wylicza tytuły swego pana i jego dary, konchy purpurowe i kubki ametystowe. Nigdy straszniejsza sytuacya nie była traktowaną w poezyi; i nigdy może sztuka nie wymagała większego wysilenia, jak to, żeby *Irydion* i Elsinoe w takiem położeniu, w takiej hańbie, pozostali wielkiemi i godnemi. A są niemi: wśród ostatniego spodlenia, w ostatniej infamii, otoczeni są taką godnością, że się na nich patrzy ze czcią, jak na jakieś istoty wyższe od ludzi, jak na jakieś bóstwa. „Duch twój“ mówi *Irydion* w tej ostatniej nauce, która jest jakoby ostatnią wolą „niech czystym i wol„nym zostanie. Otocz Cezara szałem i wyssij całe życie z serca „jego; tyś przeznaczona niesławie i zagubie, ale on zginie z ca„łem państwem swojem“. Elsinoe powtarza parę razy prosty wykrzyk, niestety, wykrzyk tak często powtarzany przez tra-

gików greckich i tak wymowny w ustach Kassandry albo Antigony, potem w słowach, które istotnie przypominają ostatnie słowa Antigony, żegna progi domowe, wieniec swój nieskażony, siebie samą: ale natychmiast nabiera odwagi, płacz i słabość zostawia także w domu rodzinnym: bogowie! dajcie mi natchnienie, a Roma zaufa „mojej miłości, Roma zaśnie na mojem łonie“. Poświęcona na narzędzie zemsty, nauczona, żeby je spelniała „zdradą niewiasty“, wychodzi pewnym krokiem, z podniesioną głową, i za siebie, na przeszłość swoją, już się nie obejrzy.

Cóż to jest ten nieubłagany starzec z pustyń Libijskich, ten niegdyś przyjaciel Amfilocha i pan samowładny jego dzieci, na którego widok ustępuje wahanie *Irydiona*, i skarga Elsinoi nie śmie się odezwać? co to za potęga wyższa i nadludzka? Któż może powiedzieć o sobie to, co on mówi, że „świadczy Bogu, jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wro„gowi“? Oczywiście jeden tylko, Szatan. Co on tu robi? dlaczego on właśnie przy *Irydionie?* co może być wspólnego pomiędzy nim a miłością ojczyzny, jaka jest w tamtym? Dlaczego wreszcie tak mało w nim szatańskiego, że gdyby nie przytoczone słowa, i gdyby nie jego tryumf w katakombach, pośród chrześcian zwaśnionych między sobą, gotowibyśmy go wziąć za człowieka silniejszego tylko i stateczniejszego niż *Irydion*; gotowibyśmy zrozumieć, może podzielić jego uczucia; bo nienawiść Rzymu, którym jest motłoch i Cezar tylko, bo zemsta za Grecyę, wydaje się uczuciem tak naturalnem, że aż prawie koniecznem i usprawiedliwionem. A on przeczy tak mało, tak mało przeklina i psuje, że nam, przyzwyczajonym do innego, wyraźniejszego typu szatana w poezyi, wydaje się prawie za mało, zaledwo godnym swojego urzędu i swojego powołania „nieśmiertelnej nienawiści i zemsty“. Czy to słabość? czy Krasiński nie umiał stworzyć szatańskiej natury i skreślić jej tak potężnemi rysami, jak Milton lub Göthe? Odpowiedź na te pytania, wytłómaczenie tej zagadki, znajdziemy w „Bezimiennym Poecie“ Klaczki: „Mistrz „i doradzca *Irydiona* nie jest prostym Wajdelotą (jak Halban „z *Wallenroda*), „to sam duch złego, to szatan w swojej oso-

„bie, ale szatan ściągnięty misternie do kształtów i rozmia-„rów klasycznych; taki jakiego mogłaby była wystawić so-„bie mytologia, zawsze, nawet w kreacyach swoich najbar-„dziej ponurych, rozmiłowana w piękności, w spokoju i w po-„godzie. Massynissa nie ma ani gorżkiej i rozpaczliwej ironii „Mefistofelesa, ani wściekłości bez granic upadłego Anioła „z „Raju“ Miltona; to starzec poważny i majestatyczny. Nie „trzeba w nim szukać wiecznej i powszechnej negacyi, jaką „Göthe dał swojemu duchowi złego: jego nienawiść jest ści-„śle określona, i żeby się tak wyrazić, zupełnie plastyczna. „Chrześciaństwo go razi tem samem, czem razić musiało „każdy umysł prawdziwie starożytny: pozornym brakiem „męzkiej energii i wdzięcznych form. Nauka o poddaniu się „i rezygnacyi, którą powtarzają bez ustanku wyznawcy „krzyża, jemu wydaje się niegodną umysłu męzkiego, czło-„wieka wolnego. Nazywa ją nikczemnością, a wszystko w niej, „aż do jednego z wielkich dobrodziejstw ewangielii, aż do „podniesienia kobiety, oburza go do żywego. „Oni ubóstwili „córę dzieciństwa i wczesnej starości, z łupów cielesnych roz-„koszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża „schylili czoła“. Tak, niezdolny natchnąć człowieka do wiel-„kich czynów, ideał chrześciański wydaje mu się przede-„wszystkiem: *brzydkim.* „Oni się kochają w tem ciele roz-„krzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyli pię-„knemi gasnącemi w zwycięztwie miłości. Nie widzieli ich, „kiedy konały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zma-„zane krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów“. To roz-„koszny i piękny materyalizm starego świata, protestujący „przeciw spirytualizmowi świata naszego, który ducha wynosi „z uszczerbkiem dla formy“.

Nic słuszniejszego i nic bystrzejszego, jak to odkry-cie pierwiastku klasycznego, posągowego, w Massynissie; jak to wykazanie, że poeta wprowadzając szatana w po-jęciu chrześciańskiem w świat starożytny, chciał go do tego świata zastósować i dać mu taką postawę, takie kształty, takie zachowanie i mowę, któreby z tym światem były w harmonii. Niezawodnie to jest powód, dla którego on

się nie rzuca i nie miota tak namiętnie, tak wściekle jak Szatan Miltona; dlaczego nie urąga, nie szydzi jak Mefisto, dla tego jest tak poważny i tak posągowo spokojny. Niezawodnie i pomysł to oryginalny i trudność niesłychana, zrobić dyabła chrześciańskiego klasycznym! i tryumf niemały dla poety, który te sprzeczności w jednej postaci tak doskonale połączył i pogodził. Tryumf i dla krytyka, który pierwszy tę postać tak ocenił i wytłómaczył. Ale oprócz tego, jest jeden jeszcze pierwiastek w tym szatanie, który stanowi odmianę od zwykłego typu ducha złości i szyderstwa.

We wszystkich kreacyach tego rodzaju, nienawiść Boga, która jest duszą szatana i sprężyną jego czynności, za swój cel bliższy, za ten, przez który chce się mścić na Bogu, ma duszę człowieka, individuum ludzkie; to jest warsztat, na którym on snuje i tka swoje zdrady. Zemścić się na Bogu przez to, że się człowieka doprowadzi do buntu, do grzechu, do zguby. Taki jest charakter i taki zakres działania Mefistofelesa, Szatana w Miltonie, Lucyfera w Kainie Byrona; i dawniej nawet, w pierwszej postaci szatana, jaką fantazya ludzka poczęła, w Jobie. Szatan Krasińskiego, z tym samym pierwiastkiem działania, z nienawiścią Boga, z tym samym celem pośrednim, którym jest zemsta nad Bogiem, jest od tamtych odmienny; jego cel uboczny i jego sposób działania jest inny. On się nie zabawia indywidualną duszą jednego człowieka; o to chodzi mu najmniej czy *Irydion* będzie zbawiony lub potępiony, o tem on ani razu nawet nie mówi. Jego zadaniem jest, psuć myśl bożą w ludzkości, krzyżować jej zamiary w historyi. Poezya Krasińskiego, której przedmiotem jest nie człowiek, ale ludzkie społeczeństwo, której charakter jest nie psychologiczny, ale polityczny i tendencyjny, której postacie nie są indywiduami ale symbolami, wcielonemi ideami i prądami historycznemi, znalazła i ten rodzaj szatana odpowiedni swojemu rodzajowi ludzi i do niego zastósowany. Massynissa, to szatan polityczny, szatan w historyi, czyhający nie na to, żeby podejść i zgubić tego lub owego człowieka jednego, ale żeby wszelki kierunek dobry i zdrowy jaki zabłyśnie w zbiorowem życiu ludzi, zwichnąć i na złe obrócić;

żeby każdy dobry popęd, każde dobre uczucie podciąć w samym korzeniu, a przynajmniej podlać je jadem, tak, żeby się nim przejęło i zepsuło; żeby z każdej myśli lub zasady dobrej wyprowadzić konsekwencye fałszywe i zgubne; żeby stopniowemu doskonaleniu się i uszczęśliwieniu ludzkości stawiać na drodze zawady takie, iżby ono nietylko ich przebyć nie mogło, ale żeby się cofało w tył, niżej i dalej punktu, z którego wyszło. Ten pierwiastek zły, który dobremu staje nawspak, który w historyi widoczny jest na każdym kroku, który nazywamy nieszczęściem, fatalnością, jak bądź, ten wyobraża sobie Krasiński jako szatana w historyi, to jest Massynissa. To nieszczęście, to jakieś zaklęcie naprzykład, które z potrzebnej i pożądanej reformy w kościele rozwinęło walkę w jego łonie i zrobiło reformacyę, a za nią wiek przeszło wojen, zakończony tym traktatem westfalskim, który znowu na wieki skrzywił i powstrzymał normalny rozwój społeczeństw europejskich, ich spokój, cywilizacyę, i szczęście, to jego szatan w historyi, to Massynissa. Ta fatalność, która z dążenia do wolności w paru latach zrobiła terroryzm, z roku 89-go rok 1793-ci, to szatan historyczny; — ten zły duch, który ze złamania feudalizmu i emancypacyi miast w wieku XV wyprowadził fundamenta późniejszego despotyzmu; ten zły duch, który prowadził rękę mordercy Henryka IV-go, i zniósł uczciwą władzę na korzyść absolutyzmu Ludwika XIV-go, a rozwiał piękny ideał międzynarodowych stosunków, jakim była Rzeczpospolita Chrześciańska tamtego, na korzyść Traktatu westfalskiego, Państwa i polityki w ich późniejszem pojęciu i kształcie, — który idealnie piękną zasadę wolności w Polsce tak zaraził, że aż wydała *Liberum Veto,* — ta wieczna zawada na drodze dobrych dążności, ta wieczna ironia, która z premissów i zasad mądrych i sprawiedliwych wyprowadza konsekwencye niedorzeczne i zgubne, to szatan Krasińskiego, szatan w historyi! szatan zawzięty nie na duszę ludzką, ale na ludzkość i myśl bożą w niej, to Massynissa. Takim ukazuje on się, kiedy mu się udało zatruć i zepsuć to, co miało być życiem i duszą świata na całą jego długą przyszłość, co miało doprowadzić świat do urzeczy-

wistnienia ideału sprawiedliwości, zgody i szczęścia, kiedy chrześciaństwo zaledwo narodzone, rozdwoił, rozdzielił, zwaśnił i rzucił w nie ziarno nienawiści i niezgody. To jego tryumf! to kamień węgielny jego dzieła, na którym oprze się później cała dalsza budowa, cały ciąg dalszy i wszystkie częściowe jego zdrady i roboty. Massynissa w katakombach pośród płomieni, ukazujący się na miejscu pierwszej walki między chrześcianami i rzucający Bogu to wyzwanie tak kolosalnie dumne i śmiałe, tak pełne rozkoszy i tryumfu nienawiści, to jeden z największych tryumfów w poezyi. Raz tylko, ten jeden raz odzywa on się w ten sposób w poemacie, ale ten jeden raz wystarcza na to, żeby on był przedstawiony i pojęty jako ten zły duch, który ludzkości nie dopuszcza do wolności, pokoju, sprawiedliwości i cywilizacyi, jako szatan w historyi [1]).

Ale cóż on robić może przy *Irydionie?* co może być wspólnego pomiędzy nim a uczuciem dobrem i świętem, jak miłość ojczyzny? Pomiędzy nim a dążeniem do jej niepodległości? Przecież w takiem dążeniu nic złego, nic nieprawego niema? Tak, ale niema nic złego, nic nieprawego w dążeniu do wolności także; ona także jest zasadą dobrą i świętą, a przecież szatan historyczny przyczepił się do niej i zrobił z niej terroryzm. To jego zadanie właśnie, to jego rozkosz i jego tryumf, żeby uczucie najlepsze i najpiękniejsze psuć: żeby z zarodów dobrego, jakie tkwią w jakiejś zasadzie i dążności i z których rozwinąć się mogła przyszłość szczęśliwa wyprowadzić, wypielęgnować, wychodować złe. Massynissa czepia się Irydiona, czepiał się jego ojca Amfilocha, opanował jednego i drugiego swoją potęgą, na to właśnie, żeby w tę rzecz dobrą i świętą, w miłość ojczyzny i w patryotyczny ból, wszczepić pierwiastek zły. Massynissa wie, że ten pierwiastek raz wszczepiony doprowadzi tych ludzi

[1]) „Szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity: mający jednak chwile zwycięztwa swoje piekielne, zbrodnicze“. (Krasiński, List do Gaszyńskiego XXIX, 6 czerwca 1837). Ustęp o Massynissie pisany był w r. 1871, zatem przed ogłoszeniem *Listów Krasińskiego*. *P. A.*

do czynów złych, i znając niewzruszone prawa sprawiedliwości boskiej, wié, że im więcej takich czynów złych, tem dalej odsuwa się spełnienie celu dobrego; że złe uczucie lub występny czyn Amfilocha lub Irydiona pociąga za sobą karę, a tą karą jest dalsza niewola i podległość Grecyi. O to mu chodzi; on krąży koło miłości ojczyzny jak lew ryczący, szukając jakby ją skaził, jakby ją zepsuł, jakby ją skusił do złego, bo obiecuje sobie, że jak mu się to uda, to zmiłowaniu bożemu położy się przeszkoda, której sprawiedliwość przebyć nie dozwoli, a skutkiem będzie dla ludzi cierpienie, dla świata bezrząd, walka, panowanie nieprawości. Gdzież jest w miłości ojczyzny ta strona, w którą jemu najłatwiej jest ugodzić, którą mu najdogodniej wyzyskać? Oczywiście, to uczucie najbliższe miłości ojczyzny, tak z nią związane, tak podobne do wrodzonego i koniecznego oburzenia prostego sumienia na gwałt, że jest niemal nieoddzielnem od tamtego i częstokroć od uczucia dobrego rozróżnić się nie daje — to jest nienawiść ciemięzcy. Gdyby miłość ojczyzny była od takiej nienawiści wolną, gdyby nie przestając być sobą zdołała wznieść się do przebaczenia nieprzyjacielowi, byłaby zupełnie świętą, świętą na wzór Chrystusa, proszącego z krzyża o przebaczenie dla zabójców. I taka rozbroiłaby sprawiedliwość, sprowadziłaby miłosierdzie Boga. Ale jeżeli nienawiść, uczucie złe, zagnieździ się w tej miłości, w tem uczuciu dobrem, jeżeli złudzi człowieka lub naród, a to jej łatwo, bo może skryć się pod pozory piękne i szlachetne, jeżeli biorąc górę nad miłością ojczyzny, ukaże im jako cel najbliższy zemstę, jeżeli wmówi w nich, że „względem nieprzyjaciela, względem ciemięzcy, wszystko jest godziwe i pozwolone“, jeżeli tak ducha narodu zatruje, że on uwierzy, iż „zbrodnia nie jest zbrodnią, złe nie jest złem, brud nie jest brudem, kiedy wiedzie do dobrego celu“ i jeżeli, trzymając się tej zasady, ludzie i narody dadzą się skusić do czynów moralnie złych, wtedy sprawiedliwość boska będzie zmuszoną karać ich za ich środki złe, w ich dobrym celu. Wtedy to, co miało być uspokojeniem, uszczęśliwieniem i podniesieniem świata, usunie się coraz dalej w głąb, w przyszłość jakąś

odległą i niedojrzaną wzrokiem. Jest to już pojęcie to samo, jakie znajdziemy w późniejszych pismach Krasińskiego, to samo, którego najprostszym i najjaśniejszym wyrazem jest Psalm Dobrej Woli; jest to już to samo pojęcie ojczyzny jako ideału dobrego i świętego, który tylko przez dobry czyn dopiąć się daje. Irydiona, jak dawniej Amfilocha, skusił Massynissa do nienawiści i zemsty; ich miłość ojczyzny ogromna, bez granic, bohaterska, zdolna do poświęceń ostatecznych i okropnych nie doszła do celu, nie zbawiła Grecyi, bo była pogańską, bo miała w sobie ten pierwiastek zły nienawiści i zemsty, bo sądziła, że wszystko jest jej pozwolonem, bo jako pogańska, mogła w dobrej wierze nawet mniemać, że cel uświęca środki. Ale dziś, mamy inne pojęcie prawa moralnego, i nasza miłość ojczyzny powinna mu podlegać; my nie możemy wymawiać się, jak Grek poganin, że nie wiemy, co czynimy. Ale przystósowanie? Czy może być przystósowanie do Polski? Czy jakiś szatan historyczny, jakiś Massynissa, uwziął się, żeby zepsuć i zatruć naszą miłość ojczyzny i przez nią doprowadzić nas do czynów złych? Czy ona nie jest w nas czystą i świętą i prawą? Otóż w tem właśnie jego sztuka, że nam we własnem sumieniu jasno widzieć nie daje, że nas łudzi pozorami. We wszystkiem, co czynimy, tkwi na dnie miłość ojczyzny, jako motor naszych czynów, to pewna; a tymczasem z tego dobrego szatan historyczny umié wyprowadzić złe. Jak Massynissa w katakombach do Chrystusa, tak on mówi z urąganiem do naszej miłości ojczyzny, do naszej narodowej myśli „w imie twoje będą się nienawidzieć, przeklinać i mordować“, i w imie twoje będą tak postępować, żeby królestwo swoje nigdy przyjąć nie mogło! Jak w imie Chrystusa powstawały wojny, i bitwy, i stosy, reformacya i wojna trzydziestoletnia, tak my w imie miłości ojczyzny i dla niej wojujemy ze sobą nienawiścią, zazdrością, potwarzą, nieraz gotowiśmy wojować i bronią, a szatan się z nas śmieje, bo nietylko, żeśmy dalecy od chrześciańskiego ideału miłości ojczyzny, jakiego żąda Krasiński, nietylko sądzimy, że względem nieprzyjaciela wszystko jest godziwe i pozwolone, ale i w praktyce, na polu rzeczywistych wy-

padków, przez tę zawiść i zazdrość między sobą, przez ten pierwiastek zły, wszczepiony w naszą miłość ojczyzny, sami coraz dalej swój cel odsuwamy. Z miłością ojczyzny, z myślą jej niepodległości, zaczynamy coś robić, a dochodzimy do rzezi 1846 r., bośmy zaczęli w nienawiści; z miłością ojczyny i myślą o jej niepodległości zaczynamy coś robić, a dochodzimy do klęsk 1863 r., bośmy zaczynali w zazdrości i współubieganiu się w samolubstwie partyjnem. Jest w nas zły pierwiastek wszczepiony w dobre uczucie i wydający złe skutki z dobrych początków; jest ironia, jest szatan historyczny, jest Massynissa w naszej historyi porozbiorowej: — i jest wielkie, głębokie, straszne przystósowanie tej allegorycznej postaci do nas, do naszych spraw, i do naszej sprawy.

Ofiara więc spełniona: Greków, Azyatów, Barbarzyńców, Rzymian, dawnych patrycyuszów a dzisiejszych gladyatorów, ma już Irydion za sobą; teraz rozpoczęła się najważniejsza część dzieła, pozyskanie Cezara, wciągnięcie jego do spisku na zgubę Rzymu. Elsinoe wié na co jest poświęcona, wié co ma robić. Oto jak weszła do pałacu Cezara; „Stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, uszanowania nam nie złożyła. Zrazu miała schyloną głowę, ale „wnet podniosła kibić i czoło, spojrzała ognistemi oczyma „gdyby Pani nas wszystkich. Cezar zawołał ją bliżej, ani „postąpić, ani odpowiedzieć raczyła. Eutychian głosi, że ona „dotąd nie uległa jemu". Heliogabal miotany żądzą, zdziwiony, że ktoś go śmié nie słuchać i nie drży przed nim, upokorzony wzgardą, jaką mu ta kobieta okazuje, a ulegający jej wyższości, żyje w nieustannych paroksyzmach wściekłości, rozkazywania i strachu; a Elsinoe, nauczona od dzieciństwa ścigać nieprzyjaciela „zdradą niewiasty", korzysta ze wszystkiego, żeby tę słabą duszę rozstroić żądzą niezaspokojoną, dręczyć pogardą, nużyć strachem, aż wreszcie rozprzężoną zupełnie, opanować i bezwładną oddać bratu, jako narzędzie potrzebne do zniszczenia Rzymu. Kiedy Cezar chwali się przed nią, że jest piękny jak bożek, ona gardzi zniewieściałym, mdłym dzieciuchem; kiedy obrażony grozi jej, że ją zabić każe, urąga jego słabym rękom, które miecza nie udźwigną;

kiedy się tarza u jej stóp i składa wszystkie korony i skarby świata, ona odwraca się znudzona; a kiedy próbuje ją olśnić swoją potęgą„ on, pan świata, Cezar, August, pan Rzymu, Afryki, Indyj, ona się śmieje z tej potęgi, na łasce pierwszego lepszego centuriona, któremu się spodoba poderżnąć gardło Cezarowi. A kiedy doprowadzony do wściekłości, do szaleństwa przez żądzę i strach, widzi naokoło siebie same sztylety i kubki trucizny, kiedy się trzęsie i zimnym potem oblewa na myśl śmierci, ona wtedy idzie zapytać swoich wyroczni, Boga matki swojej, czy jest dla niego ratunek, i wraca z odpowiedzią, że Cezara „wyrwie z losu syn kapłanki i Amfilocha Greka. Heliogabal, podejrzliwy z natury, z urzędu i ze strachu, Heliogabal wierzy odrazu. Mogłoby to zdawać się dziwnem, ale jest trafnem. Naprzód on jest tak zmęczony ciągłym strachem, że potrzebuje komuś zaufać, żeby odetchnąć, wypocząć; i ta potrzeba przemaga jego podejrzliwość. Powtóre, ta natura, w której pozostał tylko jeden „błędny ognik“ zmysłowości, ulega mimowoli kobiecie, która ten ognik podżega: nikt inny nie skłoniłby go do położenia ufności w Irydionie, Elsinoe może, bo ona panuje nad jego zmysłami; w jej ręku jest ten błędny ognik, a Cezar pójdzie za nim tam, gdzie ona zechce.

Wreszcie staje Irydion u celu: przez najsroższe z poświęceń, przez hańbę siostry doszedł do niego, ale doszedł. Jest w pałacu Cezarów, wezwany przez Heliogabala, który w jego ręce chce złożyć bezpieczeństwo swojej osoby; Grek za to odpowiadać nie może, dopóki losy państwa nie będą w jego ręku. Zaczyna się ta rozmowa, w której jeden czynnik zniszczenia Rzymu wciąga drugi do spisku przeciw niemu... Czyż w odwiecznej walce między „człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?“ Czy zawsze Imperator ma być na łasce legii, pretorianów, kwirytów i ludu, drżyć przed nimi i czuć ich nóż na gardle? nie; tak długo tylko, dopóki jest Rzym i Imperator w Rzymie; niech go zniszczy, niech się przeniesie ze stolicy do Azyi, a lękać się już nie będzie ni miasta, ni senatu, ni ludu, będzie panował światu spokojnie i swobodnie. Heliogabal zrazu nie może pojąć ani

uwierzyć: „geniusz miasta zwyciężył wszystkich, jażbym „miał targnąć się na niego?“ Któryż żołnierz usłucha, kto się odważy podnieść rękę na miasto? Ale kiedy Irydion wskazuje środki, kiedy przypomina, że Katylinie ani Neronowi „nie brakło na pożarnikach“, kiedy tłómaczy, że na senatorów, patrycyuszów i żołnierzy znajdą się gladyatorowie, niewolnicy, barbarzyńcy, wszyscy, którym „Rzym wszystkie „dni życia pokrył śmiertelnemi ciemności, i kiedy zwłaszcza ukazał w oddali pochlebną obietnicę swobodnego i nieograniczonego panowania gdzieś w Azyi, pośród czarnych niewolników i chaldejskich kapłanów, budzi się w tej duszy zwiędłej i osłabłej życzenie, pragnienie, nadzieja czegoś, i Heliogabal dostał się w moc Irydiona. On sam teraz pomoże do dzieła zemsty, sam każe Rzym podpalić. Tylko niech Elsinoe nie traci odwagi, niech nie uważa, że „między „Poppaeą a Messaliną postawiono jej ołtarze, niech zapomni „o swoich tajemnicach dziewiczego łona, o tym Alexyanie, „któremu przepowiedziano, że zrówna Aureliuszowi“ — tylko niech „pogardzonemu szałów przysparza, doniszcza rozum „i życie jego“, a zwycięstwo pewne. „Wygrywam starcze, „wygrywam — mówi Irydion do Massynissy — doczekałem „się upadku przeklętych i dumnych“. Zemsta już w jego ręku, spełni ją przez Cezara. A fatum samo za nim, ono go broni; i jeżeli jaki podły faworyt Cezara, Eutychian lub Rupilius, bojąc się żeby faworów nie stracił, naśle na niego skrytobójcę, on z tego gladiatora zrobi swojego żołnierza, przyszłego podpalacza Rzymu. Co za rozkosz, ostatni ze Scypionów, dziś gladiatorem, ostatni ze Scypionów pomoże do zagłady Rzymu! Scena z gladyatorem Sporusem jest jedna z piękniejszych w poemacie.

A naprzeciw tego Rzymu oficyalnego, tego dworu Cezarów, naprzeciw tych roczników Tacyta i satyr Juwenala w dramacie, i naprzeciw tych nagromadzonych żywiołów zniszczenia, resztki dawnego Rzymu, dawnej cnoty mężów i dawnej godności niewiast, wspomnienia Rzeczypospolitej, wspomnienia tych czasów, kiedy Rzym nie był podłością: ale to wszystko gdzieś na uboczu, zagnane w kąt domo-

wego zacisza, bezsilne, marzące o wpływie na losy świata, ale go nie wywierające. Bez tego obraz Rzymu zupełnymby nie był. Wymagała tego i sprawiedliwość sama i prawda, i wreszcie wzgląd artystyczny; bo w tem przeciwstawieniu bardziej jeszcze rażąco wydaje się ohydna teraźniejszość; a prócz tego, wyobraźnia zmęczona widokiem podłości i sromoty, potrzebuje spocząć na czemś czystem i szlachetnem. Ten Rzym dawny, szanowny, pokazany jest w trzech postaciach: starca, młodzieńca i matrony. Starzec, prawnik Ulpianus, jedna ze szczególnie trafnie pojętych i przedstawionych postaci poematu, historycznie może najwierniejsza, najbardziej zbliżona do klasycznego typu, to wcielenie dawnej *virtutis* rzymskiej, dawnego surowego obyczaju i twardego patryotyzmu, a zarazem dumy patrycyańskiej i tego zmysłu rządzenia, zmysłu organizacyjnego i prawodawczego, w którym polegał geniusz Rzymu. Smutny jest ten Rzymianin; boleje nad spodleniem miasta, pamięta dawną chwałę i dawną cnotę, a ideałem jego byłaby Respublica Fabiuszów i Scypionów. Ale o tej i marzyć już zapóźno. „Za dni Kassyusza już było zapóźno“, mówi ten spadkobierca Kassyusza, ten Tacyt żyjący pod Heliogabalem. On wié, że Rzym jest tak zepsuty, iż mu nie wolność wrócić trzeba, ale cnotę i cześć; żeby zaś wyrwać go z przepaści spodlenia, trzeba władzy skupionej w jednem ręku, nieograniczonej. Tylko ta ręka powinna być rzymską i czystą, prawą, a silną przytem, żelazną. Stary Republikanin musi zgodzić się na Cezara, jak się Tacyt godził na Trajana, bo z czegóż dziś złożyć dawny *Senatus Populusque.* Ale niechże ten Cezar będzie cnotliwym i twardym, jak dawni ludzie Republiki: niech oni będą jego wzorem, niech wié, że „tylko tem, czem wzrosło, odbuduje „się miasto, nieugiętem męztwem i tajemniczemi obrzędami „naddziadów“. Ten Ulpianus ma całą surowość, całą oschłość potrójną, prawdziwego Rzymianina, prawnika, i stoika; i podobnej żąda od tego, którego wychowuje na Cezara, po którym spodziewa się, że powróci Rzymowi cześć i cnotę, młodego Alexandra Sewera. Kiedy mu mówią o Nazarejczykach, o ukrzyżowanym Bogu czczonym w katakombach, on czuje

tylko odrazę i wzgardę, Jowisz kapitoliński, niepokalana Vesta, i Fortuna Virilis, to bogi, które Rzym zbawić mogą jedynie. Nie domyśla się stary Stoik, że te bogi pomarły, że wskrzesić się nie dadzą; że nawet kiedy po zwycięstwie Alexandra wrócą do czci, to na krótko tylko i na pozór. Nie domyśla się, że Rzym jest już tak spróchniały, tak od dawnego różny, że wszystko, co dawne, będzie w nim sztucznem, obcem i nietrwałem.

Kobieta, taka reprezentantka dawnych matron, jak Ulpinus dawnych mężów, jest chrześcianką. Augusta Mammaea, matka Alexandra Sewera, jest sercem i wiarą w katakombach, a syna oswaja z nauką, którą sama przyjęła. Znowu przeciwieństwo i znowu głębokie i prawdziwe. Mężczyzna, Ulpianus, może upierać się przy dawnych bogach, obstawać przy dawnej tradycyi rządu i obyczaju; on od siebie żąda przedewszystkiem cnoty publicznej, a tej, przy swoich wyobrażeniach dochować może. Ale kobieta, kobieta zacna i godna, która przez całe życie została niepokalaną i godną, a której cnota zamyka się w domu, w czci własnej, męża i dzieci, o cóż ona w dzisiejszym Rzymie tę cześć i tę godność oprze? Dawne matrony, Kornelia, matka Gracchów nawet jeszcze Oktawia, miały swoją Junonę, swoich bogów domowych, miały poszanowanie siebie, bo szanowały swoich mężów i Rzym, w którym żyły. Ale dziś? wiary w dawnych bogów, rozkazem przywołać i wskrzesić nie można; przykładem, obyczajem powszechnym nie można się zbudować, owszem, obyczaj ten prześladuje zawzięcie godność, cześć, uczciwość kobiecą tak, że ona prawie się ukrywać musi. Gdzież się więc ona podzieje, gdzie jej podpora, jej stwierdzenie i jej uznanie? ani w świątyniach, ani w domu. Kobieta zacna i szanowna musiała z całego ówczesnego społeczeństwa rzymskiego najłatwiej i naturalnie lgnąć do chrześciaństwa; i Krasiński miał słuszność, że tę dziedziczkę dawnych matron robi już chrześcianką.

Młodzieniec wreszcie, Alexander, ten, na którym spoczęły nadzieje Ulpiana, matki i świata, ten człowiek uczciwy, który ma być Cezarem i Rzym odmłodzić, jest z trojga

najbardziej mdły. Szlachetny, przejęty najlepszemi uczuciami, kształcony w najlepszych zasadach, jest bezsilny, jest mierny. Robi go takim Krasiński właśnie dlatego, żeby pokazać, iż w młodszej generacyi Rzymian, nawet w najlepszych, niema siły odżycia. Irydion go szanuje; „gdyby bogowie chcieli go uszczęśliwić darem przyjaciela, prosiłby ich o niego“; Elsinoe zna jego szlachetność, i ze smutkiem widzi, że są ludzie, którymi można nie gardzić; on jest „tajemnicą jej dziewiczego serca“ — ale w tem dobrem sercu, w tych szlachetnych popędach, w tym umyśle niepoślednim, jest jakaś wrodzona mdłość i mierność, jakaś miękkość, jakaś melancholia, jakaś niezdolność do życia. Jeżeli Cezarem zostanie, on swojej czci i cnoty nie straci, ale Rzymowi wrócić ich nie potrafi.

I na takim spoczęły nadzieje tych, którzy przechowują resztki rzymskiego ducha? Może oni zwyciężą, dojdą do celu; ale samo to dojście do celu będzie zawodem, przekonają się wtedy, że ani on, ani oni Rzymu już nie wskrzeszą. I dla takiego człowieka i dzieła próbują pozyskać Irydiona. Czując, pomimo pozorów, że to natura bohaterska, że w tej „starej „krwi greckiej coś boskiego zostało“, przypuszczają naiwnie, że on powinien trzymać z nimi, najlepszymi w Rzymie. Odgadują w nim wroga dzisiejszego Cezara, ale powodu jego nienawiści szukają za płytko, w hańbie siostry tylko; nie domyślają się, że ta nienawiść ogarnia Rzym cały, a w Rzymie przedewszystkiem, pomimo szacunku i pociągu, ich właśnie, i właśnie dlatego, że są najlepsi: że jeżeli w kim, to w nich jednych Rzym jeszcze odżyć może. W końcu dopiero domyśla się Ulpianus, że w tym człowieku tkwi jakaś tajemnica, i że on od nich wszystkich silniejszy: „z tego wosku nie wiem, czy będzie można ulepić wam stronnika“.

Kiedy się kończy ta pierwsza część poematu, expozycya, przygotowanie do dzieła zemsty, woła Irydion z tryumfem do Massynissy: „wygrywam starcze, wygrywam!“ Wszystko ma w ręku, wszystko wciągnął do swego spisku, Grecya, Azya, Barbarzyńcy, niewolnicy, gladyatorowie, dawni patrycyusze, wszystko to czeka na jego skinienie, a naj-

straszniejszą z ofiar pozyskał najważniejszego ze sprzymierzeńców, Cezara. Ale choć wszystko na Rzym się spiknęło, Massynissa wié, czego się Irydion nie domyśla, że jest jeden żywioł, który pod inną formą wprawdzie, ale może Rzym odrodzić i panowanie jego nad światem przeciągnąć w późne wieki, chrześciaństwo. W katakomby rzucić pochodnię nienawiści i kość niezgody, odwrócić chrześcian od Chrystusa, a obudzić w nich ziemskie uczucia i pragnienia, przez nie rozdwoić, zwaśnić i zepsuć, to cel Massynissy, dla którego cel Irydiona, zbuntowanie ich przeciw Rzymowi, jest tylko środkiem. Jednemu chodzi o sprzymierzeńców do walki, drugiemu o zepsucie dobrych: jednemu o zemstę nad Rzymem, drugiemu o zemstę nad Bogiem. Kiedy nieubłagany starzec każe wychowańcowi swojemu schylić głowę pod wodą chrztu, krzyż zawiesić na piersi, i przyjąć chrześciańskie imię Hieronyma, posyła on go tam nie na to, żeby wyprowadzić z katakomb pewną liczbę żołnierzy przeciw Rzymowi, ale żeby rozprzągł i rozłożył ducha jedności, jaki jest w tem społeczeństwie, żeby je zatruł i zepsuł. Głęboki i straszny jest ten pomysł szatana, który wzywa dobrego, żeby zepsuć to, co dobre: a tych, przeciw którym sam jest słaby, na których pokusa złego działaćby nie mogła, tych kusi pokusą dobrego, miłością spraw najlepszych i najświętszych. Gbyby Symeonowi z Koryntu obiecywać rozkosz, szczęście, dyadem Cezara i wszystko złoto świata, onby na to ani spojrzał; ale obiecać mu tryumf jego wiary, panowanie jego Boga, zniszczenie bałwanów, on wtedy zachwieje się, ulegnie, bo uwierzy, że robi dobrze. Pozyskać chrześcian dla swojej sprawy, tego chce Irydion; podkopać Kościół, skrzywić ideę chrześciańską, skazić samo pojęcie religii i jej służby, tego chce Massynissa.

III.

Irydion w katakombach. Symeon z Koryntu. Miłość Irydiona. Znaczenie Kornelii. Monolog Massynissy. Spisek pretoryanów. Ostatnia scena Elsinoy. Zwrot w położeniu Irydiona. Niezgodność między głębszem znaczeniem wypadków a ich przebiegiem w poemacie. Przegrana. Rozmowa Irydiona z Ulpianem. Zamierzone samobójstwo Irydiona. Zmiana w jego uczuciach. Obietnica Massynissy.

W części drugiej przenosi się poeta do katakomb; Irydion ma tam próbować szczęścia. Jakim sposobem? Cnotą, układną pokorą, przysługami różnego rodzaju naprzód. To łatwo; niewolnicy jego przynoszą ukradkiem z areny ciała męczenników, a w jego słowach jest powolność i łagodność baranka. Kiedy do biskupa Victora mówi „ojcze", zdawałoby się, że naprawdę uważa jego za swego ojca, a nie Massynissę. Potem mniema się Irydion już dość silnym w mniemaniu i ufności swoich nowych braci, dzieło uważa za dość przygotowane, iżby można mówić o niem otwarcie. Skromnie, prawie nieśmiało zapytuje biskupa, czy teraz, kiedy gotują się przemiany w Rzymie, kiedy pretoryanie zaczynają się burzyć przeciwko Imperatorowi, czyby nie czas było pomyśleć i o ziemskiem panowaniu Pana, który jest na niebie? czy nie czas „krzyż wyrwać z wnętrzności ziemi i zatknąć na Forum „Romanum?" Bez skutku: biskup nie w „żelazie i ogniu „położył nadzieję zwycięstwa", tak, jak Bóg jego nie chciał chmur aniołów, żeby go broniły od męki i śmierci. Z tymi starymi, „którzy odbyli męczeństwo i niebo, jak mówią, „otwarte nad sobą widzieli, próżno chcieć rozniecić iskrę zapału", mówi Irydion. „Ale młodzi, świeżo namaszczeni żoł„nierze, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili puszcze Egiptu, „coś dzielniejszego czują. Zrazu błogosławią złemu, co ich gniecie, ale kiedy krew zagra im w żyłach, chcącym, niechcącym wyrywam przekleństwo". W tę stronę uderza Irydion; a myśl, żeby uchwycić chrześciaństwo w tych chwilach, kiedy pośród jego pierwotnej czystości zjawiają się pierwsze zarody i pierwsze plamy złego, kiedy Kościół ze swojej pierwszej drogi zaczyna zbaczać na manowce ziemskie, kiedy

podnoszą się w nim świeckie myśli i dążenia, myśl, żeby to, z czego po upadku Rzymu płynąć ma życie niezliczonych wieków i narodów, przedstawić nie w idealnej pierwotnej świętości, ale już zeszpecone ludzką ręką i przyćmione ludzkiem tchnieniem, zanim jeszcze wyszło na jaw i działać zaczęło, to arcydzieło szatana historycznego, a zarazem jeden z najśmielszych i najgłębszych obrazów Krasińskiego. Wykonany on jest w postaci Symeona z Koryntu, pokutnika i anachorety, miłującego swego Boga i swoją wiarę z żarliwością namiętną; cała jego dusza żyje i płonie w tem jednem uczuciu. Niegdyś kochał kobietę; nie jak poganin, owszem, ona była chrześcianką i biskup miał połączyć ich ręce, ale odkryta, zawleczona do cyrku, zginęła pod kłami tygrysa. Odtąd przez umartwienia ciała, przez posty, modlitwy, rozpamiętywania, doprowadzona do coraz wyższej exaltacyi, dusza jego zatapiała się i gorzała w Bogu tylko, i dochodzi do jakiegoś zapału, który nie jest już miłością, ale namiętnością, żądzą zwycięstwa i tryumfu,—nie dla siebie samego, dla swego Boga. Widzieć go panem całego świata, jedynym, wszechwładnym, uznanym i czczonym przez wszystkie ludy ziemi! to jego dążenie, jego pragnienie, jego namiętność. A jak on to sobie szeroko nakreślił ten fanatyk! jego monolog obejmuje, jak żeby program całej historyi wieków średnich; i Klaczko słusznie mówi, że Grzegorz VII jest spadkobiercą tego Symeona. „W dniu jednym świat posiąść, świat dusz wszyst„kich i panować im w imieniu Twojem, o Boże! Spełni się kiedyś ten ideał Symeona; a z jego spełnienia wynikną wszystkie nieszczęścia i wszystkie błędy Kościoła, wszystkie prześladowania, wszystkie odszczepieństwa, wszystkie wojny, przewaga pierwiastku świeckiego nad duchowym w Kościele, która się już nieraz w jego historyi powtórzyła. Wiedział Massynissa co robił, kiedy kazał Irydionowi kusić Symeona i podobnych samą miłością Boga, samą gorliwością w wierze.

Ci dadzą się pociągnąć; ale to nie wszystko jeszcze. Żeby się zapewnić pomocy katakomb, potrzeba opanować świętą i natchnioną duszę niewieścią, a w tę uwierzą, za tą pójdą wszyscy. Massynissa każe Irydionowi z „dziewic,

„które tam więdną w modlitwach i postach, wybrać jedną „i rzucić im po nad dusze. Uczyń ją zwierciadłem myśli „twoich, niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez „czucia, ale siłą co górnje w piersiach męża porwana „i zniszczona". Jak to zrobić? Massynissa ma radę na wszystko, a jego rada jest straszna, szatańska prawdziwie. Wsunąć się, wkraść się w jej miłość ukrzyżowanego Boga i zwolna oderwać ją od niego a przenieść na siebie; przemycić ziemską miłość pod pozorem tej miłości seraficznej; działać na zmysły poprostu i doprowadzić ją do takiego szału, żeby sama nie wiedziała kogo i jak kocha, człowieka czy Boga, po anielsku, czy po ziemsku. Klaczko w *Bezimiennym Poecie* zwraca słusznie uwagę na to, że Krasiński bystrze i delikatnie dostrzegł niebezpieczeństwa, jakie naturom nerwowym i gwałtownym grozić może w mistycznych zachwytach; ale i to i wszystko blednie przy strasznym cynizmie, z jakim Massynissa daje to polecenie Irydionowi. Cynizm to nie w słowach bynajmniej; owszem, słowa są poważne, nawet surowe. Ale w myśli jest takie pojęcie człowieka jako zwierzęcia, taka jego pogarda, takie urąganie w tem przypuszczeniu, że ludzka istota pomieszać może Boga z człowiekiem; i taki ton rozkoszy i tryumfu z tego przypuszczenia, że sama ironia Mefistofelesa nie jest od tego zuchwalszą ani straszniejszą. (Część pierwsza, scena ostatnia). Sam Irydion blednie i drży. On, który wszystkiego dotrzymał, wszystko spełnił, który nad siostrą nie miał litości, on przeciwko niej jest słaby. „Dumnych mordować, nędznych tysiące zepchnąć do Erebu, „skazaną dobić, to w losach moich wyrytem było; ale szczę„śliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć..." nie chce, opiera się.

Słabość ta, jedna z rzeczy najpiękniejszych w postaci Irydiona, bo dowodzi, że „coś niepotrzebnego bogi zostawiły „w jego piersiach i że on kiedyś miał być człowiekiem", słabość ta ma dwa powody. Pierwszym jest miłość. Irydion, który dzikiej cnoty ślubowanej Furiom wiernie dochował, który się zahartował wcześnie przeciw wszelkiej rozkoszy i wszelkiemu urokowi i wszelkiemu szczęściu, uległ, sam

nie wié jak, wyższemu, świętemu urokowi Kornelii. Miłość ta jest naprzód nieunikniona. Taki jak on, taką tylko może kochać, na taką zważać, któraby była w rodzie niewieścim najwyższą, ideałem cnoty, godności, wielkości serca; a taką jest ta, której kształtów sam Fidiasz nie potrafiłby pochwycić, a która jemu lubi rozpowiadać niebiosa. Powtóre, jest ta miłość przedstawiona w poemacie z rzadkim i wykwintnym zmysłem artystycznym. Syn Zemsty, w chwili kiedy zemstę spełnia, nie może być zakochanym jak pierwszy lepszy śmiertelny, nie może ani pragnąć, ani cierpieć jak inni. On „kiedyś miał być człowiekiem“, ale wié, że nim być nie powinien i nie może. To też o tej miłości on nie mówi wcale, nie myśli nawet; tylko ją niekiedy mimowolnie czuje. Tylko ona czasem miękczy jego uczucia, odhartowuje jego wolę, objawia się jako cześć dla czystej i szlachetnej, jako rozczulenie i litość nad nieszczęśliwą, wreszcie jako wyrzut sumienia, kiedy nie chce „promiennej i szczęśliwej znieważyć“ i ostrzega ją w katakombach, żeby się przed nim chroniła. Drugim powodem dla którego Irydion się waha, jest ten, że on, choć chrześcianin z pozoru tylko, choć „starego człowieka“ ani zrzucił z siebie, ani chciał, ani myślał zrzucać, przecież mimowolnie i bezwiednie także ulega i wpływowi chrześciaństwa. On tego nie chce, odpycha to, przeklina Nazarejczyków, którzy umieją tylko cierpieć, przebaczać, miłować; ale on czuje, że to jest coś wyższego i lepszego. Nie chce wierzyć, bo gdyby uwierzył, musiałby słuchać; ale nie można powiedzieć, żeby on zupełnie nie wierzył. I to także jest bardzo piękne i bardzo trafne. Naprzód Irydion, który w epilogu obudzi się z jakiemś politowaniem nad krzyżem, nie mógł w poemacie występować jako jego wróg zawzięty i zakamieniały; powtóre, dla czegóż ma być nieprzyjacielem krzyża, dlaczego ma go nienawidzieć? Pomiędzy nimi niezgoda czasowa być może, ale nie wrodzona i konieczna nienawiść i walka. To, co w sobie jest szlachetne i dobre, nie potrzebuje ani chrześciaństwu przeczyć, ani od niego zaprzeczenia doznać; miłość ojczyzny i chrześciaństwo, wiara, miłość Boga i bliźniego, nie wykluczają się wzajem, owszem zgodzić

się mogą i powinny. Dlategoto Irydyon, choć chrześcianin fałszywy, nie jest wrogiem chrześciaństwa, i więcej niż sam wié i chce, ulega jego wpływowi. On z nim jest w niezgodzie, jak długo po pogańsku nienawidzi i mści się: ale on się z nim pogodzić może, a to pogodzenie właśnie jest myślą, celem i rozwiązaniem poematu w Epilogu.

Dla tego to Irydyon instynktem szanuje Kornelię i jej władzę, dla tego nie śmie i nie chce się na nią targnąć. Ale on jest zbyt w mocy Massynissy, żeby mógł oprzeć się jego woli — pomimo wstrętu i oporu, słucha. Potrzeba jej natchnienia, żeby Nazarejczyków pociągnąć do walki przeciw Rzymowi, dobrze! jej natchnienie stanie się posłusznem jemu, jak niegdyś jego ojca słuchało natchnienie kapłanki Odyna. Zrazu Kornelia gorszy się tylko i martwi tą walką zbrojną, którą jej Hieronim zapowiada, drży o zbawienie jego i wszystkich, których on za sobą pociągnie: ale stopniowo słowa Massynissy zaczynają się sprawdzać. Coś się w niej miesza, coś się w niej rozprzęga. Ona zaczyna tracić świadomość siebie; nie wié, gdzie jest, ani z kim mówi, miłość ziemska coraz bardziej przybiera pozór miłości Boga. A w tym stanie nieprzytomności i obłąkania, kiedy Irydyon rozdarł jej zasłonę, wypalił na jej ustach pocałunek, i omdlewającej powiedział, że jest tym, „o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych“, Kornelia rzeczywiście bierze go za Chrystusa, identyfikuje te dwa przedmioty dwóch różnych miłości, i przekonana, że słucha rozkazu samego Boga, zrywa się i obiega katakomby z krzykiem: do broni!

Cóż to wszystko znaczy, czego poeta chciał? czy istotnie bez tej Kornelii, natchnionej i świętej, pozyskanie Nazarejczyków było niepodobieństwem? czy na prawdę kobieta znaczyła tak wiele w pierwotnym Kościele, że bez niej nic się tam zrobić nie dało? albo czy może chodziło poecie o dramatyczną i oryginalną sytuacyę: o to, żeby pierwiastek miłości wprowadzić do poematu? albo wreszcie o to, żeby trafnie przedstawić typ exaltowanej i mistycznej kobiety? Nie. Mówi wprawdzie Massynissa, „trzeba ci niewiasty na to, by królestwo „nie tej ziemi wcielić w namiętności tej

ziemi," mówi o chrześcianach, że „oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości i przed niewolnicą uchylili czoła" — ale jakkolwiek chrześciaństwo kobietę podniosło, jakkolwiek uznało w niej duszę, uczciło jej cnoty, a nawet uwielbiło jej ideał, to przecież tego nie było nigdy, żeby kobieta miała stanowisko górujące w Kościele, żeby wierni za jej natchnieniem szli raczej jak za swoim pasterzem. Takiego stanowiska kobieta nigdy w Kościele nie miała, ani go nie żądała; a w pierwszych wiekach chrześciaństwa najbardziej może przestrzegała tego stanowiska uległości i podwładności. Słowa *Mulier taceat in Ecclesia,* do dziś dnia zapamiętane i słuchane, z pewnością nie mniej były przytomne w katakombach; i za Kornelią, która tam zamiast milczeć, wołałaby do broni, nikt nie byłby się ruszył. Gdybyśmy więc chcieli tę rolę Kornelii tłómaczyć wyzwoleniem kobiety przez chrześciaństwo, uważać ją za skutek tego wyzwolenia, i za jakieś historyczne prawdopodobieństwo, musielibyśmy zarzucić Krasińskiemu nieznajomość rzeczy i fałsz. Gdybyśmy ją tłómaczyli przez upodobanie w dramatycznej kollizyi, w oryginalnym stosunku miłosnym, musielibyśmy posądzić go o małość artystyczną i moralną: bo pod względem sztuki, jak pod względem treści i myśli, romans byłby najokropniejszą dysharmonią i dyssonancyą w takim poemacie, jak *Irydyon.* Wzgląd psychologiczny, chęć stworzenia typu kobiety exaltowanej i mistycznej, mógł być, i zapewne był; ale wiedząc, że u Krasińskiego ten wzgląd właśnie jest zawsze podrzędnym, trzeba wnosić, że on nie był ani jedynym, ani głównym, że sam nie wystarczał mu do stworzenia tej postaci Kornelii i jej stosunku do Irydyona. A więc cóż? Co znaczy ta postać i ten stosunek?

Przypomnijmy sobie, że w katakombach Irydyon jest tylko narzędziem, a naprawdę działa Massynissa: że jemu chodzi o to, żeby zgromadzenie wiernych, i ich religijne uczucie zarazić wpływem różnych uczuć ziemskich, żeby rzucić pomiędzy nich różne pryzmata, przez które widzieliby krzywo swoją wiarę, swoją religię, i swoje względem niej obowiązki. Tak Symeon z Koryntu marzy o potędze, o pa-

nowaniu, z miłości wiary i przez nią dochodzi do żądzy władzy. Kornelia, która Irydyona bierze za Chrystusa, na jego rozkaz woła do broni, mniema widzieć spełnienie jego obietnic przyjścia i Królestwa Bożego, która miesza miłość człowieka z miłością Boga, i celom człowieka służy; czy nie byłaby przypadkiem wyobrażeniem rzeczy wprost przeciwnej temu, co wyobraża Symeon, a jednak podobnej i zbliżonej? Tam, to Kościół marzący o ziemskiej władzy i panowaniu nad światem, który chce podbić sprawy świeckie. Tutaj, czy nie byłaby to znowu religia opanowana, uwiedziona i nadużyta przez myśl ziemską i ziemski cel? Ta kobieta natchniona, święta, zatopiona całą duszą w Bogu, mogłaby ujść za typ i wcielenie samegoż uczucia religijnego. Szatan historyczny zadaje sobie pytanie, czy tego uczucia nie potrafiłby złudzić, oszukać i skrzywić. Podsuwa więc duszy inne uczucie, wielkie, piękne, szlachetne, ale odmiennej natury, ziemskie; i ta dusza tak jedno z drugiem łączy, tak jedno i drugie wysoko czci i gorąco kocha, że wkońcu nie wié, gdzie się jedno kończy, a drugie zaczyna: że bierze Irydyona za Chrystusa, cel ziemski za wieczny, głos jego za rozkaz samego Boga. Przykłady takiego połączenia zapału religijnego z exaltacyą ziemską, bywały na świecie; i dowiodły zawsze, że w takich razach ten ziemski cel i ta ziemska miłość przekradzione pod pozorami miłości Bożej, brały w złudzonej duszy górę nad uczuciem religijnem, Irydyon zajmował miejsce Chrystusa; religia była wyzyskaną przez cel ziemski, jemu służyła. W tym wypadku, Kornelia, która bierze Irydyona (miłość ojczyzny) za Chrystusa, czy nie mogłaby być wyobrażeniem religii mieszającej ojczyznę z Bogiem, tak, że już pomiędzy jednym a drugą rozeznać nie mogła? Henryk w *Nieboskiej Komedyi* nie mógł być zrozumianym w swojej właściwej tragiczności, jako obrońca porządku rzeczy, którego nie szanuje i nie chce, ale broni z obawy czegoś gorszego, aż wtedy, kiedy nasz świat współczesny sam na sobie zrobił to doświadczenie, sam się znalazł w podobnem położeniu. Być może, że taksamo potrzeba nam było dotykalnego doświadczenia, żeby zrozumieć i tę

postać Kornelii, jako wyobrażenie religii opanowanej i nadużytej przez cel ziemski, przez politykę. Ale były takie chwile w historyi współczesnej, żeśmy wszyscy widzieli takie wyzyskiwania wierzącej Kornelii przez niewiernych Irydyonów: — a na oboje patrzał, obojgu urągał; Massynissa.

A kiedy ona w obłąkaniu swojem woła do broni, kiedy Symeon z krzyżem w ręku, dziki i nieubłagany jak wcielony fanatyzm, rwie się do boju, kiedy stają za nim wszyscy młodzi i niecierpliwi, i kiedy powstaje rozdarcie i bunt w katakombach, pierwsze nieszczęście i pierwsze zgorszenie w łonie chrześciaństwa, jedynej nadziei rozprzężonego świata, jedynej drogi życia dla przyszłych wieków i narodów, wtedy pośród ognistych słupów ukazuje się ten, który wygrał, tryumfator Massynissa, w całym majestacie *Regis Inferni*, i chrześciańskiemu Bogu, swojemu „nieśmiertelnemu wrogowi“ rzuca to wyzwanie straszne pewnością siebie, z jaką on mówi, straszne zemstą nieubłaganą, ale na teraz zaspokojoną, nasyconą, tryumfującą, straszne szatańską przedwiedzą zdarzeń, którą historya wieków sprawdziła co do słowa. Ta scena, to jest punkt kulminacyjny Massynissy, ten, w którym jego potęga i jego nienawiść wznosi się tak wysoko, że słów jego mógłby pozazdrościć sam Szatan Miltona, największa i najpotężniejsza postać złego, jaką umysł ludzki kiedykolwiek począł i wykonał.

A teraz przychodzi chwila przesilenia w dramacie. Irydyon, gotów do walki, ma wszystko, czego potrzebuje; nawet Nazareńczyków. Ale nie on daje hasło do walki. Spisek na zbawienie Rzymu ubiegł spisek uknuty na jego zgubę. Ulpianus ubiegł Irydyona, Pretoryanie zamiejscy, gniewni na Heliogabala o żołd nie wypłacony, o niedotrzymane obietnice, a prowadzeni przez takich, których rzymskie serce oburza się na podłość, a z których każdy ma prócz tego jakiś osobny własny rachunek z Cezarem, ten za ojca, ten za siostrę, inny za zagrabiony majątek: pretoryanie zdawna obrobieni przez Ulpiana, burzą się i podnoszą bunt. Jeżeli imperator sam z tronu nie zejdzie, i nie odda dyademu Aleksandrowi, uderzą na miasto. Tego właśnie po-

trzeba Irydyonowi, to dopiero pomaga jego planom. Niech uderzają! on będzie odpierał, będzie bronił Heliogabala, bo Aleksandra nie chce dopuścić: ale w zamieszaniu walki rozpuści swoich pożarników po mieście i zniszczy je tak, że nie zostanie nic, ani Heliogabal, ani Alexander i jego legie, ani Rzym. Z jaką rozkoszą i z jakiem szyderstwem on odpowiada pretoryanom Alexandra: „śmieję się, bo słyszę „Rzymian, mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburzeniem „o hańbie... ale ten śmiech, nie wiecie co wróży.“ Nie wstrzyma go Alexander swojemi uniesieniami ku piękności i cnocie, nie wstrzyma go nawet swoją „myślą czystą“ o poświęconej Elsinoe. — Poświęcił ją, prawda, ale przynajmniej wié na co, przynajmniej poświęcenie się przydało. On swoją zemstę już trzyma w ręku, i nic mu jej wydrzeć nie zdoła.

W Rzymie tymczasem zbiera się senat i radzi o śmierci Cezara, Heliogabal w konwulsyach szaleństwa i strachu, tarza się po fiołkach, wpada w wściekłość, to chce zabijać, to drży, żeby sam nie był zabitym: boi się Irydyona, boi się Elsinoy, boi się, kiedy przy nim są, boi się, kiedy go odstąpią, a tak szalejącemu, mdlejącemu, wydziera Irydyon naprzód dowództwo nad pretoryanami pałacu, potem pierścień Cezarów, znak najwyższej władzy, na którym wyryty jest tajemniczy gieniusz Romy. Mieszanina dzieciństwa, zgrzybiałości, lubieżności, dzikości, zniewieściałego zakochania we własnej piękności, i jakiegoś nerońskiego zmysłu dla piękności i sztuki, wszystko, co składa tę postać potworną, a gienialnie pojętą i skreśloną, wszystko to odzywa się w tej scenie ostatniej Heliogabala. Schodzi także ze sceny i Elsinoe. Ona spełniła swoje; wszystko czego żądał brat i Massynissa, co przykazywał umierający ojciec, wszystko zrobiła w zupełności: zdradą niewiasty, oddała Cezara w moc Irydyona, teraz może wypocząć po swojej ciężkiej pracy, po życiu poświęcenia, przymusu i obrzydzenia. Ona czuje, że koniec bliski, że siły życia wyczerpane, że nawet, gdyby ocalała w zniszczeniu, to dłużej żyć nie zdoła. „Mów bra- „cie, czy mam jeszcze co wykonać, bo dzisiaj w nocy, bo „jutro nad rankiem przyjdzie może pretoryanin, może wcisną

„się płomienie, lub pierś sama nie zechce cierpieć dłużej „i wzgardzi powietrzem:“ ale z jaką godnością, z jakiem wzniosłem uczuciem przebaczenia, schodzi z tego świata. Zrazu prosi brata, żeby oszczędzał Alexandra, bo „on jeden domyślał się,“ jaka była jej dusza i jej męka — ale kiedy nie można, kiedy Alexander jeden tylko „wydziera Romę z objęć nienawiści“ Irydyona, kiedy dzieło ojca i brata wymaga i tej ofiary, ona nalegać nie będzie — jedno tylko przypomina, że „krwi niczyjej nie żądała nigdy,“ o jedno prosi: „żyjcie wszyscy, nawet przemierzły, nawet Heliogabal, „pod koniec ofiary, rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi „dziewica“ — a dla siebie nie żąda niczego, ta, która straciła wszystko, tylko: „jeżeli kiedy przepływać będziesz po egej„skich wodach, garstkę popiołów moich rzuć na brzegi „Chiary.“

Można mówić, co się podoba; można mówić, że taka Elsinoe jest anomalią i historyczną nieprawdą w obrazie starożytnego świata, że ten świat takich kobiet nie znał, można mówić, że jest zbyt eteryczna i wzniosła, wszystko to może być słuszne. Ale, że jest jedną z najidealniejszych postaci w poezyi, że jest rozrzewniająca, jak Antigona, tylko Antigona, któraby zarazem miała coś chrześciańskiej świętej, że spełnia poświęcenie, jakiego żaden mężczyzna, żaden bohater spełnić nigdy nie może, poświęcenie za wielkie i pogańskie, a spełnia nie z zapałem, nie z energią exaltacyi, ale z rezygnacyą cichą i łagodną, z odwagą tem większą, im mniej jej ma w swojej naturze, że wkońcu wyższa jest nad zemstę i nienawiść, jak w życiu była wyższą nad swoją nieznośną hańbę, tego nikt zaprzeczyć nie może. A i to jeszcze uważać warto, że jakkolwiek nie jest to zapewne dusza starożytnej kobiety, to przecież poeta z wielką sztuką stara się nadać jej pozory, posągowe linie takiej kobiety: że unika szczęśliwie wszelkiego roztkliwienia, wszelkiego rozmarzenia, wszelkiego wyostrzenia uczuć, któreby ją czyniło podobną do kobiet chrześciańskiego świata i chrześciańskiej poezyi. Zapewne, jest to duch bez ciała, jest smutny ideał nieszczęścia, wyrzeczenia się, poświęcenia;

ale ten czysty duch, ze sfery chrześciańskich ideałów, udrapowany jest dobrze w klassyczną tunikę. A jeżeli jest zbyt eteryczna, zbyt przeźroczysta i idealna, co być może, to trudno ważyć i mierzyć to „zbyt,“ kiedy jej przyznać trzeba, że jest naprawdę i nawskróś idealna i wzniosła.

Walka zaczęta, Aleksander u bram miasta, senat przewraca posągi Heliogabala. Przepyszny jest w swojej pogardzie ten obraz spodlonego senatu, jaki daje Scypion w swojem opowiadaniu, „siedzieli ojcowie, jak za dobrych czasów, Volero przemawiał, udając Katona“ i t. d... W domu Irydyona ułożony czeka stos z drzewa cyprysowego, z kory aloesu, polany myrrhą, to drogi i kosztowny stos, na którym spłonąć ma Rzym, on da hasło pożaru. Niewolnicy, gladyatorowie, barbarzyńcy, rozchodzą się w milczeniu, giną w krętych ulicach; wszyscy mają czekać tego znaku i podpalić Rzym ze wszystkich stron jego.

Irydyon czeka na Symeona z Koryntu; bez chrześcian nie może zacząć działać, nie może zwyciężyć.

Tu jest pewien rozstęp, pewna niezgoda, pomiędzy wewnętrzną treścią poematu i jego znaczeniem, a tem, co jest jego zewnętrznym kształtem. W przeznaczeniach Rzymu świata było, żeby Rzym nie zginął, ale przez chrześciaństwo uratowanym był od zniszczenia, i przez nie dalej żył, i dalej znaczył. Jest więc naturalnem i słusznem, że zniszczenie dopełnić się nie może, jeżeli chrześcianie do niego ręki nie przyłożą, jeżeli i oni nie sprzysięgną się przeciw miastu. W głębszem pojęciu rzeczy, jest słuszność i prawda; pomysł Krasińskiego, podług którego Rzym przez chrześcian i chrześciaństwo tylko nie zniszczał zupełnie i przeżył upadek rzymskiego państwa, jest wytłómaczony, jasny, i trafny. Ale w allegorycznem przedstawieniu rzeczy, w wypadkach przedstawionych w poemacie, w tym fikcyjnym spisku Irydyona, zależność rezultatu od pomocy lub bezczynności chrześcian, ta nie jest tak widoczną, ani tak konieczną. Żeby Rzym nazawsze zgładzić, do tego chrześciaństwo mogło dopomódz lub przeszkodzić; ale jeżeli wyobrażeniem i symbolem tej zagłady jest walka z legiami Alexandra i pożar

miasta, to to bez nich udać się mogło. Kto stał na czele żołnierzy Heliogabala, własnych wyzwoleńców, Greków i barbarzyńców z całego miasta, niewolników, gladyatorów, całej tej najliczniejszej zgrai upośledzonych, a do środków zwycięstwa liczył spalenie, temu pomoc, chociażby kilku tysięcy chrześcian, tak koniecznie potrzebną nie była. Mogła się przydać, ale nie mogła rozstrzygać o skutku walki; w każdym razie sił przygotowanych było tyle, ogień rozniecony mógł roznieść taki popłoch i przerażenie, że zwycięztwo bez chrześcian mogło doskonale przeważyć się na stronę Irydyona. Tymczasem, w chwili kiedy minęła godzina naznaczona przez Symeona, kiedy przybiegł z katakomb posłaniec z oznajmieniem, że biskup wszystkich zatrzymał, Irydyon odrazu uważa sprawę za przegraną, i rozpacza. Dlaczego rozpacza, to się pojmuje: Rzym nie będzie zniszczony, Rzym odżyje w chrześciaństwie. Ale ze względu na to, co on w tej chwili robi, na spisek, na bitwę, na pożar, rozpacz ta usprawiedliwioną nie jest; obrót tych wypadków nie zależał tak bardzo i tak jedynie od chrześcian. To też, kiedy od tej chwili dramat przechyla się ku katastrofie, kiedy Irydyon zrozpaczony i pewien przegranej, śpieszy do katakomb, a potem na bitwę bez hełmu, bo „żeby walczyć, dość miecza; żeby zginąć, nie potrzeba hełmu“ — czytelnik nie wié, zkąd to zwątpienie? nie pojmuje, dlaczego wszystko ma być stracone, dlaczego Irydyon gasi pochodnię, zamias podpalić stos i dać hasło pożaru. Wszak tylko jedna rachuba chybiła, a zostało ich jeszcze wiele, które mogą nie chybić. Oczywiście, Krasiński musiał zważać więcej na znaczenie aniżeli na zgodność i podobieństwo fabuły: musiał więcej dbać o to, co mówi na końcu poematu Massynissa: „Czy „wiesz, kto wyrwie miasto z rąk braci swoich, kto zlatującą „purpurę Cezarów pochwyci w powietrzu, Nazarejczyk“ — aniżeli o to, żeby wszystkie sprawy i dzieje fikcyjnego spisku Irydyona rozwijały się według wszelkich prawideł jasnej, matematycznie ścisłej logiki. I miał słuszność; inaczej zrobić nie mógł. Wzgląd mniej ważny, poświęcił ważniejszemu. Jednak zaprzeczyć się nie da, że w historycznym procesie

upadku i odrodzenia Rzymu, było rzeczywiście czynnikiem głównym i rozstrzygającym to, co w fikcyjnych wypadkach dramatu być takim nie mogło; i ztąd powstaje pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy formą allegoryi, a jej treścią. Głęboko i pięknie tłómaczy pan Małecki upadek Irydyona, w przytoczonej już wyżej rozprawie. Mówi on, że Irydyon jest zwyciężony nie przez ludzi, nie przez wyższe pierwiastki, ale przez ten fatalizm złego, jaki jest w nim samym: przez to, że jako duch nienawiści i zemsty, on stale i naprawdę zwyciężyć nie mógł. Dlatego on ulega: a o wypadki, pod któremi uległ, mniejsza.

Dość, że w poemacie biskup Victor rozstrzygnął sprawę. Zemsta Irydyona się nie spełniła. Alexander Severus wszedł do Rzymu i został Cezarem, dla tego, że biskup zatrzymał swoich wiernych w katakombach. Tam śpieszy jeszcze Irydyon. Może głosem, wymową, może wstydem, zdoła ich jeszcze pociągnąć, może odpowie mu natchniony głos Kornelii i tamtych wezwie do broni. Napróżno; sam Symeon z Koryntu, choć zrazu mówi, że „sam Bóg, by świat zbawić, „ubrał się w ciało, a my, by świat nauczyć, nie dostaniemże „ciała — dotąd marne duchy z nas; gdzie dom, gdzie ko„ściół, gdzie potęga nasza?“ — sam Symeon wkońcu poddaje się i nie śmie iść za Irydyonem. Przy nim stoi tylko kilku barbarzyńców. A Kornelia, która dotąd jeszcze zostawała w swojem obłąkaniu, która słysząc zdaleka krok Irydyona, mówi, że słyszy „odgłos z nieba zstąpienia,“ Kornelia pod wpływem modlitwy i błogosławieństwa biskupa, wraca do świadomości, poznaje, że brała błędnie człowieka za Boga, że zawiniła tem przeciw Bogu, i umiera pod ciężarem tego błędu i swego żalu, a umierając, przebacza Hieronymowi.

A przez ten czas, kiedy Irydyon bawił w katakombach, zamiast czuwać nad walką i dać hasło pożaru, Alexander wszedł do miasta i dotarł na Forum Romanum, Mammaea przysyła polecić go modlitwom Victora. „Czas mnie ubiegł, ludzie mnie zdradzili“ woła Irydyon i wybiega

ze swoimi z rozpaczą, już nie po zemstę, nie po zwycięstwo, ale po śmierć.

Przegrana zupełna, bez ratunku. Co krok spotyka któregoś ze swoich, zwyciężonego, rannego, konającego; każdy wyrzuca mu, że nie dał hasła i obietnicy nie dotrzymał, zemsta ich nie dopełniona; Roma stoi, jak stała, a zewsząd huczy odgłos ludu: „Severus niech żyje!“ Ostatni przychodzi, najdzielniejszy z nich wszystkich, Scypion: „Fortuna „nas zdradziła, Ulpianus i Tubero następują na nas zewsząd, „cóż teraz poczniemy.“ — „Czoła przeciw nim obrócim, od„powiada Irydyon — krwi rzymskiej jeszcze trochę Scy„pionie — naprzód, i śmierć Alexandrowi!“

W tem zakończeniu części trzeciej przychodzi opowiadanie o końcu Heliogabala i Elsinoy. Naodwrót tego, co się najczęściej zdarza przy takich opowiadaniach, to jest, że żałuje się, iż poeta opowiada co się stało, zamiast to pokazać, tutaj opowiadanie wychodzi na korzyść rzeczy. W słowach niewolnika, który śpieszy donieść Irydyonowi o śmierci siostry, są te wszystkie szczegóły, charakterystyczne i piękne, które poeta byłby musiał pominąć i zostawić naszemu domysłowi, gdyby był tę scenę śmierci przedstawił wprost. Cała majestatyczna powaga i odwaga Elsinoy, którą niewolnik tak dobrze maluje, cały strach Heliogabala, dyszącego na różach w stroju arcykapłana, pomiędzy sztyletami i kubkiem trucizny, a wreszcie głowa jego i ręce odrąbane od tułowiu, wszystko to wprost pokazać się nie dało, albo nie tak widocznie i dobitnie, jak w tem opowiadaniu, które także liczyć się może do świetnych ustępów poematu.

Rozwiązanie się zbliża; w początku części czwartej, zwycięzki Cezar rozkazuje Ulpianowi, żeby Irydyonowi zaniósł od niego łaskę i przebaczenie. Piękna myśl, postawić naprzeciw siebie wcielony patryotyzm rzymski i ubóstwienie Rzymu, a z drugiej strony wcielone nienawiści i krzywdy całego świata, skargę i zemstę. Z jednej strony potęga żelazna, pewna siebie, nie pojmująca, jak ktoś może śmieć jej nieuznawać, nie poddać się i nie uderzyć czołem, kiedy ona jest tak potężna! z drugiej wolność, zwyciężona, zdeptana,

ale czująca się w swojem prawie; prawo pogwałcone, słabsze, ale nie mogące wyprzeć się siebie: z jednej strony fakt, z drugiej dobra sprawa. Naturalnie w sprawie tej tryumfuje Irydyon: jest to w zakończeniu wytłómaczenie i usprawiedliwienie całego jego dzieła, wszystkie gwałty, podboje, zdrady, chciwości, srogości i podłości Rzymu, akt oskarżenia, ułożony przeciw niemu przez wszystkich podbitych, oszukanych i ciemiężonych. Nigdy Irydyon nie wygląda bardziej na bohatera, na półboga, jak w tej scenie, kiedy nie potrzebując już udawać, wyrzuca z siebie jak wulkan potoki nienawiści, i gromy pogardy, jak żeby brał odwet za milczenie wieków, za długą cierpliwość i obawę całych narodów. Rzymianie zrazu nie pojmuje go wcale, myśli, że ma przed sobą prostego stronnika Heliogabala, nieprzyjaciela Alexandra; nie pojmuje, że można być nieprzyjacielem Rzymu. A kiedy tamten odpowiada, że Heliogabal obchodził go tyle, co proch zlatujący z jego sandałów, że Alexander jest tylko małą cząstką jego nienawiści, wtedy już sam nie wie, co ma myśleć, i pyta: „kto wrogiem twoim?“ Wspaniała jest odpowiedź Irydyona, jak żeby głos ludzkości samej, zbuntowanej przeciw przemocy: „kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu, kto, sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu „śmiertelnych położył swoje nadzieje, kto czarę niedoli świata „wychylił aż do dna? Roma!“ Za to wszystko chciał się pomścić Irydyon.

Oczywiście, wszelkie współczucie autora i czytelnika jest tu po jego stronie, nie po stronie Rzymu, ale poeta wybornie umiał odgadnąć i włożyć w usta Ulpiana te argumenta, któremi Rzymianin mógł walczyć, ten rodzaj uczucia i uwielbienia, jakie on mógł mieć dla swego Rzymu. On jest przekonany, że Rzym miał prawo i powołanie podbić świat, bo miał siłę. „Jak ojciec rodziny dzieci, jak patrycyusz plebejów, jak pan niewolników, tak my dostaliśmy „prowincye“ — to im się należy z mocy ich wrodzonej wyższości nad resztą świata. „A mądrze i świetnie opatrzyły to „nieśmiertelne wyroki. I komuż oddać miały berło, jeżeli nie „miastu wytrwałości i czynów, niezachwianego rozumu.“

Zawsze ten sam język siły i zwycięztwa! i czytając tę scenę *Irydyona*, zdaje się słyszeć rozprawę między jakimś Polakiem, który wyrzuca przeszłość i grozi przyszłością, a szyderskim i pewnym siebie zwycięzcą, który takiemu ideologowi urąga w imię nieomylnej logiki faktów i „niezachwianego rozumu.“ Kiedy Irydyon, przeświadczony o prawdzie tego co mówi, o swojej dobrej sprawie, powiada, że „nigdy „Hellada takim nie spodliła się rozumem, jej życie nie było „rachubą, jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach,“ a Ulpianus śmieje się z igrającej i śpiewającej Grecyi — możnaby myśleć, że to jedna z tych rozpraw, jakich słyszy się tyle w naszym wieku, w której, z jednej strony wspominają wolność polityczną i religijną, dobrowolne łączenie się narodów, i wiedeńską wyprawę Sobieskiego, a z drugiej dowodzą, zapomocą ścisłego rachunku, że *polnische Wirtschaft* musiała uledz sile porządku i dobrze zorganizowanego państwa. Zawsze ta sama walka między ideałem a rzeczywistością, w której rzeczywistość zwycięża i tryumfuje przez usta Ulpiana, czy Bismarcka, a ideał przecież nigdy pobić się nie daje, bo wié, że przed Bogiem i sumieniem on ma słuszność. „Słyszały narody o rozsądku waszym i t. d. Cóżeście „uczynili ze światem, od kiedy bogi złego oddały go w wa„sze ręce? orzeł Romy wylęgł się na bagnach, nie na szczy„tach gór.“ — A nie ciesz, i nie łudź, i nie przechwalaj się tak śmiało tem, żeś dziś górą, nie pochlebiaj sobie, że przyjdzie dzień, „kiedy światu całemu od wschodu na zachód „stanie się na imię Roma.“ „Ty myślisz tę starą otchłań „na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by kości ofiar „i łupy kościołów, i miecze wydarte zdradą, nie widziane, „spoczywały na dnie?“ darmo, „rodu bez czci i ducha nie „przyuczysz do sił straconych, nie roześlesz po wieńce lau„rowe.“ Czy nie wolno domyślać się, że kiedy pisał te słowa groźby dla Rzymu, który utracił był swoje siły żywotne, poeta myślał i o takich także, którzy choć mają siłę, nie mają czci i ducha? że w tych słowach widział groźbę i dla nich także, i wróżył im na kiedyś los, jaki Irydyon przepowiada Rzymowi?

Z ostatniem przekleństwem, słowem zemsty, kiedy czyn się nie powiódł, rzuca Irydion w ogień pierścień, zdarty niegdyś z ręki Heliogabala, tajemnicze palladium, na którem wyryte było imię i nieśmiertelny geniusz Romy.

Słaba i mała zemsta przy tej, którą sobie obiecywał, a innej już się spodziewać nie może. Kilku ludzi jeszcze, kilka kropel krwi rzymskiej, mała pociecha! tak jak mały już żal, że go towarzysze opuszają, i tłumnie, stadami poddają się Alexandrowi. Z poddającymi się zawsze tęsamą robi poeta sprawiedliwość. W *Nieboskiej Komedyi* Pankracy posyła na szubienicę wszystkich bankierów, hrabiów i książąt, w *Irydionie* Alexander mówi, że przebrała się miara jego litości, a Ulpianus każe zbliżyć się liktorom. Irydionowi nie zostało nic, jak przekląć jeszcze raz Rzym i bogów, i zadać sobie śmierć, jak Cato, jak Brutus, jak niegdyś Temistokles. Wstępuje na stos siostry i chce z nią razem spłonąć, kiedy porywa go Massynissa i unosi z sobą. Patrząc z gór na przedmiot swojej nienawiści, Rzym, jak wyszczerza marmury do słońca, jak „białe kły tygrysa“, woła Irydion w rozpaczy, „Hellado, czy byłaś tylko cieniem, chmuro miłości mojej, „czy odchodzisz na wieki?“ Czy to co gorsze, zawsze będzie tryumfowało nad tem co lepsze? czy prawem świata jest niesprawiedliwość? Irydion mówi to z taką myślą, z jaką Brutus wołał, że cnota jest złudzeniem: upomina się nie o samą tylko Grecyę, ale o wszystkie sprawy dobre a zwyciężone. W tej ostatniej chwili z dwóch pierwiastków, składających duszę Irydiona, bierze górę i objawia się tylko lepszy i szlachetniejszy, miłość ojczyzny, patryotyczny żal. Drugi pierwiastek, nienawiść i zemsta, tak znika, że ten pogański bohater, syn zemsty, czuje jakiś pociąg do Boga Kornelii; zaczyna przypuszczać, że on jeden jest prawdziwym i gotów modlić się do niego: „Ojcze, któryś jest w Niebie-„siech, kochaj moją ojczyznę, jak ja ją kochałem“. — Rozpoczyna się już to przeobrażenie Irydiona, w jakiem on ukaże się w epilogu. Na to Massynissa pozwolić nie może. Nie na to on go wychowywał na syna zemsty, żeby w końcu przerobił na anioła przebaczenia; roznieca więc gasnące iskry złego,

i jeszcze raz przez to złe staje się panem Irydiona. „Czy „wiesz, kto wydrze Rzym z objęć nienawiści twojej, kto „schwyci w powietrzu zlatującą purpurę Cezarów? Nazareń-„czyk“ i przez niego Rzym jeszcze będzie panował narodom i wiekom. „Ale przyjdzie czas, że jedne po drugich wstaną „i powiedzą: „nie służymy więcej, że na Kapitolu będzie „hańba tylko, na Forum będą prochy tylko, i walka moja „na ziemi zbliży się do końca“.

Taki dzień zobaczyć? Na tę obietnicę odżyła namiętność zemsty w sercu Irydiona. O Grecyi myśleć próżno: „o Amfilochu, twój syn był tylko marzeniem, cieniem odbitym „od późnej przyszłości i jak zawczesną igraszkę rozbiły go „losy“. Ale obudzić się po wiekach i ujrzeć Rzym, „kiedy „na Kapitolu będzie hańba tylko“, ale raz odetchnąć rozkoszą dopełnionej zemsty? tego on jeszcze pragnie: dla tego gotów i żyć jeszcze przez wieki, i na wieki, na wieczność oddać się Massynissie: „Mnie Rzym, tobie duszę moją“.

IV.

Epilog. Obietnica Massynissy dotrzymana pozornie. Żałość Irydiona' Sąd nad nim. Przebaczenie warunkowe. Powtórna próba Irydiona. Znaczenie Epilogu. Myśl poematu. Jej prawdziwość. *Irydion* i *Wallenrod*. Przystosowanie *Irydiona* i zasługa Krasińskiego. Wartość artystyczna poematu. Poezya Rzymu.

Następuje ten wiekowy sen Irydiona, którego nie przerwał ani Alaryk, ani Attila, „ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi Trybun ludu“, a który skończyć się ma za dni naszych, jakoby obietnica Massynissy była spełnioną, zemsta nad Rzymem i jego zagłada dokonaną. Dlaczego teraz właśnie potężny szatan budzi Irydiona? Czy istotnie dotrzymał swoich przyrzeczeń? Czy pokaże mu to, czego tamten żądał i o co walczył? Czy Massynissa Irydiona istotnie nie rozumiał, czy udawał tylko? Oczywiście udawał. On wie dobrze, że tamten chciał innej zemsty i nad innym Rzymem; że to, co mu pokaże, to tylko pozór, który go zaspokoić nie może. On tylko swojej zemsty dokonał, i pokazując ją Irydionowi jako jego zemstę, on Irydiona podchodzi

i oszukuje, udaje jakoby mniemał, że im obu o jedno i to samo chodziło. Ukazuje mu wprawdzie „grób szeroki, roz„warty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym „i bluszczem i ludem. Tam, kędy wieczne miasto panowało, pokazuje mu „kampanię zdziczałą i pustą, która niema czem zakryć hańby swojej, posąg Marka Aureliusza, cezara bez poddanych, trymfatora bez pieśni — i ostatki ludu rzymskiego, dwóch nędzarzy śpiących na bruku, którzy się nie przebudzili kiedy przechodząc trącił ich nogą — widać przywykli, żeby ich kopano — to potomki Kwirytów! Pokazał mu zamiast dawnego wozu tryumfatorów, powóz ciągniony dwoma schorzałemi karemi końmi, na nim resztki pozłoty, w nim dwóch starców trzęsących z purpurą na grzbiecie, a ubóstwem myśli na twarzy, „to następcy Cezarów, to rydwan kapito„lińskiej fortuny“ woła z przekąsem Massynissa... Ale to wszystko, czy to jest ten dzień, którego Irydion pragnął, czy on takiej chciał zemsty i nad tym Rzymem? Zapewne, jeżeli chodziło mu o miasto tylko, jeżeli tylko o to, żeby widzieć Forum przemienione w targowisko krów, groby drogi Appijskiej w gruzach, posągi bogów i bohaterów połamane i tarzające się po ziemi, obwód murów zawielki dla ludności, w której z dawnego hartu nie zostało nic, zapewne, zemsta byłaby dostateczna i zupełna; i Irydion, patrząc na te zwaliska, raduje się przez chwilę. Ale niebawem on poznaje, że to nie ten Rzym, którego nienawidził, nie ta zemsta, której pragnął. On chciał widzieć poniżenie i wstyd dumnego miasta i wszechwładnego państwa; chciał widzieć przemoc zwyciężoną, siłę złamaną, chciał odwetu za wszystkich podbitych, oszukanych, zdradzonych, uciemiężonych. Kiedy usypiał marzył, że budząc się po wiekach, ujrzy jakichś słabszych, przyszłości depcących po sponiewieranym i oplwanym trupie wielkiego i potężnego! Jeżeli Irydion, jako Grek, chciał widzieć swoją ojczyznę pomszczoną na państwie rzymskiem, to powinien był obudzić się w dniu Alaryka, albo „w dniu wielkiego Attyli“ — jeżeli Irydion, miłość ojczyzny, miłość dobrej sprawy, chciał widzieć jakąkolwiek w ogólności złą sprawę w prochu i w poniewierce, tedy mógł spać dłużej;

nie należało go budzić, bo tego on jeszcze zobaczyć nie mógł. Tymczasem szatan jego budzi go i pokazuje Rzym, bezsilny i sponiewierany, ale Rzym inny, ten którego on sam tylko nienawidzi, a którego Irydion nie znał wcale. Pokazuje mu ten dzień, w którym krzyż na darmo wyciąga ramiona nad światem i chce przygarnąć narody do siebie: jedne po drugich odchodzą od niego mówiąc, że nie służą więcej. Niezawodnie to jest chwila upadku Rzymu, ta chwila zobojętnienia dla chrześciaństwa w świecie, słabego jego wpływu na ludzi i braku „wielkich ludzi w Kościele", o którym Krasiński myślał, kiedy mówił o tych starcach w purpurze, z ubóstwem myśli na czole: ale to jest dzień Massynissy nie Irydiona. To ten tryumfuje na widok, że spełniło się, co kiedyś mówił w katakombach swojemu nieśmiertelnemu wrogowi, że napróżno ludzi okupował i oświecał, że w „ich sercach rozerwie się Trójca, która miała „trwać na wieki, „Trójca wiary, nadziei i miłości — że iskra, którą wzięli „z górnych przestrzeni, zamęczona będzie w ich duszach, „w ich myślach powstawać będą światy coraz dalsze od „prawdy — każdą wiarę swoją stwierdzą krwią i ogłoszą „ją fałszem, każde zaprzeczenie obrzucą błotem, a potem „ubóstwią. Jak my niegdyś, tak oni odpadną od niego". Tej chwili, która może istotnie przypada na nasz wiek, na czasy nienawiści do chrześciaństwa i obojętności dla niego, tej czekał Massynissa, jako swojej zemsty nad Bogiem, — jako tej, w której się pokaże, że wszystko co Bóg zrobił, wcielenie śmierć i objawienie Chrystusa, nie na wiele się zdało. On chciał upadku Rzymu, jako symbolu chrześciaństwa, jako symbolu dobrego; Irydion chciał upadku Rzymu, jako symbolu przemocy i nieprawości, jako symbolu złego. Ten nienawidził Rzymu pogańskiego, który w naszych czasach niejest już w Rzymie: tamten nienawidził Rzymu chrześciańskiego dlatego, że w nim była prawda, że on mógł świat do dobrego prowadzić. Pokazując Irydionowi ten Rzym w osłabieniu i upadku, on swojej zemście tylko dogadza, a tamtego oszukuje: bo miejsce ich nienawiści tylko jest to samo, ale jej przedmiot inny.

To też Irydionowi jakoś dziwnie smutno na sercu. On poznaje, że to nie to, czego on chciał, o czem marzył, za co walczył, dla czego gotów był oddać swoją wieczność starcowi pustyni. Cóż jemu z tego, że ten „krzyż, którym on niegdyś „wzgardził, bo go nie mógł zaostrzyć w żeleźca“, dziś zdaje „się znużony, jak on sam, opłakany, jak losy Hellady nie„gdyś“ — ten krzyż jemu nic złego nie zrobił — nie on „podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk, prosząc o posłu„chanie i chwaląc synów Grecyi, nie on ze zgrzybiałej ręki „Attala wydarł zapisy Pergamu, nie on po wszystkie czasy „uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał“ — za cóż Irydion mścić się ma na nim, dlaczego ma się cieszyć z jego poniżenia?

Materyalnie Massynissa dotrzymał słowa, pokazał Irydionowi Rzym w upadku; moralnie oszukał go, bo to nie ten Rzym. Nie ten, którego on nienawidził, jako siedliska przemocy i gwałtu, ale ten, który miał być arką sprawiedliwości i wolności, dwóch rzeczy, które Irydion kochał, choć jako poganin, nie mógł znać ani rozumieć trzeciej, miłości. Cóż mu z tego, że taki Rzym przeznaczeń swoich spełnić nie mógł? on nie tryumfuje nad nim, ale owszem on drugi raz z nim razem jest pobity. Bo on po swojemu, po pogańsku, źle, bo przez nienawiść i zemstę, ale on dobrej sprawie służył, sprawiedliwości pragnął, w Rzymie nienawidził przemocy, gwałtu, zdrady i zaboru. A tymczasem nie te widzi upokorzone i pokonane, ale krzyż znużony i opuszczony. Między krzyżem, między prawdą boską, a poczuciem choćby niezupełnem tej prawdy w sumieniu ludzkiem, między chrześciaństwem a miłością, choćby źle pojętą sprawy dobrej, sprzeczności zupełnej i niezgodzonej być nie może. Dlatego to Irydion taki czuje smutek na widok opuszczonego krzyża, dlatego taki czuje do niego pociąg, i dlatego także z tego krzyża spływa na niego przebaczenie i uświęcenie. Napróżno szatan rzuca na szalę ciężkie słowo, on mój, bo nienawidził Rzymu: anioł go broni, „bo on kochał Grecyę“, kochał dobrą sprawę. Ten anioł, opiekun Irydiona i jego orędownik w tym sądzie, który się nad nim odbywa, to jak w zakończeniu *Fausta*, anioł ziemski niegdyś i pokrzywdzony przez sądzo-

nego. Czy umyślnie zastosował Krasiński myśl Goethego, czy ją powtórzył niechcący, myśl jest ta sama i zastósowana pięknie; niegdyś ukochana i niegdyś tak okrutnie poświęcona Kornelia, łączy w sobie dwa charaktery: ziemskiej kochanki niegdyś i dzisiejszej świętej, kiedy modlitwą swoją zbawia Irydiona. Jak w *Fauście* i z równem jak tam znaczeniem i usprawiedliwieniem, *das ewig weibliche hier wird's gethan.*

Szatan historyczny może robić co chce, żeby zeszpecić co piękne, zepsuć co dobre, zarazić co zdrowe, spodlić co szlachetne: w zupełności swego nie dokaże. Może, korzystając z niezmiernego cierpienia, rozjątrzyć w ludziach żółć, może ich rozpalić do nienawiści, może „serca nawet dobre prze-„robić na wątroby“, może rozumy otumanić tak, że ludzie szkodzić będą sami sobie i swojej sprawie, może ich skusić do złych czynów, ale nie potrafi zmazać z ich sprawy znamienia szlachetności pierwotnej, nie potrafi z ich serc wykorzenić nazawsze uczucia dobrego: — a dopóki jakiś jego zaród, jakiś ślad pozostanie, oni zawsze będą zdolni podnieść się i wyszlachetnić. „O Panie! on jest moim, bo on kochał „Grecyę!“ — źle ją kochał, źle widział to, co względem niej był powinien; własną ręką, przez obłęd rozumu i sądu zadawał jej ciężkie rany; własną swoją wolę nawet krzywił i psuł, prawda. Ale on nie wiedział co czynił, a wiedział co kochał: i to, co kochał, było dobrem. Karać go można ale nie potępić; trzeba wystawić go na próbę szlachetności i cnoty, bo jest zdolny z tej próby wyjść zwycięzko. Więc w tym sądzie, odbywającym się u stóp krzyża, stojącego na środku Kolizeum, w tej walce o zbawienie i przyszłość Irydiona, który stoi „powyżej kusiciela, poniżej anioła“, zwycięża miłosierdzie i przebaczenie: przez wzgląd na dobre, jakie było w Irydionie, odpuszczonem mu jest złe, jakie robił. Ale nie bezwarunkowo. Rzecz tak święta i piękna jak miłość ojczyzny, nawet jeżeli do złego skusić i złem skazić się dała, nie stała się sama złą i ma prawo do przebaczenia. Ale nie na to ona jest przeznaczoną! nie zyskać przebaczenie jest jej celem i zadaniem, ale chwałę i cześć, bo ona jako jedna z rzeczy najpiękniejszych na świecie, im jest wyższą

z natury, tem wyższą powinna być w czynach; im więcej komu dano, tem więcej będzie się od niego żądać. Jeżeli miłość ojczyzny kiedyś, u Greka, u poganina, mogła być zmieszana z zemstą, z nienawiścią, z niejednem uczuciem i czynem złym, to może jej być darowanem dlatego, że poganin, Grek, nie wiedział czego od niego żąda Bóg, nie znał tego wzoru, do którego stosować miał wszystkie swoje uczucia i czyny. Ale dziś jest inaczej; to, co popełnione przez Greka, mogło mieć wymówkę, tego chrześcianinowi popełnić już nie wolno. Jeżeli tamtemu można wybaczyć złe, przez wzgląd na dobre, zemstę, zdradę, nienawiść, przez wzgląd na miłość ojczyzny, to dziś inaczej, bo człowiek dzisiejszy nie może o sobie powiedzieć, że nie wié co czyni. On wié, powinien wiedzieć przynajmniej, że każde jego uczucie i każdy czyn powinien być dobrym, pięknym, świętym; że jak miłość kobiety, jak miłość rodzicielska, jak miłość ludzi, tak i miłość ojczyzny u niego powinna być wyższą, doskonalszą, czystą. Grek zostaje rozgrzeszonym, choć był synem zemsty, dlatego, że kochał Grecyę — człowiekowi ery chrześciańskiej, Polakowi naprzykład, jużby to nie wystarczyło. Nie dość kochać, trzeba kochać dobrze, święcie, inaczej zgubi i siebie i sprawę, którą kocha i której służy. Nienawiść, zemsta, złość, nic nie zbuduje, nic nie wskrzesi. Iskra miłości ojczyzny, która pod nią tli, może być jeszcze tak silną, że pobudzi człowieka do czynów wielkich, do bohaterstwa bez granic, do poświęcenia bez miary, posunęła go, jak w *Irydionie*, aż do niegodziwości prawie; ale skutek z tego żaden, wszystkie te bohaterstwa i poświęcenia nie zdały się na nic, tylko na gorżką rozpacz tego, który siebie i wszystko poświęcił, i wszystko nadarmo. To mówi, tego naucza poemat *Irydiona*. Bo nie o to chodzi, żeby przez miłość ojczyzny dojść aż do niegodziwości; nie o to, żeby poświęcić cześć, honor, uczciwość, sumienie, jak on; nie o to, żeby z wielkiego poświęcenia i miłości stać się złym, niegodziwym, albo, broń Boże, podłym — nie, tego chce Massynissa tylko, którego sztuką jest na dobrem szczepić złe, który chce miłość ojczyzny zepsuć i skazić na to, żeby dobra

sprawa nie zwyciężyła nigdy. Innych poświęceń, bohaterstwa trudniejszego, żąda od nas miłość ojczyzny, pojęta po chrześciańsku i święcie. Nie życie, nie mienie, nie krew mężczyzn i cześć kobiet składać mamy na jej ołtarzu, bo ona nie jest Molochem: ale spalić mamy na jej ołtarzu złe, jakie jest w nas. „Sercem skruszonem i upokorzonem, Panie, nie wzgardzisz", i takie to serce złożyć mamy na tym ołtarzu: to jest ofiara „Bogu wdzięczna", serce wymiecione do czysta ze śmieci, z samolubstwa, z nienawiści, z dumy, z ambicyi, z zazdrości, ze wszystkich uczuć złych; podniesione, jeżeli być może, do tej cnoty najwyższej, jaką jest przebaczenie nieprzyjacielowi, to jest miłość ojczyzny chrześciańska, to poświęcenie niewidoczne a trudniejsze i skuteczniejsze od strasznych poświęceń Irydiona, to obowiązek względem ojczyzny, którego Grek rozumieć nie mógł, a na którego spełnienie przez chrześcian czeka Pan, ażeby „uczynił dobrze „Synowi w dobrej woli swej, aby się zbudowały mury jerozolimskie".

I na taką próbę posłany jest Irydion do „ziemi mogił „i krzyżów". — Miłość ojczyzny, która choć pogańska, dostała przebaczenie, bo była miłością ojczyzny, ale która pomimo wszystkich poświęceń tej ojczyzny, wskrzesić nie mogła dlatego, że była pogańską, teraz ma iść na próbę powtórną i celu swego dopiąć, przez poświęcenie złego w sobie, przez uświęcenie siebie. „Idź na północ do ziemi mogił „i krzyżów, poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku „drobnych dzieci, tam powtórna próba twoja. Po raz drugi „miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz „mógł skonać i męki tysiąców wcielą się w jedno serce „twoje". A zaraz jest i nauka, jak on ma służyć tej swojej sprawie: „Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, któ„rych ci powierzam, bądź spokojny na dumę i ucisk i na„trząsanie się niesprawiedliwych. Idź i czyń, choć serce „twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci „twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle „i bez wytchnienia, idź i ufaj imieniowi mojemu".

Ucisk i duma i natrząsanie się niesprawiedliwych, gorsze

od tego zwątpienie o braciach swoich, najgorsze ze wszystkiego te chwile rozpaczy, w których człowiek wątpi o Bogu samym, i pyta co się stało z jego sprawiedliwością, to wszystko już doświadczone, to jest i było, i Bóg wie, jak długo jeszcze będzie. Ale gdy to Irydion wytrzyma, gdy nie upadnie pod uciskiem i dumą, przez zwątpienie nie dojdzie do wzgardy, do przekleństwa i do nienawiści swoich, gdy przetrwa rozpacz samą i z niej nie przejdzie w wyparcie się Boga i samego siebie, wtedy: „przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świet-„nych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków „i staniesz się wolnym synem niebios“ — wtedy „po długiem „męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami, i udaruję was tem, „czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami, szczęściem, „i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty, wolnością“.

Taki jest ten poemat *Irydiona*, taka jest myśl jego i dążność. Miłość ojczyzny, żeby być skuteczną, powinna być czemś więcej jak dobrem uczuciem tylko, powinna być cnotą w czynie, cnotą zupełną, bez restrykcyi, na wszystkich polach i nieustającą. Bez tego nie zwycięży; nietylko nienawiść i zemsta, ale samo poświęcenie, samo bohaterstwo, nie zbudują nic, nic nie stworzą, jeżeli nie będą taką zupełną całkowitą cnotą, jeżeli nie będą czystą pięknością, szlachetnością bez skazy. O wielkości moralnej tego pomysłu mówić zbytecznie: jego rzeczywistą prawdę, jego wartość praktyczną mógłby podawać w wątpliwość i wyśmiewać Fryderyk Wielki i Voltaire, Pankracy z *Nieboskiej Komedyi*, albo szkoła nowoczesnych dyplomatów, jak Talleyrand albo Metternich; mąż stanu w całem znaczeniu słowa, Henryk IV, albo Batory, potwierdzi ją swoim rozumem i doświadczeniem, tak, jak ją potwierdza wrodzonym instynktem sumienie prostego człowieka. A uważać trzeba, że Krasiński nie żąda od nas niepodobieństwa — to nie ideolog, któryby chciał ludzi widzieć aniołami i marzył o jakiejś niedościgniętej idealnej świętości wszystkich. On chce rzeczy możliwej bardzo, zależnej od każdego, rzeczy nieledwie łatwej: to jest, żeby każdy na swoje widnokręgi patrząc, żył wedle dobrej woli. Mówiono nieraz o przesadzonym, utopijnym idealizmie Krasińskiego;

zarzucano mu, zwłaszcza z powodu *Psalmów*, że działa na swój naród szkodliwie, jakoby usypiająco; że mówiąc mu, jakoby Bóg dał mu wszystko, co dać mógł, wpajał w niego przekonanie, że on sam nic już działać, nic w sobie zmieniać nie potrzebuje, tylko zostać jak jest, a wszystko będzie mu danem, zrobi się samo. Być może, że wielu z nas taką naukę z jego poezyi wyciągnęło i że ona nam zaszkodziła; ale z pewnością nie jest to ta, którą on nam dać chciał. Złe zrozumienie czyjejś myśli przez drugiego, nie dowodzi, jakoby myśl ta była fałszywą i złą. Krasiński owszem wymaga po nas ogromnej i ciężkiej pracy nad sobą, a spełnienie jego świetnych obietnic podług jego myśli, zależeć ma od wykonania tej pracy. Że nie obiecuje jakiegoś cudu doraźnego, jakiegoś zwycięstwa, któreby spaść miało z nieba i na które tylkoby spokojnie czekać trzeba z założonemi rękami, dowodzi choćby sam ten epilog *Irydiona:* „przeżyjesz marnych, szczę-„śliwych i świetnych, jeżeli będziesz czynił ciągle i bez „wytchnienia“, a wtedy „zmartwychwstaniesz nie ze znu, ale „z pracy wieków“ — nie przez sen więc spokojny, ufny, a zgnuśniały w swojem bezpieczeństwie i pewności przyszłości, ale „przez pracę wieków“, przez pracę pokoleń przynajmniej, przy miłości ojczyzny, która nie jest zapałem tylko i bohaterstwem, ale jest całkowitą, jednolitą i nieustającą cnotą, dochodzi się do celu, do zwycięztwa swojej sprawy, do zbawienia swojej ojczyzny. Jest to równie dalekie od mistycznego, błogiego kwietyzmu, jak od gnuśnej bezczynności i zarozumiałej, zuchwałej pewności siebie.

Nieraz także z powodu *Irydiona* przypominano *Wallenroda.* Jako ludzie, istotnie Wallenrod i Irydion są do siebie podobni; jeden i drugi z tegosamego uczucia wychodząc, dochodzą do tej samej konkluzyi, do zemsty i zdrady. Ale jako myśl i dążność poematu, są właśnie przeciwnemi biegunami, *Irydion* jest zaprzeczeniem *Wallenroda.* Mickiewicz przyznaje słuszność bohaterowi swojej przepysznej powieści. Podług niego (w czasie kiedy *Wallenrod* był pisanym), Konrad robił dobrze, robił, co był powinien, był ideałem patryotyzmu niezaprzeczonej, niewątpliwej wartości

i prawdy. Krasiński nie rozczula się wcale nad poświęceniami i cierpieniami swojego greckiego Tytana, on go sądzi, i w tym sądzie ledwo go zbawia. To, że był synem ojczyzny, to go nie usprawiedliwia i nie daje mu prawa być synem zemsty. Byłoby niesłusznem naciąganiem, gdybyśmy z tego porównania wnosić chcieli, iż pojęcie moralne w ogólności, i pojęcia miłości ojczyzny, obowiązku patryotycznego u Mickiewicza, było niższem, aniżeli u Krasińskiego. Pieśń zemsty w *Dziadach* i *Wallenrod*, były to usposobienia przemijające u Mickiewicza, stanowiska, które rychło opuścił. Ale zestawiając tak nie poetów, tylko te dwa dzieła, te dwie postacie, nie można zaprzeczyć, że wyższość moralna i wyższość patryotyczna jest nie w pomyśle i postaci *Wallenroda,* ale w pomyśle i postaci *Irydiona.*

W ten sposób odpowiedział sobie Krasiński na pytanie, czy Polska odżyć może, i przez co; a niezawodnie była w tem zasługa, przynajmniej zasługa odwagi, żeby jej to powiedzieć w chwili rozpaczy, namiętności rozognionej do najwyższego stopnia, nienawiści wzrastającej z każdym dniem pod wpływem coraz nowych prześladowań; a nie sama tylko zasługa odwagi, ale i zasługa mądrości zarazem, i zasługa obywatelskiego obowiązku, patryotycznej rady. Bo dać nam przeczytać *Irydiona,* to dać nam do zrozumienia, że nie ma uczucia tak dobrego, tak pięknego i świętego, któreby od wpływu złego pewnem i raz na zawsze zabezpieczonem było; to dać do zrozumienia, że im wyższe, im szlachetniejsze nasze uczucie, tem bardziej, tem zawzięciej krąży około niego Massynissa, żeby z niego wydobyć złe, i tem łatwiej oszukuje nasze sumienie; to było powiedzieć nam, żebyśmy się mieli na baczności, bo przez zbałamucenie sumień dochodzi się do skażenia woli, i do osłabienia rozumu, a ztąd do przegranej spraw najlepszych, czego chce, z czego się potem śmieje historyczny szatan. Z nas, śmiał on się już nieraz podobno, może nawet od napisania *Irydiona* już nieraz — oby nigdy więcej, oby się już nigdy od nas takiej pociechy nie doczekał.

Co do piękności artystycznej *Irydiona*: nic trudniejszego, jak z tego stanowiska oceniać poemat, w którym ten wzgląd jest niezawodnie podrzędnym. Gdyby go brać na examin ściśle psychologiczny, możnaby zapewne powiedzieć, że na tych figurach znać allegoryę, że nieraz widocznie są wcielonemi ideami raczej, a nie ludźmi. Ależ, to było ich przeznaczeniem! a na ten zarzut odpowiedzieć można słusznie, że nieraz, może i częściej, kiedy Irydyon żegna się z siostrą, albo kiedy przed Ulpianem oskarża Rzym, zapomina się o znaczeniu allegoryi, o symbolach i ideach, a widzi się przed sobą człowieka, czuje się z nim razem. Możnaby ze stanowiska historyi i archeologii pytać, czy Rzym Krasińskiego jest wiernem i ścisłem podobieństwem rzeczywistego ówczesnego Rzymu, możnaby zarzucać, że są w *Irydionie* uczucia i wyobrażenia światu tamtemu nieznane: ależ, odpowiedziałby na to poeta, nie chodziło o fotografię, ale co najwięcej o ogólny poetyzowany obraz ludzi i wypadków fikcyjnych, z ogólnem i poetycznem tylko podobieństwem do rzeczywistej historycznej epoki. A jeżeli w *Irydionie* znajdą się rysy odmienne od tradycyjnych linij antyku, to wrażenie całości, obraz świata próchniejącego i rozpadającego się, to mówi za poematem, i jest nie ogólnym tylko, dowolnym obrazem jakiegokolwiek zepsucia i rozkładu, ale jest naprawdę obrazem Rzymu Cezarów, zgodzi się zawsze z Tacytem i z Juwenalem, choć nie zawsze może z klassyczną rzeźbą i z umiejętnością archeologa biegłego w rzymskich starożytnościach. A gdyby wreszcie chciał kto dodać, że uroczysty ton prozy *Irydiona* wpada tu i owdzie w przesadę i staje się nużącym przez swoją majestatyczność i obrazowość, to takiemu odpowiedzieć łatwo, że nadmiar gdzieniegdzie trafić się może; ale gdzież znowu znalazłby się ten majestat, ta uroczystość, ta wielkość prawdziwa stylu i języka? może nigdzie.

Pomysł *Irydiona*, był niezawodnie jeden z najzuchwalszych, jakie kiedykolwiek były poczęte, a wykonanie jego było trudnością, nad którą zdumieć się trzeba. Wymyśleć Greka, który swoją ojczyznę chciał pomścić na Rzymie upa-

dającym, wymyśleć całą jego historyę, jego spisek, jego walkę i jego przegraną, to było dość śmiałe. To zaś pociągało za sobą konieczność wystawienia obrazu Rzymu; trzeba było z Juwenala, Tacyta, Suetoniusza, Gibbona, zrobić poemat. Nie dość na tem; trzeba było, żeby ten obraz, cały starożytny jak być może najbardziej klassyczny, dał się nagiąć do ukrytej myśli poety i był jej tłómaczeniem wiernem i wyraźnem. A ktoby te przeszkody zmógł nadludzkiem męztwem, dalej spotkać się z większem miał niebezpieczeństwem; bohater takiego poematu, Grek, syn zemsty, potomek Filopoemena, spadkobierca miłości ojczyzny i poświęcenia Milicyadesów i Leonidasów, musiał być więcej jak człowiekiem, musiał mieć wielkość Tytana, wielkość półbogów greckiej mytologii, poezyi i sztuki. A nad nim jeszcze, większy i potężniejszy nawet od niego, unosić się musiał ten jego zły duch, szatan krzyżujący drogi świata, i na kartach historyi zapisujący „swe zdrady“ wszędzie, gdzie Bóg miał zapisywać przykłady swojej miłości, jedyny podobno w poezyi świata szatan tak pojęty, i takiemu dziełu oddany? A przecież, kto powié, że tego nie ma w *Irydionie?* Kto powié, widziawszy Heliogabala i dwór jego, Ulpiana i Alexandra, i gladiatora Sporusa, że nie ma w *Irydionie* Rzymu Cezarów? kto powié, że ten Grek zmyślony, którego nigdy nie było, nie wydaje mu się prawdopodobnym, prawdziwym, rzeczywistym, albo, że Elsinoe nie jest jedną z najidealniej czystych i najbardziej rozrzewniających poetycznych kreacyj? kto zaprzeczy głębokości wielkiej a smutnej wszystkim scenom katakombowym, a zwłaszcza, kto będzie śmiał powiedzieć, że *Irydion* nie ma takiej miary pół-boga, jak żeby był wyszedł z pod ręki Fidyasza albo Eschyla; że Massynissa nie ma takiej miary szatana, jak żeby potężna fantazya Miltona była wydała dwóch braci bliźnich szatanów, z których jeden miał uczepić się człowieka, a drugi ludzkości? Nie — pod tym względem, jeżeli pomysł *Nieboskiej komedyi* jest więcej uderzający prawdą widoczną i stwierdzoną, namacalną, i przez to wydaje się nam, słusznie, najgienialniejszym z Krasińskiego pomysłów, to *Iry-*

dion znowu musi uchodzić za jego pomysł najpiękniejszy i najpiękniej wykonany, za jedno z wielkich dzieł na naszym świecie.

O wielkiej, rzeczywiście nadzwyczajnej piękności Prologu, (zwłaszcza jego początku), i Epilogu, mówić zbytecznie, dodać więc tylko trzeba jedno małe spostrzeżenie. Ze wszystkich znanych na świecie poezyj, nie ma jednej, którąby była poezyą Rzymu dzisiejszego w tym stopniu, co *Irydion.* Rzecz wiadoma, że ze wszystkich miejsc na świecie, żadne tak na Krasińskiego nie działało, żadne tak nie opanowało jego umysłu i wyobraźni, jak to miejsce klassycznych ruin, natury majestatycznej jak żadna, a majestatyczniejszej nad wszystko historyi. Ale też cała powaga tego miejsca, jedynego w świecie, cała jego piękność klassyczna, i cały nieopisany jego smutek, odbił się w *Irydionie* tak, że często czytając jakieś jego ustępy, ma się wrażenie takie, jak żeby się patrzało na groby i wodociągi kampanii, na ruiny dawnego miasta, oplecione pełzającym i bluszczem i ludem. Znać w każdem słowie, że ten człowiek dzień i noc patrzał na to wszystko, dumał nad tem, czuł to, i tak się tem przejął, tak jego wyobraźnia przepoiła się temi widokami i wrażeniami, że niechcący, nie opisując, co chwila rzuci jakieś słowo, które człowieka przenosi w kampanię, lub na Forum; jak naodwrót, będąc na miejscu, na każdym kroku przypomina się *Irydion*, myśli się wyjątkami z *Irydiona*; nowy widok, nowe wrażenie wita się nie swoją myślą i słowem, ale tem lub owem słowem Krasińskiego, które pamięć podsuwa jako najwierniejszy, najżywszy wyraz na to, czego się właśnie doznaje. Jak Byron w Grecyi i na wyspach Archipelagu, jak Mickiewicz w polskich lasach i polach, jak Słowacki „w szwajcarskich górach,“ tak *Irydion* przypomina się na Palatynie, na drodze Appijskiej, a zwłaszcza w miejscu wybranem Krasińskiego i *Irydiona*, w Amfiteatrze Flaviana. I nieraz przypomina się to, co on w jednym ze swoich listów napisał: „Takem przylgnął nie do ludzi tutejszych, ale do „kamieni, że czasem, zamiast podpisu mego, gotówbym na„bazgrać „rzymska kampania“. Szuka się też prawie, czy

gdzie na jakim kamieniu nie odbił się jaki ślad jego myśli, czy się jego imię gdzie nie zapisało, wedle pięknych słów tego jego wiersza:

Może kto kiedyś, na jednym z tych wzgórzów,
Wśród prochu bogów i gruzu podmurzów,
Gdzie róż i bluszczu powiązane zwoje,
Bluszcz gdy odchyli, znajdzie imię moje.

Znajduje się je tam istotnie wśród prochu bogów i wielkich ludzi; a z tego pogrobowego życia wieków, wyrósł istotnie, jak on przypuszczał, laur, który mu czoło ustroił — ten laur nazywa się *Irydion*.

Jedna jeszcze na zakończenie o nim uwaga. Jest on ostatnim w szeregu dzieł znakomitych, stanowiących gałąź osobną a bardzo bujną poezyi europejskiej XIX wieku.

Faust rozpoczyna w literaturze świata ten szereg dramatów, które nazywano fantastycznemi, allegorycznemi, ideowemi, różnie, a które od dawnego dramatu Greków i Szekspira, różnią się właściwie tem, że ich przedmiotem nie jest natura człowieka z swojemi uczuciami i cierpieniami, ale zagadnienia, tajemnice, prawa, ludzkiej myśli i ludzkiego bytu. Rodzaj przez Göthego stworzony przyjął się, wydawał dzieła wielkie, jak *Kain* Byrona i *Dziady* Mickiewicza; wydawał pod ręką naśladowców i małe, i nawet śmieszne. Z wielkich, ostatnim jest *Irydion:* on zamyka ten pochód, na którego czele stoi *Faust*. Po nim już dramatów takich nie było, jak od Krasińskiego śmierci nie było w świecie wielkiego poety, wielkiej poezyi.

Przypisek. Wobec słusznego ze wszech miar zwyczaju, jakim jest dochodzenie związku pomiędzy pewnem dziełem, a poprzedzającą, lub współczesną literaturą, należy tu wspomnieć, że Lucyan Siemieński, ogłosił w *Czasie*, w roku 1870, przekład polski francuskiego dyalogu pana de Ferrière, ogłoszonego jeszcze w roku 1830, w zbiorze pism tego autora, pod tytułem *Il vivere*, i pod przybranem nazwiskiem Samuela Bach. Siemieński przypuszczał, ze ów *Heliogabal*, jeżeli nie służył Krasińskiemu za wzór do *Irydiona*, to przynajmniej obudził w nim ten pomysł, i dostarczył mu niektórych szczegółów. Odwoływał się przytem (prywatnie) na świadectwo Stanislawa Koźmiana, któremu ów wplyw *Heliogabala* na *Irydiona* miał być jakoby wiadomym, i przez niego uznanym.

W swoim czasie zdawaliśmy sprawę z tej hypotezy literackiej (*Przegląd Polski*, luty, 1873). Tu zapisujemy krótko, że naprzód Stanisław Koźmian, wyczytawszy swoje nazwisko, jako niby świadka w tej sprawie, zaprzeczył (w liście prywatnym) domysłom Siemieńskiego, nietylko stanowczo, ale z oburzeniem. Że dalej, pomiędzy dyalogiem Francuza a poematem Krasińskiego, jest jedna tylko rzecz wspólna, to jest, że Heliogabal w obu występuje. Zresztą, ani w treści, ani w formie, ani w sytuacyach, ani w figurach, ani w myśli głównej, ani w rzeczach podrzędnych i dodatkowych, niema nic zgoła wspólnego, czy podobnego, i nic w dziele francuskiem takiego, coby Krasiński był użył w swojem, choćby w największem przerobieniu i przemianie.



ROZDZIAŁ VI.

1836—1840.

I. 1836—1838. Zima we Włoszech. Znajomość ze Słowackim i sąd o nim. Walki wewnętrzne. Lato u wód. Rozpaczliwe słowa o Polsce. Chwile wesołości. Przyjaźń i pociecha dla Sołtana. Pierwsze wiersze miłosne. Zima w Wiedniu. Polacy tamtejsi. Teatr. Zniechęcenie do siebie. Ojcowskie plany ożenienia. Opór. Spotkanie z ukochaną. Nowe wiersze. Powtórna zima w Wiedniu. Ostatnie spotkanie. Podróż do kraju. Zerwanie. Jesień we Włoszech. Wiersze. Ich charakterystyka. II. Rok 1839. Znajomość z rodziną Komarów. Pani Delfina Potocka. Pierwsze wrażenie Krasińskiego. Miłość. Jej wyznania w listach. W wierszach. Jej charakter. III. Szczęście i smutek. Powody smutku. Cierpienie patryotyczne. Pokusa zwątpienia. Niejasność pojęć religijnych i filozoficznych. Stosunek z ojcem. Plany ożenienia. Opór. Panna Eliza Branicka. Przewiezienie zwłok Napoleona. Nowe dzieła. IV. Nowe przyjaźni. Słowacki. August Cieszkowski. Jego *Prolegomena do historyozofii.* Wpływ na Krasińskiego.

I.

1836—1838. Zima we Włoszech. Znajomość ze Słowackim i sąd o nim. Walki wewnętrzne. Lato u wód. Rozpaczliwe słowa o Polsce. Chwile wesołości. Przyjaźń i pociecha dla Sołtana. Pierwsze wiersze miłosne. Zima w Wiedniu. Polacy tamtejsi. Teatr. Zniechęcenie do siebie. Ojcowskie plany ożenienia. Opór. Spotkanie z ukochaną. Nowe wiersze. Powtórna zima w Wiedniu. Ostatnie spotkanie. Podróż do kraju. Zerwanie. Jesień we Włoszech. Wiersze. Ich Charakterystyka.

Już w Lutym roku 1836 donosi Krasiński Gaszyńskiemu, że rękopism *Irydiona* powierzył komuś (Romanowi Załuskiemu), żeby go oddał do druku w Paryżu. Druk się opaźnia; w letnich dopiero miesiącach tego roku mówi o nim autor, jako o wydanym, i dopytuje się, czy nie ukazały się jakie krytyki; a tymczasem niecierpliwi się i obawia, czy nie stało się z jego nowym poematem tak, jak z *Nieboską Komedyą*, której pierwsze wydanie księgarz w Frankfurcie u siebie schował i na świat go nie wypuścił, w przypuszczeniu, że rzecz przez Polaka napisana, musi być rewolucyjną i sprzedającego naraża na zajście z policyą. Z jednego ocalonego exemplarza dopiero, zrobiono w Paryżu wydanie drugie, a pierwsze, które doszło do rąk publiczności.

Krasiński jest we Włoszech. W początkach marca pisuje jeszcze z Florencyi, w końcu maja jeszcze z Rzymu. Ze zdarzeń, jakie w ciągu tych paru miesięcy zaszły, jedno jest tylko do zapisania: znajomość nowa, a w jego dalszem życiu wiele znacząca, znajomość ze Słowackim. Pierwsze wrażenie, korzystne dla poety, choć wrodzone niedostatki jego talentu przenika Krasiński i określa bystro: „Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezyi obdarzony od nie-

„bios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie do harmonijnej rów„nowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, „szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne „pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz na„wet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. „Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do har„monii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić „dyssonanse z prawdziwemi dźwiękami. Brak mu czasem „powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy „nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności „tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie prze„znaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie za„warte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć „tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza (do Gaszyń„skiego. List XXX. Rzym, 22 maja 1836).

Wizerunek człowieka, skreślony w kilka miesięcy później, i pod zastrzeżeniem dyskrecyi Gaszyńskiemu przesłany (20 listopada 1836), niemniej trafny zapewne, ale mniej podchlebny: „Słowacki jest w Egipcie. Boję się o zdrowie „Juliusza, bo nie długowieczny, a tam łatwa śmierć, tak jak „łatwe życie. Dziwny to kontrast w tym człowieku: awan„turniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. „Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi „w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, „w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w By„ronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir być musiał; „ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej światem. „Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt; rozlani w cudzych „charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na „godność osobistą; słowem, są to siły ogromne duchowne, „ale nie ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla „siebie. Ogadywaćbym go nie chciał, tak jakbym w żadnym „przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami „obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością; „zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej „zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich „podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury“.

W wewnętrznym za to stanie uczuć i myśli zdają się odbywać jakieś przemiany wielkie i bolesne. Listy Krasińskiego są wprawdzie tak stale i zawsze smutne, że trudno jest dopatrzeć stopni i odcieni w tym smutku i mierzyć je; a jednak usposobienie jego w tym czasie jest chyba jeszcze bardziej, niż zwykle posępne. Ze wskazówek niektórych wnosić można, że jego uczucia religijne i jego pojęcia filozoficzne doznają jakiegoś wstrząśnienia. On, który w pierwszej młodości pytał przyjaciela, jak się nie wstydzi nie być katolikiem, a księdza Lammenais sądził surowo, i słusznie, w grudniu roku 1834 daje już poznać mimochodem jakąś w sobie pod tym względem zmianę, kiedy pisze do Sołtana: „im „więcej człowiek *silną wiarę traci,* tem bardziej zabobonnym „się staje“. Teraz, w zwierzeniach swoich (do Gaszyńskiego) daje poznać jakąś w sobie walkę pomiędzy silnemi pokusami zwątpienia, a wstrętem do niego: „Obyś nie przyszedł do „stanu przeklętego, w którym poeta zapytuje samego siebie: „Jestże poezya, niemali jej na świecie?“ Cierpkie to zwątpienie, a zarazem za niem, jak dwa widziadła, stąpają dwa „drugie zwątpienia: jedno o Bogu, drugie o nieśmiertelności „duszy własnej.

„Przekleństwo tym Niemcom, Panteistom, filozofom. Oni „chcą, by materya i duch jedno były; by zewnątrz świata, „by za naturą nic już nie było; by organizm świata był „Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznem „umieraniu cząstek swoich. Przeklęci, przeklęci — oni mnie „pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to „prawdą, żeśmy błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, „infuzoryami, idącemi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo „organiczne? a jeśli prawdą, że świat tylko nieśmiertelny, „a wszystka cząstka jego śmiertelna, odmienna, bez wiecznej „indywidualności? jeśli Bóg, to otchłań tylko przemian bez „końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogniwach, to ocean, w którym każda „fala wspina się, by kształt dostać i opada natychmiast bez „kształtu?“

A dalej w tymsamym liście taka skarga i taki ponury opis siebie samego: „W poezyi mojej nic nigdy nie było naiwne-„go, potulnego, dobrego. Szatan, nie anioł stróż mój, natchnął „mnie od lat dziecinnych. Zawsze pękające serca, przekli-„nające siebie same serca cisnęły się pod moje pióro. Gruz „i popiół, oto państwo moje! i siedząc na tych ruinach zżar-„łem ostatki nadziei i miłosierdzia Pańskiego w sobie. Sta-„rością jakąś zawsze cechowały mnie bogi; nigdym nie był „tak niewinny, tak dobry, tak ufny jak ty, i dlategom nigdy „nie był jako ty szczęśliwy. Ozwała się we mnie potrzeba „niewinności, konieczny mus wiary w niewinność, kiedym „już stary na sercu, kiedy już niewinności ufać nie zdołam. „Coś czystego, coś czystego daj mi, a ja ci duszę oddam „w zamian. Wieku mojego nie cierpię, a jednak wszystko „we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję; tesame roz-„huzdane żądze i niemożność tasama, tesame półwiary „i półbłyski rozumu, i tasama nuda ogromna, straszna, pie-„kielna, zimna jak lud, pożerająca jak ogień". (List XXVIII. Florencya 9 lutego 1836).

Rzecz aż nazbyt widoczna, że on to rozdarcie swojej duszy przypisuje „Niemcom filozofom", bo inaczej, czemużby ich tak gorżko przeklinał. Musiał więc w nich się zagłębiać, i z nich wciągnąć w siebie te wątpliwości, które go dręczą. A jednak nie poddaje się, pasuje się z niemi, bronić od nich musi siebie samego, skoro broni przyjaciela: „Co do pantei-„zmu, wątpię, byś w nim wyszukał jaką pociechę. Panteizm „Spinozy a ateizm, to jedno. Świat w myśli Żyda, który się „w końcu powiesił z rozpaczy, jest ogromną otchłanią życia „i śmierci, czyli przerobów życia, ale bez poczucia się wła-„snego. Bóg zjednoczony ściśle ze światem, jest jakoby nie-„skończone zwierzę bez granic, zwierzę instynktowe, fatalne, „w której wszystkie indywidualności giną, a które indywidu-„alnościami się objawia. Dusza człowieka pojedynczego w krai-„nach ducha staje się temsamem, co siła elektryczna lub „magnetyzm, dziś przypięta do tego metalu, jutro pochłonięta „w obszar natury, grzmiąca po chmurach: ale czy tu, czy tam, „niepojęta sobie samej, niebędąca sobą. Z fatalnie krążącej

„*anima mundi* iskra ci się dostała, a kiedy pęknie obłoczek, „kształt twój dzisiejszy, ta iskra innym obłoczkiem się przy„oblecze; ale ty gdzie będziesz? Ah! niema nigdzie ciebie, „niema nigdzie Boga! Jest tylko wieczność siły, niema wiecz„ności myśli, ani miłości, ani wiary, ani nadziei, bo indywi„duów nieśmiertelnych niema, są tylko nieśmiertelne Nicości. „India na sześć tysięcy lat przed Żydem wisielcem Spinozą, „takie już rozumowała rozpacze. Tak, panteizm jest to roz„pacz wyrozumowana, panteizm zatruł mi wiele wiar; i dla„tego proszę cię, nie ufaj jemu. Czekaj lepiej w niepewności „zgonu, niż żebyś miał uwierzyć w tak okropną i suchą „pewność".

Echo tych walk ze swoją własną myślą, i osad tych pojęć filozoficznych, które on odpycha, a którym przecież ulega, znajdą się kiedyś w *Trzech Myślach Ligenzy*, w *Synu Cieniów*. Domyślać się można, że ta walka i to rozdarcie trwają, że może rosną w nim coraz boleśniejsze, że on w tym stanie był przez całe lata, aż do czasu, kiedy pod wpływem *Prolegomenów* Cieszkowskiego odbył się nowy zwrot w jego myśli, i znalazł się fundament, na którym zaczął wznosić budowę swoich późniejszych stałych pojęć i przekonań.

W pierwszej połowie czerwca tego samego roku jest już w Kissingen, potem w Pradze i u wód czeskich dla widzenia ojca, potem jeszcze w Graeffenbergu, u sławnego wtedy doktora Priessnitza dla ratowania własnego zdrowia. Tam, w Czechach, musiał spotykać ludzi, którzy go oburzali, słyszeć mowy, które go gorszyły, odbierać wiadomości, które go trwożyły, bo to, co pisze o moralnym i politycznym stanie Polski, tchnie czarną rozpaczą.

(1836. 1 Augusta Praga). „Szczególne próbki towarzystwa „warszawskiego *fashionable* za dni teraz płynących, przecha„dzają się po Karlsbadach i Marienbadach; przechrzty, celnicy, „ludzie spanoszeni od 1831 r. arendą wziętą od rządu na wódkę „i tabakę, gadający o swoich kucharzach, appartamentach, „o balach dawanych w Zamku pod kolumną Zygmunta, w któ„rych figurują na pierwszem miejscu wraz aj waj! z panami „polskimi pozostałymi. Był w Marienbadzie jeden exemplarz

„tych panów; z matką, z siostrami, włokący się za tymi ży-
„dami z prawdziwie świętą rezygnacyą, rozmawiający z nimi, „jedzący, piknikujący, tak zupełnie oddany im, jak słyszałeś, „że niegdyś starożytni oddawali się Fatom, kiedy poznali, „że daremna przeciw Fatom walka. Nic zabawniejszegoby „dla mnie nie było, gdybym sam nie był Polakiem; ale to „wszystko zmienia, i coby śmiesznością tylko się wydało, „w tem znaczeniu musi podłością koniecznie być. Im bliżej „do rodzinnej ziemi, tem obrzydliwsze powstają widma. Na-„przykład we Włoszech ujrzysz jeszcze ludzi możnych, jeszcze „jakiś polor czasami czegoś mających; w Kissingen nad „Renem ujrzysz z kijowskiej gubernii skąpego filantropa, „przecież jeszcze mówiącego dobrze po francusku, żałującego „dwóch guldenów dla biednej żony, ale jeszcze, jeszcze ujść „mogącego. Lecz w Karlsbadzie i Marienbadzie już wytrzy-„mać nie potrafisz; tam ni Ukraina, ni Wielkopolska, ni Litwa, „ale wylały się pomyje, co zostały na dnie w tej beczce, „braha zkiśniała gorzelników i piwowarów. Tam dopiero „usłyszysz i pojmiesz, co to Polska dzisiaj: jak wszystko „się płaszczy, jak wszystko przekupne, jak urzęda przez „Polaków odzierżone, dziesięćkroć razy straszniejszemi są, „niż piastowane przez Moskali; jak wali się z pieca na łeb „ostatek godności narodowej, jak z nędzy i hańby powszechnej „korzystają Niemcy i Żydzi, jak Żydzi wszędzie i Żydzi „tylko mają wpływy, znaczenie, potęgę, dostatki. A jak zo-„baczysz na własne oczy te figury naszego *tiers-état* gorsze „tysiąc razy niż niemieckie bankiery i epissiery niemieckie „lub francuskie, podlejsze i chciwsze niż najlichszy *agent de* „*change* czekający w przedsieniu Rotszyldów, bogatsze i po-„tężniejsze w dzisiejszym stanie rzeczy, niż największy pan „polski, to ci coś przeklętego w sercu się stanie, to i łzy „zakręcą się w oczach, i świat cały ci się wyda tylko marną „*farsą*, której chyba koniec jest początkiem czegoś szlache-„tnego i lepszego, lub przynajmniej ciszą!

(Do Sołtana: Praga 5 Augusta 1836). „Coraz gorsze „wiadomości dochodzą z Azyi. Wyszedł „ukaz porównywa-„jący szlachtę Królestwa z Moskiewską, i rozkazujący, by

„każdy wywiódł swoje szlachectwo. Najpewniejszy sposób „pożałowania w chłopy tysiąców naszej szlachty, najpew- „niejszy sposób zniszczenia na majątku biednych wielu; pole „ogromne jak ocean, szykany, kruczków, ucisków wszelkiego „rodzaju. Dalej przymus wchodzenia w służbę: każdy nie „w służbie, tak jak w Rossyi, za niedorośl uważany, a prawo „szlachectwa traci rodzina, która przez trzy pokolenia nie „wchodziła w służbę. Tem rozporządzeniem ostatecznie *redacti* „*sumus in provinciam.* Trzeba przyznać, że się djable nie „udało. Zewsząd Polska się wali, za granicą głupstwem wielu, „gałgaństwem niektórych, w samym kraju przemocą z góry „i podłością samychże mieszkańców w niejednym względzie. „Serce się kraje na taki widok, bo demoralizacya narodowa „coraz szybszym krokiem postępuje, coraz do Żydów podo- „bniejniejszymi się stajem, coraz bardziej sine plamy śmierci „na nowym trupie się rozlegają i wyciskają. Powtarzam, „w takim stanie rzeczy tylko starożytni stoicy radę sobie „dać umieli: po odbytej biesiadzie kładli się do łoża, a na- „zajutrz rano niewolnicy zastawali ich, sztylet po rękojeść „w sercu wbity. Kto z potokiem walczyć nie może, a nie „chce spodlić się mułem jego brudnych fal, ten powinien „scenę porzucić. Żyć, by jeść i pić hańbę, by wypaść się „hańbą, by stać się nareszcie karmnym wieprzem na brahi „spodlenia, niewarto! Większa część ludzi powié, żem sza- „lony, ale ty tego nie powiesz, bo jesteś jeszcze z tych, „w małej liczbie pozostałych na dzisiejszym świecie ludzi, „którzy wierzą w czucie głębokie, w honor, w pewne myśli „święte, więcej warte niż grosz lub cielesne używanie życia. „Ale strach mnie ogarnia Adamie! bo takich ludzi przez „Boga już mało bardzo, coraz mniej ich i mniej. Każdy „dzień nową garstkę podłych i skąpych, chciwych i w nic „nie wierzących przynosi, a zabiera szlachetne istoty, czy „przecinając ich życie, czy też przemieniając ich na tchórzów „i podlców niewymowną siłą okoliczności i zwątpienia. Kiedy „obejrzę się wokoło, zdaje mi się, żem w pustyni i że coraz „samotnieję bardziej. Zobaczysz, że pod koniec życia od- „dadzą nas do szpitala waryatów. Rzuć okiem na nieszczę-

„śliwą naszą ojczyznę rozsypaną po ziemi od Dźwiny i Dnie-
„stru po brzegi Afryki, kogo napotkasz? Awanturników bez
„czci i wiary, tam, gdzie gorętsze słońce; spokojnych ludzi
„bez czci również i wiary, tam, gdzie bledsze i chłodniejsze!
„następnie naszą nieszczęśliwą ojczyznę, nędzną, w mękach
„oddającą ducha Bogu, który nas opuścił. Wszędzie parcie
„okropne przeznaczenia, brak powietrza, czarno, duszno, ja-
„koby dzień ostatni sądu się żbliżał, a na nim naród polski
„miał być potępionym. Źle mi nad miarę, szukam jakiejkol-
„wiek ulgi, powierzając ci te myśli moje, posyłając je tobie
„daleko, gdyż wiem, że w twojej duszy znajdą echo, że
„spadną na serce twoje równie smutno jak na mojem leżą, i że
„ów wspólny żal będzie niezłomnym węzłem między nami.
„Ale szperać jakie nasze losy na później, próżnemby było;
„każdego z nas zapewnie gorżkie dni czekają, łudzić się
„nadzieją, byłoby dziecińnstwem“.

Chwilami rozpogadza się niby na krótko, naprzykład kiedy opisuje swoją kuracyę w Graeffenbergu: „Nie wiem, „czy ci wspominałem w przeszłym liście o miłem położeniu, „w którem jesteśmy. Co noc o 11 lub 12 muszę wracać od „Danielewicza po drodze, na której mego Jana (służącego) „wywrócono, skaleczono w głowę i w rękę, i na której dru„gim przydarzało się tosamo w tych czasach. Jestto droga „w wąwozie, krzaczkami poprzerywana, pełna głazów dużych „i kryjówek. Zrazu trzeba iść koło cmentarza, potem wśród „pól; na zakręcie drogi są dwie mogiły, jedna po wisielcu, „druga po takim, co sobie w łeb strzelił. Otóż w miasteczku „rozdwojone zdania. Burmistrz, oberżysta, słowem *Honora„tiores et doctiores* twierdzą, że to rozbójniki, łotry, przemy„cowniki, ludzie jednem słowem, którzy Jana poranili. Fur„man zaś, praczka, córki krawca, i ogólnie płeć piękna utrzy„mują, że to ci dwaj samobójcy, przywodząc na dowód tego „powieści przeszłoroczne jedne straszniejsze od drugich, „a w tem niesmaczne, że wszystkie na kijach albo na ranach „się kończą, i to zawsze na temsamem miejscu, na zakręcie „drogi. Dopóki trzysta osób jadało w sali Graeffenberskiej, „dopóki świeciły gwiazdy lata, dopóki chadzaliśmy po tej

„drodze z piękną Adelaidą Reichenbach i z jej ciotką, nic „nie było słychać ani o widmach ani o złodziejach. Wtem „rozjeżdżają się hrabiowie i hrabiny, baronowie i oficery, ja „i Danielewicz sami jesteśmy, zima góry śniegiem przyprósza, „drogi błotem: zimno, głucho, samotnie się robi; cholera „coraz bliżej nas ściska... Wtedy jawią się rozboje, powstają „widma, strachy, otwierają się groby, tysiące powieści wy„dobywa się z ukrycia, okolica zamienia się na Pandemo„nium. Wszyscy coś trupiego mają do opowiadania: poczty„lion w rowie spotkał umierajacą babę i dalej pod krzyżem „dziecko umarłe z cholery; rymarz, wracając z pola w nocy, „obalony został na ziemię, i ktoś mu nożem na czole wyrżnął „cierniową koronę. Burmistrz na to odpowiada, jak przed laty „gdzieś spotkał cyganów i wielkie męstwo pokazał, dobywszy „szabli i uciekłszy co żywo przed nimi. Temu stanął zegarek, „choć nie pękła żadna sprężyna. Piekarzowi nie udały się „bułki, u doktorowej drób zdycha, a mąż choć przyrządza „pigułki, nie może pomódz. Taki jest obraz dni smętnych, „które teraz spadły na miasto szląskie imieniem Freywaldau. „Co dalej będzie, nie wiem; to wiem tylko, że co noc z pi„stoletami wracając do domu, upatruję wszędzie wisielca, „i gotówem z niego zastrzelonego zrobić“.

I w innych listach żartuje niby, ale jakież to smutne żarty! „W tych dniach — pisze raz bez daty (List XXXII) — „los mojej duszy się rozstrzygnie. Albo wzbudzę w niej iskrę, „albo zebrawszy wszystkie siły, stworzę sobie jakąś postać do „kochania idealnie i ubiorę ją w kształt, albo też przekonam „się, żem głupi na wieki i każę sobie zrobić maleńki sarkofag „z szylkretu z napisem dnia, w którym pożegnałem ją, a pod „spodem będzie: *„dzień śmierci rozumu mojego“*. Ale potem „co zrobię? czy świnie paść będę? czy strzydz owce? czy „się wykieruję na dobosza? czy jak mój stryj garnków fabrykę „założę? Tyle dróg przedemną, a ja się waham? Nie, nie. „Sprawię sobie portki à la Général Aléxandre, i płaszcz duży, „i będę z niego bułki sypał wiedeńskim łazarzom. Albo, oże„nię się z brodawką, kołtun spłodzę, i za to zrobią mnie „powiatowym marszałkiem. Odbiję S... który się dotąd nie

„ożenił, ożenię się z panną... która mnie tak wiernie kocha, „osiędę w Rzymie, kaczki z Galicyi sprowadzę do Kolizeum, „i będę przepisywał elegie mojej żony nad niemi.“

Ale ten, który sobie pociechy znaleźć nie może, ma „zdolność dziwną i błogosławioną do dawania jej drugim. Pułkownika Sołtana dotknęło nowe nieszczęście. Od emigracyi już rozłączony był z dziećmi. Synowie na rozkaz Mikołaja wywiezieni byli do Moskwy i oddani do szkoły kadetów, choć najmłodszy miał podówczas zaledwo trzy lata. Córki chowały się w Kamieńcu w klasztorze Wizytek. Teraz młosza z nich umarła. Oto co pisze Krasiński do biednego ojca, kiedy się o tej jego stracie dowiedział (z Wiednia 12 listopada 1836, List XXXIII). „Biedna twoja maleńka szczęśliwsza „od nas wszystkich. Śniło jej się tylko, że była na ziemi, „i po nocy jednej obudziła się napowrót w domu. My zaś „nie jedną noc jeszcze mamy. Nic czystszego, nic bardziej „błogiego jak zgon dziecięcia. W późniejszych latach, wśród „pokus życia i trudów jego umierać, to inna sprawa, bo już duch „nasz przyrósł do ziemi, przylgnął do ciała, stał się człowie„kiem zupełnym. Wtedy są zapasy ciężkie w godzinie osta„tniej, wtedy prawdziwie więdniejemy na łożu śmierci, bośmy „prawdziwie rozwici byli. Ale ona, ta biedna mała święta „twoja, był to pączek tylko, który śmiercią w różę się roz„kwitł, tylko że niewidzialną dla nas. Pewno konając, nie „żałowała nieznanego świata; może jej przyszła myśl o ojcu „dalekim, jak przez mgłę ponurą, a wtem pękła mgła i gdzieś „ujrzała się w błękitach, i wtedy jasno oczkami anioła uj„rzała ojca ziemskiego i rączki ścisnąwszy za nim, udała się „do niebieskiego. Kiedy na wiosnę przynosić ci będą kwiaty, „pomyśl że taki jeden świeży i południowy masz w niebie, „którego wonią są modły i pieśni za tobą. Nie płacz nad „jej zawczesnym zgonem, ale mów raczej: *manibus date lilia „plenis*“... „Pytasz się“ — pisze w liście następnym — „czemu „jeśli duch boski przewidział, posyła dusze na ziemię i po „kilku dniach nazad je bierze? Już dni kilka cielesnego „bytu są pokutą dla duszy. Im jej natura czystszą była, tem „mniej takich dni przepędza na świecie, tem mniejszy ciężar

„ciała dźwiga. Ztąd przysłowie Greków: „Tego ukochały „Bogi, co umarł za młodu“; ztąd wiara katolicka, że dziecię „kiedy umiera, to być musi Aniołem. Znać po znikomości „kary niewinność ducha; znać że drobne zmazy starła prędko „włosiennica ciała, i że nazad przejrzysta dusza wraca do „źródła swego... Temu zaś długie dni i bóle się dostały, „który dla przebłagania sprawiedliwości potrzebuje litość jej „obudzić. W tym zawodzie dopiero duch anielski staje się „człowiekiem, staje się mężem. Dziecko znika jak kwiat „i odkwita na nowo nie zostawując śladów żadnych na ziemi: „jego natura więcej oderwaną jest od świata, więcej boską, „mniej ludzką zatem — i zasługi nie ma (prócz obleczenia „się w materyą bolesną), bo ledwo było przestępstwo jakie „w niem. Ztąd też godności i wielkości w niem nie będzie. „Dopiero majestat ludzki, bohaterstwo, cnota, wytrwałość, „objawia się w tych, którzy od poranku dni swoich do „późnego wieczora krzyż na barkach dźwigali. Oni to w całej „grozie znaczenia wypędzeni z raju, oni wszystkich sił po„trzebują, by wrócić do niego. Ale im też należy się chwała, „cześć, szacunek, za trudy i nieskończone bóle. Znowu więc „kiedy stoisz nad grobem starca, kiedy ten starzec w ciągu „wygnania dotrwał nędzom wygnania i siwe jego włosy były „mu cnoty koroną, o! wierz znowu, że i on jest aniołem. „Dziecko jak woń róży wzniosło się do niebios; starzec jak „olbrzym, ale olbrzym moralny, wdarł się do nich, świadcząc „się długą żałobą i długiem wytrwaniem. Na grobach złych „i podłych tylko płakaćby trzeba. Kto wie, może Bóg w chwi„lach nieskończonej miłości, aniołom swoim każe płakać nad „nimi. Ale na grobie cnotliwych winna być tylko powaga, „ogromna, jak ogromnemi były ich statek i zapasy i radość, „nieskończona, jak ich szczęście w niebie! Darmo jednak; „to rozum tak przemawia, ale serce inaczej. Serce nieraz pęka. „Im ten, który odszedł, więcej doznał smutków, więcej mę„stwa pokazał, tem dłużej i smętniej myśli nasze ciągną za „nim, pogrzeb jego nie ustaje w sercu naszem. I błogosła„wiony ten, który zniknął i ten, który został po nim i płacze;

„oba kiedyś razem będą, razem tam, gdzie niesprawiedliwości „nie masz“.

Wkrótce po dziecku stracił pułkownik Sołtan ojca. Stary Marszałek niegdyś nadworny Wgo Xztwa Litt. nie przeżył porwania wnuków i oddania ich do kadetów. Choroba i śmierć przyszły nagle po tem nieszczęściu. Oto co pisze Krasiński do syna: „Takie życie, mój drogi! na to szanujemy i kochamy, „by się rozłączyć: na to postępujem drogą prawą, by nam „wszystko odjęte zostało, nawet ostatnie spojrzenienie umie- „rających daleko od nas. Jednak pomyśl mój drogi, jak „gorąco ta dusza prawa, ta dusza polska błogosławić ci mu- „siała w ostatnich chwilach, kiedy szukając cię u łoża śmier- „telnego swojego nie znalazła ciebie, i pojęła wtedy cały „ogrom poświęcenia twojego, cały przedział i gorycz wygna- „nia twojego: a przypomniała sobie, żeś ty nie inaczej tak „postąpił, tylko jak syn, który słuchał uważnie jej słów „w dzieciństwie, a w męskim wieku te słowa ojcowskie wy- „konał. Ja wierzę, że każdy umierający, ma w chwili przed- „otatniej rodzaj objawienia, podczas którego jeszcze czuje „zmysłami człowieczemi, a już widzi świat ducha... Wśród „takiej zorzy umierając, twój sędziwy i tyloma kolejami sko- „łatany ojciec, musiał ujrzeć ciąg lat swoich i cały szereg „nieszczęść kraju, które tak zacnie i szlachetnie od kolebki „do grobu podzielał, a nie ujrzał chwili, w którejby miał „sobie co do wyrzucenia, nie ujrzał chwili, w którejby syn „jego danego przezeń przykładu odstąpił. Czyż myślisz, że „takie poczucie się do własnej godności nie było mu naj- „wyższem szczęściem? i że śmierć taka nie lepsza od tysiąca „życiów innych? O pewny jestem, że umierał spokojny, bło- „gosławiąc Polsce i tobie; a kiedy ujrzał lica Anioła Pań- „skiego, poszedł za nim bez zwłoki i bez trwogi żadnej. „Bądź dobrej myśli, bo on teraz bliższy ciebie, niż bywał „od lat sześciu. Dla niego rozdziału już niema z tobą. Ty „go nie widzisz; ale wznieś myśl ku światu duchów, a uczu- „jesz go. Ty tylko jesteś na cudzej ziemi, wśród obcych; „ale on już w domu“. (List z Wiednia 25 grudnia 1836).

A jego miłość w ciągu tego roku? Mało zaznacza się w listach wzmiankami: opowiadaniami i zwierzeniami wcale; jednak zaznacza się w jego zawodzie — wierszami. Czy one są istotnie pierwszemi, jakie napisał, jak to sam mówi? Być może, że prawdziwem jest przypuszczenie, o którem mówiliśmy wyżej (rozdział II), że on już w Genewie wiersze pisywał. Ale w każdym razie są to pierwsze, do których się przyznaje, pierwsze, które puszcza w świat (choć bardzo nieśmiało i poufnie, w liście do przyjaciela, jak zresztą większą część drobnych wierszy aż do śmierci). Dość, że to jest chwila, w której po raz pierwszy spotyka się w poezyi polskiej Krasińskiego wiersz.

„Bóg nie odmówił tej anielskiej miary,
„Bez której ludziom nie zda się poeta.“

Skarży się Gaszyńskiemu w tymsamym roku 1836 (7 lipca), a rokiem prawie później (w kwietniu 1837) pisze do niego słowa, z których domyslać się można, jak on się w tej trudności wierszowania pociesza, jak swoją prozę pojmuje, i jakąby ją chciał zrobić i wiedzieć.

„I w prozie pewien rodzaj rytmu być może; wszystkie wschodnie języki poczuwają się do takowego. Pismo święte dziwną mową pisane, w niej razem się zeszły rytm i nierytm. O wschodzie pierwszego słońca, w raju, ludzie taką mową wyrażać się musieli; łączyli w tok jeden wolność prozy naszej i dźwięk starożytnych wierszy. Ogólnie, wszystko, co wielkie i piękne, musi wprzód w sobie rozwiązać przytrudną zagadkę powiązania dwóch sprzeczności. To, co je łączy, zowie się w naszej religii Duchem Świętym. Myśl i materya duchem połączone, skończoność i nieskończoność, wszędzie, w stworzeniu i w nas samych występują razem. To stanowi piękność świata: bo piękność jestże czem innem, jak odbiciem się nieskończoności na licu skończonem; jak zawarciem tego, co niema końca, w tem, co w twarde ujęte granice? Taksamo p r o z a i w i e r s z, gdy spłyną w jedno, będzie wielka mowa ludzka. Co myślisz o tem? Może jedyną zasługą autora naszego będzie, (mówi o sobie), wskazać innym

szczęśliwszym, że to stać się musi i może. Lecz i to być może, że już z niego nigdy nic nie będzie. Amen!“

Dość, że pierwsze jego znane wiersze zawdzięczamy tej miłości; ona je natchnęła, ona zrobiła je swoim wyrazem.

Jakie są? Nie z najwyższych jeszcze, ale do wszystkich późniejszych podobne... smutkiem.

O biedna! czegóż ja mam życzyć tobie,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole.

Więc jest coś złego, coś bardzo smutnego, kiedy ona *biedna,* a on sam nie wié, czego jej ma życzyć, i boi się, że piękność i pogoda zgasną na jej czole, a zostanie zwiędłość przedwczesna, troska i żal? Kto czytał ogłoszone Krasińskiego Listy i obeznał się z kolejami jego życia, dlatego niema tu tajemnicy; sama data wiersza tłómaczy jego myśl ukrytą. Rok 1836, *Irydion* już wyszedł, z dedykacyą *na pamiątkę chwil minionych;* a więc chwile szczęścia przeszły, i pierwsza miłość poety przeszła w ten okres smutków, udręczeń, złośliwych sądów, po którym nastąpi okres ostatni zgryzot, rozpaczy, wierności, trzymającej się całą siłą uczciwości i honoru, aż do ostatecznego, od jego woli niezależnego rozłączenia. Teraz, choć pierwsze zachwyty szczęścia minęły, a udręczenia przyszły, miłość jest jeszcze: cała, oddana zupełnie, gotowa na wszystko, podziwiająca zwłaszcza, i pewna, że zawsze tak kochać i podziwiać będzie. To mówi drugi z tych wierszy, krótszy, piękniejszy od pierwszego, bardzo istotnie piękny tem uczuciem, w którem za nią on oddałby wszystko, a bez niej nie wié jakby żyć potrafił:

Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały
Na drodze ziemskiej szczęście albo chwała,
Zrzekam się szczęścia i nie chcę tej chwały,
Byś tylko dłużej piękną mi została itd.

Jeszcze to nie bardzo ponure; jeszcze ta miłość sama, wzajemna, żywa, jest szczęściem, mimo walk lub prześladowań. Ale ten ton nie trwa. Przeszło zaledwie parę miesięcy —

wiersz najbliższy jest z 20go listopada tegoż roku — a w tym następnym wierszu poeta jest w takiej rozpaczy, w takiem zniechęceniu, że już w nic, ani w siebie samego nie wierzy, i nic nie pragnie tylko śmierci, a w śmierci słyszeć przy skonaniu jej głos nad sobą wołający go do innego świata. Ponurość *Nieboskiej komedyi*, ponurość niektórych Listów, kiedy mówi w nich o Polsce lub o dzisiejszym świecie, w tym wierszu przenosi się na jego własne uczucia i dzieje:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy [1])
Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna.

Ten wiersz jest już bardzo piękny, pisany z wielką mocą uczucia i wielką mocą nad formą. Ta ostatnia nie jest może jeszcze zupełną; wiersz przerywa się w dwóch miejscach, a po tej przerwie zaczyna się myśl inna; znać poprzedniej nie mógł poeta dokończyć tak dobrze jakby chciał, i dał jej pokój; a że drukować nie myślał, więc nie dokończył już nigdy. Ale mimo tych przerw i niezupełności, wiersz ma właściwe cechy charakteru i poezyi Krasińskiego, powagę, głębokość, a nadewszystko smutek.

Zima ta z r. 1836 na 1837 przeszła w Wiedniu. Dlaczego tam? Nie z upodobania ani dla przyjemności, bo te byłyby poetę zawiodły do Włoch. Może jaka potrzeba, może powolność życzeniom ojca, który chciał widzieć go żonatym, i nalegał na pobyt w miejscach gdzie mógł spotkać panny takie, o jakich ojciec dla niego marzył, dość, że siedział w Wiedniu, a nudy przykrego pobytu słodził sobie szlachetnem usiłowaniem. O wydostaniu synów Sołtana z korpusu kadetów oczywiście nie można było ani marzyć. Ale jego pozostała córka (dzisiejsza hrabina Alfonsowa Sierakowska) wychowywana w klasztorze w Kamieńcu, czy ta nie mogłaby dostać się do ojca? Otrzymać dla niej pozwolenie wyjazdu z Rosyi, oto co postanawił Zygmunt, i nad czem z wielkim mozołem i z wielką zręcznością pracował. Była wtedy w Wiedniu księżna Kazimierzowa Lubomirska, jego

[1]) Wydanie lwowskie 1890, T. III, str. 6.

i Sołtanów krewna, i gorliwa przyjaciółka. Tę więc staruszkę, dobrą bardzo, ale chorą, pogrążoną w melancholii, pozbawioną wszelkiej energii, musiał naprzód nakłonić, żeby podała prośbę do rządu rosyjskiego o wydanie sobie dziewczynki, której była jedyną niby krewną i opiekunką. Potem przez różne wpływy w Petersburgu, trzeba było otrzymać pozwolenie. Nie od razu, owszem po wielu, wielu zwłokach i trudach, po roku przeszło czasu miał wreszcie Krasiński tę pociechę, że przyjacielowi dopomógł do odzyskania choć jednego z dzieci, starej sierocie księżnie na ostatnie lata życia dał czułą opiekę i choć jeden błysk młodości i wdzięku, a dziecko chowane przez obcych, pod dozorem rządowym, wyrwał z zimnej atmosfery na świat, na słońce, gdzie przy ojcowskiem sercu mogło odżyć i rozwijać się szczęśliwie. Te starania zajmowały go głównie podczas tego pobytu w Wiedniu, który zresztą mało miał dla niego powabów. „Świat tutejszy polski“ — pisze 7 stycznia 1837 (List XXXVIII — „składa się z wielu członków, ale nie uwierzysz, co za plotki, „przegryzki, śmieszne dumy i drobne podłości. Źle mówię: „drobnych podłości niema, najdrobniejsza jest morzem hańby. „Dlatego też stronię od nich i nienawidzę ich *głupie wie-„czory* (sic). Jeden tylko Konstanty Czartoryski dobry jest „i szlachetny, choć ospały nieco, a dom jego pusty i smutny... „Inni emetykiem są dla duszy mojej. Jeden Jerzy Lubo-„mirski“ — pierwsza to wzmianka o późniejszym przyjacielu — „jest szlachetnym, miłym i pełnym nadziei chłop-„cem. Powiedz księżnie Stolnikowej, że ma poczciwego i ro-„zumnego wnuka.“ „Karnawał tu wre i kipi.“ (List XXXIX). „Towarzystwo polskie wre i kipi także plotkami, przekąsami, „potwarzami, głupstwem. Moją zaś pociechą jest *Burg-The-„ater*. Wczoraj dawali *die Jungfrau v. Orleans*. Pani Rettich, najlepsza w Europie aktorka po śmierci Malibranowej, „grała Dziewicę. Sądziłem, że mi uniesienie piersi rozerwie. „Bosko gra; boskie i pomysły w tej tragedyi, choć może „układ całości mógłby być sztuczniejszym i bardziej dopeł-„nionym. Ale w czem się nieporównanie udało Schillerowi, „to w pogodzeniu skromności, dziewiczości, natchnienia i sło-

„dyczy zarazem chrześcijańskiej, z tem pragnieniem bojów, „z tym zapałem niewstrzymanym do trąb co wzywają, do „rumaków co tratują, do szabel co błyszczą i mordują, który „ciągle wybucha z tej postaci młodzieńczej, pięknej, niewie-„ściej. To przechrzczenie Bellony starożytnych jest najwyższym „dowodem ogromnego geniuszu. Mierny pisarz byłby pękł, a tylko „komiczną postać utworzył: Schiller najidealniejszą, najuprzej-„miejszą i najwybitniejszą zarazem. Czujesz ciągle róż i krwi „angielskiej zapach, słyszysz pienie Anioła niewinności, i „chrzęst ponury i boskie szczęki bitew. Nim zasnąłem po-„dziękowałem popiersiowi Schillera, które nad mojem łóżkiem „stoi. Tak więc żyję, o ile mogę w świecie różnym od tego, „który mnie otacza... To mi jeszcze rozbudza serce, to mi „młodość moją pokazuje na oczy. Czuję w takich chwilach, „żem nie zgniły cały, że iskra udzielona przez bogów, dotąd „w piersiach moich się pali: nie moja wina, jeżeli z niej „nigdy płomienia nie będzie. Oh! przeznaczenie ubłogosła-„wiło duszę człowieka pragnieniem niewyczerpanem piękności „i siły. Ile razy luka się wytnie wśród karczów życia, i tam „gdzieś daleko mignie brzeżek błękitu, on wyciąga ręce i zda „mu się na chwilę, że w niebie. Tak mi wczoraj było. Głupcy „co krzyczą na poezyę! Niech pójdą ze mną, niech nim „wejdą w ten świat wielkości, przejrzą duszę moją, niech „tam obaczą że ciemno i nicość, a kiedy wystąpi Joanna, „kiedy poczną uciekać hufce angielskie, niech spojrzą raz „drugi: a jeśli obaczywszy żem szczęśliwy, jeszcze zdołają „powtórzyć sądy swoje nędzne, to nic ich nie oduczy. Radzę „im, by sobie sklep kupili w Ghetto zamiast pójść do Kapi-„pitolu. Wielki Boże; dzięki ci za to, żeś zrównoważył po-„dłość na tej ziemi poezyą!“ Rozdrażniony, znudzony Wiedniem tęskni za Włochami. „Co tam porabia krzyż mój pię-„kny w Coliseum“ — pisze 9 marca 1837 (List XLIII) — „co róże moje śliczne w Villa Mills? co białe nadgrobki pod „piramidą Sestiusa?... Ja myślą często bywam na Forum, „i patrząc na Kapitol, i czytając napis S. P. Q. R. myślę, że „tak wszystko skończy się na ziemi, aż mnie zaleci woń fioł-„ków i cyprysów i znowu wyda mi się, że wszystko młode

„nieśmiertelne na ziemi. Tu szare nieba, śniegiem i błotem „zaszarzana ziemia, zieloności nic i światła bardzo mało. Za „to po ulicach konie angielskie, hayduki, pajuki, huzary, mu„rzyny. I to także zwaliska; z tą różnicą, że gruzy pałacu „Cezarów są już w ręku Boga, już w uściskach bluszczów „i w trumnach z giętkiego powoju, a tu wiosny boskiej, co „wschodzi na gruzach, znaku nie masz jeszcze; są tylko po„drygi schorowanych, grypy, ostatnie kaszle i flegmy kałuże. „Na początku XVII wieku Tęczyński straciwszy dwóch sy„nów podpisywał się zawsze *ultimus virorum de Tęczyn:* „my wszyscybyśmy się tak podpisywać powinni. Jeszcze to „łaska Boża, kiedy kto ma prawo powiedzieć o sobie *ulti„mus vir:* ale kiedy *ultimus* poliszynel, to nędza i prze„kleństwo.“

Stan zdrowia coraz gorszy, a zwłaszcza wzmagająca się ciągle choroba oczów, przyczynia się zapewne wielce do tego usposobienia ponurego, które im dalej tem czarniejsze, dochodzi wreszcie do zupełnego prawie zwątpienia i rozpaczy.

„Mój stan coraz się pogarsza“ — z Wiednia 3 kwietnia 1837 (List XLVI) — „plamę nieustanną czarną widzę przed „oczyma, najkrótsze pismo mnie męczy... O Boże Boże, jakiż „los mój gorżki i bezlitośny! W tych tu miejscach grzęznąc „coraz bardziej, niszczę się. Ledwo mogę spojrzeć na pro„mienie słońca. Pod oknami ludność miasta cała krąży i prze„chadza się, wzajemnie sobie wiosny winszując, słyszę ich „gwary, a patrzeć na nich nie mogę. Jeżeli skarga ta moja „słabością jest, daruj mi ją Ty, który pełny jesteś statku i „cierpienia. Ale są chwile, w których wszelka nadzieja „mnie opuszcza, w których coś niewieściego rodzi się „się w duszy mojej, i muszę westchnąć ku tym, których ko„cham. Prócz miłości kilku, szczęściam żadnego nie doznał „na ziemi“... „Jestem wciąż chory na ciele i na duszy. Świat „materyalny dwoi się przed mojemi słabemi oczyma, moralny „pęka i łamie się w dziesięcioro w sercu i umyśle moim. „Niema nic w duszy mojej, na czembym spocząć mógł, żadnej „gałązki zielonej po potopie, żadnej oasis na puszczy, żadnej „nadziei na przyszłość. Pić opium, i marzyć, to szczęście naj-

„większe. Prawda, że i tu piekło zjawia się po przejściu „snów o niebie. Dziś rano Konstanty (Danielewicz) coś za„grał z czasów, w których byliśmy w Neapolu, z czasów, które „mi się dzisiaj wiosennemi wydają, z czasów, które tuż po„przedziły najszczęśliwsze dni życia mojego: i słysząc tę „*Preghierę* Mojżesza, uczułem taką żądzę, taką, że tak po„wiem, lubieżność skończenia bytu, żem westchnął z żalu, „kiedy minęły akkorda... Gdyby kto czasem mógł zajrzeć „w duszę moją, kiedy sam jestem u siebie, kiedy myślę i „męczę się, toby się wzdrygnął: bo jak fale wiecznie pod„noszę się, by żądać, i opadam w rozpaczy czując, iż z żądz „moich nigdy nic nie będzie. Ztąd też ja z całej natury naj„bardziej kocham fale morskie, rozbijane na ostrych skałach „Sorrentu lub na mieliznach Lido; zdaje mi się zawsze, że „w nich coś siostrzanego widzę. Każden podobno człowiek „jest taką falą w nieskończoności stworzenia. Im kto silniej„szy, tem więcej razy wróci do szturmu, ale wszystkim wcze„śniej czy później jeden koniec bywa, rozbicie. Bohatery „zakwitną pianą białą, świecącą, jak wielkie bałwany, i to „się zowie chwałą ich; mierne dusze płyną z boków i z tyłu, „płyną i płyną, łamiąc tylko w drobne zmarszczki powierzchnią „głębi... Nie znam istoty mniej wartej żyć, mniej pożytecznej „na świecie, mniej zdolnej cokolwiek uczynić odemnie. Gdyby „mnie Bóg zabrał, wymierzyłby wielką sprawiedliwość, bom „nie zdał się na nic. A mnie samemu ulgą, bo się męczę „porządnie.“

Obchodzą go jednak i własne dzieła, i cudze, jak dowodzą zachwyty nad Schillerem, i porównanie jego z Szekspirem, na niekorzyść ostatniego, (List do Gaszyńskiego XXVIII) — jak dowodzi replika, którą mu posyła na Ulrycha krytykę *Nieboskiej komedyi* z Wiednia, *Irydiona* z Kissingen. Znowu bowiem tam jest w czerwcu, i znowu z ojcem, i znowu rozdarty między najczulszą dla niego miłością, a niemożnością i niechęcią uczynienia zadość jego życzeniu.

„Mój ojciec coraz schorzalszy, słabszy, smutniejszy; „patrząc na niego, srogich przeczuć doznaję, czytam w nie„dalekiej przyszłości wyrok, którego może nic nie odwróci.

„Ile razy pójdę na przechadzkę z nim wieczorem, ile razy „głos jego rozkochany we mnie słyszę, i ściskam tę rękę, do „szabli stworzoną, która dla mnie jednak miękka i błogo- „sławiąca, jak ręka matki, serce mi się kraje tem szerzej „i głębiej, że w słowa ubrać myśli moich nie mogę; że gdy- „bym nawet je wyrzekł, nieby niepomogły, bo *fatum* dzikie „ciąży nad nami wszystkimi i nie dzisiaj pękną narzucone „przez niego kajdany. Ta pewność śmierci niedalekiej uko- „chanego, czy pojmiesz jaka to męczarnia? Dziś jeszcze „razem, dziś wśród łąk zielonych i świeżych lasów, a jutro „się rozdzielimy i może się już nigdy nie zejdziemy razem, „chyba pod zimnemi sklepieniami kościoła, tam gdzie nie „wiedzieć czy sen wieczny, czy wieczne czuwanie. Och! ja „oszaleję kiedy!“ (List do Sołtana, z Kissingen 15 czerwca 1837).

On wie, uznaje, że ten ojciec ma słuszność i chce jego dobra; ma nawet pociąg do osoby, którą ojciec na żonę mu wybrał. Przyznaje, że panna „piękna jak anioł, ślicznie uło- „żona, wszystko w niej zapowiada dobrą żonę, i tok umysłu, „i przyroda, i wychowanie.“ Przytem „talent do muzyki, jaki „się tylko natchnionym trafia artystom. Mówiąc po ludzku „ogromne głupstwo robię, nie tylem głupi, żebym nie wie- „dział, żem głupi.“ Przecież: „bądź moim sędzią: wiesz, ile „kochałem tamtę i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą „przeszłość moją zagarnęła, ale w niej niema dla mnie żadnej „przyszłości. To wiedziałem zawsze, ona to czuła, równie jak „ja. Ale dla niej ja jestem wszystkiem, choć oddalony, choć „w niczem codziennem, praktycznem, nie dotykający jej „okręgów, wszystkiem; bom ją przed ludźmi i przed własnem „jej sumieniem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie „z progów domowych, bo mi ona wszystko poświęciła i dziś „jest nieszczęśliwą, bez dawnej posady wśród znajomych, bez „dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez „dawnej spokojności serca i rozumu... Teraz jedyną jej ulgą, „pociechą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją ko- „chałem; myśl, że poświęciła się dla kogoś, któremu warto „było tę ofiarę uczynić. Gdybym z drugą się ożenił, pchnął- „bym ją w serce na wieki. Nie pojęłaby nigdy, że można

„pojąć inną kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem, i ko-„chać ją sercem, wdzięcznością. Gdybym się ożenił, wyda-„łoby się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swej „zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka“ — (Wiedeń 6-go maja 1837. List XLIX).

Pod wpływem niepokoju o nią, o ojca chorego, którego woli się oparł, tak pisze z Kissingen 21 czerwca 1837 (List LVII): „Nędza, która mnie przed czasem starym uczyni, „coraz zwiększa się we mnie. Świeżości za grosz niema „w wyobraźni mojej. Wszystko wewnętrzne moje zdaje mi „się jednego losu doznawać z tem, co zewnątrz mnie; gnije „wszystko pod ręką konieczności. Przyjdzie może po wielu „latach dusza na świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy „się rozpatrzywszy, przejmie się dni naszych goryczą i tra-„giczność ogromną z niej wydobędzie; słuchając jej słów za-„płaczą potomki, dowiedzą się, jak marnie życie nam upły-„nęło, jak gorąco wzywaliśmy czegoś, coby pociechę nam „w sercu orzeźwiło, jak stateczną myślą w głębi Ducha prze-„czyliśmy widomej potędze i zdarzeniom otaczającym, jak „pozbawieni nadziei mieliśmy do walczenia przeciw pokusom „wielu, i radom zdrowego rozsądku, i burzom własnej roz-„paczy, i słabościom znużenia, jak w każdym dniu ciaśniej „nam było, każdej nocy nieznośniej i samotniej, jak wreszcie „zapadliśmy w wstręt i świat zmierzili, czekając jak zba-„wienia śmierci podłej na łożu lub niepamiętnej wśród nie-„znanych i obcych. Taka tragiczność będzie sto razy stra-„szniejszą i pełniejszą bólów, niż dzisiejsze dramata... w niej „męka ducha wystąpi jak otchłań głęboka, a na ustach ma-„lować się będą znikome ciężkiego udawania uśmiechy. Po-„wiadam ci, płakać nad nami będą. To jedyna nieśmiertel-„ność nasza.“

Wreszcie miał się doczekać spotkania z dawniej ukochaną. Ale na myśl o tem spotkaniu, przejmuje go jakiś strach; ona w tak dziwnym stanie, ona go męczy ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności. Miłość nic nie warta, przyjaźń jedna nie podlega zmianom! ta kobieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą

nawet od niego samego. Czytając takie słowa, zdaje się, że miłość skończona trzyma się tylko uczuciem obowiązku i honorem. Ale ona przyjechała, i dawne uczucia obudziły się, wybuchły, może z dogasającą już, ale z wielką siłą:

„Widziałem ją przez trzy dni" (list bez daty), „co się „z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty mego życia „będzie towarzyszem. Zgryzota, smutek, przywiązanie. Po„wiem ci, żebyś jej nie poznał; smutek, i choroba tak ją „przetworzyły. Tem droższa dla mnie. Oczy jej z błękitnych, „w ciemne, przygasłe się zmieniły: piękność lica pozostała, „ale martwa, osłupiała! a w duszy nic, prócz bólu ciągłego, „mąk ciągłych, i miłości dla mnie. Chcę przestać o tem mówić, „a nie mogę."

Ten stan duszy wyraża dobrze wiersz (bez tytułu jak prawie wszystkie) datowany z Wiednia 9 listopada 1837.

„Serce mi pęka, światło się umyka
„z przed oczu moich [1])"

wiersz jedyny, w którym Krasiński mówi o „swoim gienijuszu", a wyrzeka, że i ta „iskra gienijuszu na cóż mu się zdała!"

I znowu rok 1838 zaczyna się, a pierwsze jego miesiące przechodzą w Wiedniu, na tosamo zapewne żądanie ojca, na coraz większe udręczenie syna, którego miasto i ludzie w niem drażnią coraz bardziej. Wogóle z tego całego roku listów mało. Stosunek ze Słowackim, kiedy ten wrócił z podróży wschodniej i mieszkał we Florencyi, zamienił się widocznie na przyjaźń czułą, a wpływ Krasińskiego na Słowackiego, stał się potężnym, skoro ten w tym roku właśnie oddaje mu to świadectwo w wierszu. „Żegnaj, o żegnaj Archaniele wiary." Zresztą faktów mało. Lato jak zwykle u wód. Charakterystyczna fantazya o sobie i o dawnych wiekach z powodu jakiegoś zamku Fürstenstein na Szlązku, (do Sołtana 20 Maja), krótkie wzmianki o Gdańsku dokąd jeździł dla spraw majątkowych, a zresztą nic; tylko smutny koniec

[1]) Lwów, 1890. T. III, str. 8.

pierwszej miłości. W lecie, u wód — (zdaje się, że w Salzbrunn) — jeszcze jedno spotkanie — ostatnie. „Nie kochać jej pisze 19 Maja 1838 — nie jest w mocy mojej. — Im słab„sza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność „dawną, tem mocniej lgnie moje serce do niej... dzień cały „minął mi z nią, jak sen pełen tęsknoty... czasem, kiedy się „zamyśli i spojrzy Bóg wié gdzie i marzy Bóg wie co, rzekłbyś że „letarg ciemnego obłąkania się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, „wtedy całuję jej ręce prosząc by przemówiła, a łzy czuję w du„szy, choć ich niemam w oku. A za dwa dni muszę ją zo„stawić samą, samą na świecie...“ „Jutro wyjeżdżam. Wczo„raj zeszło mi z nią, przy niej, zejdzie mi i dzisiaj podobnie, „a gdy pojutrze przyjdzie, wszystko już będzie przeszłością, „wszystko schroni się do głębi serca, i tam żyć będzie roz„dzierającemi podrzuty. O Adamie! nieszczęsny ten, kto z na„iwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności, targnął się „na cudze prawa, żonę od męża oderwał, matkę od dzieci... „Ja tom czynił, myśląc szalony, że na tej drodze poezya i „wiosna; teraz, teraz głębokom poniżony sam przed sobą, „a ona przed światem... Bądź co bądź ty nie rzucisz ni na „nią ni na mnie kamieniem.“

Zbliżał się istotnie koniec tego stosunku, a to spotkanie miało być ostatniem. Krasiński na żądanie ojca udał się do niego do Opinogóry; tu spotkać się miał z prośbą i groźbą, z płaczem i z rozkazem, żeby zerwał; odmawiał statecznie. Pobyt ten razem był dla obu męczarnią. Wtedy-to, 27 Sierpnia, pisze do Jaroszyńskiego te słowa: „Donieś mi też, co „się z nią dzieje, co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, „bo zupełnie przerwane są między nami komunikacyje; a co„dzień czuję jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową, za „to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego „znamię całe życie nosili. Raz jeszcze polecam ci ją — po„wierzam ci ją; ty się niedomyślisz może nigdy, ile goryczy „jest dla mnie w tych słowach, jednak tak szczerych, tak „pełnych wiary w ciebie, które tu piszę. Na miłość Boga mi „odpowiedz; na miłość Boga cię proszę.“ Samo zakończenie tego dramatu tak opowiada Sołtanowi: „Po trzech tygo-

„dniach, nic na mnie wymódz nie mogąc, udał się do Niej, „i prosił Ją o tosamo. Pojmiesz znowu, że tak, jak ja nie „mogłem przystać, tak ona nie mogła nie przystać. Wrócił „mój ojciec, przywożąc mi kilka słów od niej, drżącą ręką „pisanych, w których mówi „że musiała zgodzić się na to, „by ostatni raz te kilka słów napisać do mnie“... (List LXVIII bez daty i miejsca).

Odtąd żadnych już między nimi stosunków. Ale pośrednio przez ludzi, długo jeszcze Zygmunt szuka wiadomości o swojej pierwszej kochance, i odbiera je. Jaroszyńskiego, mieszkającego na Podolu, prosi zawsze, żeby mu donosił, co się z nią dzieje, albo za wiadomości o niej dziękuje. (Listy .... z oryginałów niedawno znalezionych. Kraków, 1871). Listy to goryczy pełne z jesieni tego roku, od powrotu z kraju listy z Wenecyi, pełne wspomnień dawnego szczęścia i dzisiejszej zgryzoty, listy z Rzymu i z Neapolu, jak ten naprzykład (do Jaroszyńskiego z 29 Grudnia 1838). „Mojej winy nikt względem niej ocenić nie zdoła, prócz „mnie samego: przez niesłychane walki dowiodłem ją wre„szcie do nieszczęścia. — Ona przewidywała wszystko co „się stało, ona nigdy nie zapomniała o przyszłości, nigdy „pokoju szczęścia nie widziałem w niej, nigdy nie wyglądała „na *równą mi*, ale zawsze na moją ofiarę, poświęcającą się, „ale z głęboką wiedzą, że się poświęca. Czyż nie było okru„cieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takiem „przekonaniem jej rozsądku, a nie zważać nań, czyż nie „było najogromniejszem samolubstwem? — Wiem i to, że „namiętność ma swój świat własny, na który teraz zapatruję „się z sfery mojego rozumu; a zatem wierzę wiarą nie swoją, „w to coś, które wtedy wrzało we mnie. Wiem i wiele innych „rzeczy jeszcze, ale cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz „ona smutna i cierpiąca; ona bez nadziei jakiejkolwiek przy„szłości, będzie jej przekleństwem niezadługo, żyjącą każdego „jej dnia torturą, to widmo, które mnie ściga. — Daj Boże, „by się moje przeczucia o niej nie spełniły.

„Niema tragedyj okropniejszych nad te, co się odby„wają koło ognisk domowych; niby cicho, niby dobrze, zaj-

„rzysz do salonu, zgromadzona rodzina cała, na ich twa-„rzach nie poznasz nic, wyjdziesz z dobrą myślą, westchniesz „tęskniąc za podobnem spokojem i życiem; a ledwoś próg „przestąpił, już oni z krzeseł się zerwali, i z ich lica „zeszła wszelka powszedniość i cisza; najdziksze, najbardziej „jadowite kwasy pryskają im z oczów; rozdzierają się sło-„wami gorzej niż żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale „z takowych obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka „przeciwko matce powstaje. Apage, apage Satanas!“

„Otóż kiedy podobne larwy mnie, otoczą i ścisną i dławią; „kiedy widzę jej twarz bladą i coraz bledszą, i coraz oczy „jej bardziej gasnące, i w oddali samotne łoże choroby, sa-„motną śmierć i córkę wyrzucającą matce dzieje przeszłości; „miasto uderzyć ją nożem — wymawiającą moje imię; a to „imię odbija się tak żałośnie, tak kamiennie w sercu nie-„szczęśliwej, i ona sama może doda do niego przekleństwo, „lub krzyknie, o Boże! czemuś nasłał na mnie tego czło-„wieka! Oh! wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się „zrozumiałem, jasnem, widomem, dotykalnem. Napróżnobym „z niem się pasował. Ono nie zewnątrz, nie głęboko pode-„mną, ale głęboko we mnie! Daruj, że się powtarzam, daruj, „że cię może nudzę, bo takie wszystkie uczucia są treścią „własnej duszy, ale nie drugich. Koniec więc temu! Ach! „ty bądź zawsze dobrym dla niej. Pamiętasz co *Trenta tre* „wyrzekły: *la sua morte sarà dura,* a kiedym się pytał „*perche?* odparły: *perche è giovane, sensibile e affezionata.* „Ten dzwon pogrzebny w moich ustach, nie przestał nigdy „się odzywać.“

Listy te, jak zwykle u niego, kończą się czasem wierszami, a w tych jego myśl o tej którą kochał, wyraża się sposobem bardzo niezwykłym, wielce oryginalnym. Poeta przenosi się wyobraźnią w tę duszę tak dobrze znaną, widzi, czuje, wszystko co i jak ona cierpi, i pisze wiersz jak żeby jej do siebie, wiersz przepyszny, rozdzierający smutkiem a zdumiewający prawdą (we lwowskiem wydaniu z r. 1888 ozdobiony, niewiedzieć dlaczego, najniestósowniejszym tytułem

Wrażenia z Kampanii. W liście do Sołtana 29go grudnia 1838 r. niema — jak zawsze — tytułu żadnego).

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi [1]),
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi —

Wszystko, czem cierpieć może taka nieszczęśliwa a szlachetna we wszystkich swoich uczuciach i miłościach, wszystko odzywa się w tym wierszu odgłosem takiej rozpaczy bezdennej i nieskończonej, że na ten rodzaj nieszczęścia prawdziwszego wyrazu, tragiczniejszego jego obrazu niewiedzieć gdzieby szukać w poezyi. Po tym wyrzucie i po tej tęsknocie strasznej za dziećmi, po strachu, że i Bóg sam nie zlituje się i pociechy nie ześle, przychodzi myśl, że i on w końcu, ten dla którego wszystko straciła, i on ją opuści.

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś.

I potem prośba, żeby jej podał rękę, żeby jej nie opuścił jeszcze, i żeby, jak umrze, modlitwę za nią wyrył na jej grobie.

A po takiej rozpaczy następuje dopiero ostatni kres nieszczęścia: zgodzenie się na rozpacz do śmierci, przywykłość do niej, obumarłość duszy, która jednem uczuciem żyła, a gdy to zawiodło, żyje bo musi, ale bez uczuć, bez pragnień, bez pociech, bez łez.

Jak kawał lodu skrzepło serce moje.
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje,
Żadnych już ułud nie zapragnę nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych...
Co miłość, nie wiem, z przyjaźni się śmieję,
Wiarę̧m straciła, straciłam nadzieję,
I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest wszystkiem — i wszystko mi niczem.

---

[1]) Tamże, str. 13.

Wiersz ten, w wydaniu lwowskiem przez dziwną jakąś pomyłkę (może przepisywacza?) wydrukowany z datą roku 1848, kiedy treść jego i znajomość życia Krasińskiego każe go odnieść koniecznie do jesieni roku 1838 i umieścić zaraz za owem źle nazwanem *Wrażeniem z Kampanii,* jest jak żeby pieczęcią przyłożoną na pierwszym okresie miłosnych poezyi Krasińskiego. Gdyby z tego okresu próbować wycisnąć jego istotę i oznaczyć jego cechę, to trzebaby powiedzieć, że występuje w nim i odbija się nie tyle miłość sama, ile tragedya miłości: nieszczęście kobiety, zgryzota mężczyzny. A jak w życiu Krasińskiego ta pierwsza miłość nie była największą, tak w jego poezyi cała potęga namiętności odezwie się dopiero w okresie drugim.

II.

Rok 1839. Znajomość z rodziną Komarów. Pani Delfina Potocka. Pierwsze wrażenie Krasińskiego. Miłość. Jej wyznanie w listach. W wierszach. Jej charakter.

Opanowany tą zgryzotą, przygnębiony smutkiem ponurym, widocznym naprzykład w wierszu o kampanii rzymskiej — (Jak anioł spadły i t. d.), wyjechał Krasiński do Neapolu, gdzie miała na niego spaść nowa miłość. W pierwszy dzień roku 1839 wspomina w liście do Sołtana o nowych znajomościach, jakie zrobił, i opisuje tę, którą niebawem miał kochać.

„Zapoznałem się z domem Komarów; znasz ich, one „mnie mówiły dużo o tobie. Natalia [1]) chora wciąż, nie po„kazuje się; Ludmiłła [2]) tęga postacią i śmiałomowna. Sama „matka i domu pani naturalna, uprzejma, ludzka. Już mi „wszystkie lampy przysłonili tam zielonemi umbrelki. Bywam „więc co wieczór. Są i kuzynki i siostry jakieś stare z Po-

[1]) Później pani Spada, sławna jako jedna z wielkich piękności swego czasu.

[2]) Później księżna Beauvau.

„dola, są synowie, ogółem ze czternaście osób ten salon za-„pełnia. Ale wśród nich wszystkich jest dziwna istota, która „stoi już za przepaścią; istota, której duszę żywą i silną i „prawdziwie wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, „do najwyższego stopnia obrzuconą, przepsuł Paryż i Londyn, „książę d'Orleans, pan Flahaut [1]), mąż niegodny i próżność *fas-„hionu*, najnędzniejsza z próżności. Mimo to jednak zostały „w tej duszy iskry, podobne wybuchom wulkanu, kiedy wspom-„nienie jakie, lub nadto silna boleść je rozdmucha; została „żądza długa, namiętna, długa jak nóta włoska, przeciągniona „przez doskonałą śpiewaczkę; żądza wyższego stanu rzeczy, „piękniejszej sfery dla ducha, spokoju jakiegoś promiennego „po tylu i obłędach i prawdziwych nieszczęściach. Kiedy zaś „te iskry gasną lub drzemią, nieznośna to kapryśnica, nie „mogąca dwóch słów poważnych wyrzec, potrzebująca śmiać „się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją toczy; „podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynce, „lub Don Juanowi w spodnicy, który wszystkiego doznał i „teraz krzyczy: „Dajcie mi księżyc, chcę skosztować czy „z księżyca dobry marcypan, bo na ziemi już nic niema.“ „Literatura francuska dzisiejsza zna takie kobiety, cywili-„zacya dzisiejsza takie płodzi twory; ale w nich jest jakaś „nieskończoność bólu, jakaś przyszłość nieodwołalna coraz „sroższych cierpień, które mnie przejmują litością. Czy po-„znasz z tych rysów panią Delfinę Potocką? Nieraz ona mi „przypomina.... wiesz kogo; nie wtedy, gdy wpadnie w chwile „swoje *buffo*, ale kiedy smutna seryo. Tęsamą widzę wtedy „nieutuloną rozpatrz w niej, tęsamą nieudolność do uczucia „jakiegokolwiek szczęścia — i ta przekwitłość serca wy-„wiera silniejsze wrażenie na mnie, niż świeżość młodociana, „niż szczęście, zdrowie, przyszłość, kwitnące razem na pa-„nieńskiem licu. Kiedy widzę istotę, której niepotrzeba po-

---

[1]) Sławny, podówczas już niemłody, zdobywca serc niewieścich; ojciec księcia Morny, ambasadora i kilkakrotnie ministra za Napoleona III. Sam w starości ambasador francuski w Londynie.

„ciechy, której życie stoi otworem, i którą każdy zrozumie, „każdy śmiechem przywita, zdaje mi się, że ona mnie nie „potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdatniejszych do podzielenia czy „jej dumy, czy jej bogactw, czy piękności, czy niczem niezatrutej „duszy, znajdzie; nic mnie nie wabi, nie ciągnie do niej, „siedząc na uboczu, lubię patrzeć na jej marsz tryumfalny, „jak na piękne zjawisko, ale się nie zbliżam, dość mi na „tem, że ta sztuka graną jest przed mojemi oczyma. Tak „samo nie czuję żadnej żądzy do arcydzieła jakiego sztuki, „nie ścisnę ręki Wenerze Medycyjskiej, dość mi patrzeć na „nią; myśl moja nie serce wchodzi w stosunek z takim ide„ałem. Zupełnie przeciwnie się dzieje, gdy na czyjem czole „ujrzę ślad żałobny, wyciśniony kolejami życia; wtedy marzy „mi się, że moje słowo lub przyjaźń, lub ręki uścisk może „w tych piersiach obudzić na nowo życie. Co do kobiet „mylę się zapewne, bo one zmartwychwstać nie umieją; ale „złudzenie jest mocnem i łudzę się. W tem leży to moje „stronienie od panien, jest to natury mojej poprostu ukła„dem; tak mnie stworzono. Przez to com powiedział, proszę „cię nie rozumiej jednak, by cokolwiek innego prócz litości „wiązało mnie do pani Delfiny. Zrazu kłóciliśmy się okropnie, „bo szyi nie chciałem zgiąć przed jej zewnętrznym *fashio„nem;* tak się nawet kłóciliśmy, że ona mnie, a ja jej dzi„wnie przykre powiedziałem rzeczy. Ale dopiero, kiedy ton „swój paryski odmieniła, i zaczęła mówić szczerze, i ja ton „odmieniłem, i teraz co wieczór ona smutno żałobnie, opo„wiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją „cieszę.“

Wychodzi więc na scenę jego życia ta, którą miał nazwać swoją Beatrice. Jakaż ona była? i jaki powód tego smutku, który go do niej pociąga, tego rozstrojenia i udawania, które go odpycha?

Delfina Komarówna, urodzona w roku 1807, była córką rodziców bardzo zamożnych, zamieszkałych w najpiękniejszej stronie Podola. Samo imię, jakie jej dali — imię bohaterki sławnego w owych latach romansu pani Staël — może służyć za małą, lecz wyraźną wskazówkę usposobień i wpły-

wów, jakiemi była otoczona od dzieciństwa. Jeżeli mamy wierzyć jej biografowi[1]), fortuna rodziców była świeża, a elegancya i *dystynkcya* domu tak wykwintna, że aż przesadna i pretensyonalna. Wychowanie dzieci, niemniej wykwintne, i ma się rozumieć najskrupulatniej francuskie — (istotnie pani Delfina Potocka do śmierci nie umiała prawdziwie dobrze mówić, a tem mniej pisać po polsku). Chowało się więc dziecko w atmosferze nietylko bardzo światowej, ale fałszywo-światowej, i fałszywo-poetycznej: wciągało w siebie nienaturalność i pretensyę jak powietrze. W roku 1825 młoda dziewczyna wyszła za mąż za pana Mieczysława Potockiego (syna Szczęsnego z Greczynki). Czy zmuszona? Próżności rodziców podobał się zapewne ten związek z młodym dziedzicem starego imienia, i Tulczyna; ale nic nie dowodzi, żeby kawaler nie był się podobał pannie. Bardzo piękny, i jak współcześni świadczą wcale nie bez uroku, kiedy się podobać chciał, mógł łatwo olśnić młodą, a rozmarzoną wyobraźnię. Pożycie było nieszczęśliwe. Pan Mieczysław Potocki był człowiek wcale niedobry; i wkrótce pokazał się takim dla żony. Pociechy nie miała żadnej; dzieci, jakie miała, potraciła — (podanie mówi, że nie bez winy ojca, który je w chorobach leczyć zaniedbał, czy też leczył własnym nierozsądnym sposobem). Była więc najrzetelniej, i nawet bardzo nieszczęśliwa. Wytrzymywała jednak spokojnie i cierpliwie lat kilka. W końcu, gdy mąż nietylko stawał się coraz gorszym, ale zaczął się starać o rozwód, (pod niedorzecznie, nawet kłamliwym pozorem, jakoby przed ożenieniem był się zaręczył z młodszą siostrą panny Delfiny, Natalią, podówczas jeszcze dzieckiem) — skrzywdzona żona odjechała go i wróciła do rodziców.

Położenie młodej kobiety rozłączonej z mężem, jest zawsze fałszywe i trudne: cóż dopiero, jeżeli ta kobieta ma prócz zranionego na prawdę i zbolałego serca wyobraźnię bujną, rozmarzoną, chorobliwie rozwiniętą przez wszystkie

---

[1]) Dr. Antoni J.: *Opowiadania historyczne.* Serya siódma. Lwów, 1891.

wpływy czasu, przez romantyczną poezyę i romansową prozę, przez sam obyczaj towarzyski i modę. W tych to latach właśnie moda kazała młodej i pięknej damie być poetyczną i romantyczną, a literatura (zwłaszcza powieściowa) uczyła ją, jak taką być ma. Kobieta *niezrozumiana* królowała prawie bez podziału w romansach i dramatach tego czasu, i marzyła o tajemniczym nieznanym bohaterze, który miał zjawić się skądś, i... zrozumieć ją. Nie w lichych zresztą dramatach Dumasa lub Souliégo, ale w mądrych romansach Balzaca, w istocie poetycznych romansach pani Sand, pełno jest takich kobiet — i pełno było ich w życiu towarzyskiem całej Europy. Mówiła zaś ta literatura, że miłość jest najwyższem i najświętszem prawem, związek dwóch serc jedynem prawem i prawnie rozwiązującym wszystkie inne: że wielka namiętność nie potrzebuje wymówki, bo sama jest wymówką: że kobieta ma prawo do niezależności... wywierało to wszystko wpływ, i nie dobry, na bardzo wiele kobiet.

Wyobraźmyż sobie teraz taką, która wychowana do świata i na pokaz, nie miała nie już zasad, ale zdrowych pojęć. Miała zasób uczuć i popędów szlachetnych, a te zrażone i zranione, domagały się jakiegoś przedmiotu i celu. Miała potrzebę kochania, a kochać nie miała kogo. Była przytem rzeczywiście nietylko *niezrozumianą*, ale uciemiężoną i krzywdzoną przez męża. Cóż dziwnego, że te wszystkie wpływy razem wyrzuciły ją z równowagi, która nigdy bardzo pewną nie była. Natura najprostsza, najzdrowsza, najspokojniejsza wyobraźnią i nerwami, w takich stosunkach mogła być wystawioną na niebezpieczeństwo: a ta natura prostą i zdrową nie była. Ten popęd i nałóg, który Krasiński nazywa „dramatyzowaniem swego życia", i który surowo wyrzuca Henrykowi z *Nieboskiej komedyi*, był w owych latach bardzo rozpowszechnionym; a jak *Hrabia Henryk* w poezyi, tak w życiu rzeczywistem za typ niewieści tej skłonności może uchodzić pani Delfina Potocka. Gorączkowe, nerwowe, pragnienie coraz nowych wrażeń, zwyczaj i biegłość wywoływania ich i podnoszenia wyobraźnią do wyższej potęgi,

potrzeba i szukanie poezyi w swojem życiu, podziwianie jej w swojej osobie, a pojmowanie jej romansowe i przesadne, wszystko to było w jej usposobieniu, a wyrosło bujnie pod wpływem wskazanych wyżej okoliczności. Nieszczęśliwa prawdziwie, podziwiała się romansowo w swojem nieszczęściu: na ówczesnej literaturze i modzie wychowana, pragnęła wrażeń i wzruszeń, a w nich zamiłowana przywykała do sztucznego ich doznawania, podnosiła je sama przed sobą, po części udawała przed sobą i przed drugimi. Nie było to zupełną nieprawdą, zupełnem udawaniem: ale nie było też prawdziwą rzetelnością uczuć i wrażeń. Z intelligencyą istotnie niezwykłą, a zwłaszcza z niezwykłem usposobieniem artystycznem, z rozkoszą dała się porwać temu powszechnemu podówczas zapałowi do sztuki, której ówczesne romantyczne odrodzenie działało tak potężnie, (i wydało tyle istotnie wspaniałych skutków). Jak prawie każda heroina pani Sand, tak każda ówczesna światowa piękność musiała być *artystką*, jeżeli nie *in actu*, to przynajmniej *in potentia*, usposobieniem i wrażliwością; ale kiedy ogromna większość udawała to usposobienie, to u pani Delfiny Potockiej było ono bardzo prawdziwem. W jej położeniu fałszywem i bolesnem, te wrażenia artystyczne były potrzebą, pociechą; zajmowały wyobraźnię i zasłaniały cokolwiek czczość życia. Po rozłączeniu z mężem, wyjazd za granicę, musiał być jej wielkiem pragnieniem i poniekąd uszczęśliwieniem. Paryż i jego wielki świat, Włochy i ich piękności, natura i sztuka, stare obrazy Rafaela i nowe romantycznych Francuzów, opery Rossiniego i Belliniego śpiewane przez Rubiniego i panią Malibran, wszystko to otaczało ją atmosferą, w której rozkwitały różne strony i aspiracye jej duszy, wszystkie pierwiastki szlachetne, i wszystkie próżności światowe jak artystyczne: prawda, i komedya. Czuła się też w swoim żywiole, a jednak nie nie czuła się szczęśliwą; wyobraźnia miała czem żyć, serce nie. Kobieta taka jak ona, rozumna, pełna wyobraźni, poetyczna w tym rodzaju jaki się wówczas podobał, a przez swoje fałszywe położenie postawiona w świetle już z góry fałszywem, musiała stać się celem zdradliwych męskich za-

biegów tem łatwiej dopiero, że była piękną. Bardzo wysoka, bardzo kształtna, z ogromnemi jasnemi włosami, z wielką gracyją ruchów, z rysami, które nie były doskonale regularne, ale były i piękne i szlachetne, była ona jak świadczą ci, co ją znali młodą, razem i okazała i śliczna. Do tego śpiewała jak Syrena; głos dźwięczny, przejmujący, wyrobiony był do wysokiego stopnia doskonałości; a usposobienie bardzo muzykalne wielka intelligencya artystyczna sprawiała, że wszystko co śpiewała, miało i właściwy i bardzo przejmujący wyraz. Powodzenie miała ogromne; a że sama nigdy dotąd prawdziwej miłości nie znała, że jej pragnęła, więc... więc mogło łatwo nastąpić to, co Krasiński w owym liście do Sołtana pisze, że starał się o jej względy książę Orleański, pan Flahaut — inni dodają do nich imię Chopina. Ale to wszystko prędzej lub pózniej okazywało się być uczuciem przelotnem, powierzchownem... Gdzież jest ten, który ją kochać będzie prawdziwie, tak jak ona rozumie i pragnie, jedynie, wyłącznie, na zawsze?!...

Rzecz prosta, że dla takiej kobiety być kochaną przez poetę, było szczytem szczęścia, ideałem wszystkich marzeń. Wyobraźnia, miłość własna, prawdziwa i fałszywa poezya, wszystko co w niej było, musiało rwać się do takiej miłości. A kiedy zjawił się poeta i to nie pierwszy lepszy, ale poeta prawdziwy, wielki, nie mogło być inaczej, tylko że musiała sama siebie pytać, czy on nie jest tym jedynym, wymarzonym, tym w księdze przeznaczenia dla niej od wieków zapisanym? — pragnąć żeby on tym był! Może stanie się to tem łatwiej, że nieszczęśliwy, że jeszcze cały zbolały swoją pierwszą miłością, że potrzebuje pociechy...

Na domysł, ale nie bez podobieństwa do prawdy, przypuszczać można, że ten *ton paryski*, który Krasińskiego niecierpliwi, te różne kaprysy, przeskoki od sarkazmu do rozmarzenia, o których on wspomina, to były próby, szukanie tego właściwego tonu i sposobu, który miał trafić do jego wyobraźni, przez tę do serca. Napadła wreszcie na prawdziwy: nieszczęście, mąż niegodny, próżnia serca, zrozumienie i współczucie dla tej próżni serca, która jego dręczy,

dobroć wreszcie, i smutna rezygnacya osoby, która niczego już dla siebie nie pragnie, ani się spodziewa — najmniej miłości! Zbyt wiele przez nią cierpiała i nie chce o niej ani słyszeć.

Te rozmowy przyjazne, o których on wspomina, musiały być nieskończoną poetyczną waryacyą na ten temat. Wszystko to widzi się wyraźnie. Trudniej byłoby zrozumieć, jakim sposobem Krasiński tak łatwo ujrzał swój ideał, swoją Beatrice, w osobie którą zrazu sądził tak trzeźwo? Wspomnienia księcia Orleańskiego i pana Flahaut, jakoś nie godzą się z tem wzniosłem poetycznem imieniem. Ale na to jest odpowiedź gotowa, i stara jak świat, że mężczyzna najmędrszy nawet bywa czasem w tych rzeczach naiwnym jak żak; że w owym czasie sławny paradox Wiktora Hugo znajdował wiarę nie u jednego tylko Didiera w Marion Delorme, ale i w rzeczywistem życiu niejednemu mężczyźnie wydawał się rzeczą mądrą i piękną, a przez nie jedną kobietę powtarzany był czasem z dobrą wiarą, często z dobrym skutkiem.

Co pewna, to że owo psychologiczne przysłowie, które mówi o harmonii przeciwieństw, i twierdzi, że natury do siebie najmniej podobne, mają do siebie pociąg najsilniejszy, doznało tym razem zaprzeczenia. Krasiński i pani Delfina Potocka byli właśnie podobni do siebie, wadami. Oboje mieli tę skłonność do poetyzowania i dramatyzowania swego życia, i przez nią podobali się sobie wzajemnie. Tylko ta była między niemi różnica, że u niego pod tą skłonnością była ogromna prawda i siła uczuć rzetelnych, u niej było tej prawdy nieskończenie mniej. Z tej różnicy wyniknął cały znowu dalszy przebieg tej miłości i jej dziejów.

W każdym razie, jego pierwsze wrażenie jest niekorzystne. Istota cierpiąca znajduje u niego politowanie, współczucie; ale istota sztuczna, kobieta jakby żywcem wyjęta z współczesnego romansu, nie podoba mu się. Miłość nie strzeliła w jego serce jak piorun, tylko się tam pocichu wkradła jak złodziej. Ale czasu nie wiele na to straciła; owszem, dziwnie prędko ogarnęła go jak płomień, owładnęła jak zdobywca. W tym miesiącu styczniu jeszcze on za dawną

kochanką tęskni, za nią cierpi, do swoich nowych znajomych czuje żal za to, że ciekawie, złośliwie, dotykają tej strony bolesnej jego serca.

„Są tu Komary wszystkie zebrane razem, i matka, i „córki, i panny, i Delfina Potocka, ale zatraciłem już zna„czenie słowa tego „kobieta!“

„Chodzę często do nich, bo grzeczne i zapraszają; co „chwila mnie nękają dwuznacznemi wyrazy, tyczącemi się „mojej przeszłości: — potrzeba mi w takich razach być bez„czelnym, by nie zblednąć jak trup! Serce mi się kraje, „a odpowiadam zimno, obojętnie, udając że nic nie rozumiem! „To strach, jak wszystko wiedzą na świecie; przytaczają mi „słowa moje własne, czyny moje własne; przeczę ze śmie„chem, ale to śmiech konających; — bo wtedy, wtedy do„piero widomem, dotkliwem mi się staje, jakem dalece i nie„odwołalnie imię tej, którą-m kochał, puścił na łup językom „ludzkim... biada mi!... hańba mi! I patrz!... nie było przez „lat tyle chwili jednej, drobniutkiej chwili jednej, w której„bym nie marzył o jej szczęściu, o dobru jej, o chwale jej, „o piękności jej, a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy „to nie szyderstwo? nie zabójstwo? nie piekło?... Co ja im „zrobię, tym wszystkim teraz? Mogęż usta paplaczy wszyst„kich zamknąć na wieki?... Co począć z dziewczynami i sta„remi baby? Trzeba dowcipem je nękać, a jabym chciał je „w proch rozetrzeć; a mężczyzna żaden się nie przesunie, „żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Rozkosz „zemsty nawet niedostępna dla mnie. — Dopiero gdy wyjdę, „gdy nie zdołam im nakazać milczenia, oni gwarzą i szarpią; „i ja to wiem, i ja tak żyć muszę? A przyszłość moja? „Czy ty wiesz, co mnie czeka? Czy ty wiesz, że może za „pół roku, obaczę się w najdzikszem, w najzagmatwańszem „położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc komu się po„wierzyć, czy dyabłu, czy aniołowi stróżowi, czy przypad„kowi ślepemu, czy rachubie? I jędze mnie rozszarpią — „Proś Boga za mnie, ja już i modlić się nie umiem za siebie! „Gdy wejdę do kościoła, jakiś wstręt, jakiś dreszcz mnie „chwyta; chcę uklęknąć i sztywnieją kolana; chcę zacząć

„Zdrowaś Marya, — a to imię Marya, jedno tylko, samo „jedno z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka!“ (do Jaroszyńskiego. Listy. Kraków 1871).

Ale niebawem okoliczności składają się tak, że pomagają do przemiany jego uczuć. Dostał ospy; musiał jej dostać zaraz po napisaniu powyższego listu, bo już 5-go lutego jest o tyle zdrowszy, że może pisać; a pisze co następuje: „Przez te wszystkie dni, leżałem w wściekłej gorączce... „cieszyłem się myślą, że na tamten świat się przerzucę; ale „znać jeszczem tu do parady potrzebny. Nie mogę ci opisać, „o ile przez ten czas choroby mojej Pani Delfina była dobra, „prawdziwie, szczerze dobra dla mnie... Gdybym miał siostrę, „od siostry niczego więcej żądaćbym nie mógł. Z całej duszy „jej wdzięczny jestem, tembardziej, iż wiem, że to prosta, „dobra przyjaźń, a nic innego“. Ale im dłużej trwa, tem się naturalnie ta przyjaźń staje czulszą: „Gdybym był „ją spotkał wtedy, kiedy błyszczała próżnością, byłbym się „odwrócił, nigdy słowa do niej nie wyrzekł. Ale teraz to jest „tak biedna, zewsząd napadnięta, w każdym punkcie zra„niona kobieta, a zarazem harda w boleści, nie żebrząca „nigdy politowania a przyjmująca je kiedy szczerze danem, „że, jakem ci pisał już, gawędzę z nią przez długie godziny.“ W kilkanaście dni później już zwierzenia jego nie mają tego spokoju, w jakim zostaje człowiek zajęty tylko przyjacielskiem uczuciem. „Nie chcę listowi powierzać rzeczy, na której „zrozumienie i ocenienie trzeba albo dziesięć arkuszy napi„sać, albo być z Tobą razem i tylko ścisnąć ci rękę“ — (List LXXVII z Rzymu 20 lutego 1839) — „ale to pewna, „że w dziwnej jestem kryzys moralnej. Razem gorący i zimny, „młody i stary, obojętny i nie. To jednak doskonale czuję, „że co lat kilka jak piasek w klepsydrze, tak życie o kilka „stopni opada w piersi naszej. Co niegdyś byłoby nas prze„jęło szałem, dziś tylko słodyczą; kto wié co lepsze? czy „szał, czy tkliwa słodycz rozlewająca się po duszy, jak cie„płe wonne wiatru powianie.“ Tak pisze człowiek, który się kocha i sam o tem wie doskonale. Wreszcie, wyznaje to już otwarcie. Gaszyńskiemu później, we wrześniu dopiero, kiedy

go przeprasza za długie milczenie, a wymawia się tem, że „ci tylko piszą, co żyją na ziemi

Ja nie na ziemi żyłem, ale w niebie....

Sołtan dowiaduje się wcześniej całej prawdy.

„Tobie przeszło przez myśl“ — (16 marca 1839 z Rzymu list LXXIX — „żem ja się w jakiej pannie zakochał? Nie „Adamie, nie. Zresztą niech Bóg mnie sądzi. Zapewne, że „nie jestem na najprostszej drodze, ale kto wymiarkuje „drogi serca? kto rzuci kamień na drugiego? Przynajmniej „niech mi go nie rzuca nigdy dłoń przyjaciela. Ledwo pisać „mogę. Pomieszały się wszystkie wyobrażenia i wszystkie „wiary moje, jestem jako ślepy i obłąkany... Proszę cię nie „potępiaj, ale raczej żałuj, bo ty wiesz, że ja ją szczerze „kocham i na zawsze. Błędy moje, szały moje, niechaj twego „serca nie odwracają odemnie, bo ty na nich nigdy nic „z duszy mojej i przywiązania stracić nie możesz. Ty sam „wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że „rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym buffonem, „ale nie zaradczym lekarzem. Otóż, jestem w takiem poło„żeniu; a jak się ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak po„woli giąłem się pod tą fatalnością, jak darłem się z samym „sobą i rozdarłem siebie, to niech mnie i Bogu wiadomem „pozostanie“.

Świetniej, potężniej, wyraża się ta miłość w wierszach. Wiersze te, jak dawniejsze i późniejsze, znajdują się najczęściej w listach, ale w listach nie do przyjaciół, tylko do samej ukochanej. Dlatego tak były ukryte; nie wiedzieliśmy, nie domyślalimy się, że są na świecie. Po śmierci dopiero pani Delfiny Potockiej, częścią w ostatnich latach jej życia, oddzielone od listów ukazały się, i stały się ozdobą jedną z najpiękniejszych naszej miłosnej poezyi.

W jednym z nich, w jednym z późniejszych i najpiękniejszych, opisuje poeta, jak się wydaje szczęście człowiekowi, przywykłemu zawsze tylko do cierpienia. Aniołowie sami w swojej niezmiennej jednostajnej szczęśliwości, nie mają

wyobrażenia o takiej rozkoszy. W podobnem uczuciu pisany jest wiersz pierwszy, odnoszący się do tej nowej miłości. Poeta sam nie dowierza rzeczywistości, nie wié czy to prawda? czy nie jest złudzeniem, urojeniem wyobraźni ta postać anielska; czy może być, żeby on jeszcze był szczęśliwym? on wié co piekło, co próżnia serca, co nicość

gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,

on był

tak smutny, jak nocy milczenie —

a wtem ją spotkał — i

Hymn wniebowstąpień zewsząd się odzywa —
Bujam po morzu gdzieś w skrzydlatej łodzi.
Ta, którą kocham, może płynie ze mną?
Może w jej duchu mój duch się odbija?

Może? Ona jest przy nim. Tylko on rzeczywistości tego szczęścia uwierzyć nie może; spodziewa się, że

Głos tajemniczy szepce jej do ucha,
Spowiedź mej duszy i wszystkie me żale,

ale nie jest jeszcze pewien, czy ona głosu tego słucha. Ale dziś dość mu na tem, dość szczęścia. On wié, że to nie potrwa, że jego przeznaczeniem ból, że złe ustąpiło tylko na chwilę, by wrócić i dręczyć go znowu — ale teraz jemu tak dobrze, że potem na wszystko już przystanie, byle ta jedna chwila nie była mu odjętą, ani zepsutą.

Niech jeszcze marzę — że na wód kryształe
Zlały się razem losów naszych drogi,
By płynąć w wieczność razem — jak te fale.

Drogi się zeszły istotnie, i na długo. — Ale zawsze razem być nie można. „My ztąd 15 lutego wybieramy się do Rzymu“, skarży się w liście do Sołtana (LV, str. 147);

ojciec chce koniecznie, a on nie może wyznać, dlaczego nie chce. A więc

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę...

i w wilię tego rozstania, 14go lutego, pisze się wiersz powyższemi słowy zaczęty, wiersz przypadający dobrze do tego wizerunku kochanki, jaki kreśli prozą w liście do Sołtana (choć tam jeszcze wypiera się tej miłości). „Nieutulona rozpacz, nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia, przekwitłość serca, hardość, która politowania nie żebrze“— i jego politowanie, które wybiega naprzeciw tej duszy zbolałej, a w sobie zamkniętej, wszystko to jest tu w poetycznej parafrazie:

Bóg jeden zdoła
Policzyć ciernie w wieńcu twego czoła.
Ja ich nie liczę — ja je tylko czuję.
Bom wziął je wszystkie w głębie mojej duszy. —

Potem jak tylko się dało najprędzej, wymknął się z Rzymu (w kwietniu), wrócił znów do Neapolu, ztamtąd popłynął do Sycylii — (czy sam? ślady jego wrażeń z Palermo są w przedmowie do *Trzech myśli*). I znowu rychło konieczność nowego rozstania, znowu konieczność podróży do Niemiec do wód z ojcem (w czerwcu), a po tym odjeździe nowy wiersz, nowy wyraz tęsknoty i niepokoju:

Czy wtedy z tobą raz ostatni byłem?
Smutnem przeczuciem dusza mi się żali

i stara się odgadnąć, co ona w tej chwili robi? czy sama w komnacie dręczy się wspomnieniami? czy

możeś poszła chodzić po nad brzegiem
Wód źwierciadlanych, gdzie fala spieniona
Konając, stopy głaskała ci śniegiem —
Ja byłem wtedy przy tobie — jak ona.

Ale wygnanie nie trwało długo. Ojciec powrotu do kraju nie żądał, i nastąpił pobyt w Szwajcaryi — w Fryburgu naj-

dłużej, sądząc z listów), jesienią powrót za Alpy, powolny, zatrzymując się po drodze; i znowu zima we Włoszech, zima szczęśliwa, w ciągu której ojciec przypomina czasem listami, że radby syna widzieć żonatym, ale syn odpowiada (sobie przynajmniej i przyjaciołom), że na to jeszcze czas. Te przypomnienia brzmią w uszach, jak brzęk natrętnej muchy; nie chce myśleć o przyszłości — szczęśliwy dziś, w teraźniejszości chce żyć, na resztę oczy zamyka.

Istotnie rok ten i dwa następne (1840 i 1841) to okres szczęśliwy jego miłości. Miłość nieograniczona, zupełna, krępowana co najwięcej ojcowskiemi chyba przestrogami, nowych i ciężkich zmartwień żadnych. Przyjdą niezadługo, ta harmonia się zmąci; ale teraz pogoda jasna, samo południe miłości i szczęścia.

Może dlatego najwięcej wierszy i najpiękniejsze, noszą tę datę roku 1840. Niewiele, jak zawsze, ale stosunkowo najwięcej. Z całego ciągu szczęśliwej zimy niema ani jednego; ale kiedy przyszło lato, a z latem znowu jechać na spotkanie z ojcem, boleść rozstania dobywa mu z serca dwa śliczne wiersze. Jeden, jak żeby Zaleskiego strofą pisany, taki dźwięczny i lotny, a miękki przytem jak u Krasińskiego rzadko:

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę —
Ja tak cię kochałem!
Ach, rozdział śmiercią — jak śmierć jest rozdziałem.

Wiersz drugi jeszcze piękniejszy, to jest tęsknota, jaka będzie, kiedy on odjedzie [1]):

Rankiem, wieczorem, na wyspy bezdroże
Patrzę samotna — w skały, w niebo — w morze.
I codzień mówię „on dziś wróci może!“
Taki mój los!

---

[1]) Lwów. 1890. T. III. str. 26 i 27.

A jak Mickiewicz przed laty jedenastu *„na Alpach w Splügen“* zwracał smutne wzrok na północ, i z tego szczytu posyłał dawnej kochance ostatnie pożegnanie, tak teraz Krasiński na temsamem miejscu stoi i także wiersze do kochanki pisze; ale nie żegna, tylko powrót i spotkanie przyrzeka, i nie ku północy patrzy, ale na południe, Ziemi włoskiej opiekę nad swoim skarbem zalecając:

O Ziemio włoska! strzeż tego anioła —

Czy można zdać sobie sprawę, próbować przynajmniej z tego ich uczucia i stosunku? jak które z nich kochało i które więcej? Oczywiście on. Stosunek jest wprost przeciwny temu, jaki był w jego pierwszej miłości. Tam on więcej był kochany, aniżeli kochał; on wtedy kochał się sam w sobie, w nowości nieznanego uczucia, we wrażeniu, jakie sprawiał, nie mniej, jeżeli nie więcej, jak w osobie samej; on nie poświęcił nic, nie stracił nic, a poświęcenie przyjął. On wreszcie zapomniał. Ona kochała całą duszą, ona dla niego „wszystko straciła na ziemi“, a nie kochała nigdy innego, tylko jego do samej śmierci.

Teraz jest inaczej. Uwielbienie bez granic, poświęcenie miłość najprawdziwsza, która swój cel ma nie w sobie, ale w umiłowanej istocie; namiętność rozpłomieniona i czułość najrzewniejsza i największa, jest po stronie mężczyzny. Kobieta to wszystko przyjmuje chętnie, utrzymuje umiejętnie i przebiegle; ale jest, i ze świadomością chce być celem w tej miłości i w jego życiu. Nie on dla niej — ona dla niego ma być celem. Nie ona dla niego — on dla niej ma poświęcać nawet rzeczy, których poświęcać się nie należy i nie godzi. On kocha ją nadewszystko: ona siebie więcej niż jego. Czy chcemy przez to powiedzieć, że go nie kocha wcale, tylko udaje? Nie; ona jest przekonana, że go kocha, jak bardziej kochać nie można; a z pewnością jest pod jego urokiem, dzieli jego smutki, pragnie jego szczęścia, głowę i serce ma nim zajęte. Ale wiemy, jak łatwo u istot jej podobnych wyobraźnia i miłość własna podchodzi i łudzi serce: jak umié wmówić w nie uczucie, albo je udać za większe,

niż jest. Rozpoznać gdzie się kończy prawda, a gdzie zaczyna udanie, nie potrafi nikt, najmniej może ten — lub ta — która tego uczucia doznaje. Sposób i miarę do tego rozpoznania daje dopiero życie, zachowanie się takich dwojga osób w różnych wypadkach i stosunkach. Pani Delfina Potocka myślała i wierzyła, że kocha Krasińskiego najszczerzej i najgoręcej; ale życie pokazało, że w jej miłości była i sztuczna exaltacya, i próżność, i miłość własna, i egoizm. On wytrwa w tej miłości wierniej i dłużej niż powinien, a zapomni wtedy dopiero, gdy porówna tę miłość zmieszaną z próżnością i egoizmem, z drugą szlachetniejszą i wznioślejszą; zapomni, gdy się przekona, że przedtem sam był zapomnianym. Ona, kochała jego zapewne w życiu swojem najwięcej, ale jak nie jego pierwszego, tak też i nie ostatniego także: a potrzeba nowych i artystycznych wrażeń przetrwała nietylko młodość, ale i lat niewieścich południe. Rzeczą było w swoim czasie powszechnie wiadomą, że dobrze już przekwitła i starzejąca się Beatrice, zawróciła jeszcze siwiejącą głowę Pawła Delaroche w ostatnich latach jego życia.

III.

Szczęście i smutek. Powody smutku. Cierpienie patryotyczne. Pokusa zwątpienia. Niejasność pojęć religijnych i filozoficznych. Stosunek z ojcem. Plany ożenienia. Opór. Panna Eliza Branicka. Przewiezienie zwłok Napoleona. Nowe dzieła.

W duszy poety mieszanina, czy walka, szczęścia z ponurym smutkiem. W wierszach, w listach, ukazuje się czasem taki upojony szczęściem, że zda się, jakżeby bólu żadnego nie czuł; a w tej samej chwili zgryzota, udręczenie, zwatpienie odzywają się jękiem głuchym, niekiedy przeraźliwym, rozdzierającym. Raz „wyzywa duchów i aniołów“ jakżeby chciał mierzyć się z nimi na wielkość szczęścia, a zaraz obok skarży się

Mnie smutek zabił, mnie gorżkie koleje
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,

Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję...

albo w rozpaczy załamuje ręce „*Nad morzem na skale*“, bo nie może znaleźć nic, w czemby, prócz mocy Bożej, nie kryła się piekielna siła. Nie jest to poetyczna exaltacya: nie jaskrawe oświetlenie wiersza i stylu, które nadaje blasku uczuciom i powiększa ich rozmiary: zwykłe listy mówią to samo, i tym samym tonem. Co za koncentracya wrażeń różnorodnych a rozkosznych w takim naprzykład ustępie:

„Rozpiłem się południa błękitami (do Jaroszyńskiego „1go sierpnia 1840). Błyszcz ątam gwiazdy, jakich nigdzie „indziej nie zobaczysz; księżyc tam jak dziewica niebios, „słońce jak archanioł potęgi, Rzym jak archanioł zwalony „leżący na ziemi, śródziemne wody Neapolu, jak toń wiecz„ności, ale szczęśliwej, ale wielkiej! Sycylia jak królestwo „marzeń, wcielone w kształt równy pomysłowi tych marzeń; „a pod tem wszystkiem Dantejskie piekło, buchające czasami „kraterem Wezuwiusza, Etny, Stromboli. A nad tem wszyst„kiem przesłona dzika i pełna żałoby, czyściec Dantejski, „unoszący się powietrzu między grobami, na których kwiaty „rosną i migają lucciole, a niebem, gdzie drugie lucciole „świecą... Tam, gdzie one na mlecznych drogach oparte, Raj „się zaczyna: Raj niedojrzany, w którym Beatrix niewidzialna „mieszka. A cień, odbłysk jej, mara jej, czasem przesunie „się na dole, czasem odbije się w magicznem zwieciedle „niebios, w tem źwierciedle zwanem włoską ziemią“.

Z półtora roku zebrane wrażenia i zachwyty streszczają się w tych słowach, a nad wszystkiemi unosi się, świeci, króluje cień niebiańskiej Beatrice, który zstąpił na ziemię. I poeta i człowiek zdaje się upojony szczęściem. Ale on na chwilę nie przestaje cierpieć. Miłość go unosi i zachwyca, ale nie jest eterem ani letejską wodą i nie ma władzy nad jego troskami, nie przynosi zapomnienia.

„Z tych słów sądziłbyś, że mi serce jak Rafaelowski „grób Panny Maryi porosło w kwiaty, że duch mój cały „przetkał się gwiazdami? Nie; bo posępne lice świata, ogółu

„smutek, moje indywidualne uniesienia gasi, zabija, i niszczy, „i zawszem taki, jakim mnie znałeś... Noszę głęboką żądzę „w sobie; choć w pewnych chwilach potrafię się jak król „ubrać w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity „i muśliny pian mórz włoskich — coś mi pod temi szaty „serce wydziera. Darmo głaskam owe żmije — darmo ich „proszę, by mi krwi mojej nie piły; one mléka nie chcą, „one krwi mojej wiecznie żądają. I tak dalej idę, cisnąc „pod szatą poezyi owe gniazdo robaków; a gdybym je wyr„wał, toby i serce poszło za niemi. Epaminondas pod Man„tyneą skonał, gdy wyrwał z piersi włócznię, co mu pierś „przeszyła“.

Co to za żmije? Wskazuje on je sam wyraźnie: „posępne lice świata, ogółu smutek“ — czarne troski *Nieboskiej Komedyi*, tęsknota Irydiona za światem lepszym a niepewnym. Ale ten rdzeń jego smutku ma różne odnogi i rozgałęzienia, i różne także bierze w siebie pierwiastki innej natury. To nie jest tylko patryotyczny ból, ani frasunek o przyszłość świata; to jest także i zniechęcenie do siebie i obawa ciężkich walk przed sobą.

„Zdarza się na świecie chwila takiej ironii, że zwąt„pienie chwyta za duszę naszą i prawie bluźnierstwo do „ust nam się gwałtem ciśnie. Na znikomych widowniach „skończoności tyle jest pozornych nieszczęść i błędów, tyle „gorżkich zawodów, tyle szyderskich przerobień się uczuć „wewnątrz nas i okoliczności na zewnątrz, że nie dziw, „jeśli czasem stanie myśl ruszona niemocą i zaprzeczy nie„skończonej dobroci i prawdzie, by wierzyć, że złe jest świata „panem, a przypadek jego aniołem, jedynym aniołem stróżem. „To wszystko, jak gruba zasłona kryje niebo, prawdę, ideały „i szczęście. To stanowi pokusę, niedowiarstwo odmętu, za„ślepienia, które wiedzie do straty wszelkiej otuchy i nadziei, „do ostatecznego zwątpienia! Pokusy niema straszliwszej, „wszystkie inne są tylko chwilowe! Ta jedna ciągła, poczyna „się z pierwszym dniem życia, a kończy się z ostatnim! Kto „ją przemógł, kto własnym oczom nie wierzył, kto miał ręce „pokolone cierniami, a o różach nie przestał marzyć, kto

„widnokrąg, zasnuty mgłami za fałsz poczytał, za fałsz na-„pomykający o prawdzie błękitów, — ten zbawionym bę-„dzie, ten w skończoność nie uwierzył, ten jest synem Boga! „Zapewne jeśli mam być zbawionym, to jedno mnie zbawi „kiedyś — żem nigdy nie przestał ufać w piękność, że uczu-„cie piękności na wieki w głębi duszy mojej żyje!“

On w sobie to jedno tylko ceni, dlatego jednego może znaleść przebaczenie i zbawienie, że nigdy nie przestał ufać w piękność. Pokusa ostatecznego zwątpienia dusi go bez wytchnienia. Czy nie teraz właśnie, pomimo miłości i szczęścia, żyje on w tej przepaści, o której mówi w *Przedświcie?* w „próżni zwątpienia?“ Wiara religijna go nie trzyma. Czy ją stracił? Nie. Ma ją, i nie ma, tak, że trudno jego wiarę i jego zwątpienie pogodzić. „Lammenais zgłupiał, a Papież „jeszcze przeszłego roku błogosławił z krużganku Śgo Piotra „stu tysiącom ludzi“ (do Gaszyńskiego 19 października 1839). Ale w tej jego religijności jest (jeżeli można odważyć się na takie dochodzenie), więcej może miłości Boga i chrześciaństwa, aniżeli czystej wiary. On wierzy w Boga i w Jezusa Chrystusa, i w święty Kościół Powszechny, a zwłaszcza kocha, trzyma się ich sercem; ale on sam może nie wié jasno i dobrze, co o nich myśli. „Przeklęte Niemcy filozofy“ nie napróżno wpiły się w jego myśl. Jezus Chrystus jest Bogiem, i niebo chrześciańskie z aniołami i świętymi jest celem, do którego dążą wszystkie duchy z tej ziemi i z innych planet. I Papież jest Głową Kościoła, Namiestnikiem Chrystusa na ziemi. „Ale Bóg jest Jehową, Bóg jest Chry-„stusem, Bóg jest Panteizmem — ale prócz tego Bóg jest „jeszcze czem jest — samym sobą... Dusza człowieka jest „nieśmiertelną, osobistą, i zarazem duch jego jest powszechny... „Pogodzenie sprzeczności w Bogu i w człowieku jest to ten „cud właśnie, który stanowi zarazem i życie i zagadkę ży-„cia... Wiara to silne przeczucie, że te sprzeczności są jednością „nierozerwaną, żyjącą razem i harmonijnie“ (do Jaroszyńskiego 5go września 1839). W słowach tych równie łatwo rozpoznać i podstawne pojęcia *Syna Cieniów* (który albo się właśnie pisze, albo niedawno jest napisany), jak wewnętrzną

logiczną sprzeczność w tych Krasińskiego pojęciach, jak wreszcie siłę uczucia i woli, z jaką on się wytęża, żeby w ten przyszły cud, w to pogodzenie sprzeczności (mniemanych) uwierzyć, i żeby przeczuć, odgadnąć, jakim on będzie, zkąd przyjdzie, jak się objawi? To jest ta praca, ta walka, to udręczenie jego myśli. A jeżeli też cud nie nastąpi? Jeżeli się pokaże, że i to jest złudzeniem? że złe jest panem świata, a jego jedynym aniołem stróżem przypadek, który czasem to złe usuwa lub łagodzi? Na tem rozumowaniu, które on bierze za wiarę, szczepi się „pokusa ostatecznego zwątpienia", z którą on walczy, którą odpycha, ale która szarpie go chwilami i gryzie jak Prometeusza sęp.

To jest drugi powód, drugi pierwiastek jego smutku.

Trzecim, czy nie jest stosunek z ojcem? Pragnienie ojca tak słuszne i naturalne, żeby syna widzieć żonatym, ale wobec namiętności, którą syn jest uwikłany i uszczęśliwiony, pragnienie ciężarne bolesnemi, tragicznemi przejściami. Zrazu mówi o tych zamysłach z dobrym humorem, z fantazyą i tężyzną człowieka, który ustąpić nie myśli, a nie bez ironii (i niesprawiedliwości) względem ojca, z zupełną pewnością co do siebie. „On jeszcze marzy o mojem ożenieniu — (do Sołtana 2go czerwca 1839). Nieożeniony nie mam żadnej „wartości w jego oczach, zatem może mnie znienawidzi, „albo zobojętnieje dla mnie. Ja zaś żenić się nie ożenię, „a to z wielu przyczyn: 1) że nie czuję powołania do tego „świętego stanu; 2) że żyć jeszcze myślę, bo żyć mi potrzeba „i żyć pragnę. Każ koło 5go lipca mszę odprawić na moją „intencyę, bo będę w dyabelnych tarapatach". Małżeństwo, które zna z obserwacyi światowej i ze smutnego doświadczenia dwóch kobiet, które kochał, a do tego małżeństwo koniec jego obecnego szczęścia, budzi w nim wstręt nieprzezwyciężony, wydaje mu się instytucyą przeciwną naturze, gorszącą i oburzającą. „Ze wszystkich instytucyj ludzkich „najmniej pojmuję formę małżeństwa. Albo ja bzika mam „w głowie, albo ta forma nie jest ostateczną formą miłości „na ziemi" (do Sołtana 27 lutego 1840). W literaturze ówczesnej, zwłaszcza romansowej, pełno jest myśli i wyroków

podobnych. Krasiński tak nie cierpi małżeństwa, że nietylko o własnem słyszeć nie chce, ale i na cudze patrzy niechętnie; Na Danielewicza naprzykład, kiedy ten (dwukrotnie) jest ożenienia bliskim. Mowa o własnem doprowadza go do rozpaczy, albo do złości: „Znów mój ojciec hufiec panien na „mnie prowadzi (tamże). Mnie już tak to znudziło, że mnie „oburzyło, że mi nerwy skaczą, jak pchły po ciele, gdy tylko „wspomni mi o tem. Nie wiem, jak sobie postąpię — to „wiem tylko, że mam jeszcze dwa lata młodości, i że myślę „ich użyć nie na ślub przed ołtarzem“.

Ta energia i tęgość w oporze, czasem przybiera ton smutniejszy, nie gniewu i zniecierpliwienia, ale goryczy i żalu. Jakie przejścia naprzykład, jakie bolesne między ojcem a synem rozmowy, kryć się mogły pod takiem wyznaniem. „Jaka „okropna walka, a ciągła, między młodością a starością! Ile „ztąd niesprawiedliwości wzajemnych, zgryzot i wyrzutów; „jaka konieczność poświęceń jednej strony dla drugiej, a tem „samem jaka konieczność okrucieństwa... A co chwila zmienia „się stosunek okrucieństwa: raz dzieci rodzicom, znów ro„dzice dzieciom rozżarzone węgle kładą na głowę. Ci, coby „kochać się powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył, „niecierpią się lub nudzą się jedni przy drugich, nie rozu„mieją się nawzajem...“ (do Jaroszyńskiego 16go lipca 1839).

Pisał do Sołtana, żeby około 5go lipca, dnia spotkania z ojcem, dał na mszę za niego, bo go czekają srogie przejścia; 16go lipca pisze tę ukrytą, stłumioną, a przecież wyraźną skargę. Jakieś przejście było; i on w tem przejściu woli ojcowskiej ustąpił. Zapewne nie zaraz, po ponownych naleganiach, i formalnie tylko przystał na zobaczenie tej, którą mu ojciec przeznaczył, ale woli swojej nie poddał, ani poddać nie przyrzekł; owszem, sam w sobie utwierdzał się i zacinał się w oporze. W rok później jest w Karlsbadzie, i oto co Sołtanowi donosi (27 sierpnia 1840): „Są tu Braniccy. „Tą razą nie spisałem się jak niedźwiedź; owszem, rozma„wiałem długo z panną Elizą. Zdaje się słodka i dobra bar„dzo osoba. Życzę jej z serca, by była szczęśliwą na ziemi“.

Życzy jej, by była szczęśliwą, a domyślnie dodaje: „byle z kim innym, nie ze mną“. Tak się zaś przeciw tej myśli zahartował, a przeciw osobie uprzedził, tak nie chce widzieć ani przyznać żadnego w niej wdzięku, że nawet o jej piękności nie wspomina. A jednak piękności tej zadziwiającej, wyjątkowej nie mógł nie widzieć, ani zaprzeczać. Tem bardziej nie pyta, nie raczy myśleć i wiedzieć, jakie wrażenie zrobił sam na tej „słodkiej i dobrej osobie“. Tego nie odgadł zapewne w pierwszych czasach (bo nie chciał), że pod uroczą powierzchownością i pod anielską słodyczą panny Elizy kryła się inteligencya żywa i bystra, zwłaszcza wyobraźnia bujna i (zwyczajem ówczesnym) poetycznie nastrojona, i był wielki zasób patryotycznego uczucia; a wszystko troje przygotowywało i usposabiało ją doskonale do uczucia, które z czasem w jej sercu zająć się miało.

A o dawnej, pierwszej miłości czy wcale niema już wspomnień i wzmianek? Są, i bardzo rzewne, bardzo smutne, pełne współczucia, litości. Rzadkie są, i w jednych tylko listach do Jaroszyńskiego, bo ten jeden ma sposobność widzieć czasem swoją sąsiadkę, a przynajmniej wiedzieć, co się z nią dzieje. Krasiński prosi, żeby ją łagodnie pocieszał, mówiąc o tem i do tego myśl jej zwracając, co pociechą być może. „Bądź zawsze dobry dla niej... mów jej o dzieciach... „wystawiaj jej, że cel ostateczny jest spłynąć się z Bogiem... „Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwałtowne, popę„dliwe, to mój duch jednak zawsze pragnął objąć ją czy„stemi skrzydłami i unieść do nieba. Kochałem ją jak czło„wiek, ale zarazem kochałem ją jak dusza; i nie mogę „wspomnieć o niej, żeby łzy mi ócz nie ćmiły, żeby serce „nie zaczęło lękać się o nią“ (16go lipca 1839).

A tymczasem rok w rok po spotkaniu z ojcem, ucieka Krasiński co prędzej ku południowi. W Szwajcaryi, we Włoszech (Fryburg, Sorrento), zapomina o ojcu i jego życzeniach, odurza się swojem szczęściem. Ale szczęście, choć wielkie, nie może zagłuszyć tych cierpień, które rozdzierającym krzykiem wybuchają czasem z jego serca. Takim jest naprzykład wiersz *do Moskali* (posłany Sołtanowi 9go sierpnia 1840).

Na wstępie odzywa się w nim to przypuszczenie, ta urojona trwoga, którą miał już w roku 1832, a odtąd zawsze, zwłaszcza przy każdym powrocie do kraju, która w jego wyobraźni zrodziła kiedyś *Ostatniego*, to mylne przeczucie, a jak on mniema pewna świadomość, że „dla mnie Sybir — powróz zgotowany“. Przeczucie było mylne; ale uczucie nienawiści i pogardy, i uczucie własnej godności, to było prawdziwem; i mało kiedy na świecie wyraziło się potężniej, namiętniej, wspanialej.

Poruszony i wstrząśnięty jest do głębi serca w tym roku 1840 przewiezieniem zwłok Napoleona. Jak cała Europa zadrżała na ten widok nietylko wspomnieniem przeszłości, ale i przeczuciem przyszłości — (niewątpliwie ten powrót i pogrzeb tryumfalny przygotował drogi przed drugiem cesarstwem) — tak nasi poeci, którzy odkrywali i czcili w Napoleonie zamiary, jakich on nie miał, widzieli w tym jego pośmiertnym tryumfie hołd, oddany tej Napoleońskiej idei, która ideą Napoleona nie była, ale była pragnieniem i nadzieją ówczesnego świata, a pod ręką drugiego cesarza miała, chciała, zaczynała się urzeczywistniać... i nie zdołała. Mickiewicz, zawsze pełen czci i uwielbienia dla Napoleona, pod wpływem tego pogrzebu dopiero posuwa się w tym kulcie do ostateczności, robi z Napoleona posłannika Bożego i jeden z dogmatów swojej mistycznej, religijnej i filozoficznej nauki. Słowackiemu wyrywa się z piersi na ten widok wiersz prześliczny, ale natchniony zwłaszcza współczuciem, a przejmujący rzewnością. Krasiński zatopiony myślą w historyi i w polityce, i szukający w nich jakiegoś wniosku na przyszłość, w swoim wierszu porównywa małość dzisiejszego świata z wielkością tego olbrzyma, i sądzi, że może z głębi tej trumny buchnie „zmartwychstania siła i w skrzepłe piersi gromem uderzy“. Ale się zawiódł. Trumna przeszła „i już do śmierci powrócił świat cały“.

Zdrowie zawsze złe. Ma, albo przypuszcza, że ma solitera; a dwa razy w ciągu r. 1840, w Karlsbadzie i w Sorrento, dostaje gwałtownych ataków cholery. Czy pisze co przez ten czas? Pisze i wydaje. Kiedy powstała *Noc Letnia*,

oznaczyć się nie da; ale dawniej zapewne, skoro posyłając Sołtanowi wydaną, wyraża się o niej, że „długo spała“ (w rękopiśmie). Bądź jak bądź, ocknęła się teraz. Czy zaś *Trzy Myśli Ligenzy* napisane były przed podróżą do Sycylii (w kwietniu 1839), a tylko przedmowa po niej była dodana, czy też wszystko powstawało w ciągu roku 1839, dość, że w roku 1840 *Trzy Myśli* wyszły, a autor często o nich w listach swoich wspomina. Ciekawa daje się przy tem widzieć u niego skłonność do ukrywania się, mistyfikowania. Nie jest to ostrożność tylko, która mu każe nie przyznawać się do swoich dzieł; ta odnosiłaby się tylko do ogółu, do ludzi nieznanych. On tymczasem przed przyjaciołmi, i to najzaufańszymi, najdroższymi, udaje że nie jego to dzieła, że nie wié, co za jedne są.

„Czytałem w jakimś numerze *Gazety* doniesienie, że „pod prassą *Trzy Myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligen-„zie* — pisze do Gaszyńskiego 24go października 1840. — „Czy to już wyszło? co to jest? Cóż to za zacz ten pan „Ligenza? Dawniej to była wielka familia na Rusi Czerwo-„nej“. W dwa miesiące później dopytuje się, „co dziennik „powiada o *Trzech Myślach Ligenzy*. Konstanty (Daniele-„wicz) bardzo mi to dziełko zalecał, mówiąc, że w niem „głęboki sens filozoficzny“. W lutym roku 1841 „już dostał „owe *Trzy Myśli*, a co więcej wié, kto ich rodzicem“. To, czego się Gaszyński domyśla — (czy jego autorstwa?) — jest pomyłką“. Dziwna, zapewne chorobliwa trochę passya ukrywania się, albo może przyjemność mistyfikowania, intrygowania jakżeby pod maską.

IV.

Nowe przyjaźni. Słowacki. August Cieszkowski. Jego *Prolegomena do historyozofii*. Wpływ na Krasińskiego.

W tymsamym roku 1839 zaczyna się nowa w życiu Krasińskiego przyjaźń, a rośnie jedna dawniejsza. Jeden przyjaciel nowy, to Stanisław Małachowski, z którym kor-

respondencya teraz poczęła, trwać będzie do śmierci poety. Urodzony w roku w 1798, przez całą młodość wiejski gospodarz, w roku 1830 poszedł do wojska i dosłużył się krzyża i stopnia kapitana; po wojnie za drugimi poszedł na emigracyę. Natura prosta i prawa, ziemianin a potem żołnierz jak być powinien, czyste żwierciadło honoru z gorącą miłością ojczyzny, a z umysłem trzeźwym i praktycznym. Małachowski tem może tak Krasińskiego silnie do siebie pociągał, że był od niego zupełnie inny; że miał jednolitość i równowagę uczuć i woli, na jakiej jemu zbywało, że drogę swoją zawsze jasno przed sobą widział i szedł nią prosto bez wahań i namysłów; że nigdy nie był sam w sobie rozdarty. On zaś przywiązał się do młodszego przyjaciela z siłą fanatycznego niemal uwielbienia, które zostało do śmierci najwybitniejszem z jego uczuć osobistych [1]).

Przyjaźń z Juliuszem Słowackim musiała zmienić się znacznie od pierwszego poznania, a weszła podobno teraz w swój okres najwyższy. Ta życzliwość chłodna i otoczona różnemi zastrzeżeniami, jaką widziało się w pierwszych wzmiankach, ustępuje teraz miejsca wyrazom serdecznego uczucia w listach do Słowackiego, gorącej, zaciętej jego obrony w listach do innych. Człowiek to, czy poeta, wywołał tę zmianę? Domyślać się można, że urok Słowackiego poezyi działał na fantazyę Krasińskiego; obojętność lub niesprawiedliwość krytyki oburzała go i czyniła mu człowieka droższym. Ta zaś właściwa jemu exaltacya w przyjaźni, ten dar czy popęd do idealizowania tych, których kochał, nietylko kobiet, ale i mężczyzn, musiała przymieszać się także do tego uczucia, jakie miał dla Słowackiego. Dawne pierwsze wrażenie „nie chciałbym na nim polegać“, nie odzywa się przez te lata wcale, odnajdzie się kiedyś dopiero; a teraz

---

[1]) Na emigracyi otoczony powszechnym szacunkiem, w r. 1855 zaciągnął się do formującej się w Konstantynopolu legii polskiej. W późnej starości osiadł w Krakowie, i tu umarł 22go lutego 1883. Napisał (i wydał jako rękopism) *Krótki Rys z życia i pism Zygmunta Krasińskiego.* Kraków, 1876, 12⁰, stron 82.

odzywa się tylko i wyraża bardzo pięknie, słuszny zapał dla poety i usilna chęć objaśnienia jego pomysłów i przymiotów tym, którzy ich nie rozumieli, przywiązanie szczere, a zarazem opiekuńcze do człowieka, tem dziwne, że ten młodszy wspiera i kieruje starszego radą, przestrogą, doświadczeniem. Znać młodszy musiał czuć się silniejszym, wytrawniejszym od starszego. Zaczynają się te obrony Słowackiego, lub świadczenia Słowackiemu w r. 1839 w liście do Gaszyńskiego (z Fryburga 19 października). Dyskussya musiała się z tego listu rozwinąć i ciągnąć, skoro w kwietniu 1840 Krasiński niecierpliwie odpowiada Gaszyńskiemu, że niegdyś skarżono się tak na Byrona i na Mickiewicza, że ciemni i niezrozumiali, jak on dziś skarży się na Słowackiego. Równocześnie (w lutym 1840) piękny list do Słowackiego samego o *Balladynie*, z trafną i gorącą pochwałą jej piękności, może ze zbytniem pobłażaniem dla usterków. W grudniu podobny, trafniejszy może, list o *Lilli Wenedzie*, w której (rzecz dziwna) Krasiński przypisuje niektórym postaciom (Ślazowi) pochodzenie od Szekspira, a nie uważa pochodzenia od Calderona. Z maja tego samego roku wreszcie jest ten długi list do Romana Załuskiego, w którym Krasiński traktuje już zasadniczo kwestyę Słowackiego i jego znaczenie w literaturze; może zbyt filozoficzna i zbyt uroczysta, ale świetna charakterystyka talentu i głównych dzieł Słowackiego. Godzien uwagi ten przypisek, który mówi, że gdyby ogół wyżej i słuszniej Słowackiego cenił, Krasiński wskazywałby wyraźniej i śmielej jego strony słabe; ale „to wam zostawiam, którzy na to zwłaszcza macie oczy otwarte“.

Znajomość z młodym Jerzym Lubomirskim nie nowa, skoro już w r. 1837 wspomina o nim jako o sympatycznym chłopcu, po którym spodziewa się wiele, rozwinęła się teraz w przyjaźń z obu stron gorącą, z jednej (podobnie jak u Małachowskiego) dochodzącą do zupełnego uwielbienia, i w niem do śmierci trwającą. Ale w tym szeregu przyjaciół poety występuje teraz jeden, który miał na nim wpływ szczególny wywierać. Wywarł go pismem swojem, nieznany, wcześniej niż osobą. *Prolegomena zur Historiosophie* wyszły

w roku 1838. Po ich przeczytaniu musiał Krasiński listownie do autora się zgłaszać, pragnąc osobistego z nim spotkania, spotkanie to układać; ale pierwsza wzmianka o osobie znajduje się dopiero w liście z 13 listopada 1839) z Medyolanu (do Sołtana). „Spotkałem się tu z Augustem Cieszkowskim, „autorem polemiki przeciw systemowi Hegla, w jego ostatecznych wnioskach. Dawniej znałem się z nim w dzieciń„stwie; tasama bona nas wychowała. Dzieło jego w Ber„linie wiele hałasu narobiło. Dobry i rozumny wysoko chło„piec. Kilka rozmów z nim miałem bardzo ciekawych".

Po tem pierwszem spotkaniu poszło ich wiele, wzajemne szukanie się, wzajemna potrzeba znoszenia się, pragnienie każdego nowego widzenia się i uszczęśliwienie z niego, obustronne gorące przywiązanie na zawsze. Po tej pierwszej krótkiej wzmiance o dziele nastąpią dalej coraz częstsze, coraz dłuższe i gorętsze. Wpływ Cieszkowskiego i jego rozprawy na Krasińskiego był ogromny; w tym nieustalonym rozczynie i fermencie, jakim były jego ówczesne pojęcia, ona, ta mała książeczka Cieszkowskiego, stała się tą wpuszczoną w rozczyn nitką, około której zaczęły skupiać się rozłączone atomy, i układać się w kryształy; ona była tą podporą, z której pomocą Krasiński znalazł swoją równowagę i zaczął budować ten system filozofii historyi, jaki znajdziemy z czasem w *Przedświcie* i w *Niedokończonym Poemacie.*

Streszczenie tego dziełka jest więć na tem miejscu koniecznem. Oto pobieżny zarys głównych zawartych w niem myśli.

„Ludzkość doszła już do tego stopnia samowiedzy, że prawa swojego normalnego postępu i rozwoju uważa nie już za wymysły i złudzenia gorliwych, a w abstrakcye zagłębiających się myślicieli, ale za rzeczywiste postanowienia myśli Bożej, za jej objawy w historyi świata. Te postanowienia i te prawa mogą być poznane. Ale dotąd to tylko rozumiemy, że poznane być mogą; jakie są, tegośmy jeszcze z treści z przebiegu historyi nie doszli, nie wydobyli, nie określili. Sam Heros nowszej filozofii, Hegel, nie zdołał, pomimo wszystkich zasług, jakie około filozofii historyi położył,

nie zdołał tego najważniejszego żywotnego pytania rozwiązać. Dzieli on historyę naszego świata na cztery wielkie epoki: wschodnią, grecką, rzymską, i chrześcijańsko-germańską. Ten podział wszakże nie zgadza się naprzód z rzeczywistością historyi, bo między epoką grecką i rzymską niema różnic tak stanowczych, iżby one były z sobą sprzeczne, a przez brak tej zgodności z historyą odpada najkonieczniejsze sprawdzenie, stwierdzenie tego podziału, zatem upada system na tym podziale oparty: a powtóre, gdyby ten podział miał być prawdziwym, gdyby zasadą praw postępu ludzkości miały być cztery stopnie, a jego zewnętrznym kształtem rzeczone cztery epoki, to w takim razie nasz świat znajdowałby się już w epoce ostatniej, i niemiałby przyszłości przed sobą.

„Tymczasem tych praw postępu i rozwoju ludzkości śledzić trzeba i odkryć je można nie w części historyi, ale w jej całości; nie w przebytej już przeszłości tylko, ale i w przyszłych kolejach także.

„Ale czy znajomość przyszłości jest możliwą?

„Tu naprzód postawić trzeba twierdzenie, że jeżeli ona możliwą nie jest, to również niemożliwem musiałoby być poznanie organicznej całkowitości historyi, której ta przyszłość jest integralną częścią. Z tego wynika, że rozwiązać należy przedewszystkiem pytanie, czy poznanie przyszłości jest możliwem lub nie?

„*Jest.* W swojéj istocie tylko; nie w szczególnych przypadkach i wypadkach, przejściach, nie w sposobach, któremi i formach w których się objawi, ale w swojej *istocie* przyszłości może być poznaną. Na tej zaś różnicy *istoty i szczególnego przypadku* polega różnica między filozoficznem poznaniem przyszłości, a jej odgadywaniem, przeczuciem, przepowiadaniem.

„Że przyszłość poznaną być może, wnieść można z tego że historya jest organiczną całością i jednością, organizmem. Ze znanej, danej części organizmu można domyśleć, uzupełnić jego całość i nie pomylić się. Takiego dopełnienia organizmów fizycznych dokazał Cuvier. Podobnie my, z już przebytego historycznego procesu, możemy wnosić, jaka będzie

tu część organicznej całości, której jeszcze nie znamy, bo ona musi odpowiadać tej części znanej i z niej wypływać. Dzieje przeszłe są dla filozofa historyi tem, czem były dla Cuviera fossilia i przedpotopowe zabytki; z nich musi i może filozof historyi poznać i zbudować całość dziejów ludzkich.

„Ale poznanie przyszłości jest nietylko możliwem; ono jest rzeczywistem, daje się praktycznie osiągnąć.

„Trojaki jest sposób oznaczenia, określenia przyszłości: przez uczucie, przez myśl, i przez wolę. Pierwszy, przez uczucie, jest przypadkowy, nieświadomy siebie, niezależny od człowieka: to widzenia i proroctwa. Drugi, przez myślenie, jest reflexyjny, świadomy siebie, teoretyczny, i wydaje filozofię historyi. Trzeci wreszcie sposób, przez wolę, jest prawdziwie praktyczny, stosujący rozumowanie do rzeczywistości, i obejmuje cały zakres czynu — fakta same jak ich znaczenie — teoryę jak praktykę — ideę jak jej urzeczywistnienie; i wydaje już nie przepowiadaczy, nie filozofów historyi, ale jej wykonawców. Pierwszy sposób oznaczania przyszłości możnaby nazwać *historyomantyką*, drugi *historyozofią*, trzeci, którego dotąd nie mamy, należy do przyszłości, a istotą, cechą i przeznaczeniem jego będzie stósowanie poznanej prawdy do rzeczywistości.

Ludzkość przebywa te trzy stadya, przeczucia, świadomości, i czynu; kiedy przebyła pierwsze, a stanęła w drugiem, to z dojrzałej już świadomości siebie musi przejść w stadium trzecie. W przeszłości działała ona i rozwijała się bezwiednie, niemal przypadkowo, tak, że *post factum* dopiero poznawała zrządzenia opatrzności i prawa myśli bożej w kolejach, które przebyła. Ale odkąd je poznała, ona będzie musiała ze świadomością czyny swoje do idei, do tej myśli bożej stosować. Opatrzność nie wyjdzie przez to z historyi i ludzkości z opieki swojej nie wypuści; tylko ludzkość dojrzeje tak, że jej wola i działanie przypadać będzie do bożych zamysłów. Ci ludzie, którzy wyobrażają narody lub wieki, ci bohaterowie, których żywoty są zarazem rozdziałami historyi powszechnej, nie będą już odtąd nieświadomemi siebie narzędziami przypadku lub konieczności, ale

świadomymi swej woli i przeznaczenia sztukmistrzami własnego wolnego działania. Tylko wtedy i w ten sposób może *być wola boska na ziemi jak w niebie;* to jest, będzie ona na ziemi przez świadomość, miłość i wolną wolę, kiedy dotąd była na ziemi przez wszechmocność Boga tylko, bez świadomego i własnowolnego współdziałania człowieka.

„Możliwość poznania przyszłości doprowadza autora do twierdzenia, że również da się poznać całość i organizm historyi, a to znowu do rozumowego a zarazem przyrodzonego koniecznego podziału tego organizmu na części czyli epoki.

„Podział taki rozumowy a zarazem konieczny, na naturze rzeczy oparty, może się zasadzać jedynie na troistości. W postępie i rozwoju ludzkości musiała być jakaś epoka pierwsza jako teza; musiała być jakaś do niej w przeciwieństwie antiteza; i musi — jeżeli jest całkowitość i organizm — musi być trzecia epoka syntezy.

„Przed Chrystusem indywidualny, subjektywny duch ludzki, stał na stopniu zmysłowości — zbiorowy i objektywny na stanowisku Prawa (prawa jako najwyższej znanej idei i zasady). Chrześcijaństwo przyniosło z sobą pierwiastek wewnętrznego życia, reflexyi; instynkt i popęd podniosło do godności sumienia. Podniosło ideę Prawa (i posłuszeństwa Prawu) na wyższy szczebel moralności. Równocześnie z temi nowemi pojęciami i zasadami wystąpiły i nowe ludy, nowe siły, nastąpiło razem fizyczne i moralne odrodzenie ludzkości. Przebyła ona zatem dotąd dwie epoki, dwie wielkie sfery rozwoju, świat starożytny, i chrześcijański. Ale że ludzkość nie rozwinęła jeszcze wszystkich pierwiastków, jakie w niej są zawarte, że jest jeszcze przed nami przyszłość, którą z premissów przeszłości poznać jest naszą rzeczą, więc musimy przyznać, że te pierwiastki z sobą sprzeczne i wykluczające się nawzajem, te cywilizacye na nich oparte, ludzkości wystarczyć nie mogą. Tamte się oddzielały jedne od drugich, i z nich wynikłe epoki zasadzały się właśnie na takiem odróżnieniu i oddzieleniu; a tymczasem ludzkość dą-

żyć musi do wyższego zjednoczenia, do organicznego połączenia i harmonijnego pogodzenia swoich pierwiastków.

„Starożytność stała na stopniu wrażeń i uczuć, dlatego jej właściwością był zmysł piękności, jej zdobyczą sztuka. W chrześcijaństwie wystąpiła reflexya, analiza, a nieświadomy instynkt piękności stał się świadomem szukaniem i badaniem prawdy. Co zaś wrażenia i popędy czuły, co wiedza poznała, to teraz wola ma urzeczywistnić — i to jest zadaniem przyszłości; to wskazuje, czem ona ma być. Ma poznaną piękność i poznaną prawdę w praktycznem życiu wykonać, urzeczywistnić; ma wszystkie jednostronne i oddzielnie się objawiające pierwiastki życia ludzkości organicznie połączyć i do czynnego żywego współdziałania doprowadzić, czyli, po piękności, po prawdzie, zdobyć i urzeczywistnić ideę dobra.

„Była więc epoka przedchrześcijańska i chrześciańska. Przyjść musi trzecia, którą poprzedzić znowu musi nowa wędrówka narodów. Tylko ta nie będzie taką, jak dawna; będzie jej przeciwieństwem. Ona wyjdzie od ludów już cywilizowanych i podniesie te, które jeszcze są w barbarzyństwie."

Pomijamy cały wywód i dowodzenie tego założenia (bo wszystko dotąd jest założeniem tylko, ale do naszej potrzeby ono wystarcza) a zdążamy do ostatniej konkluzyi.

„Prawo (jako abstrakcya) doszło do dojrzałości, do zupełnego rozwoju w świecie rzymskim. Moralność przez chrześcijaństwo wszczepiona, także doszła do zupełnego rozwoju; ale w pojęciu swojem w abstrakcyi doskonała, w rzeczywistości i w praktyce ukształciła tylko stosunki prywatne. Obyczajność doskonała (trzecia sfera) ma dopiero swój rozwój zacząć. Stosunki rodzinne, stosunki społeczne, i polityczne w państwie były naturalnie w każdej epoce, i w każdej jakiemiś pojęciami i zasadami ożywione i rządzone. Ale były zawsze jednostronne, niedostatecznie ukształcone, bo jednostronną była zasada, z której one wynikały. Wyciągnąć z pojęć i zasad konsekwencyę i do nich rzeczywistość zastosować, to jest, co przyszłość ma do zrobienia. Że ludzkość tę potrzebę i powinność czuje, dowodzi choćby tylko ten instynktowy

zamęt i to szukanie, które się objawia we wszystkich najważniejszych duchowych jak materyalnych sprawach ludzkości. Ten zamęt nie jest czem innem jak elementarnym procesem, wytwarzającym nowe życie, który się dziś przez fermentacyę a gdzieniegdzie i przez putrefakcyę objawia.“

Nie mamy tu ani potrzeby, ani prawa rozstrząsania tego systemu, sprawdzania go albo zbijania. Chodzi nam tylko o jego wpływ na Krasińskiego. Ten zarys tak niedostateczny wystarcza do przekonania, że te *Prolegomena* stały się także wstępem i do Krasińskiego historyozofii. Cieszkowski nie mówi o żadnych faktach. Z wyjątkiem chrześcijaństwa i upadku państwa Rzymskiego, żadnego nie wymienia nawet, tem mniej nie mówi o Polsce; a przecież widzi się, jak ten jego system, ta możliwość poznania przyszłości, ta przyrodzona troistość, w której trzecia epoka będzie połączeniem piękności z prawdą i urzeczywistnieniem dobrego, jak to służyło Krasińskiemu za punkt stały, na którym się sparł, za punkt wyjścia jego własnych pomysłów, za ogólną zasadę, którą do szczegółowych przypadków przystósował, za fundament. na którym stanęła jego budowa, trzecia epoka dziejów ludzkości, epoka Ducha świętego w kościele i królestwa Bożego na ziemi, której już skutkiem, ale zarazem warunkiem i pierwszym symptomem ma być odrodzenie się Polski.

Czas wątpień się skończył; następuje czas pewności i wiary, który nie wyklucza smutku, boleści, chwilami nawet rozpaczy, ale w którym Krasiński już pytań nie zadaje, tłómaczeń nie szuka.

Jakie wrażenie mała Cieszkowskiego książeczka wywarła na Krasińskiego, to pokazuje jego list do Edw. Jaroszyńskiego z 21 lutego 1840. W korespondencyi tej jest wiele mowy, wiele rozpraw o filozofii, jest zwłaszcza list jeden z Fryburga 25go września 1839, z gienijalną charakterystyką związku między reformacyą Lutra, a późniejszą filozofią; między oboma, a dzisiejszym politycznym stanem świata, affirmacyą absolutnego Państwa i demokracyi, negacyą indywidualności ludzkiej i obaleniem chrześcijaństwa.

W dalszym ciągu korespondencyi donosi Krasiński przyjacielowi, że stanowisko Hegla, które on już dawniej instynktem zbijał, jest zbite filozoficznie, zwyciężone, a zwyciężone przez „naszego ziomka Cieszkowskiego."

„Będę się starał w krótkich słowach ci tę książeczkę „opowiedzieć; wiele narobiła hałasu w Niemczech. Pamiętasz, „że Hegel w historyi filozofii, wbrew wszystkim swoim własnym logicznym wywodom, nie na trychotomię, ale na tetra„chotomiję historyę podzielił, a doszedłszy do teraźniejszości „skończył, jakby historya z nim już dopełniła się była, „jakby przyszłości już nie było dla rodzaju ludzkiego; jak „gdyby *myśl myśli* była najwyższem stanowiskiem ludzkości, „i wyższego pogodzenia sprzeczności od pogodzenia ich w *myśli*, „na świecie nigdy być nie miało. Teraz występuje August „i tak mówi: Logika Hegla jest prawdą absolutną, wszędzie „zatem przystósowalną w historyi jak w naturze. Historya „trzy podziały i trzy tylko dostanie: 1) Przeszłość starożytna. „2) Epoka chrześcijańska. 3) Przyszłość. — W filozofii Hegla „schwycił się sam duch ludzki na uczynku; sumienie filozo„ficzne zeszło się z sumieniem ludzkości! To jest najwyższy, „klasyczny punkt filozofii. Jak niedyś sztuka grecka była „klasycznym najwyższym punktem sztuki, i jak od tego „punktu sztuka przez romantyczny kierunek podniosła się „wyżej, lecz zaczęła jednak przechodzić w filozofię; tak „teraz filozofia także się podniesie wyżej, ale już nie jako „filozofia, i zacznie przechodzić w pole *woli, działania*, „*czynu absolutnego*. Starożytność była *epoką czucia*, naj„wyższe jej stanowisko sztuka! Sztuka jest to *byt tożsa„mości bytu z myślą*. Chrześcijaństwo było epoką myśli, naj„wyższe jej stanowisko filozofia. Filozofia cóż to jest? *Myśl „tożsamości myśli i bytu!* Sztuka jest już *całością* i filozofia „jest *całością;* jednak obie jeszcze pewnym abstrakcyjnym „kierunkiem, formą raczej obciążone; bo w definicyi pierw„szej masz *byt* dwa razy; w definicyi drugiej, myśl tyleż „powtórzoną. Obie garną się ku wyższej Syntezie ku Toż„samości, z zlewka ich samych wypadającej. Jakaż to jest? „Jak się zowie ostateczne pogodzenie sprzeczności, ostate-

„czne pojednanie myśli z bytem: oto *czyn*, oto *wola! Czucie*, „*myśl, wola*, oto trzy władze ducha, z których trzecia dwie „pierwsze zamyka, zawiera pod kształtem jedności. Oto cecha „trzeciej epoki; epoka woli być musi, woli absolutnej. „W epoce woli wszystkie premissy dwóch pierwszych zlane, „pogodzone, dopełnione zostaną; tylko, że zawsze akcent tu „na *woli* postawionym będzie. Wola w uczuciu będzie to „*miłość absolutna;* wola w *myśli*, czyli myśl stająca się „czynem, działalnością, *potęgą*, będzie to mądrość absolutna. „Wola w woli, czyn wiecznie stający się, czyn czynu, będzie „to *wszechpotęga życia*, a zatem tesame predykaty ludzkości „i ducha absolutnego: *Miłość, Mądrość, Potęga!*

„Jeszcze inaczej on to wyraża: Starożytność była *Tezą*, „chrześcijańska epoka *Antytezą*, — przyszłość Syntezą. Wiesz „z logiki, że moment drugi, że Antyteza nietylko objawia „się w sprzeczności z *tezą*, ale jeszcze w sobie samej za- „wiera rozerwanie konieczne: sprzeczność i walkę. I tak „w starożytności, w *tezie* w pączku nierozwitym na polu „całości w czuciu, na błoniach sztuki, nie było dwojności, „nie było ziemi i nieba, przedgrobu i pogrobu; była „tylko jedna ziemia zielona! Chrześcijaństwo nietylko że „stawia się w sprzeczności do świata pogańskiego, ale w wła- „snej treści swojej rozdziera się na dwoje, jak ów welon „świątyni o godzinie skonu Chrystusa: Ziemia i niebo, padół „łez przed grobem, błękit wiekuisty po grobie! Materya i „myśl: pierwsza potępiona, — druga wywyższona, zwycięska. „Ztąd Romantyzm w sztuce, — ztąd *Brzydota*, wprowadzona „jako moment sztuki, jako materyi znamie!“

„Teraz, gdy Synteza się zbliża, czemże ona się objawi? „Oto pewnym powrotem z Antytezy do Tezy; lecz nie ta- „kim, by Antyteza z wyżyn zdobytych, znów miała zstąpić „na doliny Tezy; ale takim, by Teza wyszlachetniła się „i podniosła, i przylgnęła do Antytezy; zatem potępioną już „nie była, ale zbawioną i piękną! *Byt* musi zrównać *myśli;* „teza — antytezie! Materya musi ciążącego nad sobą pozbyć „się przekleństwa przez podniesienie się, przez stanie się „*adaequat* myśli. Natura cała musi przejść przez drugą kre-

„acyę! Industryalny popęd naszego wieku, sam o tem nie „wie, że jest tego zwiastunem, i tego tylko, niczego innego!“

„Dotąd, podług Augusta, były tylko w dziejach *That*-„*sachen*, teraz będą prawdziwe *Thaten*. On je nazywa *Nach*-„*theoritische Thaten*, by je rozróżnić od przeszłych czynów, „które zawsze działy się na ślepo, a z których dopiero po „ich objawieniu wysysano teoryą!“

„W trzeciej syntetycznej epoce, w epoce woli, inaczej „dziać się musi. Teorya poprzedzi Czyn, i Czyn będzie Adae-„quat teoryi. Byt wszędzie równy Myśli; tak się dzieje „w Bogu, bo musimy przyznać, że *logika* poprzedziła *na*-„*turę*, chociażeśmy dopiero Logikę z natury wydobyli. Dotąd „myśl z bytu się nam snuła, kiedyś w byt myśli snuć się „będzie, i wola Boga będzie wolą naszą, lub nasza raczej „Boską.“

„W Epoce *Czucia* były wyrocznie, i proroki widzieli „przyszłość; w epoce *chrześciaństwa* byli głębocy myśliciele „i przemyśliwali przyszłość.“

„W *Epoce trzeciej* będą wielcy ludzie, czynić będą „przyszłość! Zatem najwyższa absolutna wola, czyn, real-„ność, jest ostatecznem przeznaczeniem ludzkości. A myśl „myśli i pogodzenie sprzeczności Bytu i Myśli w samej „myśli tylko, abstrakcyą; choć ją Hegel chciał udać za „całość!“

Że zawarta z Cieszkowskim przyjaźń i nieustające z nim rozmowy i korespondencye, nie mniej, ale jeszcze więcej przyczyniały się do uorganizowania Krasińskiego pomysłów i do zbudowania jego systemu, że zarysy tego systemu musiały się w takiej zamianie myśli razem ustalać, wypełniać, i do faktów przymierzać, to nieuniknione; inaczej być nie nie mogło. Ale to pewna, że niepewność, chwiejność, zamęt pojęć, jaki był niedawno, znika, a przybliża się wyrozumowana, dogmatyczna pewność.

ROZDZIAŁ VII.

Noc Letnia. — Pokusa. — Trzy Myśli Ligenzy.

I. Zboczenie myśli i osłabienie twórczości Krasińskiego. Romantyzm drugorzędny i jego złe zwyczaje. Pretensya. *Noc Letnia.* Sposób opowiadania. Znaczenie i powód napisania. Pochwały i ich odparcie. Skłonność Krasińskiego do przesady i napuszystości. Wpływ Jean Paula. Zakończenie: jego obrona przez autora. *Pokusa.* Znaczenie i słuszność myśli podstawnej. Próżność. Godność. Treść. Zakończenie. Jego niemoralność i jej domyślny powód. Osobisty smutek autora. II. *Trzy Myśli.* Stosunek do poprzednich i do późniejszych pojęć Krasińskiego. Wyrabianie się jego systemu. Powody. Wpływ filozofii niemieckiej. Niejasność i sprzeczność pojęć. *Syn Cieniów.* Pojęcie istoty, bytu i przeznaczenia człowieka. Objaśnienie wiersza w liście. Mieszanina pojęć i ich niezgodność z sobą. *Sen Cezary.* Pierwszy objaw późniejszej teoryi o odrodzeniu przez śmierć. Sceny widzenia. Przesadność i nadętość. Niejasność. Styl apokaliptyczny. *Legenda.* Troistość dziejów od Cieszkowskiego przejęta. Zastósowana do Kościoła. Epoka Ducha Śgo. Jej powtarzające się oczekiwanie od wieków średnich. Widzenie poetyczne. Treść. Nienaturalność formy. Fałsz i szkodliwość myśli. Pierwiastki optymizmu i zwątpienia. Wartość artystyczna *Trzech Myśli.* Ich przedmowa.

I.

Zboczenie myśli i osłabienie twórczości Krasińskiego. Romantyzm drugorzędny i jego złe zwyczaje. Pretensya. *Noc Letnia.* Sposób opowiadania. Znaczenie i powód napisania. Pochwały i ich odparcie. Skłonność Krasińskiego do przesady i napuszystości. Wpływ Jean Paula. Zakończenie: jego obrona przez autora. *Pokusa.* Znaczenie i słuszność myśli podstawnej. Próżność. Godność. Treść. Zakończenie. Jego niemoralność i jej domyślny powód. Osobisty smutek autora.

W listach poety były już wzmianki o *Nocy Letniej* i o *Trzech Myślach Ligenzy*; już one wyszły w druku. Tu więc jest czas i miejsce, żeby je wziąć pod rozwagę.

Po genialnej *Nieboskiej Komedyi*, po kolosalnym i pięknym *Irydionie*, ta grupa dzieł pomniejszych wydaje się dziwnie. Logiczna jasność Krasińskiego myśli i pewność jego przekonań jest jakoby przyćmiona i zachwiana, a sama zdolność artystyczna, sama twórczość poety, jak żeby osłabła. Nie o to zaś chodzi, jaka jest wartość moralna, filozoficzna, lub religijna tej myśli, nie o to, czy w niej jest prawda, lub czy jej niema. *Irydionowi* i *Nieboskiej* jeden przyzna prawdę, drugi jej odmówi; ale potęgi, ale geniuszu, ale wielkości i głębokości myśli nie odmówi im nikt. Teraz, nawet ktoby chciał widzieć i uznawać prawdę w pomysłach Krasińskiego, nawet taki musiałby przyznać, że ta myśl tonie w oceanie dodatków, które nią nie są, z nią nie mają nic wspólnego: gubi się w łabiryncie ozdób i przyborów, pod któremi odgrzebać ją trudno, a które jak nie były konieczne, tak same w sobie, choćby jako obrazy, jako opisy, jako szczegóły, piękne nie są. Poeta zdaje się na to całą swoją sztukę, całą swoją fantazyę wysilać, żeby swoją myśl otoczyć

mgłą jak najgrubszą, obwinąć w chmury różnej gęstości i barwy, przez które ona raz ma przeglądać jaśniej, drugi raz chować się prawie zupełnie. Krasiński, ogółem wziąwszy, stoi sam pośród współczesnych poetów, nie należy do ich szkół, nie podlega ich wpływom, — jednak zupełnie od nich wyswobodzić i odgrodzić się nie mógł; jednak jedna z grubych a pospolitych brzydot romantyzmu, maniera i mania bałamucenia i intrygowania czytelnika przedstawieniem rzeczy niejasnem, sztucznie effektowem, pretensyonalnie ponurem. Ta łatwa sztuczka, z której pomocą pismak płytki i ubogi w myśl i fantazyę, mógł za coś sprzedawać swoje nędzne wymysły i na chwilę złudzić: ale którą poeta prawdziwy, geniusz wielki, powinien był brzydzić się jak niegodną siebie artystyczną małością, ta na nieszczęście odbiła się na niektórych pismach Krasińskiego.

Bywają czasem malarze, którzy umieją malować jeden tylko i zawsze tensam effekt: zachodzącego słońca na liściach naprzykład, lub zawsze tensam odblask księżyca, przedzierający się przez grube czarne chmury i oświecający złowrogiem światłem jakieś smutne cmentarze i uroczyska. Na pierwszy raz zdaje się, że to coś jest naprawdę; ale kiedy tensam księżyc, tesame chmury, tosamo oświecenie złowrogie i ponure powtórzy się po raz drugi, trzeci, dziesiąty i setny, kiedy się człowiek przekona, że ten nieszczęsny artysta nic innego wymyśleć nie może, nic innego w sobie nie ma, i nie umié, kiedy oko oswoi się z tym sztucznym effektem i zda sobie sprawę z jego sekretu, wtedy powstaje taki przesyt, taka ckliwość, taka abominacya do tego malarza i jego księżycowo-cmentarzowych widoków, że chciałoby się ułożyć wielki stos z dzieł i spalić na nim autora! Otóż romantyczność, późniejsza mianowicie i zepsuta, romantyczność tandetna, poniewierana i dodzierana przez pisarzy i pisarków czwartego i piątego rzędu, ta, w której poezyi już nie było żadnej, tylko biedne, jałowe prozaiczne wymysły, przyodziane w strzępy i łachmany starzyzny po Byronie albo Mickiewiczu, ta romantyczność w upadku, płodna niezmiernie w fantazye dramatyczne, w poetyczne powieści, zakochana w tajemni-

cach i półcieniach (i roztropnie, bo gdyby swój towar była pokazała jasno i wyraźnie przy świetle słonecznem, wyszłaby na jaw jego wartość poślednia) — ta romantyczność przesadna, excentryczna, która w Niemczech po niezwykle zdolnym Richterze zeszła na poślednich naśladowców, — we Francyi rozchodziła się z dramatów Wiktora Hugo aż do feuilletonowych powieści, aż do Dumasa i jego bohaterów, Antonych i Buridanów, u nas inaugurowana przez Goszczyńskiego podobno, a reprezentowana przez legion nazwisk, anonimów i pseudonimów: Zielińskich, Sowów, Żeglinskich, Norwidów i *tutti quanti*, ta romantyczność żyła jedynie takiemi sztuczkami i effektami. Ona to zalała świat dramatami fantastycznemi, w których nie było nic fantastycznego; fatalistycznemi, które były istotnie fatalne, dla czytającego! — powieściami, w których bohater i bohaterka wiecznie byli pod maską, najczęściej bez imienia nawet, oznaczeni tylko uprzywilejowanym zaimkiem *on*, i *ona* — a *on* i *ona* ukazywali się zawsze na tle ponurych wypadków i czarnej nocy, oświeceni smutnym promieniem księżyca lub złowrogim zygzakiem błyskawicy. Wtedy rodzili się jak grzyby bohatery bez krawaty na szyi i bez sensu w głowie; wtedy znikły wszystkie zwyczajnie używane podziały i rozdziały, a miejsce ich zajęły pod końcem każdego ustępu czarne linijki, lub tajemnicze kropki, które się tak wiele kazały domyślać! Wtedy nawet poczciwe stare znaki interpunktacyi, przekonane o zbrodnię prozaiczności, pochowały się gdzieś ze wstydu; średnik i przecinek nie śmiały się pokazać w książce, która dbała o ludzki szacunek, a miejsce ich zajęły sakramentalne kropki w wielkiej ilości, wykrzyknik w assekuracyi dwóch lub trzech innych wykrzykników, i pauza; za każdem zdaniem pauza, która w tej romantyczności stała się klassyczną, *Gedankenstrich ohne Gedanken*, jak ktoś o niej dowcipnie powiedział. I wtedy poeta lub pisarz, wyzwolony ze wszystkich przesądów, nawet z przesądów składni i gramatyki, stwierdzał swoją niepodległość tem, że zaczynał swoje opowiadanie od wyrazu, który oznaczał już jakiś ciąg dalszy, jakieś następstwo po czemś, co poprzedziło. „I było ciemno!"

lub coś podobnego. Wtedy w składni, w stylu, w pojęciu postaci, w przedstawieniu lub opowiedzeniu zdarzeń grasowała istna dżuma, śmiertelna dla wszelkiej piękności, pretensya, pretensya i jeszcze raz pretensya!

Jak długo żyli nią i szafowali nią tacy, którzy nic innego nie mieli, nie można ani się dziwić, ani oburzać. Ale jak na dziełach takiego poety, takiego gieniusza jak Krasiński, pokażą się sine plamy tej zarazy, to gorzej, bo któż już będzie od niej bezpiecznym! Dopóki to na *Rodzinie Reichstalów*, albo jeszcze na *Agay-Hanie*, mniejsza o to, skoro jedno i drugie sięga jeszcze młodzieńczych lat nieodpowiedzialności autorskiej. Ale kiedy w latach późniejszych, dojrzałych, jako człowiek blisko trzydziestoletni, po wszystkich głębokościach *Nieboskiej* i wszystkich pięknościach *Irydiona*, Krasiński wpadnie w tę nieszczęsną manierę tajemnic, przyborów i dekoracyi, to doprawdy nie wié się, jak to zrozumieć, ani czemu to przypisać. A przecież, że tak jest, świadczy *Noc Letnia*, świadczy *Pokusa*, świadczą *Trzy Myśli Ligenzy*.

„Widziałem, kiedy ją wiedli — w białych szatach, „z wieńcem na głowie“ i t. d. — tak zaczyna Krasiński *Noc Letnią*, a prosty czytelnik na samym wstępie sam sobie zadaje pytanie, kogo wiedli, kto wiódł, gdzie wiedli, i t. d.— Kogo wiedli? *Ją*; gdzie wiedli do ślubu, do ślubu poniewolnego z obcym książęciem — kto na ten ślub patrzał ukryty za filarem, kto nad nim cierpiał — ten, który *Ją* kochał i którego *Ona* kochała: *On*. Zapytuje człowiek, co jest pięknego w tej tajemniczej bezimienności osób, i na co ona potrzebna. A dalej zastanawia się głębiej, i pyta czy takie porwanie *in medias res* trafia tam, gdzie zmierza, czy nie jest effektem chybionym, czy nie lepiej było powiedzieć odrazu i poprostu, jak się rzeczy miały i o co tu chodzi. Bo istotnie, dzięki temu mglistemu sposobowi opowiadania, zrozumienie *Nocy Letniej* jest bardzo trudne. Jakaś Dziewica, jakaś *Ona*, poświęcona i rozpaczająca, jedyna córka starego jakiegoś możnego ojca i ostatnia dziedziczka jego imienia i domu, wydana jest przez niego za jakiegoś południowego

księcia z obcego narodu; zaledwo po ślubie stary dumny ojciec wyrzuca sobie naprzód, że córkę poświęcił swojej dumie, powtóre, że zrobił coś brzydkiego, coś, co zakrawa nieco na podłość. Tymczasem człowiek jakiś, kryjący się po górach z przyjaciołmi, a wróg południowego księcia i pana zamku, w noc ślubną żegna swoich i zabija nieszczęśliwą ofiarę i siebie. Ojciec z rozpaczy wpada w rodzaj obłąkania i topi się w ogrodowem jeziorze. To jest fabuła, wydobyta z pod ozdób i dekoracyi, to jest szkielet *Nocy Letniej*. Ale co to wszystko znaczy? Jesteśmy tak przyzwyczajeni szukać allegoryi we wszystkiem, co Krasiński napisał, iż naprzód zastanawiając się nad *Nocą*, wpadamy na myśl, że i to allegorya, że to muszą być jakieś idee i symbole; szukamy alluzyi politycznych i patryotycznych. Ale znaleźć klucz do tajemnicy, odgadnąć słowo zagadki? Ta kobieta wydana gwałtem za obcego człowieka, kochająca rodaka, ta duszna atmosfera smutku i wstydu, która się nad tem weselem unosi, to musi kryć jakieś znaczenie? może ta kobieta jest figurą jakiejś sprawy, jakiegoś kraju? próbuje się dochodzić i zgadywać, ale ten klucz nie nadaje się do rzeczy; z jego pomocą chcąc te cyfry czytać, otrzymuje się same wykłady niedostateczne, niezgodne z literą powieści. A jednak to nie jest prosta historya; dziewczyna, którą ojciec wydał za mąż mimo jej woli, a dawny kochanek zabił, żeby nie należała do innego? to nie romans tylko i nie prosty dramat domowy? bo w takim razie pocóż ten mąż narzucony byłby obcym, coby znaczyli ci ludzie w górach, gotujący się do wojny? dlaczego ojciec wstydziłby się małżeństwa córki jak wyrzutu i wstydu? Coś w tem jest; ale co? przerzuca się kartki, przebywa się z pośpiechem nagromadzone massy przyborów i dekoracyi, katedr, krużganków, galeryj, schodów, ogrodów, sal, stawów, illuminacyi, chce się pod tem wszystkiem domacać myśli autora i jego zamiaru, i w końcu z niesmakiem i zniechęceniem odkłada się na bok książkę, przeładowaną ozdobami i effektami stylu, szumną i pompatyczną w tonie, umyślnie zaciemnionę w treści, a niezrozumiałą w znaczeniu. Trzeba komentarza, trzeba odsyłacza, trzeba jakiejś nici

Aryadny, którąby pomogła znaleść drogę przez ten labirynt dekoracyi.

Nici tej nie podaje nawet przedmowa, to jest ten piękny wiersz, którym poeta poświęca swoją powieść jakiemuś „sercu niewieściemu i prześladowanemu“. Wiersz jest piękny, pełen smutku i współczucia, a może czegoś więcej jeszcze. Rozumie się, że mowa o jakiejś istocie szlachetnej, nieszczęśliwej; można podziwiać wiersz, ale znowu czytelnik, zajęty odgadnieniem tej dziwnej powieści, nie wié, czy to prosta dedykacya tylko, lub też, czy jest może jakiś związek pomiędzy bohaterką powieści, a tą, której ona jest przypisana, czy te dwa serca niewieście i prześladowane są sobie obce i nieznane, lub czy jest może coś wspólnego między niemi. I znowu stoi się, jak przed sfinksem, i szuka się pomocy, tłomaczenia, komentarza. Komentarz ten, którego szukać dopiero trzeba u biegłych, u przyjaciół i powierników Krasińskiego, pozwala wreszcie zrozumieć *Noc Letnią,* a zarazem każe żałować, że jej poeta nadał tę formę mglistą i tajemniczą; bo pomysł jego był tak dobry, że był godzien formy prostej i jasnej.

Oto co mówili wiarogodni świadkowie:[1]) Nie szukaj w *Nocy Letniej* allegoryi, bierz ją za prostą powieść; nie męcz się nad wykryciem myśli politycznej, takiej tam niema. Ale myśl patryotyczna jest. Powieść tę natchnął poecie widok młodych Polek, wychodzących za mąż za Moskali, mniej lub więcej z rozkazu rodziców; pomiędzy r. 1830 a 1840tym zaszło podobno takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo w swojem sercu szlachetnem, ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny, na ślub z człowiekiem, którego Bóg nie był jej Bogiem ani ziemia jej ziemią, skazana bez swojej winy na wstyd przed swoimi. Jego serce polskie zaś wyobraziło sobie żywo, ile musieli cierpieć, a przynajmniej ile cierpieć byli powinni rodzice, którzy dziecko do takiej ofiary zmusili; jak im musiało być żal tego dziecka, i jak im musiało być wstyd tego co zrobili;

[1]) Pani Krasińska, jej syn Władysław, Jerzy Lubomirski, Małachowski.

żal tłumiony zapewne, wstyd ukrywany starannie, ale tem więcej może dręczący, tem nieznośniejszy. Oto tajemnica *Nocy Letniej*. Ta młoda dziewczyna, którą wiodą do ołtarza, jak Antigonę na śmierć (wyjątek z *Antigony* służy za godło *Nocy Letniej*) — ten obcy książę, który ją zaślubia, jego pan, król południowy, który się cieszy, że poddany jego „zagarnął obszerne włości, a że ród odwieczny i potężny wygasł“ — to Polka, zmuszona iść za Moskala, to Moskal, rad że bierze żonę piękną, bogatą, połechtany w swojej miłości własnej, ale zresztą dla tej żony obojętny, nie umiejący jej ocenić, bo u niego „w sercu pusto jak u zalotnicy“ — to rząd rossyjski wreszcie, który związki takie popiera i błogosławi, jako dzielny w swojem ręku środek polityczny. A ten ojciec, który po ślubie spostrzega się, że córka nie jest szczęśliwą, który „króla i zięcia i siebie przeklina“, nie śmie podnieść oczów na wizerunki swoich przodków, to uczucia i los Polaków, którzy dzieci swoje do związków takich skłaniali, albo zmuszali. W tem wszystkiem jest przystósowanie, jest moralna nauka. Reszta, ten młodzieniec, wróg króla i księcia, który ze swoimi kryje się i spiskuje w górach, który kocha dziewicę, nawzajem od niej kochany, i podwójne w zakończeniu zabójstwo, to dodatek, bez którego nie byłoby powieści; to zresztą zawikłanie rzeczy bardzo usprawiedliwione i prawdopodobne, bo byłoby aż nadto naturalnem, żeby Polka, zmuszona wyrzec się swojej ojczyzny, narażona była na tem silniejszą, tem gwałtowniejszą miłość do człowieka, który jej tą ojczyznę przypomina i jej służy. Wszystkie szczegóły zaś, śluby, uczty, zamki, ogrody i tam dalej, te znaczenia nie mają żadnego, to są poprostu dekoracye, ale dekoracye, które zajmują tyle miejsca, że rzecz przywalona niemi znika, tak jak w zepsutych czasach architektury linie budynku ginęły pod massą ozdób i dodatków, festonów, girland, sztucznych obłoków, draperyj, kręconych filarów i t. d.

Czy *Noc Letnia* wypłynęła tylko z takiego ściśle objektywnego współczucia dla młodych Połek poświęconych Moskalom, i objektywnego oburzenia na rodziców, którzy je poświęcali — czy jakiś przypadek tego rodzaju nie obchodził

bliżej poety samego? W jednym jego liście do Jul. Słowackiego znajduje się dość wyraźne potwierdzenie domysłu przyjaciela, który podziwiając bardzo, może zanadto, *Noc Letnią*, dostrzegł w niej i „skargi bolesnej, protestacyi pełnej „żywotnej rzeczywistości". „Kto ci dał wzrok — pisze Krasiński do Juliusza — sięgający w głąb dusz ludzkich i od„krywający to, co te dusze kryć pragną a nie zdołają. Po„łożyłeś dłoń całą, jak szeroka, na duszy mojej, tak, że dusza „odjęknęła; prawda — ale teraz nie dotykaj rany śmiertel„nej, którą krew nasza wylewa się kropla po kropli. Gdy „puścisz w morze kotwicę, nie widzisz, gdzie poszła; ale czy „wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił „i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił". Temi słowy zdaje się Krasiński przyznawać, że w jakiejś sprawie, do *Nocy Letniej* podobnej, nie był tylko obojętnym widzem; że na powstanie tej powieści wpływało nietylko współczucie dla poświęconych, ani oburzenie na poświęcających, ale i osobiste własne cierpienie. Ale znając jego życie i jego różne miłości, trzeba koniecznie przyjść do przekonania, że taka miłość, jeżeli istotnie była, to w jego życiu wiele znaczyć nie mogła. Od wyjazdu z kraju, a tembardziej od lat dojrzałych, już na nią miejsca w tem życiu i sercu nie było. A więc przed wyjazdem, w Warszawie jeszcze? W latach siedemnastu? Takie młodzieńcze miłości głębokich śladów zostawiać nie zwykły.

Jakkolwiek zresztą ma się rzecz pod tym względem, to zawsze niejasna forma dana *Nocy Letniej*, nie przestanie być wielką szkodą. Bo wyobraźmy sobie, że Krasiński pomysł taki, taką sytuacyę traktował poprostu, otwarcie, zrozumiale, o ile rzecz nabierała wartości i piękności! Wystawmy sobie, że, czy to w powieści wierszowanej lub nie, czy w dramacie, stoi przed nami nie jakaś Ona obojętna i nieznana, ale rzeczywista biedna młoda dziewczyna, pełna serca i wdzięku, a zmuszona, bez potrzeby, bez zapału, bez złudzenia do takiej na małą skalę ofiary, jaką spełnia Elsinoe; tylko nie dla dobra (choćby urojonego) swojej sprawy, ale poprostu dla uporu i płaskiej próżności ojca; wystawmy so-

bie, że jej kochanek nie jest jakimś tajemniczym rycerzem w czarnej zbroi, bohaterem melodramatycznym i nieco nadętym, ale prostym śmiertelnym, ułanem z pod Wawru naprzykład, a dziś wygnańcem — czy jedno i drugie nie trafiałoby nam bardziej do serca? czy nie więcej mielibyśmy dla nich współczucia, gdybyśmy jasno i wyraźnie widzieli o co im chodzi, aniżeli teraz, kiedy się tego z trudem domyślać musimy i ledwie możemy? A jeżeli o cel praktyczny chodziło, o to, żeby sprawić wrażenie na umysłach takich ojców i obudzić w nich upamiętanie, czy nie pewniejszy był środek po temu w jasnem, dotykalnem przedstawieniu ich wstydu i żalu i ich powodów? I dążność, i artystyczna wartość *Nocy Letniej* byłyby zyskały na tem, gdyby ją Krasiński był napisał jaśniej, prościej, z większą oszczędnością przyborów.

Są tacy, którzy w tem właśnie widzą piękność *Nocy Letniej;* są zdania, bardzo poważne nawet, które ją biorą w obronę. Juliusz Słowacki widział w niej jedną z najpiękniejszych rzeczy Krasińskiego; to może nie dziwne, że jego bujna fantazya podobała sobie właśnie w tym zbytku ozdób i przyborów. Ale i p. Małecki także, tak trzeźwy i pewny w swoich sądach, mówi o „tkance brylantowej fantazyi". Niestety, jest w tej tkance wiele nici z podejrzanego złota, pomiędzy temi brylantami nie wszystkie są prawdziwe! jest począwszy od owego pierwszego „widziałem, kiedy ją wiedli", aż do śmierci starego ojca w jeziorze, w przedstawieniu rzeczy taka niejasność umyślna, sztuczna, wyrachowana, w stylu takie efekta nienaturalne, takie przytem nadużycie szczegółów i opisów, że i *on*, i *ona*, i książę, i ojciec, i cała ta smutna, a pełna przystósowania historya ginie w katedrach, salach, jarach i ogrodach. Są czasem w poezyi takie utwory, w których rzecz główna, treść schodzi do podrzędnego znaczenia, i służy tylko za pretext, za szkielet do rozwieszania dekoracyi. U Byrona naprzykład, jest takich rzeczy wiele. Bez woli Krasińskiego, bez jego wiedzy, taką poezyą dekoracyjną tylko stała się *Noc Letnia.* Przez to, że nie wiemy kto ci ludzie są, czego chcą, jak się nazywają, stają się jakiemiś obojętnemi marami i cieniami, i robią takie wra-

żenie, jak żeby kościoły, zamki i ogrody nie były dla ludzi, ale ludzie dla nich. Żeby też raz powiedział Krasiński otwarcie i odrazu to, co powiedzieć chce! żeby jedna scena nie była przywalona dodatkami, pod któremi ginie ona i jej znaczenie tak, że jej dopiero szukać trzeba! Kiedy naprzykład chce poeta doprowadzić do tej rozmowy, w której świeżo zaślubiona córka oświadcza ojcu, że kochała tajemniczego „buntownika", potrzebuje do tej rzeczy tak prostej, przeprowadzać starca przez długie sale i korytarze, w orszaku giermków garbiących się pod ciężarem różnych kosztowności, które pan zamku rozdaje swoim gościom, potrzebuje, żeby na zegarze wybiła dwunasta, a za każdem uderzeniem wychodzi jakaś marsowata postać jakiegoś wojewody i kłania się jakiemuś na górze siedzącemu królowi — dopiero kiedy ostatni zniknął, odzywa się śpiew kobiet, szukających oblubienicy, żeby ją odprowadzić do komnaty; dopiero ojciec prowadzi ją do kaplicy, gdzie „jego pradziady spoczywają w kamiennych trumnach" — co tu rzeczy, co tu dodatków, i czy pod przyborami nie znika treść? Albo kiedy młodzieniec, kochanek, opuszcza swoich, żeby w śmierci połączyć się ze swoją oblubienicą, ile tam także zmian dekoracyi, lasów, jarów, skał, ogrodów, bluszczów, kwiatów, fontan, teras, ptaków wszelkiego gatunku od słowika do sowy! są nawet wilki z błyszczącemi oczyma, nawet nieuniknione, klasyczne w swojej romantyczności złowrogie błędne ogniki. Albo kiedy *On* po ślubie sam jeden zostaje w katedrze, a księża trzy razy każą mu wyjść, bo czas zamykać kościół, *On* nie słucha; aż kiedy ostatni rzucił na niego przekleństwo (za to, że miał miecz dobyty z pochwy, choć nim nikogo nie zabił ani nie ranił), on odchodzi mówiąc, że na to czekał; na co to wszystko, dlaczego czekał? dla efektu, dla większej ponurości figury i obrazu, dla efektu marnego, niegodnego wielkiego poety i chybionego! W części ostatniej, kiedy ojciec ma naprzód wyrzuty sumienia, potem to widzenie, które znowu nie może odbyć się w jego pokoju, ale w kaplicy czy w grobach, i w którem widzi naprzód córkę zabitą w objęciach zabitego synowca, zanim ich tak ujrzał w rzeczywistości, wreszcie

kiedy w obłąkaniu szuka tej córki po ogrodzie, zbiera dla niej kwiaty, wypija jej zdrowie, choć go Słowacki porównywa z Learem i nazywa większym od Leara, ma on ciągle i niezmiennie tensam charakter efektowy, melodramatyczny. A szkoda, bo postać takiego ojca, jego żal i wstyd, gdyby nie przywalone zbrojami, filarami, łukami, ołtarzami, grobami, portretami przodków i t. d., to materyał poetyczny bardzo bogaty.

Zkąd to obłąkanie fantazyi Krasińskiego? Zdaje się, że zawsze musiała w niej być jakaś wrodzona skłonność do pompy. W jego najpiękniejszych dziełach, w opisach istotnie wspaniałych, w ustępach prawdziwie i wielce natchnionych, nawet w *Nieboskiej,* w *Irydionie,* nawet w ostatnim *Psalmie,* znać ten pompatyczny zakrój, to zamiłowanie dekoracyi. Tu wzięły one górę zupełnie i szkodliwie, tak mniej więcej jak w *Agay-Hanie.* Dlaczego teraz właśnie, w tych latach i w tych utworach? jaki mógł być ten szkodliwy wpływ, pod którego działaniem on dał folgę tej swojej złej skłonności? To pewna, że nigdy ta skłonność nie objawiła się (w latach dojrzałych i męskich Krasińskiego), jak w *Nocy Letniej,* nigdy rzecz nie jest bardziej przygłuszona, przyduszona dodatkami i przyborami, nigdy mglista, tajemnicza, ponura, sztucznie efektowa maniera późniejszych romantyków, nie opanowała go w sposób tak zupełny, tak szkodliwy i tak trudny do pojęcia.

Ale czyj wpływ lub przykład mógł uwieść Krasińskiego do takiego sposobu pisania? Był on w owych latach modny, a jego całemu usposobieniu bliski. Jednak jakiś wpływ szczególny i bezpośredni być tu musiał. Szukając tego wpływu, dochodzi się do pytania, czy to nie Lammenais może? Krasiński wprawdzie nie przechodzi na jego stanowisko, bez ceremonii wyraża się o nim, że „zgłupiał“, ale nie jedno z jego uczuć i pragnień podziela. Umysł ten potężny i działający silnie na całą ówczesną Europę, mógł łatwo, a raczej musiał robić wrażenie i na naszym poecie także. Lammenais zaś *(Paroles d'un croyant)* pisze widzeniami i obrazami, z ogromnym nakładem dekoracyi i ozdób

niby poetycznych. Nam one wydają się niesmaczne, fałszywo-poetyczne; ale tamte lata sądziły inaczej, widziały natchnienie i cechy gieniuszu w tem, co nam wydaje się pretensyą. Krasińskiemu zaś, ta dekoracyjność przesadna mogła się właśnie podobać łatwiej, niż wielu innym. Być więc może, że bez swojej wiedzy i zamiaru, poszedł on za tym przykładem w formie swoich teraźniejszych utworów. Ale jeżeli ten wpływ nie jest niemożliwym, to pewnym jest drugi, wpływ Jean Paul Richtera. Zwrócił nań uwagę pierwszy pan Kallenbach w swojem *Studyum porównawczem o czwartej części Dziadów*. Nie zajmuje on się tam Krasińskim, i wykazuje tylko wpływ Jean Paula na Mickiewicza: ale wskazuje mimochodem, że i Krasiński wpływowi temu ulegał. Spostrzeżenie trafne, a bliższa rozwaga sprawdza je zupełnie. Owszem Mickiewicz przypadkowo tylko i nieznacznie odbija w swoich dziełach ten wpływ przelotny, Krasiński ulega mu głębiej i na dłużej: w *Trzech Myślach*, w *Nocy Letniej* i *Pokusie* bardzo, a niektórych ustępach *Niedokończonego Poematu* (w *Śnie* naprzykład), ulega mu jeszcze. Jean Paul zaś z niezaprzeczoną siłą i oryginalnością, ale z większą jeszcze excentrycznością, ma właśnie ten sposób pisania, te niezdrowe upodobania wyobraźni, które wywierały urok w owym czasie, i wywierały go na Krasińskiego. Talent zbyt prawdziwy, iżby można go liczyć do smutnych karykatur romantyzmu, ma przecież wspólne z takiemi własności: przeładowanie efektami, umyślnie niejasne przedstawienie rzeczy, nienaturalność. Krasiński zaś, miał w nim upodobanie wielkie; pociągał go do Jean Paula jego ponury smutek, i także ta chorobliwość wyobraźni, ta zbyteczna dekoracyjność. Czytał go z uniesieniem, i oto jak mu świadczy (w liście do Gaszyńskiego, 20 października 1836).

„Jean Paul Richter jestto pisarz, o którego rodzaju ni „Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się nie śniło. Jest „w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż „zdaje się czasem, że to był duch, wtajemniczony we wszyst-„kie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów. Jego fan-„tazya umie tworzyć jakby była Bogiem. Musisz się upić,

„musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad mu-„sisz się lękać lub zachwycać, kiedy cię on porwie za sobą „i nieskończoność *universum* wskazując, raz cię stawia w go-„dzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po ruinach wszystkich „światów; to naprzemian rzeźwi cię nadzieją i przenosi cię „na szczęśliwe wyspy, wśród okręgów światła, wśród tysiąca „słońc i księżyców, tysiąca zorz północnych, wśród obłoków „woni, wśród harmonii gwiazd, akkordów bijących zewsząd“.

Po tych uniesieniach, weźmy do ręki *Sen Cezary* albo *Legendę*, i z Jean Paula naprzykład tego Chrystusa, który Boga szukał wszędzie nadarmo, i rozpaczającym ludziom obwieszcza, że Boga niema? myśl będzie zupełnie inna, ale w sposobie pisania, w rodzaju wyobraźni będzie podobieństwo. Kościoły czy cmentarze, chmury, księżyce, chwiejące i walące się sklepienia, ludzie w rozpaczy lub w konaniu, ton ich skarg lub pytań, to wszystko tak przypomina Jean Paula, że wpływ jego na Krasińskiego koniecznie przypuścić należy, jemu przypisać w znacznej części to zbłąkanie się fantazyi i smaku, które wydało *Noc Letnią* i *Trzy Myśli*.

Jeszcze jedna uwaga — jedna niezgodność Krasińskiego z samym sobą. Jego bezimienny bohater w czarnej zbroi zabija swoją kochankę i siebie, żeby ją uwolnić od męża cudzoziemca, siebie od konieczności wojowania z jej ojcem. Zakończenie, jakich pełno w dramatach i romansach, ale tak niepodobne do poważnego i głębokiego Krasińskiego! ten rodzaj bohaterstwa, uznany za piękny, w jego utworze? jego, którego poezya zaczynała się od słowa „pokój ludziom dobrej woli“, który i jako artysta był za wysoki na to, by wpadał w takie zakończenia oklepane i zużyte, i jako człowiek zanadto poważny, głęboki, wielki, żeby ten rodzaj bohaterstwa mógł mu się podobać? to dziwne, to w porównaniu z zakończeniem *Nieboskiej*, *Irydiona* niskie. Widać, że nie sam styl tylko, nie sam sposób pisania i przedstawienia rzeczy, ale nawet inwencya poetyczna, nawet myśl, przeszły przez jakąś chwilę osłabienia i uległy jakimś wpływom bliżej nieznanym, ale w każdym razie szkodliwym, skoro przez nie, dzieło takiego poety jak Krasiński,

mogło przybrać choćby najlżejszy cień podobieństwa do maniery używanej przez spóźnionych i bardzo podrzędnych epigonów romantyczności.

Krasiński, który sądząc z Listów przywiązany był do tych swoich dzieł i krytykę ich brał do serca, tłomaczy i usprawiedliwia to zakończenie, ale usprawiedliwia sofistycznie, paradoxalnie.

„Wspomina też krytyka“ — pisze do Gaszyńskiego 12 czerwca 1841 — „o raffineryi romansowej, o galanteryi, któ„rej w średnich wiekach nie było u rycerzy. Prawda; ale ga„lanteryą romansową zowie się uciec z cudzą żoną, i skryć „się gdzie i żyć z nią; zabić zaś ją, w przekonaniu, że do„piero w świecie duchów można ją odzyskać, nie jest ga„lanteryą żadną. Wreszcie położenie tego, który się zabija „tam, tem usprawiedliwione, że gdyby się nie zabił, mu„siałby własnego stryja zamek zburzyć, a jego pod sąd od„dać. W tym zbiegu okoliczności leży możność pojęcia, że on „musiał od swoich odstąpić, i swoją zabrawszy, odejść do „Pana Boga, na ziemi albowiem nie było już miejsca dla „niego!“

Myśl pokrewna tej, jaka jest w *Nocy Letniej,* tylko wyższa, ważniejsza, tkwi w drugim utworze Krasińskiego z tejsamej epoki i tegosamego charakteru. Tylko *Pokusa,* choć łatwiejsza do zrozumienia, choć jej cel i znaczenie pojmuje się od razu, w formie jest jeszcze bardziej nieokreśloną. Tu już nawet zgoła się nie wié, jakiego słowa używać mówiąc o niej. Pod elastyczną nazwę powieści, wszystko prawie da się wsunąć, nawet *Noc Letnia; Pokusa* nie, i mówiąc o niej, musimy się posługiwać nieoznaczonemi określeniami, takiemi jak utwór, fantazya, lub coś podobnego. A myśl jest bardzo piękna. W swojem rozmyślaniu nad klęskami i niebezpieczeństwami Polski dzisiejszej, dostrzegł Krasiński jednego, które mogło być częstem i zgubnem. Tak jak pewnym naturom i temperamentom grozi zepsucie miłości Ojczyzny, skażenie jej zasadą, że cel uświęca środki, że „brud nie brudem, zbrodnia nie zbrodnią, jeżeli przez nie dąży się do wszechludzkości“, a dla takich nauka jest w *Irydionie*

i w *Niedokończonym Poemacie,* tak są inne znowu natury i temperamenta, zwłaszcza inne położenia społeczne, narażone na inny rodzaj zepsucia, na spodlenie przez próżność, na zapomnienie Ojczyzny wśród podchlebstw nieprzyjaciela i blasków jego łask i jego dworów.

Krasiński znał dobrze Polskę i jej skłonności; wiedział, że jest w nas jakiś wrodzony murzyński i dziecinny pociąg do wszystkiego co błyszczy; że wielcy tego świata wywierają na nas urok nieopisany, nieodparty; że na podchlebstwo, na połechtanie i pogłaskanie miłości własnej, złapać nas łatwo. Na jakiż inny lep łapały dwory zagraniczne, cesarski, francuzki, elektorski, w ostatnim wieku rosyjski, swoich stronników w Polsce? głównie na podchlebstwo, na oznaki uszanowania, poważania, przychylności, zażyłości. Atmosfery dworów mają szczególną własność upajania i odurzania głów polskich. Jestto widoczne na wszystkich szczeblach dworów; od dworu szlacheckiego na wsi, który działa bardzo silnie na wyobraźnię mieszkańców sąsiedniego małego miasteczka, przez dwór zamożnego lub bogatego królika powiatowego, który wielce zajmuje zwykle myśl i uwagę sąsiadów, przez dawne dwory magnackie, złożone z licznej szlachty i trzęsące Rzpltą, aż do dworów królewskich, wywierają na nas dwory jakąś dziwną magnetyczną atrakcyę. My lubiliśmy dawniej zaglądać do Wersalu albo do wiedeńskiego Burgu, to nas podnosiło w oczach własnych i w oczach rodaków; i dziś jeszcze, wszelki dwór lub choćby mały dworek, imponuje i podoba się nam bardzo. Oczywiście nie jestto skłonność i niebezpieczeństwo Pankracego, ale Hrabiego Henryka; on wskutku swojego położenia w świecie, ma i ten pociąg wyraźniejszy, więcej wyrobiony, i właściwie on najpierwszy jeżeli nie jedyny, narażony jest na takie pokusy. A pokusy są straszne; gubi się w nich dwie rzeczy, cześć własną i miłość Ojczyzny.

Dopóki jeszcze skłonność ta jest tylko murzyńskim pociągiem do błyskotek, dopóki się ogranicza na Tuilleriach albo Windsorze, to mniejsza; to tylko dzieciń700, w najgorszym razie śmieszność, albo niepotrzebna strata pieniędzy.

Ale gdyby z tej manii błyskotek chciał zręcznie skorzystać jaki nieprzyjaciel, gdyby jej schlebiał i ciągnął za nią, a są nieprzyjaciele, którzy sztukę schlebiania i ujmowania posiadają w wysokim stopniu, czy wtedy nie poszłoby na lep wielu? czy nie jedna polska tradycya nie poszłaby się terać po kątach jakiego dworskiego pałacu? czy przez poprzyjaźnienie się z mężczyznami, przez wdzięk kobiet, nie jeden z nas nie oswoiłby się ze swoimi panami, czyby do nich wkońcu nie przylgnął? Delikatny pyłek męzkiego honoru, drażliwość narodowego uczucia, ściera się tak nieznacznie i tak łatwo, jak lekka barwa kobiecej godności; zacząć można nieraz od rzeczy nieszkodliwych, obojętnych, niewinnych, a skończyć na tem, że się znajdzie i powié „podłość jest jak gorąca kąpiel", z początku parzy, ale potem w niej bardzo przyjemnie. Kwestya godności narodowej, kwestya stosunku każdego poszczególnego człowieka do rządów obcych i ich reprezentantów, pojmowana w Polsce najrozmaiciej od purytanizmu najprzesadniejszego, aż do brzydkiej giętkości i służbistości, upozorowanej jakąś hypokryzyą obowiązku i poświęcenia, ma to do siebie, że się w żadne stałe przepisy ująć nie da, a jest rzeczywiście jedną z najważniejszych, najbliżej obchodzących żywotność i przyszłość narodu. Książę Adam Czartoryski żył na dworze petersburskim, jak salamandra w ogniu, a wyszedł z tego ognia tak cały, nietknięty i czysty, jak trzej młodzieńcy z rozpalonego pieca w Babilonie. Margrabi Wielopolskiemu przyznawano nawet w czasach, kiedy niechęć do niego dochodziła do namiętności, że swoją godność polską zawsze trzymał wysoko i umiał utrzymać. Pokazuje się więc, że można ją zachować pomimo stosunków najczęstszych i najbardziej urzędowych, pomimo zależności i podwładności; a można ją zmarnować i sponiewierać bez żadnych stosunków i bez żadnej pokusy, z głupiej próżności, ze strachu, *ex libidine servitii,* albo z namiętności do dworskiej atmosfery i dworskich honorów. A tymczasem ta kwestya godności narodowej, która się w żadne reguły ująć nie da, jest niezmiernie ważną; od niej zależy

w wielkiej części przechowanie w całej czystości nie samej tylko polskiej tradycyi, bo przez oswojenie z obcymi można dojść do życia za granicą, dalej do małżeństw, do stosunków rodzinnych, a to wszystko powtarzające się często, zagęszczające się, prowadzi do zatracenia i zapomnienia nie już tradycyi, ale samej idei narodowej. Krasiński to czuł; znając naszą naturę, wiedział, że takie niebezpieczeństwo grozić może; że przez próżność, przez miłość popisu i pompy, wielu z nas, zwłaszcza takich, którzy przez majątki, stosunki, historyczne nazwiska, są najbardziej na widoku, najbardziej znani w Europie, może się dać skusić do utraty godności; wiedział to, biedny, bo miał doświadczenie, miał przykłady na takich, którzy go zbliska obchodzili. A i bez tego nawet, w jego sercu wielkiem i wyniosłem, nie było może popędu tak żywego, instynktu tak czujnego i drażliwego, jak ten instynkt godności. „Duma strącona z nieba z szatanem, miała anielską siostrę, która została w niebie“, mówi on w jednym ze swoich listów „i nazywa się Godność“. Bał się więc o tego anioła, bał się, żeby złudzenia próżności, miękkości, rozkoszy, nie odwiodły nas od jego czci i służby, i napisał *Pokusę* [1]).

Młodzieniec jakiś, znowu nienazwany, o wschodzie słońca siada na konia i rusza w drogę — młody, więc ufny w siebie nad miarę, pewien siebie aż do zuchwałości — on mógłby zawieść siebie, swój własny szacunek, i to co kocha? nie — śmiało i lekko przysięga przyjacielowi starszemu, który go upomina i prosi „znać kocha bardzo i wątpi nieco“. A gdy młody odjechał, tamten modli się za nim podobnie jak Aligier za Henrykiem: „Ojcze Niebieski dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamie, niechaj tobie służy tylko, Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko“. W nawiasie powiedziawszy, trudno jest wytło-

---

[1]) Małachowski świadczy *(Krótki Rys etc.)*, że *Pokusa* pisaną była dla młodziutkiego wtedy Adama Potockiego, gdy ten w sprawach majątkowych miał jechać do Petersburga.

maczyć to „po sześćkroć“ zabitej, które się kilka razy powtarza. Dodając trzy rozbiory, do nich kongres wiedeński, o którym zapewne myślał poeta i przegraną roku 1831, jeszcze nie dochodzi się do sześciu; a jaki cios śmiertelny więcej do roku 1840 mógł on widzieć w historyi, trudno się domyśleć.

W kilka godzin, może w kilka lat później, o południu tego samego dnia, tensam młodzieniec spotyka tegosamego przyjaciela w jakiemś mieście wielkiem, ludnem, wabiącem do rozkosznego życia — miasto „jednostajne, wybielone“, na ulicach zbiór wojska wielki przed jakimś „jednym“, który jest panem życia i śmierci; w tej jednostajności, w tym braku kościołów i starych domów, w tych wojskowych przeglądach nie trudno poznać Petersburg. „Nie patrz na nich“ przestrzega przyjaciel. Młodzieniec jeszcze raz przysięga; a potem rozchodzą się znowu, i znowu starszy modli się, tylko natarczywiej i smutniej: „Ojcze Niebieski, o południu tej strasznej próby błagam cię za tym, którego ukochałem. Ojcze Niebieski teraz już o cud proszę Ciebie“. Znać wątpi więcej; znać niebezpieczeństwo musi być bliższe. „Osłódź tej duszy walkę życia, uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni twoi niegdyś, najpiękniejsi w twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi“. Widać, że pokusą największą wydaje mu się pragnienie potęgi, ambicya, nie prosta próżność.

Potem młodzieniec został sam jeden w owem mieście, i musiał się bratać z ludźmi tam napotkanymi. „Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia, roje złych myśli wiją się za nim jak robactwo, uczy się kłamstwa i posiadł je, aż znikła jasność jego źrenicy“. Wreszcie zrzucił swój strój dawny i przebrał się, „przypiął pióra i oręż przypasał do boku“, (wstąpił do wojska może?)... Wtedy znowu pod wieczór tego samego dnia wrócił przyjaciel, i w podziemnych lochach kościoła pokazał mu grób matki zabitej i czekającej na zmartwychwstanie. I znowu młodzieniec przysięga, i znowu przyjaciel się modli, ale niebezpieczeństwo coraz większe, pokusy coraz bardziej biorą górę w sercu młodzieńca. W nocy jest on w pałacu „głosy fletów i piszczałek, woń kadzideł,

odurzyły mu głowę, tłum porwał go za sobą: zrazu gryzł wargi i bladł od gniewu, zrazu widział, że pomiędzy rozwieszonemi nad tronem mocarza sztandarami, jest jeden, z którego kroplami ścieka krew... ale i na to przestał zważać. Pan zamku zszedł ze swego tronu prosto do niego, wziął go pod rękę, uściskał, przechadzał się z nim, dziwy i kosztowności swego zamku pokazywał, „mówił z nim o przeszłości, nawet imię matki zabitej wymówił bez wzdrygnienia, jak żeby śmierć jej nie ciążyła na jego sumieniu“. Z każdego słowa jego wylęgał się robak w sercu młodzieńca, potem go posłał w grono „pań zamężnych i hożych dziewic“, które wszystkie prosiły, żeby choć jednę z nich kochał i wreszcie porwał jednę w objęcia, mówiąc „kocham“: i tak stopniowo, przez podchlebstwa i łaski pana, przez odurzający wpływ muzyki, kadzideł, światła, kwiatów, przepychu i używania, przez wpływ kobiet, żądzę lub miłość, on spadł tak nisko, że choć widział przy tronie urnę z popiołami matki zabitej, zapytał tylko, czy ona na pewno nigdy odżyć nie może, a gdy mu zaręczono, i gdy Pan życia i śmierci kazał mu przysięgać sobie na wierność i wyrzec się starożytnego imienia, on przysiągł. Wtedy Pan rzucił mu garść złotych krzyżów, żeby je nosił na pamiątkę i zagroził śmiercią, jeżeli złamie przysięgę. Wtedy ze wszystkich stron odezwał się nad nim jeden głos: Hańba! wtedy ci, co byli w pałacu, jedni szydzili z niego, drudzy pluli, inni kazali deptać po popiołach matki; on otrzeźwiał wtedy, poznał, co się z niego zrobiło, uciekł w rozpaczy, a o wschodzie słońca (drugim) spotkał znowu przyjaciela. „Wiem, że w innym czasie i na innem miejscu mógłbyś był zajaśnieć bohaterem, ale wśród próby naznaczonej ci od losu nie umiałeś być cnotliwym — widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą wiekuistą prawdą, zgubionyś“. I przebija młodzieńca przyjaciel, a nad ciałem jego odmawia znowu modlitwę tym razem dziwną, niepojętą pod piórem Krasińskiego: „Ojcze Niebieski, ty wiesz że go wśród wszystkich najbardziej kochałem na ziemi. Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła, a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku, duszę jego wydarłem wrogom i posłałem

Tobie. Ojcze Niebieski zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli". To posyłanie cudzej duszy do Boga, na to, żeby ją wydrzeć wrogom, i żeby połączona z morzem krwi niewinnej spadła na głowę kusicieli, ta exekucya spełniona przez człowieka, który w *Pokusie* reprezentuje właśnie dobre pojęcie życia, i który spełnia morderstwo jak coś najlepszego, z modlitwą na ustach i z takiem zaufaniem, jak żeby po takiej zasłudze Bóg mu już nic odmówić nie mógł, to naprzód teorya, któraby nas mogła zaprowadzić daleko, a potem to niemoralność tak głęboka, w tej mięszaninie modlitwy i mordu jest coś tak fałszywego i oburzającego, że pojąć nie można, jak Krasiński, on właśnie, autor *Nieboskiej*, *Irydiona*, *Przedświtu* i *Psalmów*, mógł coś takiego wymyśleć i nie spostrzedz się na potworności, przewrotności i nawet poprostu niedorzeczności takiego pomysłu? jakim sposobem nie oburzyły się na to nie już jego pojęcia polityczne, jego nauka o dobrych środkach do dobrych celów, ale poprostu jego uczucie chrześcijańskie, jego nocye katechizmowe, dla których niema nic przeciwniejszego nad to połączenie modlitwy z zabójstwem, dokonanem jak rzecz miła Bogu, jak coś najlepszego. W *Nocy Letniej* zabójstwo bohatera i bohaterki, wygląda przynajmniej na proste, romansowe, melodramatyczne zakończenie, mniejsza o to; ale tu, w rzeczy i poważniejszej, i bardziej obmyślanej, gdzie wszystko ma jakiś cel i jakieś znaczenie, takie posłanie duszy do Boga na to, żeby ją wydrzeć wrogom, i to przez człowieka, któremu autor przyznaje słuszność, przez jakiegoś Aligiera na małą skalę, jest w najwyższym stopniu dziwne i niewytłomaczone; a musi chyba odpowiadać jakiemuś chwilowemu wstrząśnieniu i przewrotowi pojęć moralnych Krasińskiego, którego powodów i przebiegu nie znamy.

Na domysł tylko przypuszczać można, jaką drogą Krasiński do tego zboczenia doszedł. Opanowany był od lat kilku miłościami, których w swojem sumieniu za dobre uważać nie mógł, a z których wydobyć się nie mając siły czy woli, po-

trzebował je jakoś ze swojem sumieniem godzić, mógł zaś godzić tylko sofizmami, paradoxami. W pierwszej miłości (z czasów Irydiona) jeszcze jego sumienie jest proste i zdrowe, bo odzywa się ciągle wyrzutem i zgryzotą. Ale później, kiedy kocha panią Delfinę Potocką, już on sobie nie wyrzuca nic; znać już sobie wydemonstrował sofistycznie, że nie robi nic złego, a ma prawo robić tak jak robi. Często człowiek w obronie swojej namiętności tumani tak swój rozum i swoje sumienie. Ale rozum zmuszony raz gwałtem do myślenia fałszywego, sofistycznego, nabiera nieznacznie tego zwyczaju i kierunku, i staje się często parodoxalnym; nie w tym jednym tylko punkcie i przedmiocie, w którym potrzebuje tego interes i samolubstwo namiętności, ale w innych także. Za oswojeniem zaś rozumu z paradoxem i z sofizmem, idzie często jako skutek stopniowe przyzwyczajenie sumienia do sofizmu i paradoxu. Zmysł moralny stępia się czasem, a częściej się krzywi. Zjawisko to naturalne i częste na świecie, daje się w tym razie spostrzegać w Krasińskim. Zmuszony sam przed sobą swoje postępki paradoxalnie usprawiedliwiać, doszedł do częściowej paradoxalności sumienia, i ona to sprawić musiała, że nie uczuł i nie zmiarkował przewrotności tego zakończenia *Pokusy*.

Z wyjątkiem tego zakończenia, myśl *Pokusy* jest dobra i trafna, przystósowanie jej i przestrogi wyborne. Jako obrona godności narodowej, jako przykład jak ją nieznacznie można stracić i do jakiego przez to dochodzi się wstydu i upadku, ma ona swoją wartość patryotyczną niezaprzeczoną; odpowiada jednej z potrzeb naszego położenia, ostrzega przed jednem z jego niebezpieczeństw; tej wartości tendencyjnej, tej słuszności nie można odmówić *Pokusie*, ani nawet *Nocy Letniej*. Szkoda tylko, że wartości artystycznej *Pokusa* niema więcej jak *Noc Letnia*. Tensam rodzaj, tasama kategorya, tosamo mgliste, niepewne przedstawienie rzeczy, tesame kontury umyślnie zatarte i niewyraźne; tu jak tam, jak nieraz przy utworach późniejszej romantyczności, przypomina się złośliwy koncept Fredry o angielskim języku: zdaje się, jak żeby poeta był mniemał: „że niewyraźność sztuką, nawet wdziękiem całym“. Najpięk-

niejsze w *Pokusie* jest zakończenie, prośba do ojczyzny (którą zawsze nie wiedzieć dlaczego nazywa „po sześćkroć zabitą“), żeby kiedyś jak wstanie ze snu, wymówiła ciche słowo przepomnienia nad grobami tych swoich synów, których „rozum blichtrami fałszu złudzili mordercy, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem“. Ci najnieszczęśliwsi, mówi poeta. A jak sobie przypomnieć, że on takich znał i kochał i cierpiał nad nimi, to w tej jego prośbie, w tej nieśmiałej prośbie nie o przebaczenie nawet, ale o przepomnienie tylko, czuje się pokorę tak smutną, odgaduje się takie przepaści cierpienia, że się już niema odwagi nic ganić, o niczem mówić, tylko milczeć i skłonić głowę przed takim „wielkim cichym smutkiem“. Pojmuje się, że nie dla ozdoby, nie na darmo, ale z głębi swojego żalu położył on na swojej *Pokusie* ten smutny napis, zaczynający się od słów

Ach mętne krwią i łzami pędzą życia fale

a zakończony wykrzykiem „Przekleństwo nademną!“

II.

Trzy Myśli. Stosunek do poprzednich i do późniejszych pojęć Krasińskiego. Wyrabianie się jego systemu. Powody. Wpływ Filozofii niemieckiej. Niejasność i sprzeczność pojęć. *Syn Cieniów.* Pojęcie istoty, bytu i przeznaczenia człowieka. Objaśnienie wiersza w liście. Mieszanina pojęć i ich niezgodność z sobą. *Sen Cezary.* Pierwszy objaw późniejszej teoryi o odrodzeniu przez śmierć. Sceny widzenia. Przesadność i nadętość. Niejasność. Styl apokaliptyczny. *Legenda.* Troistość dziejów od Cieszkowskiego przejęta. Zastosowana do Kościoła. Epoka Ducha św. Jej powtarzające się oczekiwanie od wieków średnich. Widzenie poetyczne. Treść. Nienaturalność formy. Fałsz i szkodliwość myśli. Pierwiastki optymizmu i zwątpienia. Wartość artystyczna *Trzech Myśli.* Ich przedmowa.

Do tejsamej epoki i do tejsamej grupy dzieł należą *Trzy Myśli Henryka Ligenzy.* W zamiarze głębsze i ważniejsze: bo kiedy *Noc Letnia* i *Pokusa* za przedmiot miały każda po jednym szczególe tylko życia narodowego lub moralnego, tu dotknięte są najobszerniejsze kwestye, tyczące

życia człowieka jako individuum, życia jego zbiorowego jako narodu i życia religijnego kościele; — w formie są *Trzy Myśli*, tak jak tamte mgliste, zawiłe i dekoracyjne; a co do myśli i dążności, to tak, jak tamte, lub jeszcze bardziej odskakują od innych dzieł Krasińskiego i są pomiędzy niemi jakąś anomalią, jakąś dysharmonią, oznaczają jakieś zboczenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego myśli. W *Nieboskiej komedyi* już widoczne są pierwiastki tego wszystkiego, co się znajduje w *Psalmie Dobrej Woli;* myśl religijna, choć nie wyrobiona jeszcze i nieokreślona, i myśl patryotyczna, która w *Nieboskiej* nie jest jeszcze nadzieją odrodzenia ojczyzny, ale jest wyraźną przestrogą przed tem, co odrodzeniu temu może stanąć na zawadzie. Znać już, że to są zarody całej późniejszej wiary Krasińskiego, że ta myśl religijna i myśl patryotyczna złączą się kiedyś, zrosną się, że jedna zleje się z drugą, i że staną się dla siebie uzupełnieniem, warunkiem, bez którego żadna nie zdoła się urzeczywistnić. W drugiem dziele Krasińskiego w *Irydionie*, już jedna i druga występuje wyraźniej, jest lepiej określona, już wzajemna ich zależność od siebie jest bardzo widoczna, oczywiście jest to dalszy krok w tym samym kierunku. Później w *Niedokończonym Poemacie* już myśli te tak dojrzeją, że dadzą się ułożyć w system ze ścisłością prawie dogmatyczną, a poeta tak wrósł w nie wszystkiemi swojemi uczuciami i przekonaniami, że stały się one nietylko jego filozofią historyi jak w *Niedokończonym Poemacie*, ale jego natchnieniem, jego wiarą jak w *Przedświcie*. Konieczność dopełnienia dziejów i przeznaczenia ludzkości w jakiejś trzeciej najwyższej epoce miłości i sprawiedliwości, konieczność, niechybność odrodzenia Polski jako warunku tej przyszłości, ale odrodzenia jej przez cnotę, przez wiarę, przez miłość, przez chrześcijaństwo, to jest w *Irydionie* nadzieją dopiero i przeczuciem, w *Niedokończonym* doktryną historyczną i filozoficzną w *Przedświcie* i trzech *Psalmach* wiarą; a nie pytając na teraz o absolutną prawdę tej nauki historycznej, ani o ścisłą prawowierność tej nauki religijnej, (której konkluzyą jest nowa dopełniająca epoka Ducha św.), nie można zaprze-

czyć, że w różnych stopniach jasności i wyrazistości we wszystkich tych poematach tkwią myśli tesame, tesame pierwiastki, tylko się coraz bardziej wyrabiają, rozwijają do coraz większej zupełności. Teraz, w pismach o których mowa, obok religijnego uczucia, które zostaje, natrafiamy na pojęcia nie religijne wcale; obok przeczuć jakiegoś nowego kościoła, jakieś ostatnie ślady, czy nie rozwinięte zarody panteizmu *(Syn Cieniów)*. Uczucie patryotyczne zostaje; ale po tej nadziei odrodzenia, jaką zamykał się *Irydion*, dziwna jest ta przepowiednia *Legendy*, która Polsce wróży śmierć i pogrzeb pospołu z katolickim Kościołem, i to nie jako możliwość złą i straszliwą, ale jako historyczną konieczność dobrą, jako warunek wzniesienia się ludzkości na wyższy szczebel, do owego trzeciego Kościoła. A przytem znowu i w *Legendzie* w *Śnie Cezary* jakieś wróżby łaskawsze, jakieś zaręczenia przyszłości, które z wyrokami *Legendy* pogodzić się nie dadzą. Słowem, oprócz zawiłej allegoryczności, powikłanej i zaciemnionej jeszcze przez mnóstwo przyborów i dodatków, oprócz jakiejś przyrodzonej niejasności pomysłów, tak, że one z pod analizy logicznej prawie się wymykają, jest w *Trzech Myślach* i odstęp od znanych zkądinąd i gdzieindziej widocznych pojęć Krasińskiego, i pomiędzy *Trzema Myślami* samemi, pewna niezgodność i sprzeczność.

Zkąd się ona wzięła i czem ją mamy tłomaczyć? Widzieliśmy w *Nieboskiej Komedyi* i w *Irydionie* myśl filozoficzną, umysł dążący z wielką siłą do objęcia i do rozwiązania wielkich historycznych, społecznych, moralnych, pytań i zagadnień. Ale nie widzieliśmy w tamtych dziełach filozoficznego systemu, któryby służył za podstawę tej pracy, i ją niejako prowadził. A jednak był to umysł przedewszystkiem filozoficzny i systematycznie filozoficzny, żądający jakiejś zasady jednej, którąby mu tłómaczyła wszystkie te zjawiska moralne społeczne i polityczne, które zrozumieć, których dalszy obrót przewidzieć chciał. Że do takiego systemu Krasiński doszedł, a trzymał się go stale, tego uczy nas *Przedświt*, *Psalmy* i *Niedokończony Poemat*. W *Trzech Myślach* zaś widzimy niejako proces formowania się tego systemu. Wszyst-

kie niemal pierwiastki ostatecznych Krasińskiego pojęć i zasad już tu są; ale są nieustalone jeszcze i organicznie z sobą niepołączone. Są tak, jak żeby próbowały różnych z sobą związków i połączeń, ale te związki jeszcze nie są doskonałe i stanowcze. Wchodzą też w nie i takie pierwiatki, które nie zostaną w nich na zawsze, ale będą z nich wyłączone, jedne prędzej, drugie później; jedne już w *Przedświcie*, drugie dopiero w dwóch ostatnich *Psalmach* i w *Resurrecturis*. Ztąd te niezaprzeczone w *Trzech Myślach* niejasności i sprzeczności; ale ztąd także ich niezaprzeczona ważność. Są one pierwszym widomym objawem dążenia Krasińskiego do całkowitego systemu filozofii, któryby mu wytłómaczył wszystkie zagadki bytu i przeznaczenia człowieka, i ludzkości, i w tem już objętą zagadkę losów Polski. Pojęcia i konkluzye *Trzech Myśli*, porównane z *Irydionem* z jednej strony, z drugiej z *Przedświtem* i z *Psalmami*, tak się od tamtych różnią, że wydają się nieraz wprost zboczeniem w regularnym pochodzie myśli Krasińskiego. Ale wrażenie to mylne i mylny byłby sąd na niem oparty. Te niezgodności, te stojące obok siebie pojęcia sprzeczne i wyłączające się nawzajem, to nie jest prawdziwe zboczenie myśli, to jest tylko jej dążenie do jakiejś prawdy zupełnej i stanowczej, jej praca szukania i składania systemu, któryby jej wystarczył. W pracy tej niejedna część budowy okaże się nieskładną lub nietrwałą, niejeden użyty materyał okaże się nieprzydatnym, i będzie odrzuconym, zanim się budowa wykończy. Ale choć ten chwilowy tymczasowy rezultat czy stan pracy nie jest ani trwałym jeszcze, ani pięknym, to praca sama, ten fakt wyrabiania się systemu jest i zajmujący bardzo i z naturą poety zupełnie zgodny, mimo pozornych sprzeczności z jego dawniejszemi i późniejszemi dziełami. Jest poniekąd naturalnym pomiędzy niemi łącznikiem, bo pokazuje, jak z gienialnych myśli formuje się pomału filozoficzny system i pokazuje niedokonany jeszcze stan, trwający proces i ferment tej formacyi.

Rzecz jest niezawodna, że na tę drogę skierowało Krasińskiego to uczucie, które Mickiewicza przez mistycyzm doprowadziło do Towianizmu, które było samą treścią i siłą

główną naszej poezyi od r. 1831. Zrozumieć upadek Polski i jego powody, przewidzieć jej dalsze losy. Tylko, kiedy inni poetycznie marzą lub przeczuwają, Krasiński więcej ścisły i filozoficzny, potrzebuje i chce wyrozumować i wiedzieć.

O ile wnosić można z listów i ze świadectw ludzi obeznanych dobrze z wewnętrzną historyą duszy Krasińskiego, zdaje się niewątpliwem, że po *Irydionie*, a przed r. 1840, przechodził on przez jakąś bolesną kryzys zwątpień i rozpaczy. Śladów z tej epoki nie mamy w żadnym poemacie, co najwięcej wspomnienie w *Przedświcie*, że taka była:

„Duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
„Gdzie światło wszelkie w noc się wieczną zmienia;
„Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo
„Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą —

ale zkąd ona się wzięła, co było przedmiotem tych zwiątpień i rozpaczy, jak daleko w nich zaszedł, tego on nie mówi. Wszelako domyślać się można, że przez zwątpienie w przyszłość Polski, w sprawiedliwość w historyi, doszedł do zwątpienia w Boga, że była chwila, w której on sam nie posłuchał tego rozkazu, jaki daje Irydionowi: „Idź i czyń, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać“. Powód tych zwątpień jest jasny:

„Darmo brzask walczył z ślepej nocy siłą;
„Nie weszło słońce nad świętych mogiłą
„I coraz podlej na tej ziemi było“.

A na tę duszę tak przygotowaną do zwątpienia powodami historycznemi, padł, jak twierdzą świadkowie, wpływ ówczesnej filozofii niemieckiej, mianowicie Hegla, którego konduktorem był Danielewicz. Że Krasiński zajmował się bardzo żywo filozofią niemiecką, że wskutek wrodzonego kierunku swego umysłu dążył zawsze do porządkowania i systemizowania swoich prawd i pojęć, że zatem mógł a raczej musiał lgnąć do tego, co obiecywało mu wykazać i wytłómaczyć świat, jego naturę i jego losy przez jakąś jedność, tak, jak on sam wytłómaczył je sobie później przez jedność w Trójcy

bożej i jedność w troistych dziejach ludzkości, to rzecz pewna. Ale druga rzecz, jeżeli nie pewna, to przynajmniej prawdopodobna i naturalna, że pod wpływem tych zwątpień z jednej strony, tych badań i dociekań i subtelnych definicyi filozoficznych ze strony drugiej, mógł, a raczej musiał powstać w duszy zamęt i chaos. Gdzież szukać prawdy i rozwiązania zagadki? może w jednostce ludzkiej, jej naturze i przeznaczeniu. Czem jest duch ludzki? zkąd się wziął? jakie jego koleje? Odpowiedzi na te właśnie pytania musiał on szukać w filozofii niemieckiej, i ta musiała w nim złożyć zarody pojęcia odrębności Ducha i Duszy; pojęcie stopniowego dochodzenia tego Ducha do świadomości przez całą naturę, aż się to staje w człowieku, a więc jakąś tożsamość świata i człowieka. Dalej, w tem zlaniu wszystkich duchów, znać coś, jak żeby tożsamość Stwórcy i stworzenia, z czego wnieśćby można, że Krasiński przechodził przez jakieś pojęcia panteistyczne, przez jakąś negacyę indywidualności duszy ludzkiej; że ta na czas tylko, jak długo w ciele, wydawała mu się indywidualną, a potem zlewała się z jakimś wszech Duchem, czyli w nim roztapiała; że w tem stopniowem podnoszeniu się Ducha do świadomości siebie w człowieczeństwie, następnie w podnoszeniu się jego z człowieczeństwa do bóstwa, musiał upatrywać wytłómaczenie istoty ludzkiej, jej indywidualnego i zbiorowego życia, i przeznaczeń historyi.

Listy potwierdzają ten domysł bardzo wyraźnie. Od owego dawnego, w którym rzucał przekleństwo na „niemców filozofów“, widzi się w nich ciągłą niepewność i niezgodę co do samych głównych podstawnych pojęć i pytań; i ciągłe usilne, namiętne dążenie do pewności, do zgody z sobą i do pogodzenia tych pojęć sprzecznych. Jest naprzykład chrześciańska wiara i chrześciańska świadomość, jest miłość Kościoła i jego obrona, jest obrona Bóstwa Chrystusa przeciw Straussowi; ale jest zarazem i przeczenie tego wszystkiego; skoro „Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, ale Bóg jest także i Panteizmem“. A obok tego jest i odparcie i przeczucie Panteizmu. Jest indywidualność i nieśmiertelność du-

szy ludzkiej, ale jest i jej przeczenie; bo to indywidualność i nieśmiertelność jakaś warunkowa, przyznana całości (czyli duchowi), a nie należąca się części (duszy). W jego pojęciu Polski i jej sprawy także sprzeczność. Cała rzeczywistość doprowadza go do rozpaczy; ale coś się w nim od tej rozpaczy broni i nie może wyrzec się przyszłości. Te sprzeczności są mu nieznośne, nie może w nich wytrzymać. Szuka więc czegoś, coby je wytłómaczyło i pogodziło. Pomału zapewne i z trudem dochodzi do teoryi, którą niebawem sformułuje dokładniej, a której pierwiastki już w sobie ma: do teoryi, że śmierć (dla ludzi, jak dla społeczeństw) jest tylko odmianą i przeciągnięciem życia; że wszystko jest rozwijaniem się tylko, stopniowem przechodzeniem wszechświata na niebo przyszłe, powrót człowieka (i natury samej i wszystkich duchów wyższych) do Boga, przez ciągłe pracowanie nad sobą i podnoszenie się. Na mocy tego prawa wszelka indywidualność poświęcona jest na tej ziemi, i idzie „pod nóż ofiarny śmierci"; ale z tamtej strony grobu staje się nieskończoną i nieśmiertelną w Duchu Bożym, jako cząstka tego Ducha. Ta kombinacya pozwala mu łączyć wyobrażenia, które wsiąkły w niego z filozofii niemieckiej, z pojęciami chrześciańskiemi i z potrzebami chrześciańskiego serca; niektóre pierwiastki panteizmu z osobistością Boga, z nieśmiertelnością duszy, z chrześciańskiem niebem aniołów i świętych. Tego zaś nie dostrzega, że ta jego mniemana jedność jest złudzeniem i niemożliwością, bo chce jednoczyć pojęcia z istoty swojej różne i sprzeczne; przestaje na niej, i jej się trzyma. Kiedy zaś w *Prolegomenach* Cieszkowskiego znalazł podział historyi na trzy epoki, zastósował zaraz tę teoryę do swojej potrzeby, ujrzał w niej stwierdzenie i uzupełnienie swoich myśli. Troistość tę przyłożył do człowieka, i dowiódł sobie jego złożenia z trzech pierwiastków: ciała, duszy i ducha; pod to prawo rozwijania, które już sobie był określił, podciągnął teraz i Kościół, i z pomocą tejsamej zasady troistości obiecywał mu nową ewolucyę (Kościół Miłości). *Legenda* musiała powstać już po przeczytaniu *Prolegomenów*.

Oczywiście zaś, że ten nowy system pojęć, który zaczął się składać z pomocą historyozofii Cieszkowskiego, a rozwinął się do dojrzałości i objawił się w *Przedświcie*, nie zbudował się odrazu; jego zarysy główne zmieniały się i łamały podczas tej konstrukcyi, zanim stanął silnie na swoich podstawach, na których już pozostał do końca; przez czas jakiś ważył się i chwiał, aż znalazł środek ciężkości i równowagę. Otóż, z tego czasu, kiedy z chaosu zwątpień i rozpaczy we wszystko, zaczął pomału wydobywać się ten system stałej wiary i pewności, jaki jest w *Przedświcie*, z czasu, kiedy on jeszcze nie powstał całkowicie, nie dopełnił się i nie stężał, ale był w stanie płynnym niejako, chwiejnym i mglistym, na przejściu z „przepaści zwątpień" do opoki systemów i dogmatów, powstały *Trzy Myśli Ligenzy*, które są tego przejścia odbiciem, i noszą na sobie jeszcze niektóre ślady zaprzeczeń i wątpliwości poprzednich, a już noszą w sobie zarody tych pewników, na których opiera się *Niedokończony Poemat*, *Przedświt* i *Psalmy*.

Każda z Trzech Myśli ma inny przedmiot; jednak nie można nie widzieć tego, że one do siebie należą, że mają stanowić ciąg, całość. Wrodzona dążność Krasińskiego do filozoficznego systemizowania szykuje je w pewien ład, zaprowadza pomiędzy niemi związek, dąży do tego, żeby objąć w nich jakąś całość prawd, tyczących się człowieka i historyi, praw podstawnych jego życia indywidualnego i zbiorowego. Jakiż więc jest ten pierwszy kształt tego już systematycznego a jeszcze nie zupełnie ukształconego składu pojęć poety; jakiż będzie pierwszy, jeszcze cokolwiek bezładny zaród jego późniejszego systemu teozoficznego i historyozoficznego?

Pierwsza z *Trzech Myśli*, jedyna pisana wierszem, a w nawiasie powiedziawszy, jako wiersz ciężka i zawikłana tak, że za piękną poezyę żadną miarą uchodzić nie może, nosi tytuł *Syn Cieniów*, i zawiera pojęcia ówczesne autora o Duchu ludzkim i o Duchu Boga, i ich wzajemnym do siebie stosunku. Syn Cieniów, Duch, wyrzucony z ciemni przez jakąś moc nieznaną, padł na ten ziemski padół, i zrazu wpół senny, to jest nieświadomy siebie, „darł się po górach"

i „ssał wilgoć na gór szczycie w chmurach“. Czy to ma znaczyć pierwsze bezwiedne i bezmyślne istnienie człowieka na świecie, lub też czy duch „wpółsenny zawisł na górach i chmurach w ten sposób, że martwa natura była także jego wcieleniem, formą bytu, którą musiał przebyć, zanim doszedł do świadomości siebie, jako człowiek? Słowa poety dostatecznie i jasno tego nie tłómaczą; a jeżeli wolałoby się przypisać im to pierwsze znaczenie, to drugie znowu lepiej odpowiada wpływowi filozofii niemieckiej i lepiej się z nim godzi. Jakkolwiekbądź — wilgoć i chmury wystarczyć mu długo nie mogą; mgły się rozchodzą, „światło spadło z krainy błękitu“, a syn cieniów „wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata“, — zaczyna dążyć do poznania siebie, świata, w którym jest, i „wyżyn wszechświata“ czyli tego Ducha, który jego i wszystko obejmuje. Wreszcie „ludzka mu piękność „wyjrzy wtedy z czoła, i przemieniony on Jestem zawoła“ — syn cieniów, duch, stał się człowiekiem. A jak stan jego poprzedni był tylko stopniowym pochodem do stanu wyższego i doskonalszego, do człowieczeństwa, tak przez nie znowu musi on dążyć do swego stanu najwyższego i ostatecznego, którym jest zjednoczenie się, zlanie się jego ducha z wszechduchem, czyli Bogiem.

W tem przejściu ziemskiem, w tem połączeniu swojem z ciałem, duch już świadomy siebie, już nie „syn cieniów“, ale „syn światła“ odbywa próbę. Boga zna tylko, „gniewu Panem“, cierniów koronę nosi na skroni, nieraz łzę miłości uronić musi nad bliźnim, nieraz sam pierś swoją zakrwawi, nieraz także „dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże“, a on z odwieczną tęsknotą będzie się miał za przeznaczonego na sieroctwo i zgubę. „Ale złe przejściem tylko pyłem drogi“ — „wszędzie kolebki, nigdzie nie masz trumny, a wszędzie „niebo, niema nigdzie ziemi, a wszędzie Bogi tylko, z któ„rymi on był i będzie, choć nie jest teraz“. „Niema śmierci, Pan jej nie pomyślał nigdzie“, to jeden z dogmatów *Niedokończonego Poematu*; a te bogi, które zaludniają wszystko i są wszędzie, to duchy ludzkie, które w kolejnych przejściach coraz bardziej zbliżają się do Boga, na Boga się

pomału wydoskonalają. Czy Krasiński przypuszczał kilkakrotne wcielenia jednego ducha w różne ciała ludzkie, lub czy wyobrażał sobie po za tym światem inne życie w jakichś innych, coraz doskonalszych ciałach, to pewna, że mówiąc o tem, co się z synem światłości stać ma, kiedy on przestanie być pielgrzymem na ziemi, przepowiada mu, że „w innem „ciele, jako anioł i święty, pójdzie za Bogiem coraz wyżej, „ale Boga jeszcze nie pojmie, jeszcze będzie tęsknił i cier-„piał, bo świat jego jeszcze i wtedy nie będzie nieskończony“. Dopiero wtedy, kiedy przestanie mówić do Boga „Ty Boże“, kiedy go pozna tak, jak sam mu jest znany, kiedy przejrzy i zobaczy, że jest z Panem nad Pany Duch tensam, jeden na wieki i wszędzie, dopiero wtedy „on zleje się z sobą i przypadnie do siebie“ — wtedy będzie dopełniony.

„Każda dusza na Ciebie (Boga) wyrosła
„I siebie samą w Twoje łono wniosła:
„I wié o sobie, że stała się synem,
„Równym ci Ojcze i wiecznie jedynym“ —

a po takiem zlaniu się z Bogiem, Duch, syn światłości, niegdyś syn cieniów, przez całą wieczność ma już tylko „myśleć, „kochać i stwarzać wieczne niebo w niebie“.

Objaśnienie tych Krasińskiego pojęć znajdzie się może w liście, choć późniejszym, do Małachowskiego (z 7-go grudnia 1841).

„Indywidualność każda, czy chce czy nie chce, czy ro-„zumie tego konieczność czy nie, poświęconą jest. Śmierć „jest to nóż ofiarny, który ją zarzyna dla całej Ludzkości. „Ale to logika tego planety, to pozytywizm tej strony „grobu tylko; za to, na tamtej, każda, indywidualność nieo-„cenionej wartości nabywa, bo jest nieskończenie nieśmier-„telną i w Duchu Bożym, jako cząstka tego Ducha, ale „cząstka mająca wiedzę, że jest cząstką, utrzymana wiecznie „przy wiedzy tej, zatem sobie samej już na kształt całości „wyglądająca, i będąca istotnie całością! Cząstka tylko „przepaść może, bo spotkawszy się z drugą, trzecią i t. d. „cząstką, wiąże się z niemi i w całości jakiejś, której była

„oderwanym członkiem, przepada. Lecz to, co już z siebie „całem, dopełnionem, wewnątrz siebie samego rytmicz„nie żyjącem jest, przez wiedzę jaką ma o tem życiu swo„jem, to nie może przepaść, to się tylko rozwijać dalej w nie„skończoność może! Więc w istocie jako ludzie planetarni „żyjem poświęceni w wielkim, doczesnym Panteizmie Ludz„kości; jako Duchy, jako Ja każdego z nas, żyjem znowu „udzielni, nieśmiertelnie tem Ja obdarzeni, po za grób prze„ciągnieni, jak promień, który wiecznie podnosi się ku Bogu! „Na planecie więc jest miejsce pokory i śmierci naszej; za „planetą, miejsce dumy i nieśmiertelności naszej! Dwoma „wiecznie kierunki bieżym w jednego wszechpięknego Boga, „w jedną Sprawiedliwość, w jedną Mądrość cudowną! Jako „cząstka Ludzkości, widoma i rozsypalna, posuwamy się ku „ostatecznym jej celom, a te są: urzeczywiścić na planecie „królestwo niebieskiego dobra, czy przez dalsze podbicie na„tury, czy przez dalsze rozgoszczenie się Ducha Miłości „w piersiach ludzkich. O ile jesteśmy na świecie tym, o tyle „się staramy, by ten świat stał się podobny Bożemu, wszedł „w stosunek ściślejszy z Bożym, to jest z tym, z którym so„jusz nieśmiertelności naszej indywidualnej nas sprzęga na „wieki wszystkie nasze dalsze. Za życia więc tu, nic innego „nie czynim, tylko gotujemy sobie samym na później coś „Boskiego, punkt jakiś Boski w przestrzeniach, by nam „umarłym i nieśmiertelnym było na co spojrzeć i z czego się „radować i w czem rozkoszować! by wszędzie nam niebo „było! Lecz właśnie dla tego, że będąc w sobie całością, „niczyją inną jedno Boga, Wszechrzeczy, cząstkąśmy, a nie „planety tego lub owego, nie do tego punktu skuci lub tam„tego, ale wszystkich panami; zatem musim przestać przez „śmierć wygrywać rolę cząstki Ludzkości, a zacząć na więk„szej scenie wygrywać naszą prawdziwą, istotną: to jest mu„sim, my, nieśmiertelne całości, zacząć po Wszech„świecie mieszkać jako cząstki, ale tylko Wszech-Boga! „Jako w pierwszym kierunku, nosząc ciężkiego ciała żałobę, „musieliśmy służyć planecie, planetarnemu rozwijaniu się, „tak w drugim, to rozwinięcie planetarne nam kiedyś służyć

„będzie musiało; to jest ziemia doprowadzona do najwyższej „przemiany swojej, będzie cząstką nieba naszego. Zatem my, „syny nieba, a zarazem na niebo nasze pracujem!“

Czy komu ta cała filozofia zawarta w *Synu Cieniów* wyda się prawdziwą lub nie, to w każdym razie nikt nie zdoła zaprzeczyć dwóch rzeczy: naprzód, że jako poezya nie jest on wcale pięknym; pierwszy lepszy rozdział Hegla ułożony w wiersze, byłby tak poetycznym jak to. Powtóre, że jest tu, pomimo całej pozornej konsekwencyi i systematyczności, gmatwanina najróżnorodniejszych pojęć, któreby się nawzajem wykluczać powinny. Prawda, że Bóg jest tu pojęty, nie jako jakaś wszechistota obejmująca, ożywiająca wszelkie stworzenie, i w całe stworzenie niejako wcielona, jak w Panteizmie: tylko jako jakiś Wszech-Duch. Zatem nie jestto zupełnie Panteizm; ale znowu człowieczeństwo, pojęte jako przejście ducha w osobistość boską, to stopniowe wychodzenie duchów ludzkich na Bogów, i wreszcie ostateczne zlanie się ich z duchem Bożym, to zaprzeczenie oczywiste wiecznej indywidualności ludzkiej duszy: zatem to do Panteizmu zbliżone i jemu pokrewne. Z drugiej strony znowu zdarzyło się nam słyszeć wyznawców filozofii pozytywnej, materyalistów czystych, którzy twierdzili, że jedyną rzeczą gienialną, jaką Krasiński (bez swojej woli i wiedzy) napisał, jest *Syn Cieniów* — dlaczego? bo cała ta teorya o duchu, który przez naturę stopniowo podnosi się do samowiedzy w człowieku, jakkolwiek jest teoryą o duchu, przecież wychodzi po części na stwierdzenie ich teoryi o nieprzerwanym łańcuchu stworzeń, o tożsamości istoty w naturze i w człowieku. Przypuściwszy nawet, co wcale dowiedzionem nie jest, że te dwa wspomniane pierwiastki ówczesnej filozofii Krasińskiego, dadzą się zgodzić jeden z drugim, to z pewnością i jeden i drugi żadną miarą nie dadzą się zgodzić z trzecim, który tam jest widoczny, a który albo tamte dwa wyłączyć, albo sam wyłączonym być powinien; tym jest pierwiastek pojęć chrześciańskich. Grunt religijnych uczuć był u Krasińskiego tak stały, zasada, dogmat „dobrej woli“ był w nim tak niezachwiany, że nawet kiedy umysł zagłę-

biał się w zawikłane spekulatywne dociekania nad naturą Boga i człowieka, i dochodził do konkluzyi z chrześciaństwem wprost niezgodnych, to uczucie jego wyznawało zawsze Boga chrześciańskiego, Ewangielię i Dziesięcioro przykazań; konkluzye jego były z temi zgodne. Pomimo całego odskoku od chrześciaństwa, pomimo, że Bóg |jest Wszech-Duchem, a człowiek ma się z nim zlać ostatecznie, przecież, (nie wiedzieć doprawdy jak on to pogodzić potrafił), wyobraża on sobie Boga po chrześciańsku, i wierzy w Ewangelię. W przyszłem życiu, wyobraża on sobie człowieka, wedle pojęć chrześciańskich, aniołem lub świętym, jakkolwiek to także ma być tylko bytem przejściowym do innego wyższego; na tej ziemi zaś, duch wcielony w ciało, syn cieniów czy światłości:

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca Niebieskiego.

a więc Wszech-Duch jest zarazem chrześciańskim Ojcem Niebieskim? a cierniowa korona i łza miłości, wylana nad braćmi, to przypomnienie *Irydiona,* a przygrywka już do *Niedokończonego Poematu,* do *Przedświtu* i *Psalmów.* Jest w tym wierszu, jest w tych pojęciach Krasińskiego i resztka „zwątpień“, jakie wyniósł z przepaści, w której żył tak długo, i początki jeszcze nie wykształcone jego pojęć późniejszych, i przypomnienie tych, które poprzedziły ową przepaść; i dlatego, jako odbicie tej chwili przejścia, wiersz ten choć poetycznie nie piękny wcale, a filozoficznie nietylko zagmatwany ale fałszywy, ma swoje znaczenie dla literatury, jest dla niej pomnikiem nie obojętnym.

W *Synu Cieniów* widzieliśmy, co Krasiński myślał w tym czasie o człowieku; zobaczymy teraz, co myślał o narodzie. *Sen Cezary* druga z *Trzech Myśli Ligenzy* (dlaczego Cezary? zkąd to dziwne nienaturalne imię? czy nie z Jean Paula znowu? Krasiński w listach do Gaszyńskiego wychwala *Tytana,* a bohater *Tytana* Albano, nazywa się Hrabią Cezara). *Sen Cezary* więc, jest znowu obrazem Polski po roz-

biorze, i przepowiednią jej odrodzenia. Jest to w zawiązku tasama myśl, która w *Niedokończonym Poemacie* wyłożona jest jako „próba grobu“, konieczność śmierci pozornej dla nabrania pełniejszego życia. Cezara widzi pośród tłumu narodów garstkę ludzi w żałobnej odzieży, skupioną około sztandaru, na którym jest napisane słowo Naród; ludzie ci niosą na ręku małe dzieci konające, w objęciach omdlałe kobiety, na nogach łańcuchy, na głowach cierniowe korony — otaczające tłumy odwracały się od nich, odpychały ich, a oni szli jak za własnym pogrzebem. Potem bili się jeszcze raz z ostatniem wysileniem rozpaczy i byli pobici, a wtedy poprzebijali niewiasty omdlałe w swoich rękach, dzieci podrzucili w górę, mówiąc: leć do Boga sieroto — ale kiedy zwycięzkie tłumy wołały na nich: „żyjcie i bądźcie naszemi sługi“, żaden z nich nie chciał, wszyscy woleli umrzeć.

Wtedy nowa zmiana w widzeniu. Wśród pustego kościoła wielki grób otwarty, kamień grobowy czeka gotowy z napisem *Naród* — w grób ten wchodzą wszyscy ci ludzie, a kamień zawala się za nimi. Tylko głos jakiś woła nad nimi: „odpocznijcie, zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na „ziemię waszą powtórnej wiosny godzina. Ten sen będzie „siłą waszą, Pan czuwa nad waszemi trumny“.

Został po nich na ziemi ślad jedyny i jedyna pamiątka, postać niewieścia smutna, powiewna, kołysana wiatrem, ale doskonale piękna... miłość ojczyzny? jej pamięć? nadzieja? zapewne: i w tej rozmiłował się Cezara i szedł za nią wszędzie, a miłość jego i jej smutek były coraz większe. W tej wędrówce spotkał ducha, który wyglądał jak człowiek stary, ale czerstwy, na barkach miał skrzydła odarte z piór, a w ręku arfę o jednej strunie żelaznej. Kto ten duch? szatan, czy czas, czy fizyczna moc? i ten kusi Cezarę, żeby opuścił tę, „która nie odżyje nigdy, która jest nicością“ — i owa postać niewieścia znikła gdzieś we mgle, duch zerwał ostatnią strunę swojej harfy i rzekł: „teraz wieczność się zaczęła“. Cezara chciał już konać i własną duszę przeklinać i postać Chrystusa oskarżać, że oszukała pobitych, zstępując z nimi do grobu, bo oni już nigdy się nie obudzą, kiedy usłyszał

nad sobą głos anioła, mówiącego, że „śmierć ta była tylko złudzeniem“, i ujrzał postać Chrystusa, odwalającą kamień grobowy i wyprowadzającą wszystkich owych pobitych. „I uczułem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał“.

To jest treść. I tu także widoczne są dwa pierwiastki: ślady i wspomnienia dawnych zwątpień, i pierwsze zarysy tej całej doktryny odrodzenia, próby grobu, która w dalszych latach wystąpiła tak jasno i wyraźnie. *Sen Cezary* więc, tak jak *Syn Cieniów*, oznacza przejście, oznacza tę chwilę, kiedy z chaosu zwątpień i przeczeń zaczęło coś powstawać, zaczęły się składać pierwsze kształty późniejszej affirmacyi. Co do formy, *Sen Cezary* ma wszystkie wady *Nocy Letniej* i *Pokusy*, w stopniu może jeszcze wyższym. Jest tak jak one dekoracyjnym, przeładowanym niepotrzebnemi dodatkami i ozdobami. Tak jak on, lub więcej jeszcze, trzyma się tej maniery zacierania konturów, umyślnego pokazywania postaci i scen jak przez mgłę, wchodzi w tą samą kategoryę optycznych złudzeń w poezyi, podobnych do tych, które pokazują różni sztukmistrze pod tytułem dissolving views. Co tu dodatków i dekoracyi; po co naprzykład Cezara, mając zobaczyć te wszystkie sceny swojego widzenia, musiał drapać się za głosem, który go wołał na wieże i dachy katedry, po co te gotyckie wieżyczki, framugi, figurki, koronki ciosane z kamienia? czy treść poematu wymagała ich koniecznie? bynajmniej; to wszystko jest na to, żeby było opisane naprzód, powtóre, żeby Cezara pośród wież i łuków wydawał się poetyczniej, aniżeli na ziemi — wszystko to przybory, dekoracye. Albo te małe dzieci uśpione, czy zabite, niesione na rękach mężów, potem podrzucone w górę i ulatujące do nieba jak aniołki: znowu dodatek, przybór, ozdoba, a tem gorsza, że ma pozory myśli i znaczenia. W poemacie allegorycznym, jak ten, jak czytelnik znajdzie coś dziwnego i uderzającego, a są dziwne i uderzające te dzieci posłane przez ojców do nieba, musi koniecznie domyślać się i szukać znaczenia, musi przypuszczać, że poeta miał jakiś cel, jakąś myśl ukrytą; a kiedy jej nie znajduje, podejrzywa, że myśl

ta dla autora samego nie była zupełnie jasną, przynajmniej niezupełnie wyrobioną.

Jeszcze jedna uwaga. W poezyę naszą, odkąd ona zaczęła przybierać charakter mistyczny, po r. 1831, natrafia się często na jakiś styl ewangeliczny. Mickiewicz pisze *Księgi Pielgrzymstwa* w tonie *Listów Śgo Pawła* tam gdzie naucza i każe wprost, w tonie paraboli ewangelicznych tam, gdzie naucza pod figurami. Słowacki w *Anhellim* używa także tego ewangelicznego stylu; naśladowcy rzucili się na ten styl jak kruki i odziewali w niego swoje oklepane ogólniki. Krasiński, który niedawno przepowiadał z szyderstwem, że Scribe napisze komedyę ewangelicznie, wpada teraz w ton podobny. Nie można powiedzieć, żeby był naśladował ten styl, bo jego styl jest zawsze zbyt ozdobny i dekoracyjny, żeby mógł być podobnym do tego najprostszego ze wszystkich stylów na świecie; ale w tych poematach, gdzie opisuje jakieś widzenia, wpada w ton, który przypomina — nie chcąc naśladować naturalnie — ale przypomina niektóre księgi Pisma Śgo, mianowicie te, w których zawarte są widzenia i przewidzenia przyszłości. *Sen Cezary* nie przywodzi na myśl i na pamięć ani Ewangeli, ani Listów, ani Dziejów Apostolskich, ale przez swoje często powtarzane *i widziałem, i ujrzałem, i usłyszałem głos*, przez to, że wprowadza tych aniołów, którzy pokazują, wołają, każą patrzeć i tam dalej, przez to wszystko przypomina *Sen Cezary* ostatnią część pism Nowego testamentu, tę, która obejmuje przepowiednie przyszłości w allegorycznych obrazach i symbolach, Apokalipsę. A ton Śgo Jana na Patmos nie jest tu przyjemniejszy do widzenia, jak u Mickiewicza ton Śgo Mateusza, albo Śgo Pawła. Że w *Śnie Cezary* jest niezaprzeczony wpływ Jean Paula, wspomniało się już wyżej. Tu dodać tylko wypada, że *Sen* ten musiał się pisać w roku 1839, i to pod wrażeniem katedry we Fryburgu. Ona to służy za dekoracyę, w której się odbywają sceny *Snu*. Z Fryburga bowiem, 20go września 1839, pisze Krasiński do Sołtana słowa, które wyraźnie to wskazują:

„Zdaje mi się nieraz w tym pustym kościele, żem oto-„czony duchami tych, którzy za wiarę polegli. Farby misty-„czne tych szyb leją się w duszę moją, jak tęczy jakiejś „smętnej, świecące nad grobem męczenników, promienie. „I nieraz, podnosząc głowę ku krzyżom, pytam się: „Azaż „zmartwychwstaną Panie?"

Tensam ton apokaliptyczny, te same wady artystyczne, tasama nienaturalność w stylu, tasama w opowiadaniu umyślna niejasność, tensam zbytek dekoracyi panuje i w trzeciej „Myśli" Ligenzy, w *Legendzie*. W latach i pismach późniejszych wiemy, że Krasiński oczekiwał dopełnienia przeznaczeń ludzkości w jakiejś trzeciej i najwyższej epoce, którą nazywał epoką Ducha Śgo. W tej chwili przejścia, kiedy cały jego system późniejszy składać się zaczął, objawia się widocznie i ten jego pierwiastek. Tylko w tych latach i pismach późniejszych on nie rośnie, ale maleje; zbliża się stopniowo i coraz bardziej do ścisłej prawowierności katolickiej. W *Niedokończonym Poemacie* epoka Ducha Śgo (jak w *Przedświcie* i pierwszych *Psalmach*) przyjść ma, ale godzi się jakoś z Kościołem dzisiejszym, z katolicyzmem. W *Legendzie* Kościół dzisiejszy, Kościół Śgo Piotra, ma ustąpić jakiemuś lepszemu i wyższemu Kościołowi Śgo Jana. Wiadomo, jak Krasiński wszędzie i zawsze widział jedność złożoną z trójcy; taką jednością jest Bóg, jako taką pojmował człowieka; dzieje planety są u niego także troiste: starożytność, era chrześciańska, i przyszła epoka — rzecz naturalna, że troistości takiej szukał i w dziejach Kościoła, i że przypadła łatwo do jego myśli nie nowa już nauka, czy przepowiednia, podług której dzieje Kościoła rozpadają się na trzy epoki. Kościół pierwiastkowy, zjednoczony i prosty w swojej wierze, to okres wiary, Kościół Śgo Piotra. Dalej epoka teologiczna, epoka propagandy, dyskussyi, ujęcia wiary w naukę, wreszcie polemiki, to historya Kościoła od Konstantyna do naszych czasów, i to nazywało się Kościołem Śgo Pawła. Trzeci ma przyjść dopiero i wszystko zjednoczyć i połączyć, będzie Kościołem miłości, a jego wyobrazicielem będzie ten z apostołów, który uczył tylko jednego: „miłujcie się", Śty Jan.

Takie oczekiwanie nowej epoki znane jest oddawna; wieki średnie przechodziły przez nie nie jeden raz. Zwykło ono objawiać się i powtarzać w czasach ucisku Kościoła, lub jego upadku. *Evangelium Perpetuum* Opata Joachima (ur. 1130, zm. 1202) jest pierwszym może dla nas widomym i zapamiętanym śladem takich oczekiwań. W świętym Franciszku i w pierwszych Franciszkanach może dałoby się dostrzedz i odszukać jakie odbicie tego usposobienia. Zna je wiek XV, a zgorszenia w Kościele wywołują znowu takie oczekiwania czegoś nowego. Służy to i pomaga Reformacyi; a powoduje po części jej różne rozgałęzienia, po części mistyczne, po części kommunistyczne. Wreszcie, w naszym już wieku, protestantyzm zawiedziony sam na sobie, czujący instynktem, że wyczerpał już i zużył ten zasób życia, jaki mieć mógł, szukał odrodzenia swego, a pośrednio ludzkości, w jakiemś filozoficznem połączeniu chrześciaństwa protestanckiego z katolickiem przez miłość, i marzył o nowej epoce, o nowym Kościele, któremu nawet dawał tę nazwę Kościoła Śgo Jana. Z tegosamego oczekiwania wyrosły znowu z drzewa katolickiego takie boczne odrośle, jak Lammenais i Messyanizm Mickiewicza. Z tem wszystkiem więc, z tem powszechnem oczekiwaniem, łączy się pośrednio i Krasińskiego pomysł, który z czasem uprości się i wyczyści, ale obecnie jest owych obłędów i zboczeń dość blizki.

Legenda jest obrazem zakończenia Kościoła dzisiejszego, a początku przyszłego, który będzie jako epoka, epoką Ducha Śgo, jako Kościół, Kościołem Śgo Jana. A jak w *Synu Cieniów* mieliśmy do czynienia z człowiekiem jako takim, w *Śnie Cezary* z jednym narodem i jego przyszłością, tak tu chodzi już o przyszłość i odrodzenie ludzkości całej w tej epoce szczęśliwszej, w tym Kościele wyższym i lepszym. A przytem dotyka ona i losów jednego narodu, polskiego, i dziwnie, jedyna w całej poezyi Krasińskiego, dziwnie zwłaszcza że obok *Snu Cezary*, wróży mu upadek, tak jak dzisiejszemu Kościołowi i z nim razem.

Mimochodem napomknąć trzeba, że *Legenda* ta, jak *Sen z Niedokończonego Poematu*, nie jest podobno wymysłem,

ale (jak mówili niektórzy z współczesnych) spisanym snem, czy też widzeniem poetycznem, jakie Krasiński miał rzeczywiście; na karb tego więc można położyć i tem usprawiedliwić wszystko, co w niej jest niedokładnem lub niewytłomaczonem, co jedno do drugiego nie przypadać się zdaje.

„Zdało mi się“, mówi poeta, „że w samą Wigilią Bo„żego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i idę przez „kampanię“. Następuje szereg grobów, wodociągów, ruin, bluszczów, odległych gór, dekoracya, wśród której ów *ja*, który ma widzenie, dochodzi aż nad brzeg morza.. Z morza śpieszy do brzegu okręt jakiś, z którego ludzie pytają niespokojnie, czy dziś Wilia Bożego narodzenia, że oni przed północą muszą być w Bazylice Piotra. Wysiadają na ląd ci ludzie w białych płaszczach i czerwonych czapkach, i każą się prowadzić do Rzymu. „Myśmy ostatki szlachty polskiej“ mówią, „anioł kazał nam być dziś o północy w grobie Śgo Piotra“. Idą, po drodze spotykają tłumy pielgrzymów; wszystkie narody ziemi ciągną do Rzymu, gdzie dziś po „raz ostatni „narodzić się ma Chrystus, a odtąd już się na ziemi ani „rodzić, ani umierać nie będzie“ — ale w tłumie tym całym nikt nie poznaje Polaków, wszyscy pytają ich, co są za jedni; a kiedy wreszcie znużeni doszli do drzwi Śgo Piotra, Rzymianie puścić ich tam nie chcieli, mówiąc, że oni pierwsi jako Rzymianie. Ale w tej chwili z krużganku Bazyliki odzywa się postać kardynała w purpurze: „Puszczajcie tych, „którzy niegdyś dla wiary katolickiej cudzy naród od śmierci „zbawili, a później sami dla niej polegli — *umarłych* puśćcie naprzód“. Potem dodaje tażsama postać: „Znam was, wyście ostatnie bohatery ziemi“.

Zaczyna się nabożeństwo, Papież wniesiony do kościoła na tronie klęczy przed grobem Śgo Piotra, a po nabożeństwie kardynał tensam zawołał wielkim głosem: „Piotrze! obudź się!“ Z grobu podniosła się po piersi postać Apostoła i zawołała: *Biada mi!* Kardynał, jak mu sam Piotr świadczy, jest tym uczniem, którego głowa spoczywała na piersi Pana przy ostatniej wieczerzy, i który nigdy nie umarł na ziemi (alluzya do tych słów ewangelii, że między uczniami rozeszła

się pogłoska, jakoby Jan nie miał umrzeć). „Kazano mi“, mówi Śty Jan do Piotra, „abym teraz wśród ludzi zamieszkał „i ogarnął świat i przytulił go do piersi“; a Piotr odpowiada: „Czyń, co ci kazano“.

I w tej chwili zapada w grób, filary kościoła zaczynają się chwiać i łamać; ludy wszystkie zaczęły uciekać, a kardynał ręką wstrzymywał w powietrzu sklepienia i kopułę, żeby ich nie przywaliły. W kościele został tylko Papież jeden, który grobu apostołów nie chciał opuścić, i szlachta polska, która pomimo wezwań kardynała nie chciała odejść, mówiąc, że „zostanie z tym starcem, któremu gorżko byłoby umierać samemu“. A kiedy wszyscy wyszli z kościoła, spadła kopuła i sklepienia, i z Bazyliki został tylko wielki stos gruzów.

Wtedy ów widzący zapytał kardynała: „Panie, a ci czy na zawsze leżą pod temi gruzami?“ A święty odrzekł: „Nie trwóż się o nich, Pan odwdzięczy im, im lepiej będzie i synom synów ich“.

O ile myśl upadku Kościoła, jego potrzeby i konieczności zastąpienia jego przez jakiś inny, jest zupełnie wyraźna, tak jak nigdy już drugi raz w poezyi Krasińskiego nie wystąpiła, o tyle ten *finis Poloniae* z katolicyzmem razem jest trudnym do pojęcia. Gdyby poeta chciał był powiedzieć, że upadek Kościoła, upadek katolicyzmu, na świecie lub w Polsce, pociąga za sobą upadek Polski i jej przelanie się w coś innego, w Rossyę naprzykład myśl jego byłaby zrozumiała i słuszna. Ale gdy bybył miał tę myśl, to te dwa upadki byłby przepowiadał jako nieszczęcie i jako rzecz złą. Tymczasem przeciwnie; w *Legendzie* są te upadki koniecznością, sprawiedliwością, wyższym szczeblem w historyi świata, są dobrem. Jest coś w człowieku, co się na takie pojęcie oburza i protestuje. Czego on chciał? czy uważał i katolicyzm i Polskę za należące do jakiejś epoki skończonej, i ustępujące miejsca innym, jak wszystko, co skończyło swoje przeznaczenie? Czy też to zguba samej tylko polskiej szlachty, która rycerska do ostatka nie chciała odstąpić swojego Kościoła i jego Głowy? Czy ona tylko ginie z katolicyzmem, a Polska zostaje, jak zapowiadać się zdają słowa kardynała: „będzie

lepiej im i ich synom". W jego myśli ma to oznaczać tę ewolucyę, to powszechne rozwijanie się wszystkiego do wyższej doskonałości, które obejmuje i ludzkość całą, i Polskę, i Kościół; ale że w tej myśli jest jakieś przeczenie Kościoła, jakieś pragnienie innego, to nie podpada wątpliwości. W r. 1841 (12go czerwca), odpierając w liście do Gaszyńskiego jakieś zarzuty, robione *Legendzie* przez krytykę, przypisuje tę niechętną krytykę temu, że „w *Legendzie* zadraśniony jest „mur, który *według nich* stoi na opoce".

Wogóle odpycha on wszystkie zarzuty, przyznaje tylko jedno, że „krytyka słusznie wytknęła nieraz napotkane na„puszanie, niby pretensyą: to prawda. Ale proza poetyczna „jest trudem trudów; i w niej szum prawie warunkiem ko„niecznym się stawa".

Stwierdza więc on sam, że wykonanie jest zbyt „szumne", napuszone; a skoro sam zaprzeczyć nie może, to dalszych dowodzeń nie potrzeba. Co się zaś tyczy myśli, to ta jest w każdym razie mylna. Nie mówiąc już o tem, że mylna ze stanowiska katolickiego (w całej poezyi Krasińskiego niema drugiej, któraby tak daleko i tak otwarcie od katolicyzmu odbiegła) — jest ze stanowiska patryotycznego rozpaczliwa, a ze stanowiska moralnego zła, fałszywa. Ci Polacy występują jako najlepsi pomiędzy narodami, kardynał sam przyznaje im, że całe życie poświęcali się dla drugich i byli ostatnimi bohaterami ziemi, i za to giną przywaleni gruzami z jakąś niejasną obietnicą na przyszłość za całą pociechę? Trzeba przyznać, że święty Jan swoją epokę i swój Kościół miłości rozpoczyna od osobliwszego aktu sprawiedliwości.

Te ostatnie bohatery ziemi, którzy się zawsze za wszystkich poświęcali, to już widocznie początki *Przedświtu*; ten Kościół Śgo Jana i upadek Piotra, to późniejsza epoka Ducha Śgo, tylko zapowiedziana więcej stanowczo i z większem przeciwieństwem do Kościoła; obietnica kardynała, która zamyka *Legendę*, to zaród późniejszej wiary w odrodzenie Polski. Tem wszystkiem należy ona już do epoki następnej i zapowiada ją. Zaś ta wróżba upadku Polski wraz z Kościołem, ta ukryta ale wyraźna niechęć do niego, to resztki

i ślady zwątpień świeżo i jeszcze niezupełnie przebytych. *Legenda* więc, jak dwie pierwsze *Myśli Ligenzy*, jest, przez same swoje sprzeczności i niezgodności, wiernem odbiciem przejścia, jakiegoś w duszy poety przełomu, podczas którego wszystko się składać zaczęło, a nic się jeszcze zupełnie nie złożyło. Pod względem artystycznym jest *Legenda* godną towarzyszką *Snu Cezary*, ma tensam ton, tensam charakter i tesame wady. Ogółem wzięte, *Trzy Myśli Ligenzy* pod względem artystycznym i patryotycznym stoją w poezyi Krasińskiego najniżej. — Czy filozofia, zawarta w *Synu Cieniów* jest słuszną i prawdziwą lub nie, niech sądzą filozofowie. Krytyka literacka i uczucie polskie muszą zgodnie, wraz z *Nocą Letnią* i *Pokusą*, postawić je najniżej między dziełami Krasińskiego, nietylko pod względem logicznej i głębokiej myśli, ale i pod względem poetycznego talentu.

Jest tylko jedna rzecz, która starczy za pewną, choć może niewielką pociechę, perła *Trzech Myśli*, jedyny uśmiech w poezyi Krasińskiego, to przedmowa: prześliczne pismo pana Szczepana Mielikowskiego herbu Gozdawa, który znalazłszy przypadkiem w Sycylii pisma Henryka Ligenzy, wydaje je stosownie do życzenia nieboszczyka. Ukraiński szlachcic, którego romansowa i poetyczna żona wozi z miejsca na miejsce po całej Europie (z rzeczywistości wzięty, jak świadczy Małachowski w *Krótkim Rysie*), jest przedstawiony z wielkim dobrym humorem, i z dobrem sercem przytem; a przez wrażenia tego biednego hreczkosieja, który w tem co widzi, połowy nie rozumie, na resztę się niecierpliwi i gniewa, tak misternie, a tak wyraźnie przebija piękność tego, co on widzi i o czem wspomina, błękitów palermitańkiej zatoki i dziwów maurytańskiej sztuki w Morreale, że pojąć trudno, jak przez styl i wrażenia tego biedaka Krasiński mógł tak żywo to wszystko dać uczuć, jakim sposobem przez jego okulary patrząc, możemy to wszystko widzieć tak pięknem, Przedmowa ta jest pełna wdzięku; a jako jedyny błysk humoru w poezyi Krasińskiego, jest ciekawością i jedyną próbką zdolności jego w tym rodzaju pisania; zdolności, jak ten przykład dowodzi, niepospolitej.

ROZDZIAŁ VIII.

1841—1843.

I. Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasińskiego. Pismo o *Trójcy i Słowie Wcielonem.* Trzy osoby Trójcy. Byt i łaska. Myśl i prawo. Miłość i żywot. Bóg w stosunku do stworzenia. Człowiek. Jego troistość. Jego coraz wyższe żywoty. Jego ostateczne przeznaczenie. Ludzkość. Zasada troistości w jej dziejach. Starożytność jako jej byt zmysłowy. Walka sumienia z naturą w chrześcijaństwie. Ciągły postęp mimo koniecznych błędów i upadków. Ciągłe pragnienie wyższej doskonałości. Przyszła trzecia epoka. Nie nowe objawienie, ale zrozumienie i wykonanie tego, które jest. Królestwo Boże na ziemi. Kres przeznaczeń i dziejów ludzkości. Droga ku niemu. Wolne narody. Sposób ich postępu. *Próba grobu.* Warunkowość odrodzenia i obietnic. Filozofia Krasińskiego w związku z współczesnym stanem świata. Ze stanem Polski. Krasiński nie jest mistykiem. Jego stanowisko religijne. Systematyczność jego pojęć. Zwrot w jego poezyi. II. Koniec r. 1840. Wiersze miłosne i patryotyczne. Zima w Rzymie. Wyjazd w usposobieniu ponurem. Pobyt w Karlsbadzie. Przyrzeczenie ożenienia się. Fałszywe położenie. Jesień i zima w Monachium. Oczekiwanie nowej epoki. List do Słowackiego o Towiańskim. Początek zmiany w ich przyjaźni. Choroba i śmierć Danielewicza. Pobyt w Szwajcaryi. Wiersz Fryburg. Początki *Przedświtu.* Spotkanie z Gaszyńskim. Zima w Rzymie. *Przedświt* w druku. Wyjazd z Rzymu na ślub. *Przedświt* wydany.

I.

Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasińskiego. Pismo o *Trójcy i Słowie Wcielonem*. Trzy osoby Trójcy. Byt i łaska. Myśl i prawo. Miłość i żywot. Bóg w stosunku do stworzenia. Człowiek. Jego troistość. Jego coraz wyższe żywoty. Jego ostateczne przeznaczenie. Ludzkość. Zasada troistości w jej dziejach. Starożytność jako jej byt zmysłowy. Walka sumienia z naturą w chrześcijaństwie. Ciągły postęp mimo koniecznych błędów i upadków. Ciągłe pragnienie wyższej doskonałości. Przyszła trzecia epoka. Nie nowe objawienie, ale zrozumienie i wykonanie tego, które jest. Królestwo Boże na ziemi, kres przeznaczeń i dziejów ludzkości. Droga ku niemu. Wolne narody. Sposób ich postępu. *Próba grobu.* Warunkowość odrodzenia i obietnic. Filozofia Krasińskiego w związku z współczesnym stanem świata. Ze stanem Polski. Krasiński nie jest mistykiem. Jego stanowisko religijne. Systematyczność jego pojęć. Zwrot w jego poezyi.

W grudniu 1841 r. odbiera dwóch przyjaciół Krasińskiego, Sołtan i Małachowski zamiast listu i w liście, kilka kart filozoficznej rozprawy, którą on daje im na pamiątkę, a która dla niego widocznie wiele znaczy, skoro ją tak do wiadomości drugich podaje. Widocznie coś znalazł, coś odkrył, uchwycił jakieś rozwiązanie zagadki, jakąś prawdę, i chce ją czemprędzej udzielić tym, którym zwierzał się ze swoich niepewności i zwątpień. O *Trójcy i Słowie Wcielonem,* a drugie o *Żywocie wiecznym,* oto tytuł, jaki daje temu okryciu, tej affirmacyi, do której za drogoskaz służyły mu bardzo prawdopodobnie a raczej oczywiście *Prolegomena* Cieszkowskiego.

„W tem *łaska* Boża, że nas stworzył; w tem *rozum* „i *logika* Boża, że nas nie odrazu doskonałymi stworzył, ale „zmuszonymi się zasługiwać, czyli siebie samych dotwarzać „i róść ku Niemu. W tem *Miłość* Boża, że nas ostatecznie

„zbawi. Z *łaski* mamy byt, z *rozumu* Bożego świadomość tego „bytu i wiedzę jego celu, czyli duszę. Z *miłości* Bożej wre„szcie dochodzimy do zlania się Bytu z Myślą, ciała z duszą, „czyli stajemy się duchami żywemi. Z tego trojakiego sto„sunku Boga do nas i nas do Boga, wynika Trójca i jej „osoby. Osoba Łaski to Jehowa, osoba Rozumu, nakazująca „nam pracę i zasługę czyli kształcenie się i postęp, jako „drogę jedyną do Niebios, to Słowo Wcielone, Chrystus. Wre„szcie osoba miłości, kojarząca dwie poprzednie, i z jednej „jak z drugiej wynikająca, spójnia Łaski bez przyczyny, „z świadomością i rozumem, połączenie wolności w Bogu „Stworzycielu z koniecznością w Bogu Objawicielu, to „osoba Ducha, to Duch święty, który w stosunku do nas, wy„raża zlanie się *żywota* danego z *łaski*, z *prawem* koniecz„nem *postępu* i *zasługi*, czyli *zbawienie, harmonię*, cel osta„tni nasz, żywot wieczny nasz, *uzupełnioną miłość Bożą* ku „nam i w nas.

„Na początku *Łaska,* wkońcu *Miłość;* (łaska jest dla „niebędących jeszcze, miłość dla będących już, ale godnych, „zasłużonych), a pośrodku jako przejście od Łaski do Miło„ści, Rozum Boży. W stosunku do nas, *Rozum Boży* znaczy „logikę życia, znaczy trud, krwawą pracę, suchy niewczas, „męczeństwo, słowem zasługę! I oczywiście, by stworzonych „z *Łaski* przeprowadzić stopniowo do godności niebiańskiej, „do Anielstwa, do żywota wiecznego Duchów, trzeba konie„cznie było ich zasługi, czyli trzeba było, żeby im jej ko„nieczność *Rozum Boży* objawił i nakazał, bo inaczej *Łaska* „byłaby bezrozumna i *Miłość* wkońcu też ślepa, bezrozumna „też, a zatem nie żadną *Miłością,* tylko znowu *Łaską;* więc „nie byłoby żadnego rozwoju od pierwszej do ostatniej, żad„nego biegu życia, dziejów żadnych ludzkich byćby nie mo„gło. Przejście więc, czyli życie nastąpić musiało, bo Bóg „jest Bogiem nie umarłych ale żywych. Pośrednikiem więc „w istocie w tem przejściu między *Łaską i Miłością,* łączni„kiem i usprawiedliwicielem ich obu, musiał być *Rozum* „*Boży,* który wcielony i objawiony, w rodzie ludzkim rozum „ludzki obudził. Ztąd Chrystus jest Zbawcą, Odkupicielem,

„pośrednikiem, i tylko przechodząc przez niego, można dojść „do zbawienia; jest prawdą, światłem na ziemi, i w najwyż-„szem znaczeniu *Drogą*, jak sam wyrzekł o sobie, i tylko tą „*drogą* dojść można do *miłości ostatecznej!* A że w stosunku „do nas ta droga jest trudem, pracą, zasługą, zatem Chry-„stus wcielony musiał ją życiem i śmiercią odbić, wyrazić, „uczynić; wszystek trud przejścia od *Łaski* do *Miłości* w nim „przedstawiony; dla tego żył ciągle jak ofiara paląca się „i skonał krzyżowo. Lecz, że wskazywał i objawiał do czego „wiedzie przejście przez rozumu drogę; że objawiał Miłość „ostateczną za cel tej drogi; że wskazywał niebo i żywot „wieczny za wynik jej konieczny; musiał też i *Cel* ten, czyli „*Niebo*, wyrazić i ukazać w poczęciu się niepokalanem, „w przemienieniu na Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebo-„wstąpieniu, w tych *nadludzkich* cudach, a *rzeczywistościach* „Anielskich. Kiedyś pokaże się i już w nim objawionem jest, „że prawem rządzącem naturą Ducha, jest Cud“.

To określenie Trójcy świętej i jej stosunku do stworzenia, jak jest niezawodnie treścią religijnych pojęć i przekonań Krasińskiego, tak jest zarazem podstawą i przyczyną jego zrozumienia historyi, troistych dziejów ludzkości, i tego koniecznego logicznego jej odrodzenia w nastąpić mającej epoce, które zobaczymy przepowiadanem w *Przedświcie* i w *Psalmach*, a dowodzonem w *Niedokończonym Poemacie*.

Z tem pismem za wskazówkę, a z temi objawami myśli Krasińskiego, jakie są w *Synu cieniów* i w *Psalmie wiary*, w *Przedświcie*, w innych Psalmach i w *Niedokończonym Poemacie*, i wreszcie w *Listach* do porównania i pomocy, możemy złożyć sobie całość filozoficznych pojęć Krasińskiego, o Bogu i człowieku naprzód, następnie z temi w związku o ludzkości i historyi [1]). Spróbujmy więc ułożyć ogólny zarys tych pojęć, o ile nas na to stać, nie ręcząc za

[1]) Krasiński pisał cały traktat o *Trójcy w Bogu* i o *Trójcy w człowieku*, którego szkicem lub krótkiem streszczeniem, jest przytoczone wyżej pismo, przesłane Sołtanowi i Małachowskiemu. Traktat sam, z woli autora pozostaje w rękopiśmie.

własną bystrość, ani za dokładność zrozumienia i przedstawienia.

Przytoczone pismo uczy nas, jak Krasiński pojmuje Boga w Trójcy jedynego. Jedna osoba i jedna czynność Boga, to stworzenie, to byt człowieka i świata, dany z łaski. Ta łaska bytu, to stworzenie bytu, musiało oczywiście być początkiem i podstawą dalszego działania Bogá, a więc pierwszą w Trójcy musiała być ta osoba Boska, która była tego bytu przyczyną, która go sprawiła, czyli Bóg Ojciec. Ale za bytem musiała pójść koniecznie, niechybnie, i za nim zaraz, świadomość tego bytu, myśl o nim, i myśl w ogólności. Z tej świadomości bytu i myśli, wynika zdolność i obowiązek stworzenia do kształcenia się i rozwijania; (Rozum Boży nie stworzył nas odrazu doskonałymi i w tem jego logika). Ale ta świadomość i ta zdolność nie mogły być zostawione same sobie; *Rozum Boży* musiał im wskazać cel, dla którego i prawo pod którem mają się kształcić i postępować. To więc jest druga strona czynności Bożej, i druga osoba Trójcy, „nakazująca nam pracę i zasługę, jako drogę jedyną do niebios, to Słowo Wcielone, to Chrystus". Z tego bytu i żywota, który jest dany przez *Moc Bożą* i *Łaskę* (pierwszą osobę), z tej świadomości celu i drogi, z tego prawa, jakie wskazuje *Rozum Boży,* (osoba druga), wynika koniecznie — (ale po nich następuje i od nich pochodzi) — dojście do celu, czyli połączenie „*bytu* danego z łaski, z *prawem* zasługi i postępu, czyli zbawienie, harmonia, cel ostateczny nasz, żywot wieczny nasz". To sprawia *Miłość Boża,* trzecia osoba Trójcy, trzeci przymiot czy akt troistego a jedynego i nierozdzielnego Boga. „Osoba *Łaski* (i mocy)" to Jehova; osoba *Rozumu* to Chrystus, „osoba miłości kojarząca dwie poprzednie, to Duch św."

Te filozoficzne (a cóż dopiero teologiczne) dociekania i określenia, to przedmiot dla nas tak wysoki i niedostępny, że z największą tylko nieśmiałością pozwalamy sobie o nim mówić. Zdobywszy się jednak na tę odwagę, wyrazimy tu przypuszczenie, że w tem pojęciu Trójcy, jak je Krasiński tłómaczy, jest widoczna podstawa systemu Hegla, a przynajmniej tego systemizowania, którego zwyczaj i upodobanie

adepci przejmowali od Mistrza. Byt i jego sprawca (Jehova, Moc, Łaska), to niby *Teza;* Świadomość i Rozum wznoszące się coraz wyżej przez trud i zasługę, przez ciągłe działania, to *Antiteza;* a Duch św., który wedle wyrażenia Prezesa z *Niedokończonego Poematu* „ojca z synem miłośnie skojarzy", to pogodzenie i zlanie się dwóch pierwiastków odmiennych, to *Synteza.* Ale jeżeli forma tego rozumowania i rozróżnienia jest (jak nam się wydaje) pożyczona od Hegla, to istota różnicy, wzajemny stosunek, pochodność i zależność trzech osób Trójcy, są może odmianą i modyfikacyą myśli św. Augustyna. Ten, kiedy w Konfessyach (ks. XIII, roz. XI) chce sobie i nam przez porównanie objaśnić troistość, a razem jedność Boga, szuka tego porównania w istocie człowieka, i mówi, że „człowiek *jest, wié* i *chce. Jest* tymsamym, który wié i chce; *wié* że jest i że chce; *chce* być i wiedzieć". Musi naprzód być, a potem dopiero może wiedzieć, że jest; ale jak tylko jest, zaraz wié że jest; a jak tylko ma byt i świadomość bytu, tak zaraz ma i jakąś wolę, która nie może wyprzedzić bytu i świadomości, jest ich skutkiem, ale musi być tam, gdzie są one. Z tego zupełnego połączenia, ale i z tej odmienności i pochodności pierwiastków, jakie widzi w swojej istocie, może człowiek według św. Augustyna zrobić sobie niejakie bardzo dalekie wyobrażenie o różności osób, a jedności istoty w Bogu. Otóż, zapytujemy i uczeńszym od siebie poddajemy pod rozwagę, czy Krasińskiego *Byt* i *Moc,* jako pierwsza osoba Trójcy, *Rozum,* jako jej osoba druga, nie są podobne do tej istności i świadomości w człowieku, któremi św. Augustyn próbuje przez analogię wyobrazić sobie Trójcę? Wola, jest podług św. Augustyna koniecznym w człowieku skutkiem i uzupełnieniem dwóch pierwszych pierwiastków istności i świadomości; u Krasińskiego Duch św. kojarzący Ojca z Synem, prowadzi ludzkość do celu przez *wolę* właśnie, przez coraz doskonalsze jej zjednoczenie z wolą Boga.

Zdaje nam się, że jest podobieństwo między temi myślami; a ztąd przypuszczenie, że może jest między niemi i zależność. W każdym razie, czy definicye Krasińskiego są

filozoficznie głębokie, a teologicznie trafne czy nie, to w każdym razie jego pojęcie Boga jako w Trójcy jedynego, jest rzeczywiście i zupełnie chrześciańskie.

Ale to jest Bóg sam w sobie dopiero, w stosunku do siebie samego. Jakimże on jest w stosunku do swego stworzenia?

Psalm Wiary mówi:

On jak myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami On jest osobisty.

Jakto? osobisty za krańcami świata tylko? czy dopiero? Więc jego myśl i wola rządząca światem, sprawiająca wszystko co jest, nie jest osobistą i od stworzenia odrębną, ale jest z niem połączona i zlana, w nie wcielona? *Mieszka* w stworzeniu jak jego Byt wieczysty, a zatem jest nietylko sprawcą Bytu i życia, ale zarazem i istotą stworzenia, a ono znowu częścią istoty Boga? Takby się zdawać mogło; a jeżeli tak, to w tem pojęciu Krasińskiego byłby widocznie i niezaprzeczenie pierwiastek panteistyczny. Stwierdza to wyraźnie ustęp z listu do Jaroszyńskiego (IX. 21 lutego 1840), który mówi, że „Bóg tylko panteistyczny jest „taką wyłącznością, jak Bóg li tylko osobisty, odłączony od „wszechświata. Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trze„cie, równie osobiste jak panteistyczne, równie wszystko obej„mujące jak siebie samego“. Ale te słowa stwierdzają tylko myśl Krasińskiego, nie objaśniają jej. Jeżeli dwa pojęcia Boga, panteistyczne i chrześciańskie, są jednostronne, a z nich dopiero złożyć się ma jakieś trzecie prawdziwe, to w każdym razie Krasiński nie tłomaczy jakiem ono być ma, co wyda to zlanie dwóch pojęć, jak ten Bóg będzie razem i osobistym, i wcielonym w swoje stworzenie. Jest niejasność w jego myśli, a prócz niejasności, byłaby i sprzeczność, dwoistość w istocie Boga, skoro ten byłby innym (lub czem innem) po za krańcami świata, a innym znowu w świecie czyli stworzeniu. Zdaniem naszem jest w tem pojęciu niejasność, wynikająca może z wielkiej treściwości tego ustępu *Psalmu*. Krasiński nie wyłożył tu swojej myśli dokładnie,

nie powiedział jak rozumie to mieszkanie Boga w świecie. Czy stworzenie jest częściowem wcieleniem jego istoty, czy też skutkiem, objawem i nieustającym aktem jego myśli i jego woli? Pierwsze byłoby panteizmem, drugie nie; a to drugie jest także możliwem i nawet prawdopodobnem. To mieszkanie w świecie „jak myśl i jak byt wieczysty“, może być ciągłym aktem stworzenia, utrzymywaniem raz stworzonego świata, temsamem dalszem ciągłem działaniem woli i mocy. Nieustanne wieczne tworzenie, jest także jednem z pojęć podstawnych Krasińskiego: jest przeznaczeniem ducha ludzkiego na całą wieczność. *Syn Cieniów* kończy się takiem przykazaniem: „stwarzaj wieczne niebo w niebie“. Wiedząc, jak Krasiński wyobraża sobie życie i przeznaczenie człowieka odbiciem i obrazem Boga, możemy przypuścić z wszelkiem prawdopodobieństwem, że przypisywał on Bogu działanie nieskończenie większe ale poniekąd podobne do tego, jakie wskazuje człowiekowi, i że w tym razie owo mieszkanie Boga w świecie, rozumie jako nieustające stwarzanie (utrzymywanie świata i rządzenie). Zastrzeżenie, że Bóg dopiero „za krańcami świata jest osobisty“ i drugie, zaraz po tem następujące *„rozlał się po wszej ziemi, a został na niebie“ (Psalm Wiary),* zdaje się wprawdzie świadczyć przeciw temu wyraźnie. Wszelako przeciw temu pojęciu znowu świadczy, jemu się sprzeciwia, pierwszy zaraz wiersz tego ustępu, w którym poeta stara się określić istotę Boga, a w którym Bóg nazwany jest „ogniw wszechstworzenia wiązannym łańcuchem“. Jeżeli tak, więc nie temsamem co one, „ale czemś, co je łączy, wiąże i rządzi, ale nie w nich „mieszka“, tylko z zewnątrz nich, po za niemi zostaje. Ustęp, jak powiedzieliśmy wyżej, nie jest dostatecznie jasnym; dowód znajdujemy w tych sprzecznych i wyłączających się nawzajem określeniach jednej i tejsamej istoty. Skoro więc zachodzi ta sprzeczność, skoro dalej zachodziłaby sprzeczność gorsza pomiędzy pojęciem Boga wcielonego w stworzenie, a tem jego pojęciem, jakie Krasiński formułuje w piśmie o Trójcy, więc z wszelkiem prawem i prawdopodobieństwem przyjąć możemy za pewne, że w wyrażeniach *Psalmu Wiary* jest nie-

ścisłość, a że stosunek Boga do świata, Krasiński pojmuje jako akt ciągłego tworzenia, jako w dalszym ciągu pierwszego stworzenia nieustający wylew zawsze tejsamej a ciągle nowej łaski i mocy.

A czemże jest człowiek? Tu, znowu przywołując na pomoc *Syna Cieniów* i *Psalm Wiary,* dochodzimy do wniosku, że w pojęciu Krasińskiego człowiek składa się z ciała, duszy i ducha. Czem się różni dusza od ducha? Dusza jest (zawsze w jego rozumieniu), myślą i świadomością człowieka o sobie. Ta zaś myśl i świadomość zmienia się w miarę, jak zmienia się rodzaj i forma życia. Po śmierci, w życiu zagrobowem, człowiek będzie inaczej myślał, będzie miał inną świadomość siebie, niż ją ma w życiu ziemskiem. Duch zaś, to jest sama jego istota, jego osobistość i wola. Jest nieśmiertelna; nie niezmienna, bo musi owszem dążyć i rozwijać się coraz wyżej, i coraz wyżej (pomimo zboczeń i upadków chwilowych) dochodzić, ale wiecznie tasama. W tej myśli mówi Krasiński, że „dusza i ciało, to tylko dwa skrzydła, któremi czasu i przestrzeni sidła *Duch* mój rozcina“ — w tej myśli mówi dalej, że duch w swojej coraz wyższej drodze do Boga

„Ciała i dusze własne po za sobą,
„Sypie jak liście zżółkłe i strząśnięte,
„A sam wciąż żyje ich zgonów żałobą“.

Zbytecznie przypominać, że pojęcie to jest dowolne i niezgodne z tem, jakie nam o człowieku daje chrześciańska wiara. Katechizm uczy, że człowiek jest złożony z ciała i duszy, że dusza jest nieśmiertelna, a jej zbawienie celem naszego życia. W zwykłym użytku, kiedy mówimy o duchu ludzkim, lub o duchu pewnego oznaczonego człowieka, rozumiemy przez to słowo zbiór jego własności, zdolności, dążności intellektualnych; przez duszę, zbiór jego przymiotów skłonności i zasług moralnych. Mówimy zawsze tylko o zbawieniu duszy, nigdy o zbawieniu ducha. Jeden wciela się w nasze dzieła ziemskie, może się przez nie objawiać i być podziwianym do końca świata, jeżeli jego siły były wielkie;

druga jest nieśmiertelną naprawdę. Czy i jak rozróżnia Pismo święte i Kościół, nie wiemy. Widzimy tylko, że o duszy ludzkiej, kiedy o niej naucza lub za nią się modli, mówi zawsze *anima;* ale, że Duch święty nazywa się duchem *(Spiritus)* nie duszą, a *Duch Pański* (znowu nie dusza) unosił się nad wodami. Możnaby z tego wnosić, że Duchem nazywa się Duch absolutny, Boży; a duszą duch pochodny, stworzony, ograniczony choć nieśmiertelny. U niektórych filozofów starożytnych było rozróżnienie duszy i ducha: *ψυχη*, była to władza czy istota na pół duchowa a na pół fizyczna, która sprawia powolność ciała dla myśli i woli, i łączy funkcyę organów fizycznych z czynnością myślenia i uczucia. Krasiński doszedł do tego rozszczepienia istoty ludzkiej na trzy pierwiastki, może pierwotnie przez tę troistość jaką spotykał w Heglu; w Niemczech odżyła ta teorya w mistykujących przyrodnikach; następnie, kiedy zagłębiał się w rozmyślaniach nad Trójcą świętą, doszedł do przekonania, że troistość, skoro jest w Bogu, to musi być zasadą, musi być konieczną formą i pierwiastkiem wszystkiego, co ma życie duchowe, a więc przedewszystkiem istoty ludzkiej, człowieka jako jednostki. Jak zaś w Trójcy Bożej jedna osoba wyobrażała byt i moc, druga myśl i świadomość, a trzecia dopiero połączenie obojga, miłość i żywot (zupełny), tak w człowieku ciało odpowiada pierwiastkowi bytu, dusza pierwiastkowi myśli i świadomości, duch pierwiastkowi woli, nieśmiertelnej osobistości, doskonałego, wiecznego żywota [1]).

Jakież dalej życie i przeznaczenie człowieka?

W *Synu Cieniów* jest on zrazu nie oddzielony od natury, „rozbiera“ się pomału „z jej powicia“, walczy z nią i znosi tortury, aż dojdzie do świadomości siebie, i

„Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła“.

Dość wyraźnie *Syn Cieniów,* przyszły *duch żywy*, jest na-

---

[1]) Patrz rozdział VII. List do Małachowskiego z 7-go grudnia 1841, w którym Krasiński opisuje ten stosunek duszy do ducha.

przód i długo wcielony w stworzenia niższe, w nich się kształci i wyrabia. Rozróżnienia między stworzeniem rozumnem a nieświadomem niema; jestto tasama istota w różnych kształtach postępująca do coraz wyższego życia. W *Psalmie Miłości* „od kamienia Pan przemienia duchy stworzeń". „Głaz, kwiat, zwierzę, miały senny życia wszczątek", ale jednak jakiś duch być w nich musiał, skoro Pan „przemienia ich *duchy*". Wreszcie człowiek „ku niebu pnie głowę i do Aniołów piersią wzdycha". Do tych dwóch tekstów dodajmy niezliczone inne, w których Krasiński mówi o duchu ludzkim dochodzącym do godności anioła, (w *Synu Cieniów* o ludziach wychodzących na *bogi*, których nie należy brać za jedno z Bogiem), a dojdziemy do wniosku, że w jego pojęciu niema przerwy w łańcuchu stworzeń, że one wszystkie są stopniami i kształtami coraz wyższego i doskonalszego bytu. W stworzeniu martwem i nierozumnem niema ducha świadomego siebie, ale jest myśl Boża i zamiar Boży, który je doprowadza do pierwszej mety, do świadomości siebie, do człowieczeństwa. Tu możnaby zrobić tę uwagę, że choć myśl i wola Boża jest niewątpliwie w stworzeniu niemem, to tego zamiaru chyba niema, iżby to stworzenie stopniowym rozwojem dochodziło do rozumu i świadomości siebie, a znajdowało ją w człowieczeństwie. Gdyby bowiem tak być miało, to każdy kamień musiałby z czasem postępować na roślinę, każda roślina na zwierze, każde zwierze na człowieka. Inaczej niesprawiedliwość i krzywda względem tego individuum kamiennego, roślinnego czy zwierzęcego, któreby tego postępu nie odbyło — czyli niesprawiedliwość i niemiłosierdzie w Bogu.

Dość że mamy człowieka. Cóż się z nim dalej dzieje? jakie jego losy i jego przeznaczenia? Jak wyobraża sobie Krasiński to co człowiek doznaje przy śmierci, i jego stan po śmierci, znajdujemy opisanem w jednym z jego listów późniejszych (do Stanisława Koźmiana, 18-go lutego 1847). W cierpieniach swoich używał eteru; opowiada co wtedy doznawał i sądzi, że bardzo do tego podobnym musi być stan człowieka w chwili śmierci.

„Duch, miasto występowania pod obydwoma żywota „kierunkami, to jest pod ciała i duszy postacią, występować „tylko na czas pewien lub czasy pewne może pod jednym, „pod postacią duszy samej. To albowiem śmierć stanowi, „jeśli się ściśle pilnujesz Dogmatu, który ci dopiero żywot „powtórny, żywot wieczny zwiastuje pod warunkiem zmar„twychwstania, czyli przybrania innego, przemienionego „wprawdzie, .ależ ciała zawsze. Stan śmierci zależy na „ubytku, na bezmocy. Duch tylko dusznie, idealnie, pozba„wion rozwiniętych, wydłużonych z siebie organów ciała, „objawia się; albo, właściwie mówiąc nie objawia się, jeno „cicho i skrycie duma, cierpi, tęskni, wspomina lub spodziewa „się w sobie, na zewnątrz wszelkiego promienia i działalności „pozbawion. Stan śmierci jest odpromienieniem, jest przygasło„ścią, odżywotnieniem, wcale zaś nie odbytnieniem, odjeste„stwieniem. A jest, ogólnie mówiąc, niedokładnym i niezu„pełnym stanem, jest stanem przejścia, międzyaktem między „jednym a drugim żywotem, między pełnią planetarnego ży„cia a następną wiecznego. Zrazu uczuwasz najlżejszą lek„kość, ptasiejesz, szukasz kędy skrzydła twoje, wyciągasz „ramiona, które piórami się stały, czujesz, że mógłbyś przez „wszystkie drogi mleczne na przebój się przedrzeć, wszech„świat przejść i dojść aż do Pana Boga. Na tem pierwsza „chwila się kończy. Nagle, z nieśmiertelnej polotności, wpa„dasz jakoby w pobliże śmierci wiecznej, ciemności bez „miary, walących zewsząd ku tobie. Zdaje ci się, że twój „żywot przed tobą stoi, pod postacią widnokręgu z światła „błękitnego. Co chwila ciemności zalegają go szerzej. Dosko„nale wiesz, że to śmierć cię zajmuje, że to śmierć idzie. „Przytem przytomność masz wyborną, i do przytomnych cią„gle się odzywasz, tłomacząc im co się tobie wydarza. W miarę „jak ciemności coraz bardziej zachwytują ten widnokrąg, to „jest ciebie, ten widnokrąg istnienia twego żywotnego, tem „mniej obcować możesz z ideami lub wyobrażeniami, w tobie „samym będącemi o osobach ci znanych, drogich, o sprawach „ziemskich, nawet o Polsce. Stopniami, lud żyjący, zaludnia„jący ciebie, myśli twe, pieśni, pomysły, wyobrażenia, żądze,

„chęci, kochania, wstręty, wymierają. Odludniasz się, pusty-„niejesz, ścieśniasz się, skupiasz się w coraz drobniejszy, ale „zato też coraz twardszy punkt środkowy jaźni twej. Z dębu „stajesz się żołędzią, ale żołędzią czującą jak najdobitniej, „że przetrwa wieki wieków — i jeszcze wieki wieków! Sta-„jesz się kometą odogonioną, odgrzywioną, samem jądrem „komety się stajesz, ale jądrem przeświadczonem o wieczno-„trwałości swej. Czy mnie pojmujesz? Im bardziej tracisz „na powierzchni, tem głębisz się bardziej; im więcej na ży-„wotności, tem bardziej uczuwasz żeś *jest boś jest;* im bar-„dziej na możności obcowania z żywemi rojami, które w sta-„nie żywota składają ducha twego *ludność,* tem bardziej do-„chodzisz do przekonania, że ten duch w ostatecznem swem „odosobnieniu od wszechświata, sam sobie *nieśmiertelnym,* „*niezatracalnym, nieskończonym* jest. I ztąd wynika, że „kiedy już owe ciemności zaległy cię zupełnie, że kiedy „już nie możesz do otaczających słowa wyrzec, że kiedy wi-„dzisz i znasz oczywiście, że, po ludzku mówiąc, *oto śmierć,* „ty wcale o siebie nie troszczysz się, ni się lękasz śmierci „tej dla siebie, bo ani na chwilę ci się nie marzy żadne zni-„cestwienie ni odbytnienie; ale żal ci ogromny, że nie mo-„żesz tego ostatecznego odchodzenia i odrywania się od ży-„cia wypowiedzieć przytomnym. Rodu ludzkiego ci żal, że „nie będzie wiedział o tem! Cóż innego, ogólnie mówiąc, „może być w śmierci? Czy nie tosamo oderwanie od wszech-„świata, nie tensam stan bezmocy co do czynu, a potęgi co „do uczucia własnej nieśmiertelności? Dodaj do tego dla je-„dnych odpocznienie, dla drugich męki okropne, wyrzuty, „gorycze, dla innych nadzieje i marzenia, dla wszystkich zaś „powtarzam, brak obcowania z okręgami żywota, czy to ży-„wota drugich, czy żywota własnego“.

Życie na ziemi jest walką, trudem, często grzechem, zwykle bólem, cierniową drogą, którą ten duch przebyć musi, żeby na wyższe życie zasłużył. „W tem“, jak wiemy, „rozum Boży, że nas nie odrazu doskonałymi stworzył“, ale do doskonałości dotwarzać się kazał; a druga osoba Trójcy Bożej „nakazuje pracę, zasługę, postęp, kształcenie się“. Duch za-

tem, który jeszcze do swego ostatecznego kresu nie doszedł, musi się ciągle wyrabiać, doskonalić, kształcić, postępować.

Ten trud, ten postęp, to dobijanie się zasługi, nie kończą się z naszem życiem ziemskiem. Duch, kiedy „strząsnął z siebie ciało i duszę jak zżółkłe liście“ nie spoczywa, ale wyrabia się dalej. Jak Krasiński pojmuje to nasze zagrobowe życie, czy zgodnie z nauką Kościoła przypuszcza możność cierpienia, ale nie możność grzeszenia, lub też czy w tem życiu przyszłem duch może jeszcze upadać? tego z jego słów wyrozumieć nie można; jak nie można zmiarkować, czy on przypuszcza żywot powtarzający się na tej ziemi, w różnych ciałach, czyli metampsychozę, lub też próby i prace gdzieś na innych miejscach i innych warunkach. To pewna, że podług niego człowiek po życiu ziemskiem przebywa jeszcze cały szereg prac i prób nowych coraz wyższych, przez które dąży do żywota wiecznego, do Boga. Myśl ta została w nim na zawsze, skoro jeszcze w *Dniu Dzisiejszym* umierający błogosławi swoich towarzyszy „*wszystkiemi* memi w wszechświecie żywoty“. W pojęciu katolickiem czyściec jest miejscem czy czasem odpokutowania, zadośćuczynienia; ale jak się ono odbywa, czy obejmuje jakie stopnie i jakie, tego Kościół nie orzeka; uczy tylko, że tam już człowiek jest wolny i bezpieczny od złego, jego wola jest niezmiennie dobrą. Krasiński nie poprzestaje na tej wiadomości ogólnej; chce dojść jak to jest, co się z *duchem* dzieje, i widzi przed nim drogę prawie nieskończoną prób, walk i doskonałości coraz wyższej. W *Synu Cieniów* nazywa go „duchem nieszczęsnym lecz wolnym od złego;“ ale zaraz potem przepowiada mu, że „dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże“. Jak jedno z drugiem pogodzić? Jeżeli jest „wolny od złego“, to pokusa przeciw niemu bezsilna. Czy może ten duch zwyciężyć już musi, ale sam niema wiedzy i pewności tego zwycięztwa na to, żeby miał jego zasługę? Być może. W każdym razie duch przechodzi „przez czyśce zasługi, „w których „wdziewa i ciała i dusze bardziej promienne, aż wstąpi „w świat drugi“ *(Psalm Wiary)*. Jakiekolwiek są te czyścowe próby ducha, trudy, walki i tęsknoty — (o tęsknocie

mowa jest wyraźnie w *Synu Cieniów*, zapewne tęsknota do nieba a za przeszłem życiem, za wszystkiem co umiłowane a porzucone) — wszystko to są tylko pozory złego, bo koniec musi być dobry. „Ale złe przejściem, tylko pyłem drogi“. Dziecinnie zdaje nam się, że śmierć jest końcem, kiedy ona jest tylko przemianą, przejściem do wyższego życia. „Śmierci niema — Pan nie pomyślał jej nigdzie“, mówi *Niedokończony Poemat*; *Syn Cieniów* widzi „wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny“, a *Psalm Wiary* dodaje, że „grób i kolebka są potrzebne na niższych planetach, gdzie duch dopiero świta“. W tych więc żywotach wyższych, duch „porwany w coraz wyższe raje“ *(Syn Cieniów)*, leci „coraz dalej ku Panu, ku górze“; im bliżej jest Boga, tem lepiej widzi swoją od Niego odległość“ *(Psalm Wiary)*, śmierci już nie zna, już wyszedł na anioła, a poniekąd na Boga (i wszędzie bogi — *Syn Cieniów*), a jednak jeszcze tęskni, jeszcze dąży, jeszcze czuje, że mu czegoś brak, że nie jest skończony.

Jakiż będzie kres i kiedy dopełni się jego przeznaczenie? Oto jak go określa pismo o *Żywocie wiecznym*, przesłane Sołtanowi i Małachowskiemu:

„Zmysłowa część ducha ludzkiego upatruje niebo w prze-„szłości i zowie je Rajem, bo Raj był niebem dla ciała ludz-„kiego. Umysłowa zaś część Ducha upatruje Raj w przy-„szłości i zowie go niebem. Niebo chrześciańskiej epoki koń-„czące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest tym „Rajem pojętym przez myśl człowieczą. Duch zaś wszystek, „*Jaźń* cała, powinna się starać, by ten Ideał przeszłości i ten „przyszłości, zlały się w jedno wiecznie teraźniejsze życie! „Owa Teraźniejszość zarazem Rajska i Niebieska, Cielesna „i Myślna, zacznie się przy ciał Zmartwychwstaniu. To to, „co zowiemy Anielstwem. Raj, czyli doskonałość ciała, zlać „należy z niebem, czyli z doskonałością myśli, a wypadnie „doskonałość Ducha człowieczego, czyli *Przeanielenie!* stan, „w którym każda chwila teraźniejszości ma być już wielką, „świętą, wielmocną! *Raj* był apoteozą ciał, *Niebo* dusz; Du-„chów zaś przebóstwieniem będzie żywot wieczny, nieskoń-„czony, przemieniający się jeszcze, ale świadomie i wolnie,

„co chwila wyższy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej uczuty, „mądrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach upostacio- „wany. *Raj* był niebem na ziemi, *Niebo* rajem za ziemią, za „światem, gdzieści. *Żywot wieczny* Rajem jest i niebem za- „razem, wszędzie gdziekolwiek wszechświat, gdziekolwiek „Duch pański w rzeczywistej nieskończoności podzielonej na „skończone chwile, byty, stany, które przelewają się w siebie „coraz wyżej, chyżej, bez granicy, bez miary, bez końca, „a to przy zachowaniu nigdy nieprzerwanej świadomości. „*Żywot wieczny* jest tworzeniem ciągłem, postępowem, samych „siebie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga; jest „miłością, rozwijającą się coraz wyżej, naszą ku Bogu i Boga „przez tosamo ku nam! Bo historya i rozwój wszystkich „światów, to rozwój ich miłości ku Bogu! Coraz goręcej za- „kochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym „zarazem: Im Go lepiej znają, tem więcej kochają; im wię- „cej kochają, tem znają lepiej; im głębiej znają, im mocniej „kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo „Jego, czyli tem bardziej *czynią;* z miłości swej do niego „wciąż przeradzają się, rodzą się na nowo, idą w górę sami, „kształcą, budują, tworzą siebie samych doskonalej i wyżej, „i jak posągi Boże rosną w Bogu *in aeternum.*

„Oto ślub nieskończoności, oto niepokalane poczęcia po- „wtarzające się wciąż, oto rodzące się Syny Boże, postępowo „z siebie samych; oto Aniołów, Archaniołów, Serafów, wszyst- „kich Duchów coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Do grobu „nie schodzą ich kształty, ni też ich kształty ze zgniłości „wschodzą; ale wiją się i rozwijają i przetwarzają się z mocy „wewnętrznej, z Ducha własnego, który się już posiadł i opa- „nował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie „i zgodnie z wolą Bożą i rozumem Bożym działa, i cudami „żyje. Cud ich sposobem bycia. Natura nasza ziemska raczej „jest cudem niesforności i gmatwaniny; a to co zowiem *cu- „dem,* raczej naturą naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. „Kto z Boga, ten do Boga, i ten musi być po Bosku. „A bę- „dziecie jako Bogi“ rzekł wąż: biedny wąż! może myślał, że

„kłamie ludziom, a on im przepowiadał rzeczywisty ich cel! „I wyszli z Raju ludzie, i wyszli, i poszli, i dojdą!“

Takie pojęcie wyrobiło się ostatecznie, ale przechodziło i ono przez pewne przemiany.

W *Synu Cieniów* duch dochodzi do swego kresu wtedy, gdy pozna, że jest „z Panem nad Pany duch jeden i tensam; gdy przestanie mówić do Boga: „Ty Boże!“ gdy każda dusza na Boga wyrosła i siebie samą w Jego łono wniosła, gdy w każdej Bóg woła *Ja*, a oprócz niego niema i nic nie powstanie“. Podług tego, kresem przeznaczeń tego ducha byłoby jego zlanie się z Bogiem; nie zjednoczenie przez wolę i miłość, ale zlanie się przez utratę własnej odrębnej osobistości, skoro Bóg jeden mówi *Ja*, a prócz niego niema nikogo. W *Psalmie Wiary* wygląda to inaczej. Duchy oczyszczone, Anieli, żądają Boga i do Niego dążą miłością bez granic i w tem jest ich „życie bez końca“. Żyją nieśmiertelnie z Bogiem, w Jego wieczności, przez tę miłość tworzą ciągle jakieś coraz nowe, coraz doskonalsze światy (w *Psalmie Wiary*), „wieczne niebo w niebie“ (podług *Syna Cieniów*). Tę miłość oddają Bogu za to, co On dał im z łaski; tak są od Niego mniejsze, że oddając nieustannie nic oddać Mu nie mogą, i „żyją w Nim wiecznie przez wieczne kochanie“.

Kres więc przeznaczeń i ostateczne dopełnienie duchów ludzkich, niebo, zbawienie, żywot wieczny, i to jeszcze nie jest spoczynkiem; to jest ciągłem tworzeniem coraz większej szczęśliwości i coraz większej doskonałości, przez coraz większą miłość.

Tak więc rozumie Krasiński istotę i przeznaczenie człowieka. Czy jego wyobrażenie o życiu przyszłem jest trafne, oczywiście dochodzić i dowodzić byłoby próżno. Wystarczy stwierdzić, że między tem pojęciem w *Synu Cieniów*, a w *Psalmie wiary* zachodzi różnica nie mała i nie obojętna.

A Ludzkość? Skoro troistość jest w Bogu, skoro jest w człowieku, to nie może być inaczej, tylko tasama zasada musi być i objawiać się w życiu i dziejach zbiorowych ludzkiego rodu. Jak w Trójcy Bożej jest strona (czy osoba) Bytu

i strona Rozumu, czyli myśli, a połączeniem obu jest Miłość, jak w człowieku jest także Trójca na obraz i podobieństwo tamtej, ciało które wyobraża pierwiastek nieświadomego bytu, dusza (świadomość siebie) odpowiadająca Myśli (Słowu) w Trójcy Bożej, i duch przeznaczony do żywota wiecznego, który jest połączeniem bytu ze świadomością, jak w Bogu Miłość jest połączeniem Łaski z Rozumem, tak też i w dziejach ludzkości te trzy pierwiastki muszą się wcielić i objawić, owszem, one stanowią, one robią te dzieje.

Nie wiemy na pewno czy Krasiński w swoich rozmyślaniach nad temi kwestyami dostrzegł i zgłębiał naprzód Trójcę w Bogu, a od niej dopiero na jej wzór, dochodził do troistości w człowieku i w historyi, jako do odbicia i skutku tamtej; ale przypuszczać nam wolno, że myśl jego szła właśnie w przeciwnym, odwrotnym kierunku; że zaczął od troistości w ludzkości i w historyi, a doszedł do swojego rozumienia troistej jedności w Bogu. Zasadę i formę troistości znajdował w Heglu i znał ją oddawna; u Cieszkowskiego zobaczył ją (wbrew Heglowi), zastósowaną do dziejów ludzkich; myśl ta jak wiemy wywarła na nim wrażenie bardzo głębokie. Przyjął ją za prawdę i na jej podstawie zaczął rozmyślać dalej, stósować tę prawdę do innych przedmiotów, szukać troistości w człowieku, a dochodzić czem ona jest i jaką jest w istocie Boga. Jakkolwiekbądź zresztą, trzy osoby w Bogu, trzy pierwiastki i trzy stany w człowieku, muszą się odbijać w życiu ludzkości jako trzy główne epoki jej bytu na ziemi. Łasce i Mocy w Bogu odpowiada byt nieświadomy w stworzeniu. Rozumowi i Prawu w Bogu odpowiada świadomość prawa (i zasługa) w człowieku. Pomiędzy bytem przyrodzonym i zmysłowym człowieka, a jego myślą i świadomością prawa, jego sumieniem, jest często sprzeczność, rozbrat, walka, która powstaje wtedy dopiero, gdy ta świadomość już jest obudzona, gdy sądzi popędy i uczynki człowieka, gdy kieruje jego wolą i stawia ją przeciw wrodzonym skłonnościom i popędom jego natury. Z tej sprzeczności wynika, że życie człowieka jest ciągłą walką, a stan świadomości jest w nim *antitezą* prostego bytu. Jak zaś

w Bogu Miłość jest skojarzeniem Łaski z Rozumem i Prawem, tak w człowieku skojarzenie bytu z sumieniem przez wolną, siebie świadomą i dobrą wolę, jest przeznaczeniem jego ducha i początkiem jego żywota wiecznego. Tesame trzy pierwiastki, trzy stopnie, są w dziejach i przeznaczeniach ludzkości, jedne już objawione, dokonane w rzeczywistości, przeszłe lub obecnie będące, drugie mające nastąpić. Klucz i objaśnienie do tej strony pojęć Krasińskiego daje nam ten wykład historyi powszechnej jaki słyszy, ten examin jaki z niej zdaje Młodzieniec w *Niedokończonym Poemacie*, to jej widzenie jakie się przed nim przesuwa. „Ciało pogańskie wszelkie tęskniące do chrześcijańskiej duszy, aż dostąpiło objawu niebianki“: to starożytność, to ten pierwszy stan ludzkości, który odpowiada bytowi nieświadomemu. Organizmy polityczne i społeczne najprostsze (miasta greckie, monarchie wschodnie i rzymskie Państwo), nie pojmujące i nie uznające nic prócz siebie; w przeciwieństwie i nienawiści do wszystkiego, co było zewnątrz nich, a nie było niemi; to człowiek znający się człowiekiem i wolnym tylko jako obywatel swojej społeczności, bez niej pozbawiony wszelkiej podstawy i wszelkiej wolności, względem niej tylko poczuwający się do jakiegoś obowiązku; to wreszcie widome skutki sił działających w naturze (rzadziej te siły same), uważane za bogów, ubóstwione. Wśród tego jeden lud znający Boga, ale znający go głównie „Gniewu Panem“, a w sobie samym bardziej niż wszystkie inne zamknięty i wyłączny, lud żydowski. W świecie pogańskim, w wybranych i najwyższych, mętne wspomnienie, niejasne przeczucie, tęskne pragnienie Prawdy i Boga, u Chaldejczyków objawiające się jako symboliczna cześć światła, u Egipcyan jako cześć i miłość nieśmiertelności; dążenie stopniowe, dochodzące w Grecyi a mianowicie w Platonie, najwyżej jak o własnych siłach, bez pomocy objawienia dojść mogło.

W tym pierwszym stanie, w tej pierwszej epoce jest także ciągły postęp, ciągłe zbliżanie się do prawdy, ale postęp który do mety prawdziwej dojść nie mógł, bo dążył do niej przyrodzonemi tylko, ludzkiemi, siłami i środkami.

Następuje przyjście i objawienie Chrystusa Pana, „nowa dziejów część, nowe próby ludzkości".

„Widziałem rój myśli świętych rozwieszony nad światem, lecz nie zstępowały na dół".

Starożytność była w swoim zakresie jednolitą, była w równowadze nie w rozterce, jak jednolitym i w równowadze jest byt nieświadomego stworzenia. Ale jak w człowieku zaczyna się walka między popędami natury a prawami sumienia, od chwili jak poczęła się świadomość tych praw, tak i w dziejach ludzkości z przyjściem Chrystusa, z objawieniem Jego Zakonu, musiała począć się walka tasama między ciałem a duszą, między naturą a sumieniem. Chrześcijaństwo przyniosło ideał do urzeczywistnienia trudny, a podobny do urzeczywistnienia po długich tylko wiekach i trudach. Natura ludzka musiała mu się opierać, musiała wszelkiemi siłami odpychać to Prawo poświęcenia się i miłości, twarde dla jej popędów, żądz, czy upodobań. Ztąd konieczna i nieunikniona walka, która jest samą treścią dziejów naszej ery; ale tych dziejów także zasługą i wielkością. Skutkiem tej walki bowiem jest ciągły i nieustanny postęp, ciągły pochód ludzkości w górę, ciągłe zwycięztwo jakiegoś złego jednego, po którem następuje walka z drugiem i nowe zwycięztwo, i tak dalej aż do końca. W trudzie i ucisku walki, w strasznem a częstem (choć zawsze tylko chwilowem) zwycięztwie złego, ludzie współcześni nie mogą czuć ani widzieć tego postępu; a jednak on jest i w końcu doprowadzi ludzkość do tego kresu, od którego pocznie się zjednoczenie jej zbiorowej woli z wolą Boga. W starożytnym świecie ciało tęskniło za chrześcijańską duszą, w naszym „widzi ją nad „sobą, ale nie może ściągnąć jej do piersi. Więc zaczną pła-„kać, zgrzytać, więc i krwią pluskać. Wszędzie rozłam i roz-„łam i rozstrój; cząstki tylko, a każda nienawistna drugiej, „we wszystkość zsamolubić się chce, wytępiając inne". Sama idealna społeczność Kościoła, która wskazywała ludzkości ostateczny cel, i jednostronną się stawała, i ulegała sama wpływowi ludkiej natury; „deptając po ciele, sam rósł w ciało". Naprzeciw niego ziemski, świecki porządek rzeczy

nie chce poddać się temu panowaniu i sobie moc najwyższą przypisuje; to wieki średnie, to walki władzy świeckiej z Kościołem, to jego samego upadki lub walki w jego łonie, to wreszcie Reformacya, rewolucya religijna, matka i głowa wszystkich późniejszych świeckich, a w ślad za nią wszechwładztwo Państwa; i znowu ideał nie osiągnięty, chrześcijańska dusza nie wstąpiła w zbiorowe ciało ludzkości.

I znowu tasama, coraz gorętsza, coraz silniejsza za nią tęsknota. „W fałszu użytych środków, ale w prawdzie tęsknoty wiecznej“ dąży ludzkość do swego celu, do królestwa Bożego, królestwa sprawiedliwości i wolności ziemi. Tę prawdę tęsknoty za czemś wyższem, a fałsz środków, któremi działać chcieli, wyobrażają w *Niedokończonym Poemacie* Albigensowie, Templaryusze i inni, aż do Wolnych Mularzy i Rewolucyi francuskiej. A skutek, a koniec tych wieków, nasz stan dzisiejszy? to „żądz kałuża. Martwo, ciemno, podle. Mierność i złość siódmym dniem człowieczeństwa“.

Czyż na tem ma się skończyć? Nie. Wszystkie te wieki to epoka przejścia tylko; i dlatego, że przejściowa, taka bolesna i ciężka. Ale po niej nastąpić musi stan wyższy. Jak jeden duch ludzki przez ziemskie i czyścowe zasługi dochodzi do żywota wiecznego, tak i ród ludzki przez swoje uciski i postępy musi dojść do swego dopełnienia, do swego kresu, którem jest królestwo Boże na ziemi — na ziemi, bo tylko indywidualny duch ludzki ma nieśmiertelność po za ziemią; ród ludzki niema jednego zbiorowego ducha, któryby miał być zbawionym, jego dzieje kończą się na tej ziemi, jego przeznaczenie musi na niej być spełnionem. Czemże będzie to królestwo Boże na ziemi? W Trójcy Bożej Duch św. jest połączeniem Ojca i Syna — Łaski i Prawa — Bytu i Myśli, przez Miłość. W człowieku żywot wieczny ducha jest znowu połączeniem, zgodnością, bytu i świadomości w wolnej, doskonałej woli. W dziejach ludzkości więc, które są tamtych dwóch trójc odbiciem i powtórzeniem, dopełnieniem przeznaczeń, kresem ostatecznym, musi być znowu takie harmonijne zgodzenie, połączenie dwóch pierwiastków różnych, Bytu i Sumienia przez wolę wolną dobrowolnie zgodną

z wolą Bożą. Pragnienie tego stanu, tęsknota za tą harmonią były zawsze przez cały ciąg wieków; w środkach tylko błądziły, albo rwały się przed czasem i chciały zbierać owoce przed ich dojrzeniem. Dziś poznanie tego prawa, tego przeznaczenia ludzkości, świadomość, że taki stan jest jej celem i kresem, są wyraźniejsze i silniejsze niż kiedykolwiek. A za świadomością rozwiniętą i dojrzałą, następuje zawsze i rychło urzeczywistnienie tej rozpowszechnionej idei. W tem oznaka i nadzieja, że zmiana czasów, zmiana epoki jest niedaleka.

Wieki ery chrześciańskiej są dla ludzkości takim stanem cierpienia i niedopełnienia, jakim jest dla ludzkiego ducha żywot ziemski i czyścowy; epoka następna ma być dla ludzkości tem, czem dla jednego ducha żywot wieczny — (oczywiście bez wieczności). Na czemże będzie się zasadzać, czem będzie ta trzecia epoka dziejów, ta epoka Ducha św., o której Krasiński mówi ciągle we wszystkich swoich odtąd dziełach?

Będzie harmonią, zgodnością woli ludzkiej z wolą i prawem Bożem; będzie zastósowaniem i wykonaniem dobrowolnem tego prawa we wszystkich stosunkach i czynnościach. „I w izbie poselskiej, i na trybunale, i w kole wyborców, i w kole wybranych, i na stolicy władnej, i na rynku pospolitym, i w rękodzielni, i na giełdzie, i w sztuce każdej, i w umiejętności każdej, Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi. Każdy trud w posłannictwo, każdy urząd w kapłaństwo się zmieni“. A *Psalm Wiary* dodaje:

Chrystus wciąż w Tobie mieszka o Ludzkości!
Stanie się tobie, co się stało Jemu.

Jego życie jest figurą i przepowiednią jej życia, musi i ona przejść „przez trud i męczeństwo“; ale musi także, skoro Wniebowstąpienia dla niej niema „nim los jej ziemski w pełni się dokona“, dostąpić chwały Przemienienia.

„Zostawisz w dole szatańskie niewoli
„Zostawisz w dole kłamstwa opętanie

„A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
„I serca wieczną nieskończoną miłość.

Jak się to stanie? Czy epoka Ducha św. nastąpi po nowem jakiemś objawieniu? czy Duch św. założy nowy zakon mający się do Chrystusowego, jak tamten do Mojżeszowego? Nie. Ta obietnica zesłania Ducha Pocieszyciela, na której opiera się cała ta część nauki Krasińskiego, którą tłomaczy Prezes w *Niedokończonym Poemacie*, mówi, że „Duch mnie *uwielbi*, bo z *mego weźmie*, a opowie wam". Duch więc nie doda nic, nie przyniesie nic nowego; tylko oświeci nas o tyle, że objawioną prawdę zrozumiemy lepiej i rzetelniej zechcemy ją w życiu stósować. „Trzeci wylew" łaski i prawdy Bożej, będzie tylko lepszem zrozumieniem objawienia. „Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, czyn sam (tego wykonania) będzie pocieszycielem". Oto komentarz, jaki do przepowiedni daje ów Prezes, mówiący oczywiście to, co w samej głębi swego przekonania myśli poeta. Ten pocieszyciel, ten nowy wylew łaski jest gotów i logicznie przyjść powinien; ale nie przyjdzie, „jeżeli go sami nie wysłużym, nie wypracujem, nie wyczynim. Jeżeli sami siebie nie przeołtarzym Jemu, on nie zaświeci nam, i nie pocieszeni zostaniemy".

Tak pojmuje Krasiński „godzinę dopełnicielkę", trzecią dobę bytu ludzkości, epokę Ducha św. Co do jej przyjścia jako warunkową, zależną od naszej woli i zasługi: co do treści jako lepsze zrozumienie i jako wykonanie objawienia Chrystusowego; co do skutków jako pokój i zgodę w ludzkości, jako królestwo Boże na ziemi, przez zgodność woli ludzkiej z wolą bożą. Na innem miejscu mówi on, że to będzie urzeczywistniony „Kościół powszechny", którego dotąd mamy tylko idealne pojęcie, przykazanie i pragnienie.

A jakąż drogą, jakim sposobem dojdzie ludzkość do tego przeznaczenia? „Gdzie członki tego ciała, w którem jeden Duch?"

Do dnia tego wiodące tu schody,
To w łasce Twojej poczęte narody.

Garść im powołań sypnąłeś z wysoka,
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka.

One są „barwami tęczy, z których ta biała światłość powstaje“, ale choć wszystkie łączą się z sobą harmonijnie w tej jedności, to każda z tych barw zostaje sobą, istoty ani cechy stwojej nie traci. Podług Krasińskiego, narody jedne są „z bożej łaski“ — państwa są tworem ludzkim. Te przemijają i upadają; tamte, jeżeli doszły do świadomości swojej, jeżeli czują, że Bóg w myśli swojej na coś je przeznaczył, jeżeli stopniowo poznają to przeznaczenie, i jeżeli je pełnić chcą, jeżeli to poznanie i wykonanie myśli bożej o nich jest samem rdzeniem i duszą ich świadomości siebie i ich miłości siebie (swojej ojczyzny), takie narody nie giną, jakiekolwiek byłyby ich losy i ich nieszczęścia. „Od przyjścia „Chrystusa żaden lud, który się stał narodem“ (który do tego poznania przyszedł), „nie ginie“. Może upaść, może się zdawać zgubionym, ale dopóki nie zatraci tej świadomośei i temu posłannictwu się nie sprzeniewierzy, żyć będzie i znajdzie w przyszłości porę i sposobność do odzyskania powtórnego materyalnego cielesnego bytu. Takie narody, pełniące swoją służbę i powołanie, zachowujące miłość swojej odrębnej zbiorowej istoty, ale mające także miłość i sprawiedliwość dla wszystkich innych, to jest ta forma, którą przybierze ludzkość w najwyższej epoce swego rozwoju; którą obmyślił i przeznaczył dla niej Bóg, w której ma oddawać mu chwałę i swoją zbiorową wolę z Jego wolą jednoczyć. Narodowość, uczucie, świadomość, miłość swojej odrębnej zbiorowej istności, była potrzebnym, a jest wysokim stopniem w kolejnym postępie ludzkości. Starożytność czuła i znała miłość ojczyzny filozoficznie tylko; Materyalnie, przywiązanie do miasta czy ziemi i poświęcenie dla Państwa; narodów starożytność nie znała, tylko plemiona, kasty, miasta, albo stany jednem państwem objęte. Wieki średnie znały książąt i ziemię, znały poddanych i stany, nie miały uczucia narodowości. Wyrobione w nowszych wiekach, jest ono wielkim postępem, krokiem naprzód ku urzeczywistnieniu myśli bożej o ludz-

kości, ale krokiem niezupełnym i dalekim od celu, jak długo ta narodowa świadomość pomieszana jest z nienawiścią drugiego narodu, z jego krzywdą, z zazdrością i pożądaniem, czy jego własności, czy jego pomyślności. Dopiero gdy to ustanie, gdy świadomość i miłość siebie, jako narodu, połączy się w każdym z nich z dobrą wolą względem narodów innych, dopiero wtedy będą one zdolne i godne wejść w wyższy stopień bytu ludzkości, spełnić swoje przeznaczenie.

Ale jakże one znowu, jakim sposobem mogą podnieść się na ten stopień wyższy? Przypomnijmny sobie dwa pewniki Krasińskiego z jego rozumowań poprzednich: życie ludzkości jest odbiciem życia Chrystusa Pana, i drugi, że przez to przejście, które nam wydaje się śmiercią, dochodzi się do wyższego kształtu i wyższego żywota. Chrystus musiał umrzeć, zanim w ciele uwielbionem zmartwychwstał i wstąpił na niebiosa; duch ludzki przez śmierć ciała przechodzi do czyścowego, a następnie do wiecznego żywota. W życiu ludzkości musi coś podobnego zachodzić; musi być tensam warunek, tosamo prawo przejścia przez śmierć do lepszego życia. Ale czyż ludzkość cała może tak na jakiś czas zamrzeć, choćby pozornie, na to, by potem powstała odrodzona? Oczywiście nie. Jakaś jej część tylko musi odbyć to przejście; nie za całość jako ofiara, tylko jako figura i typ tej całości. Jak zaś duch ludzki przez czyścowe pokuty i próby dochodzi do swojej doskonałości, do zjednoczenia swojej woli z wolą Boga, tak i owa część ludzkości, która tę czyściową próbę odbyła, jeżeli w niej i przez nią wyrobiła w sobie wyższą świadomość swego powołania, większą miłość i sprawiedliwość względem drugich, i doskonalszą wolę, ściśle i stale zgodną z wolą Boga, wtedy ta część ludzkości, ten jeden naród podniesie się na stopień wyższy, wyjdzie z próby przemieniony, stanie się dla drugich wzorem dobrego zrozumienia powołań i przeznaczeń, „wyższego w ludziach pojęcia o Bogu, większej miłości i braterstwa“, a przez to stanie się na tę szczęśliwszą przyszłą epokę wzorem dla narodów innych, narodem naczelnym, podług którego drugie kształcić będą swoją cywilizacyę, jego śladem dążyć do

coraz doskonalszej miłości i szczęśliwości. To będzie tego narodu nagrodą za przebyte cierpienia.

Tak rozumié Krasiński tę *próbę grobu*, która jest jednym z jego filozoficznych pewników, która występuje już (choć niewyraźnie) w *Irydionie*, potem w *Śnie Cezary* i w końcowej obietnicy *Legendy*, a odtąd występuje coraz wyraźniej w *Przedświcie*, w *Psalmach* i w *Niedokończonym Poemacie*.

Pewnik ten zastósowany jest do Polski. Ona jest tą częścią ludzkości, która przez *próbę grobu*, przez pozorną materyalną śmierć, ma dla siebie, a pośrednio dla wszystkich, wyrobić wyższe pojęcie przeznaczeń ludzkości woli bożej w historyi, a następnie dążyć do ich urzeczywistnienia. Dlaczego ona właśnie? co wskazuje, że taka jest myśl i wola boża względem niej, co daje jej niejako prawo do takiego przeznaczenia, i jakie są warunki do spełnienia tych przeznaczeń? to zobaczymy później, przy *Przedświcie* i przy *Psalmach*; przystósowanie praktyczne (jeżeli można się tak wyrazić) filozoficznej myśli Krasińskiego do jednego szczególnego przypadku, do jego ojczyzny, niech zostanie na później. Na teraz chodziło o przedstawienie tej jego myśli teoretycznej, zagadnień i twierdzeń natury ogólnej, o jego pojęcie Boga, człowieka, i ludzkości, i ich wzajemnego stosunku.

Przedstawienie niniejsze, niedostateczne zapewne, niezupełne, a bardzo być może, że i nieudolne, nie jest jednak niedokładnem i niewiernem. Było ono potrzebne do łatwiejszego zrozumienia tych dzieł Krasińskiego, które teraz z kolei nastąpią; dlatego, czegokolwiek mu braknie, przydatnem przecież być może.

W krytykę tej filozofii wdawać się nie myślimy, bo nie możemy. Ani pod względem teologicznym, ani pod filozoficznym roztrząsać jej nie czujemy się w prawie, ani na siłach. Poprzestajemy więc na tych spostrzeżeniach i uwagach, jakie sam zdrowy rozsądek każdemu nasunąć i poddać musi.

Pierwsza jest ta, że cały ten system filozoficzny Krasińskiego jest objawem i skutkiem tego stanu niepewności i oczekiwania, sprzeczności między stanem świata a sumie-

niem ludzkiem, i pragnienia, żeby ta sprzeczność była usuniętą i znikła, z jakich wyszła część bardzo znaczna europejskich poezyi, i nawet europejskiej historyi w pierwszej połowie naszego wieku, z jakiej wyszła cała niemal poezya i historya polska w latach emigracyjnych. Krasiński (jak Mickiewicz i inni), jest u nas w Polsce wyrazem tych „ducha ludzkiego duszności“, któremi dręczył się już Byron, które wulkanicznie wstrząsały literaturą i historyą Włoch, które we Francyi wydały Montalemberta i Lacordaira, i z drugiej strony Lammenaisgo; które uciskały nasz świat tak powszechnie, że nawet aż w Rosyi znalazły echo w marzeniach Słowianofilów. Jestto grunt wspólny, który wydał plony najrozmaitsze, od najściślej katolickich do mistycznych, heretyckich, i do zupełnie bezbożnych we względzie religijnym, od ślepo legitymistycznych przez wszystkie stopnie pośrednie, aż do ślepo i skrajnie rewolucyjnych. Że u nas ta sprzeczność rzeczywistości z sumieniem objawiła się najzupełniej i dała uczuć najboleśniej, a przeto musiała nas wstrząsnąć najgłębiej i na objawy naszej myśli wpłynąć najsilniej, to zbyt wiadome i do pojęcia łatwe, iżby jeszcze trzeba było tłómaczyć. System filozoficzny Krasińskiego i jego poezya wypłynęły z tegosamego źródła, co Mickiewicza *Trzecia Część Dziadów*, *Księgi Pielgrzymstwa*, a wreszcie Messyanizm, co cała z nich poczęta lub z niemi połączona literatura.

Źródło jest wspólne, oczekiwanie przyszłości jest podobne; ale koryto, którem popłynęły myśli Krasińskiego jest inne. On przedewszystkiem jest filozoficzny, a nie jest mistyczny. Może się to wydać dziwnem, skoro dotąd mówiąc o Krasińskim, posługujemy się niebacznie tem słowem; przecie nie można nazwać mistykiem człowieka, który do swoich przekonań rozumowaniem logicznie dochodzi, i rozumowo niemal syllogistycznie ich dowodzi. Powtóre, nie można nazwać mistykiem takiego, który we wszelkiem działaniu ludzkiem wolę i łaskę bożą przypuszcza i widzi, ale który właśnie nie przypuszcza i nie wygląda jej działania wyjątkowego, anormalnego, cudownego. Cudem jest cały byt i rząd świata,

ale to cud, ujęty w prawa i reguły; a wszystko, co się pod tym rządem na świecie dzieje, jest skutkiem wolnej woli ludzkiej tyle, ile łaski bożej. Wszystko musi się dziać zasługą. Wszystko, co lepsze, musi być wysłużonem, wypracowanem. Z tego wynika, że na polu wypadków politycznych także, naturalny bieg rzeczy musi iść swoim powolnym torem, a nie skokiem, ani cudem, czyli bezpośrednią interwencyą mocy i łaski bożej.

Dalej, pod względem religijnym, Krasiński nie oczekuje ani przypuszcza nowego objawienia. To, co nazywa epoką Ducha św. w dziejach ludzkości i w dziejach Kościoła, to ma się zasadzać na lepszem zrozumieniu i na wykonaniu praw Chrystusowych. Istota religii ani ma, ani potrzebuje, ani może się zmienić. Organa ludzkie Kościoła mogą w przyszłej epoce dojść do lepszego rozumienia i pełnienia woli bożej, ale Kościół jako taki zostaje czem jest, i zmienić się nie może.

Dalej, nie próbując sądzić i sprawdzać axiomatów Krasińskiego, stwierdzić w nich trzeba dwa pierwiastki widoczne: szlachetną wzniosłość uczucia i myśli w treści, a wielką ścisłość i trzeźwość rozumowania w dowodach. Czy istota i stosunek trzech osób Trójcy Bożej są takie, jak on myśli, czy przyszłe życie człowieka jest takie, jak on sobie wyobraża, sprawdzić nie możemy; nie możemy też wiedzieć, czy przyszła epoka historyi będzie taką, jaką według niego być powinna; ale to wiemy, że takiej pragnie, że takiej się spodziewa, taką pojmuje, wszelki umysł rozumny a kierowany zdrowem sumieniem i chrześciańskiem pojęciem życia. To też widzimy, że jego filozofia, prawdziwa czy mylna, jest filozofią w istotnem znaczeniu tego słowa. Obejmuje wszystkie główne przedmioty i zagadnienia ludzkiej myśli, i wszystkie określa, na wszystkie odpowiada, za pomocą jednej zasadniczej prawdy, która we wszystkich zjawiskach jest, tylko w innych formach i postaciach. Nie wchodząc w to, czy ta prawda jest dobrze i trafnie znaleziona, odkryta, nie można zaprzeczyć, że przeprowadzona i dowodzona jest dobrze; że Krasiński nie stósuje i nie na-

ciąga zjawisk i faktów do wymyślonej dowolnie teoretycznej doktryny, ale że zasadę swoją rzeczywiście w zjawiskach i faktach znajduje, i z tych ją wywodzi. Trafny czy mylny, system jest w jego filozofii całkowity, wyrobiony, przedstawiający mało (jeżeli jakie) szpar i szczelin w swojej budowie.

Chwila, w której Krasiński doszedł do zbudowania i wykończenia tego systemu, była w jego poetycznym zawodzie bardzo ważną, stanowczą i zwrotną. Poezya dotąd allegoryczna głównie, staje się odtąd dogmatyczną, politycznie dydaktyczną i otwarcie tendencyjną, przez to politycznie okolicznościową, jeżeli się tak można wyrazić. Było w tem niewątpliwie niebezpieczeństwo, a poniekąd szkoda dla jej poetycznego charakteru. Ale wynika to tak logicznie i koniecznie z całego stanu narodu, ze stanu literatury i wreszcie z usposobienia tego poety, że inaczej być nie mogło. Od chwili, jak sam doszedł do tego, co miał za pewną prawdę, wyciśniętą z samej głębi istoty i historyi ludzkiej, za prawdę zbawczą dla swego narodu, za wskazówkę, wiodącą go na drogę lepszej przyszłości, nie mógł on nic innego chcieć, nic innego robić, tylko tę prawdę ogłosić, ten drogoskaz wśród naszych błędnych manowców postawić.

Zaledwo też ustaliły się jego pojęcia, przekonania i wierzenia, zaraz zaczęły tworzyć się w jego myśli pierwsze zarody *Przedświtu.*

Zanim do niego przyjdziemy, przypomnijmy sobie ciąg zdarzeń, jakie w życiu poety zaszły między ustaleniem się tych pojęć, na których opiera się *Przedświt*, a jego ogłoszeniem.

II.

Koniec roku 1840. Wiersze miłosne i patryotyczne. Zima w Rzymie. Wyjazd w usposobieniu ponurem. Pobyt w Karlsbadzie. Przyrzeczenie ożenienia się. Fałszywe położenie. Jesień i zima w Monachium. Oczekiwanie nowej epoki. List do Słowackiego o Towiańskim. Początek zmiany w ich przyjaźni. Choroba i śmierć Danielewicza. Pobyt w Szwajcaryi. Wiersz Fryburg. Początki *Przedświtu*. Spotkanie z Gaszyńskim. Zima w Rzymie. *Przedświt* w druku. Wyjazd z Rzymu na ślub. *Przedświt* wydany.

Zostawiliśmy Krasińskiego w jesieni roku 1840 w uniesieniach namiętnej i szczęśliwej miłości. Stanisław Małachowski mówi *(Krótki Rys życia i pism Z. Krasińskiego)*, że późnem latem, w drodze ze Szwajcaryi do Włoch, przebywał Krasiński dłużej w miasteczku Varenna nad jeziorem Como, że „piękność miejsca, zdrowie lepsze, i stan umysłu „sprzyjający, wzbudziły też silne poetyczne natchnienie. Tam „wziął początek *Przedświt*“. A więc zapytanie: „Czy pamię„tasz nad Alp śniegiem rozwieszone Włoch błękity“, odnosi się do tych paru (czy kilku) tygodni spędzonych wtedy „nad „jeziora włoskim brzegiem“. Ale choć zbierają się już wrażenia na *Przedświt* i dojrzewają myśli *Przedświtu*, to do niego jeszcze dość daleko. Miłość tymczasem panuje w sercu poety i odzywa się potężnemi, wspaniałemi tonami.

Z Sorrento datuje on swoje listy we wrześniu roku 1840 — tam więc zapewne odezwała się ta pieśń szczęścia, wybuchnął ten szał natchnienia, który się zaczyna od słów:

„Ja was wyzywam, duchy i anieli“.

Nigdy — przynajmniej nigdy w poezyi polskiej — miłość nie była dumniejszą z siebie i ze swego szczęścia, nigdy nie uderzyła w taki ton tryumfu, nigdy nie powiedziała tak śmiało, że gdzie ona jest, tam samo nieszczęście i cały ucisk świata traci swoje prawo, bo ona ma moc przetworzenia świata, stworzenia szczęścia choćby na samem dnie rozpaczy. To jest miłość, która tę swoją moc czuje, która się jej przygląda z rozkoszą, która na nią liczy z pewnością; urąga

cierpieniu, bo nad niem panuje — urąga tym, co cierpieć nie mogą, bo nie mają nad czem panować.

I dalej tymsamym tonem tryumfu dowodzi im, że niema im czego zazdrościć, choć na smutnej ziemi żyje, bo może kochać, bo kocha, a wtedy

Duch mój cierpi, lecz do was dosięga
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję,
Niż wy — gwiazd pany — za szczęście wieczności!

Równego wyrazu miłości wszechwładnej, sobą szczęśliwej i na sobie przestającej, miłości, która staje się wszystkiem, miłości absolutnej, namiętności dochodzącej do ideału, jeszcze raz, w naszej poezyi podobno niema.

Znana jest Krasińskiego skłonność do fantazyowania o swojej własnej śmierci. W listach często odzywa się to niby przeczucie; w poematach, w *Ostatnim,* w *Dniu dzisiejszym* grało ono swoją rolę przy tworzeniu. Z tego uczucia, z tego wyobrażania sobie swojej śmierci (lub tego co będzie po jego śmierci) powstały znowu dwa wiersze do kochanki. Jeden, późniejszy, z r. 1841, bardzo ładny, daje jej tylko pogrzebowe polecenia, przykazuje, jak go ma pochować, jakie na grobie zasadzić

Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów polskich pamiątkę konwalię —

ale drugi (z roku 1840), *Po śmierci,* powstał z dziwniejszej i bardziej fantastycznej myśli. On umarł, ona została sama, i wieczorem, piętrami ciemnego ogrodu, schodzi modlić się i dumać; staje w żałobie jak posąg, a wtedy duch jego przyjdzie, będzie tuż koło niej, a tem nieszczęśliwszy, że ani jej się objawić, ani do niej przemówić nie może.

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie,
Ty mnie nie widzisz...
Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie.
Lecz darmo proszę...

I smętny wracam w niebieskie tortury,
W nieskończoności pusto mi jak w grobie.

I w przepysznych, coraz pyszniejszych wierszach opowiada, jak całe niebo ma za nic, dopóki musi

Ciebie jednej czekać.

Znowu jedno z najwyższych natchnień naszej poezyi miłosnej; a ten kochanek, który swój byt pośmiertny marzy i opisuje, ta samotna, co stopniami tarasów schodzi do ogrodu (a którą czytelnik posądza, że spogląda i uważa, czy fałdy jej draperyi dobrze po tych stopniach spływają), budzą w pamięci przypomnienie trochę złośliwych, ale mimoto i prawdziwych i poetycznych wizerunków Fantazego i Idalii w *Niepoprawnych* Słowackiego.

Nie *Po śmierci*, ale o śmierci także ten wiersz *nad morzem na skale*, w którym poeta bliski zgon przeczuwa, ale go nie chce, wyprasza się; boi się dalszego życia, ale bardziej boi się ją zmartwić.

A jednak, jednak, ja tu się zostanę —
Dopóki żyją moi ukochani.

Ale obok miłości i w samych miłosnych uniesieniach odzywają się inne pierwiastki życia tych obu dusz. On poeta, ona, organizacya niezwykle artystyczna; rzecz najprostsza i konieczna, że rozmowy o poezyi i sztuce musiały być między nimi częste. Jego poetyczny gieniusz, jej śpiew, z pewnością działały jak potężny czar, i do tej miłości przyczyniły się wiele. Wiadomo także, jaką on ma skłonność i władzę filozoficznego rozmyślania i dociekania. Ztąd oczywiście powstał wiersz, który, ile wnosić można, miał podług jego zamiaru wykładać jej naturę i istotę ducha, ale zarazem i tajemnicę poetycznego czy artystycznego tworzenia, tę operacyę, ten proces, który się w duchu poety przy tworzeniu odbywa:

Myślałem nieraz — przez znak dotykalny
Wyrazić tobie ten świat idealny,
Cudowny, skryty, własny twego ducha,
Zkąd życie twoje co chwila wybucha —

Zaczął, napisał wstęp, który zapowiada coś głębokiego i wspaniałego, i urwał. Czy określenie było za trudne? czy zapomniał i zaniechał? Wiersz został fragmentem, a ztąd powodem do wielkiego żalu.

Jakieżby inne wiersze do tych lat zaliczyć? Ze znaczniejszych dwa noszą datę r. 1841, jeden opatrzony tytułem *do Moskali*, drugi bez żadnego, zaczynający się od słów:

„Im dalej idę, tem się okolica
„Młodości mojej bardziej rozsmętniwa".

Oba nie mają nic wspólnego z miłością kobiety; oba mają źródło swego natchnienia w miłości ojczyzny, tylko ta miłość przemawia z nich innym tonem, namiętnej nienawiści i pogardy. Wiadomo, że w rzędzie tych poetów, którym „indygnacya robiła wiersz" Krasiński należy do najpotężniejszych w oburzeniu. Podobny tem jest do swego wielkiego mistrza Dantego, że nigdy może jego styl nie jest tak potężnym i jędrnym, jak kiedy gromi lub gardzi; *inwektywa* ma u niego moc wyjątkową i nieporównaną, wybija dwoma słowami piętno wiecznej hańby na miedzianych czołach, albo wali na ziemię i zakopuje nieprzyjaciela w prochu upodlenia. Wiersz *do Moskali,* poczęty w przywidzeniu końca gdzieś w więzieniu, lub na Sybirze (które to przywidzenie było u niego stałem), pisany jest dalej w tem uczuciu, które natchnęło Wallenroda, a z wyjątkiem Wallenroda nigdy może nie wybuchło silniej jak tu. Ta nienawiść nieprzyjaciela, która zostaje ostatniem i jedynem dobrem, której on strzeże jak swego skarbu i swego obowiązku, której nie oddałby za nic, ani za wszechwiedzę złego i dobrego nawet, a „sprzedałby chyba za polską koronę" — to godność, która „hańby nie

chce, a nie umie trwogi", to jedna z rzeczy najsilniejszych, najbardziej namiętnych, jakie są w naszej poezyi. A jak w tym wierszu nienawiść, tak w drugim wybucha wściekle pogarda. Temu możnaby dać tytuł *do Lichych Polaków*, bo ich to druzgoce i miażdży ta pogarda. Wiersz jest na hypokrytów i faryzeuszów miłości ojczyzny; hypokrytów wszelkiego gatunku, umiarkowanych jak rewolucyjnych i radykalnych, a jeden jak drugi gatunek opisany z siłą, którejby się sam Dante nie powstydził. Wspaniały jest w swojej ironii obraz tego *Cnego obywatela,* któremu na grobie położą szumny napis, a który za życia

„w stutysięczne gnie się tłómaczenia
Że syn niewoli, dziedzic poniżenia

i

„trzos swój zabiera do trumny
Polsce jednego nie dawszy talara".

A tensam, lub inny faryzeusz publicznego ducha

„może być cudem dla głupiej gawiedzi,
Może być gwiazdą na studentów niebie",

ale jest „szalbierz, matacz i oszczerca", co „dusze ufne, lecz mdłe i dziecinne

„wiedzie do zguby przez chętkę próżności
I bierze w zysku blask popularności".

Nigdy satyra polityczna nie była sroższą; i nigdy może nie kreśliła podobniejszych wizerunków, które mocą stylu i natchnienia poety nabierają jakichś rozmiarów posągowych, stają się klasycznemi typami patryotycznej hypokryzyi.

Zima w Rzymie, a w ciągu tego pobytu, który się przeciągnął prawie do końca czerwca 1841 r. niema żadnego ważniejszego zdarzenia. W listach do Słowackiego pełnych przyjaźni dla człowieka, a szczerego zapału dla poety, najwięcej może znajdzie się w tych miesiącach zajmujących uwag o nim, lub objaśnień własnych pojęć i przewidywań.

Ale już teraz (w liście do Sołtana z 21 maja 1841 r.) pierwszy znak, że się ten stosunek z czasem zmieni, i w życiu Słowackiego wypadek, który miał do tej zmiany przyczynić się silnie: „Słowacki zakochał się wściekle w pani B... i poleciał za nią do Frankfurtu. Co też za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie“. Krasiński, który dawno już przestał kochać tę, której przypisał był Irydiona, który kocha inną, nie jest zazdrosny; a jednak, jak się to później pokaże, ta nowa fantazya Słowackiego wpłynie z czasem na zerwanie ich przyjaźni.

Ale lato się zbliża, trzeba znowu jechać do wód niemieckich na spotkanie z ojcem, a to spotkanie miało być bardzo w życiu poety stanowczem. Przeczuwa on to i w tem przeczuciu na wyjezdnem z Rzymu, tak pisze do Sołtana (21 czerwca):

„Gdym się o tem rozbiciu (dwóch okrętów, „Polluxa“ i „Mongibello“) dowiedział, żałowałem szczerze, żem nie „wypłynął z Polluxem, tak, jak zamyślałem, i żem nie był „właśnie tym jednym, co się tej nocy utopił. Sądź po tem „wyznaniu, jak mi różowo w duszy i lekko na sercu! Choroba „straszna mnie pochyliła, zgarbiła do ziemi, uczyniła rzeczą „martwą a smętną. Tę chorobę zaś sprawiły od lat wielu „ciągnące się wewnątrz mnie samego walki, zapasy i trujące „mnie zgryzoty. Pókim mógł, opierałem się czarnym, roba„czywym myślom, którym się chciało zawsze i którym się „nareszcie udało przeważyć nad siłą ducha mego. Teraz do„szedłem do takiego stanu, że mi świat jako szeroki, wydaje „się pustynią, a światło słoneczne krzywdą, obrazą, pośmie„wiskiem. Nie chcę wytykać po szczególe wszystkich oko„liczności i przyczyn, czy to prywatnych, czy szersze koło „od domowego zajmujących, które zwolna takim mnie jadem „zapełniły, taką rdzą przedwczesną serce pokryły; po wię„kszej części wiesz o nich, ale czego nie wiesz może, to do „iła mnie one rozdzierały. Reszty życia mego, przyszłości „mojej nienawidzę. Bóg mnie do niej nie stworzył, a ludzie „mnie w nią wpychają. Brak mi zupełny cnoty, największej

„wśród chrześcijańskich cnót, *rezygnacyi;* pod tym względem „poganin jest zemnie i zbliża się jak pogrom chwila, w któ- „rej właśnie przez brak takowej pokory i submissyi, będę „musiał się rozbić, zaginąć, jak ów biedny Pollux, który nie „potrafił ominąć na morzu, choć tak szerokiem, Mongibella, „i wolał prosto płynąć, nie zbaczając dostać śmiertelnym cio- „sem w bok, niż się zrezygnować do obrania drogi nieco „dłuższej i krzywszej. Co tylko więc stanie się zemną teraz, „ty o tem słysząc, bądź pewny w głębi serca, że to się na „moje nieszczęście i zgubę dzieje; niech cię pozór ni blichtr „żaden nie łudzi. Odtąd droga moja wikłać się i gmatwać „zaczyna pod mojemi stopami, odtąd nie będę już w zgodzie „z sobą samym, ale rozdwojony i przy poczuciu się do tego „rozdwojenia dążący, by jak najrychlej to tragiczne *fatum* „zakończyć. Wszystko co tu mówię, głębi duszy i rdzeni „serca twego poruczam; nikt inny niechaj nie wié o tych „moich bólach i o srogich przeczuciach. Od dwóch miesięcy „codzień Boga gorąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzeć „przed dotknięciem się świata; rzeczywistość albowiem jego „taka brudna i skalana, że ten tylko białe ma ręce, kto „zdołał się na niej nigdy nie opierać. Unieśćbym chciał sie- „bie samego Niepokalanym ztąd do wieczności“.

W trzy dni po tym liście, 24 czerwca, wiersz jak żeby na finał szczęścia — (nie miłości) — wiersz, w którym poeta spowiada się niejako przed Bogiem ze swoich uczuć i prosi, żeby mógł zostać dla swej ukochanej tem, czem jest, czem być powinien.

„Niech rząd dusz ludzkich innym się dostanie,
Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi,
Tę jedną tylko, co gdy skonam — skona.

Zkądże ten smutek cięższy niż zwykle? co się stało lub stać ma, że on chciałby z rozbitym okrętem być gdzieś na dnie morza? Ma się stać to, że przybliża się, co on od lat wielu od siebie odpycha; że ojciec nalega, błaga, zaklina, by się wreszcie ożenił; że trzeba będzie albo mu ustąpić, albo

ból wielki zadać, może z nim zerwać. Z listu do Sołtana (Monachium 24 września 1841) pokazuje się, że w ciągu tego lata, w Karlsbadzie czy w Teplitz, Krasiński musiał dać ojcu przyrzeczenie, że się ożeni. Nie do czego innego odnosić się mogą słowa następujące:

„Zapewnieś słyszał już o moich błędnych podróżach do „Karlsbadu i Teplitz, niech ci w tym względzie wieść pu„bliczna gada o mnie, bo ja nie zdołam. Pomówićbym mógł, „mową w pobliżu wytłómaczyłbym ci wiele rzeczy; pismem, „zdaleka, nie sposób, a przedmiot pełen wstrętu dla mnie. „O jedną łaskę cię błagam: listy, które teraz będę pisał do „ciebie, na miłość Boga niech u ciebie zostaną na zawsze „w tece i niczyim uszom słyszalnemi nie będą. Jeźli mi tego „święcie nie przyrzeczesz, stary a zacny przyjacielu, to nie „będę ci mógł serca pękającego wylać, obryzgami krwi jego „cię okryć, bo pełno uszów czyha teraz na każde słowo moje; „lada jakie może zaszkodzić, wprawdzie nie moim celom, „ale tym, które podzielić, których uczestnikiem być się pod„jąłem, a więc jak gdyby i moim. Rozpacz ojca, zwątlone „jego zdrowie, zmusiły mnie! Nie miałem czem sił i życia „mu dodać, jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc? „cóż było robić? Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go „zabijało! Czyż i z mojej dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie „miało paść mu na serce? Nie, nie! Gdym ujrzał, że do„prawdy tem tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem „ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie co zabić „zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć! „Takie dzieje moje, nic innego w nich nie szukaj. Zresztą „wszystko obmierzłem mi jest, wszystko tam, gdzie moje „kroki stąpają, gdzie kształt persony mojej się obraca; a „duch mój i serce, to skryte własności moje, nieodebralne, „nienakierowalne, wolne, swoje, które nigdy nie przestaną „żyć jak żyły i być czem je Pan Bóg stworzył. Przeczuwa„łem już to, co mi się stać miało, kiedym wiosną z Rzymu, „jakby z trumny, smętny do ciebie list pisał; wiedziałem, „że mi się życie łamie, że mi się droga z pod stóp wyco„fywa, i że dni przyszłości pełne są gorżkości dla mnie.

„Darmo Adamie! Mógłbym jeszcze i tu powtórzyć, że prze-
„czuwam koniec nieszczęśliwy; ale na co skarg tyle, znasz
„mnie i z tych słów kilku wybadasz całą iściznę duszy
„mojej".

Jest to dopiero przyjęte zobowiązanie jego względem ojca; niema nietylko przyrzeczenia ze strony drugiej, ale najmniejszego oświadczenia, najmniejszej pewności, że oświadczenie będzie przyjętem. Zatem na rozpacze jest zawcześnie. Można jeszcze nie być przyjętym, można się starać tak, iżby przyjętym nie być. On tymczasem rozpacza, ale postanawia się starać i żenić; a przez to robi początek fałszywego dręczącego położenia, w jakie, wyznać trzeba, wszedł nie bez swojej winy. Kollizya była bardzo bolesna i trudna, to prawda; trzeba było poświęcić albo ojca, albo siebie i kobietę, którą kochał. Ale jedno z tych poświęceń było koniecznem, bo te dwie miłości i powinności pogodzić się nie dały. Krasiński miał wybór albo oprzeć się ojcu, a zostać wiernym kochance, albo wyrzec się jej i swego szczęścia, i ożenić się. Na jedno z tych poświęceń on powinien się był zdobyć, a jedno jak drugie powinno było być zupełnem. Tej odwagi, tej mocy nad sobą Krasińskiemu zabrakło; i to rzecz najdziwniejsza i najsmutniejsza zarazem w jego życiu, najtrudniejsza do pogodzenia z jego sumieniem. Nie miał serca zmartwić ojca; ale nie miał serca zmartwić kochanki, ani odwagi jej się wyrzec, i między dwoma strasznie bolesnemi poświęceniami wynalazł drogę pośrednią, na razie mniej niby bolesną, na prawdę gorszą i bardziej dręczącą od tamtych obu. Ojcu uległ, ale miłości swojej się nie wyrzekł; a przez to jego wiara stała się rozdzieloną między dwie osoby. Materyalnie on jeszcze wolny, skoro przysięgi nie wykonał; ale moralnie już zobowiązany, a z chwilą, kiedy to zobowiązanie przyjął, obowiązany sumieniem dawny stosunek zerwać. Tego nie zrozumiał, zrozumieć nie miał dość siły nad sobą. Wynikł z tego stosunek niezmiernie przykry, jak wszystko, co fałszywe i nieproste, niedobre. Miłość i szczęście zatrute tem rozstaniem, odłożonem, ale pewnem i niechybnem; konieczz-

ność ukrywania się i strzeżenia oczów ludzkich nierównie większa niż przedtem; nadewszystko świadomość nieunikniona, choćby najbardziej tłumiona i sofizmatami głuszona, że robi źle, że dał przyrzeczenie, a z restrykcyami i w niezupełnie dobrej wierze. Z położeń fałszywych, w które człowiekowi zabrnąć jest łatwo, wyjście trudne; ale najłatwiejsze ze wszystkich, bo najprostsze jest to, które z przeszłością zrywa odu, stanowczo i nieodwołalnie. Serce się przy tem rozdziera, ale droga przed człowiekiem jest przynajmniej prosta. On tej odwagi w sobie nie znalazł, nie zdołał wyjść z trudnego położenia śmiało i szczerze, szukał półśrodków, kompromisów, pojednania rzeczy nie dających się pogodzić; i zamiast z trudnego położenia wyjść, zaszedł na kręte manowce, po których deptał i błądził z coraz większem udręczeniem w labiryncie coraz gorszych sprzeczności, a z tego labiryntu nie prędko wyszedł.

Dnia 1 września datuje list (do Gaszyńskiego) z Drezna. „Potem przez kilka tygodni wałęsałem się po górach szwajcarskich... potrzebowałem być sam, zupełnie sam i wytchnąć" (do Sołtana 10 listopada); w listopadzie jest już w Monachium, gdzie (niespodziąnie zapewne) miał zostać na całą zimę. Co go tam ściągnęło? zapewne Danielewicz, który tam jest i ma się żenić z panią Delfiną Heal-Handley, którą Krasiński nazywa wielką muzyczką i znakomitą osobą. Co go zatrzymało w Monachium? Oczywiście Danielewicza choroba, długa i zakończona śmiercią.

Ale tej zrazu nikt nie przewiduje; Krasiński skarży się tylko na swoje smutne losy, ale w przyszłość świata i Polski patrzy z ufnością coraz pewniejszą, a w teraźniejszości zajmują go żywo wszystkie zwroty i objawy polskiej myśli i duszy. Lekcye Mickiewicza wywarły na nim wrażenie głębokie, tem głębsze, że były stwierdzeniem jego własnych pojęć i oczekiwań:

„O jakże chciałbym choć na godzinę mówić teraz z tym, „z którym po Szwajcaryi niegdyś podróżowałem! Ale na co? „W duchu, on i ja wiemy tosamo... Ile razy zwracam się „w przeszłość, wspomnienie i miłość chwytają mnie ku

„niemu, obraca się myśl tęskna, jak do mistrza młodości. „I ja go zrazu na wspak byłem ocenił; ale gdy głos jego „własny doszedł, poznałem go, i wiem teraz, że on w praw- „dzie jest“.

To oczekiwanie nowej epoki, a w niej wielkiej dla nas roli, wyraża się dobitnie w liście do Sołtana z dnia 17 grudnia 1841 r.:

„To tylko dano odgadnąć, że się coś zbliża i stanie, „bo Ojca Naszego Niebieskiego ratunek, pomoc, słowo do „nas, stało się nieodzownym warunkiem dalszego bytu na- „szego. Nasza cywilizacya przepadła, nasza epoka skazana, „jeśli to, o czem mówię się nie objawi! A gdy się objawi, „pokaże się być prostotą prostoty, anielsko-prosto-naturalną „rzeczą, którą zrozumiemy zaraz, która przylgnie do nas „jakby rzecz dawno już znana, tylko zapomniana, która wraca „do pamięci! Lecz powtarzam, wszelkie duchowe objawienie „dopełnione w Synu Bożym. Teraz tylko się dowiemy co śpi, „co drzemie, co śni w okręgach natury; teraz zostaną po- „dane nam sposoby, jak zastósować i urzeczywiścić w pełni „rozkazy Zbawiciela! Przez tysiąc ośmset czterdzieści dwa „lat pracowaliśmy, by się ich nauczyć na pamięć; teraz trzeba „zacząć je wcielać widomie w świat! a tego bez pomocy *na- „tury* nie zdołamy przewieść. Lecz gdzie *duch* tam i *siła* „spieszy, gdzie duch tam i materya musi się zgromadzać „i kształt ducha przybierać! Więc ci z tych wszystkich my- „śli spłótłszy wiązanie na rok 1842, przesyłam ci je jako „snopek przeczucia.

„Ale że my w tem wszystkiem powołani jesteśmy do „przywdziania na się ważnej niezmiernie roli, to pewna! „Zdaje się, że nas ręka Opatrzności przygotowała do tego, „byśmy skosztowawszy co życie i co grób zarazem, mogli „właśnie w takiej epoce wystąpić w pełni potęg człowie- „czych, z całym zapałem życia, z całą mądrością grobu. „Jesteśmy jedynem w historyi rodu człowieczego zjawiskiem: „niewidzialni, niedotkliwi, bez ciała żyjem, a żyjem na ziemi „wśród ciał, na świecie widomym i dotykalnym. Jest już

„w tem coś z przyszłych losów świata. Cała przeszłość na-
„sza była *chaosem* przedstworzenia naszego, dlatego też tak
„mało dbaliśmy o nią, tak lekkomyślnie puściliśmy się na
„rozproszenie i rozwianie. Był w tem jakoby instynkt praw-
„dziwych przyszłych losów naszych, przez próbę grobu prze-
„szliśmy dziwnie nieskazitelni na duchu. Co zdawałoby się
„niepodobnem do osiągnięcia oczom rozsądku, to my prze-
„wiedli; w trumnie przeżyliśmy śmierć, po powierzchni ziemi
„tymczasem *dusza* nasza się przechadzała i przytomna była
„wszystkim wielkim sprawom świata! Czyż nie czujesz, że
„taki los, takie przeznaczenie coś ogromnie głębokiego w so-
„bie zawiera; ale coś takiego, co raczej wygląda na przed-
„ścignienie czasów, na *zaryw* z przyszłego jakiegoś stanu
„świata, dobrze niepojętego aż dotąd, ani przez nas samych,
„ani przez inne narody.

„Jeżli bywały ludy i bywali ludzie, co palec Boga no-
„sili na czole, my jego wszystkie pięć nosim na licu histo-
„rycznem naszem! I kto się zastanowi tylko głęboko i ro-
„zumnie nad tem, czem jesteśmy, ten musi wyznać, że kto
„w grubie nie umarł, kto wśród śmierci wyżył, przeznaczon
„jest i wybran na życie w przyszłości, wybran pośród wszyst-
„kich, co już żyli, co jeszcze żyją, i dlatego właśnie starzy
„są i bliscy grobu“.

Ale ta zgodność z Mickiewiczem nie trwa długo. Ten-
sam list, z którego przytoczyliśmy wyjątek, kończy się ta-
kiem zastrzeżeniem: „Nie myśl, by to Towiański lub Mickie-
„wicz na mnie wpływali, to głupstwo wierutne. Nie! historyi
„rozwaga, świata rzymskiego analogia przed Chrystusem,
„wreszcie własne czucie, stan dzisiejszy każe mi wierzyć
„i spodziewać się“.

Jest w tem dowód oczywisty, że Krasiński od pierwszej
chwili sądził surowo Towiańskiego i jego naukę. Wyraźniej-
szy znajdzie się w liście do Słowackiego z dnia 27 paź-
dziernika. Widocznie musiał Słowacki olśniony nauką mistrza,
tłómaczyć ją przyjacielowi i jego do niej nawracać. Krasiń-
ski tak odpowiada:

„W cuda wierzę zawsze i wszędzie, w *cudotwórców* „prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszej nad tę, „która siebie uważa za konduktorkę płynu *cudów*. Nie po„chodziż to nieco z tej urzędo-namiętnoski, tyle zawsze bur„mistrzującej w naszych sercach? W Piśmie, księga proro„ków następuje po księdze królewskiej, w dziejach bieżących „tosamo się objawiło: w sferze nibyto widomej wystąpił ty„tuł, urząd, zaszczyt, nazwa miasto rzeczy, blichtr miasto „istoty, słowem *królewskość;* w sferze niewidomej, w kościele „poezyi, awansowano na proroków. Jestto także stopień, *di„gnitas*. I znowu tu jak tam, tytuł wprost rzecz samą skaził. „Kształt obrócił się przeciwko treści, wyniknęła komiczność! „Co za wiek, Julu? co za świat? co za kolej zgubna, pory„wająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiej, ale sto„kroć głębszej, bo stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba, „chcę mówić do otchłani śmieszności! Za dni moich widzia„łem dzieci ponure, dzikie, jeszcze ssące pierś mamki, a już „recytujące wiersze Byrońskie i piszczące usteczkami pełnemi „mleka: „to piołun". Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, „wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak „Hiob niegdyś, jak Faust później, i szpilkami grożące gwiaz„dom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapeł„niających serca ludzi imieniem swojem, a potem idących „na starość do św. Pelagii, i głupstwa, brednie, próżnostki „same drukujących; orłów, co w słońce patrzyli, spadłych „w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. „Widziałem za dni moich, acz nie długich, *zbłaźnienie wszyst„kiego,* i zaczyna mi smętno być w duchu. Tem się jedynie „pocieszam, żem, zda mi się, doszedł ukrytej sprężyny tych „wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem „próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym *niepracy* w na„turze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, „tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą *chwały,* „bez pracy; kiedy *duma,* wbrew przeciwnie, jest wieczną „żądzą *chwały,* lecz za pomocą olbrzymiego trudu. Kto *dumny,* „ten i *pokorny* zarazem, a *duma* połączona z *pokorą,* sta„nowi wielkość człowieka. Duma bez pokory, to *próżność;*

„pokora bez dumy to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te „władze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich „obydwóch obejść się nie może. *Pokora* powinna zawsze objawiać się w *środkach*, a duma w *celu*. W naszej epoce, brak „wszelkiej harmonii między *dumą* a *pokorą*, przeszkadza „wszelkiej wielkości. Jesteśmy *próżnymi*, t. j. albo mamy „*pokory* śmiecie bez ognia dumy, albo rośniem w szum *dumy*, „w pianę, w bryzg, w nicość, nie opierając się na głębi żadnej! Rozbite akordy gubią zawsze ludzi, podnoszą zaś ich „tylko *pełne* i *pogodzone:* pierwsze są fałszem i piskiem, drugie tylko — *muzyką!* Otóż my nie w muzyce, ale w fałszu, „w kwasie tonów żyjem, i dlatego przepadamy.

„Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w *niemoc*, bo *niemoc* „nie jest *pokorą;* ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że „można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie „nie jest *dumą*. Bądź *dumny* a *pokorny!* Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje. O Julu! ja wiem, że to „ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas „jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia „miał się rozranić i osłabnąć, otrząśnij się".

List ten, serdeczny, a nawet miękki, pieszczący, jest przecie nową oznaką gotującej się zmiany w ich wzajemnym stosunku. Przyjaźń trwa, jest nawet czułość i zerwanie jeszcze nie bliskie; ale sposób myślenia zaczyna się rozchodzić w różne kierunki, a wskutku tego z czasem oddalą się od siebie i serca.

W początkach roku 1842 Danielewicz chory niebezpiecznie; a pielęgnujący go przyjaciel w samą trzydziestą rocznicę swego urodzenia, rażony uderzeniem krwi do głowy o mało, że nie umarł. Wrażenia i wstrząśnienia dawniejsze, z dodatkiem trwogi o ukochanego Konstantego, musiały być powodem tej choroby. Podźwignął się z niej Krasiński, na nowe udręczenia i smutki. Nerwowa gorączka Danielewicza, zawikłana inną jakąś żołądkową chorobą, stawała się coraz

groźniejszą, a wlokła się długo. Dnia 11 marca już chory sam i przyjaciel, przygotowani są na śmierć: Sakramenta przyjęte, ostatnia wola spisana. Wtem nagłe i niespodziewane polepszenie, promyk nadziei; ale po kilku dniach „śmierć wróciła i stoi nad nim“ (do Słowackiego 26 marca 1842). Widzi ją Krasiński i opisuje przy łóżku konającego, widzi „wbiją mi go do trumny ćwiekami“, widzi jak „znika stopniami ukochany kształt; już mnie nie poznaje, już o mnie „nie wié. O Konstanty mój, gdzie ty odszedłeś? gdzie duch „twój, ten wielki i pełen idei...“

I wreszcie nazajutrz, w sam dzień Wielkiej Nocy, 27 marca, po południu, skończył najukochańszy przyjaciel, ten, którego poeta miał za najwyższego umysłem, sercem i przywiązaniem do siebie.

Rozpacz, uczucie osierocenia, wrażenie, że sam podupadnie i stępieje bez tej w życiu podpory, bez tego „wielkiego ducha“ i wzoru, wybuchają gwałtownemi rozdzierającemi słowy w listach do Sołtana, do Gaszyńskiego i Słowackiego. Do tego proza czy ironia życia szarpie mu nerwy nie mniej niż serce; targi o pogrzeb, o miejsce na grób, konieczność sądowych skarg i procesu. To zrobiwszy, ułożywszy piękny napis na grób przyjaciela (List do Sołtana 30 marca) wyjeżdża z „przeklętego miasta“.

Gdzie? do Szwajcaryi. Zapewne w myśli, że tam spotka tę, którą kocha, lub tamtędy do niej dojedzie; że przy niej znajdzie trochę pociechy. Ale zaledwo dojechał do Szafhuzy, rozchorował się znowu; znać zawiele przeszedł dręczących wrażeń. „Ośm dni przeleżałem. Krew znowu mi mózg roz„rywa. Lada pisanie, czytanie, nawet myślenie, przyprowa„dza mnie do konania“ (do Sołtana 21 kwietnia). W Bazylei leczy się trochę; nie chce, żeby wiedziano gdzie jest — zapewne nie jest sam — a niebawem powstaje wiersz *Fryburg,* jakoby nagrobek postawiony przyjacielowi, rzewny wyraz nieutulonej tęsknoty po nim, wyraz wspaniały nieograniczonego uwielbienia dla niego. Nigdy przyjaźń nie skarżyła się żałośniej, nigdy nie kochała wznioślej. Ale przez tę rozpacz czarną przebija się przecież wiara w jakąś przyszłość lepszą;

nie dla siebie! dla świata i Polski, a dla siebie na teraz pociecha w miłości, na później nadzieja, że „z łez tych wzrosną smętne róże“ i wieniec ich jeden, złoży na grobie przyjaciela, drugi „na Polski mogiłę“.

„Aniele niewieści,
„Tyś przy mnie dotąd... Tyś mojem zbawieniem,
„Tęczą jedyną w zaćmionym przestworze...“

Jej głos, jej miłość, utrzyma jeszcze w jego sercu i dobędzie z niego siłę, która nie zupełnie wygasła, i która mu pozwoli żyć i umierać

„w wierze, że ta święta,
„Co śpi w więzieniu, zerwie w końcu pęta“.

Na co mu ta siła potrzebna? co on z nią pocznie? jaką wiarę wyniósł jak rozbitek z odmętu smutków i trzyma ją wszystkiemi siłami? Ostatni wiersz *Fryburga* mówi, że Bóg jest

„Na pyszne pyszny — ale wiernym wierny“.

Wiersz ten, powtórzony we wstępie do *Przedświtu* wskazuje, że on to składa się już wyraźnie w głowie poety, że w nim ma się objawić jego wiara, że na jego napisanie potrzebna mu siła.

Rzeczywiście do *Przedświtu* już bardzo blisko; już on się pisze.

Pokazują to wyraźnie listy (do Sołtana) z lipca z Kissingien. Sam chory ciągle, z chorym także ojcem pojechał ztamtąd do Heidelberga do sławnego lekarza Cheliusa. Ten radził kąpiele morskie, wskutku czego w jesieni udał się Krasiński do Spezzii. Na zimę wybiera się do Rzymu, gdzie ostatecznie ma zapaść postanowienie co do jego małżeństwa. Ale przedtem jeszcze jest parę miesięcy czasu i wolności, i jest coś ważnego, bardzo ważnego do zrobienia. Ze Spezzii i z Genuy do Nizzy, gdzie bawi Delfina Potocka blisko; nie zbyt daleko także z Prowancyi, z Aix, gdzie mieszka Gaszyński. „Mam do proszenia cię o oddanie mi

„ważnej przysługi. Ale trzeba, byśmy się rozmówili (z Chia-„vari 28 września). Koło ósmego oktobra będę w Nicei. Czy „możesz, choćby na parę dni przyjechać tam“.

Gaszyński przyjechał. Zgodził się na ofiarę, ciężką istotnie, położenia swego skromnego podpisu pod dziełem gienialnego przyjaciela, który do zbytku aż ostrożny sądził, że tylko podpis rzeczywistego żyjącego człowieka, zasłoni jego od poddejrzeń, ojca od prześladowań rosyjskiego rządu. I teraz, za tego pobytu w Nizzy, *Przedświt* już napisany, ale jeszcze nie wykończony, przybiera swój kształt ostateczny. Gaszyński i Stanisław Małachowski są świadkami i doradcami przy tej robocie; natchnienia dodaje *Beatrice*. W jej willi, przy jej grze i śpiewie, albo w nieskończonych konnych przejażdżkach w takt końskiego galopu układają się i dodają wiersze, poprawiają się i dyskutują inne. O tych przejażdżkach i rozmowach, o tej muzyce, o tych kilku tygodniach w Nizzy, mówił Stanisław Małachowski do śmierci jako o najpiękniejszej, najpoetyczniejszej chwili swego życia. Jak długo ona trwała? Parę tygodni zaledwo, skoro 6 listopada już Krasiński znowu pisze do Gaszyńskiego do Aix, a za dni kilka sam wyjeżdża do Rzymu. „Przeklęta melan-„cholia wciąż mnie trzyma. Napada mnie pokusa w łeb so-„bie strzelić. Piekło w duszy“ (do Sołtana 6-go listopada). W Rzymie przynajmniej będzie miał na pociechę Małachowskiego i Jerzego Lubomirskiego. Ci go nie odstąpią w tych ciężkich chwilach.

W Rzymie, w początkach r. 1843, nastąpiło stanowcze z jego strony oświadczenie, i przyrzeczenie ze strony panny i jej rodziców, a wskutku tego i postanowienie co do dnia ślubu. W jakich okolicznościach, nie wiadomo; Krasiński nie opowiada w listach nic, wspomina tylko krótko „bywam u Branickich“. List z tego czasu długi jeden, do Słowackiego z 26 go stycznia 1843, w którym tłómaczy mu swój sposób pojmowania przyszłości, a delikatnie, z wielką wyrozumiałością, a nawet miłością przestrzega go przed wyłącznością i jednostronnością Messyanizmu. Zdrowie ciągle złe; w Rzymie ktoś radzi szukać pomocy u lekarza jakiegoś

w Montpellier. Tam więc jedzie Krasiński, a tam jest już tak blisko do Aix, że następuje nowe spotkanie z Gaszyńskim; a tak blisko od Nizzy, że tam i w Cannes zostaje Krasiński do końca marca. Nowe poprawki i przerabiania w drukującym się już *Przedświcie,* które (nieraz drobiazgowe) ciągnąć się będą długo w listach do Gaszyńskiego.

W początkach kwietnia jest znowu w Rzymie.

I znowu jedyny list dłuższy, do Słowackiego — (z 12-go kwietnia) — ostatni jeszcze serdeczny, przyjacielski. Ale choć taki, dowodzący przecież, że przedział między nimi coraz większy. Na ów dawniejszy, ze stycznia, musiał Słowacki odpowiedzieć kwaśno i szorstko, skoro Krasiński tłómaczy mu (łagodnie), że nie jest „starą dewotką“, a wymawia (równie łagodnie) uprzedzenia, urojenia i niesprawiedliwe sądy o drugich. 5-go maja wyjeżdża Krasiński z Rzymu. Będzie jechał pomału, zatrzymując się po drodze, ale w środku lata ma być w Niemczech, stanąć w Dreźnie na termin swego ślubu. „Dawniej szczęśliwsi byli poganie, woły i barany swoje „zarzynali. My przymuszeni sobie samym to czynić, co Meksy„kanie nieprzyjaciołom do niewoli pojmanym, serca sobie „drgające, pełne życia, wydzierać z piersi. Idźże serce moje! „idź precz na wieki!“ (do Sołtana 27-go marca). W takiem uczuciu wyjeżdża z Rzymu; w podobnem równie popurem, ale jednak mniej gorzkiem, pisze swój ostatni przed ożenieniem wiersz do pani Delfiny Potockiej. Jest w nim rozpacz bez granic i bez ratunku, ale jest i postanowienie rozstania, skoro tego już tylko pragnie i o to każe jej się modlić, by na tamtym świecie „po wiekach wieków kiedyś spotkał ciebie“ — a w ostatnim słowie, jak na widomy znak rozstania, podpisuje się „twoim bratem“. Wiersz ten pisany był w Genuy, w początkach maja. 15-go skarży się Gaszyńskiemu z Turynu na błędy drukarskie w *Przedświcie,* a 21-go pyta z Grenobli, wiele kosztowało wydanie, i wyznaje przekonanie, że „*Przedświt* nie jest głupstwo“.

Przedświt już wyszedł.



ROZDZIAŁ IX.

Przedświt i Psalmy.

I. *Przedświt.* Punkt zwrotny w poezyi Krasińskiego. Pierwszy powód jego wziętości i chwały. Wrażenie, jakie sprawił, i powody wrażenia. Związek *Przedświtu* z dawniejszą poezyą polską i Krasińskiego. Znaczenie *Wstępu* i jego treść. Co w nim prawdziwe, a co mylne? Chrystusowa ofiara Polski. Jak ją Krasiński rozumie? Odrodzenie przez śmierć. Jego warunkowość. Jego skutki: Odrodzenie i przyszłość Polski. Oznaki i rękojmie przyszłości. Znowu warunkowość. Krasiński nie identyfikuje Polski ze Zbawicielem. Nie przypisuje jej ofiary dobrowolnej. Przypisuje zdolność, a przypuszcza możliwość pojęcia i urzeczywistnienia myśli bożej w historyi. Wróżby przyszłości i sądy o teraźniejszości. Pozorna sprzeczność. Jej wytłómaczenie. Stosunek *Przedświtu* do Messyanizmu. Jego wartość poetyczna. Przewaga filozofii i tendencyi. Wzniosłość i piękność. Plan i budowa. Najpiękniejsze ustępy. Bolesne wrażenie ostatniego widzenia. Podnoszące i krzepiące wrażenie zakończenia i całości. Prawda *Przedświtu* i jej złe zrozumienie: jego wpływ. Stopniowe wyrabianie się tej myśli od początku wieku. Wyraz najwyższy poezyi wieszczej, przepowiadającej. Jego znaczenie w zawodzie Krasińskiego: w literaturze i historyi polskiej tego wieku. II. Ożenienie. Pani Krasińska. Zima w Warszawie. Kajetan Koźmian i jego *Czarniecki*. Wiersze i *Traktat o Trójcy*. Stan kraju i jego wrażenie. Emissaryusz. List do Sołtana, pierwsze pomysły *Psalmów*. Lato u wód. Urodzenie syna. Lato 1845 w Nizzy, w Niemczech, w Paryżu. Wyjazd do Włoch. Wydanie *Psalmów*. III. *Psalmy Przyszłości*. Ich powód. Znaczenie dwóch pierwszych. *Psalm Wiary*. Jego forma. Jego treść. Jego związek z następnemi. *Psalm Nadziei*. Jego treść filozoficzna. Jego przystósowanie. *Psalm Miłości*. Poezya okolicznościowa polityczna. Polityczne i społeczne przekonania i dążności Krasińskiego. Niechęci przeciw niemu. Słuszność jego pojęć i obaw. Katarzyny śmiech szyderstwa.

I.

Przedświt. Punkt zwrotny w poezyi Krasińskiego. Pierwszy powód jego wziętości i chwały. Wrażenie, jakie sprawił, i powody wrażenia. Związek *Przedświtu* z dawniejszą poezyą polską i Krasińskiego. Znaczenie *Wstępu* i jego treść. Co w nim prawdziwe, a co mylne? Chrystusowa ofiara Polski. Jak ją Krasiński rozumie? Odrodzenie przez śmierć. Jego warunkowość. Jego skutki: Odrodzenie i przyszłość Polski. Oznaki i rękojmie przyszłości. Znowu warunkowość. Krasiński nie identyfikuje Polski ze Zbawicielem. Nie przypisuje jej ofiary dobrowolnej. Przypisuje zdolność, a przypuszcza możliwość pojęcia i urzeczywistnienia myśli bożej w historyi. Wróżby przyszłości i sądy o teraźniejszości. Pozorna sprzeczność. Jej wytłómaczenie. Stosunek *Przedświtu* do Messyanizmu. Jego wartość poetyczna. Przewaga filozofii i tendencyi. Wzniosłość i piękność. Plan i budowa. Najpiękniejsze ustępy. Bolesne wrażenie ostatniego widzenia. Podnoszące i krzepiące wrażenie zakończenia i całości. Prawda *Przedświtu* i jej złe zrozumienie: jego wpływ. Stopniowe wyrabianie się tej myśli od początku wieku. Wyraz najwyższy poezyi wieszczej, przepowiadającej. Jego znaczenie w zawodzie Krasińskiego: w literaturze i historyi polskiej tego wieku.

Przedświt jest to punkt kulminacyjny zawodu Krasińskiego, ten, w którym on sam doszedł do jasnej i wyraźnej świadomości swoich przeczuć i przekonań, w którym rozwiązanie zagadki dziejów Polski i świata znalazł i ogłosił, w którym uzupełniło i objaśniło się wszystko, co w jego dziełach poprzednich było niezupełnem, niejasnem, przeczuciowem tylko, z którego wypłynęły jego pisma późniejsze. W środku jego zawodu stoi *Przedświt* jak latarnia morska, i rzuca światło za siebie i przed siebie; pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna affirmacya Krasińskiego, a tak stanowcza i zupełna, że wszystkie późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do niej nie dodały prawie nic. Pierwsze także objawienie tego poety przed narodem, pierwsze dzieło powszechnie zrozumiane, a przyjęte z takim zapałem, z takiem uniesieniem szczęścia, z taką wiarą, że poeta dotąd

mało znany, obojętny, mało rozumiany, a przez to ogółowi nie sympatyczny, przez te kilka kartek *Przedświtu* wzniósł się w mniemaniu i w uczuciu narodu tak wysoko, że odrazu, bez dyskusyi, jakimś cichem ale rzeczywistem *communi consensu* stanął w nich zaraz przy Mickiewiczu. Kiedy przyjdzie czas zupełnie spokojnego i trzeźwego ocenienia jego poezyi, to sztuka może z niej wiele odrzuci; prawda moralna i historyczna może nakaże czytać tę poezyę ostrożnie i będzie przestrzegała przeciw zbyt podchlebnemu, zbyt idealnemu pojęciu naszych dziejów; ale jeżeli świadomość Polski pozostanie w sercach, jeżeli się te serca z gruntu nie zmienią i nie przerobią na coś innego, dopóki miłość ojczyzny w nich będzie, dopóty i poezya Krasińskiego zostanie w narodzie w tej czci i w tem przywiązaniu, jakiem otoczył ją pierwszy *Przedświt*.

Nieboska Komedya i *Irydion* przeszły prawie niepostrzeżone. Wydawane za granicą, bezimiennie, strzeżone czujnie przez srogą cenzurę ówczesną, nie mogły ani się po kraju rozejść, ani oswoić go z imieniem młodego autora; a nawet kiedy były znane, nie były lubione ani cenione. Ich forma dziwna raziła czytelników, dla których już *Dziady* były zanadto mgliste; ich allegorye nie zawsze jasne, wymagające pewnego natężenia mysli, nie znalazły łaski u publiczności, która wogóle do takiego natężenia nie skora, nie lubi go zwłaszcza, kiedy chodzi o poezyę, i żąda, wiedziona instynktem niezaprzeczenie słusznym, żeby poezya, co mówi, mówiła wyraźnie i po prostu, żeby była zrozumiałą i nie potrzebowała komentarzy. Nawet tam więc, gdzie wiedziano o *Irydionie* i *Nieboskiej*, nie dbano wiele o Krasińskiego, nie ceniono go, jako tego wielkiego poety, jakim był; a nawet kiedy Mickiewicz świadczył za nim tak głośno i tak wymownie w swoim rozbiorze *Nieboskiej Komedyi*, i to jeszcze nie zwróciło na niego uwagi, bo przy ówczesnych cenzurach i trudnościach komunikacyi, każde słowo z zagranicy późno do kraju dochodziło i rozchodziło się po nim z trudnością.

Naraz, w środku tej prostracyi, jaka następować zwykła po wielkich klęskach, w tej obumarłości, jaka panowała we

wszystkich częściach Polski przez lat kilkanaście, od r. 1831, kiedy wszystko co najżywotniejsze wyemigrowało z niej, kiedy Królestwo jedną ręką trzymał za gardło Paszkiewicz, a drugą magnetyzował je i chciał uśpić w pewnej łatwości i wygodzie materyalnego życia; kiedy na Wołyniu i Podolu grasowała zaraza głupiego bałagólstwa, w Galicyi pod przymusowym i bezwinnym brakiem wszelkiej pracy publicznej, krył się dobrowolny i winny brak wszelkiej czynności, życie z dnia na dzień, które u lepszych było spokojnem domatorstwem, u gorszych głupiem marnotrawstwem grosza w trudnych do pojęcia, ale zawsze szkodliwych, a nieraz gorszących rozkoszach jarmarkowych miasteczek, tej lub owej cyrkularnej Kapuy, a pod tą bezczynnością głupią, równie głupia czynność kilku zawiązywanych, rozwiązywanych i znów nawiązywanych spisków, na które patrzał przez szpary ówczesny rząd, obiecując sobie, że w danym razie potrafi z niej nie głupio skorzystać — kiedy z Polski całej, najwięcej życia i pracy, dzięki Marcinkowskiemu, Edwardowi Raczyńskiemu, Morawskiemu, Chłapowskiemu i t. d. było w Poznańskiem — w tę prostracyę, w ten marazm polityczny, w ten kraj osłabły, znużony, znikąd nie mogący dojrzeć ani cienia nadziei jakiejś lepszej przyszłości, padł wiersz, który z całym urokiem poezyi, z całą potęgą natchnienia i z całą pewnością dogmatycznej wiary, nie pod figurami, ale wprost, mówił o niechybnej, koniecznej, o bliskiej nawet zmianie losów; który zaręczał im przyszłość z mocy logicznych i niezmiennych praw historycznej konieczności i samej sprawiedliwości boskiej. Czyż mogło być inaczej, jak, że wrażenie tego wiersza było nieopisane, niepojęte, niesłychane! Dziś, kiedy od tych czasów przeszło lat blisko pięćdziesiąt, a w tych latach niejeden dowód bolesny, że sprawy choć najlepsze, nie wygrywają tak łatwo, kiedy nietylko nie nadeszła obiecywana lepsza epoka, ale wszystko złe, jakie było wtedy, podniosło się do wyższej potęgi i w Polsce i w Europie, dziś nic dziwnego, że jedni patrzą na poezyę Krasińskiego ze smutnym uśmiechem rozczarowania, drudzy z uśmiechem szyderstwa; a ci nawet którzy w nią wierzą najbardziej i najuparciej, nawet

ci czytają ją *cum grano salis*, trzeźwo, nie biorą jej dosłownie; a raczej starają się oddzielić w niej to, co jest i będzie w niej zawsze prawdziwem i co powinno być branem dosłownie, od tego, co jest uniesieniem poetycznem tylko lub patryotycznem złudzeniem. Ale wtedy, w tym stanie zwątpień i letargowego uśpienia, kiedy z narażeniem przekradziony, cichaczem przeczytany wiersz mówił tak stanowczo, tak napewne, że to, co cały ten naród miał za noc najgłębszą, jest już Przedświtem dnia jego przebudzenia, cóż dziwnego, że zewsząd, jednym chórem odezwała się wiara w te słowa? że gdzie doszedł *Przedświt* i był przeczytany, tam choć książka poszła zaraz w ogień, albo w głębokie schowanie, w sercach, w pamięciach zostały jego słowa, zapisane jako wiara i nadzieja, zostawało po nim wrażenie, że „naszą przyszłość cała". Cóż dziwnego, że ten poeta, dotąd obojętny, prawie nieznany, stał się odrazu drogim, jak pocieszyciel, jak przyjaciel, wielkim jak wieszcz, godnym wiary jak Prorok? że patrzano w niego jak w gwiazdę najjaśniejszą, jak w Przedświt Ojczyzny samej, że wszystkie serca podniesione, natchnione przez niego nieznaną przedtem odwagą i wiarą, zwróciły się do niego z taką wdzięcznością, z taką czcią i z taką miłością, że sam Mickiewicz na czas jakiś ustąpił, że Krasiński wydał się większym, bardziej i świetniej od niego natchnionym [1]).

---

[1]) Pan Sternal w swojej cennej rozprawie o *Przedświcie* (Kraków 1891) sądzi, że poemat ten nie zrobił zrazu wielkiego wrażenia, i przytacza na dowód skąpe i chłodne recenzye ze współczesnych pism peryodycznych. Te jednak nie mogą służyć za miarę. Tylko emigracyjne i poznańskie pisma mogły o *Przedświcie* pisać; czy zaś to, co pisały, było wiernym wyrazem wrażenia ogółu czytających, to niewiadome, a raczej bardzo wątpliwe. W Królestwie i w Galicyi nikt nie mógł o *Przedświcie* pisać, ale że był przyjęty tak, jak powyżej opisano, to zaświadczy każdy, kto te czasy pamięta i widział ludzi czytających go ze łzami uniesienia, uczących się na pamięć i powtarzających, a exemplarze (bardzo rzadkie, bo zakazane) krążące po wszystkich domach znajomych w okolicy, czy w mieście.

Że początki tych myśli, które są zawarte w *Przedświcie*, leżą głęboko w naszej historyi, że Mickiewicz dał im wyraz w *Księgach Pielgrzymstwa* i w *Dziadach*, zbytecznie przypominać; że były one i w poezyi Krasińskiego także, jakkolwiek jeszcze nie wyrobione, mianowicie w *Irydionie*, tośmy widzieli; jak niemniej i to, że po jakiemś zboczeniu, po jakiejś przerwie, z przepaści zwątpień i rozpaczy, w której on żył długo, zaczęły one podnosić się i składać na nowo, niewyraźne jeszcze, nieskładne i niezupełne, jak tego dowodzi *Sen Cezary*. Pod jakim wpływem, lub pod jakiemi wpływami nabrały one w czasie stosunkowo tak prędkim tej jasności, tej pewności siebie, tej systematycznej całości, z jaką występują w *Przedświcie*? Poeta mówi, że „kiedy żył w tej „przepaści długo miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą“ i jemu, jak Dantowi niegdyś, przyszła w pomoc Pani i wywiodła go z tej przepaści, „i ja też miałem Beatrice moją“. Czy można przypuścić i uwierzyć, żeby on tę całość pojęć i przekonań, jaką odtąd żył już do końca, był przejął od kogoś drugiego, od kobiety mianowicie? żeby ta była mu podała jego naukę, wytłómaczyła rozbiór Polski, jako próbę grobu, jej powstanie jako logiczną i moralną konieczność historyi? żeby cała ta nauka, prawdziwa lub błędna, mniejsza o to na teraz, ale bardzo zupełna, systematyczna, konsekwentna, a tak nacechowana duchem badawczym i filozoficznym, wyszła była z głowy jakiejkolwiek Beatrice, jak Minerwa z głowy Jowisza? Oczywiście nie; wpływ być mógł, był zapewne, skoro on o nim mówi; ale musiał być tylko pokrzepieniem ducha, ożywieniem nadziei, przez pociechę delikatnego i rozumnego współczucia, przez uspokojenie, uciszenie jego rozpaczy pod ręką ukochanej, ubóstwianej kobiety. Ale tej miary, już i tak dość pięknej, wpływ jej przejść nie mógł; popęd, utwierdzenie w wierze i nadziei mogły przyjść z zewnątrz, myśli wyszły z wewnątrz; on je sam znalazł, sam uszykował tak, że mu rozwiązały zagadkę historyi i przyszłości jego ojczyzny.

Jaki był proces tej geologicznej formacyi pojęć Krasińskiego, które z nich ustaliło się i stężało pierwsze jako

pokład podstawny, które zaś kładły się na tem, jako wyższe warstwy, jako logiczne następstwa, jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów, którego szczytem była wiara w konieczność odrodzenia Polski, to o ile dziś wykazać się da, staraliśmy się zebrać i objaśnić. A jeżeli ta praca budowania systemu nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną, to budowa sama znana jest w całości. Poeta sam, kiedy napisał *Przedświt*, chcąc tem lepiej dowieść prawdziwości swojej wiary i swojej nauki, chcąc pokazać, że one nie są tylko poetycznem natchnieniem, ale i ścisłą prozaiczną prawdą, niemal umiejętną, niemal matematyczną, dorobił do swego poematu ten wstęp, który jest jego urzędowym komentarzem, tłómaczeniem, jak z zastanowienia nad całym biegiem dziejów poeta doszedł, i każdy dojść powinien logicznie i koniecznie, do tych wniosków, których wyrazem poetycznym jest *Przedświt*. Wstęp ten zawiera całe zapatrywanie Krasińskiego na historyę świata, a że cała jego poezya, nietylko późniejsza, ale i poprzedzająca, albo wprost z tego zapatrywania wynika, albo przynajmniej ściśle się z niem wiąże, przeto jest on dla poznania i zrozumienia poety niezmiernie ważnym, niezbędnym. Treść jego jest ta, że dzisiejsza chwila w historyi, dzisiejszy stan świata jest temsamem, czem było rozprzężenie świata starożytnego „za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa“. Świat starożytny wtedy, jak nasz dzisiaj, „doszedł „do ostatnich wyników swojej historyi; w religii do zupeł„nego zwątpienia, w filozofii do zupełnego obalenia zasad „Polyteizmu. Gdzie tylko spojrzeć, w świecie ducha ruiny, „swawola, rozstrój, *quot capita, tot sensus*. Z tylu wojen, „proskrypcyj i rewolucyj, wielkie znużenie było się zostało „w sercach, wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem. „Mariusz ani Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich; „wszyscy ci zatraciciele czy odnowiciele z ostatnich czasów „Rzymu jedną cechę na sobie noszą, pragną nieznośną postać „rzeczy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historya „świata. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś „lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym dokonanym

„czynie, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto „piętno tego świata, i z tych znamion łatwo rozpoznać, że „świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego“.

Niema co mówić, próżno przeczyć, tak było w Rzymie za owych czasów, tak jest dzisiaj. Możemy się zaślepiać umyślnie i zamykać oczy na rzeczywistość; cała historya naszego wieku świadczy, że znamiona są tesame, i że z jednym wyjątkiem chrześciaństwa, które walczy, ale się nie rozkłada, jak tam polyteizm, są wszystkie, jakie tam były, nie brak żadnego. To czysta prawda. A potem prowadzi Krasiński dalej swoje porównanie, swoje dowodzenie.

„W takim stanie Rzymu, kiedy na polu ducha wszystko „się rozprasza, na polu materyalnych spraw i celów wszystko „się coraz bardziej kupi, zrasta iześrodkowywa“ — przychodzi Cezar i „przywodzi świat do materyalnej jedności, „bez której żadne słowo życia rozejść się nie może, zamienia „ziemię w jeden wielki i szeroki gościniec, po którym w lat „niewiele później“ rozchodzi się Ewangielia Chrystusa. Czem Cezar wtedy, tem w naszym wieku był drugi Cezar, większy, Napoleon. Jak tamten „granit plemion, nieznających siebie, „starł na piasek jeden gładki i równy uniwersalnego pań„stwa, tak ten, choć na pozór nic trwałego po sobie nie „zostawił, przecież co spoił, to samo przez się coraz ściślej „się spaja i wiąże; zapoznane z sobą ludy już się nie odpo„znają; on narodowości przebudził z uśpienia“.

„Anarchia dzisiejszego świata jest tak okropna, że ko„niecznie dąży do przesilenia. Żądza tak wielka, a dotąd „daremna, wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w nie„biesiech; a kiedyż ta pomoc odmówioną była? kiedyż Bóg „opuścił Historyę, kiedy ona wzniosła ku Niemu ręce, i ję„zykiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: Pokaż się nam „Panie!“

Dotąd były premissa, teraz następuje wniosek:

Chwila przesilenia, chwila ratunku jest więc dla nas tak blizką, jak była za dni Cezara przez przyjście Chrystusa. Co będzie jej spełnieniem, oto: „objawienie Syna Bożego ze „stanu idealnego przechodząc wiekami do stanu uwidomienia

„się i rzeczywistości“; uwidomić i urzeczywistnić się ma w składzie politycznym i bycie społecznym naszego świata. Aż dotąd stać się to nie mogło, bo pierwej „chrześcianić się „musiały indywidua, dusze, zanim mogły zchrześcianić się „się stosunki między narodami i państwami“. Ale dziś „świat „już wié, ku czemu garnie się historya, wié, że celem jej „jest Ludzkość cała, czyli cała powszechność zgodna z wolą „Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które jej Bóg nadał, „a środkami do tego celu, narzędziami, członkami żywemi, „są narodowości. „Bo państwa są utworem ludzkim, narodo-„wości tylko są kreacyi bożej; i dlatego nie państwa, ale „narodowości *upaństwione* jedne tylko mogą być chrześciań-„skiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości“.

Idea ta, myśl boża prawdziwa, środek, którym jedynie ludzkość może dojść do spełnienia swoich przeznaczeń, zaprzeczana ustawicznie przez nowoczesne Państwo, pogwałcona jest antychrystycznie w rozbiorze Polski, zbrodni nie „poli-„tycznej tylko, ale religijnej, bo przekraczającej sfery świe-„ckie i dotykającej okręgów bożych“. Jak ten gwałt był buntem przeciw Bogu i świętokradztwem, tak „nieuznanie „tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności, jest religią“.

Otóż „nachodzący postęp historyi i Polska, mają się „do siebie w tym stosunku, że koniecznym pierwszego wa-„runkiem drugiej zmartwychwstanie: albo święta przyszłość „ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest „życie Polski. Przez narodowość umęczoną na krzyżu historyi „objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki „musi się przemienić w sferę religijną, i że Kościół boży na „tej ziemi to nietylko to lub owo miejsce, ten lub tamten „obrząd, ale cały planeta i wszystkie, jakie mogą być sto-„sunki osobników i narodów między sobą“.

Myśl, która wyrabiała się w polskich głowach od pół wieku blizko, która z postępem lat nabierała kształtów coraz wyraźniejszych, coraz bardziej ustalonych, ale dotąd trzymała się w sferze przeczuć, uczuć i przepowiedni, pierwszy raz przybrała tę formę rozumowania, ten kształt prawdy historycznej i filozoficznej, popartej argumentami, syllogistycznej,

nieledwie matematycznej ścisłości. Bo i u Mickiewicza nawet nie występowała ona tak jasno, z taką pewnością siebie i z takim darem przekonywania. W *Dziadach* objawiła się jako poetyczne widzenie, w *Księgach Pielgrzymstwa* jako twierdzenie wprawdzie, ale także poetyczne i dowolne — a w *Kursach literatury*, gdzie ją Mickiewicz chciał z głębi historyi wywodzić i dowodzić, ukazała się otoczona tak dowolnemi i fantastycznemi przypuszczeniami, tak mistyczna, że choć mogła wielu pociągnąć za wyobraźnię i za serce, nie mogła przekonać niczyjego rozumu. U Krasińskiego zaś, we wstępie do *Przedświtu*, jest ona rozebraną z wszelkiego mistycyzmu; prawdziwa czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwą? To inne pytanie; w przewidywaniu przyszłości każdy może się pomylić. Ale nikt znowu nie może zaprzeczyć, iżby w tem, co Krasiński mówi, prawd nie było. Jest widoczne i pewne, widzimy wszyscy, że to, co on mówi o dzisiejszym stanie świata, jest prawdą; wierzymy, wielu z nas, jeżeli nie wszyscy, że warunkiem uspokojenia i postępu świata jest „uwidomienie się Objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami „i państwami“. To jest prawda — jest prawda także, że największem w historyi zaprzeczeniem tego dążenia był rozbiór Polski. W każdym razie byłoby śmiałem i niesłusznem twierdzić, że Krasiński, uniesiony namiętną i mistyczną miłością ojczyzny, wpada w wizye i złudzenia. Bo pamiętajmy, że Krasiński, choć pewien logicznej konieczności takiego obrotu rzeczy, przecież obiecuje go warunkowo tylko — on takim być powinien, ale będzie takim, jeżeli siła jakaś przeciwna nie stanie mu na wspak w jego prostym kierunku. Ostateczny wypadek historycznych premissów, czyni Krasiński zawsze zależnym od nas, od naszej dobrej woli. Ale choćbyśmy mu zadali fałsz, to jego rozumowanie nie przestałoby być dobrem w sobie. O ile Krasiński myli się bardzo, jeżeli widzi w Polsce czystą i świętą, jakoby dobrowolną ofiarę, na zbawienie świata — (a zobaczymy, że pod tym względem on był jednak nie zupełnie dobrze zrozumianym), to w swojej myśli

głównej, kiedy mówiąc o obecnem przesileniu historyi, uspokojenie, szczęście i postęp ludzkości, czyni zależnem od schrześcianienia jego stosunków politycznych, to od wielkiego aktu sprawiedliwości, a polityczne znowu odrodzenie Polski od jej odrodzenia wewnętrznego, wtedy nie mówi on nic, czemu polityczne doświadczenie nie przyświadczyłoby tak, jak mu świadczy prosty rozsądek ludzki i chrześciańskie sumienie: wtedy ma on i słuszność i trzeźwość, i ma coś więcej jeszcze — wielkość.

Przystąpmyż raz do tego pytania, jak Krasiński rozumie tę „Chrystusową ofiarę" Polski. Od *Przedświtu* aż do *Dnia Dzisiejszego* mówi o niej tyle razy i tak wyraźnie — („Jak im niegdyś Syna dałem — tak im Polsko daję ciebie". „Jak Chrystus w wyższe wzbijesz się okręgi" — i miejsc podobnych wiele), że myśl jego zdaje się być zupełnie jasną, i niedopuszczać żadnego innego rozumienia i tłómaczenia. A jednak, myśl ta, połączona z całym ciągiem jego filozoficznych rozumowań, nie wyda się tak absolutną, zatem nie tak błędną, jak się wydaje sama przez się, i w połączeniu z całym naszym patryotycznym i poetycznym mistycyzmem, do którego należy, od którego pochodzi, ale z którym nie jest zupełnie zgodna i taż sama. Nie idzie zatem, iżbyśmy ją mieli brać za zupełnie prawdziwą i wolną od wszelkiego błędu; tylko w tem ściślejszem badaniu ona okazuje się mniej błędną i zuchwałą, niżeli zwykle sądzimy.

Przypomnijmy sobie dwa pewniki jego filozofii: pierwszy ten, że dzieje ludzkości mają być ukształcone za wzór życia Chrystusa Pana i to życie w sobie w przybliżeniu powtórzyć; drugi, że duszą i cechą trzeciej najwyższej epoki tych dziejów ma być miłość, doskonałe pogodzenie bytu z sumieniem, zbiorowej woli ludzkiej z wolą Bożą.

Dla człowieka śmierć jest (jak wiemy) koniecznem przejściem do wyższego życia. W życiu Chrystusa Pana śmierć była nietylko dziełem odkupienia, ale konieczną poprzedniczką zmartwychwstania i wniebowstąpienia. W dziejach ludzkości nie może ten fakt śmierci i to prawo odżycia przez śmierć, stwierdzić się na ogóle, na całym rodzie ludz-

kim, ale tylko na pewnej jego części. Wszystko to wywiedliśmy już wyżej z własnych słów Krasińskiego. Weźmy to za punkt wyjścia, i idźmy dalej.

Jeżeli jeden duch ludzki, po śmierci ciała, w nowych walkach i trudach, ale i w nowych zasługach, podnosi się do coraz wyższego bytu, to podobnie duch zbiorowy pewnej części ludzkości, pozbawiony swego ciała, czyli swojego widomego politycznego bytu, ma wyrabiać się do wyższej doskonałości: a jeżeli do niej dojdzie, doczekać i dosłużyć się bytu nowego, który będzie dla tego zbiorowego ducha, tem czem jest dla jednego, indiwidualnego, zmartwychwstanie w ciele uwielbionem. Odłóżmy na bok filozoficzną i poetyczną terminologię Krasińskiego — (próba grobu, śmierci niema — wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny) a jego nauka w swojej istotnej treści wyjdzie na to, że społeczeństwo, które upadło, jeżeli w upadku swoim będzie wyrabiać w sobie zalety i siły, a zwyciężać słabości i wady, może w tym stanie materyalnego niebytu wzmocnić się i naprawić tak, że przy zdarzonych okolicznościach stanie o własnej mocy, i zajmie miejsce na świecie może większe niż zajmowało dawniej. Jego własna wartość wzrośnie; z wartością wzrośnie łaska i pomoc Boża; a skutkiem tych połączonych czynników będzie siła i pełność życia. Oto, co znaczy *próba grobu* jeżeli ją przełożymy na prosty język trzeźwej i powszedniej prozy: a wtedy pokaże się, że tajemniczość, mistyczność, mglistość, jest w pozorach i osłonach tej myśli, ale nie w jej istocie i treści. Umysł najtrzeźwiejszy, najbardziej sceptyczny, nie może powiedzieć, żeby takie spożytkowanie swego nieszczęścia, takie w niem odżycie, było rzeczą w zdrowej logice i w praktyce niemożliwą.

Krasiński zaś nie mówi nigdzie, iżby ono było rzeczą konieczną i niechybną. To być *może,* ale to *nie musi* być. Odżycie w próbie grobu i przez nią, zależy od sposobu w jaki się ta próba odbędzie. Jeżeli odbędzie się ze świadomością, że jest próbą, ze stałą wolą wyrobienia w sobie cnoty i siły, i z rzeczywistym tej woli skutkiem, w takim razie nastąpi nietylko odżycie, ale życie pełniejsze i piękniejsze, bo roz-

szerzone, zahartowane i rozjaśnione przebytym trudem, zdobytym charakterem i doświadczeniem, zasługą tej szlachetnie przebytej próby, i brakiem odpowiedzialności za złe, jakie się przez ten czas na świecie działo. Jeżeli zaś przeciwnie, złe weźmie górę nad dobrem, pokusa nad sumieniem i duchem publicznym, jeżeli próba, zamiast to społeczeństwo poprawić i podnieść, zepsuje je tylko i stoczy, wtedy nie będzie odżycia ani życia, tylko śmierć i rozkład — „nicestwo“ — które to społeczeństwo samo sobie „na dnie przepaści pościele“.

Przypuśćmy teraz, że to społeczeństwo ma tę świadomość swego stanu i tę wolę wyrobienia się i podźwignienia, że w swoim upadku statecznie i nieustannie pacuje nad tem, żeby wyrobić i zdobyć sił i przymiotów coraz więcej, a wad i słabości swoich się pozbyć. Przypuśćmy, że tą pracą doszło do wielkiej sumy rozumu i charakteru, a w ślad za tem nabyło i sił materyalnych. Przypuśćmy dalej, że to wszystko zyskawszy, ono chrześciańskiego sumienia, świadomości złego i dobrego, nietylko nie zatraciło, ale owszem przez swoje ciężkie doświadczenia nabrało wyższego i jaśniejszego pojęcia swoich obowiązków i ludzkich przeznaczeń: że jego uczucie sprawiedliwości względem drugich — (miłości bliźniego w stosunkach publicznych i międzynarodowych) — wzmocniło się i wyostrzyło; że ono ma stały zamiar godzenia swojej woli i swoich postępków, z prawem Bożem i z dobrem bliźniego: rzecz prosta, że byłoby to społeczeństwo bardzo szlachetne, bardzo zdrowe, i bardzo rzetelnie bardzo wysoko cywilizowane. Takiem zaś będąc, skoroby raz czynnie w dziejach świata wystąpiło, musiałoby grać w nich rolę nietylko dobrą i piękną, ale wielką. Działałoby swoją wolą i swoją mocą, ale i swoim przykładem także; byłoby w swojej epoce miarą i typem tej chrześciańskiej cywilizacyi, do której ludzkość ma stopniowo dążyć i dojść. I znowu przełóżmy na powszedni prozaiczny język takie wyrażenia Krasińskiego jak „będziesz mocarstwem — aniołem“ albo „stań nad niemi ich na ziemi — ideałem“ — albo „dadzą światu jej koronę“, słowem weźmy trzeźwo i prozaicznie poetyczne ostatnie *Widzenie z Przedświtu*, a znowu będziemy musieli

powiedzieć, że niema tu nic, coby było w zdrowej logice i w praktyce spraw ludzkich niemożliwem.

Po tem wytłomaczeniu *Próby Grobu* przejdziemy do drugiej kwestyi, do zastósowania tej nauki. Tą częścią ludzkości, która próbę grobu odbywa jako streszczenie i wyobrażenie całości, która z tej próby ma wyjść przemieniona i w swojem nowem życiu być wzorem doskonałego chrześciańskiego narodu, jest podług Krasińskiego Polska. Dlaczego ona? jak poeta uzasadnia to swoje mniemanie i to jej przeznaczenie?

Jego argumenta filozoficzne znamy. Śmierć jest koniecznym warunkiem wyższego życia, a ten warunek dopełnił się w dziejach tego narodu. Ale filozoficzna teorya nie wystarczy, jeżeli jej nie potwierdzi i nie sprawdzi praktyka, historyczna rzeczywistość. *Psalm Wiary* mówi, że między narodami ziemi, są niektóre na to wybrane, by wyrobiły „więcej miłości i więcej braterstwa“ i „wyższe w ludziach pojęcie o Bogu“. „Takim jest naród Twój polski o Panie“. Ale na to, by swoją męką i walką wyrobił to wyższe pojęcie i tę większą miłość, musiał on przecie już przed swoją próbą mieć pierwiastki, zarody, przeczucia, popędy tej wyższej miłości. W swoim pierwszym bycie (niepodległym), Polska nieświadomie, instynktem, nie statecznie i nie ciągle, ale jednak wyraźnie i rzeczywiście miała to poczucie miłości i tę zgodność swojej woli z wolą Bożą. Jadwiga naprzykład jest figurą wzniosłych poświęceń i ich skutku. Nie grabieżą, ale poświęceniem dla wyższej idei, dla wiary i Ojczyzny, i dobrowolnem połączeniem się dochodzi Polska do wielkiego znaczenia, i daje przykład, jak można róść w potęgę nie przekraczając praw Bożych, ani praw ludzkich nie gwałcąc. Kiedy się bije z Turkami, ze Wschodem w ogólności, zasłania Kościół przed zalewem wiar fałszywych, cywilizacyę przed zalewem barbarzyństwa. Cudzego nie żąda; nikogo nie oszukuje ani nie zdradza; w potrzebie broni drugich, i bronić sobie ma za obowiązek. Kiedy Francya sprzyja po cichu Turkom ciągnącym na Wiedeń, bo widzi w tem korzyść dla swego z domem habsburskim współzawodnictwa, Polska czuje, że są w tej sprawie wyższe ogólne względy, i Wiednia

broni, chrześciaństwo ratuje. Z czasem budzi się w niej nawet czujniejszy i trudniejszy głos sumienia; dochodzi do świadomości złego w sobie, sądzi się, i z tą świadomością bierze się do poprawy własnej w Sejmie Czteroletnim. Wszystko to służy Krasińskiemu za dowód, że ona ma w sobie wyższość moralną, że ma pierwiastki na prawdziwie chrześciański uczciwy naród, i na takież Państwo.

W chwili tej obudzonej i rozwiniętej jak nigdy przedtem świadomości siebie, straciła byt polityczny: ale ta świadomość jej została. Jest ona dziś w takim stanie, w jakim jest duch po śmierci ciała i bez ciała; ma świadomość siebie, ma wolę, ale nie ma organów ni możności działania. Ztąd wynika konieczna i nieunikniona jednostronność, niezupełność wszystkiego co przedsiębierze, niezupełność i dysharmonia w niej samej. Ale jest tasama, owszem wyższa szlachetność; jest wierność dobrej sprawie, jest zdolność poświęcenia, jest wiara w sprawiedliwość Boską i w zwycięztwo dobrego nad złem; i jest świadomość tej woli Boskiej i tej powinności ludzkiej, skutkiem której świat ma dążyć i dojść do szczęśliwości opartej na sprawiedliwości, wydobyć z siebie „więcej miłości i braterstwa“. Te własności, które Polska zachowuje, przechodząc „przez piekła trudu, przez czyśca zasługi“, mogą sprawić — jeżeli ich nie zatraci tylko je rozwinie — że z czasem jej duch znajdzie znowu swoje ciało, myśl złączy się z bytem, a wtedy nastąpi to uzupełnienie istności, które w Trójcy Bożej jest skojarzeniem Ojca z Synem, w troistej istocie ludzkiej żywotem wiecznym, w troistych dziejach ludzkości świadomym *czynem* wypływającym ze zgodności woli ludzkiej z wolą Bożą, którego to *czynu* organem i środkiem są wolne narody ujęte w kształt państw uczciwych, a celem ludzkość cała przemieniona w jeden kościół, w jedną społeczność braterską i prowadzącą wszystkie duchy indywidualne do żywota wiecznego.

Tak się tłómaczy nauka *Przedświtu,* tak Krasiński rozumiał jego dwa *widzenia.* Kiedy zapytał ojców, „czemu życie w życia chwili z taką pychą roztrwonili“, zjawiły mu się duchy tych ojców i odpowiedziały przez usta Czarnieckiego

znaną teoryę *próby grobu*. Przeszłość, która do niej wiodła, nie była nieszczęściem (Ty nie szukaj w ojcach winy), skoro wiodła do tego przejścia, z którego możemy wyjść jako „Ludów Lud jedyny“. To, co nam wydaje się ojców winą, było z Bożego przejrzenia koniecznością, tym ojcom nieznaną, ale dla nas błogosławioną, skoro było drogą i warunkiem do tego przyszłego wyższego życia. Gdy zaś tę odpowiedź usłyszał i zrozumiał, wtedy ma poeta widzenie drugie, widzenie tej przyszłości, tej wyższej epoki dziejów, w której ludzkość cała śladem i wzorem Polski wstępuje na wyższy stopień rozwoju, zbliża się do swoich ostatecznych przeznaczeń.

Wszystko to nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Prolegomenów* Cieszkowskiego, (a pośrednio troistości Hegla), wszystko może wydać się mylnem, ale wszystko jest wyrozumowanem, rozumowo połączonem i dowodzonem — mistycznem nie jest. Zostaje tylko ostatnią i najważniejsza kwestya, kwestya „Chrystusowej ofiary“. Jak Krasiński tę rozumie?

„Jak im niegdyś Syna dałem,
„Tak im Polsko ciebie daję“ —

to dość jasne i wyraźne, a same w sobie wzięte, równie zuchwałe jak niedorzeczne. Ale czy byłoby słusznie brać to dosłownie, i przypuszczać, że Krasiński identyfikuje Polskę z Chrystusem Panem? To oczywiście nie. Wiemy, że podług niego dzieje ludzkości mają być wyobrażeniem i powtórzeniem Jego ziemskiego życia, i wiemy, że w losach jednego narodu ma się powtórzyć śmierć i zmartwychwstanie; ale jest wyobrażenie, powtórzenie, figura, nie tożsamość. To pierwsze zastrzeżenie jakie na korzyść Krasińskiego należy zrobić i zapamiętać. „Ona“ (Polska) „pośrednikiem między bólem teraźniej-„szym, a zbawieniem w przyszłości, ona *wyobraża* Chrystusa na ziemi“ — (do Słowackiego 26 Stycznia 1843). W innych listach znalazłoby się ustępów wiele na dowód, że tę „Chrystusową rolę“ pojmuje Krasiński jako przejęcie się duchem i prawem Chrystusa (naprzykład do Sołtana z 17 grudnia 1841, z 26 stycznia 1842, z 20 maja 1844, do Stanisława Koźmiana z 6 marca, z 3 kwietnia 1847, a zwłaszcza list

niewiadomy, domyślnie do Gaszyńskiego, z 25 grudnia 1841, przedrukowany przez p. Sternala przy rozprawie o *Przedświcie*); ale poprzestać można na tym jednym, jako najwyraźniejszym i zarazem najkrótszym. Pisze więc dalej tak: „Ona“ (Polska) „na teraz absolutną prawdą odrodzenia się „ludzkiej natury. Bez niej nic, a przez nią wszystko będzie. „Ale na to ona powinna wiedzieć o sobie samej, że przez „łaskę i miłość Wszechwiedzącego przemieniła się z kraju „w Ideę, z historycznego wypadku w religijną prawdę. Była „niegdyś *figurą* przyszłości; jako figura, jako znak, rozbitą „została. Teraz musi się stać nie już *obrazem*, ale zakonem „przyszłości; musi *objawić prawo Boże, myśl Pańską* o ludz„kości“. Pokazuje się z tego, że jest *figura*, ale nie tożsamość; dalej, że figura możebna tylko, ale nie już rzeczywista, skoro *musi objawić prawo Boże*, ale na to musi pierwej *wiedzieć o sobie*, że ma być nie *obrazem* ale zakonem. Jeżeli nie dopełni tego warunku, to oczywiście nie dopełni także tego przeznaczenia.

Zatem, niema tożsamości Chrystusa Pana i Polski, i jest warunkowość jej przeznaczeń i przyszłości.

Idźmy dalej i zapytajmy, czy Krasiński myślał, że Polska ze świadomością i dobrowolnie przyjęła ten los i to przeznaczenie? „Z męki bez granic w jednym wstanie życie bez miary dla wszystkich“, mówi *Niedokończony Poemat;* ale na to, żeby męka była ofiarą, trzeba żeby była świadomie i dobrowolnie przyjętą. Z tej logicznej trudności wychodzi Krasiński z pomocą swojej filozofii. W epokach przeszłych — mówi Cieszkowski w *Prolegomenach* — były działania instynktowe, nieświadome, *(Thatsachen)*, ze zgody dopiero woli z sumieniem wynikną w epoce przyszłej czyny świadome *(Thatsacten)*. To bierze Krasiński za podstawę, i mniema, że za dawnej Rzeczypospolitej, Polska choć miała instynkta i pierwiastki „miłości i braterstwa“, to miała je wrodzone, dane, ale niewyrobione, nieświadome; bezwiednie też, bezwłasnowolnie, doszła do swego upadku i swojej męki. Ale w chwili, kiedy do tego kresu dochodziła, już ta świadomość była się ocknęła, a z czasem rozwinęła się bardziej,

i dziś Polska z wiedzą i wolą pragnie dojść i przyczynić się do urzeczywistnienia myśli Bożej i prawa Bożego w ludzkości i w historyi. Przed rozbiorami były w niej wrodzone instynkta i uczucia, dziś jest świadomość i wola; nie była zatem ofiarą dobrowolną, zgadzającą się na swój los naprzód, z góry, ale stać się taką może przez świadomość swojej męki *ex post,* i przez wolę podniesienia się w niej i przemienienia [1]).

A jakże teraz pogodzić te świetne wróżby przyszłości z gorzkiemi i pogardliwemi narzekaniami na teraźniejszość, z surowym (aż do przesady) sądem o przeszłości. W *Przedświcie,* w *Psalmach,* w *Dniu Dzisiejszym* Ezechielowe widzenia niebieskiej Jerozolimy na ziemi z Polską za jej punkt środkowy, w wielu listach tasama nadzieja i wiara; a w wierszu, który nazwalibyśmy *Do lichych Polaków,* w liście do Sołtana z Pragi 1836 r., w liście z Warszawy dnia 12 i 20 maja 1844 r., takie obrzydzenie na widok Polski dzisiejszej! w liście do ojca (ogłoszonym przez Szujskiego w drugim tomie *Opowiadań i Roztrząsań* 1882 r.) takie lekceważenie naszej historyi i oświaty, że jedne czyta się z boleścią, a drugie z gniewem. Cóż więc jest prawdą, i jak te sprzeczne uczucia i sądy pogodzić?

Przedewszystkiem w optymizmie jak w pessymizmie Krasińskiego trzeba odliczyć wiele na karb poetycznego usposobienia i chwilowego wrażenia. Jeżeli każdy człowiek pod wpływem silniejszego wrażenia, czy się zachwyci, czy oburzy, daje uczuciu swemu zbyt często wyraz przechodzący miarę tego uczucia, — to zjawisko to, dobrze nam z doświadczenia znane, tem silniej i tem łatwiej występować musi u człowieka z poetyczną fantazyą i z organizacyą fizyczną niezmiernie drażliwą. Kiedy Krasiński widzi złe w Polsce dzisiejszej, wpada w gniew i pogardę tem większą, im bardziej pragnąłby ją szanować i podziwiać; pod tem wrażeniem złego wybucha gniewem i wzgardą, a nie mówi o dobrem jakie obok złego jest, jakie wskazałby sam odrazu, gdyby go o nie

---

[1]) Obszerniej o tem pan Sternal o *Przedświcie,* str. 30 i 31.

zapytać. Kiedy porównywa wątek i rozmiary cywilizacyjnej pracy krajów zachodnich i Polski, te ostatnie wydają mu się tak małe, że znowu wpada w gniew i staje się niesprawiedliwym. Ale jedno jak drugie godzi się przecie z jego teoryą nietylko dlatego, że surowość i gorycz jest wrażeniem chwilowem i zbyt dosadnie wyrażonem, ale dlatego zwłaszcza, że to wszystko złe, jakie jest i jakie go tak oburza, jest koniecznym warunkiem i skutkiem tego stanu przejściowego, niedopełnionego, w jakim jesteśmy. Era chrześcijańska cała jest erą rozbratu, walki, rozłamu, po których dopiero nastąpi harmonia; okresem rozstroju politycznego, społecznego i moralnego, jest tem bardziej i tem konieczniej dzisiejszy stan Polski. Ale to stan przejściowy, złe nieuniknione lecz przemijające, a przynajmniej takie, które przeminąć może i powinno; a po jego przezwyciężeniu owa przyszłość lepsza będzie mogła się zacząć. Tensam list do Sołtana, taki groźny i rozpaczliwy w swojej pogardzie, kończy się obietnicą, że „przychodzi czas, w którym urzeczywistni się przepis Chrystusowy: Jeden Bóg, Jedno Prawo i Jedna Prawda“ i kończy się *Psalmem Miłości*.

Pozostawałaby jeszcze kwestya stosunku *Przedświtu* do Messyjanizmu Mickiewicza i Towiańskiego. Odpowiedź jest łatwa. Punkt wyjścia jest tensam, dzisiejszy stan świata i narodu; ale rezultat jest zupełnie inny. U Krasińskiego niema nowego objawienia, ani nowej wiary, ani szeregu objawicieli czyli *słów*, ani całego cudownego, czy cudotworczego mistycznego pierwiastku, jaki tam jest. U Krasińskiego niema trzeciego zakonu, któryby do Chrystusowego miał się tak, jak ten do Mojżeszowego; jest tylko lepsze wypełnienie, urzeczywistnienie Chrześciaństwa, i ono bez osobnego nowego objawienia, będzie nowym oczekiwanym wylewem łaski, obiecanem *Pocieszeniem* przez Ducha św. Różnica tak widoczna i zrozumiała, idea sama i jej następstwa tak oczywiście zasadniczo odmienne, że niema nad czem długo się zatrzymywać [1]).

---

[1]) Pan Sternal, w rozprawie o *Przedświcie* przypuszcza, że jednym z głównych powodów jego napisania była polemika

Taka jest w prozaicznym wykładzie i streszczeniu myśl *Przedświtu*. Objaśniona listami wydaje się ona prostszą, mniej błędną, niż wydawała się dawniej, kiedy te listy nie były znane. Owa Chrystusowość Polski, przeciw której najsłuszniej występowało wielu, Klaczko pierwszy, a po nim w swoich młodzieńczych wierszach Szujski, przy pomocy listów nie okazuje się takiem religijnem zuchwalstwem, ani takim historycznym fałszem, za jakie braliśmy ją dotąd. Poetyczne wyrażenia przedstawiły myśl Krasińskiego w świetle nie zupełnie takiem, w jakiem on ją widział.

---

z Messyanizmem i sprostowanie jego błędnych nauk. Za dowód służy mu list do Gaszyńskiego z 16 czerwca 1843 r.: „Zdaje się, że szkoła nie rada, iż jej myśl odtajemniczoną „została, odmistycyzowaną; wolałaby dłużej pozostać w sta„nie mysterium czy mistyfikacyi". Słowa te dowodziłyby tylko, że Krasiński widział w Messyanizmie niektóre pierwiastki prawdy, i że to w swojem mniemaniu nie mistycznie w *Przedświcie* wyłożył, ale niedowodziłyby, że w tym celu (choćby ubocznym tylko) *Przedświt* pisał. Miał sam myśl, którą uważał za prawdę i chciał ją objawić, nic więcej. Dla polemiki z Towianizmem, który nazywa wierutnem głupstwem, ani dla jego prostowania nie byłby pisał dzieła, do którego dobył wszystkich sił swego umysłu i wszystkich uczuć swego serca. Związku z Messyanizmem dowodziłby raczej list do Słowackiego, z Rzymu 26 stycznia 1843 r., „O to kusicie się bracia moi" (by myśl Pańską o ludzkości objawić) — „błogosławieni jesteście za to, żeście „pierwsi pojęli to i starali się to uczynić". To byłoby świadectwem oddanem Messyanizmowi, gdyby zaraz potem nie następowało zastrzeżenie, że Messyanizm nie zrobił tego o co się starał, i gdyby cały list nie był widocznie na to pisany, żeby Słowackiego od Messyanizmu odwrócić. Jak zwykle w takich razach, Krasiński wchodzi w jego myśl, postępuje z nim łagodnie, przyznaje mu częściową słuszność lub zasługę, ale na to, żeby tą drogą łatwiej do jego przekonania trafić.

Należałoby dojść, czy do napisania *Przedświtu* nie przyczyniła się książka (lub może broszura) *La Résurrection* par Stoffel, którą Krasiński w listach sławi jako szczególnie mądrą i wzniosłą. W krajowych bibliotekach publicznych jak prywatnych, nie mogliśmy jej znaleść.

Czy w *Przedświcie* jest prawda, albo nie? Nie dochodzimy dłużej. Powiedzieliśmy wyżej, co w naszem przekonaniu jest w nim prawdą. Pojmujemy, że można o tem różnie myśleć i sądzić. Można mówić, że to jest zupełnie nieprawdą, można wybierać i oddzielać prawdy od złudzeń, można zupełnie wierzyć, można zupełnie nie wierzyć i śmiać się, gdyby kto miał tę odwagę zaiste nie do pozazdroszczenia; to wszystko można robić z dobrą wiarą. Ale jest jedno, czego z dobrą wiarą zrobić nie można, to z *Prześwitu* wywodzić wniosek, jakoby Krasiński z jakiegoś mistycznego kwietyzmu, z jakiejś niby a fałszywo-religijnej rezygnacyi, był się godził na rozbiór Polski, z czego potem wydedukować próbowano, jakoby był chciał, czy radził, w nim pozostać.

Ze słów „łaska Boża nas wegnała w te bezdroża", i z ostatnich „błogosławcie ojców winie", wyciągnięto tysiące przeciw Krasińskiemu zarzutów i oskarżeń; nie wiedzieć czy bardziej rozśmieszających swoją głupotą i niezrozumieniem jego myśli, czy bardziej oburzających złośliwością i złą wiarą. Mówiło się naprzykład, że „błogosławcie ojców winie", to ma znaczyć błogosławcie veto, błogosławcie wojny kozackie, magnatów rokoszanów, pańszczyznę, adskrypcyę do gleby; bez mała dowodzonoby, że kazał błogosławić saską głupotę i opilstwo. A znowu kiedy „łaska Boża nas wegnała w te bezdroża", więc ztąd niby oczywista konkluzya, niby Krasińskiego, że trzeba w tych bezdrożach siedzieć i chwalić tę mniemaną łaskę Bożą. Naciąganie zadziwiająco śmiałe; a tak widoczne, tak niezgrabne, że nie może się osłonić, ani najlżejszym nawet pozorem dobrej wiary, a złego zrozumienia. Bo wyobraźmy sobie człowieka najbardziej ograniczonego i zakutego, który Krasińskiego nigdy nie czytał, który nie zna, a gdyby znał nie mógłby zrozumieć całego poglądu Krasińskiego na historyę, któryby nie rozumiał i nie wiedział, że podług tego poglądu próba grobu jest koniecznością wyższego i pełniejszego życia, to i taki jeszcze, gdyby czytał z dobrą wiarą tylko, to zaraz po owych niby tak gorszących bezdrożach, w które zagnała nas łaska Boża, za co ma być pochwalona, znalazłby wytłómaczenie i powody jasne i zrozu-

miałe. „Niechaj będzie pochwalona“ „Bo ojczyznie mojej dała z piekieł ziemskich wynijść łona“ itd., a „Błogosławcie ojców winie“, to nie znaczy „błogosławcie złemu, jakie oni robili“, ale błogosławcie tę przeszłość, że doprowadziła was do próby grobu, z której wstaniecie, jako Ludów Lud jedyny.

Wobec słów tak jasnych, tak wyraźnych, tak niewątpliwego znaczenia, trzeba nie już zaślepienia, ale najzuchwalszego naciągania, żeby myśl Krasińskiego wystawić w złem świetle. Gdyby kto zarzucał jego teoryi utopijność, mistycyzm, fałsz, nawet niedorzeczność, wszystko to dałoby się może zbić, ale da się twierdzić, i bronić, i dyskutować; ale wyciągać z tych słów wnioski przeciwko jego tendencyi, jego przekonaniom i uczuciom, wyciągać z nich broń przeciw jego osobie, słowa przekręcać i naciągać, a z człowieka robić karykaturę jakiegoś ogłupiałego fakira przeszłości, albo zgnuśniałego w religijnym kwietyzmie mistyka to tylko dowodzi, jak nasze ciasne i płaskie chwilowe uprzedzenia i mizerne namiętności wszystko do siebie ściągają, podług siebie mierzą i sądzą, jak nasza dobra wiara i nasza dobra wola obchodzi się z tem nawet, co mamy największego, i jak zawsze mała namiętność małych ludzi takie widzi świata koło, jakie tępemi zakreśla oczy.

Ale oprócz filozoficznej i moralnej treści, jest poetyczna forma *Przedświtu*. On jest poematem nie traktatem. Cóż o tej stronie rzeczy powiedzieć?

Przedewszystkiem to, że oznacza zwrot w zawodzie (po części nawet w talencie) swego autora. Dotychczas był to filozoficzny poeta, piszący allegoryczne poemata, ale był poeta głównie. Jego władzą przy tworzeniu, najczynniejszą była fantazya, wyobraźnia; z niej wyszła *Nieboska komedya* i *Irydion*. Teraz poemat poczęty w wyobraźni znika, znika ta forma poematu i znika allegorya, kształt jakiś, służący do wyrażenia pewnej idei. Myśl, znaleziona prawda, jest dla poety samego tak jasną, że nie potrzebuje tych pomocy, osłon i dodatków, wyraża się wprost i w formie najbliższej, najmniej szukanej i obmyślanej, w formie niejako przyrodzo-

nej lirycznego wiersza. Ale nie sama tylko forma, treść także zmienia się od tego czasu stanowczo. Aż dotąd były to filozoficzne, polityczne, lub moralne myśli, wypowiedziane z widoczną tendencyą, ale ukryte w poetycznych pomysłach i kształtach. Od *Przedświtu* myśli te dla poety samego jaśniejsze, wyrażają się jeżeli nie dogmatycznie, to przynajmniej dydaktycznie i praktycznie. Tendencya nie każe się szukać i dobywać z pod poetycznych obsłon, leży na wierzchu i wyłożona jest tak dokładnie, mierzy tak prosto najkrótszą drogą w swój cel, że występuje nierównie wyraźniej, aniżeli w dawniejszych poematach. Są to albo poemata filozoficzne, jak *Przedświt,* albo wprost polityczne i okolicznościowe, jak *Psalm Miłości*, ale zawsze z tym charakterem otwarcie tendencyjnym i dydaktycznym. Nie można mówić, że talent poetyczny Krasińskiego zmalał i skrzywił się, kiedy wydawał *Przedświt* i *Psalmy,* ale przewaga myśli nad fantazyą, dydaktyzmu i tendencyi nad poezyą, jest w nich widoczna i niezaprzeczona. Niektóre ze świetnych poetycznych darów autora *Irydiona* leżą odtąd odłogiem, są mu niepotrzebne, stają się nieczynne; filozofia historyi i filozofia polityki chrześciańskiej bierze górę nad poezyą.

Czy z tego ma wynikać, że *Przedświt* nie jest poezyą? Jest jedną z bardzo pięknych i szczytnych na świecie; nie przez samą wzniosłość uczucia i myśli, ale przez świetność formy, przez moc poetycznego natchnienia, które (w tem dowód i miara wielkości Krasińskiego jako poety) tak się z dydaktyzmem i tendencyą łączy, że na niej nawet (rzecz jedna z najrzadszych na świecie) wybija swoje piętno, podnosi ją do swoich wysokości. Skrzydła tego natchnienia, to miłość ojczyzny i wiara w jej dobrą sprawę i przyszłość, to nienawiść złego w ludzkości, to wreszcie miłość tej, która była podówczas jego niewieścim ideałem. Że to natchnienie w *Przedświcie* (jak odtąd wszędzie, z jednym wyjątkiem *Psalmu Dobrej Woli*) nie utrzymuje się ciągle na tejsamej wysokości, to prawda; i to pod względem artystycznym szkoda tych poematów, powód ich niedoskonałości. Ale piękności pierwszego rzędu, jakie w nich są, dodane do głębo-

kiej i potężnej myśli, czynią zadosyć za usterki i stawiają je na szczytach poezyi polskiej.

Nie staramy się dochodzić, do jakiego rodzaju czy kształtu poezyi należy *Przedświt*. Można go liczyć do patryotycznych elegij, można mówić, że rozmiarami a poniekąd treścią zbliża się do *Ducha od Stepu* Zaleskiego; Lucyan Siemieński kiedyś za młodu widział w nim jakąś drugą *Pieśń o Ziemi naszej* Pola odmienną (istotnie, bardzo odmienną!) Klaczko mówi, że on jest jakżeby szeregiem canzon... z tych wszystkich definicyj żadna nie zdaje nam się przystawać dobrze do swego przedmiotu, a na definicyi, zdaniem naszem, nie wiele zależy. Poemat treścią do żadnego innego nie podobny, urobił sobie i formę dowolną, budowę nieregularną i jakoby bez planu. Ta forma zrobiła się sama, jak chciała. Poeta dbał o nią, chciał, żeby była piękną; szczegóły i drobiazgi piłował i poprawiał prawie do znudzenia (Listy do Gaszyńskiego); ale nad planem widocznie się długo nie mozolił. Jedyny plan, jaki w *Przedświcie* wyśledzić się daje, to ten, który układał się sam naturalnie, za logicznym związkiem i następstwem myśli i argumentów. Naprzód żałość i gorycz nad dzisiejszym stanem świata i wynikające z niej pytanie „za co życie w życia chwili, z taką pychą roztrwonili“ — potem odpowiedź i wytłómaczenie zagadki dziejów aż do dnia dzisiejszego, a w końcu widzenie przyszłości. Na tym logicznym porządku zasadza się cały plan, cała budowa *Przedświtu*, dowolna zresztą, nieregularna, wykonana widocznie tak, jak chciało i dyktowało natchnienie każdej chwili.

Ale jeżeli chodzi o to, by dojść w czem tkwi tajemnica tego wrażenia, jakie *Przedświt* robi, i tajemnica jego poetycznej piękności, to szukać trzeba jednej w jego związku ze wszystkiemi uczuciami i cierpieniami narodu od rozbiorów do dziśdnia, drugiej w mocy i piękności stylu, która wytworzona przez moc i głębokość uczuć, jej odpowiada i dorównywa.

Ten związek z powszechnem uczuciem patryotycznem

jest nie w samych tylko nadziejach, czy widzeniach przyszłości, on jest ciągle, we wszystkiem.

Na pierwszej karcie zaraz znajduje się wyraz na jedno z uczuć najpowszechniejszych a najbardziej dręczących i dręczących zwykle długo, dopóki sobie człowiek jakiegoś tłómaczenia, jakiejś pociechy nie znajdzie. „Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany“, to oczywiście nie ściąga się do wszystkich; ale potem zaraz następuje to, co Konrada w *Dziadach* doprowadziło do rozpaczy i do krzyku, że Bóg jest carem świata, co różni poeci po Krasińskim na różne sposoby wyrażali (Ujejski np. „I patrzym w niebo, czy z jego szczytu etc.“), co każdy choć nie poeta myśli i czuje, czego każdy spodziewa się i czeka, i każdy się wyrzeka: a czego nikt nie wyraził piękniej, z głębszym i poważniejszym smutkiem jak Krasiński, wiary, że niesprawiedliwość ustać musi i zdziwienia, że ona jeszcze nie ustaje:

Zrazu jam myślał, że Bóg miłosierny,
Na dumne dumny, ale wiernym wierny i t. d.

Choć niema tego, ktoby mógł o sobie powiedzieć, że jak Dant za życia przeszedł przez piekło, przecież każdy czuł tosamo choć raz w życiu, i dlatego to poemat zaraz na wstępie chwyta go za najczulszą strunę serca. Wiersz ostatni „coraz podlej na tej ziemi było“ jest doskonałym przykładem tej właściwości, tego daru szczególnego, jaki Krasiński miał, żeby w kilku najkrótszych i najprostszych słowach wycisnąć samą essencyę rzeczy, określić jakiś stan rzeczy, napiętnować człowieka czy uczynek. Tacyt, Dante, Bossuet, ci mistrze słów krótkich jak piorun i jak on zabijających, nie mogliby powiedzieć lepiej. U Krasińskiego zaś jest to jeden z wielu, z niezliczonych prawie przykładów tej jędrności i dosadności wyrażeń, jaką ma — zwłaszcza w pogardzie.

W odmiennym tonie i stylu, ale znowu niezrównanej piękności jest ustęp pierwszy: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem“, wierne odbicie chwil szczęścia i uniesienia, tego „pół-

tora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior", które przebył „kąpiąc się w słońcu i księżycu.., i czując, że jeszcze mogę być szczęsnym, natchnionym"... (List do Gaszyńskiego 18 listopada 1841).

Cudowny ustęp poetyczny; nie obraz, nie opis natury, ale przypomnienie tak silne jakiejś błogości i piękności w naturze i w duszy człowieka, tak rzadkie przytem u Krasińskiego uczucie szczęścia, a tak charakterystyczne dla niego to wrażenie szczęścia przez jedność, przez zupełną harmonię pomiędzy człowiekiem, światem i Bogiem, że pomimo jednego wiersza, raczej jednego wyrażenia może cokolwiek prozaicznego: „rzeczywistość się pomału w świat przemienia ideału", ustęp ten jest jednym z klejnotów naszej poezyi.

Ale gdyby tylko błogość, tylko piękność, tylko szczęście, on nie byłby pisał. W tem odbiciu jakiegoś nieopisanego szczęścia, charakterystycznie odzywa się to, co nad wszystkiem góruje w jego duszy. On jest tak szczęśliwy, tak mu dobrze i błogo, aż mu się zdaje „że w tej chwili ze snu trumny jego święta gdzieś już wstaje". To prawdziwa miara szczęścia; do niej odnosi, z nią porównywa co dozna dobrego, a kiedy się szczęśliwym czuje, to nie może być inaczej, tylko i tam musi się dziać coś dobrego, musi się jakieś szczęście przybliżać! Zaraz też wspomnienia zachwytu i uniesienia przechodzą w ton inny. Dziwna para kochanków, dziwna miłość! wśród rozkosznej włoskiej nocy na błękitach jeziora, powinniby zapomnieć o świecie w swojem szczęściu, jak Julia Szekspira, kiedy zapominała o śpiewie skowronka; oni tymczasem zamiast patrzeć sobie w oczy „podnoszą wzrok w górę" i winszują sobie, że „nim zstąpi cud i zbawi tych, co w dawnym śpią kościele, nam zwątpienie serc nie krwawi, nam nie brudzi czoła trwoga". Te dwa serca tak blizkie siebie, jak one przecież są od siebie samych daleko, jak wysoko nad sobą samemi; oni myślą, że w tej pięknej chwili „może słucha ich Duch Boży", a więc:

„Módl się ze mną, wymów imie,
„Co wypadło z lutni życia etc.

i następuje potem to zaręczenie, że zmartwychwstanie jest prawem tych, co odbyli próbę grobu, „nie im, sobie“ winien je Bóg. „Wiecznotrwały ten na ziemi, kto swą śmiercią życie plami“. A dalej ton nowy; trzeci pierwiastek jego natchnienia: oburzenie i wzgarda. Świat dzisiejszy czy z kupiecką zysku szalą, czy z bagnetem i pałaszem, jest światem złego, które niesie tylko śmierć nie życie i musi zginąć marnie. Wielkie, szlachetne oburzenie Krasińskiego na cały ten porządek rzeczy, na dyplomacye i rządy „szpiegi, katy i półśrodków sztucznych pany“, nigdy nie wybuchło silniej, nigdy nie było tak dumnem i wspaniałem, jak tu, kiedy z wielkiej pogardy nawet przeklinać nie raczy. Nigdy inwektywa nie była namiętniejszą, wścieklejszą i wspanialszą.

To część pierwsza poematu, odpowiadająca pierwszemu twierdzeniu wstępu; to ten stan świata podobny do Rzymu za dni Cezara, świat, który potrzebuje pomocy i pierwszy dowód blizkiego przesilenia. Ale gdzież pewność, gdzie dowód, że tem przesileniem ma być Polska? W jej historyi.

U Słowackiego w Beniowskim jest jeden ustęp niezrównanej rzewności i tęsknoty, w którym on zwraca się do przeszłości z takim żalem, z jakimby człowiek myślał o swojem miejscu rodzinnem, gdyby z niego był wygnany nazawsze.

Dawna ojczyzno moja — o jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy etc.

Tosamo uczucie, tęsamą myśl i z nie mniejszą rzewnością wyraża Krasiński, kiedy mówi:

„Znasz ty miłość, która nęci
„Wiecznie duszę w kraj pamięci“...

Ale on do tej myśli dodaje drugą, a także powszechną, powszechną jak pytanie do Boga, co robi, że pozwala na to co pozwala, pytanie bolesne do przeszłości, do dawnej Polski, dlaczego nie lepiej swojemi losami kierowała:

Za co życie w życia chwili
Z taką dumą roztrwonili etc.

I teraz przychodzi wytłómaczenie historyi polskiej. Tłómaczenie zbyt piękne zapewne, zbyt idealne, ale w które poeta święcie wierzył — „Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn, Żółkiewskiego zgon, Batorego hart, Jadwigi niepokalaność“ — wszystkie te wzniosłe piękności historyi, były dla niego, jak wiemy, dowodem i rękojmią wzniosłych przeznaczeń narodu, zakładem, że Polska rzeczywiście być zaczęła „uwidomieniem objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami“; myśl którą miał i Brodziński i Mickiewicz także, której ostatni używał jako dowodu, że nowe Słowo zjawi się w Polsce. Krasiński, jak oni, zapatrzony w te piękności historyi, nie wspomina o tem, co w niej było złem i grzesznem; dodaje swój pewnik, że co się ma odrodzić w wyższem, lepszem ciele, musi umrzeć, przebyć próbę grobu; i mówi, że ta przeszłość Polski, która wiodła do tej próby, bez której niema zmartwychwstania ani podniesienia, nie była nieszczęściem i złem, ale z Bożego przejrzenia koniecznością historyczną dla Polski i dla świata. A więc dlatego „Ty nie szukaj w ojcach winy, bo nie wiesz co czas blizki co daleki, i co Boskiej znak opieki“.

I wreszcie po wybuchu nieogarnionego, niewysłowionego szczęścia, obraz obiecanej przyszłej epoki: Polska „nieśmiertelna, nieskończona“, otoczona narodami, które wszystkie płoną pierwszym wschodem i potęgi i zwycięztwa „ale nie tak białe, mniej olbrzymie i wspaniałe, bo nie znaczone krwią męczeństwa, bo grób nie wyuczył ich ścieżek Pana, i te wszystkie ludy „w niej uznały Boże piękno, świata dadzą jej koronę“, a Bóg oddaje jej świat

By go wiodła czynu torem,
Aż się staną jej (ludzkości) plemiona
Jednym ducha arcytworem.

Doznaje się wielkiego smutku, kiedy się porówna te wróżby i obietnice, te uniesienia nadziei z rzeczywistością tej biednej królowej narodów, tego archanioła, który wygląda nie jak archanioł, ale jak wzgardzony paria, nie jak królowa, ale jak ostatnia w Europie najnędzniejsza żebraczka, nie w purpurze ale w łachmanach, nie w jasnych szatach przemienienia, ale w odzieży nie tak nawet czystej, jakby zwykła ludzka odzież być mogła i być powinna. Co za straszna ironia w tem marzeniu? co za smutna zarozumiałość? co za przechwałki wstrętne tam, gdzie tylko na pokorę i smutek jest miejsce? Tak wśród przedświtów pięknego poranka marzył wygnaniec, marzyła wygnanka? marzyli, a ich marzenie nie spełnione rozdziera serce i prawie zmusza człowieka spuścić czoło ze wstydu na tyle dumy, a tak mało do niej prawa! Czy istotnie? czy to wrażenie, jakie zostawia w duszy *Przedświt?* czy on jest tylko marnem urojeniem, tylko szumną a zuchwałą przechwałką? Nie. Jest tam warunek; jest pod zachwytem surowość, jest pod obietnicą groźba.

Słowo tylko, to marna połowa
Arcydzieł życia.

Słowo tylko, tylko uczucie, tylko miłość ojczyzny, to marna połowa arcydzieł życia; wiara w jej przyszłość nie zbawi, bo wiara bez uczynków jest martwa. Dopóki łódka na marzeń jeziorze, myśl tylko weszła nie człowiek do nieba; jest tylko nadzieja, tylko złudzenie, tylko fantazya, ale nie ojczyzna. „Modlitwa jedyna co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna, lecz nie zna myśli i czynów rozdziału, co głosem śpiewa, to wciela pomału w kształt dotykalny“: to znaczy, że to dobre, którego chce i które kocha, tworzy gdzie może i jak może naokoło siebie, a najpierwej w sobie. Tego żąda Krasiński, kiedy ostrzega przed rozdziałem myśli i czynów, kiedy mówi że słowo jest marną połową życia, ale każe je wcielać w kształt dotykalny i „patrząc na swoje widnokręgi, świat rzeczywisty wokół siebie tworzyć, równy pięknością światom ideału“. To nie marzenie, ani przechwałka; to prawda i prawda surowa i groźna, to warunek, bez którego obietnica

będzie złudzeniem i marą, ale w dniu kiedyby on był dopełniony, wtedy *Przedświt* mógłby stać się prawdą.

Czy tak będzie jak on mówi, to rzecz inna; ale to co już jest, to jest takie jak on mówi; a to co być ma, powinno być takie jak on mówi. Że naród w naszem położeniu, nie mogąc ujrzeć ani w sobie, ani po za sobą siły i pomocy do dźwignienia się z upadku, wszędzie pobity, wszędzie zawiedziony, a przecież żyjący, musiał szukać gdzieś po za rzeczywistością teraźniejszych stosunków, czegoś coby mu dało odwagę i tłomaczenie jego losów, to jest zupełnie naturalne. Szukał też długo uporczywie i zawsze w tym samym kierunku. Wreszcie znalazł się człowiek, który nie pierwszy wpadł na to szukane słowo zagadki, ale pierwszy sformułował je tak jasno, tak ściśle, tak rozumowo. Rzecz prosta, że to jego słowo odpowiadało najgorętszemu pragnieniu i najrzeczywistszej potrzebie narodu — rzecz prosta, że było przyjęte jak objawienie samej prawdy. W słowach tych nie wszystko było ścisłą prawdą, było wiele złudzenia, wiele uniesienia, wiele ideału złudnego, to było konieczne, to rzecz ludzka; jak i to, że prawdy moralnej i politycznej od złudzeń, nie umieliśmy odrazu rozróżnić, żeśmy wszystko ryczałtem wzięli za prawdę, i że tym sposobem wpadliśmy w podwójne złudzenie, miłości własnej naprzód, a potem w złudzenie blizkiego, niechybnego, koniecznego zwycięztwa. Był więc we wpływie Krasińskiego i pierwiastek szkodliwy; my więcej temu winni, jak on, bo zapatrzeni w jego obietnice tylko, zapominaliśmy, że on stawiał ich spełnieniu warunki, i że nie oznaczał nigdy terminu tego spełnienia. I dlatego nie można uważać go za fantastycznego marzyciela czy mistyka. Można zaś widzieć to, że logika moralności i historyi, aż do chwili dzisiejszej przyznaje mu słuszność — dalej, że tej potrzebie odwagi, nadziei i wiary w przyszłość jaką naród cały czuł, jego poezya odpowiedziała ze wszystkich najlepiej, że w skutku tego obudziła zapał niezmierny, wywarła wpływ znaczny, choć nie zawsze szczęśliwy na naszą historyę, a na naszą literaturę, mianowicie na naszą poezyę lat najbliższych wpływ taki, że wszyscy poeci następni, ile razy puszczali się na

pole przyszłości i uderzali w strunę patryotycznych przepowiedni, zawsze z Krasińskiego myśli swoje czerpali, jego powtarzali, przerabiali, parafrazowali. Wszystko to perełki i kamyczki wyjęte z tego skarbca, strumyki wymykające się w różne strony z tego jeziora niezmierzonej głębi uczuć patryotycznych, które się nazywa *Przedświt* i *Psalmy Przyszłości*.

Wspomnieliśmy, że naród, który uległ wielkiemu nieszczęściu, a który się na los swój nie zgodził, musiał szukać czegoś, coby mu ten los wytłómaczyło, a zarazem obiecywało lepszą przyszłość. Same powody fizyczne nie wystarczały, bo te jeżeli miały zabić, powinny były zabić zupełnie, tymczasem życie zostało. Wyroki sprawiedliwości Boskiej, pokuta za dawne grzechy, i ta nie wystarczała, bo pomimo wszystkiego, naród czuł się lepszym, mniej winnym od wielu, a widział się ukaranym, kiedy gorszym od niego działo się dobrze. Było więc ciągłe i niespokojne pytanie w sercach tysiąców ludzi zkąd i dlaczego? a nad tem pytaniem górowała jeszcze myśl, że się to skończyć powinno: namiętne, konwulsyjne trzymanie się nadziei. Jak długo jeszcze trwała możność i konieczność nawet życia w rzeczywistości, w stosunkach choć nie normalnych, nie takich jak być powinny, ale utrzymujących nas w praktyce życia, tak długo i nasze nadzieje, nasze rachuby, opierały się na jakichś danych dotykalnych i ziemskich. Lecz kiedy to znikło, kiedy istotnie żadna rachuba, żaden zbieg rzeczywistych zwykłych warunków politycznego życia, nie zapowiadał żadnej zmiany pomyślnej i nie pozwalał wyciągnąć z siebie takiej konkluzyi, do którejby nasze nadzieje dały się nawiązać, a one przecież zostały, tem silniej, tem uporczywiej przechowywane, im bardziej zaprzeczane — wtedy, pozbawione ziemskiego oparcia, zawiesiły się w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią, wtedy musiały przybrać charakter mistyczny; nie mając na ziemi nic, coby je usprawiedliwić mogło, usprawiedliwiły się same przed sobą przeczuciami, jakoby przejrzeniami zakrytych zamiarów Boga. Że zaś nigdzie nie mogły objawić się i odezwać, tylko w poezyi, przeto z natury już cokolwiek misty-

czne, przechodząc przez fantazyę poetów, stały się zachwytami, widzeniami, proroctwami, powstała po roku 1831 ta poezya wieszcza, której dążeniem i zadaniem było odgadnąć i przepowiedzieć przyszłość Polski. I nie mogło być inaczej, jak że ta najbardziej przypadła nam do serca, że owszem, ta jedna wydawała nam się poezyą prawdziwą, godną tego imienia. Długo się na nią zanosiło, długo ona rosła po cichu. Pierwsze ziarna, z których wyrosła, sięgają jeszcze roku 1795; *Bard Polski* mówił wtedy, że Polska cierpi jak Chrystus, a my mamy cierpieć wszystko, co bądź, byle jej zostać wiernymi, ale o żadnej nadziei nie mówił; a równocześnie odezwał się i ten drugi pierwiastek naszej poezyi późniejszej w śpiewie legionów. Później u Woronicza jest silna, uczuciowa, religijna wiara w lepszą przyszłość; u Brodzińskiego już ona chce poprzeć się rozumowaniem, już szuka dla siebie dowodów w sprawiedliwości Boskiej z jednej strony, z drugiej strony w historyi; już Polska u niego jest wybranym najlepszym z narodów, ich Chrystusem. Myśl tę wyraża i dalej prowadzi Mickiewicz; za ofiarą na zbawienie świata pójdzie zmartwychwstanie, to *Dziady*, to *Księgi Pielgrzymstwa*, mistycyzm religijny i patryotyczny już zupełnie wyrobiony. Tylko zbyt mistyczny i zbyt religijny (niby religijny), żeby mógł się przyjąć i zyskać wiarę. Niejasnych *czterdziestu czterech* trudno było zrozumieć; w rzeczywistość i prawdę objawienia, jakie wprost od Boga odebrać miał sam Mickiewicz czy Towiański, trudno było wierzyć. Nareszcie przyszedł człowiek z sercem cierpiącem i zbolałem, z duszą natchnioną i gorącą, a z umysłem raczej filozoficznym i logicznym jak poetycznym. Długo szukał, długo się męczył, zwolna, mozolnie, pracowicie wydobywał z siebie części tej prawdy, której szukał, odziewał je w kształty nie zawsze jasne allegorycznych postaci, wątpił i rozpaczał znowu i znowu dźwigał się z rozpaczy, aż wreszcie to słowo zagadki, którego szukali wszyscy, wydobył z siebie, podobne do tego jakie podawał Mickiewicz, ale jaśniejsze zupełniejsze, łatwiejsze do przyjęcia, bo podane nie jako objawienie od Boga (którego człowiek nigdy sprawdzić nie może), ale

jako logicznie, koniecznie, rozumowo dowiedziony i z historyi wywiedziony pewnik; a podawał je z całem natchnieniem wielkiego poety, z całem namaszczeniem wielkiego serca przepełnionego miłością Boga i Ojczyzny, z całą siłą i darem przekonania potężnego filozoficznego umysłu. Nigdzie nadzieja odrodzenia Polski nie występuje w takiej jasności, w takiej zupełności i pewności, a przytem w takiej względnej trzeźwości i ścisłości, jak w poezyi Krasińskiego — *Przedświt* jest najzupełniejszym i najprostszym wyrazem całego tego kierunku; jest koroną i typem tej poezyi wieszczej, szczytem, z którego ona potem zacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona zacznie więdnąć i opadać; jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym.

Jest też takim punktem i w poezyi swego autora: to jego *Eureka,* to uzupełnienie, skutek dziesięciu lat bolesnego szukania i ciężkiej pracy ducha, to dla niego prawda jasna, niezawodna, zupełna, niewzruszona, która się już nie wiele potem zmieni. Kiedy do niej doszedł, kiedy ją ujrzał, wydała mu się tak jasną i niewątpliwą, że ją wypowiedział i sformułował tak jasno i po prostu, jak dotąd żadnej ze swoich myśli. I pod tym względem nawet oznacza *Przedświt* epokę i zwrot w jego poezyi. Żadnych allegoryj, żadnych personifikacyi, żadnych wymysłów wyobraźni: czysta myśl odziana w najprostszą formę wiersza. *Przedświt* jest pierwszym wierszowym poematem Krasińskiego, i pierwszym nie allegorycznym; a jak jest uzupełnieniem i rezultatem całej jego dotychczasowej pracy ducha, tak jest i zbiorem i wyrazem całej późniejszej; ani myśli zawartych w *Przedświcie,* ani jego formy, już on nie porzuca.

Czy *Przedświt* cały jest równo piękny? zapewne nie. Są ustępy, mianowicie dalsze, po widzeniu Czarnieckiego, w których natchnienie zdaje się słabnąć, w których pierwiastek filozoficzny i dydaktyczny bierze górę, w których trafiają się wyrażenia ciężkie, prozaiczne. W poemacie takiej treści zapewne inaczej być niemogło; ale pomimo tych miejsc słabszych, jest *Przedświt* dziełem tak potężnego natchnienia, tak silnych uczuć wiary i miłości Boga i Ojczyzny, że może





Elżbieta z Branickich Krasińska,

podług portretu Winterhaltera z roku 1855.

stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza, a ma ustępy takiej znowu piękności formy, żeby się ich nie powstydził Słowacki. Jako streszczony wyraz, krótkie zebranie całej poezyi Krasińskiego, jako wyraz najzupełniejszy i najjaśniejszy całej naszej poezyi wieszczej, jako źródło, z którego wypłynął potem cały nieskończony potok naśladowań, jako to dzieło w poezyi, które na wszystkie niespokojności narodu dało odpowiedź najbardziej pożądaną, które podniosło jego wiarę w przyszłość więcej niż każde inne, i jako to wreszcie, które czytane nie ostrożnie, bez winy autora, wszczepiło w nas zbyt piękne mniemanie o sobie i zbyt bezwarunkową ufność w przyszłość naszej sprawy, a przeto wywarło wpływ po części szkodliwy, jest *Przedświt* jednem z tych rzadkich dzieł poezyi, które mają zapewnioną nieśmiertelność nietylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historyi.

II.

Ożenienie. Pani Krasińska. Zima w Warszawie. Kajetan Koźmian i jego Czarniecki. Wiersze i Traktat o Trójcy. Stan kraju i jego wrażenie. Emissaryusz. List do Sołtana, pierwsze pomysły *Psalmów*. Lato u wód. Urodzenie syna. Lato 1845 w Nizzy, w Niemczech, w Paryżu. Wyjazd do Włoch. Wydanie *Psalmów*.

Ślub Krasińskiego odbył się w Dreźnie, w Lipcu 1843. Jaką była jego żona? [1])

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. Osoba to wprawdzie nie żyjąca, ale pamięć jej tak jeszcze świeża, życie tak połączone z życiem wielu żyjących, że choć zmarła od lat kilkunastu (1876), pani Krasińska zdaje się zawsze jeszcze do teraźniejszości należeć. Jeżeli z tego powodu mówić o niej każdemu byłoby trudno, to takiemu najtrudniej

---

[1]) Urodzona w Tomaszpolu na Wołyniu w roku 1820, córka Władysława Branickiego i Róży z Potockich primo voto Antoniowej Potockiej.

właśnie, który i znał ją dobrze i od niej wiele dobrego doznał, i dla pamięci jej chowa szczerą, niewygasłą wdzięczność i przywiązanie. Jednak pisząc rys życia jej męża — pierwszy obszerniejszy i dokładniejszy — niepodobna pominąć żony, która w tem życiu znaczyła tak wiele. Oprócz tego była pani Krasińska niewątpliwie i niezaprzeczenie jedną z bardzo znakomitych niewiast swego czasu; jako taka ma prawo, żeby o niej wiedziano i pamiętano. O ile wiemy zaś, nie nakreślił nikt po jej śmierci ani najmniejszego jej wspomnienia i podobieństwa. Niech więc tu znajdzie miejsce i zostanie, nie wizerunek, ale przynajmniej lekki szkic tej zajmującej szlachetnej postaci.

Żeby zacząć od tego, co choć najmniej ważne, pierwsze narzucało się uwadze, działało na wyobraźnię, i patrzącego tak usposobiało, że mimowolnie musiał o niej myśleć często, z zajęciem i upodobaniem, trzeba przypomnieć, że była piękna jak rzadko. W tym czasie dziwnie obfitym w piękności pierwszego rzędu, pani Krasińska liczyła się jeszcze do najpiękniejszych. Nawet w latach późniejszych, nawet po wielu boleściach, choć przeszła pierwsza świeżość młodości, a głównem znamieniem twarzy i postaci stał się poważny smutek, nawet wtedy piękność ta nie znikła. Zmienił się jej charakter, ale został przecie blask; został wdzięk spojrzenia, uśmiechu, i doskonała regularność rysów; została kształtna okazałość wysokiej postawy, gracya powolnych ruchów, wrodzona estetyczność i harmonia całej postaci. Kiedy przeszła lat pięćdziesiąt, pani Krasińska była jeszcze piękna; a bez żadnej sztuki, bez najmniejszej o tem myśli. W latach dwudziestu, zwłaszcza trzydziestu, i jeszcze czterdziestu, była zdumiewająca, nieprawdopodobna; stała między ludźmi jak nadludzkie jakieś zjawisko. W tej piękności rysem charakterycznym były usta i uśmiech, łagodny, trochę smutny, a niewypowiedzianie słodki i wdzięczny. Brakiem jedynym były oczy, bardzo piękne i pełne wyrazu, ale w stosunku do innych rysów cokolwiek za małe. Przy włosach czarnych płeć była tak biała i świeża, że niejedna dwudziesto-letnia dziewczyna mogłaby

była zazdrościć jej tej po lat południe schodzącej niewieście. Głos był dźwięczny bardzo, raczej cichy, a mowa powolna; śmiech, w późniejszych latach rzadki, był nietrwały, przelotny, ale pogodny i jasny. Płacz — może to dziwnie mówić o płaczu ze stanowiska estetyki, ale wspomnieć warto — był taki, jak się tylko w dziełach sztuki widuje; wyraz najgłębszego, najboleśniejszego cierpienia, a oprócz lekkiego drgania i skurczenia ust, żadnego w twarzy skrzywienia, żadnego nawet zaczerwienienia oczów, z których łzy padały ciężkie, duże, a rzadkie. Kto pamięta Matkę Boską w Tycyana *Złożeniu do Grobu* w Paryżu, ten może sobie wyobrazić jak płakała pani Krasińska. Ta szlachetność rysów i wyrazu, ta doskonała estetyczność i ten odcień smutku jaki w niej był, składały całość, która dla pewnych artystycznych natur i wyobraźni miała urok poetyczny taki, że pani Krasińska była dla nich urzeczywistnieniem absolutnego ideału. Takim naprzykład był Ary-Schefer, dziś za zbyt idealnego uważany, ale rzetelnie i rzeczywiście idealnego kierunku i natchnienia malarz, który mawiał, że nie widział nigdy ludzkiej istoty tak odpowiadającej jego pojęciu piękności, jak pani Krasińska. Powtarza się też jej typ, w różnych zmianach i kombinacyach, w wielu jego obrazach; w niektórych (w *Chrystusie między dziećmi* naprzykład) z podobieństwem tak wiernem, że jedna z tych matek lepiej niemal niż wszystkie portrety, przypomina panią Krasińską.

Umysł był bardzo niezwykły, do wszystkiego sposobny i zdatny. Za młodu wielka łatwość do nauki; później rozumu nabytego, wykształcenia, bardzo wiele, a myślenia własnego, zdolności spostrzegania i sądzenia, trafnego zdania, nie mniej, raczej więcej. Doświadczenia, znajomości ludzi i życia, dobrej rady dla drugich, w rzeczach praktycznych tyle, ile delikatnego a pewnego zmysłu i smaku w rzeczach literatury i sztuki. Cechą czy własnością charakterystyczną tego umysłu, była jednak wyobraźnia: niewieścia, zatem więcej bierna jak czynna, idealizująca rzeczy i ludzi na własny użytek a nie twórcza; ale żywa i rzeczywiście poetyczna. Ona to sprawiała, że ze wszystkich zajęć myśli, pani Krasińska naj-

większe upodobanie miała w poezyi i w sztuce, i w nich znajomość rzeczy najgłębszą. Pisała bardzo dobrze, nawet pięknie. Listy jej (pisywała ich bardzo wiele) zawsze bez namysłu pobieżnie pisane, są w swoim rodzaju małemi klejnotami lekkiego stylu, humoru, dowcipu, i bystrych mądrych spostrzeżeń i uwag. W roku 1861 wyszedł bezimiennie w jednym z dzienników francuzkich jej list o wypadkach warszawskich (bardzo obszerny, prawie mała broszura), napisany tak doskonale, z takiem życiem i z takim wytrawnym politycznym sądem, że zrobił wrażenie nawet na francuzkich czytelnikach. Szukano autora między głośnymi publicystami, domyślano się zamaskowanego Prèvost-Paradola, albo Klaczki; a autorem była pani Krasińska.

Wyobraźnia także sprawiała i to, że ludzi, których lubiła, a dopieroż tych, których kochała, pani Krasińska musiała sobie zawsze (czasem łatwowiernie) idealizować, wystawiać ich sobie w świetle podchlebnem i poetycznem. Poetycznie usposobiona (i na poetyczną kształcona i chowana) wyobraźnia, była zarazem i słabą stroną pani Krasińskiej. Wpływ czasu, literatury, poezyi, wyrobił w niej pod tym względem pewien nadmiar, pewną skłonność do poetyczności cokolwiek manierowanej. Kiedy rysowała lub malowała (a miała bardzo miły talent amatorski), to jej panny były zawsze zbyt wysmukłe i powiewne, aniołowie zbyt ładni i słodcy. Kiedy rozmawiała — a rozmowa jej miała zawsze i treść i wdzięk — to okresy były zbyt wykończone, zbyt ozdobne. Ona ich nie układała umyślnie, płynęły jej tak same; ale ludziom wydawały się czasem przygotowane i sztuczne. Trochę romantycznej mody musiało w niej być za młodu, przed pójściem za mąż; a skłonność tę rozwinął i ustalił mąż, który wiemy, jak się w tej zewnętrznej poetyczności kochał, jak ją w sobie i w drugich cenił i pielęgnował. Chciał, żeby żona przypominała mu lub urzeczywistniała — nawet swojem ubraniem — poetyczne jakieś obrazy czy fantazye, i lubił się w nią tak wpatrywać; a ona z natury już do tego skłonna, im więcej stósowała się do jego życzeń, tem więcej nabierała zwyczaju tej poe-

tyczności zewnętrznej, w której ludzie upatrywali pewien brak prostoty.

Ale nie było tego braku w jej duszy. Ani w jej wielkiej gorącej pobożności, ani w miłosierdziu względem ubogich, ani w życzliwości, dobrej woli, wyrozumiałości dla bogatszego bliźniego. Charakterystycznym przymiotem jej duszy była dobroć, słodycz, łagodność; z czasem podobno i w walce z życiem wyrobiona, ale tem pewniejsza, tem stalsza, że na silnej woli oparta. Ona panowała nad wszystkiemi uczuciami, dawała im swoją cechę, swój ton. Obok niej zaś drugą wybitną cechą wszystkich uczuć — zwłaszcza uczuć polskich — była exaltacya; znowu skutek i natury, i czasu, i wpływu męża.

Uczuciowość i wyobraźnię uważali w niej, jako znamienną cechę, towarzysze jej pierwszej młodości (później przyjaciele całego życia), Adam i Alfred Potoccy, i Alexandra Potocka (później pani Augustowa Potocka), która z rówienników i przyjaciół, najwięcej może miała u niej powagi i wpływu na ukształcenie jej charakteru. Pobyt w Petersburgu (gdzie ojciec z rozkazu kilka zim przepędzić musiał), przyczynił się pośrednio ale silnie do utwierdzenia jej w uczuciach polskich. Rozkwitającą śliczną córką cieszył się ten ojciec i pysznił, pieścił i chciałby był nieba jej przychylić; matka strzegła pilnie, żeby jej w tym obcym kraju oczy ludzkie jak najmniej widziały. Sama ledwo że bywała w świecie, a z córką jeszcze mniej i tylko kiedy już koniecznie musiała. Zdrowie młodszej siostry (późniejszej księżnej Odescalchi), tak się zepsuło w tym srogim klimacie, że władze nie mogły odmówić paszportu; wtedy zaczęły się te wyjazdy za granicę, które dla młodej dziewczyny tak usposobionej, chciwej wrażeń, ciekawej wszystkiego co piękne, musiały być i ponętne bardzo i bardzo kształcące. W jednej z tych podróży nastąpiło pierwsze spotkanie z przyszłym mężem. Jenerał Krasiński, marzący zawsze o ożenieniu syna, musiał koniecznie marzyć dla niego o tej pannie, której Bóg dał wszystko, co ludzkiej istocie dać może; i otrzymał od syna, że znalazł się w Karlsbadzie (w roku 1841).

Jakie były wrażenia panny Lizy, kiedy pierwszy raz poznała Zygmunta Krasińskiego? Domyślać się można, że dziewczyna tego usposobienia musiała z natężoną ciekawością, z sympatyą, patrzeć na młodego, a prawdziwie wielkiego poetę; z podziwieniem go słuchać kiedy mówił; ale co o nim myślała, tego nie wiemy. Że wszystko, co w nim było wielkiego, gienialnego, to ona zdolna była zrozumieć jak mało która dziewczyna na świecie, to pewna. Gienialność i poezya jego mogły oczarować jej wyobraźnię; jego patryotyczny ból, nadzieja przyszłości i troska o przyszłość, odzywająca się z każdego jego słowa, podnosiły go w jej oczach, a zbliżały do jej serca. Samo to rozdarcie i udręczenie, w jakiem żył, jej w szczegółach zapewne nie było znanem, ale było dla niej widocznem i musiało znowu działać i na wyobraźnię jej i na jej serce. Ona wiedziała o krzywdzie, której niegdyś doznał w Warszawie; zgadywała i przeczuwała wszystkie sprzeczności i ciernie, jakie były w jego stosunku z ojcem; i za to wszystko razem, za gieniusz, za poezyę, za nieszczęście, pokochała go (później); zaczęła marzyć o tem, żeby jego troski podzielić, łagodzić, żeby być aniołem pociechy, promieniem słońca w jego smutnem usposobieniu i życiu. Jak Desdemona „pokochała za przebyte cierpienia". I on miał kiedyś „pokochać za współczucie", i pokochać ostatnią, najwznioślejszą ze swoich miłości; — ale do tego bardzo jeszcze daleko. W niej także uczucie nie powstało odrazu. Kiedy poeta w swoich listach z r. 1841 także rozwodzi żale nad swoją straconą wolnością, spieszy się zanadto. On widocznie postanowił już wtedy i ojcu przyrzekł się starać; ale ona bynajmniej nic nie przyrzekała, ani nie postanowiła, ani po sobie poznać nie dała; a najpewniej sama jeszcze nie wiedziała, co zrobi. Poeta zaś, który tak rozpacza, że żenić się musi, stara się jednak o to ożenienie usilnie i długo. Między jego wrażeniami i słowami a jego istotną wolą musiała zachodzić pewna różnica. Ożenić się postanowił; ale upodobanie w dramatycznych sytuacyach sprawiało, że rozpaczał nad ożenieniem przymusowem, i w tej rozpaczy

znajdował pewną przyjemność. Gdyby panna była mu się nie podobała, gdyby jej był stanowczo nie chciał, byłby znalazł dość w sobie energii na to, by się ojcu jeszcze tym razem oprzeć. On zaś stara się, i długo, bo przez dwa lata blizko. W Rzymie dopiero, w początkach roku 1843, panna Eliza dała mu słowo. Dała je, wiedząc o jego uczuciach dla pani Delfiny Potockiej, ale przypuszczając z naturalnem w jej wieku niedoświadczeniem i łatwowiernością, że to rzeczy albo już przeszłe i skończone, albo w najgorszym razie łatwe do przezwyciężenia miłością, poświęceniem, dobrocią, do których czuła się zdolną i gotową. Nie zawiodła się istotnie; tylko to zwycięztwo potrzebowało więcej czasu, niż ona w swojem niedoświadczeniu zrazu myślała.

Po ślubie wyjazd do Opinogóry, a następnie zima w Warszawie. Stosunek przykry dla obojga; przykry także dla tych, którzy chcieliby Krasińskiego widzieć wolnym od wszelkiego zarzutu, a jego zachowania się usprawiedliwić nie mogą. Można było się nie żenić; ale ożeniwszy się, nie należało grać roli Hrabiego Henryka z *Nieboskiej Komedyi*. On tymczasem, jak żeby był przed dziesięciu laty siebie samego przewidział i opisał, był takim mężem, jak Henryk. Wydawał się sobie prozaicznym w małżeństwie, jak „fabrykant Niemiec“. Żonie, jeżeli nie mówił, to dawał do poznania: „czuję, że powinienem cię kochać“, i tęsknił do „państw „swoich dawnych, zaludnionych, żyjących“ — do swojej dawnej poetyczniejszej kochanki, nie pomnąc, jak surowo tego męża sądził, jak bez złudzeń te mary kochanek przedstawiał w swoim młodzieńczym poemacie. Była więc w wielkim, okazałym, pustym pałacu młoda kobieta cudownie piękna, kochająca męża i podziwiająca gienialnego człowieka całą duszą, pomiędzy teściem, przywiązanym do niej niezmiernie i pragnącym nieba jej przychylić, a mężem obojętnym, sztywnym, pogardliwym. W jednem tylko pomylił się, jednego nie przewidział poeta. Hrabina nie oszalała, nie nudziła męża drobiazgami codziennego życia, nie siliła się na poezyę, nie przeklinała nikogo. Mądrzejsza w tym razie stokroć od męża

zrozumiała odrazu z intelligencyą dziwną przy jej młodości i niedoświadczeniu, odgadła szczęśliwym instynktem, co jej robić należało. Być żoną dobrą i miłą — resztę zostawić Bogu i przyszłości. Zawód, żal, upokorzenie, miłość odepchniętą zamknąć w sercu głęboko tak, żeby ich nikt nigdy nie dojrzał; nie poskarżyć się nigdy, ani przed matką nawet, ani przed siostrami; przed mężem nigdy się nie zniecierpliwić, ani nie znudzić — nigdy mu się nie narzucać. Być pogodną i dobrą zawsze, nigdy nie próbować go zdobyć i podbić odrazu, wstępnym bojem. Robić zawsze to, co on lubi, co mu się podoba; nie wdzięczyć się do niego nigdy. Nie popisywać się nigdy rozumem, dowcipem, wiadomościami, ani pracą w ich nabyciu; ale nabyć ich tyle, żeby rad nie rad musiał się nad niemi zadziwić. Być piękniejszą od wszystkich, to nie było jej trudno — ale być, a nigdy nie starać się wydać piękniejszą. I w tem wytrwać — jak długo? może całe życie, może bez skutku... oto program życia, jaki sobie w skrytości serca ułożyła kobieta młodziutka, ledwo poślubiona, i którego się trzymała wiernie i ściśle z roztropnością dziwną, z odwagą i siłą woli jeszcze dziwniejszą. Chwilami zdawało jej się, że próba nie potrwa zbyt długo, że może już przyszedł czas lepszy, że można spróbować zapukać do jego serca. W takich chwilach mówi o sobie, prosi. Z rzewnem współczuciem dla niej, z gniewem na niego, widzi się ją prawie, jak nieśmiało, pokornie pyta, czy on, który tyle wierszy napisał dla tylu, nie napisałby choć jednego, choć małego dla niej. W odpowiedzi odbiera wiersz istotnie, ale jaki! Przyznaje on, że w niej znalazł anioła; ale prosi, żeby po jego śmierci, niedalekiej zapewne, kochała jego myśl

bo nic w niej nigdy niskiego nie było.
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze,
Szła niespodlona przez podłości morze..

jego myśl tylko? nie jego samego? i żadnej obietnicy? żadnego uczucia, prócz uznania jej dobroci?

I znowu widzi się, jak po tych wierszach jej serce zamyka się w sobie na nowo, i znowu Bóg jeden wié na jak długo.

Ale ustąpić, poddać się, nie zrobić wszystkiego co się powinno — nie godzi się i nie można. Ten mąż, niby obojętny i o nią nie dbający, dba jednak o to, żeby ona jaknajwięcej wiedziała i umiała; żąda, żeby czytała wszystkie możliwe książki filozoficzne, teologiczne, historyczne, i żeby mu z nich zdawała sprawę. Młoda kobieta pracuje po nocach, upada ze zmęczenia; ale na wszystko znajduje i siły i rozum; wszystko zrobi, wszystko zrozumié, ze wszystkiego zda sprawę. A zmęczenia, czy znudzenia, czy żalu do męża nie pokaże nigdy; będzie zawsze jednako spokojna, łagodna, wypogodzona...

Jednak te przebyte walki, te wysilenia woli, te smutki pierwszych lat pożycia z mężem musiały wpłynąć na nią, zmienić wyobrażenie o mężu, zmniejszyć nie miłość żony, ale pierwotną cześć, ufność, podziw dla jego serca i charakteru; zostawić na dnie duszy, może bez jej wiedzy nawet, jakiś osad rozczarowania, żalu, zbolałości. I to wszystko miało odezwać się kiedyś w jej życiu, ale później... dużo później.

Listów z tego czasu mało. Do Sołtana parę krótkich, a narzekających, gorzkich. Jeden z Drezna jeszcze, w kilka dni po ślubie pisany (3-go sierpnia): „nie nazywaj mnie już „Zygmuntem, ale wiedz, że się zowie Rozpacz“. Drugi z Warszawy, z końca roku 1843 i z kwietnia 1844, gdzie nad sobą mniej, więcej nad krajem rozpacza. Do Gaszyńskiego i Małachowskiego niema ich wcale. Zaczyna się za to korespondencya w jednym szczegółowym przedmiocie, niespodziewana, a charakterystyczna, korespondencya z Kajetanem Koźmianem. Stary kasztelan pisał właśnie swojego *Czarnieckiego*, a z pobytu Krasińskiego w Warszawie skorzystał, żeby mu przesłać pieśni gotowe; za granicę je posyłać było trudno, kłopotliwie, a może niezupełnie bezpiecznie. Dziwny jest ten pociąg i ufność upartego starego klassyka, do najmniej klassycznego z poetów. Oburzać się na *Pana*

Tadeusza i na Mickiewicza, a podziwiać autora *Nieboskiej* i *Trzech Myśli Ligenzy*, to był szczyt niekonsekwencyi. Popadł w nią konsekwentny zresztą aż nadto prawie Koźmian, dla dwóch jak sądzę powodów. Pierwszy był ten, że niejasny, mglisty, niezrozumiały poeta, był synem starego przyjaciela, że mu znany był od dzieciństwa, że mu przypominał lepsze czasy, że wreszcie i poprostu on tego młodego człowieka kochał. To zrozumieć łatwo; trudniej to, że podziwiał poetę, tak przeciwnego wszystkim jego artystycznym pojęciom i zasadom. To zaś tłómaczy się w ten sposób, że tylko artystyczne pojęcia były inne, ale pojęcia i zasady moralne i polskie były tesame. W *Irydionie* Koźmian zapewne smakować nie mógł, ale rozumiał i czuł doskonale to, co było wzniosłego w *Przedświcie*. Oprócz tego Krasiński do walki romantyków nie należał, klassyków nie prześladował, sam miał i bardzo rzetelne wykształcenie klassyczne, i wielkie zamiłowanie poetów starożytnych; w teoryi (jak dowodzą właśnie te jego listy) godził się nieraz z pojęciami Koźmiana, choć się ich w praktyce sam nie trzymał. To wszystko sprawiło, że mu Koźmian mógł zaufać, i swój rękopism mu posłał.

Co znowu sprawiło, że się Krasiński tak do *Czarnieckiego* zapalał? Czytał go „zrazu z uprzedzeniem, potem „z zajęciem, później z rosnącem uwielbieniem, wreszcie z miłością" (List z 23-go marca 1844). Można się domyślać napewno, że uprzedzenie odnosiło się do *klassyka;* zajęcie obudziło się pod wpływem tej jędrności stylu, a siły i szlachetności uczucia, jakie w *Czarnieckim* niezaprzeczenie są. Kiedy zaś raz obudzonem było zajęcie, przeszło łatwo w uwielbienie pod wpływem znanej Krasińskiego zapalności, skłonności do uniesień i uwielbień, tej poetycznej fantazyi, która przesadzała zwykle odebrane wrażenie, idealizowała ludzi i rzeczy, albo wywoływała namiętne oburzenia. Ujrzał w *Czarnieckim* słusznie jakąś rzymską *virtus*, wiele staropolskiego i rycerskiego ducha, ujrzał duch publiczny zdrowy i prosty, jak być powinien; przypomniał sobie, że to pisze starzec nad grobem, zdumiał się nad jego czerstwością i energią,

podziwiał go w niej, i uniósł, zapalił się do poety i do poematu, a wtedy poemat wydał mu się piękniejszym, większym niż jest. Krasiński robi Koźmianowi bardzo trafne uwagi o szczegółach (a Koźmian korzysta z nich bardzo rozumnie), ale tego braku życia i ruchu, jaki jest w poemacie, a zwłaszcza w bohaterze, nie widzi. Co jest ciekawe, to jak on chce *Czarnieckiego* Koźmiana zrobić podobnym do tego, którego sam wprowadził w *Przedświcie*, natchnąć go tymsamym duchem. Czy bez skutku? Pierwiastek przepowiadający i expiacyjny zarazem, jaki w *Czarnieckim* Koźmiana jest, byłby w nim zapewne i bez Krasińskiego, musiał należeć do podstawnych pojęć starego poety; ale czy bez niego byłby wystąpił tak wyraźnie i silnie, jak występuje? Wpływ Krasińskiego zdaje się być bardzo widocznym na ostatniem i największem dziele starego klassyka.

„Co zaś do dalszej osnowy, czyby nie warto dać Stefa„nowi *conscientiam* przyszłości Polski, której zapewne nie miał „w myśli swojej, choć ona koniecznie z czynu jego wytryska. „Niemożnażby niektóre prorocze chwile, błyskawice przelotne „przeczucia ogromnego, wlać w serce tego człowieka, tego „pierwowzoru wszystkich, mających kiedyś skupiać rozebrane „części i ratować kraju całość? My dziś już możem widzieć, „ku czemu Polska na świat ten zesłana stąpa! Możemy, krzyża „Chrystusowego oświeceni światłem, pojąć, co znaczy podo„bny krzyż, wystawiony na przejściu z jednej epoki do dru„giej; krzyż, na którym nie już Bóg-człowiek, ale naród, „jako jeden człowiek, kona. Czyż to nie święta tajemnica „także? Czyż to nie znak wielkiej przemiany, powszechnego „zmartwychwstania? Czyż na polu śmierci naszej, na poli„tycznem polu, przez tęż śmierć nie mamy się spodziewać „wykupienia także i dla nas i dla całej ludzkości? Czyż „w piersiach Polski, tej drugiej Matki Bolesnej, niema także „się urodzić Duch wszelkiej miłości i sprawiedliwości w sto„sunkach świeckich, którym dotąd panował tylko książę „świata tego Machiavel? Więc bohater, więc ideał Zbawicieli „kraju, niech to przeczuwa. Bo Czarniecki epopei dziś pisa„nej, jest nietylko Czarnieckim dni już przeszłych; ponieważ

„wieszcz drugiem go obdarza życiem, już poniekąd on na-
„leży i do tej epoki, w której zmartwychwstaje. Poezya
„znaczy tworzenie. Niech ten wielki umarły z rąk twoich
„panie weźmie część i naszego życia, tem i nam jeszcze
„lepiej będzie, bo uwierzym w to, i jemu, bo doskonale
„i zupełnie odżyje w nas. W tem anielskie posłannictwo poety,
„że wskrzesza; lecz niezupełnieby wskrzeszał, gdyby nic
„więcej przebudzonemu nie dawał, nad to, z czem on położył
„się w trumnę. Przeszłość i przyszłość cała powinny zetknąć
„się, ściąć się w takim ideale.

Czy Krasiński pisał co tej zimy? Gdyby wiersz *„Im dalej idę“* nie nosił w wydaniach daty roku 1841, trzebaby myśleć, że on powstał teraz w Warszawie, tak jest podobny treścią i uczuciem, do listu z 12 do 20 maja, do Sołtana[1]). Za to między wierszami z r. 1843, po wierszu do K. B., pisanym w jesieni tego roku, położony jest wiersz *Poeta*. Treścią odpowiada on usposobieniu Krasińskiego z tych wszystkich lat razem, nie zawiera nic, coby się odnosiło do jakiej szczególnej chwili lub okoliczności; zajmujący jest głównie przez to, że jest (jeden z bardzo rzadkich) cały o sobie, jest wyznaniem, zwierzeniem cierpień i natchnień jego jako poety, i (w zakończeniu) jego nadziei, jako człowieka i Polaka. Wyraz to jeden z najdokładniejszych jego myśli o sobie, o goryczach i zasługach swego zawodu. Wiersz bardzo charakterystyczny przytem i bardzo imponujący ciężkim, ponurym, głębokim smutkiem. Stanisław Małachowski świadczy (Rys życia Z. K.), że teraz w Warszawie pisany był ten traktat o *Trójcy w Bogu, w człowieku i w historyi*, którego Krasiński nie dokończył i nie chciał wydać. Jeżeli kiedy wydanym będzie, okaże się niewątpliwie nader ważnym dokumentem do poznania i zbadania dzieł poety, bo najbardziej systematycznym wykładem jego pojęć.

Smutek rośnie na widok tego, co się w kraju dzieje, jak rząd robi wszystko żeby go zniszczyć i zepsuć; jak lu-

---

[1]) Przy przyszłych wydaniach należałoby nawet sprawdzić, czy rzeczona data nie jest mylnie podana.

dzie stopniowo psują się istotnie: dochodzą jedni do podłości przez strach i płaskość, drudzy do wściekłości i przewrotności przez nienawiść, a przez przewrotność znowu także do podłości.

„Nieraz rozpacz taka mnie rozdziera, że modlę się o „prędki zgon, jako o jedyną ulgę. Dodaj, że mury Tebańskie „podłości, poniżenia i gwałtu i ucisku wkoło mnie się mnożą, „że w dzień słyszę jęk ofiar i patrzę na naigrawanie się ka„tów; lecz to jeszcze nie tyle boli, co *podłość własnych*. „Zmateryalizował się nad miarę ten kraj, potworzyło się „mnóstwo hypokrytów, którzy zwą się ludźmi *Rozsądku;* „głoszą w mnogich kazaniach, że jedyną teraz sprawy pod„porą jest to, by oni gęste intraty do własnej kieszeni zbie„rali, że o niczem innem myśleć niepodobna, ale że takie „sprzysiężenie się na intrat coraz większych wybieranie, *pod„niesie godność człowieczą*, zniepodlegli ich i massy, na „drogę oświecenia i przeświadczenia o sobie wprowadzi, a „ztąd kiedyś powrót życia! Na stu, którzy tę Ewangelię roz„noszą, dziewięćdziesięciu dziewięciu Faryzeusze, a jeden „tylko prawdziwie dążący do *celu* za pomocą wzwyż wspo„mnionego środka, to jest gospodarczych postępów. Drugą „cechą tego kraju coraz bardziej ciążącą na nim, to *Strach*. „*Divide et impera* w całej szatańskiej roztropności piekła „dopełnionem tu zostało. Wciąż tworzą sami i wynajdują „i wywołują jakieś niby jakobińskie spiski między młodzieżą „na to, by właścicieli, gospodarzy owych, owych intratą wal„czących, przerażać i odrywać od klas mniej zamożnych a „cierpiących tak, jak się cierpi w piekle. „Was chcą wyrżnąć"— „oto sposobiczek, użyty na kapuściane serca i skórzane wory. „Ztąd niesłychany strach to swoich, to znów rządu, bo lę„kają się terroryzmu, o którym rząd im plecie i terroryzmu „istotnego, który sam rząd w każdej chwili wywiera. W Rzy„mie za Cezarów podobnie się działo. Młodzież w najopła„kańszem położeniu. Uczą ją kłamstw i bluźnierstw histo„rycznych, nękają na wszystkie sposoby, smagają rózgami „za najlekszą winę, za guzika brak lub za chustkę na szyi „białą zamiast przepisanej czarnej, wiodą do więzienia za

„lada książeczkę; słowem ci, którzy zaczynają życie, daleko „tu nieszczęśliwsi od tych, którzy je kończą, starość zgrzy„biała jest złotym wiekiem na tych równinach. Ztąd w mło„dzieży niesłychany smutek, pełen niepokoju i nawet wyrzu„tów przeciwko losom, czyli bezreligijności! Serce ich nawyka „skarżyć się sobie samemu na Boga, bo nikt ich nie oświeca „kto jest Bóg, a wciąż w imieniu religii i rządu doznają „nieopisanych mąk! Wzrasta więc pokolenie smętne a bez„bożne, z pogmatwanemi wyobrażeniami, skwaśniałe i zgorz„kniałe w kwiecie lat, ale przytem pełne nienawiści i hartu, „nie owego jednak dawnego naszego, które nigdy rachuby „nie znało i czystem poświęceniem było. Ich hart to niewol„ników energia, nie wolnych i wzniosłych; o środki nie dbać, „byleby celu dopiąć; konieczny to wynik zaciemnionej du„szy, czy zepsuciem jak u Jezuitów, czy nieszczęściem i bó„lami, jak u niewolników. A dusza taka nie wié, że środ„kiem złym, nigdy celu wielkiego, potężnego, trwałego, osią„gnąć nie sposób; bo leży w naturze harmonijnej Wszech„rzeczy, że złe chwilowym tylko zagrzmieć może wybuchem, „ale nie zdoła nic wybudować na wieki! Oczywiście, takie „moralne systematyczne zabijanie młodzieży jest potężnym „środkiem na zobojętnienie naszych sił. Piekielny to wymysł „na zgubę, nietylko obecności ale i przyszłości, wymierzony! „Zamordować dziecko w łonie matki jeszcze, oto cel“!

Oto, jak krótkiemi słowy opowiada Małachowski ten pobyt w Warszawie, i co do powyższych szczegółów dodaje:

„Widywał Krasiński odwiedzających go wiele osób roz„maitego wieku i sposobu myślenia, śledził też pilnie różne „ówczesne prądy opinii publicznej. Widział jednych choć „zawsze patryotów, w stanie zupełnego zwątpienia i spuszcza„jących się już jedynie w przyszłości na Opatrzność Boską, „innych zgadzających się poniekąd z obecnem położeniem „rzeczy, czasem niezupełnie zgodnem z osobistą godnością, „nareszcie jeszcze innych gorącego serca i patryotyzmu lu„dzi, gotowych chwycić się ostatecznych środków dla wydo„bycia się z pod tego ciężkiego i upokarzającego jarzma

„obcego. Z pomiędzy tych ostatnich zwierzył mu się bardzo „zacny, już nie żyjący [1]), młody człowiek, że czynić się mają „przygotowania nowego powstania narodowego, w tym celu „zapomocą poruszenia wszystkich warstw niższych społeczeń„stwa, obietnicami wielkich korzyści materyalnych, jak po„działu równego majątkowego, wolności i równości nieogra„niczonej dla wszystkich, a w końcu panowania czysto lu„dowego. Objawiał zaś gotowość do używania wszelkich „sposobów potrzebnych teroryzmu. Nareszcie, że przyszedł „zawezwać Zygmunta do przyłożenia ręki do tego dzieła. „Przerażony Zygmunt tem zwierzeniem, użył wszelkich sił „i wymowy, aby zapobiedz uskutecznieniu w jego przekona„niu tych tak zgubnych zamiarów. Przedstawiał, już to nie„podobieństwo wykonania tych pomysłów, już też zakałę, „hańbę, jakiemiby splamiono szlachetny dotąd charakter „i imię polskie, nie cofając się dla osiągnięcia pożądanego „celu nawet przed zbrodniami i rzezią".

W tej rozpaczy jednak, w tej trwodze o przyszłość, stoi mocno i trwa tasama co w *Przedświcie* wiara i nadzieja. Oto dalszy ciąg tegosamego listu do Sołtana:

„Jednak Adamie mój, nie smętnij zanadto, obraz ten „tu skreślony czytając. Ten obraz, te szczegóły, to męka na„sza, to próba nasza, ale nie koniec, ale nie ostateczna „prawda! Trzeba i przez to przejść. Czyż Chrystus, mimo „Bóstwo, nie doznawał ostatecznego zwątpienia? Czyż nie „przeszedł przez gorycz goryczy wszystkich? I na to, by „mógł zmartwychwstać, trzeba było mu nietylko przez śmierć „przechodzić, ale w chwili śmierci samej, najokrutniejszej „męki moralnej doznawać: zwątpić czy zmartwychwstanie, „zwątpić czy zbawi Ludzkość! Ten krzyk jego ostatni do „Ojca był zarazem najwyższym szczeblem bólu i zasługi, a „zatem i poświęcenia! Nie byłby inaczej do ostatniej kropli „wychylił kielicha, a trzeba ostatnią kroplę wypić, by nic „nie zostało! Wtedy dopiero śmierć w życie, ból w radość, „przegrana w zwycięztwo się przemieniają: *non est saltus in*

[1]) Kto? tego zapewne nie dojdzie się już nigdy.

„*natura!* Otóż i my, patrząc tylko na fakta zmysłowemi „oczyma, moglibyśmy nieraz zwątpić; ależ wiedzmy, że „i zwątpienie jest tylko bólem najwyższym a nie żadnym „dowodem, nie żadną prawdą; owszem, w tak świętych „i Bożych dziejach jak nasze, znakiem, że już blizka odro„dzeń godzina! Mimo wszystko com napisał, jednak po całej „ziemi tej unosi się Pański Duch! — duch wlewający ocze„kiwanie i zapał uniesienia, nawet w najbardziej zcieleśnione „dusze; gromadzą się materyały w cieniu, wzrasta przeko„nanie, że cały lud i włościan uczłowieczyć, zobywatelić „trzeba; nieporządek, hulatyka, pijaństwo ustają. Prawda, że „*przedajność* wzbiera, ale to tylko wśród urzędników. Po „miastach wszystkiego po niej się spodziewać można, naj„ostateczniejszych podłości; ale po wsiach inaczej jest: „mnóstwo książek krąży po dworach szlacheckich, ruch umy„słowy posetniony od r. 1830, księgarnie przepełnione dru„kami po polsku. Duch pozbawiony ciała, niesłychanych wy„sileń zdolnym się okazuje w dążności do odzyskania formy „utraconej.

„Rozradowało mi duszę, że tobie znikomą choćby mo„głem przynieść pociechę — tę, o której mówisz, że w szu„fladzie twojej leży [1]). Ta *idea* moją wiarą, moją nadzieją, „moją miłością! Bez niej zdechłbym, z nią żyję! Ani myśl, „by żywot nasz przeminął, a my nie oglądali Bożej Sprawie„dliwości, choćby jej zaczątek ujrzymy! Wszystko nad czem „tu płaczę, to ostatnie łzy! Może indywidualności nasze, prze„cierpiawszy mąk tyle, zniszczeją, rozłamią się, ale nie rzecz „sama, nie opatrzny jej koniec.

„Bez takiej wiary, bez takiej idei, życia niema, a z taką „i śmierć sama nie przestaje być życiem! Więc jakżeż nie „wierzyć?

„Musim być smętni, bośmy ludzie, bo ciało mdłe, ale „zarazem będziemy niekiedy uweselonymi: bo Duch ochotny „choć ciało mdłe, a Duch Boży w nas, i w naszych i w spra„wie naszej, która nie przypadku trafem zdarzyła się przy

---

[1]) *Przedświt.*

„końcu jednej z Epok Ludzkości, a początku drugiej. Trup „nasz, to most przejścia dla Ludzkości. Gdy na drugi brzeg „się dostanie, wstaniem żywi! A wiecznie wiedzmy i czujmy: „że gdzie niesprawiedliwość piekielna, tam musi Boża spra„wiedliwość się objawić; gdzie ludzie nie umieli kochać, „tam Bóg pokocha — inaczej pękłoby *universum!*

„*17 Maja.* O mój zacny i drogi na zawsze Adamie! „nam się dostał kielich podobny temu, który do ust Chry„stusowych na Oliwnem wzgórzu Anieli przynieśli, przed „którym cofnął się Syn Boży, bo kielich nieskończonej bo„leści! Jednak nie czarty, ale Anioły go przynosiły; i z nami „tosamo, Anioły też i nam go podają, bo gdy ostatnią kro„plę jego wychylim, zbawieni będziem i my i człowieczeń„stwo tej epoki nowej! Zwątpienie o wszystkiem, oto ostatni „znak, najwyższy ból męki naszej! Rozdzielili nas ci, któ„rych imię przekleństwem: brata od brata, syna od ojca, „i ojca od syna; rozdzielili! rozdzielili i ciała ich, i serca ich, „i dusze ich! A to wszystko jedna wielka męczarnia, którą „musimy świat i ludzkość ocalić, zbawić, podwyższyć, w nowe „okręgi duch wznieść! Znam, o! znam to wszystko! Ale bądź „pocieszon Adamie! Wszystkie ofiary, czy po tej, czy po „tamtej stronie, wszystkie jedno mają znaczenie; wszystkie „cierpią i cierpieniem dokonywają Bożego zamysłu o nas, „przyspieszają rozwiązanie walki olbrzymiej! Wszystkie, „wszystkie odnajdą się, pokaże się, że wszystkie, mimo po„zór zewnętrzny, były narzędziami do jednego dobra, do je„dnej piękności! I na mogile tych, co pod Kaukazu górami „legli, napisze kiedyś Anioł polski: „I oni też za mnie“, bo „bez nich nie byłoby tam apostolstwa duchowego Polski, „*idea* Polski nie rozchodziłaby się i wszystkoby martwem zo„stało! A tak od północy na południe, jako świat wielki, „wszędzie w żyłach świata krąży krew, myśl nasza, i pora „się zbliża i będzie świt!

„Pamiętasz słowa Boże: „kto zachowa duszę, straci ją; „kto ją straci, znajdzie ją“. Otóż, ci co ją zachowali, stracą „ją, a my ją stracili, więc odnajdziem ją. Przyszedł czas, „już nietylko do indywiduów, ale do narodów też i do całej

„ludzkości stosować słowo i przepis Chrystusowy. Jeden Bóg „i jedno prawo i prawda jedna! Dwóch niema, ni być może. „Przyłączam ci tu w tej wierze, w tej nadziei, w tej miłości „napisany *Psalm;* niech leży obok siostry“.

Mowa tu o dwóch *Psalmach,* których pierwsza redakcya była teraz rzucona na papier i w tym stanie w części Sołtanowi posłana. Jeden, to *Psalm Miłości,* spowodowany oczywiście tem spotkaniem, o którem opowiada Małachowski: drugi *Psalm Nadziei.* Jak się wykończą i uzupełnią, pod jakim tytułem wyjdą, to wszystko jeszcze rzecz przyszłości; ale już są poczęte i chwila ich ogłoszenia niedaleka.

Tymczasem jednak, latem r. 1844, poeta wyjeżdża za granicę. Potrzebuje pomocy dla zdrowia, porady zaufanego doktora Cheliusa. W lipcu jest u niego w Heidelbergu, potem w morskich kąpielach; na jesień wraca do Warszawy, przed urodzeniem pierworodnego syna. Tu znowu tesame, tylko silniejsze wrażenia; przypuszczenie, że rząd udaje podstępnie, jakoby się zanosiło na nową humańszczyznę (list do Małachowskiego z 5 listopada 1844). Z wiosną 1845 r. nowy wyjazd do Niemiec dla zdrowia. Ale doktór Chelius i kuracya, służą po części za pozór lub osłonę innej podróży. W tajemnicy, pewny, że wydanym nie będzie, ale błagający, żeby nim nie był, powierza Sołtanowi, że jest w Nizzy. Zboczył, żeby zobaczyć panią Delfinę Potocką. „Zastałem ją niezmiernie „smutną i chorą. Nie uwierzysz jak mi smutno patrzeć na „istotę, której los wszystko był dał i wszystko odebrał: zdro„wie, piękność, majątek, wreszcie ostatnią podporę na ziemi, „matkę“. Trudni się jej interesami, w których sama nie dałaby sobie rady, a boi się ludzkiej obmowy. Musiał sam Gaszyński nawet robić mu jakieś uwagi, skoro w odpowiedzi (22 kwietnia 1845 r.) skarży się na ludzi, co „zawsze miłość mieszają z miłostkami“, a dodaje, że co o nim mówią, to wszystko „fikcya“. Potem następuje istotnie pobyt w Heidelbergu, a dalej nowa tajemnica. Szereg listów do Gaszyńskiego z prośbą, żeby wyrobił francuzki paszport na zmyślone nazwisko, żeby w sekrecie najął mieszkanie w prywatnym domu... o co chodzi? Poeta nie był nigdy w Paryżu,

miał chęć i potrzebę tam być, obawiał się prosić o paszport rosyjski do Francyi; wziął się więc na ten sposób. Jakie pobyt ten miał nieprzewidziane a dziwne znaczenie w stosunkach Krasińskiego ze Słowackim, zobaczymy później. Tymczasem zapisać trzeba, że o tym jego tajemniczym zamiarze „jedna tylko osoba wié, to jest Eliza“ (do Gaszyńskiego 29 maja 1845), pierwszy znak zwrotu w jego dla niej uczuciach. W innym liście z (20 kwietnia) smutny i piękny ustęp o Mickiewiczu:

„Jeśli próżność własna lub cudza intryga może takie „słońca zaćmiewać i gasić, to przyznać należy, że królestwo „piekła trwa djablo mocno na tej ziemi dotąd. I któż od po„kusy wolny, kiedy święci upadają? kto od błędu, kiedy „gieniusze obłąkują się? Módlmy się do Boga, by nam własną „próżność odjął, jeśli mamy ją, bo ona to wiedzie do prze„paści wcześniej czy później. Ty powiadasz: *la farse est jouée.* „Lekkomyślnie tę rzecz uważasz, tak, *la farse est jouée, mais* „*la tragédie commence.* Mojem zdaniem niema nic tragiczniej„szego, nad upadek wielkiego ducha, nad skon aniołów: bo „ludziom umierać dobrze jest, bowiem zmartwychwstają, ale „anioł, co był powinien żyć wiecznie, ale gieniusz, którego „prawem świecić ciągle, gdy umiera, niema mu zmartwych„wstania! a potem, co za wpływ na drugich? co za pomię„szanie sumienia ludziom wielu? co za osłabienie wiary? „a w drugich co za hardość, co za ironia ztąd?

Okoliczności tymczasem coraz bardziej naglą do kończenia i wydania *Psalmów.* Centralizacya wersalska wydała *Prawdy Żywotne,* w których rozwijała teoryę, a zalecała praktykę *rewolucyjnych* srodków. „Pfuj! spokojnie przy sto„liku maczać pióro w atrament krwi, do tego trzeba szero„kiego jak świat sumienia! Niecna to odwaga, sprosne mę„ztwo“ (do Sołtana 11-go lipca 1845). Po odbytej kuracyi Krasiński wraca do kraju, ale na to tylko, by żonę i dziecko zabrać na zimę do Włoch. „W landarach, z mamkami i pan„nami służącemi“ chce jechać przez Wiedeń, żeby tam spotkać Sołtana; w początkach grudnia jest już w Genuy, przed Bożem Narodzeniem w Nizzy.

A tymczasem *Psalmy Przyszłości* już wyszły. Jeszcze w lipcu zaklinał Gaszyńskiego, żeby nic nie mówił nikomu o „Spirydyjności" (znać pseudonym Spirydona Prawdzickiego był już wynaleziony), a 17-go grudnia łaje go, z tą dziwną manią mistyfikowania, jaką miał, że nieoględnie książkę tę wydał. „Mówiłem ci nie wydawaj, narobisz sobie nieprzy„jaciół. Aleś był uparty jak sęk. Ciekawym, co demokracya „mówi na ciebie za te *Psalmy*. Poczciwy to był czyn z twej „strony, ale nierozmyślny. Dzięki Bogu przynajmniej, żeś „mnie usłuchał i swego imienia nie położył, tylko jakieś „zmyślone".

Zobaczmy z kolei *Psalmy*.

III.

Psalmy Przyszłości. Ich powód. Znaczenie dwóch pierwszych. *Psalm Wiary*. Jego forma. Jego treść. Jego związek z następnemi. *Psalm Nadziei*. Jego treść filozoficzna. Jego przystósowanie *Psalm Miłości*. Poezya okolicznościowa polityczna. Polityczne i społeczne przekonania i dążności Krasińskiego. Niechęci przeciw niemu. Słuszność jego pojęć i obaw. Katarzyny „śmiech szyderstwa".

Kiedy po długim trudzie znalazło się to czego się szukało, kiedy się doszło po długiem cierpieniu i zwątpieniu do prawdy, która się nam wydaje zupełną, zdaje się rzeczą logiczną i konieczną stanąć, trzymać się tej znalezionej prawdy, stósować się do niej, ale już nie szukać dalej, nie dodawać nic więcej; zadanie jest spełnione, praca skończona. Krasiński, kiedy wypowiedział jasno i wyraźnie w *Przedświcie* to, co miał za absolutną prawdę Polski, uważał swój zawód za skończony. Czegóż brakło? prawda była odkryta, tajemnica przeszłości i przyszłości ogłoszona; cóż pozostało? nic, tylko „wcielać pomału w kształt dotykalny" tę prawdę odkrytą i ogłoszoną. Wszystko, coby zrobić można, żeby ją objaśnić, rozwinąć, uzupełnić, byłoby tylko powtórzeniem tegosamego innemi słowami, niepotrzebnym dodatkiem, osłabieniem. W najlepszej wierze mówił Krasiński w zakończeniu *Przedświtu*, że w tej pieśni „całe już wyśpiewal serce", że

„tu jest jego ze słowem rozstanie“. Harfy już nigdy, nigdy „nie nastroję, zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“. Nie nastroi harfy, bo kto raz „czuł, jak anieli czuć nie mogą“, i był „na najwyższej dusz wyżynie“, ten drugi raz tak czuć nie zdoła, drugiego takiego tonu ze swojej harfy nie dobędzie. Rozstaje się więc ze słowem, połową arcydzieł życia, bo powinien zwrócić się do połowy drugiej, tworzyć naokoło siebie świat rzeczywisty, równy pięknością światom ideału,

„aż zginie cząstką w trudów arcydziele,
„aż skona zwrotką w poświęcenia hymnie“.

Nie domyślał się pisząc te słowa, że jego rozstanie ze słowem nie miało być na zawsze, że trzeba będzie powtarzać co się już powiedziało, i to nie w ogólności jako wiarę, jako system, ale z przystósowaniem do praktycznych przykładów, zdarzeń i wypadków, jako upomnienie, jako radę, jako groźbę; nie wiedział, że będzie musiał wrócić jeszcze do słowa i prawdę swoją powtarzać zawsze tę samą w innej formie, że *Credo* samo nie wystarczy, ale że trzeba go wesprzeć, uzupełnić, rozwinąć i wytłómaczyć dekalogiem i katechizmem, że po artykułach wiary przyjdzie kwestya praktyczna uczynków, że po *Przedświcie* będzie musiał pisać *Psalmy*.

Stało się inaczej jak myślał.

Jeszcze się *Przedświt* dobrze nie rozszedł po kraju, kiedy zaniosło się wyraźnie na jawne, głośne, szyderskie zaprzeczenie tej czystości i zacności, którą Krasiński zbyt idealnie mylnie w Polsce widział, ale której od niej słusznie żądał, na której opierała się cała jego wiara w opatrzną sprawiedliwość i logiczną konieczność jej odrodzenia. Przygotowywało się coraz raźniej i coraz wyraźniej zamierzone powstanie, które nietylko nie umiało zbawić sprawy, ale nawet sobie nie umiało wyjednać tyle szacunku, żeby mu przyznano prawo do tego nazwiska; nikt nigdy nie mówi o *Powstaniu* z roku 1846. Jedno z tych zaślepień najbardziej niepojętych, jedna z lekkomyślności najbardziej występnych, akt, w którym nietylko rozumu i arytmetyki nie było nawet

tyle ile potrzeba, żeby się obliczyć, ale w którym dobrowolne łudzenie i okłamywanie siebie samych doszło do niepojętej ślepoty i głupoty, do prostego i samowolnego nieuznania rzeczywistości widocznej, oczywistej i powszechnie wiadomej; w którym nieznajomość własnego kraju i ludu, ta zwykła niestety polska nieznajomość rzeczywistości i wspaniała jej pogarda, zdały examin straszliwej sławy. Bo rzeź 1846 roku, a przynajmniej jej prawdopodobieństwo nie było niespodzianką, ani tajemnicą — wiedzieli wszyscy, co wiedzieć chcieli i nie udawali przed sobą i drugimi, że jak się odezwie hasło jednego, wybuchnie drugie; wiedzieli, że opłakana propaganda polska grała rolę kota w bajce, który wyciągał z pieca kasztany, i że kasztanami będą głowy ludzkie. Nie wiedziała tylko, nie chciała wiedzieć wbrew oczywistości, tylko ta propaganda sama.

Głupota, lekkomyślność, bywa czasem zbrodnią; bywa nią często w rzeczach wielkiej wagi, ale w tym razie nie ona sama była złem, nie ona tylko występkiem. Było złe świadome siebie, wyrozumowane, umyślne; była systematyczna i długa propaganda nienawiści przeciw szlachcie, było wyrachowanie marne i głupie, że ująwszy lud za tę nienawiść i zaspokoiwszy ją hojnie, obudzi się w nim miłość do Polski. Przypominając ludowi wszystkie krzywdy, jakich kiedykolwiek mógł doznać, dmuchało się na jego nienawiść; obiecując mu grunta i lasy, budziło się w nim zazdrość; jednem i drugiem krzywiło się w nim nietylko pojęcie własności, które do dziśdnia naprostować się nie może, ale samo sumienie, sam zmysł moralny. I to się robiło przez miłość ludu i przez miłość ojczyzny! to się nazywało *demokracyą* i *patryotyzmem!*

A ci, co widzieli zaślepienie spiskowych, którzy wiedzieli, jaki obrót nada rzeczom silniejsza od nich ręka i głowa od nich mędrsza — cóż ci mogli robić? nic — nic, tylko pocichu we cztery oczy przedstawiać i prosić. Głośno nie mogli się nawet odezwać, nie mieli gdzie ani w czem, nie było im wolno; a prośby i zaklęcia odbijały się jak groch od ściany od uporu i zaślepienia wersalczyków, ich agentów

i stronników. Widzieć zbliżające się niechybne zawieszone nad krajem najstraszniejsze z nieszczęść, a nie módz go odwrócić, przeszkodzić mu; być przeciw niemu zupełnie bezwładnym i bezradnym, jak żeby to była jaka klęska elementarna, zalew, trzęsienie ziemi, lub oberwanie chmury, to jedno z uczuć najokropniejszych na świecie. A istotnie tu w kraju radzić nie mógł nikt. I tak co dnia, co godziny widziano zbliżającą się chwilę, w której wybuchnie jakaś nędzna parodya czegoś, a ten wybuch stanie się hasłem — mniejsza o to, choć to nie mało, że śmierci i rzezi, — ale najokropniejszego zaprzeczenia Polski, jakie się kiedykolwiek w Polsce stało, i takiego rozprzężenia jej społecznego składu, po którem po latach i pokoleniach jeszcze ona do równowagi nie wróci.

I ta klęska, ta zbrodnia, to głupstwo, ten wstyd, to upokorzenie, to samobójstwo, zbliżało się wyraźnie, regularnym chodem, jak pociąg kolei żelaznej, który widzi się że idzie i o swoim czasie w swoim punkcie być musi.

W kraju rady nie było; ale za granicą? nie więcej. Kogo nie przekonał i nie wzruszył oczywisty faktyczny stan rzeczy, na tem słowo człowieka wrażenia nie zrobi, a jeszczeż słowo Krasińskiego na Centralizacyi ówczesnej. Ale ze skutkiem czy bez skutku, dla uratowania rzeczy, czy tylko dla własnego sumienia, ratować jak można, robić co można, prosić, zaklinać, przekonywać ile można i dopóki można. W całej Polsce nie było może człowieka, któryby nieochybność nieszczęścia tak jasno widział, i któryby nad nim tak cierpiał, jak Krasiński — on, wyznawca tej wiary, że przez nieskalaną Polskę i jej sprawę, ludzkość cała podniesie się wyżej, on musiał widzieć, jak ta sprawa będzie nadużytą do dzieła głupoty, zbrodni, hańby i samobójstwa, on musiał naprzód pić ten kielich i truć się jego goryczami. — Nikt tak nie widział, nikt tak nie bolał, i nikt nie był zdolny (bo Mickiewicz w tych latach już nic) tak krzyknąć z bólu, tak zawołać na gwałt i zakląć o miłosierdzie nad Polską, jak Krasiński. I zrobił to; zaledwo pomiarkował, w Warszawie w początkach r. 1844 na co się zanosi, zaczął pisać *Psalmy.*

Oczywiście głównym, najważniejszym z trzech jest ostatni; dla niego napisane są dwa pierwsze, w nim mieści się upomnienie, błaganie, zaklęcie i groźba; w nim to słowo obowiązku, słowo miłości ojczyzny, jakiego domagały się okoliczności ówczesne, i na wszelkie okoliczności, na zawsze rada, nauka, zasada życia. Ale żeby dojść do tego, żeby powiedzieć prawdę, choćby bez nadziei skutku, ale z powagą i wyższością niemylnej prawdy, żeby przekonaniem ludzkiem pewnie i zupełnie owładnąć, chciał Krasiński zanimby powiedział: „Hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły na „was wieki, że cel wieków znów daleki“, chciał przypomnieć, że inaczej ten cel mógłby być blizkim, chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu* i to, na czem je opierał; i ztąd poszły dwa pierwsze *Psalmy: Wiary* i *Nadziei*, które są niejako wstępnym argumentem dla ostatniego, rekapitulacyą tych wszystkich dowodów, znaków i nadziei, z których jako wniosek wyjść miało odrodzenie Polski, i konieczność, obowiązek zaniechania tego, co temu odrodzeniu stanąć musiało na zawadzie, propagandy złudnego powstania a rzeczywistej nienawiści, rzeczywistego rozkładu społecznego.

Psalm Wiary jest ze wszystkich Krasińskiego wierszy najzupełniejszym wyrazem i składem jego pojęć filozoficznych. W ciasnym obrębie stu kilkudziesięciu wierszy zawarta jest sama najistotniejsza treść jego przekonań o Bogu, o istocie i przeznaczeniach człowieka i ludzkości. Ztąd zbitość nadzwyczajna tego wiersza, którego żadne słowo nie jest obojętnem lub zbytecznem, każde koniecznem, wyrażającem jakieś ważne, niezbędne ogniwo w łańcuchu jego rozumowań. Ztąd jędrność nadzwyczajna stylu. Rzadko zdarzy się widzieć u największych nawet pisarzy, taką obfitość i wagę myśli, oddaną tak małym zasobem słów. Pod tym względem jest *Psalm Wiary* niewątpliwie jednem z dziwnych zjawisk, z językowych i stylistycznych arcydzieł naszej poezyi. Oprócz tego, przy wielkiej powadze, a nawet uroczystości tonu, on jest prosty; zwrotów sztucznych, wyszukanych, napuszonych jakie się u Krasińskiego nieraz zdarzają, tu niema. Nie można się dziwić, jeżeli wielu ma w tym wierszu szczególne

upodobanie; jest on w swoim rodzaju, jako wiersz filozoficzny, doskonałością, przez najtrafniejsze zastósowanie stylu do przedmiotu, przez wyjątkową, nadzwyczajną treściwość słów i wykładu, połączoną z zupełną jego jasnością.

Co do jego treści, podaliśmy ją już wyżej, kusząc się o przybliżony zarys filozoficznych pojęć Krasińskiego. Wszystko, co jest rozprószone po innych wierszach lub listach, co kiedyś znajdzie się w *Niedokończonym Poemacie*, to tu zebrane i skupione jest razem. Tak, jak przed kilkoma laty *Syn Cieniów* był wykładem pojęć poety o człowieku, tak teraz *Psalm Wiary* określa istotę i przeznaczenie człowieka, ale na tem nie poprzestaje; mówi on nadto, czem jest Bóg w swojej istocie i w swoim stosunku do stworzenia, czem są, do czego dążą dzieje i przeznaczenia ludzkiego rodu.

Jest więc człowiek złożony z ciała, duszy i ducha, podległy śmierci na to, by mógł przejść do wyższego życia, nieznający jej, kiedy już do niego doszedł; dążący ciągle do Boga przez walki i trudy zrazu, przez coraz wyższą miłość i szczęśliwość później; im bliższy Boga, tem lepiej widzi i czuje przedział między Nim a sobą, aż wreszcie w żywocie wiecznym ciągle rośnie, działa, tworzy, w postępie bez końca, w szczęściu i miłości bez granic.

Bóg znowu, jest Ojcem, Synem i Duchem, jak w katechizmie, co w myśli jego wychodzi na tosamo, jest tylko innym wyrazem tego, że Bóg jest „Bytem, Myślą i Życiem". „On w świecie jak Myśl mieszka i jak Byt wieczysty", czyli przenika i ożywia świat, a „za krańcami świata" on jest osobisty". Jak widzimy, wychodzi poeta z daleka, żeby dojść do r. 1846; i czytając, pyta się człowiek, co ta cała filozofia tutaj robi? Zaraz jednak nachyla się ona do przystósowania. My wszyscy, zrodzeni z Boga, musimy żyć nieśmiertelnie i z nim razem, tworzyć dalej tak, jak on nas stworzył; z „wewnętrza nas samych wyprowadzać światy".

„o ile możem biedni w anielskiej pokorze
„to coś Ty nam dał z łaski, oddawać Ci Boże".

Lecz (dalsze przystósowanie), „szkołą duchów są ludzkości dzieje; przez nią tylko i z nią razem duch każdy może dojść do swego przeznaczenia, może się „ludziom wypromienić anielstwo",

A do dnia tego wiodące tu wschody,
To w łasce Twojej poczęte narody.

Przez narody wolne tylko, żyjące w zgodzie i sprawiedliwości, dojść może ludzkość do tej harmonii, do tego braterstwa, które jest jej przeznaczeniem na ziemi, a będzie jej przemienieniem, podniesieniem do wyższego bytu. Między temi są niektóre wybrane na to, by innym były przykładem, i straszną walką w grobie wyrobiły dla wszystkich więcej miłości i więcej braterstwa, i „wyższe w ludziach pojęcie o Tobie (o Bogu).

Takim jest naród Twój Polski o Panie!

kto jest jego cząstką, powinien znać się cząstką Twojej woli.

„Chrystus wciąż w Tobie żyje, o Ludzkości" — jest nietylko Zbawicielem, ale jego życie jest typem, figurą jej życia. Poczęta z Przeczystej Dziewicy, z Myśli Bożej, dążąca do stolicy Ojca, musi ona przejść przez trud i męczeństwo. A chwała Chrystusa w Przemienieniu wyobraża, że i ludzkość także, zanim swoje ziemskie życie zakończy, będzie przemieniona, zrzuci z siebie szataństwo niewoli, kłamstwa opętanie i niewoli zawiłość, a

Weźmie z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną nieskończoną miłość,
I z temi dwoma świętemi potęgi
Jak Chrystus w światła wzbije się okręgi.

Jestto więc wszystko, co składa zasadniczo filozofię Krasińskiego, co jest jego *Wiarą;* ztąd nazwa tego *Psalmu.* Człowiek, jego żywot wieczny, Bóg, wreszcie dzieje ludzkości, jako wyobrażenie i powtórzenie życia Chrystusa Pana: urzeczywistnienie jego prawa, jako jej przeznaczenie i przyszłość. Niema tej tożsamości niemego stworzenia i człowieka, jaka była w *Synu Cieniów,* i niema tego, co tam, zaprzeczenia nieśmiertelnej indywidualności duszy ludzkiej.

Niema też w *Psalmie Wiary* jednego jeszcze pewnika filozofii Krasińskiego, troistych dziejów ludzkości, i mającej się zacząć trzeciej epoki: ten pewnik znajdzie się w *Psalmie* następnym.

Taki jest *Psalm Wiary*, założenie najszersze, formuła na ogólne przeznaczenie ludzkiego individuum i ludzkości, prawo kardynalne i niezmienne, które dopełnionem być musi. Łatwo poznać, że już tu, jakkolwiek pośrednie i dalekie, ale jest wyraźne przystosowanie do konkluzyi *Psalmu Trzeciego*. Jeżeli każdy z nas, Polaków, ma się czuć cząstką woli Bożej, a wszyscy razem jesteśmy powołani do tego, żeby wyrabiać w ludziach „więcej miłości i więcej braterstwa i wyż„sze pojęcie o Bogu“, to rzecz jasna, że powinniśmy „Haj„damackie rzucić noże“. Ale niebawem przejdziemy do dowodów bliższych, do powodów, dotykających nas bezpośrednio, do rzeczy bardziej szczegółowych, lepiej określonych, a popierających jeszcze silniej i wyraźniej konkluzye *ostatniego Psalmu:*

„Dość już długo, dość już długo,
„Brzmiał na strunach wieszczów żal,
„Czas uderzyć w strunę drugą
„W czynów stal“.

Tak się zaczyna psalm drugi — *Psalm Nadziei.*

Ten kiedy wyszedł, i długo jeszcze potem, czytany był i rozumiany tylko jako przepowiednia lepszej przyszłości. Kiedyśmy z zapałem powtarzali „czas uderzyć w czynów stal“, rozumieliśmy, że wieszcz widzi przed sobą blizką wojnę—zwycięzką; wystarczało nam słyszeć i wierzyć, że „idzie moc zwycięzka, obiecany Pocieszyciel“, a ujrzy go pierwszy, „kto niewinnie umęczony“. Dziś widzi się, że w tych strofach, które zdają się brzmieć tylko wieszczem natchnieniem i zachwyceniem, jest także całe rozumowanie, cała filozofia Krasińskiego. To jest dalszy ciąg poprzedniego psalmu, z tą różnicą, że kiedy tamten odnosił się do rzeczy częścią objawionych, częścią doświadczonych, a więc znanych, i wyrażał *Wiarę* poety, ten, odnoszący się do przyszłości, do

rzeczy niewiadomych, choć niemniej na przekonaniu jego oparty, wyraża jego *nadzieję* — zupełnie pewną, wyrozumowaną, ale nie stwierdzoną jeszcze, zatem nadzieję tylko.

Kiedy on każe uderzyć „w czynów stal“, a my rozumiemy przez to stal oręża, wojnę, to w jego pojęciu *czyn* ten — (który materyalnie, faktycznie może, a zapewne musi, objawić się jako wojna), nie znaczy przecież jednego czynu ani jednej walki, ale oznacza ten nieustanny przyszły *czyn* filozoficzny, ten wątek dziejów, snujący się ze świadomej woli, zgodnej z sumieniem, który u Cieszkowskiego w *Prolegomenach* nazwany jest *Thatsact* i uważany za znamie przyszłej epoki historycznej, a przez Krasińskiego z zapałem i wiarą przyjęty, i przechowany jak jeden pierwiastek zasadniczy w składzie jego pojęć.

Kiedy druga zaraz strofa mówi, że „wszystkim ciało „dał Jehowa — Chrystus duszę — a Duch Święty da ży„wot“, znajduje się w niej myśl tę samą, co w piśmie o *Trójcy i Słowie Wcielonem*, i o *Żywocie wiecznym*. „*Zba*„*wiciela* Objawiciel“, który „weźmie z Ojca, weźmie z Syna“, to znowu inny ale dokładny wyraz tej myśli, że trzecia epoka Ducha św. nie będzie objawieniem prawd nowych i nieznanych, tylko lepszem zrozumieniem i zastosowaniem praw Chrystusowych. „Ten, na czyim już pogrzebie, były wszystkie „króle świata“ a kto „wzrok utopion trzyma w niebie“ i „patrzy „w Ducha strony“, to znana nam nauka o śmierci, która jest warunkiem lepszego życia, o podnoszeniu się ducha zbiorowego (narodowego), jak ducha osobistego, w takiej „próbie „grobu“. Wreszcie „ziemia tem stroskana“, która musi przyjąć pokój, odłamki ludzkości składające kiedyś „jeden świat „i kościół“ to ostateczne przeznaczenie rodu ludzkiego na ziemi, do którego on dojdzie przez wolne narody. Ale ta filozofia, ożywiona tu jest, oświetlona, rozpłomieniona, uczuciowem natchnieniem i uniesieniem. Nigdy może Krasiński nie mówił takim porywającym tryumfalnym tonem pewności, nigdy tak nie ręczył za przyszłość; a ten popęd rwący, ta „nadziei siła“ jest wielką pięknością drugiego *Psalmu*. Prze-

cież, i tu nawet, ta nadzieja czy obietnica nie jest bezwarunkową. Kto czyta uważnie, a myśl poety zna dobrze, ten nie przeoczy wiersza „ z wiary waszej wola wasza — z woli „waszej czyn wasz będzie“. Ten czyn pierwszy, czyn zwycięzki, i następujący po nim czyn nieustanny wznoszenia coraz wyżej siebie, i ludzkości, ten „będzie z woli waszej“, a wiemy, że Krasiński pojmuje wolę, jako świadomie zgodną z sumieniem, dobrowolnie zjednoczoną z wolą Boga. Tylko taka wola może wydać ten czyn, który ma być podniesieniem ludzkości.

A teraz związek *Psalmu Nadziei* z następnym, i jego przystósowanie do praktycznych konkluzyj tamtego? To jest jasne. W takiej chwili „kiedy począł się dzień boży“, kiedy „grób był kolebką nowej zorzy“, w tej chwili blizkiej spełnienia przeznaczeń ludzkości przez Polskę, spychać ją z jej jasnej drogi, żeby ani ona, ani ludzkość nigdy do celu trafić nie mogła? To jest niewypowiedziane, ukryte, ale wyraźne przystosowanie tej *nadziei*, do tamtej przestrogi. Poeta chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu*, całą swoją pewność lepszej przyszłości, zależnej wszakże od naszego zachowania się, od naszej dobrej woli, żeby w tem przypomnieniu i przeciwstawieniu wymowniej sama za siebie przemówiła zła wola i zaślepienie tego ducha obłędu, który pchał do wypadków 1846 r.

Psalm Miłości w gruncie jest pismem politycznem, jest broszurą; wchodzi w tę kategoryę słów i pisma, któremi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić lub czemuś przeszkodzić, i używa po temu wszystkich argumentów, jakich dostarczyć może rozum, zmysł polityczny, zdrowy rozsądek, znajomość spraw, miłość ojczyzny zwłaszcza. Kazania sejmowe Skargi, choć na wskróś polityczne także, choć mają ten charakter polemiczny i tendencyjny, nie mają go w takim stopniu jak *Psalm* Krasińskiego, bo o teraźniejszości i o przyszłości mówią ogólnie, nie mając na oku żadnego, ściśle określonego faktu, któryby był ich przedmiotem i celem. Wszelako, gdyby szukać pokrewieństwa i podobieństwa w naszej dawniejszej literaturze, tedy

niezawodnie najwięcej byłoby tego pokrewieństwa między *Psalmami* a *Kazaniami* Skargi. Ale podobieństwa bliższe, bardziej określone, znalazłyby się może w literaturach obcych, mianowicie starożytnych: rzeczy treści politycznej, mające za przedmiot jeden szczególny dany wypadek, dochodzące jak *Psalm* do wysokiej potęgi natchnienia przez miłość ojczyzny i przez oburzenie. *Psalm Miłości* w swojej formie poetycznej wychodzi na to samo, czem są (w innej formie) *Filippiki* Demosthenesa, zaklinającego swój naród, żeby się samochcąc nie gubił; czem jest pełne oburzenia do jednego człowieka wymierzone *quousque tandem* Cicerona, zapytanie, jak długo jeszcze ten człowiek naród swój gubić zechce. Naturalnie nie chodzi tu o porównanie, ale chodzi o to, że te trzy rzeczy wszystkie jednako, powstały pod wpływem strasznego niebezpieczeństwa grożącego ojczyźnie, że wszystkie trzy mają tę dążność odwrócenia, ubłagania, zażegnania klęski, i że wszystkie trzy robią to z największą potęgą rozumowania, z najwznioślejszą wymową uczucia. Jeżeli *Filippiki* uchodzą dotąd, i słusznie, za wyraz klassyczny, najsilniejszy, najwymowniejszy, i najbardziej wzruszający, miłości ojczyzny w walce z ojczyzną samą zaślepioną i lecącą na oślep do samobójstwa, jeżeli *Catilinaria*, choć tamtym nie równa, słusznie uważana jest za typ patryotycznego oburzenia na zgubne dla dobra ojczyzny roboty, jeżeli po wiekach jeszcze, wśród innego zupełnie świata, one tak trafiają do miłości ojczyzny ludzi wszelkich narodów i pojęć, że poruszą do drgania wszystkie włókna miłości ojczyzny tam, gdzie ona jest, bo choć z Filipa i z Katyliny niema już ani prochu nawet, to na naród, który się dobrowolnie gubi i na człowieka który go gubi, obojętnie patrzeć nie może, kto wogóle zdolnym jest takiego uczucia, — tedy *Psalm* Krasińskiego ma prawo stanąć obok nich, jako wyraz równie potężny tejsamej miłości i tegosamego oburzenia. Taksamo jak tamte tendencyjny i polemiczny, tak, jak tamte wydarły z serca drgającego boleścią i gniewem na widok straszliwej klęski grożącej ojczyźnie, tak jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy, i, choć jest poezyą, w potęgę rozumowania,

jest tak jak tamte, najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i prośby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które lecące na gwałt w przepaść Ateny, powstrzymać miały nad jej brzegiem: a do których podobny jest i tem, że jak one był daremnym.

Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatana czarny ród
Lecz nie nęcić polski lud
By niósł szlachcie polskiej mord.

Trzebaby sumienia dziwnie skrzywionego, trzebaby takiego, z którego wszelkie uczucie polskie zostało wydartem i wygładzonem, żeby śmieć powiedzieć, że te słowa nie są dobrem, nie są prawdą, nie są miłością ojczyzny jak być powinna. A potem następuje to, co już dawno powinnoby być dla całego świata stanowiskiem dawno przebytem, co wiele już razy poznane z owoców, powinno było stać się powszechnie przyjętym i uznanym axiomatem politycznym, a co czytając, mówić sobie trzeba z żalem, że Krasiński swój wiek wyprzedził; że ludzie kiedyś dopiero będą powszechnie wierzyć i wiedzieć to, co jest przecież tak proste, tak jasne, tak stwierdzone doświadczeniem i dowiedzione historyą:

Niemowlęctwem wolnych ludzi
Gilotyna i grabieże
Nie jest czynem rzeź dziecinna
Nie jest czynem wyniszczenie?

Może są ludzie, którzy w szczęśliwem poczuciu swojej wyższości patrzą pogardliwie z góry na Krasińskiego i ruszają ramionami na nieprzydatną, klasztorną, mistyczną, dobrą dla dzieci i kobiet naukę, że złego nie zwycięża się złem, którzy w powierzchownej pół-nauce i we właściwem ludziom powierzchownym uwielbieniu sukcesu, mówią, że co innego jest katechizm, a co innego polityka — ale pomimo nich, i choćby takich było wielu, choćby wszyscy, to i wtedy prawda, od ludzkiego uznania nigdy nie zależna, i nad nie wyż-

sza, prawda jest i będzie, że „kto chce iskier z czarta ku- „źni, by przepalić czarta moc, ten świat w gorszą spycha „noc“. Może być, że „szata Polski“ nie jest „przenajczystsza „i nieskalana“ jak twierdzi Krasiński; nie jest, pewnie nieszczęściem nie jest. Ale być powinna: im mniej jest, tem więcej powinna starać się być nieskalaną, to przyzna każde serce, w którem jest wysokie pojęcie Ojczyzny i jej cześć; to nie mistyczna exaltacya, ale prosty i konieczny warunek miłości ojczyzny. I takie jej pojęcie, taka jej miłość musi przyznać, że „kto mękę zmienia w zbrodnię, kto przekuwa w nóż kajdany a nie w szablę, ten bez myśli i bez serca“. A temu wyrokowi prostego sumienia wtóruje historya sama, i swoim głosem, na który niema odpowiedzi, świadczy, że „ten nieszczęsny i ten głupi“ — nieszczęsny bo nieszczęście ściąga, głupi, bo robi co innego jak chciał. I ona także, historya, stwierdza przytoczonym przykładem Robespierra i Maryusza, że „każde w dziejach krwawe imie

„Ach nosiła mierna dusza“.

Zdawałoby się, że w tem wszystkiem niema nic, czemuby sumienie ludzkie, zwłaszcza sumienie polskie, czemuby ludzki rozum mógł zaprzeczyć. A tymczasem zdarza się nieraz słyszeć jakieś o tym *Psalmie* restrykcye i zastrzeżenia, które przechodzą z niego na całą poezyę Krasińskiego. Jest pewna, nie nieufność, do jego tak pewnych a nieco mistycznych obietnic i przepowiedni, ta byłaby zrozumiałą, a nawet może przydatną; ale niechęć do jego poezyi i do jego osoby. „Piękne „to, wzniosłe, zapewne... ale .. „nie powiada się wyraźnie o co chodzi, ale daje się do zrozumienia, że jest jakieś ale... i te restrykcye, te zastrzeżenia, tak się rozchodzą i rozpowszechniają, że przeszły nawet do niektórych książek; że w tej lub owej historyi Literatury można się z niemi spotkać, i wyczytać naprzykład, że Krasiński idealizował średnie wieki, albo że dla jego wielkiej miłości ojczyzny można mu darować jego pojęcia niezgodne z dążeniami wieku, lub podobnie.

Wstyd jest prawie używać wyszarzanych, brukowych wyrażeń, które już dawno powinnyby być pogrzebane jak sprzęty zużyte i nieprzydatne, jak zarzucamy niedołężne bełkotanie dziecinne, kiedy się mówić porządnie nauczymy, — ale darmo: trzeba powiedzieć, że z powodu Krasińskiego, nieraz obijają się o uszy takie słowa jak reakcya, wsteczność, arystokracya, zacofanie, i tam dalej. Słowa, z których kiedyś ludzie będą się tak śmiali, jak my dziś śmiejemy się ze zdyskredytowanych a niegdyś powszechny kurs mających wyrazów na chwilowe uprzedzenia lub pojęcia ludzi przeszłych wieków, z *liberum veto*, z *nemine contradicente*, z mniemanej szlacheckiej równości, mniemanej wolnej Elekcyi i t. d. Jak niegdyś tamto, tak to dzisiaj wydaje się hasłem i sztandarem mądrości; jak tamto dziś, tak to kiedyś wyda się marnem i pustem: i ludzie będą się dziwili Krasińskiemu, nie że pisał to co pisał, ale że to pisać uważał za potrzebne.

Cała bowiem jego zła reputacya człowieka zacofanego, wstecznego, arystokraty, poszła z tego *Psalmu*, w którym napisał: „Jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud!“ Zbrodnia nie wielka, a prawda więcej jak logiczna, bo arytmetyczna; proste dodawanie uczy, że dwa jest więcej jak jeden. Ale gdyby trzeba dowodu na to, jak u nas zakorzeniły się wyobrażenia zagraniczne, francuzkie głównie, a jak zarazem jeszcze silny jest dawny polski porządek społeczny, to nie znalazłoby się nigdzie dowodu lepszego, jak właśnie w tej kwestyi szlachectwa i szlachty, i w sposobie, w jaki ją pojmujemy. Z jednej strony tak pamiętamy doświadczenia i nauki dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, tak wiemy, iżeśmy na niej źle wyszli, tak przytem jesteśmy mocno i szczerze przekonani o niepodobieństwie i szkodliwości przywileju, że szlachta sama nie lubi o sobie mówić, nie lubi się do siebie przyznawać, jakżeby się wymawiała że jest; o niej zaś mówi się albo z niechęcią, albo z przekąsem. Z drugiej strony tak się ją na każdym kroku spotyka, jest elementem tak zawsze ważnym w życiu narodu, tak na każdym kroku, o cokolwiek chodzi, o założenie dziury w moście czy o krok polityczny, o składkę dla biednego, o wydanie książki, czy

o powstanie, trzeba o nią uderzyć i z nią mieć do czynienia, że wbrew naszym pojęciom, wbrew chęci wielu, i pomimo że sama jako taka, nigdy się nie affirmuje, ten pierwiastek społeczny stoi i jest. Owszem, ktokolwiek ze znajomości ludu wiejskiego, a nawet, co dziwniejsza, ze znajomości naszych miast, chciałby wyciągnąć wróżbę, jakby kiedyś w przyszłości społeczeństwo polskie wyglądać mogło, ten musiałby przyjść do przekonania, że ten pierwiastek, który nazywamy dziś szlachtą, zostanie w tem społeczeństwie zawsze, i zawsze w niem będzie wiele znaczył; chyba, żebyśmy tę ziemię zaludnili jakiemś innem plemieniem odmiennej natury. Bo wyobraźmy sobie, że wskutku jakichkolwiek wypadków, znikło na całej przestrzeni Polski to, co nazywamy szlachtą, a został tylko lud wiejski i miasta, to zaraz, oba te pierwiastki bezwiednie, instynktem, dążyć będą do wytworzenia z siebie czegoś, coby było zupełnem powtórzeniem dzisiejszej szlachty; bogatszy włościanin i bogatszy mieszczanin nie będzie spokojnym, dopóki nie będzie miał większej posiadłości ziemskiej, i w krótkim czasie suma ludzi na takiej posiadłości osiadłych, będzie w tem nowem społeczeństwie pierwiastkiem tak znaczącym, jak jest dziś szlachta. Nie herb, ale osiadłość na pewnej przestrzeni ziemi, wieś i wiejskość, to jest to, co stanowi samą istotę szlachty i co jej nadaje właściwe znamię; a z mocy jakiegoś wrodzonego nam usposobienia, ten popęd do osiadłości i wsi sprawi, że waga, środek ciężkości naszego składu społecznego i naszego narodowego życia, będzie zawsze na wsi. To jest fakt, na który jedyna rada byłaby w zaludnieniu tego kraju ludźmi innego pochodzenia, bo jak długo zostanie tosamo plemię, zostanie i ten fakt. Rozum zaś żąda, żeby społeczeństwo jak człowieka kształcić w kierunku jego natury; i kiedyś, będą się nam ludzie dziwili, że zamiast znać naszą naturę i te formy życia, jakie jej są właściwe wykształcać na dobre, traciliśmy czas na marnych i bezskutecznych marzeniach o zmianie tej natury.

Kiedy więc Krasiński mówił „z szlachtą polską polski lud“, nie mówił tego na dziś tylko, nie mówił o herbach

i przywilejach, ale wiedział, że jakaś warstwa narodu, odpowiednia dzisiejszej szlachcie zawsze tu będzie, i że warunkiem pomyślności będzie, zawsze jak dziś, żeby z tą jakąkolwiek szlachtą był polski lud.

Za to doprawdy nie było powodu rzucać na niego kamieniem. Ale może ma grzechy cięższe? zobaczmy.

„W poświęcenia świętej dumie,
„Poprowadzi lud do bitwy,
„Kto prowadzić lud ten umie".

Otóż jest. Na co nam świadków, słyszeliście wszyscy, że zbluźnił, *habemus confitentem reum!* Kto prowadzić lud ten umie! więc zawsze prowadzić, zawsze być na przodzie; więc szlachta jedna do prowadzenia zdolna i stworzona? a sejmiki, a pijaństwo saskie, a *liberum veto*, a pańszczyzna, a równość wreszcie i prawa człowieka, to wszystko zapomniane? to nic? Dowód oczywisty: szlachcic, arystokrata i tam dalej!

Że Krasiński przeszłość Polski, a w niej szlachty, widział w świetle idealnem, a niezupełnie prawdziwem, to widzieliśmy już nie raz. Że szlachty nietylko nie lekceważył i nie nienawidził, ale że się do niej sam przyznawał nie bez dumy, a w niej widział sam rdzeń siły, *die Kern Truppen* narodu, to prawda. W jednym ze swoich listów wyraża swoje pod tym względem pojęcia w ten sposób: „W szlachcie „jest zwykle potęga, hart, to, co składa pierwiastek bohater„ski narodu — w szlachcie albo w prostym ludzie. W pro„stem wieśniaczem odzieniu zaród wszystkich wielkości na„rodu, ten zaród, gdy się z kurzu otrząśnie, a zachowa twar„dość i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa. U nas „w ostatnich czasach szlachtą i chłopem, w dawniejszych zaś „samą szlachtą wszystko się działo; a dziś właśnie w szlachcie „ocalenie Polski, w pogodzeniu się jej, w pojednaniu z wiejskim „ludem, jedyny zaród siły, w przewodniczeniu jej nad tłu„mami, jedyny zakład lepszej doli. Kto zamierza ją wyrżnąć, „ten nędznie jest głupim, ten nie ma wyobrażenia o rzeczach, „ten gada próżne słowa".

Jakiekolwiek zresztą były pojęcia Krasińskiego, błędne czy nie, w każdym razie teorya, która uczyła, że trzeba się pozbyć jednej części narodu, (tej, w której bądź co bądź było najwięcej narodowego poczucia), żeby całość stała się silniejszą, jest tak potwornie niedorzeczna, że pojąć nie można jakim sposobem mogła powstać i żyć bodaj dzień jeden. A żyła i krzewiła się, i nie dość, że głośno i zawzięcie jątrzyła wszelkie nienawiści w ówczesnych pismach publicznych, ale skrycie i pocichu zabierała się do urzeczywistnienia swego ideału. Podburzanie ludu wiejskiego przeciw szlachcie, nowa humańszczyzna przygotowywała się jako akt mądrości i miłości Ojczyzny. Nie trzeba było być szlachcicem ani arystokratą, trzeba było być tylko człowiekiem niegłupim i uczciwym, żeby ocenić ogrom takiego nieszczęścia i zadrżeć. Jeżeli więc Krasiński wołał o upamiętanie, to nie była arystokracya ani wsteczność, ale obowiązek rozumu i sumienia. A jeżeli na wszystkie krzyki i wrzaski ówczesne, na wszystkie prawdy i nieprawdy jakie o niej mówiono, w oburzeniu odpowiedział przypomnieniem wszystkich rzeczywistych zasług szlachty, to było naprzód zupełnie naturalne, a potem było najprostszym aktem sprawiedliwości. Są zarzuty słuszne, skargi usprawiedliwione, prawda. Ale:

„Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
„Nie popełnił nigdy winy?"

Na to odpowiedzi nie ma, zwłaszcza nie mogli jej mieć ówczesni przeciwnicy Krasińskiego, nie mogli o sobie powiedzieć: „Jam aniołem, jam nie zadał drugim ran". A jeżeli zapytamy, czy w swojej obronie szlachty Krasiński nie przebiera miary i nie wpada w apoteozę, to odpowiedzieć trzeba, że to, co mówi, jest prawdą:

„Kto się palił wciąż ofiarą,
„Wszędzie, wszędzie na planecie,
„Braci moich ryty ślad..."

To jest prawda. Możnaby zauważyć tylko, że wskazując to, co dobre choć prawdziwe, poeta przemilcza złe, i że przez to

wykracza z granic ścisłej sprawiedliwości. Gdyby był pisał historyę, nie byłby o tem zapomniał; ale tu, gdzie chodziło o to, by przypomnieć tylko, że szlachta nie jest tą zgubą i tym wrogiem Ojczyzny, za którą ją głoszono, w tej chwili, kiedy na wszystkie tamte krzyki i potwarze mógł wpaść w oburzenie i gniew — tutaj, w poezyi, nie potrzebował rozwodzić się z historyczną dokładnością nad złem — wystarczało to, że je przyznał w ogólnych słowach (Któż porwany zdarzeń ściekiem); niesprawiedliwym się nie stał.

Ale przypuściwszy nawet, że wszystko, co on mówi o szlachcie, jest fałszywe i złe, to w każdym razie są tam dwie prawdy niezaprzeczone, dwa pewniki polityczne, na które nie ma rady, których żadne rozumowanie nie zniesie, jedna, że „lud martwy sam to mało, ogrom leży a bez czucia“, że gdzie on sam zostaje, tam najłatwiej i najprędzej idzie dzieło wynarodowienia. Druga prawda jest w tych słowach, gdzie poeta wyrzuca demagogii naszego wieku, że ona, mówiąc zawsze o podniesieniu ludzkości, zawsze tylko wszystko chce zniżać, nie wyszlachetnić lud, ale „szlachtę zchłopić lub obalić“ i zdaje jej się, że dojdzie tą drogą do swego celu, kiedy naprawdę działa wbrew nietylko potrzebie Ojczyzny i ludu, ale wbrew przyrodzonym prawom fizycznego i moralnego świata:

„Cel światów szlachetnienie“

a kto wbrew temu postępuje przez zniżanie

„Ten nie wzniesie ludu dalej“.

To działanie ujemne, odwrotne, trafiające do celu przeciwnego temu do którego dążyło, dostrzeżone jest trafnie. To także prawda głęboka, którą historya stwierdza przy każdej sposobności.

Jest zaś w tem wszystkiem coś gorszego jak nieszczęście, jak śmierć ludzi, jak klęska polityczna; to zepsucie narodu, które raz w jego krew wszczepione, nie wyjdzie z niej na rozkaz, ale zostawi w niej jad na długo. Pokolenia całe będą musiały wymrzeć, nowe wyróść, i jeszcze pomrzeć

i znowu wyrastać, zanim wrócą do tej małej rzeczy, na którą nieraz patrzymy z taką pogardą, a bez której nie ma wielkich, do uczciwości. Lud prosty, który dla tego, że prosty najtrudniej ją traci, raz jej oduczony, trudno do niej wraca znowu dlatego, że prosty; i jak raz uwierzy, że mu się należy to, co nie jest jego, jak się przyzwyczai patrzeć na własność drugiego jak na swoją krzywdę, będzie musiał mu zazdrościć, będzie musiał widzieć w nim nieprzyjaciela; a widząc, że ten mniemany nieprzyjaciel jest polakiem, on sobie wyobrazi, że jego nieprzyjacielem jest Polak i Polska, i będziemy mieli to, co mamy: propaganda nienawiści szlachty, która miała doprowadzić lud do nienawiści obcych rządów, doprowadziła go do nienawiści Polski. A ci nauczyciele, ci apostołowie, jedni fanatycy przekonani, inni wyrachowani spekulanci, ci „z wzrostem szlachetnych i mową rozumnych“, jak ci, dopiero zarażają sami siebie trucizną nienawiści, zazdrości, jak ci, uczą siebie i drugich widzieć krzywo obowiązek, patryotyzm, miłość Ojczyzny, samo złe i dobre! i to wszystko gdzie? W Polsce tak osłabionej i wycieńczonej fizycznie, że jedna klęska jeszcze, a może z niej ostatek krwi i sił wytoczyć; tak zachwianej moralnie, że jeszcze parę wstrząśnień, a zgasnąć w niej mogą ostatki ducha: gdzie? w tej Polsce „nieskalanej“, która rozbiorem swoim, męką i cnotą, ma dążyć do zbawienia i może już jest jego blizką! i tę klęskę polityczną, tę klęskę społeczną, tę gorszą od wszystkich klęskę moralną widzieć, a nie módz odwrócić, widzieć, że zepsucie przyjdzie i nie pozwoli znowu, na Bóg wie jak długo, podnieść się z upadku — i to ten musiał widzieć, który w tę nieskażoną czystość Polski tak wierzył, który ją tak czuł i miłował, który tego zbawienia tak był pewnym!

„Narodu duch zatruty,
„To dopiero bólów ból!“

Jest wymówka, jest:

„Wiecznie stoi Przywłaszczyciel
„Przed wszystkich oczyma,

„Tem, że stoi już kusiciel,
„Chyba Boga niema!“

Ale im wymówek więcej, tem większe niebezpieczeństwo, tem gorętsza prośba. Prośba Krasińskiego do Polski „precz tym złudom o ma święta“, jest jednem ze słów najpiękniejszych i najpotężniejszych, jakie kiedykolwiek serce zbolałe wyrzuciło z głębi swojego żalu i swojej miłości Ojczyzny. A potem prośba z innego tonu, prośba nie w imię Boga, nie w imię dobrego, ale już w imię tej rzeczy przystępniejszej, łatwiejszej do zrozumienia — nadziei:

„Polsko moja, Polsko święta,
„Nad zwycięztwa stoisz progiem“

miara cierpień spełniona, zbawienie blizkie pewne, tylko jeszcze ostatnią chwilę próby grobu wytrzymać, nie splamić się zbrodnią, nie dobić się głupstwem!

W końcu dopiero, po tych prośbach i zaklęciach w imię Boga i Ojczyzny, rozumu i sumienia, po tych dowodach niezbitych i nieprzepartych, a mądrych, głębokich, rozdzierających i groźnych jak słowa Demosthenesa lub Skargi, dopiero przychodzi konkluzya, to czego on żąda, „Hajdamackie rzućcie noże!“ — groźba, że kiedyś Polska będzie przeklinała te roboty i jej sprawców, a trup Katarzyny cieszy się w trumnie i śmieje z nich śmiechem szyderstwa: przepowiednia, że to dzieło się nie uda, bo rozbije się na zbrodni, a wreszcie nauka, na dziś i na zawsze, rdzeń tego *Psalmu* i całej poezyi Krasińskiego i ich ostatnie słowo: najwyższy rozum cnota.

Słusznie nazwał Krasiński swoje Psalmy *Psalmami Przyszłości.* Nie było w nich proroctwa; niestety, było nie przewidzenie nawet, ale proste widzenie rzeczy widocznej, dotykalnej, którą widział kto chciał. A jednak były to *Psalmy Przyszłości,* bo je przyszłość sprawdziła zupełnie, co do słowa i rychło. Musiały „Carycy w grobie kości“ trząść się z radości, na widok tej samobójczej rany, jaką sobie zadawała Polska; nie trup, ale duch jej musiał parsknąć

w śmiech szyderstwa, jak do niego doleciał odgłos drugiej, gorszej Humańszczyzny. A to nie był jeszcze jej tryumf ostatni. Był inny nie tak wielki może, nie tak stanowczy, ale jeszcze słodszy: to widok, że i ta nauka nie pomogła, a zatem nadzieja prawdopodobna, że nie pomoże żadna, że na polską lekkomyślność i zawiść, rady nie ma. Rok czterdziesty szósty był nieszczęściem, strasznem; ale rany się goją, nawet trucizny pomału mogą się z ciała wyjątrzyć, siły mogą powrócić. Fakt, że po tej nauce, po tem doświadczeniu, zamiast wejść w siebie i robić inaczej, w zmienionych stosunkach i formach powtarzamy tesame hasła w słowie, a tesame sposoby w działaniu, to symptom nieledwie straszniejszy; bo on dowodzi, że upamiętania, sumiennego wejścia w siebie, rzetelnej miłości Ojczyzny, dobrej woli, jeszcze nam nie wiele przybyło. Śmiech szyderstwa jak wtedy stanął, tak dotąd musiał zostać na wyszczerzonych zębach trupa Katarzyny.



ROZDZIAŁ X.

Rok 1846—1848. Dzień dzisiejszy — ostatni. Dwa Psalmy.

I. Zima w Nizzy. Fałszywe położenie. Sprawy emigracyjne. Towiański. Wznowiona korespondencya ze Słowackim. Cesarz Mikołaj w Rzymie. Sąd o Grzegorzu XVI. Rok 1846. Pierwsza rozpacz. Sądy i wnioski (wyjątki z Listów). Wiara w przyszłość. Stosunek z Trentowskim. II. Zajęcie Krakowa. Wrażenie na Krasińskiego. List do hr. Montalembert. List do Lamartina. Pius IX. Stanisław Koźmian. Zamiana myśli. Możliwy wpływ. Przyjaźń i ofiara Koźmiana. *Dzień dzisiejszy*. Jego powód. Jego wartość. *Ostatni*. III. Zima w Rzymie. Rok 1848. Nadzieje i złe przeczucia. Mickiewicz. Wzajemny stosunek. Rewolucya w Rzymie. Audyencya u Piusa IX. Sąd o jego postępowaniu. O wypadkach w ogólności. O przyszłości Polski. Zajście z Czarnomskim. Dwa *Psalmy* oddane do druku. Stosunek ze Słowackim. Powody zerwania. IV. Dwa Psalmy. Wiersz Słowackiego. Konieczność odpowiedzi. Początek *Psalmu Żalu*. Jego dalsze ustępy i usterki. *Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. Co w nim jest prawdą. Jak go rozumieć i stosować. Ostatnie słowo poezyi Krasińskiego. Zakończenie wielkiej epoki poezyi polskiej.

I.

Zima w Nizzy. Fałszywe położenie. Sprawy emigracyjne. Towiański. Wznowiona korespondencya ze Słowackim. Cesarz Mikołaj w Rzymie. Sąd o Grzegorzu XVI. Rok 1846. Pierwsza rozpacz. Sądy i wnioski (wyjątki z Listów). Wiara w przyszłość. Stosunek z Trentowskim.

Zima z r. 1845 na 46 w Nizzy. Jadąc tam, pisze Krasiński z Genuy dnia 5 grudnia: „Eliza z panią D... już tam przyjechały“. Nie można w tym razie ani wstrzymać się od zdziwienia, ani jego od ciężkiego zarzutu uwolnić, ani wreszcie, zbierając razem szczegóły jego życia, ukryć i pominąć ten, który jest znany i z jego własnych listów i z innych drukiem ogłoszonych wspomnień lub rozpraw[1]. Trudny do zrozumienia i do wytłómaczenia u człowieka wielkiego rozumu i wysokiego charakteru, był ten pomysł, żeby po ożenieniu przemieszkiwać z żoną długo i stale na jednem miejscu z osobą, w której przed ślubem kochał się przez długie lata, w której po ślubie kochać się jeszcze nie przestał. Tak jednak było. W Nizzy mieszkała pani Delfina Potocka, w najbliższem sąsiedztwie państwa Krasińskich, i należała do ich codziennego towarzystwa. Przypuszczając i wierząc nawet, że była to tylko przyjaźń, że poeta chciał być i był dla dawnej kochanki tym „bratem“, którym się pisał w swoim ostatnim do niej przedślubnym wierszu, to jeszcze uniewinnić go nie można. Jego dawna miłość była powszechnie znaną; znając ludzi, można było i należało wiedzieć, że oni nie uwierzą

---

[1]) Dr Antoni J. *Opowiadania historyczne*, serya VII, *Beatrice*.

łatwo w zamianę tej miłości na przyjaźń. Tą zażyłością Krasiński wystawiał na złośliwe sądy i panią Delfinę Potocką, i siebie samego, i powagę swego domu; i wystawiał na ciągłe i bolesne upokorzenie żonę, która w oczach ludzkich musiała wydawać się poświęconą i skrzywdzoną. Wreszcie wystawiał siebie samego na nieustającą i niebezpieczną pokusę i walkę. Dlaczego Krasiński, ze swojem sumieniem i uczuciem szlachetnem nie zrobił sobie tych uwag i postąpił tak dziwnie? Dlatego zapewne, że pod tym względem jego sumienie było cokolwiek przytępione, bo się przez długie lata sofistycznie tumaniło; dlatego dalej, że dawna a dotąd niewygasła miłość trzymała go pod swoim czarem i nie dawała mu jasno rzeczy widzieć i sądzić. A wreszcie i dlatego może, że w jego usposobieniu poetycznem, w jego fantazyi, tkwiło to upodobanie w sytuacyach naprężonych, niby dramatycznych: *Hrabiego Henryka* skłonność i zwyczaj „dramatyzowania swego życia", jeszcze nie były zupełnie ustąpiły. Jakkolwiek bądź, jestto w jego życiu postępek najtrudniejszy może do wytłómaczenia; jeżeli nawet nie było w nim winy, to był zawsze bardzo ciężki błąd. To też kiedy on sam czuje to, dręczy się tem, i w krótce po tem zamieszkaniu w Nizzy pisze do Sołtana (9 stycznia 1846) „niech wszyscy djabli „wezmą fałszywe położenia! mniej niż ktobądź urodziłem się „do nich, a muszę w nich żyć", zamiast współczucia i pożałowania znajduje się dla niego tylko odpowiedź „nie trzeba „było położenia i tak dość trudnego, robić sobie samochcąc „bardzo fałszywem i nieznośnem".

Ale dość o tem, co się z obowiązku tylko dla dokładności wspomina, skoro już inni opowiedzieli, tak że stało się wiadomem. Z czyjej głowy wyszedł ten pomysł, kto miał mniej a kto więcej taktu i roztropności, kto piękniejszą, a kto gorszą rolę? niech dochodzą biografowie późniejsi, jeżeli szczegół ten wart, iżby się nad nim dłużej zastanawiać. My zobaczmy, jakie w tym czasie zajmują Krasińskiego sprawy albo myśli.

Psalmy wyszły; nowego nie pisze on nic, ani pisać nie zamierza. Jakiś (bliżej nie określony) pomysł tłómaczenia

czy parafrazowania pism św. Teresy, pierwszy i jedyny raz w tym czasie wzmiankowany (w liście do Sołtana z 9 stycznia 1846), jest zarzucony. (Z niego zapewne ocalał ten ułomek, który wyszedł w druku jeszcze za życia autora).

Z listów znać, że się swojem położeniem dręczy. „Przełamanym na dwoje, pęknięty w duszy jak zwierciadło porysowane od góry do dołu (pisze do Małachowskiego 9 stycznia) nienawidzą siebie“. A kiedy przyjaciel robi mu w odpowiedzi widocznie jakieś uwagi, albo może daje rady, tłómaczy, że „nienawidzi siebie, bo zawsze i wszędzie wygląda „na nóż przeznaczony do zarzynania drugich, a drudzy nie „pamiętają, żem sam zarzynany. Szczerze mówię, radbym „żeby mnie kto naprawdę dorżnął, przestałbym wtedy drugich zarzynać. Jużem znękany“... (28 stycznia). Na sprawy emigracyjne ma oko zwrócone. Z niedowierzaniem smutnem wspomina o mowie jakiejś ks. Adama Czartoryskiego: z trwogą o Towiańskim i jego wpływie na Mickiewicza. Widocznie przyjaciele namawiali go, żeby próbował na Mickiewicza działać, otrząsnąć go, skoro tak odpowiada: „Cóż „ty chcesz żebym napisał do pana Adama? (do Małachowskiego 20 stycznia). Już bez odpowiedzi została moja odezwa w lecie, a w niej wszystkom powiedział co tylko można. „„Czas“, oto ich zwycięzca; oto pośrednik między nami a „nimi. Kto fanatyzm przekona lub ukoi... kto dumę i próżność przekona, póki sama wszystkich wyników swoich się „nie dowié i z nich nie poweźmie wyobrażenia o sobie samej“... Towiański musi być podług niego „człowiekiem „czucia ogromnego, ale intelligencyi nie żartkiej; gesta i głos „jego muszą wywierać na słuchaczach wrażenie magnetyczne, „ale wszystko co napisze staje się lawą wystygłą, która już „nie pali, ni świeci“. (Małach. 10 lutego 1846). Boi się tylko, żeby „czyn jaki szalony nie wypadł z tego, w którym przepadnie osoba Adama“. Czy przez „osobę“ rozumie życie, czy powagę Mickiewicza? Radby przytem wiedział, czy Mickiewicz nie mówił czego o *Psalmach,* i prosi Małachowskiego, iżby się starał wymiarkować jego zdanie (4 stycznia).

W tymsamym liście odkrywa się potrzeba odezwania się do Słowackiego po długiej przerwie. „Jak sądzisz, czy mam „do niego napisać? Może stałem się dla niego mikroskopicz- „nem żyjątkiem, niegodnem przerywania jego medytacyj?“ Z tej jego chęci wynikło, ile domyślać się można, spotkanie Gaszyńskiego ze Słowackim, jakaś między nimi rozmowa o Krasińskim, a wreszcie list Słowackiego, który Krasiński 20 stycznia odebrał. Jest to ten oczywiście, który podaje pan Małecki w drugim tomie *Juliusza Słowackiego* (rozdz. XVIII), bo tak samo, jak list Krasińskiego do Gaszyńskiego z 21 stycznia, zaczyna się od owej rozmowy z Gaszyńskim.

„Odpisałem zaraz i to szczerą prawdę, starając się ła- „godnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich doty- „kając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też „drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z natu- „rami tak dalece rozdrażnionemi. Najstraszniej u nas grasu- „jące dwie morowe zarazy — próżność i lenistwo, gubią nas „wszystkich; cnoty zaś dwie nasze — gotowość do poświę- „cenia i zmysł doskonały do przejmowania natchnień przy- „szłości, natchnień Bożych, wchodzących w świat. Gdyby nie „próżność, doskonalebyśmy kochać umieli piękno i dobro Boże „w świecie; gdyby nie lenistwo, doskonalebyśmy je potrafili „urzeczywistnić! Ale te dwa demony psują wciąż nasze usi- „łowania, zamiary, karłują nasze postacie, przygarbacając je. „Aniołów przetwarzają w pulcinellów, bohatyrów w pijaków, „szaleńców lub błaznów. *Dixi!*“

Nieco później, 3 lutego, drugi list od Słowackiego, odpowiedź oczywiście, a u Krasińskiego usposobienie miększe i przyjaźniejsze: „List (Słowackiego) piękny i głęboko ro- „zumny, w którym pod symbolicznemi postaciami, pisze tosamo „mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, mówi i pisze“. Dziwna jest ta zaczęta na nowo zamiana listów, ta jakaś obustronna chęć zbliżenia się, w chwili kiedy wiersz *do autora Trzech Psalmów* jest już napisany i w licznych kopiach między ludźmi krąży. Do Krasińskiego widocznie wiadomość o nim jeszcze nie doszła; ale dziwne jest, że Słowacki, który mówi, że chce

być względem niego szczerym i otwartym, nie wspomina o tem, co ich w tej chwili najbardziej od siebie dzieli. Jeżeli na prawdę chciał być szczerym, to przedewszystkiem powinien był powiedzieć: „Twoje Psalmy mnie oburzyły, odpowiedziałem na nie tak a tak“.

Smutne wieści z kraju, złe przeczucia na przyszłość (bliską), odzywają się ciągle w tensam zawsze dobrze znany sposób. Co ciekawe i charakterystyczne to wrażenie, z jakiem dowiaduje się o bytności cesarza Mikołaja w Rzymie i jego rozmowie z Grzegorzem XVI. Te ustępy z listów Krasińskiego mogłyby figurować w drugim akcie *Kordyana,* albo w czwartym *Kursie* Mickiewicza, a przypadają nieźle do jego własnej *Legendy;* tylko nie przypadają ani do rzeczywistości tego co podówczas w Rzymie zaszło, ani do późniejszych Krasińskiego pism i zasad:

„Czytałeś o uściskach kopuły pękniętej ze skałą grani„tową? Piękna to musiała być chwila, gdy się zrosły obie... „Myślę, że teraz kopuła pęknięta, jeszcze gorzej pęknie od „chwili tego pocałunku. Zbłaźnienie zawsze poprzedza zgon. „Silni szaleją, słabi błaźnią się a potem umierają (do Soł„tana 9 stycznia)“. A do Małachowskiego parę dni przedtem (4 stycznia): „Dziwny to potwór; z dwóch Papieży jeden „kształt związany i zwikłany razem, nienawistnych sobie, a „spojonych tąsamą arteryą władzy świeckiej. Zobaczysz co „się stanie; oto będzie zbliżenie się tych obu, i Piotr pochyli „się jeszcze bardziej w mniemaniu ludzkiem. ...Antichryst „przybył do Romy, by w przepaść dla się zgotowaną i starca „pociągnąć. Wszystko co ma się skończyć, kończy się tak“.

Czem sobie te słowa wytłómaczyć? Jest powodów wiele. Pierwszy ten, który spowodował w wielkiej części niejedno odstępstwo, a w szczególności Lammenego i Mickiewicza, to wyobrażenie podówczas powszechniejsze jak dziś, że Papież *może* wszystko złe gromić lub wyklinać, a zatem, że robić to powinien. Na to odpowiadała roztropność Stolicy Apostolskiej przez usta Piusa IX „jam gotów wystąpić ostrzej, je„żeliście wy gotowi ponieść męczeństwo, które będzie takiego

„wystąpienia niechybnym skutkiem". Powód drugi, to powszechne u ludzi ówczesnych mniemanie, że władza świecka krępuje Papieży w ich działaniu duchownem i zajmuje zbyt wielkie miejsce w ich postanowieniach i postępkach; mniemanie, któremu nie można się dziwić przed półwiekiem, skoro zdarza się między katolikami jeszcze dziś, pomimo oczywistego doświadczenia, jak brak władzy świeckiej dopiero krępuje Papieża w sprawowaniu duchownej. Dalej, powodem tego uczucia u Krasińskiego, jest jego filozoficzna doktryna troistości, która mu kazała wierzyć, że dzisiejsza forma Kościoła musi zamienić się na jakąś inną. Wreszcie, jest niewiadomość faktu: wymówka najsłabsza, bo choć Krasiński pisząc owe listy, widocznie nie wiedział, jak i o czem Grzegórz XVI z Mikołajem mówił, to powinien był wstrzymać się od sądu zanim to wiedział. On tymczasem przypuszcza, zgaduje i na wiarę tych przypuszczeń, ze złośliwą niechęcią posuwa się aż do wyrażeń wprost nieprzyzwoitych. W przypuszczeniach się myli, wróży fałszywo. Nie zbliżenie wynikło z tego spotkania, ale zawstydzenie Mikołaja, który stanął tam w antichrystowym zamiarze zmierzenia się z Papieżem prawdziwym, a wychodził od niego blady, drżący, zgromiony, zmieszany tak, że nawet o swojej pysze zapomniał i przed widzami upokorzenia ukryć nie umiał. Ale ta gruba pomyłka Krasińskiego jest nauczająca jako przestroga, i jest ze względu na niego przykra. Jeżeli w dalszych latach przypominał sobie kiedy te słowa swoich listów, to musiał sobie mówić, że zrzekł się przez nie po części prawa oburzania się na drugich. Kiedy naprzykład tak boleśnie wziął do serca nikczemny zarzut strachu, jaki mu za *Psalmy* rzucił w oczy Słowacki, mógł był mniej mu się dziwić i brać za złe, skoro sam fałszywo sądził i oskarżał Papieża.

Wśród tego usposobienia rozstrojonego fałszywem położeniem, a drażnionego drobniejszemi troskami, spadło na niego jak piorun nieszczęście prawdziwe i straszne.

„Jak waryat chodzę od kiedym przeczytał w gazetach „co się stało! Czuję jakbym konał... *Nieboskiej* dożyliśmy „na jawie!... (do Sołtana 1 marca). Czyż to nie jak sztuczny

„ogień olbrzymi jakiś od dni dziesięciu, w którym nasze „mózgi i serca wszyskie wyleciały pod niebiosa, pękły, prysły „i opadają teraz w popiołach czarnych na ziemię, w dymach, „z których nic nie zostanie? a co trupów tam!“

Przyszła wiadomość o rzezi roku 1846.

W życiu Krasińskiego nastąpił przełom i zwrot. Do tej chwili młody, choć wątły i zawsze cierpiący, teraz, w trzydziestu pięciu latach, staje się starym, złamanym, chyli się do grobu; życie utrzymuje się w nim tylko ciągłem staraniem, ciągłemi sztucznemi środkami. Smutek, ból, cierpienie moralne było takie, że złamało zupełnie organizm fizyczny; zwłaszcza dwa pierwsze lata po katastrofie; rok 46 i 47 przeżył w stanie prawie ciągłej choroby serca, której ataki przychodziły często jeden po drugim, w stanie bezsenności prawie ciągłej, i w stanie najboleśniejszego rozstrojenia nerwów. Dawna choroba oczów wzmogła się teraz tak, że prawie już nie znosił światła — słowem od tej pory jest Krasiński tym Łazarzem, którym został już do końca, a w pierwszych czasach po wypadkach roku 1846, najbliżsi jego byli przygotowani na to, że śmierć mogła przyjść każdej chwili; niebezpieczeństwo było nieustające. Jakim sposobem w tej ruinie ciała duch nietylko ocalał, ale się wzmógł? jakim sposobem po nieszczęściu i po zbrodniach 1846 r., ta wiara w przyszłość, jaką on żył, nie upadła pod ciężarem zaprzeczenia, jakie dostała, lecz owszem wstała jaśniejsza, silniejsza jak kiedykolwiek? To jeden z tych wypadków, w których trzeba uznać, że Bóg odmierza człowiekowi krzyż podług jego siły — i że siła musiała tam być ogromna, bo ten krzyż nikogo tak nie gniótł, jak jego. „Jedynym faktem jego życia był ból“, a w tym fakcie ciągłym i nieustającym, chwilą najwyższą i wybraną bólu, była ta. Ale wiara jego w przyszłość Polski musiała być zakorzeniona i uparta i niezłomna, kiedy nietylko się zachwiać nie dała, ale w całej Polsce, pogrążonej w smutku, w rozpaczy i wstydzie, ona podniosła się pierwsza; ona pierwsza, jak gołąb po potopie, jak słowik Mickiewicza z ruin zajętego gmachu, wzbiła się w górę, i odezwała się pieśnią żałoby, ale która była zarazem i pieśnią nadziei.

Zrazu w listach krótkie urywane zdania, niby krzyki pierwszej rozpaczy i trwogi o drogich przyjaciół — gdzie są? czy żyją? Szukanie wieści o nich, udzielanie jej, kiedy nareszcie doszła. Potem dopiero następuje rozwaga, zgłębienie faktu, jego znaczenia i skutków; i żałość gorzka, straszna, która się długo, długo we wszystkich listach powtarza. Rozkoszny tryumf nieprzyjaciół, i siła jaką im ten fakt daje; rozdarcie społeczeństwa polskiego i przyszłość jego tem mniej pewna, tem groźniejsza; wina emigracyi, obowiązek poprawy i mniejsze lub większe jej prawdopodobieństwo; oburzenie na sposób, w jaki fakta takie przyjmuje urzędowa i nieurzędowa opinia w Europie — wszystko to w tych listach wybucha, wre, czasem płacze gorzkiemi łzami, czasem zgrzyta; a ze wszystkiego przecie dobywa się nadzieja, że to szczyt i przesilenie złego, za którem pójdzie jego schyłek i koniec.

„Szlachtę polską wiążą chłopy polskie i „wydają! Ojce „synów chwytają i wydają! Spiskowi, co chcą piekło obalić, „nie jak anioły poświęcenia wstają, ale piekarzów namawiają „do zatruwania chlebów! Chcą wyrzynać wszystkich Niem„ców itd. itd. Dowódcą olbrzymio rozgałęzionego sprzysię„żenia, kto obran? Młody szaleniec, szarlatan, fraześnik, „Mierosławski!!! Boże mój! Boże! krwawe łzy mi z serca „ciekną, ilekroć gazety czytam. Żal chwyta za serce, że choć „się tych dwóch czy trzech godzin, podczas których bito się „o ideę polską, tych godzin mówię kilku tam nie było; to „znów wściekłość porywa duszę, że frazesa nikczemne je„dnego stronnictwa, wymysły śmieszne, sekreta na wytrucie „wojsk nieprzyjacielskich, rzezie marzone na skalę ogromną, „a nie mogące udać się nigdy, bo natura rzeczy dziewiętna„stego wieku nie dozwala już takich anti-ludzkich głupstw: „że to wszystko spadnie na cały naród. O mój drogi! dusza „moja grobem. Czyś się spodziewał, by chłopi wiązali szlachtę, „by ostatnich obrońców Idei własny lud, ów lud tyle pod „obłoki podnoszon, wydawał! Przeklęte gadaniny, frazesy, „głupie niedojrzałości smarkaczów demagogicznych. Smutne „proroctwo *ktoś* im wypsalmował przed wybuchem, zaklina„jąc, by celu wieków nie cofali, znów nie spóźniali! Wiesz,

„w krew rozpływa się serce moje, rozpływa się jakby miało „zniknąć, z bólu się ulotnić i nie być już nigdzie!“ (do Małachowskiego 6-go marca 1846).

„O mój Konstanty, źle, źle z nami, a co najobrzydli„wsza, że mi donoszą, iż emigracya gorzej swarliwa, niż „kiedykolwiek. Czyż wstydu nie mają? czyż hańby się nie „lękają? Kto kiedy rozdzielony czego dokazał? i czyż naj„żarliwsi nawet przyjaciele nasi nie zdumieją się nad nie„wyleczoną anarchią naszą? czyż nie poznają po tym znaku, „że u nas organizmu żywota nie masz? Nas zabijają, a my „się dobijamy! (do Gaszyńskiego 19 marca 1846).

„Piszę, a gorączka je mi palce, pożera palce. Wszystko „się skończyło na teraz. Krzykacze Wersalscy wszystko zgu„bili. Rozpowiedzieli przed wszystkiemi świata policyami „głośno zamiary swe, a brudne zamiary; rządy wszystko „wiedziały i skorzystały!“ (do Małachowskiego 16 marca).

Wśród tego przypuszczenia, że nieszczęście to może dobrze wpłynąć na emigracyę; że ona się upamięta i zjednoczy: przez chwilę nadzieja, że tak będzie, wkrótce przekonanie bolesne, że tak nie jest, i wniosek, że chyba jakaś obca, niepolska ręka prowadzi i popycha tych Polaków; że bez swojej wiedzy służą Rosyi za narzędzie, kiedy z wiedzą (oszukani rewolucyjną doktryną i fanatyzmem) przyjmują natchnienia i rozkazy od przywódców rewolucyi, w złudzeniu, że służą przez to Polsce i ludzkości. List do Małachowskiego (z 17 marca 1846) jest pod tym względem ciekawy, jako pełen przystósowania i w późniejszych czasach, a charakterystyczny bardzo dla ogólnych i stałych Krasińskiego pojęć. „Upór i zapamiętałość tych ludzi coraz mnie bardziej po„twierdza w myśli, że jakaś niesłychanie bezecna sprężyna „porusza temi maryonetkami. Zażartość, zawziętość na krew „własną, bratnią, cieszenie się z jej rozlewu szkaradnego, „nie może towarzyszyć bohaterstwu ni wzniosłym dążeniom. „Najdemokratyczniejszy duch, byleby nie mierny i poziomy „w sobie, wyrzekłby się takich środków, przynajmniej nie „tryumfowałby na trupie Kotarskiego. Coś w tem wszystkiem „jest nader ukrytego, podziemnego, a bezwstydnie rozpasa-

„nego... Takie uczucia przed dopełnieniem czynu mogą po„chodzić z gorączki, niedoświadczenia, zbytniej krewkości, „przesady, z krzykaczostwa; ale po *czynie* zachowanie „takie same co przed czynem, dwie tylko mieć mogą pod„stawy, a temi są: albo próżność osobista, bezmierna, nabu„chodonozorska, samolubna, obiecująca sobie znaczenie i ko„rzyść i głupią Robespierowską chwałę, a taka próżność „jest najgorszą ducha zgnilizną; alboli też mongolska pensya „działa na takich i podtrzymuje ich w takowem dążeniu. „Nieraz i to bywa, że pensyonowani przez Hana wielkiej „hordy Anti-Chrystusowej nie wiedzą sami, zkąd ten ich „żołd pochodzi; mniemają, że od komitetów liberalnych, że „od propagand, a tymczasem ostateczny skarbiec, skąd sy„pie się złoto ono, przez wiele rąk przesuwające się, leży „w Krymie.

„Wszystkie przepowiednie Chrystusa o końcu epoki, „zaczynają się w rzeczywistość okropną wcielać i żyć na tej „ziemi i ruszać się larwowo po niej. Potęgi niebieskie aż „wstrząśniętemi zostaną. O Polska! Polska! jakżeż teraz „okropnem niebezpieczeństwem otoczona i kuszona, by wy„rzekła się siebie samej, tak jak i zresztą wszystko kuszone, „co tylko na świecie; Rzym także kuszon, a wszyscy przez „ducha niesprawiedliwości, gwałtu, mężobójstwa i kłamstwa. „Kto pójdzie za jego głosem, przepadnie; natychmiast *Sąd* „odbędzie się na nim!

„Wiesz, zwróć uwagę tych, którzy mają w ręku data „pewne i którzy je zbierają od dawnych czasów, na te po„kuszenia mongolskie, o których wspominam. Gdyby ślad „ich pewny dał się wykryć, to stronnictwoby zblakło. Pa„miętasz, gdy Szczęsni i Xawerowie byli wszystkiem u nas? „Kuszono Szczęsnych i Xawerych złotem, potęgą, teoryami „o złotej wolności i obiecywanych tronach; teraz, gdy De„mokraty przewładni, jakżeż wątpić, by i nad nimi omiesz„kano podobnych chwytać się zabiegów. Ajentów pewno „mnóstwo krąży śród tych nieszczęśliwych, i odbierać im „się stara, co mają *prawdy* w sobie, to jest teoryę o wznio„słem, powolnem, stopniowem podnoszeniu ludu; a poddawać

„im piekielne zasady o możności *odzwierzęcenia zwierząt* „*przez najstraszniejsze rozpasanie zwierzęcych ich chuci*, „w dniu jednym. Na tem albowiem kończy się nauka de„magogiczna: wyrznąć szlachtę i koniec; jakimbądź sposo„bem wyrznąć i koniec, a będzie wielki naród polski, silny, „dwudziestomilionowy, który nasamprzód na krwi szlacheckiej „się zaprawiwszy i rozbestwiwszy, później siły i ducha, „i oświecenia i poznania swoich praw nabrawszy takim „sposobem, porwie się jak jeden bohatyrski, cnotliwy i święty „Duch; brudem czysty, zbrodnią cnotliwy, świętokradztwem „święty, głęboko pobożny niewiarą w Boga i podeptaniem „wszelkiej religii; odwiecznie historyczny przecięciem wszyst„kich z przeszłością historyczną związków; doskonale ludzki, „wszelkiej ludzkości zgwałceniem; rozumny szaleństwem; „myśli odrodzonych pełen, nabytych przez pożogi, gwałcenie „kobiet, kradzież, łup i dzieci mord; zduchowniony ucieleśnie„niem, strojny rozstrojem: i ten to lud zwalczy trzy mocar„stwa! Czyli, że jeden szatan, puszczony na trzech szatanów, „ma być od tych trzech silniejszy! Jakież bezdenne głup„stwo! Jeden anioł od szatanów trzech może silniejszym być, „na to się zgadzam; ludu zaś anielstwem: wiara w Boga „i wiara w tych, którzy go wiodą, a są wielkimi i sprawie„dliwymi! Inaczej wszystko się tylko na łupieży kończy „i gdy kilka dworów złupionych, opadają ręce. Duch tylko „ciągle walczyć zdoła; ciało kilka dni przewalczywszy, „mdleje i obala się. Czy Spartakusa chorągiew owładnęła „światem? Czy Rzym obalić potrafiła? Nie. Dopiero Chry„stusa znak to uczynił! Spartakusami oni wszyscy, a biedni, „że nie wiedzą o tem. Kto socyalną podnosi chorągiew, „a nie wié o tem, że pierwszą wszelkiego systematu socyal„nego podstawą — *Bóg* i *religia*, bo wszelki nowy społeczny „porządek usprawiedliwia się tylko w źródle niebieskiem, „ten niewolnikiem zbuntowanym, a nie mężem zwycięzkim „jest, i ten zginie na trupach tych, których wprzód pomor„dował! Boże mój, Boże wielki! uchroń Polskę, by nie poszła „tym torem; prawdziwiebyśmy wyszli na Żydów nowożytnych, „bo właśnie tem zginęli Hebree, że nie chcieli przyjąć Chry-

32

„stusa, a mimo to, chcieli wybić się z pod obcej potęgi! „Niedomiara między celem ich usiłowań, wymagającym Du„cha nowego, a z niebios — i brakiem Ducha tego, zgubą „ich się stała!...

„Jeśli co nas zbawić potrafi, to *sens* tego narodu po„wszechny, to właśnie głębokie uczucie religijne, zachowane „w jego piersiach; to przeświadczenie, że co nie od Boga „i nie z Bogiem, choćby z wódką i gruntem i pieniędzmi, „nie wiele, ni wartem ni trwałem. Otóż takowe uczucie prze„chowało się i u szlachty i u ludu. Należy go tylko rozwi„nąć, a nie da się inaczej jak religijnie rozwinąć. Tylko „religia łączy prawdziwie rozbitych i rozstrojonych ludzi, bo „to najwspólniejsza najsprzeczniejszych fakcyj idea! — i je„dyna tylko, która wspólną im się stając, może ich spoić „i w organizm związać!... Niełączenie się emigracyi pod ster „jeden, najokropniejszym ciosem na nas. Wpływać na na„szych obłąkanych tylko można przez obcych, przez cudzo„ziemców, nas nie usłuchają".

Nie mogąc zrozumieć takiego stopnia bezrozumu, coraz częściej przypuszcza, że była w tem wszystkiem ukryta sprężyna — rosyjska.

„Djabelska Polska w rzezi tarnowskiej, i jeśli szerzyć „się ma takowa (o czem prawie już nie wątpię), to przyznaj, „że co Chrystus o końcu świata przepowiadał, pokaże się „być końcem naszej epoki historycznej! Rozdarłeś mi bebe„chy (jak Danielewicz mawiał) wiadomością tą, że Wersalscy „sobie nowo przybyłych skonfiskowali i że ich trzymają u „siebie na nauce. Ze wszystkiego co się stało, to najgorsze, „bo to dowodzi pewnej siły szatańskiej u tych ludzi, a wiel„kiej słabości i braku potęgi na dziś u zacnych i dobrych. „Proszę cię, napisz mi dokładnie: na wiele partyj emigracya „się dzieli? co zasiada w Wersalu? czy zjednoczenie, czy „centralizacya? pokrótce daj mi statystykę moralną emigracyi. „O! przeznaczona do zbawienia kraju, zgubi go, przez to „fatalne małpowanie a brak samorodnej twórczości. Wreszcie „powiem ci szczerze, żem przekonany, iż śród owych de„magogów gęsty deszcz, jak na Danae, sypany z rubli działa,

„i że kiedyś wyświeci się, że tam istniała zbiorowa zdrada, „Judasz z kilkunastu złożon, apostazya, o jakiej dotąd świat „nie słyszał“ (do Gaszyńskiego 14 kwietnia).

„Smutne wieści z Krakowa cię doszły. Co za rozstrój „w Polsce? co za oskarżanie się wieczne, wzajemne? Okropnie „mi, gdy się nad tem zastanawiam, i czuję, że w tej chwili „olbrzymie dwie, a sprzeczne nibyto, ale na pozór tylko, „grożą narodowi apostazye: Demagogia i Moskwa! Obie żą„dają od niego, by zupełnie zerwał z przeszłością, to jest „z wiekami, które jego zasługę ziemską składały i wyrobiły „mu na ziemi ciało widome. Gdyby lud z jednej strony „uwieść się dał i w rzezaczy uwierzył, a z drugiej mający „być wyrznięci, owi *morituri*, rzucili się w objęcia obiecujące „im ochronę, w objęcia Moskwy, — powiedz, czyby to nie „gorszy był *finis*, jak na Maciejowickiem polu? To w tej „chwili grozi nam, niech Bóg nas ochroni, on jeden może! „O mój Konstanty! czuję, że umarłem. To strach! strach! „położenie obecne. Patrzeć na nich wszystkich samobójczą„cych się przez nierozum, głupstwo, a niektórzy świadomie, „przez podłość, gorszą niż owa Judaszowa“.

„Emigracya szaleje. Doprowadzić ją do szaleństwa „i głupstwa wszelakiego rodzaju, ulubionym było pomysłem „wroga, i stało się, i staje się według życzeń jego! Jeśli „tego nie rozumie emigracya, to zgubi i siebie i tych, któ„rych stała się wyobrazicielką! Dobrze jest widzieć okiem „ducha cel wieków, i wiedzieć, że k'niemu się idzie; ale „obrzydłem głupstwem na iście k'niemu dobierać sposobów, „właśnie k'niemu nie prowadzących, owszem opóźniających „go. Nie rzezią ludzie dojdą do raju politycznego, nie de„magogia ustali harmonią. By dojść z poniedziałku do nie„dzieli, nie sposób przeskoczyć dni tygodnia; nikt nie ma „potęgi do sprawienia tego, by po poniedziałku, nie wtorek, „środa i t. d. następowały, ale niedziela zaraz. Kto zaś sobie „przypisuje taką potęgę, ten głupi, arcy-głupi, a gdy przyj„dzie do czynu, arcy-słaby i nędzny! płód jego potworem, „jak dziecko w drugim lub trzecim miesiącu, dobre do ga„binetów anatomicznych na na naukę i przykład, ale nie do

„niw żywota. Smutno mi i coraz smutniej; samobójczym się „na wszystkie strony: fizycznie w Tarnowskiem, moralnie „w Paryżu“.

W tem udręczeniu przychodzi mu myśl, żeby szukać pociechy. Gdzie? Jakiej? Nająć statek, zebrać się w kilku przyjaciół, i popłynąć do Jerozolimy. Tam wypłakać się na Golgocie, w Ogrojcu Oliwnym może znaleźć siłę do wypicia kielicha, u Grobu Pańskiego może jak łaskę, otrzymać jaką nadzieję, jakie przeczucie Zmartwychwstania. Tej potrzebie człowieka nieszczęśliwego a pobożnego towarzyszy i fantazya poety, która mu przypomina i ukazuje różnych pobożnych, świętych, lub rycerskich pielgrzymów. Chciałby pójść ich śladem, może jak oni znalazłby tam pokrzepienie. Pomysł ten nie ustalił się nigdy w prawdziwy zamiar. Stan zdrowia bardzo zły kazał go zaniechać. Usposobienie jego im dalej tem smutniejsze; zajęcie całej duszy jedną myślą, jedną troską; dochodzenie coraz boleśniejsze powodów, i takież przewidywanie skutków nieszczęścia:

„Mojem zdaniem, wszystkie demoniczne świata potęgi „obrały sobie Polskę, jako najbardziej na nerwach rozdra„żnioną, do doświadczeń swych, i doświadczenie oto pierw„sze, tak zawikłane i dziwaczne w swoich skutkach, jak za„wikłane i rozmaite sprężyny, które działały. Ogólny pomysł, „zamiar, był pomysłem odwiecznie polskim, i szlachta, ta „żywa narodowość kraju tego, była go pomyślała i przedsię„wzięła. By zniweczyć to przedsięwzięcie, trzeba było zmu„sić go do wybuchnięcia przed dojrzeniem i przy niepomyśl„nych okolicznościach. Tego demoniczne potęgi świata do„kazały. A dwojakiego rodzaju są *Demony*: jedni, którzy „chcą o wieki nazad w tył odskoczyć i wrócić do dwuna„stego wieku, a drudzy, którzy chcą wieki naprzód prze„skoczyć i odrazu stanąć np. w czterdziestym wieku; oba „z piekła, bo antynaturalnych rzeczy chcą, a co antynatu„ralne, to tylko na chwilę się urzeczywiścić da, za pomocą „rusztowania, więzień, rzezi, słowem obrzydłego ucisku i ab„solutyzmu. Szlachta padła ofiarą, tych dwóch potęg salto„mortalicznych. Ona jedna żądała tego, co powinny prawe

„serca żądać: niepodległości i roztwarcia pola do dalszego „rozwoju! Bo na ziemskim świecie, z bydląt niesposób utwo-„rzyć Królestwa Bożego, i kto marzy o niem, jako nie „o *celu*, ale o rzeczywistości na jutro gotowej, ten tylko do-„chodzi do królestwa szatańskiego. Jeśli się teraz Wersal nie „przekona, że głupi i zbrodniczo głupi, to zgubion na wieki „wieków. Jedyne jego ocalenie przed ludźmi i Bogiem, ze „skruchą wyznać *mea culpa*, i z pokorą poddać się księcia „władzy, jako *ześrodkowaniu porządnemu* dążeń narodowych.

„Tak mi gorzko i smutno, że ledwo piszę. Zapewnie „tu i Jerzy zdąży. Ja kamieniem tu leguję, a czuję się co-„dzień *trupszym* na ciele; dożyłem dni, które chciałbym był „przemrzeć!“ (do Małachowskiego 3 Kwietnia).

„Wczoraj Dziennik Narodowy mnie nauczył o tem, że „niezgoda wciąż trwa w emigracyi, że nikt na drugiego nie „chce się zgodzić, to jest na myśl drugiego, i to mnie roz-„dziera, bo to znak należący do znaków śmierci. Na jakąż „okoliczność ważniejszą czekają, by się pozbyć przeklętej „swawoli i niesforności? Co ich w jedność sprzęgnie, jeśli „nie ostateczna klęska i wyroczny mus? Znakiem więc to „będzie dla wszystkich widzów, że *nic*; a ciało, którego nic „nie potrafi spoić, to jest żywem i organicznem uczynić, jest „ciałem zgniłem i przydatnem grobowi nie pobojowisku ży-„wota. Zabija mnie to głupstwo silniejsze nad piekło, silniej-„sze nad śmierć. *Miłość* i *jedność*, te znamiona nosić po-„winni, a nie głupstwo i zawiść. Co może dobitniej ich kie-„dykolwiek przekonać o krzywości obranej drogi dotąd? „Wiesz, taki upór niesłychany, taka demagogia, dla której „nie już tylko Ojczyzna ale i narodowość podrzędnym wzglę-„dem, naprowadza mnie na podejrzenie, że w Wersalu mu-„szą być pewni krzykacze płatni, jak płatną jest prasa. Być „inaczej nie może. Ludzieby się nawrócili, bo w ludziach, „jakkolwiek obłąkanych, pozostaje zawszeż troszeczkę choć „loiki, a tę pozostałą iskrę, *czyn* taki przeważny jak gali-„cyjski, krew bratnia i niewinna tak ohydnie przelana, „w światło musi się przemienić. Jeśli zaś to nie nastąpi, to

„innej przyczyny trwającemu uporowi szukać się godzi, a tą „jest niezawodnie interes, pensya, urząd tajemniczy!

„Kiedym o krymskim żołdzie wspominał, to miałem „na myśli, że horda tatarska wiedząc, iż osłabieniem wiel- „kiem każdego domu jest niezgoda i rozdzielenie, kilku, „kilkunastu mogła płacić takich, których obowiązkiem było „wiecznie podżegać, jątrzyć; sól, pieprz, ocet, żółć kłaść na „rany wewnętrzne, by nic ich nie zagoiło, a owszem w końcu „z nich tylko ropa ciekła, nie już krew nawet. Naturą rze- „czy, że każdy, co drugiemu źle życzy i robi, dla siebie szkód „ztąd się nie spodziewa, a tymczasem wynikają, i przez to „samo, źle drugiemu robiąc, sam brnie; lecz to dzieje się „mimo woli jego. Tak się i teraz stało lub stanie, jeśli się „dalej ten ruch bestialski rozszerzy! Niemniej myślę, że nie „tylko propaganda zachodnia działała; wiem, że i ona bez- „wątpienia, znajdując narzędzia w nas największe i zarazem „najbitniejsze, ma z nas swoich sokołów i psów do polowa- „nia; lecz pozostaję przytem przy mojem zdaniu poprzedniem. „Taki stan umysłowy szeroki i wszeteczny nie z jednej przy- „czyny wypada. Mnóstwo sprężyn rządzi taką olbrzymią dez- „organizacyą, tak jak mnóstwo kieruje każdą wielką orga- „nizacyą! Nie w jednym dniu Kraków zbudowan, ani też „piekło! W tej *centralizacyi* muszą być dwaj, trzej przynaj- „mniej płatni, dałbym gardło za to. Okropnie, okropnie!" (do Małachowskiego 7 kwietnia).

Mimo to wszystko jednak żyje w nim i trwa ta wiara, która niebawem objawi się w *Dniu Dzisiejszym* i w nowych *Psalmach*.

„Na teraz wszystko się skończyło; broń z ręki wypa- „dła, będą wiązać i krzyżować bezbronnych; następnie go- „dzina ostatniego konania, w której Chrystus mówi: *Consu- „matum est,* a to właśnie pierwsza chwila Zmartwychwstań, „a ostatnia skonu. Tak! *Consumatum est,* przemiara niespra- „wiedliwości i bezeceństwa owych trzech, trójpiekła onego! „*Consumatum est,* bohatyrstwo ofiary nieszczęśliwej! *Consu- „matum est* w europejskiem przeświadczeniu myśl potrzeby „wskrzeszenia punktu równowagi między Zachodem a Wscho-

„dem! *Consumatum est* podłość rządu Gizotowego! *Consu-*
„*matum est* obojętność rządu angielskiego! Odtąd wszystkie „te nieszczęścia i błędy i nieprawości róść nie mogą, bo do„szły szczytu nieprzesięgalnego, więc muszą zacząć upadać. „Lecz nim ujrzymy promyczek światełka, zejdziem do kata„kumb i tam jedni drugich grzebać będziemy w ciemnościach „i podziemnej niewoli!" (do Gaszyńskiego 17 Marca).

„Powiadam ci, dochodzim naszej pory katakumbowej, „zstępujemy do Chrystusowych ciemności, w których grzebać „jedni drugich będziem, prześladowani, i to ostatnia noc na„sza, dopiero po niej, na wieki będzie rano! Ale ją przebyć „musim, i niejeden z nas, kiedyś, odkopan z tych ciemności, „na piersiach mieć będzie położoną flaszeczkę z krwią wła„sną i napisem: *pro Christo,* czyli: *pro Polonia!...* bo Chry„stusowa najprzedziwniejsza część dziś w Polsce, a tą czę„ścią ból nieskończony, który zbawia świat! Okropnie, okro„pnie o Konstanty mój! Patrz! od pierwszego rozbioru, czy „to nie Kolizeum wielkie, dziejowe, w przestrzeni i w czasie, „coraz szersze, krwawsze, nasz kraj. I zrazu tylko szlachta, „później mieszczanie, wreszcie żydzi i chłopi, schodzą do „areny i walczą z tygrysami, ktore kupił i karmi Cezar, „w obliczu Cezara! A te tygrysy, to wojsko żołdne, to po„licye, to szpiegi, to obłąkani włościanie, to wreszcie stron„niczy duch nas samych, duch niezgody, płatny także przez „Cezara, z lochów czarnych Kolizeum na jego rozkaz wy„prowadzony przeciwko nam samym. Dotąd walczyliśmy jako „gladiatory z bronią w ręku, wściekle, zażarcie, i w końcu „tygrysy i Cezar zawsze zwycięzcami byli! Nadchodzi dzień, „w którym już nie dadzą nam nawet oręża do rąk na te „zabawy Cezarowe, ale będziem musieli nadzy i bezbronni „wytrzymać napad tygrysów i nie wyrzec się imienia Chry„stusowego ni Chrystusowej żadnej rzeczy, a taką rzeczą „najwyższą za dni naszych — narodowość jest! Z hymnem „o niej w sercu, z świadectwem jej złożonem na ustach, „musim umierać, gardło musim dawać dzikim zwierzętom „i dzikszym od nich oprawcom, włościanom bezrozumnym „i wodzom, pułkownikom, komisarzom, rozumu bezecnego

„pełnym! A po dniach tych ostatnich, zwyciężym, jak „wszystko co ostateczną wytrzymawszy mękę udowadnia. „w niej nie znikając, że natury nieśmiertelnej jest! Tak chrze„ściaństwo w obliczu świata się udowodniło, i ztąd panowa„nia dostąpiło! Ach smutne, smutne to przeczucie! niepra„wdaż mój Konstanty! Wszystko stracone prócz wiary, ale „z wiarą wszystko odzyskać można!“ (do Gaszyńskiego 22 Marca).

Zostaje więc Krasiński do późnego lata w Nizzy, gdzie jego żona czeka słabości, i gdzie (w Czerwcu) przyszedł na świat drugi syn Zygmunt. Przyjaciele, Cieszkowski i Małachowski przybyli ulżyć w ciężkim smutku jemu i sobie. Zmartwieniem dodatkowem jak śmierć księżnej Kaźmierzowej Lubomirskiej, starej przyjaciółki, z którą łączyło poetę wiele wspomnień z lat młodych.

W Lipcu przesyła Gaszyńskiemu rękopism *Augusta* (Cieszkowskiego), z poleceniem tajemnicy najściślejszej i czytania z największem skupieniem. „Autorze *Przedświtu*, spotykasz się ze *Świtem* teraz“. Rękopism ten to oczywiście *Ojcze nasz*, lub może jaka jego część tylko. W tym samym czasie przyrzeka posłać kilka kartek własnych, i prosi o ich przepisanie. „Nie lękaj się... te nie złe“. Wydawcy *Listów*, a najlepiej niezawodnie okoliczności jego życia świadomi, sądzą, że te kartki to *Resurrecturis*, napisane (jak świadczą), po wypadkach roku 1846. Potem, od Sierpnia kuracya (w Heidelbergu) zakończona krótkim pobytem w Paryżu, i znowu (w Grudniu) powrót na zimę do Nizzy.

W ciągu tego roku 1846 zawiązuje się, a przynajmniej ustala stosunek z Trentowskim. Wiadomo jak powszechnem było podówczas pragnienie osobnej narodowej polskiej filozofii. Upatrują ją, szukają jej wszyscy, (Mickiewicz nie ostatni i nie najmniej jak świadczą Kursa), wszyscy wierzą, że ta własna filozofia jeżeli nie uzdrowi i nie pokrzepi zupełnie samego ducha narodu, to przynajmniej bardzo do tego pomoże. W tem powszechnem uczuciu szukać trzeba powodu wielkiej podówczas powagi i sławy Trentowskiego; w tej nadziei skłonili go znakomici Wielkopolanie (Marcinkowski,

Edward Raczyński, Maciej Mielżyński), że porzucił widoki katedry w Niemczech, i zaczął naukę swoją wykładać w dziełach, po polsku. Krasiński, spragniony jak wszyscy (może więcej od wszystkich), tej nowej filozofii polskiej, wzruszony tem poświęceniem, jakie Trentowski zrobił, uniósł się wielkim dla niego zapałem, a skłonny zawsze do idealizowania swoich przyjaciół, ujrzał w Trentowskim zasób sił i zdolności większy zapewne niż był w istocie. Wszyscy zresztą nie spostrzegli się, że uczony niewątpliwie najgodniejszy i poważny, nie był zdolnym tego, czego po nim oczekiwali; tej nowej narodowej filozofii stworzyć nie mógł, bo z natury swego umysłu, z wychowania, z pojęć, był zupełnie do Niemców podobny, choć uczucia miał polskie. Dość, że Krasiński patrzy na niego z „czcią" aż prawie pokorną, z ufnością aż zaślepioną, w listach nazywa go „częścią zbawienia ojczyzny". „Pierwiastku polskiego nigdym w nikim tak nie czuł „i nie doznał jak w tobie. W intelligencyi twojej jest Polska „wieków przyszłych, w każdem serca twego uderzeniu jest „Polska wieków przeszłych,... więc cała i powszechna jest „w tobie". (List 1 Maja 1847). Kiedy się pokazało, że Wielkopolska nie mogła dostarczać Trentowskiemu tych środków utrzymania, które miał przyrzeczone gdy się zrzekał zawodu uniwersyteckiego, przejął Krasiński ten koszt na siebie, i ponosił go do śmierci. Praca wspólna stała się teraz pragnieniem i zamiarem obu. Krasiński zachęca Trentowskiego do pisania, wskazuje co pisać właśnie potrzeba, nieraz sam pomaga. Korespondencya zawiązuje się między nimi stała, ze strony Krasińskiego bardzo serdeczna; w serdeczności tej wszakże znać więcej rozumowania, woli, uszanowania dla znakomitego umysłu, aniżeli prawdziwego popędu uczucia. Kwestye filozoficzne zdarzają się w niej oczywiście, ale raczej rzadko jak na korespondencyę z filozofem. Zato polityczne prawie ciągle; a z temi łączy się i wykłada obszernie — często bardzo pięknie — Krasińskiego filozofia historyi i polityki. Taki jest, i bardzo charakterystyczny, pierwszy zaraz z ogłoszonych listów do Trentowskiego (z 3 Listopada 1846).

„Kto z grobu chce zmartwychwstać, ten niech wie, że „tylko w świetle się zmartwychwstawa, bo światło i dobro „i wszechmiłość wszelkiego życia warunkiem, cóż dopiero „powtórnego żywota, żywota zmartwychwstań. Ni wola na„sza, ni rozum, ni zasługa, nie odpowiadają powołaniu na„szemu, powołaniu najwyższemu, jakie dostać się mogło na„rodowi jakiemu na planecie tym ziemskim; bo jako od „Chrystusa poczęła się Jaźni jednostkowych ludzkich nie„śmiertelność i godność, tak w nas i przez nas powinnaby „się począć narodowości ziemskich nieśmiertelność, a zatem „i godność przedmiotowa, zbiorowa! Wszystko nas woła gło„sem przeznaczeń, tchnieniem woli Bożej, do owładnienia „całą Słowiańszczyzną, na przekorę piekłu widomemu, ziem„skiemu, które nas nęka; do obalenia, siłą duchów żywych, „tego piekła, li z cielesnych środków, chuci, niesprawiedli„wości złożonego. Od nas mógłby się rozpocząć trzeci wiek „najwyższy dziejów ludzkich! Ale do tego trzeba, żeby z wolą „Bożą, z rozumem Bożym, nasza wola i rozum się zeszły do „jedni, trzeba nam niepokalanymi być; bo kto przeznaczon „Chrystusa prawo wnieść w świat widomy z idealnego, kędy „aż dotąd na uboczu zostawało, ten winien mieć w sobie „Chrystusową moc. Próżność i lenistwo naszemi katami: le„nistwo czyli bezmoc, próżność czyli szalbierstwo, chcące bez„moc udać za moc jaką. I naturalnie, nie bez wiekuistych „szwanków zapada się do grobu pomiędzy trzy piekła! Zmi„łuj się, ratuj, jak i gdzie możesz, tę Jaźń narodową, tak „rozpadłą, tak zanękaną w tej chwili; grzmij głosem prawdy „niebieskiej i ludzkie kłamstwa rozganiaj".

II.

Zajęcie Krakowa. Wrażenie na Krasińskiego. List do hr. Montalembert. List do Lamartina. Pius IX. Stanisław Koźmian. Zamiana myśli. Możliwy wpływ. Przyjaźń i ofiara Koźmiana. *Dzień dzisiejszy.* Jego powód. Jego wartość. *Ostatni.*

Zanim się ten rok 1846 skończył, nastąpiło zajęcie Wolnego Miasta Krakowa przez Austryę. Nastąpiło za wspól-

nem porozumieniem trzech dworów, bez wiedzy i zgody innych państw podpisanych na traktacie wiedeńskim z r. 1815. Urzędowe protestacye Anglii i Francyi, były zrobione dla formy, dla przyzwoitości tylko; ale wrażenie w opinii było istotnie silne na zachodzie. Krasiński rozumiał tak jak tam rozumiano, stronę międzynarodową tej sprawy: jak w emigracyi, jak w Polsce całej, brał do serca to zagładzenie ostatniego śladu niepodległości Polski. Dlą Guizota, podówczas ministra spraw zagranicznych, który w Izbach wykręcał się dyplomatycznie z tej sprawy i na którego oburza się żywo w *Listach,* napisał Krasiński memoryał o zajęciu Krakowa (dziś znany tylko z małego streszczenia, jakie daje Stanisław Małachowski w *Krótkim Rysie Życia i Pism Z. K.*). Jednak w głębi swego serca uważał on to zdarzenie za dobry znak raczej. Podług jego filozoficznej teoryi, śmierć potrzebna była na to, by mogło być zmartwychwstanie; w zastósowaniu tej teoryi do Polski, ostateczne zniknięcie jej z karty europejskiej było uzupełnieniem tej śmierci i warunkiem początku jej odrodzenia. „Jeżeli własnoręcznie sami się dobijać nie „zechcemy na chwałę naszym wrogom, od dnia zajęcia Kra„kowa rozpocznie się nasze polityczne odzmartwychwstawa„nie“ (do Trentowskiego 16 grudnia 1846). Ale wrażenie wywołane tym faktem, znalazło wyraz w Parlamencie angielskim (przez Urqhuarta), we francuskiej Izbie Parów przez Montalemberta. Mowa jego w tej sprawie z dnia 21 stycznia 1847 r., miała rozgłos szeroki w całej Europie, a Krasińskiemu dała pochop do napisania broszury: *Lettre à Mr. le Comte de Montalembert, par un gentilhomme polonais.* Czy to broszura polityczna? Nie. O bieżących wypadkach, nawet o właściwym przedmiocie mowy Montalemberta, ona ledwo wspomina. Jest to raczej krótki wykład Krasińskiego filozofii historyi, którą znamy. Krótki, ale bardzo piękny; a co więcej trzeźwy. Prozaiczny komentarz do *Przedświtu* niejako, dla użytku cudzoziemców, ale komentarz, który może i powinien wpłynąć znacznie na zdanie i sąd tych, co Krasińskiego zawsze uważają za mistyka. „Przeznaczeniem świata, „które się spełni prędzej lub później, ale koniecznie, jest

„wprowadzenie słowa i prawa Bożego w życiu, czyli to, co „co nazywamy królestwem Bożem. Spełnić się ono może tylko „przez wolne narodowości, bo one tylko, narody, są Boskiego „początku, z Bożej woli. Ale żeby przekonać i dowieść, iż „jest w nich ten pierwiastek wyższy, trzeba pokazać światu „jak na dłoni, że narody są tu na ziemi nieśmiertelne. Ta- „kim przykładem i dowodem ma być naród polski, nie ży- „jący politycznie, a w tym pozornym zgonie żyjący, po- „wstrzymujący rozlew azyatyckiego świata i ducha na Europę, „podnoszący się do wyższego duchowego chrześciańskiego ży- „cia. Od początku do końca znać w jego dziejach dążenie do „moralnego doskonalenia się. Jego powołaniem zaś jest, być „wśród Słowiańszczyzny wyobrazicielem i obroną katolicyzmu „i cywilizacyi, przeciw pierwiastkowi i duchowi wschodniemu, „który z tej Słowiańszczyzny chce sobie zrobić narzędzie „zniszczenia. Temsamem spełnia Polska powołanie i obo- „wiązek względem ludzkości całej, bo pokazuje na sobie, że „pierwiastek narodowy jest nieśmiertelny, jest na Bożej woli „oparty, a więc na nim powinien opierać się i porządek „świata. Przez to wnosi ona nową prawdę polityczną i spo- „łeczną w świadomość ludzkości całej".

Ten, tu bardzo streszczony bieg myśli, rozszerzony jest w *Liście* wspaniałem porównaniem historyi, i natury, Polski i Rosyi. W pojmowaniu historyi jest niezaprzeczenie pewien poetyczny idealizm (naprzykład wystawienie dawnej polskiej konstytucyi, jako doskonałości, która ma być obrazem, figurą, tego, co być powinno i co kiedyś będzie). Są historyczne nie- dokładności i błędy, spowodowane powszechnym podówczas stanem historyi i nieznajomością niektórych faktów. Ale ogó- łem wziąwszy, jest to rzecz piękna i do dokładnego pewnego zrozumienia idei Krasińskiego bardzo pomocna.

Drugie jego pismo francuzkie, należące do tegosamego roku, to *Lettre à Mr. de Lamartine*. W drugim tomie *Histo- ryi Żyrondystów* powtórzył Lamartine z approbacyą własną, niedorzeczne słowa Jenerała Dumourieza o Polsce, jakoby była narodem azyatyckim Europy. Zważywszy wielką pod- ówczas sławę Lamartina i wielką poczytność jego książki,

trzeba Krasińskiemu przyznać słuszność, że chciał obelgę odeprzeć. Trzeba mu przyznać także, że zrobił to pięknie i rozumnie. Są tam ustępy niepospolicie silne i wymowne; są inne świetne dowcipem, jak ten naprzykład, gdzie mówi, że sądom Dumouriez'go o Polsce nie dziwi się, jak nie dziwiłby się zwykłemu rzymskiemu centurionowi, gdyby ten, będąc w Jerozolimie podczas Męki Pańskiej, nie był zgoła w niej widział nic więcej, prócz stracenia jednego człowieka; ale gdyby Platon był na nią patrzał a nie zrozumiał że to coś więcej, to Platonowi byłby się musiał dziwić. Tylko w tej pięknej zresztą odpowiedzi jedno jest do zrozumienia trudne, to, że Krasiński tak poważnie na Lamartina patrzy i tak go wysoko ceni. Lamartine podług niego jest człowiekiem genialnym, jego książka to galerya posągów wykutych dłutem Fidiasza! Jakim sposobem umysł tak głęboki i poważny nie poznał się na powierzchowności umysłu, na płytkości i nierzetelności natchnień poetycznych znakomitego podobno wituoza języka i stylu? jakim sposobem ta książka deklamacyjno-romansowa, a lekka i płytka jak jednodniowy dziennikarski artykuł, mogła Krasińskiemu wydać się historyą? Sądy współczesnych i ich mody są zaraźliwe, mało kto zdoła się ustrzedz od ich wpływu; i Krasiński niewątpliwie pod wpływem uniesień powszechnych widział Lamartina większym niż był. Że zaś w swoich literackich sądach i upodobaniach mylił się często i lubił przesadzać i przeceniać, dowodzą jego uniesienia nad miernym poetą Lapradem, albo wynoszenie *Muszkieterów* Dumasa do godności epopei. W każdym razie jego oburzenie było słuszne, a jego odparcie piękne; ale jedno i drugie było za wysokie dla człowieka, który w tem co pisał nie troszczył się ani o prawdę, ani o słuszność, tylko o efekt i o własną próżność.

Ale kiedy się to dzieje, zasiada już od kilku miesięcy na Stolicy Apostolskiej Pius IX. Do niego zwraca teraz Krasiński wzrok i uwagę swoją; w niego patrzy jak w nadzieję i zadatek lepszych czasów. Zapał, jakim nowy Papież przejął całą Europę w początkach swego panowania, udzielił się naturalnie i jemu. Ujrzał takiego Papieża, jakiego pragnął;

takiego który umysłem i sercem zdolny był objąć wszystkie potrzeby i cierpienia dzisiejsze, wszystkie na przyszłość nadzieje chrześcijaństwa! Ten się nie pomyli w rozeznaniu złego od dobrego, ani się zawaha, czy ulęknie, by głośno, otwarcie wskazać co dobre, a co złe! Dla Krasińskiego, wyglądającego odrodzenia świata wspólnie z Kościołem i z jego natchnienia, Pius IX zjawił się jak początek urzeczywistnienia tych nadziei, jak człowiek na to może zesłany, by ich spełnienia dokonał. „Pius tej ery ostatniej początkiem jest, „jest wskazem, jest wyjawicielem na polu faktów. Anioł „świetlany ponad otchłaniami. Ja go takim widzę wciąż" pisze w liście do Stanisława Koźmiana 2 maja 1847 r. I innych ustępów podobnych wiele spotyka się często w ówczesnych listach.

To imie Koźmiana każe zapisać, że stosunek z dawnym szkolnym kolegą, o którym dotąd nie było słychać przez lat wiele, odżył w odnowionej a bardzo ścisłej i serdecznej przyjaźni. Pamięć wzajemna i czuła była oczywiście zawsze, ale nie było ciągłego znoszenia się. Teraz — czy się może w przejeździe Koźmiana z Anglii do Rzymu spotkali, czy tylko pisywać do siebie zaczęli — zawiązuje się między nimi zwyczaj poufnego udzielania sobie myśli najgłębszych, roztrząsania ich i objaśniania. Koźmian, w zasadach ściśle katolickich zupełnie zahartowany, widział i zapewne wytykał to, co było w dziełach Krasińskiego pod względem religijnym niejasne, lub z nauką Kościoła niezgodne. Krasiński w odpowiedziach tłómaczył swoją myśl. Z tego wynikło, że kilka listów do Koźmiana, a zwłaszcza dwa z kwietnia r. 1847, są dokumentem jednym z najważniejszych i najwyraźniejszych, do poznania religijnych pojęć Krasińskiego.

Czy nie posłużyła ta przyjaźń i ta zamiana myśli do pewnego wyczyszczenia i ustalenia tych pojęć? Trudno sądzić a nawet przypuszczać, kiedy nie mamy tych listów, które do Krasińskiego pisywał Koźmian. W każdym razie dostrzega się nie na domysł, ale na pewno, widocznej pod tym względem zmiany. Całość i istota tych myśli zostaje taką jaką była, ale zmienia się jeden szczegół bardzo ważny.

Nie spotka się odtąd już nigdy żadnego przekąsu czy sarkazmu; nic, coby oznaczało tę niechęć, jaką spostrzegało się jeszcze przed rokiem. A jeżeli stwierdzając tę zmianę, można przypuszczać, że Koźmian miał w niej pewien wpływ i zasługę, to znowu twierdzić można na pewno, że nie on jeden tej zmiany dokonał. Okoliczności same, wśród nich niewątpliwie postawa i postępki Piusa IX, wreszcie własna sumienna rozwaga, musiały działać i skutek ten sprowadzić.

Ale przyjaźń z Koźmianem miała zaraz posłużyć Krasińskiemu w innej także sprawie.

Od wypadków r. 1846 nie pisze on nic, choć pali go i rwie żądza wydobycia z duszy tego wszystkiego, co go szarpało i dręczyło. „Nie obeszło się we mnie bez nieskończonej żądzy wypowiedzenia czegoś. Głos porywającego, „walącego naprzód przeznaczenia, we dnie i w nocy odzywa „się do uszu moich. Chciałbym się porwać, stanąć na nogi, „pójść za nim; a jakaś moc piekielna, choroba poprostu, za„trzymuje mnie i krępuje więzami gorszemi, niż wszystkie „kajdany... Czy zdołam kiedy jeszcze wcielić w kształt „myśl i uczucie... coś stworzyć. Chciałbym tylko raz jesz„cze i to kiedy taka potrzeba nagląca, życia całego *ideę* wy„rwać z piersi, a niech potem i piersi pękają" (do Trentowskiego 2 stycznia 1847).

Tej niemocy pisania zaprzeczałby, jeżeli się S. Małachowski nie myli, *Psalm dobrej woli,* o którym on świadczy, że napisany był w r. 1846, tylko ogłoszony później; tej żądzy pisania, wyrwania z siebie idei całego życia, dowodzą i *Psalmy* i *Niedokończony Poemat,* o którym Krasiński znowu rozmyślać zaczął, i dowodzą te poemata, które pierwsze teraz wyszły w druku.

Lato schodzi na kuracyi w Heidelbergu i w Akwizgranie, bez żadnych nowych zajść czy wypadków, ale w ukryciu dojrzewają od wiosny już dwa nowe poemata, *Dzień Dzisiejszy i Ostatni.* Jaki mógł być *Dnia Dzisiejszego* początek?

Widzieliśmy jak Krasiński po wypadkach r. 1846 opanowany jest myślą, że w takiem rozdarciu społeczeństwa

polskiego, jedynym sposobem ratunku, pierwszym obowiązkiem względem przyszłości, jest usunąć rozdarcie wewnętrzne, moralne, które w skutku czy pod pozorem różnych politycznych opinii, nie daje nam ani jednolitym organizmem być, ani rozumnie działać. Powtarza on bez ustanku, że emigracya powinna się zjednoczyć, na faktyczne rozdarcie w kraju odpowiedzieć przykładem moralnego zespolenia. Przez czas pewien ma nawet nadzieję, że straszna klęska wzruszy serca i sumienia, że dla dzisiejszych ojczyzny nieszczęść, dla tych przeznaczeń, które ją czekają w przyszłości, emigracya zrobi tę ofiarę ze swoich nienawiści, że miłość ojczyzny będzie od nich silniejszą. Ta nadzieja nie trwała długo, ale gdy się rozwiała, zostało zawsze przekonanie, że ta ofiara z namiętności i nienawiści, to zjednoczenie moralne, jest i obowiązkiem i pierwszym warunkiem siły, zatem przyszłości. A cóż widzimy w *Dniu Dzisiejszym?* Ludzi wszelkich opinii i wszelkich namiętności, jakie podówczas między nami były, którzy obstają przy nich zawzięcie, ale na głos ojczyzny, na ukazaną nadzieję i daną obietnicę jej odrodzenia, mięknął, wchodzą w siebie, wyrzekają się swoich uprzedzeń i uporów, nawracają się i łączą. Tożsamość tych myśli jest oczywista, związek poematu z ówczesnem rozumowaniem poety, niezaprzeczony.

To więc jest jeden pierwiastek *Dnia Dzisiejszego*, niewątpliwy. Drugi jest domyślny tylko, przypuszczalny, ale prawdopodobny. Sądząc z listów, a zwłaszcza z listów do Trentowskiego, dochodzi się do mniemania, że na ówczesny rozstrój i bezład w umysłach, szukał on jakiegoś środka praktycznego, jakiegoś rachunku sumienia, któryby zaślepionym i błądzącym otworzył oczy i serca, naprostował wolę. Nie w innym celu nalega on tak na Trentowskiego, żeby pisał i ogłaszał te broszury, do których sam rękę przykłada: takiego (choć częściowego bodaj) skutku, spodziewa się po *Wizerunkach Duszy Narodowej,* później po *Przedburzy.* Zagłębiając się myślą w te sprawy i stosunki, musi naturalnie dochodzić do pytania, jakie są najgłębsze, psychologiczne powody naszych politycznych błędów. Z powodu *Wizerunków*

zwłaszcza, musiały te roztrząsania natury polskiej być stałem zajęciem jego myśli i ciągłym przedmiotem jego znoszeń się z Trentowskim. Na dowód przytaczamy wyjątek z listu (29 stycznia 1847), może aż nazbyt obszerny, ale stwierdzający powyższe mniemanie, a zarazem rzucający wiele światła na poemat, który się teraz przygotowuje:

„Nas wiesz co gubi? Niesłychana próżność! A wiesz „co to próżność? Oto dziwne usposobienie do pokory tam, „gdzie dumy potrzeba, a do dumy znów tam, gdzie pokora „nieodzowną koniecznością. Człowiek powinien dumnym być „w Celu swoim, dla Celu do którego dąży, dla Idei Ojczyzny, „ludzkości i t. d. pokornym zaś w stosunku do środka, za „pomocą którego cel ten przeprowadzić ma; a że tym środ„kiem on sam, więc pokornym w stosunku do siebie, to jest „nie żądającym egoistycznie, by odrazu i wyłącznie sam „wszystko przeprowadził, innych ćmiąc sławą swoją! Na tem „uczuciu pokory zależy poświęcenia moc: bo poświęcić się, „to przystać na to, by się ziarneczkiem było wapna w bu„dowie pojętej i widzianej na oczy duszne. Gdy zaś wszyscy „tacy dumni w ostatecznym celu swym, a tacy pokorni co „do środka, to jest poświęceni: zgoda jest, i niema rozstroju! „My zaś zwykle dochodzim do straszliwych zwątpień, to jest „pokory obrzydliwej pod względem końca, naszym zgotowa„nego usiłowaniom. Rzucamy się naoślep, w wigilią powsta„nia honorem i szampanem zagrzani; sposobim się na śmierć „honorową, a wiary nie czujem w zwycięztwa możność, lub „tylko paplem o tej wierze głośno, a w głębi ducha bla„dycheśmy myśli! Ale mimo to, każden z nas Ministrem lub „Feldmarszałkiem zaraz! Otóżbym chciał wpoić w piersi ich „wszystkich tytańską dumę, dumę świętą dla Ojczyzny, dla „wygranej w końcu, dumę będącą właśnie świadomością „zlania się uczucia polskiego z pomysłem Boga samego o lo„sach przyszłych Polski; a znów co do ich indywidualnostek „osobniczych, pragnąłbym, by się nieco roztopiły w szerz, „nie zaś tak jądrowo ześrodkowywały się same w siebie „i dla siebie. Duma bez pokory jest szaleństwem, pokora bez „dumy podłością; Harmonia obu żywym Ducha pędem. U nas

„zaś samopasem luźnym chodzą te dwie rozkładnice. Patrz „też co się dzieje, i czy już wielu, i to najdzielniejszych, „fatalna próżność nie przedzierzgnęła na waryatów albo też „na przewrotnych niegodziwców! I w końcu końców, co „dziwnego, że Rozstrój nie może nic wystroić, że mordowa„nie swoich, wroga nie zamordowywa, owszem używotnia. „W XIX wieku dopiero zaczęli ludzie o tak dziecinnych „prawdach wątpić i dyskutować nad niemi. To zjawisko „mnie nie dziwi, są albowiem wieki w historyi, którym ko„niecznie potrzeba wątpić o wszystkiem, by następnie w coś „uwierzyć zdołały. Lecz mnie, co do Polski, to przeraża: „zbrodnie przemienione na logikę i teoryą, srogiem są głup„stwem, a lubieżnie bałamutnem lub niegodziwie podchlebnem „dla każdego, tylko do zbrodni usposobienie mającego. Prze„cież najłatwiejszą rzeczą być zwierzem! a najponętniejszą „myśleć, że za zwierzęctwo historya da nieśmiertelność! Oto „kanar i miód, jak mówisz! Bij więc, o duchu mi drogi „i przyjazny, duchu silny i ojczyznie zaślubiony, bij w to, „co ojczyzny onej raną i rakiem. Nie miej jej za kobietę „próżną, której mus jest grzecznostki gadać; bo gdyby taką „była kobietą, niktby jej nie zdołał uratować! Są chwile roz„paczne w dziejach narodów: w takich chwilach tylko prawda „wiekuista zdoła im pomódz; ona tylko, nic innego, przecież „ona Boga jest zstępującym na ziemię tchem. I zaprawdę, „tchu Bożego dziś trzeba Polsce na to, by pokonała wszech„złego azyatycki pierwiastek! Jeśli my potężnemi sami nie „staniem się duchy, zachód nie wiele, w swoich pantoflach „i szlafroku zniewieściały, nam pomoże. Nasze takie powo„łanie, że nietylko siebie ale i Europę i cywilizacyą zbawić „możem, tych zbawić, od których nadaremno zbawienia cze„kaliśmy od 1773 r. Ale na to, musim porzucić głupstwa „nasze, nierozumy, próżności, lekkomyślności, zawistki, pry„waty, zgoła dziecińswa. Bohatyrom i świętym pozwolono „obalać mocarstwa piekielne, ale nie dzieciom lub pijanym „niedowarzoną myślą! Musim stać się bohatyrami i świętymi, „lub zginąć! Powiedz im to, powiedz. A kiedy kto komu „zaszczyt czyni, że go woła na bohatyra i świętego, może

„przytem sobie pozwolić pewnych przestróg i karceń. *Sat est* „na dzisiaj, drogi Bronisławie, głowa mi już pęka i zapadam „w chorobliwy dreszcz; nie wyobrazisz sobie, jak dalece mój „organizm schorobliwion i przepsuty. Bóg z tobą i z książką „twą. Błogosławię wam obojgu i ojcu i córce!“

Otóż przypuszczamy na domysł, że w tymsamym praktycznym celu upamiętania i wzruszenia, Krasiński chciał skreślić swoim sposobem wizerunki duszy narodowej, i to byłoby pierwiastkiem drugim jego poematu.

Trzecim jest jego własny smutek, ten smutek, który go całe życie dręczy i nęka, a po tej strasznej klęsce doprowadza do rozpaczy i niemal zabija; to oczekiwanie a niemal pragnienie blizkiej śmierci, które odzywa się tak często; to uczucie konania, a bez wszelkiej pociechy i nadziei, w zawaleniu się wszystkiego, co mu w życiu jako nadzieja świeciło, to w poemacie wcieliło się w postać i w słowa człowieka umierającego. Czy jest (jak twierdzi pan Antoniewicz) związek jaki między tym poematem, a genewskim *Szaleńcem* z roku 1832, dojść, ani dowieść nie można; ale związek między całą treścią duszy Krasińskiego a tego umierającego, jest oczywisty. To nie podobieństwo, to tożsamość. Niema też wątpliwości najmniejszej, że on siebie samego przez tę postać rozumié, że sam przez nią najgłębsze swoje uczucia i przekonania wypowiada; tak jak *umierający* jego naukę wykłada, jak końcowe zjawienie i obietnice przyszłości są temsamem zupełnie, co jest w *Przedświcie*, w *Psalmach* wyrażone poetycznie, a sto razy wyłożone i objaśnione w listach.

Gdy więc myśl takiego poematu powziął, gdy ją wykonał, a przynajmniej znacznie posunął, następowała znowu kwestya ostrożności przy wydaniu. Bezimienność mu nie wystarczała, nie zdawała się dość bezpieczną; pseudonym (jak przy *Psalmach*) zapewne także, skoro go nie użył. Chciał maski grubszej, pewniejszej; i jak przed laty do Gaszyńskiego, tak teraz udał się o nią do przyjaźni Koźmiana. Pod zasłonami i figurami tak pisze (2-go maja 1847) do Gaszyńskiego o Koźmianie, o sobie i o poemacie.

„Pisałem dziś do niego (Koźmiana), przypomniałem mu „rozmowę mianą w lecie z dawnym kolegą, w której on „oświadczył, temu żebrzącemu pieniędzy na pewne zakupno „bursowe, że jeśli bankiery mu odmówią, to on się przyłoży. „Otóż dziś mu napisałem, że ów kolega dawny, przekonał „się, że znajome mu bankiery, nietylko że mu odmówią „w swem samolubstwie, ale że nawet na ich odmowę nara„żać się niewarto, bo gdyby nie odmówili nawet, to wszyscy „tak lekkomyślni, że źleby poprowadzili interes. Zatem jeśli „od niego odbierzesz list z prośbą o przesłanie „programu „operacyi finansowej", zaraz prześlesz, a następnie, jeśli się „zgodzi na pożyczenie na nią swego kapitału, który ma, „weźmiesz odeń pożyczkę. Pojmujesz? Przesyłając mu zaś, „uwag niema co dodawać i komentarzy robić; poprostu niech „sam program idzie i przez siebie się jemu wytłómaczy. Poj„mujesz? Jeśli zaś nie przystanie, to darmo, trzeba będzie „szukać pieniędzy u kogo drugiego; bez takowych nie może „się udać operacya — *sine qua non!*"

Koźmian ofiarę zrobił, swojego nazwiska pożyczył, i *Dzień Dzisiejszy* wyszedł w jesieni roku 1847.

Jakiż on jest? i co o nim powiedzieć?

Zdarza się czasem, że myśl wypowiedziana jasno i stanowczo raz, traci na powtórzeniu pod inną formą, na popieraniu nowemi argumentami, na ściąganiu jej do szczegółów. Ta chęć wzmocnienia prawdy, wychodzi czasem na jej nie osłabienie, ale pewne spowszednienie. Za pierwszym razem robiła wrażenie ogromne; powtarzana, już tak umysłu i serca nie wstrząsa. Taką uwagę nasuwa ten poemat Krasińskiego. Chciał on jeszcze lepiej przekonać, chciał swoją myśl zastósować do szczegółów, objaśnić, przykładami wzmocnić; i napisał rzecz, w której myśl ta sama wypowiedziana nie z temsamem już natchnieniem i siłą, nie robi już tak potężnego przejmującego wrażenia.

Odnosi się ta uwaga do drugiej połowy poematu oczywiście, a zwłaszcza do jego zakończenia. Początek jest wspaniały. Pierwsza przemowa Umierającego, to Krasińskiego zwierzenie czy spowiedź, to wszystkie jego duszy uciski, zwątpienia, obu-

rzenia, tęsknoty, pogardy i miłości; wszystkie wypowiadają się z taką powagą wielką, z taką żałością głęboką, z taką pięknością i siłą słowa, że ustęp ten liczyć należy do najpiękniejszych w poezyi Krasińskiego, i ogółem w poezyi polskiej. Przewyższa go następny: Głos szatana. To, to krótko zebrana i wyciśnięta sama treść tych wszystkich nieprawości, tych podłości, tych kłamstw i urągowisk, które się słyszy od lat stu, któremi od stworzenia świata bluźni Massynissa swojemu „nieśmiertelnemu wrogowi". Mówi przez tego Szatana i Frydryk, i Katarzyna, i materyalista wieku XVIII, i nihilista dzisiejszy, i Bismarck i sama idea buntu ludzkości przeciw Bogu, czy w dawną *racyę stanu* czy w dzisiejszą rewolucyę wcielona. Mówi zaś z taką logiką i siłą, z taką pewnością swego tryumfu, wyższą niby nawet nad szyderstwo, i urąganie, że lepiej za szatana i z jego myśli nie mówił nigdy nikt. Jako treść i jako forma, to jest zupełna doskonałość.

Umierający odpowiada mu pięknie, bardzo pięknie, i oczywiście słuszność ma on. Ale w swojej słuszności, i prawdzie i miłości, nie ma przecież tej wielkości ogromnej, przygniatającej, jaką ma tamten w swojem kłamstwie i zawiści. Prawda, że tamten Szatan, a on tylko człowiek: ale poeta chciał przecie, żeby człowiek Szatana w tej walce na słowa zwyciężył, upokorzył, starł na proch; — a tymczasem Umierający na wstępie mówił piękniej niż teraz.

Rozmowa otaczających przyjaciół nad uśpionym a pozornie umarłym, charakterystyka różnych polskich opinii i rozumowań, jest w swoim rodzaju znakomita; wierna, dokładna, bystra i przenikliwa, przegląda na wylot, zna doskonale każdą z tych opinij, a typ jej kreśli z niepospolitą energią. Jest w tem jakaś prawda ścisła i fotograficzna, jakiś bieżący powszedni realizm, który sprawia, że ustęp jest raczej bardzo świetną satyrą, i z poprzednim nie łączy się harmonijnie, ale w swoim rodzaju jest jeszcze znakomity. Słabnie poemat dopiero od przebudzenia Umierającego i od zjawienia tego Anioła, który, jak Beatrice u Dantego, był kiedyś ziemską jego miłością, zanim stał się duchem wyższym i prze-

wodnikiem do wiecznego żywota. Obietnica Anioła i upomnienia Umierającego, są powtórzeniem *Przedświtu* i *Psalmów*, tylko w słowach nie tak już pięknych, nie tak przemawiających do uczucia, choć do przekonania trafiać mogą równie silnie. Te zaś akty skruchy, które robią jeden po drugim wszyscy otaczający, są bardzo charakterystyczne, dają poznać czego Krasiński chciał, co miał za nasz obowiązek, o czem marzył, jego myśl w tem wszystkiem jest i słuszna i mądra: ale brzmią jak echo *Przedświtu* i *Psalmów*, nie jak świeży pełny potężny ton w *Przedświcie* samym. Rozumié się samo przez się, że w ustępach, nawet słabszych poety wielkiego, znachodzą się piękności znakomite, i właściwości jego duszy i stylu. Tak i tu zdarzają się wiersze lub zwroty niezrównanej mocy, słowa klassyczne godne rylca i marmuru. Godne pamięci to podanie (nie wiemy o ile pewne), że kiedy *Dzień Dzisiejszy* wyszedł z podpisem Koźmiana, a Krasiński stale się go wypierał, Mickiewicz miał mu powiedzieć, żeby zwodził innych jeżeli chce, ale nie jego. „Ja wiem co to pisać, i powiadam ci, że „z Chrystusowej „zejść Kalwaryi — do moskiewskiej kancelaryi“, napisałeś „ty a nikt inny, bo niema drugiego z takim stylem“.

Jako jeden więcej wykład filozofii Krasińskiego jest *Dzień Dzisiejszy* bardzo wyraźny, nauczający i pomocny.

Ostatni, artystycznie od *Dnia Dzisiejszego* piękniejszy, doskonalszy, jeden między dziełami Krasińskiego, daje się przyłączyć do pewnej znanej i ustalonej formy, do powieści poetycznej. Nie do takiej, która jak *Korsarz* lub *Wallenrod* jest opowiadaniem o jakiem działaniu, ale do tych, co jak Byrona *Więzień z Chillonu* lub Słowackiego *Ojciec Zadżumionych* są monografią, żeby się tak wyrazić, jednej biernej boleści. Ten obraz nieszczęścia jest i patryotyczną elegią, bo nie taki to więzień jak w Chillonie, ale Polak w sybirskiej gdzieś turmie żywcem pogrzebany i zapomniany: jest i Królestwo Boże zstępujące na świat przez Polskę, bo Krasiński pisał; ale *Ostatni* zawsze zbliża się i daje przyłączyć do pewnej grupy poematów, czego z *Przedświtem*, z *Dniem Dzisiejszym* zrobić nie możemy.

Ta odmienność *Ostatniego* od innych dzieł poety, a pewna jego zależność od współczesnej poezyi europejskiej, pochodzi (jak dziś rozumiemy) ztąd, że jest on z dwóch pierwiastków, może z dwóch różnych redakcyj nawet złożony, a wykończony i wydany (ze zmianami), w wiele lat po pierwotnem napisaniu. Wspomnieliśmy już poprzednio, że pan Jan B. Antoniewicz, w rozprawie swojej o *Ostatnim*, zwrócił uwagę na dziwne, uderzające podobieństwo wielu jego ustępów z tem, co Krasiński pisał w Genewie w roku 1832, mianowicie z *Wygnańcem* i z Listami do Gaszyńskiego. To podobieństwo popchnęło go do dochodzenia; a ścisłe dochodzenie pokazało, że istotnie nie myśli tylko i uczucia, ale wyrażenia i słowa, są często tu i tam zupełnie tesame. Czy można przypuścić, że po latach piętnastu, Krasiński przypadkiem na tesame natrafił? lub, że je umyślnie ze swoich starych listów wypisywał? Nie. Wniosek ztąd prosty, że pierwszy rzut *Ostatniego* musiał być zrobiony już w Genewie. Dochodzenie coraz ścislejsze, porównanie form i textów, pokazuje wspomnianemu autorowi naprzód widoczne tu i owdzie podobieństwa do *Więźnia z Chillonu;* wpływ to, na poetę młodego, w owych latach, i na młodzieńca bawiącego nad Genewskiem jeziorem, zupełnie naturalny. Ale prócz tego odkrywają się inne, całe ustępy, i to właśnie opowiadające, powieściowe, w których brak zupełnie tych wybitnych łatwych do poznania cech oryginalnych języka i stylu Krasińskiego, a za to jest rytm i dźwięk, są zwroty, jest użycie wyrazów, przypominające Mickiewicza. Cóż to znaczy? Oto, że młody poeta, podówczas niewyrobiony, pisał sposobem najbardziej zbliżonym do tego poety, którego najwięcej czytał i podziwiał. A więc Krasiński pisał *Ostatniego* jeszcze w Genewie, włożył w niego te uczucia, te rozpacze, które nim wtedy szarpały. Po latach, po nowej klęsce i nowej rozpaczy roku 1846, dodał do niego ustępy nowe, te, które się odnoszą do przyszłości i przeznaczeń Polski. Myśl zaś o własnym końcu gdzieś na wygnaniu lub w więzieniu, ta była u niego stałą przez długie lata. Teraz w roku 1847 ona się nie odzywa wprawdzie; ale myśl o śmierci, prawie tęsknota za śmiercią,

odzywa się ciągle. Raz przecie (list do Trentowskiego z 12 marca 1847) ma nieledwie jej widzenie, hallucynacyę, „tak „że Eliza w niezmiernem przerażeniu zaczęła już Boga prosić, „by mi już dał, czego tak pragnę, by mi dał umrzeć“. Śmierć *Ostatniego* bez pociechy, bez nadziei, jest taka, jaką Krasiński wyobrażał sobie własną [1]).

Teraz trzeba powiedzieć, że co w *Ostatnim* najsłabsze, to ten pierwiastek nowy, ten dodatek *Przedświtowych* idei (naprzykład ustęp: O, do mnie, do mnie, wy plemiona bratnie); nie żeby były same przez się słabe, ale że są drugiem czy trzeciem już powtórzeniem myśli tychsamych, a nie wyższem od poprzednich. Ale wszystko razem jest całością bardzo piękną. Najpiękniejsze (jak w *Dniu Dzisiejszym*) ustępy pierwsze, tęsknota więźnia za światem i życiem, za ziemią ojczystą, za dawną nadzieją i wiarą; i znowu pod koniec wrażenie szczęścia, kiedy słyszy nadjeżdżających obrońców, kiedy mniema ich widzieć, a zostaje mu gorsza tylko rozpacz, kiedy oni poszli dalej, jego nie oswobodzili. Wydając *Ostatniego*, Krasiński z pewnością więcej myślał o idei, którą do niego dodał, aniżeli o jego poetycznej, artystycznej piękności; jednak to zaprzeczyć się nie da, że pod tym względem *Ostatni* śmiało stawać może w pierwszym rzędzie tych dzieł, jakie w rodzaju podobnym wydała poezya europejska naszego wieku.

---

[1]) Wszystkie szczegóły znajdzie czytelnik w rozprawie pana Antoniewicza. Od siebie dodajemy tylko, że z jego przypuszczeń jedno wydaje nam się niepewnem, to to, jakoby *Ostatni* miał być pisany z myślą o księciu Romanie Sanguszce. Swoją przyszłość, jak ją mylnie przewiduje, opisuje tu poeta.

III.

Zima w Rzymie. Rok 1848. Nadzieje i złe przeczucia. Mickiewicz. Wzajemny stosunek. Rewolucya w Rzymie. Audyencya u Piusa IX. Sąd o jego postępowaniu. O wypadkach w ogólności. O przyszłości Polski. Zajście z Czarnomskim. Dwa *Psalmy* oddane do druku. Stosunek ze Słowackim. Powody zerwania.

W jesieni roku 1847 wybiera się Krasiński, nie bez oporu, do Warszawy. Dojeżdża nawet do Drezna, w myśli, że żonę z dziećmi odeśle gdzieś na południe, może do Rzymu, żeby ich nie narażać na zimno i na cholerę, o której słychać, a sam spędzi zimę przy ojcu. Co sprowadziło zmianę w tych zamysłach, dojść z listów nie można; dość, że zamiast na północ, pojechał na południe i przed końcem roku był już w Rzymie. Oprócz uroku, jaki Rzym zawsze miał dla niego, pociągała go tym razem (domyślać się wolno) ta postać nowego Papieża, która zdaleka wydaje mu się tak „świetlaną“, te początki rządów, w których widzi niejako zadatek lepszego porządku rzeczy na świecie. Przypatrzeć się zblizka, jak to jest, przekonać się, że jest dobrze, z własnych słów Piusa IX poznawać jego myśl i duszę, ponęta to musiała być wielka.

Pierwsze wrażenia były błogie, jeżeli nie radosne. Z listów tchnie uspokojenie, otucha, ufność. Nie sam Papież tylko i jego rządy, inne okoliczności także służą mu za znak, że się coś na lepsze w świecie odmienia. Makryna Mieczysławska, przybywająca do Rzymu jako żywy znak prześladowań Kościoła i narodu, ze czcią w Rzymie przyjęta, po świecie wsławiona, a w prostocie ducha wywierająca silny wpływ na Polaków i na Włochów, to także oznaka, że duch może zwycięży siłę przemocy, a dobre zwycięży złe. Zanadto on wytrawny i mądry w rzeczach politycznych, iżby miał łudzić się pewną nadzieją dobrego końca. Widzi dobrze, że między rewolucyą włoską (i powszechną) z jednej strony, a austryacką armią na granicach, Pius IX jest w położeniu strasznie trudnem; a „dwie ręce uzbrojone tylko błogosławieństwem“, mogą takiej walce nie podołać. Jaki będzie

koniec, to Bóg jeden wié. Co pewna, to że „wiek, który „dotąd drzemał i leżał, już przetarł oczy i ruszył w pochód; „tego ruchu nic nie wstrzyma. Ale może to być pochód „pijanego, zataczającego się, albo też stąpanie miarowe, pe- „wne swego, a prędzej i bez krwi zwycięzkie. O czem jednak „wątpię“ (do Sołtana 1 stycznia 1848). Przypuszcza więc raczej koniec zły, odwrócenie zaczętego postępu przez rewolucyę. Ale tak jest pod wpływem i urokiem Włoch i Rzymu, że widzi coś wyższego nawet w rozruchach tego „błogosła- sławionego kraju“. Dotąd mas nie bywało takich, „jak te „włoskie“ — pisze do Trentowskiego 13 lutego 1848 — „klas- „syczny pierwiastek, miara, trzyma się tego ludu, i ta miara, „której nam brak zawsze i wszędzie, jego zbawia, prowadzi, „zwycięztwo do rąk mu podawa“.

Zanosi się więc na jakieś wypadki, rok poczęty nie przejdzie bez burz i wstrząśnień; ale tego nie przeczuwa Krasiński, że wstrząśnienie pierwsze, w Paryżu, tak blizkie. Już ten miesiąc luty, który przed końcem swoim miał widzieć obalony tron Ludwika Filipa, dochodzi do połowy, a on w stronę Paryża nie patrzy, zajęty tem co się dzieje we Włoszech, w Rzymie: i zajęty bardzo tem, co robi jeden człowiek.

Dnia 6 lutego przyjechał do Rzymu Mickiewicz. W jakiej myśli? W tej — mówili Towiańczycy — żeby „rozpo- „cząć służbę bożą przed urzędem tamtejszym“; w tej sądzili katolicy, żeby się z Kościołem pojednać; a mniemanie to potwierdziła odbyta przez Mickiewicza spowiedź. W myśli niejasnej, jak nam się wydaje. Do Towiańskiego był Mickiewicz zrażony; czuł zapewne, że nie wszystko (przynajmniej) co on mówił, było prawdą. To wrażenie mogło go uczynić skłonniejszym do pojednania się z Kościołem. Z drugiej strony Pius IX wydawał się i jemu wyobrazicielem nowych pierwiastków, nowych kierunków w Kościele. Wiązał do niego jakieś nadzieje; mógł przypuszczać, że ten Papież, zmieniający formę a nawet istotę dawnych rządów rzymskich, będzie skłonny i zdolny pojąć i przyjąć niejedną z tych myśli, w których on sam widział przyszłość świata. Jechał więc

w myśli podwójnej a niejasnej. Chciał się z Kościołem pojednać; ale spodziewał się, że Papieża potrafi przekonać, na swoją drogę skierować. Pierwsze było oczywiście warunkiem drugiego, i musiało to drugie wyprzedzić. Naprzód wyparcie się błędów i pojednanie z Kościołem; potem dopiero próby wpływania na Papieża i Kościół.

Od lat kilkunastu, od Szwajcaryi, spotykali się po raz pierwszy Krasiński i Mickiewicz, a spotykali bardzo często. Pani Krasińska opowiadała, że rzadki był wieczór, któregoby Mickiewicz u nich nie spędził. Krasiński spotykał go z ciekawością i niepokojem; pierwsze wrażenie odniósł raczej przykre. Po pewnym czasie, czy się oswoił, czy istotnie zaszła jaka w Mickiewiczu zmiana, widzi go inaczej. Towiański jest dla niego przedmiotem odrazy i zgrozy; w Mickiewiczu jest zawsze wielkość i szlachetność.

„Przybył tu Adam — pisze do Sołtana 24 lutego — „chce oznajmić swą wiarę przed władzą i słyszeć jej wyrok. „W istocie opanował go mistrz, jak go sam nazywa. W ciężkiej on u niego niewoli; a będąc w niewoli, staje się despotą „dla drugich".

Niewiele później (2-go marca do Gaszyńskiego) oto jak się wyraża: „Z panem Adamem w istocie stało się, jak „przepowiadali katolicy: spowiadał się, wziął rozgrzeszenie „od Papieża, pełnomocnictwem przysłane spowiednikowi, „i oznajmił, że się zdaje na rozstrzyg Kościoła i Papieża. „Żaden to ksiądz nie sprawił, ale Makryna, ale pierwiastek „niezawodny świętości i wielkości, zawarty w duchu tej ko„biety, co przez męczeństwo przeszła. Przed tym pierwiast„kiem roztkliwił się duch Adamowy i wczoraj stało się, co „ci piszę. Teraz i to ci powiem, że jeszcze trzydzieści razy „odstać się może. Krótko powiem: o ile mi się wydaje, To„wiański, to kapitan sprawnik w Nowej Hierozolimie; Ma„kryna, to szlachcianka Polska w tejże nowej Hierozolimie, „coś nakształt Paska przeanielonego. Uważaj, ja nie żar„tuję, ale krótkim rysuję rysem, otóż pierwiastek polski „zwyciężył metodę tatarską w okręgach mistycznych niebie„skich — i tak należało!"

W dziesięć dni później (12 marca), prawie tosamo w liście do Trentowskiego, tylko o Towiańskim więcej i wyraźniej: „Zrazu gdy tu przybył, piętno Towiańskiego na nim „leżało. Nigdym sroższej niewoli nie oglądał. Był niewolni-„kiem, i tyranem duchowym najstraszniejszym; teraz złago-„dniał, spotkawszy się z Makryną, która miłością prawdziwie „chrześciańską, wyniesioną z mąk męczeństwa, zwyciężyła „w nim tchnienie nienawiści, wpojone przez Towiańskiego. „Pamiętaj, że Towiański to niesłychana i arcydziwna potęga, „ale pełna nienawiści, nigdy nie objawiająca się przez miłość, „jedno przez władzy nieskończonej chuć, przez gwałt; prawd „wiele i fałszu też, jest to *metoda Iwana groźnego w nowej „Hierozolymie!* Zwięźlej i lepiej ci opisać go niesposób; „mnóstwo młodzi naszej garnie się do niego. On jeszcze „narobi w Polsce wiele hałasu i wiele rozdarcia, miecz albo-„wiem a nie spokój i zgodę przyniósł. Lecz nigdy się nie „myl o nim. Potężny jest nadzwyczaj, szczególnie wolą „i mieszaniną ową prawd wiekuistych i najkłamniejszych „środków i zastósowań. Ztąd idzie, że Makryna słusznie go „zowie piekielną potęgą, bo piekielnym być, to używać „*prawdy* do celu złego, to prawdę mieć za narzędzie, a złe „za cel; zupełnie odwrotnie Bogu, który kazał prawdę mieć „za cel, a złego czasem używa w dziejach za narzędzie „do niej!“

Ze słów: „to co się stało, odstać się może jeszcze wiele razy“, widocznem jest, że usposobienie Mickiewicza wydaje mu się chwiejnem, a on sam doktryną swoją i namiętnością opanowanym. Z ustnych opowiadań pani Krasińskiej wiemy, że częste rozmowy z Mickiewiczem męczyły bardzo a czasem gniewały jej męża. Mickiewicz bowiem pomimo odbytej spowiedzi i otrzymanej absolucyi, nie przestawał twierdzić i dowodzić, że w nauce Towiańskiego jest prawda i Krasińskiego o tej prawdzie przekonać usiłował. W nieskończonych i niezliczonych dyskusyach Krasiński miał zachowywać się zawsze spokojnie i łagodnie; ustępował w czem tylko mógł. Tak dalece, że na usilne żądania Mickiewicza podjął się myśli jego przedstawić Papieżowi, i dotrzymał. Dostał osobną audyencyę,

na której (nie od siebie, ale od Mickiewicza) wypowiedział wszystko, co od tamtego był słyszał. Pius IX miał powiedzieć, że jest w tem dużo szlachetności, ale więcej zamętu; że jednak gotów jest Mickiewicza przyjąć i wysłuchać. Po tej przedwstępnej audyencyi Krasińskiego, miała dopiero odbyć się audyencya Mickiewicza u Papieża.

Podczas tego zaszła rewolucya lutowa w Paryżu, hasło wielu innych w całej Europie. Na razie mało o niej wzmianek w listach Krasińskiego. Przypuszczać wszakże można, że wypadek ten jak Krasińskiego wstrząsnął głęboko, tak i na jego stosunek z Mickiewiczem wpłynąć musiał. Jeden widział w tych zdarzeniach początek odrodzenia Polski, drugi przewidywał trafnie krótki tryumf anarchii, a po nim tryumf Mikołaja i jego systemu. Różniąc się tak bardzo w kwestyi tak ważnej, musieli nie zbliżyć, ale oddalić się od siebie wzajemnie.

Krótko, ale najwięcej ze wszystkich znanych nam źródeł, mówi o tem Stanisław Małachowski w przytaczanym już nieraz *Rysie:* „Mickiewicz był w tej chwili pod wpływem daleko posuniętego mistycyzmu i wielkiej exaltacyi. Przybył w zamiarze utworzenia legionu polskiego i nakłonienia Papieża, u którego otrzymał posłuchanie, aby stanął na czele ruchu, jaki się powszechnie zjawia, i urządzenia w sposób nowy i zbawienny całej Europy. W Rzymie odbył spowiedź i przyjął Komunię. Bywał często u Matki Makryny Bazylianki z Litwy, która przed prześladowaniem Moskwy schroniła się do Rzymu i zasięgał jej rady, ufając w jej dar przeczucia.

„Mickiewicz napisał manifest złożony z 15 punktów, który udzielił Krasińskiemu, a w którym ogłaszał, że:

„Ewangelia staje się prawem politycznem społecznem polskiem.

„Na pomoc każdemu chrześciańskiemu narodowi uciśnionemu Polak zawżdy bieży.

„Polska ściska dłoń Rusa, Czecha i całej Słowiańszczyzny.

„Każda rodzina chłopska gruntem uposażona własnym.

„Każda gmina gruntem gminnym wspólnym.

„Obywatelstwa prawa nadane kobietom — itp. inne.

„Z tym więc manifestem i chorągwią, która się składała z białego orzełka srebrnego u góry na spisie zatkniętego, z płótna białego i czerwonego, a na każdej z tych dwóch połów krzyż, zamyślał Adam wyruszyć ze swymi towarzyszami do Włoch północnych w przekonaniu, że na ich widok i przez nich obnoszoną chorągiew, pierzchać będą pułki austryackie lub się z nimi połączą. I w ten sposób bez oporu i walki zdoła zajść aż do Krakowa.

„Taką wiarą i przekonaniem w skuteczność swych zamiarów przejęty Adam, usiłował Zygmunta do współudziału w tem przedsięwzięciu namówić, zapewniając go, że już żadnej obawy na przyszłość w tym względzie mieć nie powinien, ale z ufnością i z odwagą do tak wielkiego dzieła przystąpić.

„Zygmunt, przeciwnie, nie spodziewał się pomyślnego skutku dla szczęścia ludów ani z rewolucyi francuskiej, która wypadła przypadkowo, niespodzianie, bez wyraźnej woli całego narodu, bez objawienia zamierzonego celu i dążenia; ani z rozpoczętego ruchu w innych krajach, przybierającego barwę więcej socyalistyczną niż polityczną i narodową. Powtarzał — nie Boska to praca, bo gdy Bóg chce prowadzić ludzkość na nowe ścieżki, wiodące ku dobremu, natychmiast na kierowników zsyła jej ludzi namaszczonych cząstką swej mądrości i potęgi, a nie zarozumiałych i bezsilnych karłów i retorów, którzy przez nią pną się do władzy, panowania i uszczęśliwienia ludu na swój wyłączny i właściwy sposób.

„Przedstawiał Adamowi, że wojsko austryackie silną spójnią i organizacyą połączone, z różnych składające się narodowości, nie rozchwieje się tak łatwo ani zbuntuje na widok małej garstki ludzi z chorągwią, której znaczenia nawet nie pojmie; że aby powstanie narodowe się powiodło, potrzeba poprzedniego porozumienia się i stawienia na czele ruchu całego, ludzi w narodzie wybitnych, nieposzlakowanych i posiadających powszechne zaufanie i szacunek; jak to było, lubo bezskutecznie, w Polsce w r. 1830. Takich teraz nigdzie

niema i nie widzi dotąd, a więc szczególnie Polakom należy się jeszcze wstrzymać, kraju na niepewne nie narażać losy, ale uchwycić właściwą nadarzoną chwilę.

„Takie swe myśli i zdania udzielając Zygmunt Adamowi, zaklinał go, aby napróżno swe życie, jako drogi narodu skarb, na pewne nie narażał niebezpieczeństwo i zachował dla szczęścia własnej ojczyzny. Lecz próżnemi były te wszystkie przyjacielskie przedstawienia i namowy.

„Pierwszych dni kwietnia przyszedł Adam do Zygmunta z pożegnaniem, w przeddzień wykonania raz powziętego zamiaru. Usiłował go po raz ostatni gorąco i wymownie ująć i nakłonić do swych planów i zamiarów, wyrzucał mu nawet z goryczą brak wiary w ducha ludzkości zjawiającego się tak wyraźnie i silnie. Zygmunt ze smutkiem odpowiedział mu, że podziwiając i ceniąc jego szlachetny zapał i poświęcenie, podzielać go nie może i przy swojem obstaje zdaniu; życzył mu szczęścia, prosił tylko w końcu, aby w każdym razie siał miłość, a nie krzewił nienawiści między ziomkami. Adam zesmutniał i odrzekł: „masz święte prawo i prawdę to mnie mówić, wytrwać jednak muszę“. Rozstali się w jak najlepszy przyjacielski sposób: Adam uściskał serdecznie ze łzami w oczach Zygmunta i wyszedł.

„Wkrótce potem udał się Adam wraz ze swymi towarzyszami, z których kilku opuściło go już w drodze do Włoch północnych. Przybywszy do Medyolanu, ujrzawszy rzeczywistość, rozczarowany zaniechał dalszych działań i udał się do Paryża“.

Ale tensam świadek opowiada coś więcej jeszcze. Krasiński, który w rządach Piusa IX widział zapowiedź lepszej przyszłości, a w wybuchłych rewolucyach sposób najpewniejszy odwrócenia jej na długo, kiedy w Rzymie zaczęły się rozruchy, sądził, że powstrzymać je może tylko Papież, jeżeli weźmie w swoje ręce sprawę wolności ludów. Inaczej zgubiona będzie i ta sprawa, i on sam, i Kościół. Miał więc sobie za obowiązek sumienia, szczerze Papieżowi wyznać co miał w sercu i namawiał go (29 kwietnia), żeby stanął na czele gotującej się wojny przeciw Austryi.

„W Rzymie lud, który z wdzięcznością i zapałem, a „jeszcze spokojnie przyjął obietnice Ojca świętego reform rzą-„dowych w duchu liberalnym, skoro tylko jednak doszła do „Rzymu wiadomość o rewolucyi w Paryżu, przeszedł w stan „gorączkowy; potworzyły się kluby, zgromadzenia ludowe, „gwałtem żądające nadania konstytucyi i wydania wojny Au-„stryi przez rząd Papieża. Ojciec święty znajdował się jakby „w oblężeniu zamknięty w Kwirynale. Krasiński niespokojny, „bo uwiadomiony o niebezpieczeństwie, jakie mu zagrażało, „wyprosił sobie zapomocą synowca Papieża hrabiego Mastai, „posłuchanie u Ojca świętego, które otrzymał, ale które od-„było się tajemnie, prawie w nocy, w ogrodzie Kwirynału, „który pilnie strzeżony był przez gwardyę narodową i po-„wstańców. W tem posłuchaniu opisał Ojcu świętemu całą „grozę położenia, niebezpieczeństwa grożące jego osobie, i za-„klinał, aby rząd Jego Świątobliwości przedsięwziął jak naj-„rychlej niezbędnie potrzebne kroki energiczne dla odwróce-„nia niechybnej katastrofy i uniknienia wielkich klęsk, ztąd „mogących wypaść na Kościół katolicki. Ojciec święty „przyjął i wysłuchał jak najłaskawiej jego uwagi i rady, po-„chwalił jego synowską miłość i niespokojność, ale oświad-„czył stanowczo, że jako ojciec wszystkich wiernych, żadnego „udziału w żadnej wojnie brać nie może i nie będzie“.

To zachowanie się Piusa IX przypisuje Krasiński jeżeli nie wyraźnemu porozumieniu reakcyi z rewolucyą, to przynajmniej ich podwójnemu wpływowi. Reakcya, przerażona rządami Papieża, sprzyjała rewolucyi, żeby go przerazić i powstrzymać. Główną rolę w tej sprawie mieli niby Jezuici, przeciw którym Krasiński (jak w owym czasie każdy katolik liberalny) stale jest uprzedzony. To pokazuje się wyraźnie ze słów następnych, pisanych do Małachowskiego 15 maja: „Lojola ściśle się połączył z Mazzinim; oba starali się o „anarchię i upadek Piusa. Biedny Pius dał sumienie czyste „i święte uwieść pierwszemu, a wtedy pierwszy rzekł do „drugiego: „obal, a zemścij mnie!“ Taka prawda dziejów „tutejszych. Lękam się o kopułę, by porysowawszy się nie „runęła“.

W kilka miesięcy później 26 listopada (do Małachowskiego), wraca do tegosamego przedmiotu i w temsamem uczuciu:

„Żeby Pius IX w nocy z dwudziestego dziewiątego na „trzydziesty kwietnia był usłuchał natchnień polskich, prośby „czysto polskiej, kiedy rozciągnięty u stóp jego Polak, za„powiadał mu, że wszystko co tylko uczynił w proch pójdzie, „jeśli narodowości włoskiej nie uzna i wojny nie uświęci „słusznej: ah! dziś nie byłby na wygnaniu, dziś nie żebrałby, „on ojciec, stary dwudziestu wieków majestatem, nie żebrałby „gościnności u *Rzeczpospolitej Nationala*! Bo tem narodo„wości uznaniem byłby puginał wytrącił z rąk radykałom, „maskę, którą się faryzeuszują zdarł im z lica, i potężny „z tej strony mógłby był porządek wprowadzić do Romy, „w ryzie przyzwoitej motłoch ten nikczemny utrzymać. Całą „siłą jego wrogów ta nieszczęśliwa allokucya; od tego dnia „padał i padał, aż teraz upadł! Jednak ja myślę, że go nie „opuści Bóg, i że on tryumfalnie powróci do Rzymu".

W Rzymie zostawać nie miał Krasiński po co, ani z rodziną mógł bezpiecznie. Wyjechał w drugiej połowie maja. Wyjechał ponury i gorzki, bo bieg zdarzeń z każdym dniem bardziej sprawdzał jego obawy. Rozruchy wielkopolskie i galicyjskie, bombardowanie Krakowa, przejmują go trwogą, że to wszystko skończy się rozkładem umysłów i sumień polskich, a w dalszem następstwie roztopieniem się w Panslawizmie. Na dowód dwa wyjątki z listów do Małachowskiego z 15 maja (z Rzymu), i z 3 lipca (z Paryża).

„O! emigracya centralizacyjna odpowie przed Bogiem „i sądem historyi za powtórny grzech! Już po raz drugi „skutkiem jej zachodów, wrzucenie nas w ręce Moskwy. Ger„manów szkaradne krzywdy, wywołane po części szkaradną „naszych demagogią; walka wszczęta w Księstwie między „organizującymi się a organizatorami, poprowadzi tok naszej „sprawy prosto w ręce czychającego Moskwicina. Przyjdzie „do tego, że będziem musieli, by odżyć, pobratać się z plu„gastwem chuci słowiańskich, a my powinni panować z góry „im i wyczyścić je i zlać z zachodnią światłością i wiarą!

„Lecz ludy w rozpaczy nie rozumują, pędzą choćby w otchłań. „skoro do ruchu się zerwą. Widzę to wszystko, z goryczą „niesłychaną serca widzę. Chyba że się Germany upamiętają. „My ich i siebie i Słowiańszczyznę zbawić mogli, taki był „nasz los niebieski; a teraz przyjdzie do tego, że my ich i za„chód tępić będziem! Módl się, módl się stary szlachcicu „polski, módl się do Boga, by się to nie ziściło, by się sny „Towiańczyków nie sprawdziły; bo choć odżylibyśmy takim „sposobem, toby pochłonęła nas Słowiańszczyzna, a nie my „ją podnosili już i nauczali być narodem".

„Co się zaś tyczy szału polskiego rozkochania się w Mo„skwie, dowodem on rozpaczy, ale rozpaczy w lekkomyśl„nych piersiach. Demagogia nasza, wychowana i wykar„miona przez paryzką, rozstroiła wszystko w Polsce, i oczy„wiście, jedność u nas społeczną rozerwawszy, gorzej się nam „jeszcze przysłużyła, niż państwa, co jedność naszą bytową „i cielesną rozgrabieżyły. Póki demagogii, póty Polski nie „będzie, lub będzie taka, jakiej ani pragniemy: to jest To„wiańska, to jest panslawistyczna, to jest moskiewska, to jest „nie polska! Lecz to trzeba wiedzieć, że teraźniejsza chwila, „chwilą *odmętu,* prawa odmętu zaś koniecznie na tem zależą, „że nie umieją nic stwarzać i wybudowywać; wszystko, co „dziś się rusza, żwawi, zżyma, krzyczy, wrzeszczy, pląsa i fan„faronuje, zaginie bez śladu, do góry nogami się przewali, „będzie na głowie chodziło i tańczyło a stopami machało „w powietrzu. Do wojen domowych przyjdzie w całej Euro„pie, świat ten pójdzie w rozłam społeczny. Polska jeśli „z Bogiem, to się zachować powinna zacną śród rozłajda„czonego świata, a wtedy świat ją o opiekę poprosi, jak „Anioła Stróża i przeciwko czerwonej Rzeczypospolitej. Ina„czej nic. Jeśli moralnie Polska nie odegra roli Napoleona I, „konsula śród rojalistów i Jakobinów, to, powtarzam, nic „i nic nie będzie; ale tego jeszcze nie zrozumiała i trzeba, „by dalej się rozwijały wypadki na ułatwienie tego pojęcia".

Lato, jak zwykle w Niemczech, na kuracyi w Heidelbergu i w Badenie. Usposobienie tosamo, coraz czarniejsze tylko, z tą różnicą, że kiedy niedawno jeszcze, w początkach

lipca, Małachowskiemu namawiającemu, by w tych ważnych wypadkach głos zabrał, odpowiadał odmownie, to teraz, 25 lipca wspomina o jakiemś swojem piśmie. Czy to *Psalm Żalu* zaczęty, czy *Psalm Dobrej Woli* wzięty do ostatecznego wykończenia? Jeden z dwóch niezawodnie.

Jaki jego stan i sąd o stanie świata, to daje poznać list do Sołtana, z Heidelbergu 28 lipca.

„Prysnęło mi pióro w rękach dwudziestego czwartego „Lutego. Przeczuwałem zaraz, że do nowych i straszliwych „prób, a nie do odżycia jeszcze idzie; przeczuwałem, że spo„łeczne wojny domowe wstąpią w świat, że nawzajem dwa „despotyzmy, dwa uciski, gonić się i ściskać będą po po„wierzchni ziemi; że wstęp do braterstwa ludów, będzie „z morderstwa ich złożon. Przeczułem potop klęsk, przeczu„łem, że wiedzeni fatalnym zmysłowym instynktem, rzucim „się wszędzie na stronę Rzeczypospolitej czerwonej; że za „zemstą goniąc, nie dorwiem się zaraz zmartwychwstania, bo „nie z zemsty zmartwychwstanie. Do tego szatańska postać „w owych dniach koło mnie była: Towiańszczyzny wyobrazi„ciel, a Towiańszczyzna niczem innem jedno Rzecząpospolitą „czerwoną, odzianą w mistycyzmu barwy. Ta postać roz„kroiła mi swemi kłamstwy i ohydnem okrucieństwem i sza„łami wnętrzności, więc zamilkłem, nerwy mi się rozstroiły. „Co chwilam sądził przez dwa miesiące, że wypadnie do cze„goś ruszyć, ruszyć się; potem wszystko zaczęło iść według „smętnych przeczuciów moich, aż się stało, że wszędzie znów „jesteśmy postrachem, znów wygnani i odegnani. Co się dalej „stanie? Myślę, że się za biodra wezmą Moskwa i Rzeczpospo„lita czerwona, po wszystkich krajach: *jalousie de métier*, „bo to nie są przeciwne pierwiastki, owszem jednorodne, iden„tycznie tesame, piekielne, oba dążą ku zbarbarzynieniu świata „i *odchrystusowania* go. Polska jeśli się zacną zachowa wśród „rozłajdaczonego świata, to w końcu zwycięży i stanie wy„żej niż Moskwa, niż panslawizm, niż tajne towarzystwa, „Barbesy i Towianizmy. Lecz Boga o to prosić trzeba, Bóg „to jeden sprawić może!“

W tej goryczy jednak, bardzo widocznej tym razem

przeciw Mickiewiczowi także, odzywa się w ostatnich słowach, jak żeby przeddźwięk *Psalmu Dobrej Woli.* Wyraźniej w liście o parę dni wcześniejszym (z 25 lipca) do Trentowskiego, w którym wynurza się krótko, ale zupełnie ze wszystkiem, co myśli o naszej i świata bliższej i o stanowczej przyszłości:

„Będą dni, w których dla nauki i przestrogi przyszłych „wieków, a kary przeszłych, Rzeczpospolita czerwona górę „weźmie i taką górę, że podły niemiecki ród zatęskni do „knuta moskiewskiego, modlić się doń będzie i wołać: „Ano „teraz przyjdź zbawicielu mój“. I przyjdzie knut i padną na „kolana przed nim zanękane i znużone bratobójstwami euro„pejskie ludzie. A w oną porę zstąpi sąd wielki, święty, prze„zacny, sąd Boga wiekuistego przeciw Moskwie. Knut w sa„mej chwili tryumfu rozpryśnie się. Przez czerwonych, króle „i książątka; przez knut, czerwoni; przez Boga i Polskę knut „przepadnie. Odmęt sądów będzie się ciągnął, każdy pyszny, „i kłamca, i chciwy i każden Faryzeusz czy przeszłości czy „przyszłości, znajdzie w przeciwniku swoim gorszym od siebie, „sędzię i kata. I tak, długo będą jedni sądzeni przez drugich, „karani nawzajem, aż błyśnie w istocie zorza i świat cały „wróci do miary i prawdy, a w on dzień przybierze wszędzie „dawny kształt Polski: rzeczpospolitę z królem! i hołd odda „myśli polskiej. A wtedyć będzie i Polska, owa matka dni „przyszłych już przed wiekami. Byleby naród w mierze i za„cności dotrwał, byleby zemsty nie przeniósł nad żywot, by„leby ostatecznie nie dał się uwieść żądzą tylko szkodzenia „wrogom, tylko rozsadzenia Europy, która go opuściła i ręki „nigdy nie podała. Przyznaję: to naturalnym instynktem po„tępionego i opuszczonego od wszystkich poteg społecznych „narodu; ale idąc za nim, nie odżywa się. Supernaturalnej „cnoty, nie naturalnych chuci potrzeba, by odżyć“.

Psalmy są już prawie gotowe. Ale zanim wyjdą na świat, zdarza się poecie wypadek nie dziwny może ale przykry. Jakiś awanturnik, z nazwiska (prawdziwego czy przybranego) Roman Czarnomski, pod pozorem pretensyi do spadku jakiegoś po Czapskich (którego babka Krasińskiego

zrzekła się nawet i nie wzięła), wystąpił z obelgami i groźbami śmierci: a dla podłości tem doskonalszej, zwrócił je nie do Krasińskiego, mężczyzny, ale do jego żony. Skutek w każdym razie osiągnął ten, że pani Krasińska rozchorowała się z oburzenia, po części z trwogi o życie męża. Innego nie osiągnął. Krasiński odpisał, że gotów jest stanąć do pojedynku, wezwał sekundantów (Cieszkowskiego i pułkownika Komierowskiego) i czekał co będzie dalej. Napastnik zjawił się po kilku dniach ale bez sekundantów, i zamiast o pojedynku, chciał mówić o procesie i pieniądzach. Świadkowie Krasińskiego nie pozwolili na wykręty, i skończyli sprawę w ten sposób, że ów napastnik napisał i podpisał dokument, w którym odwołuje wszystko, co w liście swoim powiedział, i za to Krasińskiego i żonę jego przeprasza.

Po tej sprawie wyjeżdża Krasiński do Dieppe na kąpiele morskie. Ale przed tym wyjazdem były już gotowe *Psalmy*. „Psalmum dokończył“ — pisze do Trentowskiego 26 sierpnia — „treść tasama, co w prozie tobie wyprawionej“ (w ustępach przeznaczonych do *Przedburzy*[1]). Dnia 16 września z Dieppe dziękuje Małachowskiemu, że *Psalmy* przepisał.

Kiedy i jakim sposobem dowiedział się Krasiński o *Wierszu do Autora Trzech Psalmów?* Rzecz dziwna, w żadnym z listów nie wspomina o nim ani razu. W listach z roku 1846 zdarzają się wzmianki o Słowackim, ale nie o tym wierszu właśnie. Czy go nie czytał? Wiersz wyszedł dopiero w r. 1848, ale przedtem rozchodził się w wielu kopiach pisanych. Z takiej, jak dowodzi przedmowa do *Psalmu Żalu*, poznał go Krasiński. Ale kiedy? śladów niema żadnych; domysł tylko jest prawdopodobny, że poznać musiał teraz, świeżo, w tym roku 1848. Skoro bowiem uczuł taką silną potrzebę odpowiedzi i odparcia, to byłby odpowiedź napisał wcześniej, gdyby wcześniej znane mu były zarzuty.

Przyszło więc nie już do zerwania przyjaźni, ale do do otwartej wojny na słowa między dwoma niegdyś przyja-

---

[1]) Ustęp ten zdaje się być na stronie 173 do 180 *Przedburzy* w wydaniu Fryburskiem, u Emmerlinga, 1848.

ciółmi. Zerwanie to, powód znaczących w naszej literaturze wierszy, zajmowało żywo uwagę ogółu, a zwłaszcza krytyków i biografów. Jak do tego przyszło? pytało wielu, a odpowiedzi były różne. Słowacki sam w liście do matki z 2-go lutego 1846 r., daje do zrozumienia, że Krasiński obraził się o rolę nie całkiem piękną, jaką przodek jego gra w *Księdzu Marku*, powtarza tosamo w liście do samego Krasińskiego. Skłonił się po części do takiego przypuszczenia pan Małecki w *Żywocie Słowackiego;* protestował przeciw niemu Stanisław Małachowski[1]). Co do nas, sądzimy, że powody oziębienia ich przyjaźni, były ważniejsze i głębsze; materyalne zaś wypadki przytoczymy tak, jak nam były opowiadane przez naocznych świadków, Małachowskiego i Jerzego Lubomirskiego.

Widzieliśmy, że przy pierwszem poznaniu w r. 1836. Krasiński był olśniony talentem Słowackiego i jego fantazyą, ale stateczności jego nie dowierzał. „Nie chciałbym nigdy na nim polegać“ — pisał do Gaszyńskiego. To pierwsze niezupełnie korzystne wrażenie, ustępuje jednak pod wpływem zapewne osobistego uroku Słowackiego. Powstaje przyjaźń, przywiązanie; a w tym razie jak zwykle u Krasińskiego, nie bez poetyzowania, idealizowania przyjaciela. Uczucie to rośnie i rozpala się, kiedy przyjaciel doznaje krzywdy, a przynajmniej nie doznaje sprawiedliwego uznania od krytyków i od ogółu. Rozżalony tem Krasiński, unosi się, wywodzi sobie filozoficznie „konieczność jego w poezyi polskiej“ (List do Romana Załuskiego), bierze go w obronę w artykule o Balladynie, staje się rycerzem i adwokatem jego sławy. To naturalnie rozżarza i uczucia Słowackiego względem niego. Listy dedykacyjne *Balladyny* i *Lilli Wenedy*, wiersz do „Archanioła wiary“ świadczą o exaltacyi i niemal uwielbieniu Słowackiego. Jak i dlaczego zaczął się ten stosunek psuć? Oczywiście dlatego, że Słowacki przystał do nauki Towiańczyków. Krasiński wielokrotnie i mądrze, usiłuje go od niej odciągnąć, naprόżno. Nie może być inaczej, tylko, że ludzie

---

[1]) *Przegląd Polski*, 1868.

którzy sprawie dla obu najdroższej chcą służyć, każdy innym sposobem, przestają się rozumieć, a z czasem przestają się kochać. W przekonaniu Krasińskiego, Towianizm jest dla Polski szkodliwy i zgubny; w uczuciu Słowackiego on jest jej zbawieniem. Krasiński mniema, że przyjaciel siebie marnuje, a ojczyźnie może szkodzić; Słowacki myśli, że twarde ma serce, upór wielki, a może i umysł ciasny, kto łask i słów Ducha nie przyjmuje. Próbują się wzajemnie przekonać, oświecić; ale gdy widzą że napróżno, przestają oba, i wzajemnie od siebie odstają. To jest jasna i zrozumiała przyczyna oziębienia przyjaźni. Materyalna przyczyna zerwania, długiego milczenia z obu stron, była następująca:

W jednym z listów Krasińskiego do Sołtana, znajduje się następująca wiadomość: „Słowacki w Frankfurcie; zakochał się wściekle w pani B...“

Do tych słów przywiązać można to, co o zerwaniu owem opowiadali Małachowski i Lubomirski.

Rzeczywiście, Słowacki zakochał się w pani B...! starał się o wzajemność, daremnie. Rozgniewany, upokorzony w swojej miłości własnej, napisał wtedy do Krasińskiego list, w którym mówił o niej w sposób obraźliwy i znieważający. Krasiński, ktory bardzo już dawno przestał ją kochać, ale szanować miał i powód i obowiązek, a bronić do obowiązku się poczuwał, wpadł tedy na Słowackiego w wielki gniew i odpisał bardzo ostro. Po całem poprzedniem stopniowem oziębieniu stosunków, te dwa listy sprowadziły nie otwarte i formalne zerwanie, ale żal i gniew obustronny, równający się faktycznemu zerwaniu.

Tu nasuwałoby się pytanie, jakie jest w tym wzajemnym stosunku miejsce i znaczenie *Niepoprawnych* Słowackiego? Krasiński najpewniej o nich nie wiedział, jak nie wiedział nikt, aż do wydania ich przez p. Małeckiego. Ale Słowacki w jakiem pisał je usposobieniu względem przyjaciela? Satyrycznem widocznie, i dość złośliwem; zatem nie patrzał na niego tak, jak kiedy pisał dedykacyę *Balladyny* i *Lilli*. Ale w tej złośliwości niema złości, w ironii niema gniewu ani namiętności; więc znowu nie to uczucie, w ja-

kiem pisany był wiersz *do autora Trzech Psalmów*. P. Malecki przypuszcza, że Słowacki pisał *Niepoprawnych* w r. 1841. Przypadałoby to właśnie na ten czas, kiedy Krasiński z przekąsem wspomina o jego miłości do pani B....; kiedy więc wzajemne ich uczucia zaczęły się zmieniać, a jeszcze nie były się zmieniły zupełnie.

Pogorszyła stosunek okoliczność drobna i błaha. W roku 1845 Krasiński umyślił wybrać się do Paryża. Paszport miał tylko do Włoch i Niemiec, więc wybierał się w wielkiej tajemnicy. Bał się, że gdyby ta podróż doszła do wiadomości rządu rosyjskiego, ściągnęłaby na niego, i na ojca, przykrości, odpowiedzialność, może prześladowania. Ztąd te usilne i drobiazgowe, a do znudzenia powtarzane ostrożności, jakie Gaszyńskiemu zachować poleca przy wyszukaniu mieszkania, ta tajemnica, którą chce być otoczonym. W Paryżu, zawsze z tego samego powodu, ubrał się inaczej niż zwykł był się nosić, włożył niebieskie okulary, i w nadziei że zmienił się nie do poznania, wyszedł na ulicę. Nieszczęście chciało, że spotkał go Słowacki, a spotkawszy zatrzymał i przywitał. Krasiński odpowiedział mu po francuzku, że musi się mylić, brać go za kogo innego, i poszedł dalej. W parę godzin później miał u siebie sekundantów Słowackiego, i wyzwanie. Sekundanci — jednym z nich był Seweryn Gałęzowski — zrozumieli i uwierzyli, kiedy im Lubomirski wytłómaczył, że w postępku Krasińskiego mogło być dziwactwo, ale nie było zamiaru obraźliwego. Słowacki musiał słuchać swoich sekundantów, i pojedynku się nie domagał; ale obrażony i rozżalony był gwałtownie. Czy zaś Krasiński sam nie *uczuł* po rozwadze, że nie miał słuszności? Na taki domysł naprowadza jego późniejsze zachowanie się względem Słowackiego. On, w kilka miesięcy później, radzi się swoich przyjaciół, Gaszyńskiego i Małachowskiego, czy ma do Słowackiego napisać; on używa pośrednictwa Gaszyńskiego, żeby coś Słowackiemu powiedzieć i wytłómaczyć (listy ze Stycznia 1846). Może czuje, że postąpił nieprzyjaźnie względem tamtego, i chce to naprawić. Zawiązuje się więc stosunek na nowo: zaczyna się zamiana listów. Krasiński wyraża się o Słowac-

kim do innych, jak o człowieku wyrzuconym z równowagi, chorobliwie usposobionym, ale wyraża się z sympatyą, z przyjaznem, jeżeli nie serdecznem uczuciem. Żadnego nowego żalu do niego niema: *Króla Ducha* tylko krytykuje ostro. Jeżeli jest w niem myśl, to „tak schowana, że ja nie mogę „jej dojść; może też zgłupiałem. Albom ja waryat, czytelnik, „albo autor, co to pisał". (do Gaszyńskiego 24 Lutego 1847). Wiersza *do autora Trzech Psalmów* widocznie nie zna, nie wié o nim, skoro o Słowackim wspomina nieraz, a o tem nie, co w tym stosunku było obecnie pierwsze i żadną miarą przemilczeć się nie dawało.

Że Słowacki po napisaniu tego wiersza pisuje do *autora* tych niegodnych *Trzech Psalmów* listy przyjazne, jakżeby nic nowego między nimi nie było zaszło, a o *Psalmach* i o swoim wierszu nie wspomina, to, jak już wyżej powiedziano, jest dość dziwne.

Takie były więc w krótkości dzieje ich wzajemnych uczuć; i taki ich stan w chwili, kiedy ów wiersz ukazał się na świecie.

IV.

Dwa Psalmy. Wiersz Słowackiego. Konieczność odpowiedzi. Początek *Psalmu Żalu*. Jego dalsze ustępy, i usterki. *Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. Co w nim jest prawdą. Jak go rozumieć i stosować. Ostatnie słowo poezyi Krasińskiego. Zakończenie wielkiej epoki poezyi polskiej.

Że Słowacki nie był nigdy w zupełności panem swojej myśli; że był z usposobienia nerwowy i burzliwy, a w tej chwili wzburzony; że w rzeczach politycznych zdrowego sądu nie miał nigdy; że wreszcie pod wpływem swojej religijnej doktryny stracił do reszty jasną świadomość i rzeczywistości i swojej własnej myśli, to wszystko wiadome jest aż nadto. Dziwić się też niebardzo można, że Słowacki pomylił się tak grubo w przewidywaniu i sądzeniu wypadków, że przygotowania do mniemanego powstania roku 1846 brał za rzecz dobrą, opór przeciw tym przygotowaniom za zbrodnię przeciw

ojczyźnie. I gdyby wiersz swój do *autora Trzech Psalmów* był napisał inaczej, to, zważywszy jego naturę, i jego sąd nigdy nie wyrobiony, zważywszy, że go napisał przed sprawdzeniem słów Krasińskiego, przed wypadkami, możnaby żałować go tylko, ale się na niego nie oburzać. Ale sposób, w jaki napisał, ten jest zły, ten jest naprawdę oburzający.

Według Ciebie mój szlachcicu
Cnotą naszą znieść niewolę...

To pierwsze słowa, i to pierwsze zaraz kłamstwo. Gdzie i kiedy Krasiński powiedział co podobnego? Z których jego słów dałoby się wyciągnąć, nie dosłowne brzmienie, nie znaczenie, ale tylko prawdopodobieństwo, tylko możliwość, tylko cień możliwości myśli, jaką mu Słowacki podsuwa? Nigdy i nigdzie; a przeciwnie, każde jego dzieło, każdy wiersz, każde słowo zadaje Słowackiemu fałsz oczywisty, sromotny. Aż żal biednego Słowackiego, bo zrobił rzecz siebie niegodną, zrobił rzecz jedną z brzydszych, jaką człowiek zrobić może: przekręcał słowa drugiego, podsuwał im myśl jakiej w nich nie było, naciągał je wbrew oczywistości, zuchwale, bezczelnie. Dopóki to robi jakiś tuzinkowy pismak, który chce koniecznie utrzymać się na wodzie, a ma po temu tylko ten jeden środek, to nic dziwnego; każdy robi co może i na co go stać. Są ludzie, którzy mają ten szczęśliwy przywilej, że mogą niekiedy swojem słowem lub uczynkiem oburzyć, ale zdziwić nigdy. Ale ten przywilej podłych, nie służy szlachetnym, *quod licet bovi non licet Jovi*; i jeżeli pokątnemu pismakowi wolno naciągać, przekręcać i kłamać, to Słowackiemu nie wolno. On tymczasem od kłamstwa niestety zaczął swój wiersz do *autora Trzech Psalmów* (wiersz zresztą tak pełen pięknych ustępów, że aż żal tej pięknej formy, że mieścić w sobie musi treść tak podejrzaną), powiedział Krasińskiemu, że według niego „cnotą naszą znieść niewolę“ a dalej tonem fantastycznych wieszczych widzeń, lekkomyślnych i dziecinnych sądów, frazeologii ówczesnych emigracyjnych dzienników, dowodzi mu, że się boi Polski, ludu i powstania, że jest tchórz, zły Polak i arystokrata.

Że Krasiński pod tym zarzutem zostać nie mógł, że chciał odpowiedzieć, to rzecz naturalna, to winien był sobie, i prawdzie, i sprawie której służył. Ale do tej obrony własnej, dodał jeszcze raz przypomnienie własnych przekonań, skład własnej wiary i nadziei, i napisał pierwsze słowo pociechy, jakie w Polsce wyszło po roku 46 — ostatnie słowo swojej poezyi, a zarazem całej naszej poezyi proroczej i wieszczej, dwa ostatnie Psalmy.

Jest siła dziwna, tajemnicza, a wielka w prawdzie, i w człowieku, który jej broni; jest powaga w jego słowach, w tonie jakim są wyrzeczone, taka, że choć bez zapału namiętności, bez sztuk i ozdób wymowy, spokojnie i poprostu mówi: *tak, tak — nie, nie* — schyla się tylko głowę przed tą powagą, i nie znajduje się żadnej odpowiedzi. Historya i poezya, znają takie słowa prawdy, odpierające potwarz poprostu a zwycięzko. Hermiona z Zimowej Powieści, Imogena Szekspira, Robak wpadający w słowo Gerwazemu, kiedy ten mu zarzuca, że naprowadził żołnierzy na zamek stolnika i wołający: „nie byłem w zmowie“, Królowa z Don Carlosa, kiedy u Filipa II, znajduje swoje ukradzione listy, wszystko to przykłady poetyczne broniącej się czci i niewinności, przykłady świetne i rozrzewniające. Wszystkie razem jednak nie robią takiego wrażenia, jak wyrzeczone w okolicznościach podobnych, a przez historyę przechowane prawdziwe słowa rzeczywistych osób: Marya Antonina, oskarżona przez konwencyę, że własnego syna, małe dziecko, uczyła zepsucia obyczajów, i odwołująca się „do wszystkich matek“, żeby powiedziały, czy to może być prawdą, budzi więcej współczucia, jak wszystkie spotwarzone fikcyjne Desdemony i Genowefy Brabanckie. Jest w rzeczywistem cierpieniu prawdziwej ludzkiej istoty coś, co zdobywa więcej współczucia i uszanowania od najpiękniejszych, najdramatyczniejszych sytuacyj w poezyi. I do takich rzeczywistych, historycznych, należy przypadek Krasińskiego: oskarżony publicznie jak Marya Antonina, publicznie i głośno odpowiada: a jego odpowiedź należy do tych niezawodnie, w których głos niewinności i prawdy odzywa się z największą powagą

i z największą prostotą. Niema wykrzykników, niema skargi, niema oburzenia, ani pogardy, ani wyrzutu, — ale jest taka siła i moc i taka godność prawdy, że oskarżycielowi zostaje po tem tylko jedno, wstyd bez ratunku i rady. Pierwsze ustępy *Psalmu Żalu*, należą do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński kiedykolwiek napisał. Prawda że straszne stwierdzenie tego, co przepowiadał w trzech pierwszych *Psalmach*, mogło mu dodać powagi; ale też poczucie słuszności i własnej niewinności, daje mu taką pewność siebie, taki spokój wielki i przygniatający, taką majestatyczną prostotę (nigdy Krasiński nie był prostszym i nigdy bardziej majestatycznym jak w pierwszych wierszach *Psalmu Żalu*) — że te jego słowa liczyć się muszą do najpiękniejszych i najbardziej tryumfujących odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości lub w poezyi.

„Więc strach, mówisz, mówił ze mnie
„Gdym przeczuwał że się w ciemnię
„Zasuwamy, a nie w zorzę...
„Prawdę mówisz"...

W zakończeniu „Bojaźń moją, męztwo twoje niech osądzi Pan" — w tem odwołaniu się do Boga, jest taka pewność siebie, takie przekonanie, że on sam a nie przeciwnik miał słuszność, że lepiej widział, lepiej służył, lepiej swoją sprawę kochał, a fakt dodaje takiej wagi słowom, że ciężar jednego i drugich tylko człowiek zupełnie bezsumienny i bezczelny znieść może; człowiek z naturą szlachetną musiał pod nim upaść, złamać się, zamilknąć. Słowacki rzeczywiście zamilknął.

Potem dopiero nie wyrzut, ale coś gorszego, bardziej palącego wstydem jak sam wyrzut, zdziwienie! Jakto? ty? — ty który masz oczy nie widziałeś, który masz rozum nie rozumiałeś? — ty który tak kochasz i o swojej miłości tyle mówić umiesz, tyś nie uczuł że to nieszczęście, że to prawie śmierć? i biegłeś przed tem wszystkiem, zdawało ci się, że jak Tyrteusz zagrzewający swoim śpiewem do bitwy i do zwycięztwa, a naprawdę szedłeś jak ksiądz przed trumną

na pogrzebie i śpiewałeś *de Profundis,* mniemając dziecinnie i płocho, że śpiewasz Pieśń Zmartwychwstania? konkluzyi niema — ale dorobić ją, domyśleć ją łatwo — więc tak umiesz patrzeć? tak umiesz myśleć? i tak umiesz kochać? więc z twego rozumu i z twojej miłości tyle pożytku? konkluzya nie napisana, ale wyraźna z tego wszystkiego, wołająca wielkim głosem, jest: „wejdź w siebie, porachuj się z sobą“. Na chwałę Słowackiego powiedzieć trzeba, że tę konkluzyę zrozumiał, głos ten usłyszał. Ale czy wielu jest takich jak on? czy dla największej liczby nie był on głosem wołającego na puszczy?

Uczucie osobiste, uczucie człowieka skrzywdzonego, spotwarzonego, odzywa się w dalszym ustępie:

„Bodajbyś wieszczu był wieszczył prawdziwie“

ustęp jest wspaniały: nic wymowniejszego, nic bardziej tryumfalnego nie da się pomyśleć. Zarozumiałość i duma biednego Słowackiego odniosła najsroższą karę, mogła przypatrzeć się sobie i osądzić się w swojej marności. A musiał on doznać i jednej jeszcze goryczy: wspomnieć, że człowiek, na którego się rzucił tak wściekle a tak niesprawiedliwie, na którego rzucił oskarżenie publiczne a fałszywe, był jego przyjacielem niegdyś, był tensam, który go pierwszy uznał za poetę, który go zasłaniał i bronił, który mu nie zrobił nigdy nic złego. Krasiński ani słowem jednem nie wspomina tej dawnej przyjaźni; ale Słowacki pod każdem słowem musiał to wspomnienie czytać, musiał sam sobie wydawać się niewiernym i niewdzięcznym. W odpowiedzi Krasińskiego jest jedno słowo srogie, krwawe:

Szlibyśmy oba i szczęśliwsi oba
Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem.

Gdyby te dwa wiersze był opuścił, byłby się wzniósł do najwyższej wysokości przebaczenia. Może byłoby to jeszcze piękniej, wznioślej; ale nie można się dziwić, że je napisał, że obrażony tak ciężko, tak niesprawiedliwie, a obrażony przez przyjaciela, przez człowieka, który go znał i wiedział dobrze,

że „podług niego znieść niowolę nie było cnotą“, że mu wymówił tę chwałę własną, która była wielką małością jego duszy, dla której może i ten wiersz napisał. Dziwić się raczej można Krasińskiemu i podziwiać go, że w swoim smutnym tryumfie jest tak umiarkowany. Inny na jego miejscu byłby przeciwnikowi powiedział prawdę bez względu i bez miłosierdzia, byłby go przekonał o płochość, o lekkomyślność, o polityczną głupotę, tak otwarcie i głośno, tylko słuszniej, jak jego tamten oskarżył o bojaźń i o „cnotą naszą znieść niewolę“. Kto inny nie byłby Słowackiemu darował ani jednego wyrzutu, byłby go upokorzył i zawstydził na śmierć i na wieki. Krasiński godząc jednem tylko słowem w jego miłość własną, jest jeszcze bardzo wspaniałomyślny, bardzo umiarkowany w korzystaniu ze swojej wyższości.

Po tych pięknościach wstępu wyznać trzeba, że dalsze części *Psalmu Żalu,* nie utrzymują się na tejsamej wysokości natchnienia, owszem spadają dość nizko.

Wszystko co znamy już oddawna jako Krasińskiego filozofię historyi, co od roku 1846 widzimy zawsze w jego listach, jako oburzenie na wersalską demagogię, jako przekonanie, że ona odrodzenie Polski odsuwa i niemożliwem czyni, jako przewidywanie, że ta Polska przejdzie jeszcze przez gorsze klęski i upadki wstydliwsze, jako wiara wreszcie, że ona i od innych lepszą być, i w końcu zwyciężyć musi, to wszystko w tym *Psalmie* znajduje się w krótkiem streszczeniu. Jest on więc z tego względu ciekawy i ważny. Ma też niektóre zwroty lub wyrażenia szczęśliwe, bardzo silne i śmiałe; najwięcej może w ustępie trzecim. Wszystko co Krasiński mówi, czy przeciw rewolucyjnej teoryi czy w obronie chrześciańskiego postępu i postępowania, słuszne i mądre jest. Tylko to nie *Psalm,* to dyskusya. Rekapitulacya naprzód teoryi Słowackiego o „Duchu wiecznym rewolucyoniście“, a następnie zbijanie tej teoryi przez wszystkie argumenta historyczne, polityczne i moralne, argumenta dobre i słuszne niezawodnie: prawda, zwycięztwo w tej rozprawie jest przy Krasińskim. Ale poetycznie dalszy ciąg *Psalmu Żalu* pięknym nie jest. Pomimo, a może właśnie

dla pewnego silenia się na wzniosłość i natchnienie (widocznego w tym rytmie ciągle zmienianym, w tych krótkich dwu lub trzechgłoskowych wierszykach), pomimo takich machin poetycznych, jak ten sąd ostateczny nad narodami, odbywający się na dolinie Jozafata, nie można zaprzeczyć, że całość zostawia wrażenie ciężkiej prozaiczności. Jestto filozofia historyi, rzecz dydaktyczna, ujęta w natchnioną formę *Psalmu;* rzecz, która z natury udać się nie mogła, a która w tym razie jest tem cięższą, że fantazya i uczucie poety nie podnoszą jej w górę. Rozum, dowodzenie, ścisła logika, właściwość najwybitniejsza umysłu Krasińskiego występuje tu z całą ścisłością; w ciągu zaś tych dowodzeń i rozumowań, nie wiedzieć, czy dla tem lepszej definicyi filozoficznej, czy dla tem większej piękności poetycznej, folguje Krasiński swojemu popędowi do tworzenia nowych wyrazów, i cały *Psalm* z wyjątkiem początku, tak jest naszpikowany kataklizmami, katastrofami, rewolucyami i tym podobnemi wyrazami, które mu nadają ton dziennikarskiego artykułu, tak zeszpecony wyrazami ukutemi *ad hoc,* a niezgrabnemi i ciężkiemi, naprzykład: *anielica, wypołudnić się, przepostacić się, przepromienić się, przepiekielnić, odmiłośnić się, zbożyć się, bożoczłowieczy czyn,* tak jest pełen nieszczęsnego *wszech* przyczepianego do wszech rzeczy i wszech rzeczowników, że z całej poezyi Krasińskiego jest to może rzecz najcięższa i najprozaiczniejsza w tonie. A szkoda, bo gdyby był zdołał utrzymać się na wysokości wstępu, *Psalm Żalu* byłby równym temu, który po nim następuje.

Nie na to pisał Krasiński te *Psalmy,* żeby Słowackiemu dowiódł, jak się grubo pomylił. Tryumf taki nie trudny, zwłaszcza kiedy dowodzenia podjęły się fakta; a pociecha marna powiedzieć drugiemu, że źle robił. Dla serc małych to rozkosz, dla wielkich smutek; jak dla wielkich umysłów nie dość jest wykazać złe, trzeba pokazać dobre, które na miejscu tego złego być powinno; nie dość krzyczeć na drugich, że robią nie tak jak trzeba, ale powiedzieć co trzeba robić, wtedy dopiero zadanie spełnione, wtedy stało się zadosyć obowiązkowi. Ale ten obowiązek tak rzadko spełnia się mię-

dzy ludźmi, że spełnienie jego musi uchodzić za jedną z wielkich zasług. A jeżeli jest nią zawsze, to cóż dopiero w czasach nieszczęścia i rozbicia, kiedy ludzie odurzeni klęską chodzą jak błędni i nie wiedzą co robić, czego się trzymać, gdzie szukać dla siebie ratunku. Krasiński, który przed nieszczęściem spełnił obowiązek jeden, przestrzegał, a naturalnie jak Kassandra, jak prorocy izraelscy, przestrzegał nadarmo, po nieszczęściu miał obowiązek drugi, odezwać się do sumień, a rozumom jasno wyłożyć jego powody. Pośród chaosu zabójczych negacyj, które owo nieszczęście sprowadziły, chciał postawić twierdzenie zbawcze, zbawienną prawdę — pośród chaosu rozpaczy i zwątpień, chciał postawić znak wiary, wbić w sam grunt serc kotwicę nadziei, napisał *Psalm Dobrej Woli.*

Ten uważany słusznie za ostatnie prawdziwie wielkie i potrzebne słowo jego poezyi, uważany jest także i z niemniejszą słusznością za koronę całego tego budynku, za zbiór i treść, wyraz najprostszy i najwyższy tych uczuć i myśli, które były tłem całego jego życia i jego miłości ojczyzny, za ostateczną odpowiedź na wszystkie jego pytania, ostateczną konkluzyę jego przeczuć i przewidywań, za uzupełnienie i koniec jego systemu filozofii historycznej i politycznej. To jest jego affirmacya wypowiedziana w formie najprostszej i najjaśniejszej, to jest ta prawda dziejów i człowieka, której szukał przez całe życie, która wydobywała się z jego myśli pomału i stopniowo coraz jaśniejsza, coraz wyraźniej określona, wyraźniej w *Irydionie* jak w *Nieboskiej,* wyraźniej w *Przedświcie* jak w *Irydionie,* aż wreszcie wyłoniła się ze wszystkich zawichrzeń i cierpień świata, Polski i jego własnej duszy: objawiła mu się w całej ścisłości i prostocie, i tak objawić się kazała przed narodem w chwili, kiedy ten doznał jednej z najcięższych swoich klęsk, kiedy słusznie mógł rozpaczać o sobie.

Ta prawda, rozebrana z ułudnych szat poetycznego i patryotycznego natchnienia, czy jest prawdą zupełną czy częściową tylko, czy możemy w nią wierzyć śmiało i bez zastrzeżeń? słowem, czy jest prawdą, albo nie?

Z odpowiedzi na to pytanie musi wyjść sąd o całej poezyi Krasińskiego, o jej wartości absolutnej wobec prawdy historycznej i filozoficznej, o jej wartości patryotycznej, żeby się tak wyrazić praktycznej, dla Polski.

A więc czy w *Psalmie Dobrej Woli* jest prawda lub nie? Tak i nie; jest i nie jest. W pojęciu Polski czem była i czem jest, niema prawdy; w pojęciu tego co Polska powinna, czem powinna być i czem się podnieść może, jest prawda.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie
Z skarbu wiecznego przenajświętszej łaski“.

Czy to prawda? czy istotnie dał nam panowanie ubrane w przechrześciańskie blaski nadeuropejskiej cnoty? czy prawda, że „twego Syna dałeś nam pierwszym w świeckie wcielić dzieje? że „wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie“, że nam „najwyższe dałeś w czasie powołanie“, ah i czy prawda, czy nadewszystko prawda, to, że „skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie“, że „przebyte progi cmentarza“, że „nadzieja jak kwiat się sypie“, że upadek złych i dumnych „na zorzach porannych już dnieje, a nam broń zwycięzka spada z nieba z wichrami? czy to prawda?“... Smutno jest podnieść głos przeciw takim nadziejom: zuchwale jest może podnieść głos przeciw słowom wielkiego gieniusza i większego jeszcze serca: ale darmo, w imie prawdy świętej i niewzruszonej, prawdy zwycięzkiej zawsze i zawsze zbawczej, nawet kiedy jest najnielitościwsza, w imie tej najdroższej Krasińskiego nadziei i największej miłości, w imię tej sprawy, dla której on pisał *Psalm Dobrej Woli,* i dla jej dobra, trzeba powiedzieć nie — to nieprawda.

Nieprawda, że wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie! a nie dlatego tylko, żeś nam nie dał ducha mądrości, ducha wytrwałości, ducha rady, ducha rządu i ducha zgody, nie dlatego tylko, że nam nie dał zmysłu pracy, zabiegliwości i zmysłu politycznego, nie dlatego, że nam nie dał nawet

jak innym granic porządnych, ale dał złe, przyjaciołom niedostępne, dla nieprzyjaciół otwarte — nie dlatego. Głupstwoby było i zuchwalstwo, robić wyrzuty Bogu, kiedy ich jest tyle do zrobienia sobie samym; a wszystkie przymioty, których nam brak, mogliśmy sobie wyrobić, gdybyśmy mieli wolę; wszystkie warunki życia mogliśmy zdobyć lub poprawić, gdybyśmy się byli postarali o tamte przymioty. Czy nam Bóg dał mało czy wiele, źle czy dobrze, z tego co dał mogliśmy zrobić więcej i lepiej: nie on winien, ale my. Ale nieprawda, żeby nasze panowanie było ubrane w przechrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty, nieprawda żebyśmy byli wcielili w świeckie dzieje naukę Chrystusa, nieprawda żebyśmy byli dostali najwyższe między narodami powołanie. i nieprawda także, żeby nam rosły te skrzydła, o których mówi poeta.

Te blaski nadeuropejskiej cnoty, to nasza uczciwość względem drugich, to nasz brak zdrady, chciwości i podbojów; byłby bez sumienia i bez czoła, ktoby przeciwko temu bluźnił i tego żałował. Te blaski jeszcze, to poświęcenie Jadwigi, to „Batorych trud, Żółkiewskiego zgon, Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn“, to Ustawa 3-go Maja, to wreszcie po rozbiorach, wierność wszystkich pomimo złego, jakie może być w każdym z osobna, i zasługi, poświęcenia, cnota w życiu i w śmierci niektórych. Ale ten blask, którego nie godzi się przeczyć ani zasłaniać, nie jest nietylko przechrześciańskim, ale i przeciętnego poziomu chrześciańskiej cnoty nieraz nie dochodzi, a przyćmiony jest nieczystemi i brzydkiemi wyziewami, które parowały i parują z nas zawsze jak z bagna. Naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby swojej korony wystawiał na licytacyę *plus offerenti;* naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby losów swojej ojczyzny puszczał na wolę wszystkich wiatrów, przez *Liberum veto* i zrywane sejmy; naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby zrobił wojny kokoszej przez głupstwo, wojny Zebrzydowskiego przez dumę, wojny Lubomirskiego przez zemstę — naród nadeuropejskiej cnoty, nieszczęśliwy mniemany anioł poświęcenia i ofiary, byłby choć raz poświęcił swoje złe skłon-

ności dla dobra ojczyzny, byłby zrobił ofiarę z dumy i ambicyi w możnych, z płochej podejrzliwości i zawiści w dawnej szlachcie i jej dzisiejszych następcach, z samolubstwa we wszystkich. Naród cnoty nie nadeuropejskiej, ale bardzo poziomej, nizkiej, europejskiej, byłby o sobie myślał, byłby o siebie dbał: nie byłby dał swojej lampie zgasnąć, jak jedna z głupich panien paraboli, kiedy miał czem podsycać jej płomienie. A Ewanielia wcielona przez nas pierwszych w ziemskie dzieje? kiedy — czy za dawnej Rzpltej magnackiej i szlacheckiej, rokoszej i kokoszej, za wojen kozackich i adskrypcyi, za konfederacyi wszelkiego gatunku, aż do Targowickiej? czy po rozbiorach, w Polsce dzisiejszej, już nie magnackiej ani szlacheckiej, ale nie lepszej, takiejsamej! z tą różnicą, że zamiast krzyków na sejmikach, ma krzyki po dziennikach, zamiast śpiącej i ogłupiałej nabożności ma niespiącą ale nie mędrszą bezbożność, zamiast dawnych prywat nowe, zamiast wojny kokoszej, płochy, występny, kokoszy prawdziwie i gęsi gwar stronnictw mniemanych, a zamiast takich czynów mądrości i patryotyzmu, jak rokosz Lubomirskiego, czyny patryotyzmu i mądrości takie jak rok 46! I ten odmęt choćby dobrych chęci, ale krzywych pojęć, myśli niezdrowych, czynów lekkomyślnych zawsze, złych nieraz, a niekiedy brudnych, to ma być wcieleniem Chrystusa w świeckie dzieje? Chyba szyderstwo — chyba mówimy to sobie tak, jak jemu mówiono „witaj Królu żydowski“, kiedy stał w purpurze i koronie, bity w twarz i oplwany, chyba w tem podobieństwo.

O gdybyśmy, którym nasi poeci tyle mówili, żeśmy Chrystusem narodów, gdybyśmy chcieli poprawić sobie ich naukę, a mniemane podobieństwo rozpoczęli od przypomnienia sobie, że ostatnie trzy lata nauczania i cudów, że ofiara Golgothy i chwała zmartwychwstania, nawet w życiu Tego który był Bogiem, poprzedzone były dziesięć razy dłuższem życiem w Nazarecie, życiem skromności, posłuszeństwa, pokornej pracy w warsztacie cieśli, gdybyśmy tę skromniejszą epokę wziąć sobie chcieli za wzór, może byłoby nam lepiej. Gdyby zamiast widzieć się w chwale Taboru i Wniebowstąpienia,

chcieliśmy być cieślami tylko i synami cieśli, może dziś z tej ciesiołki byłoby choć drzew kilka przygotowanych na zrąb naszej chałupy; może bylibyśmy nie głośnymi, zapomnianymi wyrobnikami tylko, ale wyrobnikami prawdziwymi. Dziś wyglądamy jak biedny obłąkany żebrak w domu waryatów, który się ma za króla.

A jak nasza nad-europejska cnota, tak i to nie jest prawdą, żebyśmy nadziei mieli tak wiele, iżby nawet o nią prosić nie było potrzeba, jakoby nam rosły z ramion skrzydła zmartwychwstania. Skrzydeł tych, jak u Cherubinów, jest cztery, a nazywają się: siła, rozum, zacność, a ostatnie poświęcenie; a każde z nich składa się z piór wielu, między któremi jest wiara, praca, liczba, rozwaga, wytrwałość, miłość, i najpiękniejsze z pewnością, jeżeli nie najpotrzebniejsze, czystość, czystość zamiaru i czystość uczynków. Czy my je mamy, te skrzydła? Nasze uczynki, nasze dzieje świadczą inaczej — a jeżeli zbyt boleśnie, może i zbyt surowo byłoby powiedzieć, że one są zupełnie złamane, to przecież i najbardziej zaślepiony, najzarozumialszy musi przyznać, że choć tu i ówdzie świeci to lub owo piórko, to żadne z tych skrzydeł całem, dobrze porośniętem nie jest.

A więc *Psalm Dobrej Woli* jest kłamstwem? a więc cała poezya Krasińskiego, cała tak mozolnie w pocie czoła szukana prawda jego życia jest marnem złudzeniem? bańką wylęgłą w poetycznej fantazyi i w sercu zbolałem, a przez to skłonnem do złudzeń? A więc ten ideał ojczyzny i te wszystkie nadzieje to fałsz? a więc dalej nie wierzyć jemu, nie wierzyć niczemu i w nic? Więc nie słuchać go, a mocniejszego się trzymać pod jakąkolwiek formą i nazwą: dokonanego faktu, przemocy, albo rewolucyi, Katarzyny lub Pankracego, ale nie Krasińskiego, jego ideałów, jego złudzeń, mrzonek i poezyi?

Byłoby drugie złe, gorsze jak pierwsze. Bo jeżeli Krasiński myli się w tem, co jest, to się nie myli w tem, co być powinno. Jeżeli nie ma prawdy kiedy mówi: „Wszystko nam dałeś“, to ma prawdę, kiedy nam każe prosić o dobrą wolę; ma prawdę kiedy mówi, że Bóg „bez nas samych nie

może nas zbawić", że „nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie" — ma słuszność kiedy mówi, że jeżeli zwrócimy się w tę przepaść

„co od początku złych i pysznych grzebie,
„na dnie jej sobie nicestwo pościelem —

ma słuszność kiedy mówi, że „stać tu musim sami" i „wśród tego sądu sami zbawić siebie" — i ma słuszność, kiedy jako o podstawę i o warunek tego zbawienia każe nam prosić o „Dobrą wolę wewenątrz nas samych".

Bo dobra wola, to właśnie to, czego nam brakło zawsze i dziś braknie; dobra wola to rozum, którego nie było w wojnach kokoszych i w rokoszach, to stateczność i wytrwałość, których nie bywało w naszych wojnach, ani w naszych sejmach, to sprawiedliwość, której nie było w naszych sprawach i w naszej organizacyi społecznej, dobra wola wreszcie, to ten duch publiczny, ta miłość ojczyzny większa od miłości własnej, której nie było u nas nigdy, przed rozbiorami ani po nich, w dawnej oligarchii magnatów i anarchii szlachty, czy w dzisiejszej oligarchii i anarchii demagogicznej. Dobra wola, to rzetelność, praca, i dobry obyczaj w życiu prywatnem, to spokój i równowaga w życiu społecznem, to stateczność i jedność kierunku w życiu politycznem, to poprawa i odrodzenie poczęte w każdem z osobna sercu jednego człowieka, i ogarniające coraz dłuższym promieniem koło coraz szersze, aż w końcu ogarnie całość.

Możeż to być, żeby z założenia mylnego wyszła prawda jako wniosek? Są prawdy, jedyne prawdy rzeczywiste, które sobą zostają, zkądkolwiek je wywiedziemy. Gdyby ktoś dowodził źle, że dwa a dwa są cztery, czy przez to mylne dowodzenie prawda arytmetyczna przestałaby być prawdą? Podobnie jest z prawdami moralnemi i politycznemi. W dowodzeniu Krasińskiego są błędy — nadzieja nie sypie się dziś jak kwiat, tak jak dawniej blaski naszego panowania i naszej cnoty nie były tak czyste, tak jasne, jak on je

widział. I cóż ztąd? czy dlatego powinniśmy resztę tych blasków przyćmiewać i gasić? czy dlatego, że w przeszłości, a i w teraźniejszości niestety, nie wszystko w nas czyste i piękne, mamy się brukać i szpecić, zamiast się czyścić i bielić? To dopiero byłaby konkluzya fałszywa. Nie, nie dlatego, żeś nam dał wszystko co dać mogłeś, nie dlatego, że nam rosną skrzydła zmartwychwstania, a nadzieja jak kwiat się sypie, nie dlatego, jakobyśmy jaśnieli jakąś nadeuropejską cnotą — ale dlatego właśnie, że tak nie jest, dlatego, że coś nam dał, to zmarnowane i strwonione, dlatego, że tej cnoty tak mało, te blaski tak przyćmione, że te skrzydła tak z piór odarte i obwisłe, że żadne z drzew około nas nie ma się na kwiat nadziei, i dlatego, że „przepaść, śmierć wieczna pnie się, wzdyma, rośnie, ku nam zmierza“ — dlatego tem bardziej, dlatego tem głośniej, dlatego całą mocą naszego nieszczęścia, z całej głębi naszego upadku

Błagamy Ciebie Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie daj nam serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich, i daj wiekuiste
Wśród dóbr swych dobro — daj nam dobrą wolę.

A wtedy,

Gdy rozgrzmi się już sąd Twój w niebie,
Po nad lat zbiegłych wielu tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Wśród sądu Twego, samych wskrzesić siebie.

Tak trzeba czytać *Psalm Dobrej Woli*, tak go rozumieć, tak się modlić jego słowami, i tak go w życiu stósować, a wtedy, choć nie jest prawdą, że wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie, wtedy ta prawda, niemylna i nieodmienna, jaka w nim jest, że przez dobrą wolę można nabyć wszystko, czego się nie ma, wtedy stanie się ona nietylko absolutną prawdą w abstrakcyi, jaką jest, ale widomą i wcieloną prawdą w rzeczywistości.

Oto jest affirmacya *Psalmów*, oto w najprostszym wyrazie prawda całej poezyi Krasińskiego i całego jego życia. A jeżeli była potrzebna wtedy, po roku 1846, w chwili wielkiej klęski i rozpaczy, kiedy zła wola wydała złe skutki tak obfite i tak widoczne, jeżeli wtedy była ona dla wielu, a była w istocie, pociechą, oparciem, tarczą przeciw zwątpieniu, to nie mniej, może więcej potrzebna jest dziś, wśród nieszczęść większych, wśród rozbicia straszniejszego. A jak się dziwimy Krasińskiemu i liczymy mu za zasługę, że to słowo wiary i odwagi wydobył z siebie w czasach, kiedy one zniknąć miały prawo, tak powinniśmy z niego brać naukę i przykład, przeciągać jego zasługę, krzepić się jego słowem. Bo jest w nim zawsze ta siła odżywcza, a od nas zależy, żeby się w niem znalazła i siła skuteczna, siła zbawcza. Znajdzie się ona wtedy, kiedy to słowo przestanie nam być tylko kordyałem w omdleniu, pociechą w smutku, źródłem nadziei w ucisku i tarczą przeciw rozpaczy, ale kiedy tem wszystkiem być nie przestając, stanie się dla nas zarazem i prawidłem życia.

Że *Psalm Dobrej Woli* jest najpiękniejszym Krasińskiego wierszem, że nigdy jego natchnienie nie przemówiło z większą potęgą, z większym majestatem, to rzecz dawno znana i dowiedziona. Sam *Przedświt* blednie; tam są całe ustępy słabsze i cięższego lotu; tu zaledwo znajdzie się parę słów, któreby się zmienić chciało, mianowicie ołowianej wagi czasownik *ewanieliczyć*. Plamy na słońcu tem widoczniejsze są, że słońce jasne; udawać, że się ich nie widzi, nie zdałoby się na nic, a słońce pomimo nich słońcem być, grzać i świecić nie przestanie. To słońce jest prawdziwe, jasne i ogrzewające, życiodajne jak mało. Głos publiczny, upodobanie powszechne, stawiać się zdaje najwyżej ustęp Bogarodzicy, klęczącej na chmurach z dwoma kielichami w ręku; a zwłaszcza ten, może jeszcze piękniejszy, który się z nim łączy i przechodzi w ostatnią modlitwę zakończenia.

Do wróżb i nadziei *Przedświtu* mają się *Psalmy*, mianowicie dwa najważniejsze: *Miłości* i *Dobrej Woli* jak moralność do wiary, jak katechizm do Ewangielii; to tłómaczy

ich konieczność; to tłómaczy, dlaczego bez nich poezya Krasińskiego, jego zawód i czynność, jego rola, nie poetyczna tylko w literaturze, ale polityczna i moralna w historyi jego narodu, nie byłyby zupełne — to także powód, dlaczego po *Psalmach* poezya jego mogła umilknąć. Cała poświęcona jednej myśli, jednej missyi, spełniła tę missyę, kiedy tę myśl wyprowadziwszy z przeszłości, ukazała jako Przedświt przyszłości, a zarazem ukazała w przystósowaniu do chwili dzisiejszejszej, kiedy powiedziała, jak do świateł tego przedświtu dążyć. Mogła więc skończyć; i istotnie, choć Krasiński jeszcze po ostatnim *Psalmie* pisał, przecież w naszem uczuciu i sądzie, te rzeczy późniejsze są podrzędnemi dodatkami tylko — *Psalm Dobrej Woli* wydaje nam się ostatniem słowem tej poezyi w obu znaczeniach tego wyrażenia.

A przypomnieć trzeba, że jest zarazem ostatniem t. j. najpóźniejszem słowem naszej wielkiej poezyi, i ostatniem, to jest najwyższem naszej poezyi patryotyczo-proroczej, wieszczej. W kilka miesięcy po wydaniu tego *Psalmu* umierał Słowacki, który w ostatnich latach błąkał się w messyanizmie i mistycyzmie i nic pięknego już nie pisał, Mickiewicz milczał oddawna i na zawsze; Krasiński odezwał się jeszcze parę razy, ale rzadko tylko i urywkowo. Wielka epoka naszej poezyi, otwarta w r. 1822 przez *Grażynę* i *Dziady*, zamyka się w r. 1848 *Psalmem Dobrej Woli*. Ten przeciąg lat obejmuje w sobie wielką i ważną część naszego porozbiorowego życia, którego różne koleje i zmiany odbijają się w tej poezyi. Zrazu to na gruncie rzeczywistości narodowego życia, uczucie narodowe coraz silniejsze, coraz gorętsze, dążenie do niepodległości coraz gwałtowniejsze, siły życia i siły uczucia idą w górę — to na polu wypadków w złą porę podniesiona, ale jędrna wojna roku 1830, na polu poezyi Mickiewicz. Potem warunki życia zmieniają się okropnie, z obiecujących stają się straszne; w kraju Mikołaj, na emigracyi wszystkie zarody społecznego rozkładu. Uczucie narodowe w tych warunkach nie słabnie, owszem wzmaga się; ale się wzmaga siłą nerwową, chorobliwą. Przez ogrom cierpienia wpada w mistycyzm, wytęża się całe na niedostępne ludziom prze-

czucie, przewidzenie przyszłości. Z tego natężenia Mickiewicz wpada w mniemanie proroctwa, sądzi mieć objawienie od Boga. Krasiński, wytężony w tym samym kierunku, utrzymuje go w większej trzeźwości. Naturalnie o zupełnej jasności i trzeźwości mowy być nie może tam, gdzie człowiek przeczuwa i tłómaczy zakryte sobie zamiary Boga. Ale trzeba było takiego umysłu badawczego i logicznego jak on, żeby w tym mistycyzmie samym zachować tyle jeszcze ścisłości i trzeźwości; trzeba było wiary religijnej bardzo utrwalonej i stałej, żeby z mistycyzmu nie przejść w mniemane objawienia. To też ten kierunek przyszłościowy i wieszczy, który Mickiewicza doprowadził do wizyi (w *Dziadach*), a do złudzeń i błędów w messyanizmie, u Krasińskiego pomimo niektórych złudzeń, pomimo „Chrystusa narodów", pomimo „wszystko nam dałeś", jest jaśniejszy w swoich wywodach, a prawdziwszy w swoich konkluzyach, bo skierowany zawsze do kwestyj praktycznych, do moralności politycznej; on obiecuje wiele, ale warunkowo. A kiedy doszedł wreszcie do tego co miał za prawdę dziejów i to wypowiedział w *Przedświcie*, wtedy złe jątrzące się oddawna pękło, objawiło się rzezią, a zostawiło na długie lata zarody nienawiści i rozkładu. Jak rok 1831 był klęską polityczną, tak r. 1846 był klęską społeczną — nieszczęście było zupełne. Co potem jeszcze zostawało! nic, tylko porządek moralny do ratowania po upadku tamtych dwóch; i w istocie na tem polu jednem, tamtych dwóch można było bronić i starać się je odzyskać. To wskazała poezya Krasińskiego w dwóch ostatnich *Psalmach;* uwierzyła sama i kazała wierzyć w przyszłość, ale kazała prosić o dobrą wolę. Odbyła więc z narodem cały ciąg dziejów od 1831 do 1848 r.; ciągle w tę jedną stronę przyszłości zwrócona, była poezyą przyszłości stalej i statecczniej, jak poezya Mickiewicza; przeprowadziła swoją myśl konsekwentniej, począwszy od wywodów historycznych, skończywszy na przystósowaniu praktycznem, była od tamtej trzeźwiejsza, zupełniejsza, i w swoich konkluzyach trafniejsza. Zbytecznie mówić, że była, z wyjątkiem Mickiewicza jednego, poezyą najwyższego w Polsce natchnienia. Wszyscy inni

z niej czerpali, z niej pożyczali myśli, uczucia wiary i nadziei. I dlatego, czy Krasiński miał słuszność, czy się mylił, w to nie wchodząc, można twierdzić smiało, a raczej twierdzić trzeba, że jak *Widzenie* ks. Piotra było pierwszem słowem naszej poezyi patryotycznej i przepowiadającej, wieszczej, tak jej słowem ostatniem i najwyższem jest poezya Krasińskiego, a mianowicie *Psalm Dobrej Woli.*



ROZDZIAŁ XI.

Ostatnie pisma i lata.

I. Koniec roku 1848. Wiersz Vindobona. Sąd o wypadkach. O stanowisku Polski względem wojny węgierskiej. O jej ogólnym stanie i przyszłości. Upadek zdrowia. Mieszkanie w Heidelbergu i Badenie. Śmierć Słowackiego. Zima z roku 1849 na 50 w Warszawie. Powrót do Niemiec. Zmiana w usposobieniu. Życie rodzinne. Żona. Choroba syna. Przyjaciele. Włodzimierz Czacki. List o Czajkowskim. Drugie cesarstwo we Francyi. Zima 1851—52 w Rzymie. II. Początki *Niedokończonego Poematu*. Jego znaczenie. Powody jego błędów. Treść. Aligier. Piekło i czyściec dni dzisiejszych. Księżna Rahoga. Pasmo dziejów i ich wykład. Starożytność. Chrześciaństwo. Przyszła epoka. Pankracy i Aligier. Piękności, usterki, trwała wartość poematu. III. Wiersz do Elizy. Inne wiersze do żony. Trzy miłości w życiu Krasińskiego. Ich różny charakter. Miłość żony. Poezya miłosna Krasińskiego. Jej cechy i stanowisko w literaturze. Glossa św. Teresy. *Resurrecturis* IV. Przewidywania wojny Wschodniej. Zima w Warszawie. Urodzenie drugiej córki. Wojna i nadzieje. Memoryał dla Napoleona III. Śmierć Mickiewicza. Jego pogrzeb i list Krasińskiego o jenerale Zamoyskim. Kongres Paryzki. Nowa polityka Rosyi. Jej niebezpieczeństwo. Zima w Paryżu. Lato 1857 w Potoku. Śmierć córki. Wpływ na zdrowie. Ostatnie wiersze. Ostatnie listy o Polsce. Pobyt w Plombieres. Napoleon III. Cavour. Postęp choroby. Zamierzona podróż do Algieru. Śmierć ojca. Ostatki życia i zgon.





Zygmunt Krasiński
podług fotografii z roku 1856

I.

Koniec roku 1848. Wiersz Vindobona. Sąd o wypadkach. O stanowisku Polski względem wojny węgierskiej. O jej ogólnym stanie i przyszłości. Upadek zdrowia. Mieszkanie w Heidelbergu i Badenie. Śmierć Słowackiego. Zima z roku 1849 na 50 w Warszawie. Powrót do Niemiec. Zmiana w usposobieniu. Życie rodzinne. Żona. Choroba syna. Przyjaciele. Włodzimierz Czacki. List o Czajkowskim. Drugie Cesarstwo we Francyi. Zima 1851—52 w Rzymie.

Przyszła tymczasem jesień roku 1848. Wypadki rozwijały się dalej, a smutno. Na ziemi polskiej rozruchy, łatwo stłumione, skończyły się prędko. Ale w Paryżu anarchia wciąż usiłowała wziąć górę, aż doprowadziła przez prezydencyę księcia Ludwika Bonapartego, do rządów osobistych na wojsku opartych, w dalszem następstwie do cesarstwa. We Włoszech wojna Sardynii z Austryą, a Rewolucya panująca i tryumfująca w Rzymie. Na Węgrzech wojna, a w Wiedniu rewolucya, i wojska cesarskie idące na zdobycie cesarskiej stolicy. Zarody dobrego, jakie w ruchu ówczesnym być mogły, nadużyte, wyzyskane i zmarnowane przez rewolucyjne siły, a zagrożone stłumieniem i zniszczeniem przez reakcyę despotyzmów rządowych. Walka dwóch potęg złych; a jej koniec, zwycięztwo jednej czy drugiej strony, musi być nowem złem i nieszczęściem dla świata. Nadzieje, jakie w początkach owego roku i ruchu, mimo obaw i złych przeczuć, utrzymywały się czas jakiś, musiały runąć. Teraz już jasnem było, że nie wolność, nie sprawiedliwość, nie postęp świata wyjdzie cało i zwycięzko z zamętu zdarzeń, ale to właśnie, co w jednej czy drugiej formie jest ich wiecznem przecze-

niem i wrogiem. Kto zaś najprawdopodobniej wyjdzie na tem dobrze i zyska? Ta siła, która jedna nie zachwiała się w tych wypadkach, a przez zachwianie wszystkich innych silniejszą się stawała — Rosya.

Nieprzyjaciel rewolucyi i nieprzyjaciel takich rządów jakie podówczas były, uważający je za dwa różne kształty tegosamego ducha i pierwiastku, wyznawca i sługa najżarliwszy postępu i porządku pod Bożem prawem, i wedle Bożej myśli, Krasiński widział w tym obrocie zdarzeń, spełnienie wszystkich swoich złych przewidywań, odwłokę na całe może nowe okresy historyi, spełnienia swoich nadziei. Sposępniał też jeszcze bardziej (jeżeli to być mogło). Sprawiedliwości nie mógł nie widzieć i nie uznawać w tem co się działo; ale to dopiero „nowe zbrodnie przychodzące karać dawne“, i dawne wracające żeby nowe ukarać. „Iskry z czarta kuźni nie przepaliły jego mocy“ tylko, jak poeta przestrzegał „w gorszą noc świat wepchnęły“. Kiedyż w tej nocy ukaże się jaki brzask? kiedy zaniesie się nie już na zwycięztwo dobrego, ale tylko na świadomość, że tylko ono prawdziwie zwyciężyć jest zdolne?

W tej goryczy pisane są (nieliczne) z tego czasu wiersze. Ten bez tytułu naprzykład, którego każda zwrotka kończy się słowami „nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje“ — i wspaniały, w październiku roku 1848 pisany wiersz *Vindobona;* tem dziwny, że uczucie historycznej sprawiedliwości, kary spadającej na Austryę za grzechy przeszłości, nie miesza się z żadną choćby najbardziej usprawiedliwioną namiętnością.

Jaki zaś jest u tego poety zmysł i rozum polityczny, to daje się dobrze poznać w tym czasie właśnie i po jego sposobie pojmowania spraw austryackich i ich stosunku do Polski. Ma on do Austryi nienawiść, jako do jednego z państw rozbiorowych; prócz tego ma do niej wstręt, jako do państwa (podówczas) despotycznego i policyjnego, i do tej polityki tradycyjnie nieśmiałej, zbyt ostrożnej, którą Austrya wiele razy w historyi drugim i sobie szkodziła. Nad temi uczuciami wszakże bierze u niego górę rozum, który mu

wskazuje interes Polski albo jej niebezpieczeństwo; i w wojnie węgierskiej, kiedy uczucie i opinia całej Polski stoją po stronie Węgrów, kiedy do ich wojska idą tłumnie ochotnicy polscy w najszczerszem przekonaniu, że swojej sprawie służą tem najlepiej, Krasiński jeden upomina i tłómaczy, że osłabienie Austryi musi w nieuniknionem następstwie obrócić się na korzyść Rosyi i torować drogi przed jej panowaniem, przed panslawizmem. Jenerałowie i oficerowie z emigracyi prawie wszyscy pośpieszyli do Węgier; książę Adam Czartoryski, jeżeli ich nie zachęcał, to przynajmniej nie wstrzymywał. Jednym, który próbował wstrzymywać, był Władysław Zamoyski, z tychsamych co i Krasiński powodów. Stanisław Małachowski, oficer z roku 1830, a zapalny i do porwania łatwy, widocznie wybierał się także; sądził, że tam na Węgrzech, jego miejsce i jego powinność. Wtedy zatrzymuje go Krasiński. Oto, co pisze z Badenu 5 grudnia 1848.

„Nie łącz się sam, ni komu nie radź też, by się łączył „z Węgrami!... Ktokolwiek w tej chwili żąda rozbicia zupeł„nego, ostatecznego austryackiej monarchii, krótkowidzem „jest i ściele drogę Moskwie! Narody składające Austryą, „samopas puszczone, bez związku dynastycznego, takowym „ludom młodym potrzebnego, wpadłyby w chaos, a po chao„sie w wynik chaosu wszelkiego, w niewolę! Jeśli carowi „kto sprzyja, niech idzie się z Węgrami łączyć, bój albo„wiem węgierski niczem innem, tylko otwieraniem wrót euro„pejskich carowi. Polska zaś powinna sprzyjać Słowianom „austryackim, ale w taki sposób, by nie ich błaźnicą, lecz ich „została królową; na to, nie powinna z ich wrogami śmier„telnymi, z Węgrami i Kossutem, trzymać, owszem powinna im „pomódz do przekształcenia Austryi na słowiańską... Idzie „albowiem o utworzenie anti-moskiewskiej federacyi plemion „słowiańskich, na której mogłaby oprzeć się Polska, jedyna „dotąd reprezentantka Słowiańszczyzny anti-moskiewskiej“.

Myśl tasama powtarza się wiele razy w jego ówczesnych listach, i łączy się naturalnie z sądem o ogólnym sta nie Polski, z przewidywaniem przyszłości koniecznie złej w czasie blizkim, lepszej kiedyś dopiero, późno, po gorszych

jeszcze klęskach i upadkach. Dwie potęgi napozór sobie przeciwne, na prawdę tejsamej natury, rewolucya i państwo na pogański sposób pojęte i działające, choć z sobą wojujące, jej zarówno połączonemi siłami zgubę gotują; a ona kiedy z własnego chrześciańskiego stanowiska schodzi, a przechodzi na jedno z tamtych, pomaga tylko do własnej zguby, własnemi rękami kopie pod sobą przepaść, i „na dnie jej sobie nicestwo pościele". Takie pojęcie rzeczy wyłożone jest wiele razy i bardzo dokładnie w listach; przytaczamy niektóre z nich, najwyraźniejsze, ustępy.

(Do Małachowskiego, 26 listopada 1848). „Wszystko to „co ty mówisz, pozornem tylko; to frazesa, bo nawet i tego „niema, by *czerwoni* mieli być mniej oświeconymi, zatem „mniej winnymi od tamtych czarnych! *Nego majorem*, bo „*czerwoni*, powiedz mi, czy to lud? Właśnie, że nie lud, jedno „menerowie ludu! Lud nieoświecony, a zatem niewinny, tylko „*środkiem, narzędziem, orężem* ich, *kartaczami* ich; oni zaś „sami oświeceni, a zatem i winni, zarówno winni jak tamci „*czarni* reakcyjni, bo zarówno oświeceni, nawet bardziej, „sami tak głoszą, że bardziej. Spytaj się Proudhona, czy się „nie ma za mędrszego od Buganda? Spytaj się ateistów nie„mieckich, czy się nie mają za filozoficzniejszych od Win„dischgraetza lub Wrangla? Lud, właśnie dla tego, że nie„winny i nieoświecony, takiem strasznem jest narzędziem „w ręku tych *oświeconych szkarłatnych*, bo nim rządzą, jak „elektrycznemi prądy i puszczają go w świat, jak lawę; a na „to, by *lud* się ten rozjudził i rozzwierzęcił i do mordu do„szedł, kłamią mu, pychę w nim rozbudzają, sami cichaczem „nim gardząc i kpiąc zeń, bo im, tym oświeconym, tym me„nerom, chodzi o władzę i przemoc i gwałt. Z obu stron „więc widzę oświeconych: jedni mają kartacze, drudzy uży„wają za narzędzie lawę, elektryczność, ocean, powódź lu„dową. Powiadam że drudzy niebezpieczniejsi i gorsi! pierwsi „albowiem, żeby i pragnęli całem sercem, nigdy absolutyzmu „nazad nie wprowadzą do Europy, nie sposób; drudzy, gdyby „się im udało, a może się udać, prędkoby ujrzeli się z ra„dykalizmu i ateizmu przeprowadzonymi do komunizmu i roz-

„wiąży społeczeństwa ludzkiego, do barbarzyństwa! Ócz nie „posiada, kto nie widzi tego. Największym błędem ludzi jest „myśleć, że na tem się *kończy,* czego oni *pragną;* nigdy — „kończy się zawsze na *tem,* czego oni nie *widzą* i nie *pra-„gną.* W ruchu, w którym *radykalizm* poczyna, nie on, ale „komunizm kończy.

„Tom wyrzekł jako człowiek, teraz mówić będę jako „Polak. Demagogią zginęła Polska; tem się nie wstaje z grobu, „czem się doń wstąpiło. Demagogia najśmiertelniejszym wro-„giem Polski, bo pierwiastek demagogiczny jest pierwiastkiem „rozdziału, rozbioru, niszczenia; my potrzebujem spójni, zgody, „skupienia. Ilekroć więc łączym się z elementami demago-„gicznemi, nonsens popełniamy logiczny: czynim jak czło-„wiek, któryby chorobę pomnażał wroga swego, a zaraźliwą, „tak, że w końcu dostałby jej sam i umarł z niej; pięknieby „wyszedł. Kossut jest jednym z tych menerów niepoczciwych, „a bardzo oświeconych, o których wyżej wspomniałem: śni „mu się korona lub prezydentura węgierska; terrorystą z na-„tchnienia i potrzeby źle pojętej jest, a w końcu i z natury, „bo są ludzie, co się rodzą tygrysami! Z nim się łączyć „Galicyi, było tyle co chcieć nowej rzezi w ostatecznym wy-„niku, a w końcu końców komunizmu. A wiesz czego na-„reszcie, gdyby Kossut mógł zwyciężyć? Oto wcielenia do „Węgier, i gorszego w nich zniknięcia, po rzezi i komuni-„zmie odbytym, niż w Austryi, która nikogo pochłonąć nie „potrafi".

„Wiesz, chcesz wiedzieć ostateczne zdanie moje? Oto „w istocie piekielny zawrót mózgowy, zaraza umysłowa, z py-„chy i grzechów wielu rodem, owiała Europę, klęsk nieskoń-„czonych wisi chmura nad nią. My Polacy, jak dzieci spar-„tańskie, powinnibyśmy patrzeć na europejskich wichrzycieli „jak na pijanych Ilotów, i zbrzydzić sobie anarchią! a wtedy „na ruinach świata odnaleźlibyśmy się jedynym zacnym na-„rodem, i wtedy wszystkie potęgi piekielne, czy te czy owe, „przełamali! Szlachty obowiązkiem *demokracya,* to jest pod-„niesienie ludu, ale to czynem; nie zaś *demagogia,* gębą, „wrzaskiem".

„Całą sztuką dla tych, co chaos chcą przetrwać i na „drugiej stronie jego odżyć: podczas niego utrzymać się przy „społecznem węźle, nie rozpaść się wewnętrznie, nie rozłożyć „się chemicznie; bo kto się podczas chaosu rozłoży tak, ten „nie wyjdzie zeń ani cały, ani żaden — zaginie! Kiedyś „o nim będą piosnki może śpiewać, ale już on po ziemi cha- „dzać nie będzie i niczyje oko śmiertelne go nie obaczy! „Smutno mi bez miary, smutno dla wszystkich, których ko- „cham, smutno dla całej ludzkości. Wszystko zda się, przy- „sięgło sobie, że miłą jest rzeczą samobójstwo, byleby się „wykrzyczeć przed zgonem“.

(Do Trentowskiego 5 października). „Póki demagogii, „póty ojczyzny nie będzie! Wszystkie frazesa próżne. Dom „w sobie rozdzielony nie może zwyciężyć! Bogobojnych uczy „słowo Boże, rozumnych i mądrych rozwaga *a priori,* dzieci „zaś uczy tylko empiryczne doświadczenie o nożu że kraje, „o ogniu że pali, o dziejach że w nich włada Opatrzność „a nie głupstwo i znarowione chęci! Centralizacya jeszcze „nam klęsk spuści potop, nim się przekona sama, że nie trafi „nigdy do celu. Zelatory to hebrajskie!

„Smutno mi nadzwyczaj, ale darmo, na ostatniej desce „rozbitego okrętu jeszcze wołać będę: „Polska a zacność, „Polska a bożoczłowiecza cnota“; i jeżeli trzeba się zatopić, „zatopię się tak, a wiem i wierzę, że choćby nikt już na „oceanie nie był widnym, jedno pustynia wód, z fal wstaną, „z piany morskiej wstaną w tchu Bożym prawi Polacy „i krzyk ten wznowią! I będzie Polska, będzie i wielka „i święta mimo mistyki i demagogi i Jezuity i t. d. i t. d. „Będzie — lecz może, jak ci mówię, na onych dopiero bał- „wanach, pod któremi my leżeć będziem, życia obarczeni „smętnem wspomnieniem i ciężarem dyszących głębi po nad „nami! Amen“.

(Do Trentowskiego). „Równością nienawiści wielką „i miarową nienawidzę i czarnych i czerwonych, bo mam ich „zupełnie za tosamo. Tak dalece są *temsamem,* to jest *złem* „szatańskiem, uosobionem w ludziach, że jedni drugich wie-

„kuiście płodzą i tak sobie koniecznie odpowiadają, jak „akkorda logicznie następne w generał-bassie.

„I ja też, jako ty, czuję, czuję, że chciałbym się za„mknąć np. widnokręgiem Tebaidy jakiej, i żadnego brudu „się nigdzie nie dotknąć! Ale, ale prawdziwe Boże człowie„wieczeństwo, to żyć śród brudu, działać śród brudu i zbro„dni, a nigdy samemu się nie skalać ni przerażeniem, ni „wściekłością uniesienia. Jeden tylko Chrystus na tym pla„necie absolutnie tak żył, tego dopełnił, po tem poznaję, że „Bóstwo w nim! O partye! o fakcye! o brak poświęcenia! „o pychy ludzkie! o próżności i krewkości koło władzy „i sławy! o chciwostki i drapieżności! o ojczyzno zapo„mniana! o ludzkości nie postawiona jeszcze! o honor zapo„mnian a cnota nie powstała jeszcze! a więc i bez ojczyzn „i bez ludzkości, i bez honoru i bez cnoty! To dzień dzi„siejszy! prawdziwie diabeł w człowieczeństwie! a to, powia„dam ci, wszystko dopiero początki *boleści!* Wierz mi, ludzie „wołać będą do pagórków i skał „obalcie się na nas i daj„cie zgon“, a nie będą mogli zginąć i patrzeć będą, co to „za skutki, gdy do Królestwa Bożego biorą się ludzie hipo„kryci, znający tylko imię królestwa tego, tem imieniem po„ruszający planetarne potęgi, bo na to imię wszechstworzenie „musi się wzruszyć, a nieumiejący potęg tych prowadzić „i stroić, bo bez cnoty są sami, a tylko cnota temi potęgi „rządzi!“

(Do Trentowskiego 3 grudnia). „Mamy robaka nieśmier„telnego w sobie, robaka, który nas wewnątrz toczy, i do„póki się odeń nie uwolnim, daremne będą wszystkie nasze „zachody na zewnątrz! Człowiek w sobie krajany i otru„wany, nie może zamachów rzeczywiście dzielnych wymie„rzać przeciwko drugim ludziom! Wrogi nasze używają de„magogii naszej jako najsprężystszego środka zguby dla nas, „i kiedy ją wpuszczają do kraju, bądź pewny, że nie na to, „by sentymentalnie wygnanych witali ziomkowie, ale na to, „by tych ziomków do reszty zanękali ci panowie! O my nieo„baczni! o wszystkiem rozprawiacze, tylko nie o tem, że na„leży o Ojczyźnie Polskiej mało gadać a działać, nie rozpra-

„wiać ale wziąć się do porządku! O my biedni! wszystkich „odwag bohatyry, prócz jednej, prócz odwagi obywatelskiej; „pójdziem Wiednie i Berliny barykadzić, a u siebie nie roz-„deptamy hydry! Drugich leczyć chcemy, a sami konamy! „światu przynieść wolność, a samiśmy niewolnicy, i to nie „tych Trzech, bo ci Trzej to już Bóg sobie z nimi radzi „i poradzi, ale nas samych niewolnicyśmy właśni swoi! Do-„póki demagogii stanie, dopóty Polski nie będzie!

„W Rzymie „obrzydliwość spustoszenia na świętem „miejscu“ jako w Piśmie stoi! Całe miasto radujące się bez-„czelnie, to jest dozwalające się radować bezczelnie niego-„dziwej mniejszostce terrorystycznej, ponad trupem zamordo-„wanego Rossego, człowieka znakomitego w europejskich dzie-„jach tego stulecia! Co za ubytek zmysłu moralnego! Potem „szturm przypuszczony do pałacu bezbronnego starca, który „ich błogosławieństwami obsypał i tylko dobro przyniósł. „Sterbini, zabójca, ministrem ogłoszon, i tryumfalnie nad cia-„łem zamordowanego poprzednika. Jak to bezdennie pogań-„skiem! niechrześciańskiem! Wierz mi, to stronnictwo pod-„ziemne, rozgałęzione wszędy, wszędy do mordu powołujące „lud, i tylko gwałtu się domagające, zepchnie ludzkość „z wstępnego toru, jeśli wprzód go Bóg sam gromami swemi „nie rozdruzgoce w proch! Ludzkość XIX wieku w niebez-„pieczeństwie!“

(Do Trentowskiego z 10 stycznia 1849). „Nie wiem „jeszcze kiedy wyjadę, chorym i smutnym jak ty! Tyle „klęsk widzę przed oczyma; tyle szyderskich śmiechów sza-„tańskich słyszę, poprzedzić mających uśmiech anielski na „ustach wybawionej ludzkości; tyle dni i lat spostrzegam, „dzielących nas jeszcze od królestw Bożych na ziemi; taki „wiew mroźny zalutuje mnie od lodów Sybiru, taki znów „krwią przepachły od zachodnich rozstrojów: że czasem, by „nie rozpłakać się łzami ócz, muszę klęknąć i rozpłakać się „łzami duszy — to jest modlić się do Boga!“

A potem wszystkiem taki gorżki zwrot do siebie samego, do daremności i marności prac całego życia, choć

w nich była słuszność, i prawda, i miłość rzetelna, zupełna, czysta.

„Ach! wołałem, wołałem, wołałem! Kto mię słuchał, „kto usłucha? Jednym próżność w sercu, drugim strach! „trzecim pijaństwo! zaraza! umysłowy odskok od wszelkiej „cnoty i zacności! poprostu zwaryowanie! Darmo, darmo! „Świat dopiero się przebudzi, gdy skona pod karą Bożą! „Wtedy dusza świata pocznie płakać i mówić: „a gdzieżem „ja, a gdzieżem, a cóż się stało zemną, żem taka naga „i w ciemności zapadła — o Boże mój co to jest!“ Wtedy „to się stanie, gdy już społeczeństwa nie będzie na ziemi! „gdy zwilczeją i ztygrysieją ludzie! gdy co zacność, cnota, „piękność, wspaniałomyślność, litość, niepojętemi pojęciami „się staną, przecież to metafizyką niezrozumianą dla zwie„rząt! O Boże, Boże święty! daj, by Polska Ojczyzna była „korabiem na falach nowego potopu! Trzy były potopy: Je„den natury: woda. Drugi z ludzi dzikich złożon: barba„rzyńcy. Trzeci będzie z idealnych pomyłek, z umysłowych „obłąkań, ateizm, mężobójstwo, i pycha“.

W takiem uczuciu, kilkoma laty pierwej, skarżył się Kajsiewicz, że już mu „życie się przykrzy, głos mu zachrypł, i ścierpły mu szczęki od daremnego upominania“. — W takiem uczuciu przed dwoma i pół wiekami wołał Skarga: „cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo!“

Smutki te nie mogły nie odbić się na zdrowiu Krasińskiego: coraz też ono gorsze. Dla blizkości lekarza, do którego miał zaufanie, Cheliusa, dla ustronnego życia w ładnym i miłym kraju, lubi teraz Krasiński przebywać w W. Ks. Badeńskiem, w Heidelbergu (przy lekarzu), albo w samym Badenie. Tam ściągają przyjaciele i krewni, żeby go staraniem otoczyć, pocieszyć, rozerwać; ale i tam spokojnie przebywać nie można. W Badeńskiem rewolucya, w ślad za nią wojsko pruskie; ledwo skończyła się zima roku 1849, musiał poeta z żoną i dziećmi chronić się przed zaburzeniami do Szwajcaryi. Tu, w Bernie, znowu choroba tak ciężka, że go z sił wyniszczyła, zgarbiła, do starości przedwczesnej zbliżyła; a gdy się spodziewał i zdrowie przy pomocy Cheliusa po-

prawić i spokojnie siedzieć w okolicy którą lubił, stanął mu na przeszkodzie cesarz Mikołaj. Przedłużenia paszportu odmówiono; trzeba było wracać do Warszawy.

W ogóle z tego roku 1849 listów niewiele, a te co są, zwykle niedługie: choroba zapewne była tego przyczyną. Wzmianki w nich częste o Papieżu w Gaecie i o rewolucyi w Rzymie, o wojnie węgierskiej (z takiem uczuciem i przekonaniem, jakie widzieliśmy wyżej); wzmianki niechętne raczej, ironiczne, o Prezydencie Rzeczypospolitej francuzkiej księciu Ludwiku Bonaparte. O Towiańczykach i Towiańskim cokolwiek, niechętnie; a tu i owdzie wtrącone imie Mickiewicza; oto podobno wszystko, co się w ciągu tego roku znajdzie. Z jednym tylko dodatkiem. Na wiosnę 3 kwietnia, umarł Słowacki. Smutno i rzewnie wspomina Krasiński o tej śmierci; wspomnienie dawnej przyjaźni, współczucie dla smutnego i znękanego, odezwały się w tej chwili. Ale opinia o człowieku znać nie zmieniła się mimo śmierci. W kilka lat później, po śmierci Mickiewicza, Krasiński zapomni o wszystkiem co mu w życiu zarzucał, a odezwie się z dawnym serdecznym podziwem, z gorącym żalem. Śmierć Słowackiego, dobywa z niego tylko rzewne pożałowanie dla biednego Juliusza. Warto zapisać i zapamiętać, że w tych ostatnich latach, mimo *Listu do autora Trzech Psalmów* i mimo *Psalmu Żalu*, Krasiński, wiedząc, że Słowacki bywał często w potrzebie, że matka nie zawsze mogła regularnie dosyłać mu zasiłki, wspomagał tego niegdyś przyjaciela, a później niestety potwarcę swego, stale, a tak skrycie, że Słowacki nigdy się nie domyślał, zkąd mu ta pomoc przychodziła.

Z Warszawy naturalnie listów bardzo mało, prawie nic. Nietylko z obawy, że mogą być przejęte i czytane, ale i z powodu zdrowia. Oprócz choroby, nurtującej cały organizm, był i ból oczów tak silny, że lekarze bojąc się utraty wzroku, zabronili Krasińskiemu wszelkiego czytania i pisania. Do wszystkiego więc, co go zawsze w Warszawie dręczyło, przybyła jeszcze ta dodatkowa przykrość, przymusowa bezczynność. Trwało to długo. Pani Krasińska spodziewała się sła-

bości, mąż nie chciał przedtem od niej odjechać. W końcu lipca dopiero (1850) powiła córkę[1]). W Sierpniu ojciec udał się za granicę, do Cheliusa naprzód po radę, następnie do kąpiel morskich. Na jesień wrócił do Heidelbergu, gdzie spotkał się z żoną i dziećmi. Tam, po części w Badenie, zeszła zima i część lata 1851, bez żadnego ważniejszego zdarzenia, z wyjątkiem niebezpiecznej choroby starszego synka (w kwietniu 1851). Uzdrowienie tego dziecka wywołuje w nim radość, uszczęśliwienie, jakich się przedtem nigdy może u niego nie widziało. W namiętnych uniesieniach szczęśliwej miłości, jak wiersz do Aniołów, przebija zawsze głęboki i gorzki smutek: teraz słyszy się tylko błogość, wdzięczność dla Boga, dla lekarza, wdzięczność, współczucie i podziwienie dla żony. O sobie mówi tylko: „nie wiedziałem sam, że „go tak kocham: gdy tę twarzyczkę ujrzałem w cieniach „śmierci, zdało mi się że wszystko umiera“ (do Małachowskiego 19 kwietnia 1851).

W ogóle życie rodzinne znaczy teraz w jego życiu nierównie więcej aniżeli w pierwszych latach, a usposobienie okazuje się bardzo zmienionem. Dawniej bywały w listach krótkie tylko i suche wzmianki o żonie, kiedy były koniecznie potrzebne; teraz w każdym liście spotyka się jej imie, często po razy kilka, a ton jest inny. Lody stopniały, upory i uprzedzenia widocznie znikły. Zmiana ta daje się dostrzegać już od lat paru, od roku 1847 lub 48; a utrwala się i wzrasta ciągle. Imię pani Delfiny Potockiej zjawia się nieraz; są to polecenia do przyjaciół, żeby jej jaką sprawę załatwili, albo jaką radę dali, albo, żeby donieśli jak się ma i co robi; wszystko to w życzliwem, przyjaznem uczuciu, ale z tych słów niktby nie poznał, że to o tej mowa, która niegdyś nazywała się Beatrice. Zmiana i względem innych osób także. O krewnych żony, poeta dawniej wyrażał się z chłodną i sztywną przyzwoitością; teraz rad jest kiedy do niego przyjadą, wspomina ich często i dobrze, bierze żywo

---

[1]) Marya Beatrix, zaślubiona Edwardowi Raczyńskiemu w r. 1877, zmarła 1884 r.

do serca ich zmartwienia lub niepokoje. Pod tym względem rodzinnych i przyjacielskich stosunków, te kilka lat spędzonych w Badeńskiem, musiały być szczęśliwe i miłe. Choremu, potrzebującemu towarzystwa i starań, żonie potrzebującej wyręczenia i pomocy, śpieszył z tą pomocą chętnie, kto tylko mógł. Widzi się też prawie bez ustanku siostry lub braci pani Krasińskiej, czasem starszych krewnych, jak pani Arturowa Potocka; Jenerał przyjeżdża do syna kiedy tylko może; a starzy przyjaciele, Gaszyński, Małachowski, Cieszkowski, Sołtan, mieniają się przy nim i luzują jeden drugiego. Sołtan, umyślnie z Prus królewskich przybyły, zdziwiony jest i przestraszony zmianą, jaką w Krasińskim zobaczył: „zmiana ogromna, nie do poznania! zestarzał się, osiwiał“ (Listy tom II, str. 394). Przebywa tam i pani Załuska, najdawniejsza, najzaufańsza może z przyjaciół, prawie przybrana siostra poety [1]).

To grono przyjaciół powiększyło się, lub rychło powiększy, jednym, najmłodszym ze wszystkich, najpóźniejszym, ale nie najmniej kochanym. Włodzimierz Czacki, w szesnastu latach nawiedzony chorobą, która go nie opuściła do śmierci, szuka poratowania zdrowia, u wód i lekarzy zagranicznych. Zrazu wyjeżdża z kraju na krótko tylko, na kuracyę; ale niebawem lekarze oświadczają, że jeżeli zostanie w zimnym klimacie, to musi do paru lat umrzeć, w skutku czego matka wyprawia go za granicę, na zawsze. Przez ojca blizki krewny Krasińskiego, przez matkę pani Krasińskiej, przyszły nuncyusz papieski w Paryżu i kardynał, umysł jeden z najbystrzejszych i najbardziej politycznych, przy sercu nietylko gorącem ale gorejącem, spędza zimy we Włoszech, w Rzymie, w pałacu Odescalchi: przez lato stara się być na kuracyi tam gdzie Krasiński, a przynajmniej od niego niedaleko, i przy nim jak się da najwięcej. Dla chłopca niezmiernie

[1]) Amelia z Bronikowskich, córka Jenerała B., urodzona z Krasińskiej. Sierota bez ojca i matki, chowała się w domu Jenerała Krasińskiego, który był jej opiekunem. Urodzona w r. 1804, wyszła za mąż za hr. Romana Załuskiego w roku 1822.

obdarzonego, a z wyobraźnią bardzo żywą i z uczuciem aż prawie namiętnem, łatwo zgadnąć, jakiem szczęściem musiał być stosunek z autorem *Przedświtu* i *Psalmów*. Cóż dopiero stosunek poufały, serdeczny! nieustająca zamiana myśli, i ciągły wpływ takiego jak Krasiński umysłu. Że ten młody chłopiec doszedł rychło, nie do przywiązania, ale do uwielbienia, do fanatyzmu Krasińskiego, to nic dziwnego; i w uczuciach tych nie zmienił się do końca. Zrazu, w tej pierwszej młodości, pisywał nawet wiersze na wzór *Przedświtu* i *Psalmów* (których nie ogłaszał). Grunt zaś i rdzeń jego pojęć i zasad politycznych, kierunek jego charakteru, jego dążności i działań, te uformowały i ustaliły się niewątpliwie pod wpływem Krasińskiego, na nim się wykształciły. Co byłoby dziwnem — gdyby młodzieniec był mniej wyjątkowo obdarzonym — to, że ten człowiek dojrzały, sławny, wielki, nietylko lgnął do młodzieńca, ale mu nieraz ulegał, jak żeby równemu sobie. Naoczni i najbliżsi świadkowie mówią, że przyjaciele starsi rzadko kiedy śmieli sprzeciwić się Krasińskiemu; uznawali bezwzględnie jego wyższość, a nie chcieli drażnić chorego i dość już rozdrażnionego. Czacki, uznanie wyższości posuwał do czci prawie fanatycznej; ale kiedy Krasińskiego zdania lub zamiary nie zgadzały się z jego uczuciem i przekonaniem, jego natura gorąca a śmiała odzywała się otwartym, odważnym protestem; a tak rozumnym, tak dzielnym i wymownym, że często nie bywał bezskutecznym. W kwestyach religijnych i kościelnych zwłaszcza, Czacki od młodości tak ustalony i pewny jak później, a we wszystkich swoich uczuciach i przekonaniach więcej absolutny, mniej wyrozumiały niż później, właśnie dlatego, że młody, w tych kwestyach miał on nieraz stawiać Krasińskiemu czoło i wywierać na niego wpływ niemały.

Wypadek drobny, ale godzien pamięci, zdarzył się w tym czasie. Michał Czajkowski, autor kilku bardzo podówczas cenionych powieści, a przez Krasińskiego w dawniejszych listach z sympatyą wspominany, przeszedł na mahometańską wiarę. Mówi o tem Krasiński w długim liście do Władysława Zamoyskiego. List ten, nie zamieszczony w cztero-

tomowym zbiorze, drukowany był w *Przeglądzie Polskim* (w lutym 1873). Przytaczamy go tutaj, bo naprzód treścią swoją jest ważny i mądry, bo dalej daje poznać wielką bystrość Krasińskiego w odgadywaniu ludzi, bo wreszcie broni dobrej sławy ludzi niesłusznie oskarżanych i sądzonych. Sprawę Sadyka Paszy brał do serca nawet Mickiewicz. W listach swoich z Konstantynopola i z Burgas (1855) mówi on z wielkiem oburzeniem o Zamoyskim, który Sadykowi wierzyć i ufać nie chce. Że wierzyć nie mógł, o tem przekonał wszystkich Czajkowski sam, swojem przejściem na schizmę.

„Zdziwić mnie, nie zdziwił postępek Czajkowskiego; „kto o jednej zbrodni przemyśliwa, temu najłacniej wpaść „w drugą. Mała bardzo pociecha, że wewnętrznej wiary nie „zmienił, bo takisam przypadek jest z wszystkimi renega„tami. Wątpię, by który kiedybądź uwierzył szczerze w do„skonalszość nauki Mahometa od nauki Chrystusa, taki byłby „nawet daleko mniej winnym, byłby tylko religijnym idiotą; „ale zaprzanie się chrześciaństwa dlatego właśnie jest grze„chem grzechów, że z doskonałą wiedzą prawdy odbywa się „z nikczemnych powodów, dla trwogi, albo dumy, albo chci„wości. Intelligencya, wiedza, pojęcie prawdy, nigdy w czło„wieku z wyższego szczebla na niższy się nie cofają, cha„rakter tylko i czyn moralny może się cofać i upadać; wła„śnie to się dzieje u Renegatów, którzy doskonałą inteligencyę „zachowując, czynem tejże zaprzeczają i najsroższą temżesa„mem walkę i bunt podnoszą przeciw Duchowi świętemu! „Mojem zdaniem, lepiejby dla sprawy było, gdyby się był „trzymał pierwszego gatunku zamierzonej zbrodni; przepadłby „był wtedy w liczbie pospolitych, nikczemnych zdrajców, „całkiem od sprawy postępkiem swoim oderwanych, nic już „z nią wspólnego nie mających. Nikogoby przykładem swym „nie uwiódł, przekleństwo ogólneby zyskał, i sumieniemby „narodowem w najgłębszych jego posadach, nie zatrząsł. Te„raz zaś, wcale przeciwnie się stało; pokostem patryotyzmu „umalował pychę, niedozwalającą mu opuścić świetnego sta„nowiska; powtóre, nawyknienie cielesne do wschodnich roz-

„koszy; potrzecie, wstręt nie do zachodu jak twierdzi, ale do „zachodniej niegdyś uwiedzionej dziewczyny. I postawił się „w tej głębokiej obłudzie przed Polską, jako dalszy, choć „w turbanie, jej obrońca i przedstawiciel. Czem właśnie naj„szkaradniej zaszkodzi wielu duszom polskim, bo niejedną „omami, złudzi, uwiedzie i do naśladownictwa pociągnie. „Bema jeszcze przykład nie taki był fatalny; Bem był tylko „żołnierzem; w chwili, w której się zanosiło na wojnę, po„rwał za półksiężyc, jakby za lont nowy do świeżego działa. „Każdy z widzów mógł ten ruch jego zrozumieć i pojąć, że „go pijaństwo, że tak powiem, prochu i dymu armatniego „uniosło. Ale Czajkowski wcale co innego od lat kilkunastu „reprezentował na Wschodzie; był skupieniem tam całej „doktryny ducha polskiego, przychodzącego moralnem swo„jem działaniem bez żadnej materyalnej przewagi, stawać „pośredniczo w obronie słowiańskich plemion, między dwoma „tyraniami, dogorywającą turecką i dlatego zgłodniałą, a „wzrastającą codzień olbrzymiej, moskiewską. Ta ostatnia „jednak, nie zapominajmy o tem, że w imieniu podań histo„rycznych i krzyża, walczy przeciwko pierwszej. Polska chrze„ściańska ma nad nią górę, ale Polska sturczona traci „wszelką wagę duchową, i na tamtem polu staje się natych„miast niższą od Moskwy, wobec ludów od tyluset lat prze„śladowanych przez pierwiastek ottomański.

„Myśl zatem dalszego służenia Polsce po wyrzeczeniu „się wiary chrześciańskiej, jest albo największem szalbier„stwem, albo najbezdenniejszem głupstwem. Czemże w isto„cie sprawa Polski dla świata? Na czem się opiera i stoi? „Czy nie na tem, że ze wszystkich spraw chrześcijańskich, „stała się najbardziej chrześciańską, a to z powodu, że do„pełniono na Polsce najsroższej obrazy praw i przepisów „sprawiedliwości i miłości chrześciańskiej. Ze stanowiska „właśnie chrześciańskiego, mamy prawo upominać się o wy„darte nam życie, i na wieki wieków imieniem Chrystusa „prześladować prześladujących nas rozbiorników, zaborców „i katów. Ze stanowiska zaś pogańskiego lub mahometań„skiego, taki nam przywilej już wcale nie służy; w obrębie

„tylko wiar chrześciańskich i uspołecznienia chrześciańskiego „nieśmiertelniśmy! Przed Mahometem, którego cała potęga na „zaborze się opiera i nie jednych dopuściła się rozbiorów, nic „w nas nieśmiertelnego nie masz; musim przystać na wolę „przeznaczenia i nie możem się upominać o żadne wskrze- „szenie. Zkądże więc muzułmanin Czajkowski, mógłby dalej „prowadzić posłannictwo Polaka Czajkowskiego, kiedy wła- „śnie się wyzuł z tego, co było duszą żywotną tego posłan- „nictwa, właśnie tej wiary, która temu posłannictwu nada- „wała powód bytu i nadzieję zwycięztwa! Czyż ten człowiek „nie pojął, że jak przechodząc do Moskwy, sprzeniewierzał „się cielesnym stosunkom Polski, tak samo przechodząc do „Alkoranu, zdradzał duszę Polski i odejmował sobie samemu „wszelką sposobność w jakiembądź zdarzeniu, w jakiejbądź „kombinacyi odezwania się za nią! Dlatego też ja nie wierzę „jego dobrej wierze w tym niegodziwym postępku; nie z roz- „paczy, nie z szału, ale z przewrotnej rachuby to uczynił; „władzy, potęgi, dobrego bytu mu się chciało. A te chuci „ustroił w szatę zrozpaczałej miłości ojczyzny. Powtarzam, „ta jego właśnie obłuda, najgorzkniejsze dla nas sprowadzi „owoce i już nawet sprowadza. Jeśli mnie co więcej zgryzło „od jego czynu, to to właśnie, że jego czyn rzadko kogo „gryzie. Czytałem wczoraj w *Gońcu* następujący frazes: „Nie „wahał się ponieść ofiary z wiary ojców na ołtarz Ojczy- „zny!!“ Co ten zlep kilku słów ma znaczyć, jeśli nie skutek „już wywarty przez obłudę, z którą czyn niegodziwy prze- „wrotnie dopełnionym został; jeśli nie zaślepienie rzucone na „oczy widzom przez zręcznego w zbrodni swej kuglarza! Bo „inaczej, ten frazes żadnej treści w sobie niema. Możnaby „tak samo powiedzieć: „nie wahał się ponieść ofiary z oj- „czyzny ojców na ołtarz ojczyzny!!“ Ojczyzna bowiem z cze- „goś składać się musi, tak jak wszelka istota, czy pojedyn- „czo czy zbiorowo istniejąca na ziemi, składać się musi oczy- „wiście nie z czego innego, jak wszystkie inne, to jest: „z kształtu zewnętrznego, stanowiącego jej ciało i z iskry „wewnętrznej, stanowiącej jej duszę. Tą ostatnią jest poję- „cie, jakie ma o stosunkach swoich z Bogiem. Jeśli to po-

„jęcie niesiesz w ofierze na ołtarz ojczyzny, to poprostu zna„czy, że wszelką cześć, tradycyę, religię ojczystą rozdeptu„jesz nogami na to, by ciało ojczyzny wzrosło, by jej gra„nice rozszerzonemi lub odzyskanemi były. Nonsens nonsen„sów! jak gdyby kto utrzymywał, że na to, by człowiek jaki „jaśniał śród innych na świecie, trzeba rozum w nim za„ćmić, charakter poniżyć, duszę zatracić, i że dopiero takim „sposobem stanie się z niego mędrzec lub bohater! Taka „wartość jest tego frazesu; ale nie mylmy się, ten frazes dziś „kursującą i ważną stał się monetą! Tysiące ludzi, osobliwie „z młodzieży, powtarzają go na całej przestrzeni Polski „i z przeklętą naiwnością, z dziecinną pobożnością, z gor„liwą wiarą, nie rozbierając go wcale, polegają na nim. „W tem właśnie upatruję nieskończoność krzywdy wyrządzo„nej przez Czajkowskiego duchowi narodowemu i sprawie „polskiej, bo jak przywykniemy nieść na ołtarz ojczyzny „jedno po drugiem wszystko z czego się składa ta ojczy„zna, w końcu sami spalim ją na zgliszczach i dokonamy „siebie samych samobójstwem! Co z niezmierną radością po„witanem zostanie przez tych, którzy wymódz na nas śmierci „morderstwem nie mogą. Znam kogoś, który się w tej chwili „raduje i panoszy z odszczepieństwa Czajki! Woli nawet to „odszczepieństwo od poddania się jego sobie, bo może całej „Europie powiedzieć: „Patrzcie! czy tysiąc razy wam nie mó„wiłem, patrzcie! czy można liczyć na tych ludzi, czy komu „kiedykolwiek dotrzymają wiary, kiedy własnemu Bogu „i własnemu podaniu historycznemu, choć o nie nibyto wal„czą wszędzie i zawsze, nie umieją!

„Kończę ten smutny rozdział temi słowami: o ile tylko „człowiek śmiertelny może, o tyle zbezcześcił sobą i w sobie „ducha polskiego Czajkowski“.

W lecie tego roku podróż z ojcem aż do rosyjskiej granicy, do Maczek; czy z zamiarem dojechania do Warszawy, czy tylko żeby dłużej być razem? Powrót pospieszny do Heidelbergu, do Cheliusa, spowodowany pogorszeniem zdrowia. Chelius mniema, że zima we Włoszech mogłaby przy-

nieść dobre skutki, i w początkach grudnia jest już Krasiński z żoną i z dziećmi w Rzymie.

Tu go dochodzi wiadomość, że Prezydent Rzeczypospotej francuzkiej ogłosił się cesarzem. Imię Napoleona wstrząsało całą Polską elektrycznie; zdawało się że ono znaczy tyle co wojny pierwszego cesarza, a po jego doświadczeniach bez jego błędów. Mickiewicz ze swoim kultem Napoleona, nabrał nowej wiary w przyszłość; Krasiński, który dotąd o księciu Prezydencie wyrażał się raczej z lekceważeniem i ironią, teraz zmienia ton. Nie widzi (w pierwszej chwili) blizkiej wojny, ale spostrzega w tym człowieku jakąś siłę i dzielność. Poetycznej jego wyobraźni nawet podoba się ten zamach stanu dokonany tak nagle, tak zręcznie, a bez rozlewu krwi; przypomina mu to tego Fieska, którego niegdyś lubił widywać w wiedeńskim teatrze (do Małachowskiego 9 grudnia, do Sołtana 15 grudnia). Wierzy przytem w gwiazdę Napoleońską. Wprawdzie to tylko księżyc co od austerlitzkiego słońca pożyczył promieni, ale stanął na niebie śmiało a zręcznie, i w samą rocznicę austerlitzkiego zwycięztwa. Im więcej o tem myśli, tem więcej mu się ten nowy cesarz podoba. W kilka tygodni później (10 marca), robi w liście do Sołtana alluzyę do Republiki i do cesarza w słowach: „kogut pieje a nie lata, orzeł nie pieje ale lata“. I już przypuszcza, że „synowiec, wcześniej czy później, postara się stryja ludziom przypomnieć“.

Zresztą ta zima w Rzymie — ostatnia jaką tam miał spędzić — przykra i smutna. Wybrane miejsce wrażeń i marzeń młodości, tym razem nie wywiera na niego takiego uroku. Rzym smutny, smutniejszy niż kiedykolwiek. „Niegdyś uśmiechał się świat, ziemia, morze i kwiat każdy“ (do Sołtana 6 lutego 1852), a teraz „nawałnica lat ostatnich więcej „tu błota i mułu zostawiła niż gdziekolwiek indziej“ (do Małachowskiego 9 grudnia 1851). Jeden Pius IX „pozostał czem „był, czystym i świętym duchem“:

Przykro mu więc i ciężko, nieznośnie. Zdrowie, którem się zrazu cieszył i chwalił, popsuło się tak, że zima ta była nierównie jeszcze gorszą od poprzedniej. Z pokoju prawie nie

wyszedł aż do wyjazdu (w kwietniu). A jednak, mimo zmiany zaszłej w nim samym i w Rzymie, Rzym ten działa na niego swoim czarem, i dobywa z niego nowe wybuchy myśli i wzniosłego natchnienia; dowodem wiersz *do Elizy* (w lwowskiem wydaniu *Roma*), teraz napisany: a jednak mimo zdrowia tak złego, że listów często sam pisać nie może, tylko je dyktuje, ale nie mimo smutku i goryczy tylko właśnie dla nich, on w tym czasie chce pisać, i pisze.

II.

Początki *Niedokończonego Poematu*. Jego znaczenie. Powody jego błędów. Treść. Aligier. Piekło i czyściec dni dzisiejszych. Księżna Rahoga. Pasmo dziejów i ich wykład. Starożytność. Chrześciaństwo. Przyszła epoka. Pankracy i Aligier. Piękności, usterki, trwała wartość poematu.

Kiedy Krasiński zaczął pierwszy raz myśleć o tym poemacie, który dziś nazywa się *Niedokończonym*, lub go pisać? to zupełnie ściśle oznaczyć się nie da. To wszakże jest naturalne i zrozumiałe, że jak zobaczył *Nieboską Komedyę* nie rozszerzającą się bardzo między ogółem, ale bardzo wysoko cenioną przez ludzi najrozumniejszych, łatwo musiała mu przyjść myśl uzupełnienia *Nieboskiej* młodością Henryka, a kiedy jego system filozoficzny zaczął się wykształcać i ustalać, przyszła mu chęć wyłożenia tego systemu w osobnym nowym poemacie. Z tych dwóch pierwiastków i popędów powstał *Niedokończony;* powstał zaś niewątpliwie w tych latach, kiedy się ów system wyrabiał i ostatecznie wyrobił. Rok może 1838, prędzej 39, można uważać za datę jego poczęcia. W 1840 i po nim jeszcze, może poeta pracował nad tym pomysłem. Świadkowie mówią, że z pewnością niektóre części były już w tym czasie pisane; mówią to mianowicie o tym *Śnie,* który teraz stanowi część drugą poematu. Usunął go na bok *Przedświt,* jako pilniejszy, dobywający się gwałtem z duszy poety i w jego mniemaniu zdolniejszy sprawić wrażenie i skutek. Rychło potem nastąpiła konieczność napisania *Psalmów;* a po nich ten nawał zdarzeń, które poecie serce

rozdarły i zdrowie doreszty złamały. Ale kiedy one przeszły, kiedy względny spokój w życiu dopuszczał mimo złego zdrowia swobodniejszą pracę myśli, i kiedy te zdarzenia właśnie stwierdziły tak oczywiście prawdę politycznych i historiozoficznych Krasińskiego pojęć, wtedy znowu naturalnie wrócić musiała chęć wypowiedzenia ich na nowo, wyłożenia ich dokładnego poetycznym sposobem. Wziął się więc poeta na nowo do swego zarzuconego przedsięwzięcia, popchnięty niewątpliwie i oczywiście wszystkiemi wrażeniami i rozmyślaniami, jakie przebył w r. 1846 i 1848. Pracował nad niem wiele i z upodobaniem ile mu tylko zdrowie pozwalało; a w tym roku 1852 wydał jeden ustęp, jako niby całość osobną (w Lesznie u Günthera), pod tytułem *Sen.*

Postawiony pomiędzy jego wielkiemi dwoma kompozycyami, *Irydionem* i *Nieboską*, *Poemat Niedokończony* traci wiele i równać się z niemi nie może. Wszelako choć nie tak piękny jak tamte dwa dzieła, ma on wielką wartość jako objaśnienie *Nieboskiej* naprzód, a powtóre, jako wykład allegoryczny wprawdzie, ale bardzo wyraźny całej historyozofii Krasińskiego. Z tego względu choć jego piękność, pomimo niezaprzeczonych piękności w szczegółach, jest mniejsza, ważność jego jako komentarza do *Przedświtu i Psalmów* jest tak oczywista, że dowodzić jej niepotrzeba.

Dwa są powody, dla których głównie musimy go uważać za niedokończony pod względem doskonałości. Naprzód ten, że w przeprowadzeniu jego myśli i dążności, w wykonaniu jego pomysłów, jest pewien realizm, w jego allegoryach pewna wyrazistość i dosadność, która się staje prawie prozaiczną. To jest jakiś wstęp do historyi XIX wieku, wyprowadzający ją mądrze i głęboko ze wszystkich wieków poprzednich; to jest jakiś traktat filozofii politycznej; to jest parlamentarna dyskussya, w której mowca nie opuszcza żadnego argumentu, żeby dowieść swego założenia; to jest publicystyka, szereg broszur lub artykułów dziennikarskich, ożywionych jednym duchem, przejętych jedną zasadą; tylko ten traktat historyczno-filozoficzny, ta dyskusya, ta broszura i te artykuły, nie występują w swojej formie naturalnej, ale

przyodziane są w allegorye, ozdobione dyalogiem prowadzonym przez różne ludzkie postacie. Allegorye zaś tak są przeźroczyste, poeta tak chce być zrozumiałym, myśl swoją tak kładzie wyraźnie w głowę, postacie te tak dyskutują tonem oratorów parlamentarnych o różnych bieżących kwestyach politycznych i społecznych, że poemat pomimo swego poetycznego zakroju robi wrażenie rzeczy prozaicznej; robi wrażenie jakiegoś ulotnego tendencyjnego pisma.

Powodem drugim, jest to, że w osnowę swego poematu wetkał Krasiński różne wspomnienia ze swego życia, tyczące się bądź to wprost jego, bądź osób innych; wspomnienia te, częścią zlewają się z poematem i jego postaciami w sposób niejasny i niedocieczony, częścią zaś, przechowane są w całej swojej codziennej i powszedniej rzeczywistości, „poezyą nie ozłocone“ wcale.

To wszystko jednak nie przeszkadza, że przez ustępy świetne i pełne myśli głębokich, a zwłaszcza przez światło, jakie rzuca na pojęcia i usposobienie autora: *Poemat Niedokończony* jest bardzo znaczący i bardzo zajmujący.

Jest on dorobioną do *Nieboskiej Komedyi* historyą przeszłości Henryka, jest przedstawieniem tych pojęć o świecie i historyi, na jakich on się kształcił, tych dążności, które wyznawał i podzielał, zanim sam wstąpił w czynne życie. Czy te wszystkie pojęcia były już u Krasińskiego zupełnie wyrobione w chwili, kiedy pisał *Nieboską?* Oczywiście nie. Z biegiem lat wyjaśniały się, ustalały w ten system historyozofii, z którego stanowiska on sądzi przeszłość i teraźniejszość i swojego bohatera i jego przeciwnika; ale sprzeczności pomiędzy myślą podstawną *Nieboskiej* a *Poematu*, niema. Owszem, ten ostatni pisany jest tak, żeby tamta mogła się wydać jego dalszym ciągiem i naturalnym wynikiem. Kierunek jest tensam, myśl jest tasama, tylko tu sformułowana dokładniej, wyraźniej, szczegółowiej, zastósowana do całej historyi i nią stwierdzona, a za to przedstawiona nie tak poetycznie, nie tak pięknie. Henryk, młodzieniec wielkich zdolności i wielkiego serca, w którym jest zaród wszelkiej piękności, kształcony przez swego przyjaciela Aligiera na to,

żeby znał „wiekuistą prawdę bożą i doczesną prawdę tej ziemi“, za sprawą tegoż Aligiera ma we śnie widzenie całego dzisiejszego stanu świata, całego czyśca dni teraźniejszych. Widzenie to budzi, a raczej podnieca, w nim zapał służenia ludzkości, działania dla szczęścia i postępu rodu ludzkiego. Mistrz i przyjaciel jego, który takiej woli od niego żąda, chce przygotować go do takiego działania należytem zrozumieniem dziejów świata, i przesuwa przed jego oczyma obrazy wszystkich wieków po kolei; a w każdym z nich ukazuje mu ludzi, którzy tegoż co i on pragnęli, dla tego co i on się poświęcali. Ostatnią w tym szeregu obrazów jest chwila dzisiejsza, a punktem środkowym jej okropności i przewrotności jest rozbiór Polski. Po tej nauce dziejów, wprowadza Aligier Henryka do jakiegoś zboru, do jakiegoś tajnego towarzystwa; ale ten zbór, to jakaś religijno-mistyczna konspiracya ludzi dobrej woli. Prezes naucza Henryka, że dopełnieniem wieków, które się właśnie teraz przesilają, jest nowa, teraz pojawić się mająca epoka Ducha świętego, epoka miłości. Przeciw tym słowom powstaje naczelnik chóru polskiego, znany z *Nieboskiej* Pankracy, i wbrew słowom Prezesa naucza Henryka, że miłość może zapanować kiedyś, ale przedtem musi świat przejść przez krew i zniszczenie, przez terroryzm rewolucyjnych środków. Wywiązuje się z tego dysputa między doktryną miłości i dobrej woli z jednej strony, a doktryną rewolucyi i jej środków z drugiej, między Aligierem a Pankracym. Ten, ze zwolennikami swoimi zostaje usuniętym ze zboru jako niewierny, jako człowiek bez dobrej woli, i na tem kończy się ostatnia, szósta część poematu; ale *Poemat* sam zostaje bez zakończenia.

We wstępie, w promieniach wschodzącego słońca, stoi młodzieniec w stroju myśliwskim, na skale, pośród tych gór Friulskich, które tak pięknie zamykają od zachodu płaski lagunowy horyzont wenecki, i poetycznie kąpie się w blaskach poranku jak zbudzony ptak w rannej rosie. Czuje się młodym, rzeźwym, dzielnym; rwie się do wrażeń, do niebezpieczeństw; „giemza, co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa“. Widocznie młodzieniec jest pełen życia,

które z niego tryska na wszystkie strony i potrzebuje się wydać na zewnątrz; jednak w tej jego bujności, w tych jego przyborach, skałach, giemzach, niedźwiedziach, i uniesieniach znać zamiar, dekoracyi jest za wiele. Czy to umyślnie? czy autor chciał tego młodzieńca zrobić zakochanym w całej tej zewnętrznej poezyi, i w sobie jako jej bohaterze? czy też bujnego młodego życia pod inną prostszą formą nie pojmował? Rozstrzygać trudno; za jednem, jak za drugiem zdaniem znalazłyby się dowody. W każdym razie to pewna, że młodzieniec jest cokolwiek za poetyczny, że wyraża swoje myśli frazesami zanadto wymownemi i ozdobnemi; że zwłaszcza kiedy opowiada swoją walkę z niedźwiedziem, a opowiadanie kończy tą wspaniałą pogardą dla strzelców, którzy ze strachu przed niedźwiedziem pochowali się po drzewach i którym darował „skórę zabitego na pamiątkę podłości", miałoby się ochotę powiedzieć mu: młodzieńcze, bądź prostszym; nie gardź tak wspaniale, bo miara twojej pogardy jest większa aniżeli jej powód, i o rzeczach małych, jeżeli możesz, nie mów stylem tak wielkim. Wierzaj mi, daleko lepiej już o wielkich rzeczach mówić małym stylem, a zwłaszcza kiedy się mówi o sobie". Aligier, który kształci jego umysł i serce, Aligier na ten jego zły zwyczaj powinienby więcej dawać baczenia.

Któż jest ten Aligier — ten tajemniczy mistrz i przyjaciel? Imie ma Danta, a w mgle wieczornej, kiedy młodzieńca opada sen, przybiera nawet surowe rysy i bladą cerę poety, i jego wieniec laurowy. A przecież nie Dant jest ziemskim towarzyszem i przyjacielem młodzieńca? nie jemu powierzona była ta dusza? nie on się za nią modli, nie on zwłaszcza zawarł z bohaterem poematu przyjaźń w owym dniu smutnym, „kiedy w piersiach dziecinnych pierwszy raz piekło się urodziło", kiedy „rówiennicy ścisnęli mnie kołem i ciągnęli na dół ze schodów za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje". Wtedy ten jeden ujął się za nim, obronił go; przecież to nie Dante Alighieri ten Aligier? Reminiscencya owego zajścia w uniwersytecie warszawskim jest tak wyraźna, tak jasna, iż wątpić nie można, że i ten przyjaciel obrońca, i ta

zawarta z nim wtedy przyjaźń są prawdziwą rzeczywistością? Krasiński w tej postaci Aligiera połączyć chciał dwa wpływy, które na niego działały. Jednym z tych wpływów, z tych mistrzów jego młodości była poezya Danta, pełna głębokiego ubolewania nad ziemią i potężnego dążenia do nieba, do ideału; drugim był wpływ rzeczywistego człowieka, Danielewicza, w którym on widział istotę wyższą, doskonalszą od siebie, którego czcił, wielbił i kochał do śmierci, który powagą swoją wpływał na jego charakter, a swojemi pojęciami na jego pojęcia. Czy istotnie tak wlał w niego jego późniejsze pojmowanie historyi, kwestyj politycznych i społecznych, jak je wlewa w poemacie Aligier w Młodzieńca za pomocą Snu i Widzeń w podziemiach? czy na zakład przyjaźni powiedział mu po owem zajściu warszawskiem owe słowa: „oni są niesprawiedliwi, ty bądź więcej jak sprawiedliwym, „przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach?“ Zważywszy, że w całym tym wstępie jest wiele wspomnień, można przypuścić, że i te szczegóły są historyczną prawdą. A jeżeli nawet nie, to w każdym razie pewnem jest, że Danielewicz wywarł na Krasińskiego wpływ ogromny, i że Krasiński jemu przypisywał ustalenie swojego charakteru, swoich uczuć i kierunku swoich myśli, dążności i życia. Musiał w nim uznawać wielką wyższość i wielką powagę, kiedy w swoich późniejszych latach, w tym jedynym poemacie, w którym składa niektóre wspomnienia własnego życia, identyfikuje go z tym, którego miał za najgłębszy i najgodniejszy z duchów ludzkich, z Dantem, i nazywa go Dantowem nazwiskiem Aligiera.

Z tych dwóch wpływów więc, które na niego działały, złożona jest ta postać. A jak one działały, to poznać można ze słów Aligiera, z tej jego modlitwy za Henrykiem, „w którym jest zaród wszelkiej piękności, ale który nie przejrzał „dotąd, i nie wié, że Bóg nietylko wysoko nad nim, ale „i wewnątrz niego przebywa“. Te słowa, to sąd o Henryku samym; a dalej prośba, żeby dziś, kiedy „walka dobrego „i złego wkrótce rozedrze mu serce“, a to stać się musi, bo „za dni tych zaciemniły się drogi Pańskie na tej kuli ziem„skiej“, żeby Bóg tej duszy oszczędził nie „trudów, nie bo-

„leści, nie męczeństw, ale żeby „zmiłował się nad nią i oszczę-„dził jej hańby podłości, ustrzegł ją od wiecznej nocy Ducha“.

Można znajdować, że Henryk jest za wymowny i zbyt wyszukany, Aligier sam zbyt majestatyczny czasem w swoich słowach, ale tego zaprzeczyć nie można, że jest wielka godność i wzniosłość w nich i w tym wzajemnym stosunku. Na to zaś, żeby Henryk ustrzegł się hańby i nocy ducha, trzeba, żeby swój świat i jego przeznaczenie dobrze pojął; i w tym celu prosi Aligier Boga (w tem miejscu więcej duch Danta, aniżeli rzeczywisty człowiek), żeby pozwolił mgłom i wyziewom słuchać na tę noc jego woli, a on złoży z nich „Sen“, który dla Henryka będzie nauką i przestrogą.

Ten *Sen*, część druga poematu, epizod, stanowiący dla siebie niejako całość skończoną i jako taka ogłoszona osobno, to obraz dzisiejszego stanu Europy. „Młodzieńcowi zdało się, „że postać Danta prowadzi go w nieskończoność złego“; nieskończoność ta dzieli się na dwa kręgi, z których jeden jest „piekłem dni teraźniejszych“, a drugi ich czyśćcem. W pierwszym są złości i podłości dzisiejszego świata, w drugim jego cierpienia i boleści.

W tem piekle więc mgły, i wyziewy parowu łączą się w obraz pierwszy, i składają postacie ludzi zbrojnych, którzy „gładzą lufy i ostrzą kolce bagnetów“, ludzi, którzy muszą iść gdzie im każą, „przeciw Bogu, to przeciw Bogu, przeciw „braciom, to przeciw braciom“, którzy nie mają „ni domu, „ni ojczyzny, ni imienia“, — to milionowe narzędzia, maszyny, których każda część jest ludzką istotą, ale nie człowiekiem; to wojska, które autor pojmuje jako jednę z klęsk wieku. Smutno skarżą się te widma na swój los: „kazali „nam zapomnieć o sobie, a drugich zabijać, i nie pamiętamy „zkądeśmy wyszli, ani wiemy dokąd idziemy“. Dziwna rzecz, że te ofiary przymusu pomieszczone są w piekle; właściwiej byłoby policzyć je do nieszczęśliwych, aniżeli do winnych? Ale na to odpowiada poeta przez usta Aligiera: „Dawniej, kiedy „męże stawali do boju, znali jakiej sprawie służą i czemu „trzeba umierać; oni, jako bogi wojny, a wy, jako jej by-„dlęta“.

Drugi obraz, to już nie karność i posłuszeństwo bydlęce, ale ludzka przewrotność i podłość; rządzenie ludźmi przez szpiegostwo i zdradę: tajna policya, jaka w tamtych latach była we wszystkich państwach jako sprężyna i zasada rządu, która dziś w niektórych tylko została. Ohydny, a trafny i wierny jest wizerunek człowieka białego, wysmukłego, z łagodnym uśmiechem i miodowem słowem na ustach, jak rozdając pieniądze swojej armii szpiegów, uczy ją, jak ma podsłuchiwać, wyciągać na słowa i donosić. Jego nauki są wybornym, krótkim zbiorem reguł sztuki; znać, że pisane były przez człowieka, który się tych sztuk i ich ofiar napatrzał. „Bądźcie uprzejmi i słodcy, sypcie podchlebstwa, „przymilajcie się; jeżeli kto ponury rozpaczajcie z nim, „jeżeli porywczy dajcie mu miecz w rękę; pieśćcie dzieci, „na ich ustach siadają czasem tajemnice rodzin, a pamięć „wasza niech będzie chciwa, ostra, nieskończona". Wszystkie te reguły wzięte z rzeczywistości, wszystkie były codzienną praktyką rządów we Włoszech, w Hiszpanii, w Austryi ówczesnej, w Rosyi; a do każdej z nich możnaby przytoczyć illustracyę, przykład tajemnicy podsłuchanej ze słów dziecka, nieostrożnego młodzieńca, wciągniętego w udany spisek przez prowokatora — to słusznie w piekle, między podłościami wieku. Zamyka się zaś ten obraz wprowadzeniem człowieka nędznego, umierającego z głodu, któremu obiecują i pokazują dostatek, jeżeli przysięże, że doniesie wszystko, co zobaczy i usłyszy; to korzystanie z nędzy człowieka, wyzyskiwanie jej na to, żeby go zepsuć i upodlić. Nieszczęśliwy zrazu nie chce przysiądz, woli umrzeć. Ale zgłodniałe zwierzę bierze górę, i on wyciąga ręce ku krzyżowi, który w tej chwili anioł zasłania skrzydłami przed tą przysięgą jako przed obelgą i profanacyą. Jako siła kolorytu, jako energia wyrażeń i jako okropność sytuacyi, ustęp to jeden z odznaczających się w tym całym epizodzie *Snu*.

Dalej idą więzienia i exekucye; plomby weneckie, neapolitański Castell dell'Ovo, kazamaty cytadeli petropawłowskiej, wszystkie w owych latach zaludnione nieszczęśliwymi, nie mogły być zapomnianemi. Po nich zaś następuje nowa

zmiana w scenach tego widzenia, nowa klęska i nowa obrzydliwość wieku, chciwość, chciwość zysku i bogactwa wielkiego, ogromnego, a nagłego; giełda ze swojem wszechwładnem panowaniem, jej brudy, jej podstępy, oszustwa, i skutki, kolosalne bogactwa i rozpacze bez granic. Dalej warsztaty rzemieślnicze, ludzie schyleni całe życie nad jedną robotą, „z palcami jak wosk miękkiemi, których usta nie zmówiły „nigdy pacierza, bez sił na ziemi, bez nadziei w niebo, „a łaknący złota“ — wreszcie przepaść otwarta, ogromna, ziejąca ogniami i gwarem gróźb i przekleństw, jak otwarty wulkan pod tą świątynią, w której mieszka dzisiejsza ludzkość, ale w której Boga niema: „Czyż na zawsze ciemny „padoł mieszkaniem naszem, nigdyż się nie dostaniem na „powierzchnię ziemi, kędy dostać i słodkich win, i smacznej „strawy i cienkich szat“ — to wydziedziczeni świata, to przyszły obóz Pankracego. Nad nimi stoi człowiek, który im obiecuje wyprowadzić ich z przepaści na powierzchnię świata i z tym cień Danta zaczyna rozprawę: „Biada wam, co znacie tylko „co wygoda ciał, a co wolność ducha nie wiécie, wy kłamcy, „wy obłudni, wy coście gorsi od gadu, bo macie wzrost „szlachetnych i mowę uczonych, wrzask wasz dźwięk marny „a nie żadna myśl; bo nie krzykiem, lecz czynem, nie mor„dem, lecz nastrojem wszystkich stoi Rzeczpospolita. Tyś „zwierze nie duch, i zanim przeminie lat dziesięć, ty sam „lud twój zdradzisz“. Piękne jest ostatnie słowo pogardy, rzucone na demagogów: „z fal ta najgorzej huczy, co się „ma rozbić na piasku; piersi ludzkie, to fale świata“.

Jeszcze dalej tłum kobiet; obraz tego, co w ich stanowisku dziejszem jest szkodliwego dla społeczeństwa, niesprawiedliwego dla nich. Jedne się skarżą, że dopóki były młode i piękne, świat stroił je w kwiaty i jedwabie, a gdy się zestarzały i zwiędły, każe im konać w nędzy, a przynajmniej w opuszczeniu i smutku; to lekkie i płoche, któreby takiemi nie były, gdyby im dano za młodu rozum, duszę, a często sposób do życia. Potem te, które jak rzeczy oddano pod władzę męża; wszystkie się skarżą, że Bóg dał im duszę, a ludzie tylko ciało im przyznali. Pośród nich jedna, naj-

smutniejsza ze wszystkch, piękna i majestatyczna jak bóstwo, o której Dant mówi, że niegdyś znał taką drugą na ziemi. i którą woła imieniem Beatrix. Wydana czy sprzedana za mąż, znosiła wszystko; jednego znieść nie mogła, pogardy. Była z ziemi mlekiem i miodem płynącej, ale nieszczęśliwej, nie wolnej; w tej ziemi coś się gotowało, na coś się zanosiło, ludzie się zbierali, naradzali; raz zebrali się tak w domu jej męża, na jego wezwanie; a gdy się zeszli, on ich wydał żołnierzom. Tego już znieść nie mogła, i gdy znalazł się człowiek, który się nad nią litował, pokochała go za jego litość, i za to jest zhańbiona! a ten nawet, który ją kochał, poszedł gdzie go jego męzkie losy zagnały, opuścił ją: dusza jej już dawno leży pochowana, „a to ja, na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd skonać nie umiało“. Dlaczego pośród wszystkich kobiet nieszczęśliwych tej jednej poświęca poeta tyle uwagi? czy on jej nieszczęście z głowy swojej wymyślił? Zapewne nie. Zapewne musiał je znać; a postać tęsamą widzi Młodzieniec potem raz drugi, nie we śnie już, ale na ziemi, nie jako widmo, ale jako księżnę Rahoga.

Na giełdzie tłumy całe, całe narody pchają się do zysku, do pieniędzy, przez oszukaństwo, przez zdradę, przez wstyd, przez krzywdę i rozpacz drugich; potomkowie starej szlachty wyjmują perły i kamienie z buław i lasek przodków, i sprzedają za brzęczącą monetę; inni, ci, którzy wydziedziczonym w przepaści obiecywali wolność i równość, targują się z królami giełdy o cenę, za którą tamtych dłużej zatrzymają w przepaści, i sprzedają ich. „Piekło dawnych ludzi“, mówi Dant, „nie bolało mnie tak srodze“: nie było takie obrzydliwe.

A więc wojsko, człowiek zamieniony w maszynę; policya i szpiegostwo; nędza rzemieślników; poniżenie i krzywda kobiety; giełda; a pod tem wszystkiem owa przepaść, rewolucya, prowadzona przez ludzi, których celem jest nie drugich z ucisku podnieść, ale siebie za pomocą ich ucisku wynieść, to jest piekło dni teraźniejszych, piekło podłości. Po niem następuje czyściec nieszczęścia i cierpienia, próba grobu,

którą człowiek każdy i plemie i ludzkość cała odbyć muszą, żeby odżyć na nowo. „Śmierci niema — mówi Dant na wstępie do tego czyśćca — Pan jej nigdzie nie pomyślał. Własnem znikczemnieniem tylko można zadać sobie wiekuisty „zgon. Ale kto odżyć ma, ten przemienić się musi, a każde „przemienienie nosi śmierci pozory“.

Łatwo, pojąć, o co tu chodzi, co będzie czyśćcem, i kto się w tej próbie grobu przemienia. Młodzieniec widzi przed sobą las z szubienic, „naród cały w Chrystusowej męce roz„wieszony nad ziemią swą — jak skały przebudowują w mia„sto, tak te bory przebudował w cmentarz regularnie i sy„metrycznie, doskonały kat, co umié rozmierzać ból i po„rządkować śmierć“. Ze wszystkich drzew kapie krew; pod każdem drzewem płacze niewiasta; a czasem przez wszystkie te ciała przechodzi jakiś dreszcz, i wtedy krew nie sączy się już, ale leje jak deszcz. W środku cmentarza kopiec z węgli i gruzów, na którym siedzi mocarz w koronie plecionej z łańcuchów, w płaszczu żołnierskim, przepasany kajdanami, a zamiast miecza ma bicz. I kiedy krew obficiej spada, gdy jęk głośniejszy, on tych wszystkich rozbitych na krzyżach kusi: „Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny „i Boga, a każe was zdjąć z krzyża, dam wam jeść i pić, „a wasze ciała nędzne i skrwawione, będą na nowo zdrowe „i kwitnące“. Ze wszystkich krzyżów odzywa się tasama odpowiedź: Nie!

„Zaprawdę“, mówi Dant, „tu czyściec dni teraźniejszych, „bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone; ale nad du„szą narodu tego czuwa Najwyższy utajony sam. Nie płacz „nad tymi, ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu, „bo tam piekło i rozpad i sądny zgon, a tu ból tylko. „Z bólu zmartwychwstaje duch, z podłości tylko zmartwych„wstania nie masz!“ To ta myśl, ta maxyma, to prawidło postępowania, które niemal temi samemi słowami wypowiadał Krasiński w *Psalmach*. A kiedy Młodzieniec zmęczony i zasmucony widokiem piekła i czyśćca, dopomina się o trzecie, o niebo, Mistrz daje mu naukę, że „jaśnie błękitu ukryte są „w głębiach waszych; wiarą wzbudźcie je w jaśń, skrzydłem

„woli świętej wznieście je w górę, a wtedy owo trzecie za-„cznie widomieć na ziemi“.

To więc jest pojęcie świata dzisiejszego, to przygotowanie, przez które przechodzi młodzieniec, żeby się nauczył brzydzić i gardzić piekłem, cierpieć nad czyśccem, a żądać tego trzeciego, zanim sam zacznie myśleć o tem i dla tego działać, jakby ten czyściec w owo trzecie zamienić. Zawarta w *Nieboskiej komedyi* myśl *dobrej woli* tu okazuje się rozwiniętą i ustaloną jak w *Przedświcie* i w *Psalmach*. Niebawem zobaczymy jak on stósował ją do historyi, do przeszłości świata. Przedtem jednak wtrąca poeta epizod, w którym reminiscencya widocznie gra wielką rolę.

Młodzieniec, poeta i marzyciel, znajduje się pośród pustego gwaru weneckiego karnawału, który go dziwi, a więcej korci. On pojąć nie może, że kiedy przed św. Markiem powiewa chorągiew obca, ta gawiedź bogata i uboga tak się wesoło i tak dziecinnie bawi. Pod rękę prowadzi go jego Bankier, nowo kreowany księciem, który dla młodego panicza, bardzo wielkiego majątku i bardzo arystokratycznego imienia, chce być szczególnie uprzejmym; chce mu służyć za cicerona w mieście, za przyjaciela i opiekuna w stosunkach z ludźmi, chce popisywać się nim, tak jak przed nim popisuje się swojem bogactwem, stosunkami, życiem na wielką stopę, księztwem i t. d. A tymczasem nie zapomina o rzeczach ważniejszych, i co chwila spotyka jakiegoś agenta, któremu poleca, jak ma obracać papierami, żeby sprowadzić podwyżkę lub spadek, sobie zysk, a innym domom bankowym klęskę. Ale dlatego może, że ten typ Geldhaba tak już spowszedniał przez to, że tyle razy był powtarzany, a zawsze z temisamemi skłonnościami i śmiesznościami, dość, że książę-Bankier jest figurą raczej niesmaczną; a jeszcze niesmaczniejszą przez to, że umieszczona jest w poemacie bez potrzeby. Młodzieniec mógł taksamo księżnę Rahoga spotkać, mógł się dowiedzieć kto ona jest, jakimkolwiek innym sposobem; książę Bankier koniecznym do tego nie był.

Księżna Rahoga, bez maski, w czarnej sukni, oparta na ręku wysokiego mężczyzny, przesuwa się przez tłum;

w jej chodzie coś królewskiego „kolana moje proszą mnie żebym przykląkł“, mówi trochę emfatycznie młodzieniec. Kto ona? Żona księcia Rahogi, najpiękniejsza kobieta w Wenecyi, sama bez majątku i tem bardziej zależna od męża — obca przytem, gdzieś z jakiegoś nieznanego kraju koło Odessy, Rosyanka czy Polka, mówi książę Bankier; a jej mąż, to wielka figura „wié wszystko, trzęsie wieloma rze-„czami w państwie, ale przytem straszny człowiek; poli-„cyantem nie jest, ale... ale jest straszny człowiek“. Tyle Bankier; a młodzieniec na widok tego ideału piękności, tej Polki, której mąż ma takie wzięcie i znaczenie w Petersburgu, zdjęty jest wielkiem współczuciem, i czcią, i uwielbieniem, owładnięty jakimś pociągiem mimowolnym a potężnym; on ją gdzieś widział, on ją gdzieś zna, ale gdzie? przypomnieć nie może. Pamięć snu nie została w nim tak jasna i wyraźna, żeby mógł poznać kobietę w żałobie, która tam opowiadała swoje dzieje... Czy i to wspomnienie, czy i to rzeczywistość? czy on może, zanim taką kobietę spotkał, słyszał od innych o jej nieszczęśliwym losie i czuł do niej pociąg, bo była nieszczęśliwą, a kiedy zobaczył, upadł przed nią na kolana, jak przed szczytem piękności i nieszczęścia i kochać zaczął... to kwestya, która nie potrzebuje być rozstrzyganą, obejdzie się bez odpowiedzi. Dość na tem, że poeta, jak ten Młodzieniec, w Wenecyi kochać się zaczął; że Młodzieniec od pierwszego spojrzenia kocha, czci, wielbi księżnę Rahoga z całego serca i z całej duszy swojej.

Surowy Aligier chce młodzieńcowi wydrzeć z serca tę miłość: „Zakochujesz się w sobie samym myśląc, że w dru-„giej istocie, i tem rozwiązujesz się sam z potęg istoty swej. „Czyż zawsze człowiek musi zejść do skończoności, i szy-„derską pomyłką ziemię za niebo wziąć, nieba właśnie szu-„kając?“ Zakochany Henryk odpowiada, że temu urokowi oprzeć się nie może, że chce tylko głos jej usłyszeć, przyjaźni trochę zyskać; że ta miłość nie złamie jego sił i nie doprowadzi do starości ducha, bo jest święta; że go i od miłości ojczyzny nie oderwie, bo ta kobieta przez swoje nieszczęście i wdzięk „podobna jest do przechodzącej ojczyzny“.

Czy z tak zaczętego uczucia, byłby się wywinął jakiś ciąg dalszy, gdyby poemat był skończonym? czy w zakończeniu byłyby się sprawdziły przepowiednie Aligiera, że przez tę miłość duch młodzieńca zwiędnie i ulegnie przedwczesnej starości? czy jak czarna postać w Śnie, księżna Rahoga zostałaby może zhańbioną przed światem za to, że „święcie kochała“, za to, że uwierzyła w piękność, i dobro i rozum na ziemi? czy jak tam dusza jej byłaby umarłą, a na świecie ciało tylko, które nie umiało skonać? czy ten, który ją kochał, porwany „swoimi męzkimi losami“, opuściłby ją i „zostawił w samotności ducha“, i czy to wszystko miało być przygotowaniem do tej próżni serca, która się tak młodzieńcowi sprzykrzyła, że Henryk z *Nieboskiej komedyi* zapragnął aż „zstąpić do ziemskich ślubów?“ wszystkie te pytania i domysły, które się tu same nasuwają, muszą oczywiście pozostać bez odpowiedzi, i nie mogą nigdy być czem innem jak pytaniami i domysłami; bo na pierwszem rozmarzeniu młodzieńca urywa się ten epizod miłosny, a Aligier chcąc go zahartować i przysposobić do wyższych miłości i pragnień, przypomina, że przyrzekł „wprowadzić go do grona „utajonych i tęskniących, w których duchu przyszłość się „wypracowywa“. I teraz zaczyna się część najważniejsza poematu. Tak, jak *Sen* był obrazem dzisiejszego stanu świata, tak w podziemiach pałacu weneckiego, w części piątej, zobaczy Młodzieniec całe pasmo dziejów, obraz postępu ludzkości w górę przez cały szereg wieków; w szóstej, dowie się, jaka ma być jej przyszłość, jakie najbliższe stadium tego postępu i zadanie ludzi dziejszego wieku i jak działać mają, żeby to zadanie spełnić.

W ciemnościach sklepów podziemnych chór niewidzialny odzywa się zdaleka: „Wy, co chcecie przeczuwać, wspomi„najcie; co chcecie stawiać teraźniejszość i odkryć przy„szłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszyst„kie dni zbiegłe przeszłości, bo choć odmienne dzieje, pomysł „wieczny jeden, i prawda jedna. Każda myśl poczęta w Bogu, „męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma, ale każda „zmartwychwstała w następnej, każda z grobu się podniosła

„w innem, wyższem ciele“. To wstęp, przedmowa, klucz do tej historyozofii, której wykład i przystósowanie ujrzy zaraz Młodzieniec w szeregu następujących po sobie obrazów. Znaczenie tego jest, że każdy wiek, każda epoka, każdy naród w historyi, miał swoje pojęcie dobrego, w którem była prawda choć nie całkowita; i do niego dążył, choć nie cały ale przez najlepszych pośród siebie. Każdy wiek, każdy naród miał swoich ludzi „dobrej woli“, którzy kolejno jedni drugim podawali iskrę życia, a poprzedni byli zawsze szczeblem, po którym następni wdzierali się wyżej. Ideału swego nie dopięli, nie urzeczywistnili, bo jako ludzie błądzić musieli i prawdy jasno i całkowicie nie widzieli; ale poznawali ją coraz lepiej. Aż wreszcie nadchodzi czas, że ją poznają całkowicie i w dziejach swoich urzeczywistnią ten ideał dobrego, do którego poprzednicy od pierwszych dni historyi dążyli.

A więc obraz pierwszy, to pod słońcem jasnem i skwarnem palmy, kwiatów mnóstwo, wysokie gwiazdarnie, świątynie okrążone krużgankami, wiszące ogrody, a wśród tego ludzie w fałdzistych sukniach gwiazdami naszytych z tyarami na głowie. To Eufratowy brzeg, to stara cywilizacya Babilońska; Chaldejska religia, chaldejskie pojęcie prawdy, cześć światła niewzruszonego, jako obrazu bóstwa. I do tego światła z tęsknotą wyrywa się chór chaldejskich mędrców i gwiazdarzy. W czem Krasiński upatruje prawdę ich pojęć, a przynajmniej ich szlachetną dążność? Oto odpowiedź: „Ormuzd „i Aryman wiecznie walczą wszędzie pasując się, czy w bar„wach tęczy, czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić „się, wyczyścić, wypłonąć ku Tobie, i niższe ludzie my por„wać chcieli ku słońcu, ku Ormuzda błoniom“. To jest dążność i zasługa ich wiary i cywilizacyi. Ale przychodzi na nich wielka tęsknota: „czujemy, że nasza siła znika, kiedyś „i sam Aryman w pokucie przetrawion wróci na łono wszechświatła, ale nas już nie będzie wtedy“. Jak w panoramie, jak w złudzeniach optycznych znika obraz, a na jego miejscu powstaje, składa się drugi, i znowu rozpływa się, zostawiając miejsce trzeciemu. Po Eufracie Nil, po wiszących ogrodach ponure i ogromne nekropolie, krużganki z pylonów,

sfinxy w dwóch szeregach jak żołnierze przy uroczystościach: po Chaldejskim kulcie światła, tajemnice religii egipskiej. po walce Ormuzda z Arymanem walka Ozyrysa z Tyfonem. „U nas przechowana tajemnica tajemnic", wołają egipscy kapłani, „my pierwsi poznali Ciebie, któremu na imię *był*, „*jest* i *będzie*", (pierwsi mieli pojęcie nieśmiertelności i wieczności). Zwolna my chcieli „zepsute plemię wiecznej prawdy „nauczyć, zwolna duszę odpętać od ciała, by poszła radosna „w niebieską ojczyznę, i czemuż my konamy kiedy czujem, „żeśmy posłańcami Boga?" — „Ale nie Bogiem samym", odpowiada jakiś chór daleki, „On jeden tylko nie umiera by odżyć" — i znika Egipt tajemniczy i ponury, żeby ustąpić miejsca innemu światu jasnemu, pogodnemu, pięknemu, cywilizacyi szlachetniejszej i lepszej. „Tu mądrość, tu harmonia, tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa, brzeg zielony, „morze lazurowe, brzęk lir i cyter, świątynie z paryjskiego „marmuru", to Grecya: a pośród niej, jako skarbnica prawdy i wzniosłej dążności, nie surowa Sparta, nie miękki Korynt, ani klassyczne Ateny, ale „niepokalana Eleuzis". To podług niego, co było najgłębszego i najwyższego w cywilizacyi helleńskiej; a pośród chóru kapłanów i hierofantów odzywa się głos Platona, słowo najwyższe Grecyi „kochaj o duszo „Ideał nad miarę, kochaj go niezrównaną miłością, znaj się „i wznieś skrzydła twoje a zaniosą cię do domu; dom twój „to pierś Boża, ludna wielkim ludem, ideami wieczności".

Po nich skaliste, ostre wybrzeża Syryjskie, jaskiń w nich pełno, w których mieszkają pustelnicy przeczuwając Pana: to góra Karmelu, to kwiat Izraela, pustelniczy i proroczy. I ci wołają: „zmiłuj się, ześlij myśl czystą, prorokom widny niegdyś Chrystus twój niech zstąpi".

Tak więc stopniowa praca ducha wieków starożytnych zaczyna od pojęcia Bóstwa, i od pojęcia złego i dobrego u Chaldejczyków; potem wznosi się wyżej w Egipcie, kiedy zdobywa pojęcie wieczności i nieśmiertelności duszy. W Grecyi dochodzi tak wysoko, jak tylko sama przez się dojść może w dążeniu do dobra i piękna. W Izraelu wreszcie, czując, że sama zadania nie pojmie ani nie spełni, woła tęsknie

i gorąco o objawienie prawdy, o odkupienie ludzkości. I tu robi się wielki przełom wieków, znikający Esseńczycy padają na kolana; Młodzieniec pociągnięty przez Aligiera przyklęka; chwila milczenia i jasności takiej, że wzrok ludzki nic w niej rozpoznać nie może. A gdy ona ustąpiła nieco, Młodzieniec widzi nad sobą dwie stopy „jak dwie gołębice śnieżne wstępujące w niebo“, a na ziemi grób pusty strzeżony przez dwóch aniołów, i przesuwającą się jak westchnienie postać Magdaleny (która pierwsza widziała Zbawiciela po zmartwychwstaniu). Chór głosów nadziemskich zapowiada, że odtąd „żaden człowiek co stał się duchem, nie umrze „w grobie; żaden lud co stał się narodem, nie umiera na „ziemi“.

Aligier prowadzi młodzieńca w „chrześciański świat „w drugą dziejów część, do innych prób ludzkości“.

Wieki średnie. Kościół „rośnie ciałem, sam deptając po ciele“ oblókł się w szkarłat, zwielmożniał, zrzymianił się „i jęk ludzi zacznie się nań skarżyć“. Pierwszy obraz, to prześladowanie Albigensów, którzy wyglądali obiecanego Ducha Pocieszyciela; konając, podają niedopity puhar życia Templariuszom, którzy mają obalić niesprawiedliwość i gwałt, i doczekać się ducha; a sami upadają dlatego, „że kto żąda zawcześnie, ten nie zna Przedwiecznej mądrości“.

„Od morza do morza jedna Rzeczpospolita, a w niej „Królestwo Boże na ziemi — jedna owczarnia, ludzkość i je„den pasterz panujący Bóg“, to święty pomysł Templariuszów, jak go określa skazany na spalenie Wielki Mistrz. Po nich wielka epoka walk religijnych. „Rozpadło się słowo „Boże, europejski gmach się trzęsie, na poły księży a na „poły świecki, nie dociągnion do niebios i nie doparty do „wnętrzności ziemi, a każdy w dniu zwycięztwa niemiło„sierny, jeden tratuje po drugim“: to wstęp do wieków ostatnich, to ta epoka, która zaczęta Reformacyą, skończyć się miała Rewolucyą francuzką. Próżno szamoczą się w marnych usiłowaniach alchemicy, czarnoksiężniki, Różokrzyżowcy, których hasłem było natchnienie i wolność, a dążeniem odkupienie i uszlachetnienie natury; nie ma kamienia filozofi-

cznego nie ma przepowiadanego tysiącolecia Królestwa Bożego. Próżno na wezwanie mistrzów nie dopity puhar oddają w ręce wolnych mularzy, bo teraz trzeba „lać krew własną „i cudzą, rządy kruszyć, głowy królewskie zdejmować z kar„ków, Kościół nowemi rozdzierać bólami“; pomimo tych wszystkich dążności i wysileń, „dusza pokłoniła się ciału, Kościół „pokłonił się królowi, ciało porosło w sto głów, w sto koron. „imię Europy to król. Podwalinami ich tronów głowy boha„terskie ścięte, a każdy z tych bogów ziemskich zapomniał „o niebieskim: narody gasną, i wszędzie gwałt, i wszędzie „mus, i wszędzie bunt! aż wreszcie ludzkość zamordowała „w jednym narodzie tak, jak niegdyś Bóg w człowieku. Zbro„dnia jakiej nie było od krzyża, na którym skonał Pan: po„grzeb człowieczeństwa“ — rozbiór Polski.

W trumnie leży archanioł spowity we własne skrzydła, przebity trzema mieczami; a nad nim trzech ludzi, trzech karłów w wysokich koronach, w których krople krwi świecą jak rubiny, a łzy jak perły, z berłami zakończonemi bagnetem, i przykrywają ciało w trumnie coraz grubszym całunem. Słuchają, czy serce jeszcze bić nie przestało, bo dopóki nie przestanie, pokoju mieć nie będą, żniwa „swego nie zbiorą i nie zasną na snopach z ciał ludzkich“. Ale to serce bije zawsze. „Miałożby to być prawdą, że duch czyjś, a nie ślepy „los rządzi światem?“ Odpowiada na to jakiś chór piekielny, „że ci tylko żyją, co zabić umieją: zabić, to owładnąć za„mętem“.

Zbliżamy się do wieku XIX. „Każdy lud w rozpaczy, król każdy w przerażeniu“, wolne mularstwo gotuje się do dzieła. „Dzisiaj nienawiści trzeba, praca nienawiści to nie„nawidzonych zguba, więc gubić bez litości, miękkich włó„kien w sercach nie mieć — wytracić tych, co noszą Chry„stusowy znak, a wtedy zacność moralna wcieli się w roz„sądek wszystkich; szkielet tylko zostanie z europejskiego „społeczeństwa“. I powstaje obraz nowy. Ulica z gilotyn, krew strumieniami tryska, w końcu nie ma już komu i nie ma kogo zabijać, a nic „się nie naprawiło dla ciała ni dla „duszy, para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje na około

„nas — ślepniemy“. To rewolucya i jej koniec; a naprzeciw niej, trzech karłów, zagnanych pod ziemię przez Napoleona wychodzi znowu, żeby „święty pokój ogłosić i wszystko, co „z nich jest, nazwać świętem. Sprawiedliwości pokostem, nie„sprawiedliwość umalować wszelką“. I przysięgają sobie cicho, „bo gdyby na zacność, i rozum i cnotę“, to przysięgaliby głośno.

To już dni nasze, to ta epoka, która po kongresie wiedeńskim panowała w Europie siłą św. Przymierza, a środkiem „dyplomacyi, policyi i żandarmeryi“.

Ale „zmiłuje się miłosierny Pan. Ufajcie, bo nieskoń„czoną zbrodnię odkupić musi nieskończone dobro. Z męki „bez granic w Jednym, wstać musi życie bez miary we „wszystkich. Tu dopiero koniec przeszłości; za temi progi „teraźniejszość się zaczyna“: i zgromadzenie żywych duchów marzy o tem, co się stać ma, bo się stać powinno. „Nad„chodzi wreszcie obiecany dzień, wiek, który zwie się pocie„szycielem, godzina, która zwie się dopełnicielką. Jak Pan „troisty i jeden, tak dzieje planety troiste choć jedne; Duch „z Ojca i Syna jest, i obu miłośnie kojarzy; trzeciem wszech„miłości tchnieniem Pan upomni się o planetę swego“.

Na tem kończy się obraz wieków, to jego pojęcie historyi. Ludzkość dąży w górę, ku doskonałości, ku coraz wyższemu pojęciu i coraz lepszemu urzeczywistnieniu myśli Bożej w sobie. Przed Chrystusem przeczuwała ją zaledwo, dążyła do niej coraz wyżej, ale mozolnie, bo o własnych jedynie siłach, i dojść do niej nie mogła; po przyjściu Chrystusa, przez to, że Kościół urósł w ciało deptając po ciele, że później rozdzieliła się dusza świata, Kościół pokłonił się królowi, a król, Bóg ziemski zapomniał o niebieskim i o tem, że ludzkość jest córką Boga, przez to doszła ludzkość do zbrodni rewolucyi w jednym kierunku, do zbrodni rządów w drugim. Z tych zbrodni oczyścić się musi przez cierpienie i pokutę; z męki bez granic w jednym wstanie życie bez miary, i wtedy zacznie się trzecia epoka troistych dziejów ludzkości, w której Duch miłośnie skojarzy Ojca i Syna.

Epoka Ducha św., sprowadzona przez ofiarę Polski, expiacyę wszystkich grzechów świata, a objawiająca się jej odżyciem — oto treść tego wykładu dziejów.

W tym obrazie chrześciańskich wieków, na pierwszy rzut oka dziwnym się wydaje wybór tych, którzy z rąk do rąk podają sobie puhar żywota. Czyż istotnie Krasiński mógł myśleć, że prąd główny postępu ludzkości szedł przez Albigensów, Templariuszów i różnych innych, aż dochodził do dzisiejszych Wolnych Mularzy? Takie rozumienie jego myśli byłoby mylne. On w dążeniach tych wszystkich przypuszcza jakąś część, jakieś źdźbło prawdy; ale nie uważa ich ani za całkowitych, ani za jedynych, ani za najwyższych tej prawdy reprezentantów czy obrońców; ale za reprezentantów tej walki, tego rozdarcia, które w jego pojmowaniu historyi jest treścią, istotą i koniecznością naszej chrześciańskiej ery i cywilizacyi. Przypomnijmy sobie, że podług niego starożytność była epoką prostego tylko bytu w „troistych dziejach ludzkości“. Chrześciaństwo jest *antitezą* tej tezy; jest epoką rozumu i świadomości, której skutkiem jest sprzeczność i walka między bytem, a świadomością czyli sumieniem. Przeznaczeniem tej epoki jest ciągły postęp przez ciągłą walkę, zasługa przez trud. W trzeciej dopiero obiecanej epoce, nastąpi harmonia między bytem a sumieniem. Nasza epoka zatem, z góry i z przejrzenia Bożego, przeznaczona jest na to, iżby nigdy równowagi nie miała, iżby ciągle chwiała się i szarpała między dobrem a złem; iżby wszelka prawda, wszelka myśl czy dążność dobra, także wystawiona była na działanie złego i ulegać mu mogła a po części nawet musiała, iżby z zarodów dobrego rodziło się i krzewiło się złe, z którem nowa walka, nowy trud i nowa zasługa. Pod tem nieszczęsnem ale koniecznem prawem „zwielmożniał Kościół i oblekł się w ciało“; pod tem wyrosło absolutne Państwo; pod temsamem ci wszyscy, którzy zepsucie jednego a przemoc drugiego chcieli naprawiać, brali się do tego dzieła źle, złemi środkami, i zamiast przybliżać się do celu odpychali ludzkość od niego. Tak należy rozumieć Albigensów, Różokrzyżowców, Wolnych

Mularzy i tę ich rolę, jaką im poeta w swoim obrazie wieków i postępu ludzkości przyznaje.

Wiemy także jak mamy rozumieć rozbiór Polski i jej ofiarę. Nie znaczy ona iżby Polska miała być odkupicielem świata, ani bezwinną za jego grzechy ofiarą. Ale dzieje ludzkości są na wzór żywota Zbawiciela; w tych dziejach jak w tym żywocie musi być śmierć, na to żeby mogło przyjść pełniejsze uwielbione życie. Ludzkość cała przejść przez nią nie może; przechodzi więc w jednej swojej części. Ta część ludzkości, jeżeli tę próbę wytrzyma nieskalana, odrodzi i zbawi sama siebie, i ludzkości całej otworzy drogę do wyższej epoki, do chrześciańskiej cywilizacyi, do politycznego i społecznego stanu, opartego na prawie Bożem i z Niem zgodnego. Cokolwiek zaś myślałby kto o tej części nauki Krasińskiego, to tego zaprzeczyć i odjąć mu nie można, że jego pojęcie historyi, wyprowadzające nowoczesne państwo, takie jak widzimy od kongresu westfalskiego, z tego rozbratu jaki sprowadziła Reformacya i wojny religijne, z tego Państwa znów rewolucyę, z niej kongresy wiedeńskie i święte przymierza, że jego słowa odnoszące się do rozbioru Polski „odtąd nie spocznie świat europejski, aż sam sprawiedliwym się „stanie“ są niemniej głębokie i prawdziwe, jak szlachetne, a historyą zbyt wyraźnie stwierdzone.

Jeszcze jaśniej, jeszcze wyraźniej rozwija on te swoje pojęcia w części ostatniej, w której Aligier wprowadza Młodzieńca do „zgromadzenia duchów żywych, gdzie teraźniejszość „wypracowuje przyszłość“, i marząc o tem co się stać ma, bo się stać powinno, zgromadzenie to myśli nad tem, jakim sposobem to co powinno się stać, stać się może.

Co to za zgromadzenie? złożone z ludzi wszelkich narodów, z chórów irlandzkich, włoskich, niemieckich, słowiańskich i polskich, pod przewodnictwem jakiegoś Prezesa, którego tytułują „Arcyprzewielebnym?“ To jakieś sprzysiężenie oczywiście, jakieś tajne towarzystwo, ale takie jakby go Krasiński żądał i rozumiał; sprzysiężenie ludzi dobrej woli, które nie żąda od ludzi przysięgi, ani ślepego posłuszeństwa, nie myśli iść do celu przez jakikolwiek uczynek zły, ale na-

ucza członków swoich, że „ten tylko Boga uwielbi, kto prze-„pis jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi. Ani osobni-„kowi, ani narodom, ani ludzkości łaska wiekuista nie zdała „się na nic, jeżli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku „niej, bo połową stworzenia wola stworzonych (dobra wola); „jeżli sami nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim, „Duch nie zaświeci nam. Zatem czyn, który sam będzie po-„cieszycielem, wykonaniem obietnicy, zstąpieniem Ducha, jest „w nas, w każdej piersi i od nas zależy. Ołtarze Boga nie-„tylko pod katedr sklepieniem; wszędzie, i Izbie poselskiej, „i na trybunale, i w kole wyborców, i na stolicy władnej, „i na rynku, na giełdzie, w rękodzielni, w sztuce każdej, „w umiejętności każdej, Pan dojrzan, poznan, uczczon i wy-„konan być musi. Każden trud w posłannictwo, każden urząd „w kapłaństwo się zmieni, i czcią Tego który jest, będzie „być i żyć“.

Oto dążność i nauka tego sprzysiężenia „żywych duchów“, w których łonie wypracowuje się przyszłość. Pomiędzy tych wprowadza Aligier Henryka, jako „człowieka“, a człowiek w jego pojęciu jest „duchem bez początku, bo z Pana „wyszedł, i bez końca, bo ku Panu napowrót dąży. Nigdy „nie stopi się z Panem, on ciągle jeden, tensam i niezatra-„calny; na pielgrzymkę ziemską dano mu ciało, które on „zrzuci kiedyś, i inny, wyższy kształt przybierze w dzień „przypomnienia i sądu“ — pojęcie człowieka ściśle religijne, katechizmowe. A jak duchem on jest teraz tylko pod postacią człowieka, tak człowiekiem może być tylko pod postacią Polaka. „Gdyby wdział inną, upadłby niżej bydlęcia“.

Takiem pojęciem siebie samego (które znamy już z dawniejszych dzieł poety), przywitany przez Aligiera i chór polski, Henryk wzięty jest na pytania, jak pojmuje ludzkość i jej dzieje, czy trafnie zrozumiał znaczenie tych obrazów, które się przed nim dopiero co przesuwały. Examin ten prowadzi sam Prezes, odpowiedzi są oczywiście tłómaczeniem allegoryi poprzednich: „Widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześciańskiej duszy“, to Babilon, Egipt i Grecya. Potem za świata chrześciańskiego „widziałem rój myśli

„świętych, rozwieszon nad ziemią, ale nie spuszczały się na „dół“ i wtedy nastąpiła „rozpacz ciał wszystkich, że widzą „duszę nad sobą, a nie mogą ściągnąć jej do piersi, więc „płaczą, zgrzytają i krwią pluszczą“. Oto krótka formuła na wytłómaczenie dziejów przeszłych. A teraz nastąpi obwieszczenie tajemnicy przyszłych; pośród chórów klęczących Prezes odczytuje z Ewangelii św. Jana ustęp o zesłaniu Ducha św. Pocieszyciela: „Mam wam jeszcze wiele mówić, „ale teraz *znieść* nie możecie, lecz gdy przyjdzie Duch „prawdy etc“. To jest przepowiednia najwyższa, „Syn Boży „wstępując do Nieba, widzi już Ducha: człowiek jest zwier„ciadłem wieczności, więc w dziejach globu musi się odbić „kolejno ta Trójca, co wiecznie sobie współczesna na niebie“.

Ale ta przepowiednia nie sprawdzona dotąd, obietnica jeszcze nie spełniona; żaden z ośmnastu wieków chrześciaństwa nie uwielbił Chrystusa „wszędzie rozłam, i rozpad, i rozstrój, cząstki tylko, a każda we wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne“. W ostatniej dopiero i najwyższej chwili dopełnienia swojego „ludzkość stanie się Chrystusem we wszystkich ludziach“ (tj. wydoskonali się i uświęci w każdym z osobna i we wszystkich), a członkami tego „ciała, „w którem będzie jeden Duch, barwami tęczy, z których ta „białość świetlana powstanie“, są narodowości. „Wolne na„rody jak lutnie różnobrzmiące wydźwięczą z siebie ludzkość, „najdoskonalszy wszechdźwięk swój. Niech więc nie zapomi„nają o miłości, bez której nic postawić i zbudować nie spo„sób; niech pamiętają, że nie to co niewzruszone i zbite jak „skała, mądrością na ziemi (nie nieruchomość i zastój), że „nie to co wściekłe i wysadzające w powietrze, natchnieniem „i czynem (nie rewolucya), ale że istną świętością i wybor„nem pięknem to co płynne wciąż, a wstępujące coraz wy„żej w górę, to co szersze co chwila a jednak tożsamo, jak „światła wschód nieskończony“.

To znowu, wolne narody, dążące ciągle w górę, w zgodzie pomiędzy sobą, a nie przez wściekłość i gwałt, ale przez miłość, to formuła przystósowania, to konkluzya całej historyozofii poprzedniej zamieniona w prawidło, które powinno być

kamieniem węgielnym polityki, to jest punkt, w którym teorya i filozofia styka się z praktyką i w nią przechodzi; to jest ostatnie stadium tego pochodu ludzkości, którego krokiem pierwszym było „wszelkie ciało pogańskie tęskniące do chrześcijańskiej duszy“, to jest zarazem cel i zasada ludzi „dobrej woli“, nad których wcieleniem oni pracują, zaczynając od siebie samych, „patrząc na swoje widnokręgi“.

Zdawałoby się, że prawda znaleziona, a więc droga jasna, jeżeli nie gładka przed nami. Ale wtem słychać „zgrzyt żelaza po szkle“, zaprzeczenie tej prawdy, które zamąci harmonię przyszłości. Naczelnik chóru polskiego, Pankracy, prosi o głos. Prezesowi nauczającemu nowo przyjętego przerywać nie wolno, ale on o pozwolenie nie pyta: „narażasz tego „Młodzieńca na zgubę, gdy o miłości mówisz i miasto hartu „wtkliwiasz mu miękkość do serca“. Od tych słów wszczyna się rozprawa pomiędzy „dobrą wolą“ a „rewolucyą“, o ich zasady i środki działania, która jest i charakterystyką pojęć, i zarazem przepowiednią, że postępowi ludzkości stanie w drodze demagogia i terroryzm, i że one go cofną kiedyby, mógł się urzeczywistnić.

Zagaja ją Pankracy tonem i słowami, które przypominają bardzo rzeczywistość lat ówczesnych, język centralizacyi wersalskiej i londyńskich gmin Towarzystwa demokratycznego, język wielu ówczesnych emigracyjnych dzienniczków; wszystkie paradoxalne doktryny zachodnie, krzewiące się bujnie w głowach polskich niedowarzonych, a zwłaszcza niedouczonych i ambitnych, odgłos tych dzwonów, które dzwoniły na „czyn“ roku 1846. Pankracy ma retorykę rewolucyjną, ścisłą, śmiałą, otwartą, nie patetyczną wcale, otwartą aż do cynizmu; ale jest w niej siła, namiętność, jest energia nienawiści. W jego przemowie jest essencya wszystkich doktryn i teoryi ówczesnych, tylko lepiej wypowiedziana. Odeprzeć chce ją Aligier, ale Pankracy gardzi dysputą: „Kto sam słowem konieczności, ten na marne słowa ludzkie nie odpo„wiada“, każe się zastąpić przez swoich niższych, swoich podwładnych, jak król przez kanclerza. Stronnicy jego, których liczba dość znaczna, oznaczeni są nazwiskami

charakterystycznemi, gminnem nazwiskiem „Kiermasza“, cudzoziemskiem „Blaumanna“, a każdy z nich reprezentuje jakiś odcień, jakąś odmianę osobną w demagogicznem „genus“. Więc Blaumann naprzód, który pierwszy głos zabiera, to krzykacz głupi, odmiana najpospolitsza, wizerunek tych ludzi, którzy z rezonem i swadą człowieka, który o niczem nie wątpi, bo nic nie wié i nic nie rozumie, szermuje frazesami, które na zupełnie ciemnych ludzi tylko mogą robić wrażenie. Awanturnik polityczny najniższej klasy; a płytki przytem jak ojciec chrzestny z *Nieboskiej Komedyi*, w położeniu tamtego rozprawiałby jak tamten o swoich zasługach i obywatelskiem życiu. W środku jego perory wsuwa się charakterystyczne słówko Pankracego pocichu wyrzeczone, „nie mów tak dużo o Ojczyźnie“.

Po nim drugi. „Wielki, proroczy Duch“, który sobie metafizycznie rewolucyę wyrozumował, a poetycznie się dla niej wyexaltował. „Śmierci rozrobem kończą się ery planety, „a wieki mają być wzięte na tortury za to, że zbrodniczyły „wciąż a nie znały co Duch“, poetyczna i natchniona frazeologia mistyki zastosowanej do rewolucyi, i rewolucyi przechodzącej w mistykę. To nie jest pospolity głupiec jak Blaumann; to paradoxalny filozof i sofista; jakiś nowoczesny Anacharis Clootz, który „wyrznięcie logiczne i nieodwracalne“ wydedukował z zasady, i uznał za swoją apostolską missyę. Dlaczego ta figura dostała nazwisko Julinicza, przypominające imię Juliusza? Czy to przypadek? Jeżeli przypadek, to bardzo dziwny, bo nie w nazwiskach tylko jest podobieństwo, ale w przemowie Julinicza są myśli, są prawie słowa i zwroty jak żeby wyjęte żywcem z *Wiersza do Autora Trzech Psalmów*. Samo to zapowiedzenie siebie jako wielkiego Ducha i Proroka, to już przypomina znaną zarozumiałość Słowackiego; wezwanie „znajcie mnie“ przypomina jego ciągły żal, że uznanym nie jest; a ten „Pan, który obraca tysiącem mieczów“ jest tak podobny do tego „Ducha, który wybiera rzeź“, te „burze i zawieruchy z żywych ludzi“ tak podobne do „Zebrzydowskich i Zborowskich“ w tamtym wierszu, sam język

obrazowy i poetyczny tak go przypomina, że myśli się koniecznie, iż Krasiński pisząc to, miał Słowackiego na myśli.

Ale Aligier nie da się zbyć lada czem; frazeologia figurantów rewolucyjnych jemu nie imponuje, On chce się rozprawić z człowiekiem prawdziwym, z takim który myśli, i Pankracego samego zmusza, żeby mu stanął do rozprawy. „Ukrywasz się za drugimi, jak Kain się ukrywał po zabójstwie brata, boisz się i wstydzisz się“; a potem chwyta go za gardło, trafia w samą odrazu najsłabszą stronę zapytaniem, które każdy uczciwy człowiek zawsze naprzód zadaje, a przynajmniej powinienby zadawać każdemu Pankracemu, i na które wprawna dyalektyka Pankracych, najrzadziej istotnie znajduje odpowiedź: „czy wierzysz w to co mówisz“, czy wierzysz „że dla odsunięcia głazu grobowego, trzeba rę„kom zmartwychstańców rękawic z błota i krwi, że można „Bogu wszechmocnemu powiedzieć: wyjdź teraz a wrócisz po„tem, boś nam dziś naddatkowy, dopiero potrzebny pojutrze“. Nieskończona kwestya tak zwanych „rewolucyjnych środków“, zasada, że „cel środki uświęca“, to wieczna słabość ludzi którzy ją wyznają; to ta, która sprawia, że oni nigdy w siebie zupełnie wierzyć nie mogą, bo pomimo wszelkich sofizmów i sztucznego umyślnego tumanienia siebie samych, czują w gruncie, że między celem a środkiem jest taka sprzeczność, iż albo cel, albo środek musi być kłamstwem, pogodzić jednego z drugiem nie można. Jeżeli wierzą w to co dobre i chcą go dlatego, że jest dobrem, to nie mogą równocześnie wierzyć w złe i robić źle; jeżeli zaś złe robią, złe wyznają, to może być, że jako ludzie złożeni ze sprzeczności, pomimo tego chcą i dobrego, ale z pewnością nie jego samego, tylko obok niego czegoś więcej i czegoś złego, zemsty, nienawiści, dumy, pod jakąbądź formą, siebie. Dopóki zasada „cel uświęca środki“, pozostanie w rewolucyjnym kodexie, tak długo sprawa ta będzie zawsze moralnie słabą, bo przed sumieniem ludzkiem i sama przed sobą nie będzie mogła zaprzeć się swego grzechu pierworodnego, nie będzie mogła zaprzeczyć, że w nie jest fałsz i kłamstwo.

Takiem zapytaniem o dobrą wiarę godzi Aligier naprzód w Pankracego. Temsamem objęta jest i wzięta do śledztwa jego wola. „Dlaczego mówisz zawsze Lud, Lud, a nigdy naród nie powiesz?“ bo zawiścią zdjęty nadajesz „chuciom piersi własnej imię konieczności“ — do złej wiary, do sofizmu dochodzi się przez zepsucie woli, jeżeli człowiek sam stanie się jej celem, i (do czegobądź dojść chce) własnym chuciom nada imię konieczności. U Pankracego forma egoizmu jest widoczna i łatwa do poznania, „chce być pierwszym“: i wmówił w innych, poczęści i w siebie konieczność, żeby być tej konieczności słowem.

A po dobrej wierze i rzetelności woli, przychodzi kolej na trzecią stronę, na trzeci czynnik w sumieniu Pankracego, na miłość Ojczyzny. Aligier pyta, czy ta każe mu wierzyć i uczyć, że „Polska cała ma wyglądać jak morze krwi“. „Czyś ty z przyszłości się urodził? cobyś znaczył na świecie, „ktoby ciebie słuchał, gdyby przeszłość wszystkiego nie była „ci dała, czemu się targasz na dziejowe powietrze piersi „twoich. Wiedź naród twój, ale go nie odnarodawiaj, nie „bądź czwartym katem, do trzech tamtych przydanym przez „piekło“.

To wezwanie słuszne i prawdziwe, oczywiście najmniej robi wrażenia na Pankracym, który przed chwilą przestrzegał swego zwolennika, żeby nie bardzo wyjeżdżał ze słowem *Ojczyzna*, bo to trąci wstecznością. Ale przestroga taka da się powiedzieć pocichu, głośno do takich pojęć przyznać się nie można, jeszcze zawcześnie; omija więc Pankracy kwestyę, wykręca się, a odpowiada tylko na ostatnie słowa, ostatnią groźbę Aligiera: „na swojej drodze jeżeli wytrwasz, mo„żesz być potężnym na pewien czas, lecz przepadniesz przed „Bogiem, a w dziejach przejdziesz jak koń Atylli“. — „Hej „sztuki, zabobony, przesądy, wróżby — myślisz mnie gusłami „przegrodzić od czynu, od władzy? Co tu wykładają, nudzi „mnie oddawna, wszystko gnuśne, filozoficzne, religijne; żół„wie takiemi samemi; kto we mnie wierzy, niech się „z chóru polskiego oddziela i staje przy mnie“. Zerwanie dokonane, społeczeństwo europejskie, i polskie także, rozcho-

dzi się w dwie drogi, które się zejść nie mogą, Pankracy zrywając stawia swój program polityczny: „Kto godzi w cel, „ten środków się jak strzał zatrutych chwyta. Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości; zasady „niech żyją, a niech ginie pół Europy“.

Sens moralny całej rozprawy, całej tej rozprawy o rewolucyi i jej środkach, znajduje się w ostatnich słowach Prezesa, „byli zawsze ludzie, których kusicielką pycha, a czy„nem niszczenie. Wstrzymasz rozwój ludzkości, zwrócisz ją „na manowce, wieki przerazisz i cofną się w tył. Czegoby „nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, i gwałt, ty „dokonasz“.

Słowa prawdziwe; prawdziwe w swej ogólnej podstawnej myśli, stwierdzone w historyi tem przerażeniem ludzkości, po którem ona cofnęła się w tył na widok roku 93 i podobnych, prawdziwe w tem, że Pankracy potrafi to czego nie dokaże żaden mocarz, wstrzymać pracę ludzi uczciwych dla wolności i wolność samą zohydzić; a prawdziwe i w szczegółach: „Tyś faryzeusz takisam, jak królów podchlebcy, jak świętoszki, jak szpiegi i donosiciele“; prawdziwe wreszcie i w tej ostatniej groźbie, którą rzuca Pankracemu, że choćby na jakiś czas zwyciężył, zginie, i ludzkość wyprze się go i przeklnie.

Na tem urywa się *Niedokończony Poemat*. Część szósta, scena w podziemiach, ta jest oczywiście skończona. Co dalej być miało? przez jaki szereg przejść i scen Młodzieniec zrażony przez Pankracego miał przejść na to stanowisko, jakie zajmuje jako Henryk w *Nieboskiej Komedyi*, przez jakie cierpienia w miłości miał przejść, zanim rozpaczliwie wygrał ostatnią stawkę osobistego szczęścia i na los szczęścia zstąpił do ziemskich ślubów, tego już dziś nie dojdziemy, a w gruncie nawet nam to niepotrzebne. To co w *Niedokończonym Poemacie* jest ważne i zajmujące, zapatrywanie Krasińskiego na historyę, na nędze dzisiejszego świata (Sen), jego system filozoficzny zakończony wiarą w epokę Ducha świętego, jego system moralny i polityczny, oparty na „dobrej woli“, a wreszcie jego pojęcie rewolucyi, jako tej siły,

która ludzkość od celu odpycha, dlatego że działa środkami złemi, cały ten komentarz do jego filozofii i do jego poezyi, ten jest. I z tego powodu *Poemat Niedokończony* ma i zawsze będzie miał swoje wielkie znaczenie.

Jako poemat? to co innego, pod tym względem wielkiej wartości on niema. Są ustępy piękne, to pewna; do piękniejszych należą przemowy Pankracego w podziemiach i niektóre obrazy w *Śnie;* ale w scenach karnawału ma wierność fotograficzną, w scenach zboru ma dogmatyczny, apodyktyczny ton polemiki, broszury, rozprawy parlamentarnej, artykułu dziennikarskiego; jest w postaciach swoich realistyczny, a w tonie prozaiczny. To zaś najgorzej, że w realizmie swoim postacie te starają się o poetyczność, naprężają się, nadymają się do piękności, i że ten ton dyskusyi, nauki, chce być koniecznie tonem natchnienia i poezyi. Ztąd największa, rażąca wada poematu, ta która sprawia, że on raczej jest do czytania nieprzyjemny: nienaturalność, napuszoność, i postaci i języka. Henryk stoi na szczudłach, kiedy mówi, że „darował skórę zabitego na pamiątkę podłości“ i w wielu innych razach, Aligier stoi na szczudłach, kiedy powtarza swoje pompatyczne „czy nie wiesz“, albo „ja ci mówię“, lub podobnie; księżna Rahoga nawet, choć nic nie mówi, tylko przez plac przechodzi, tak jest opisana, że podejrzywamy ją mimowolnie, że pod jej czarną suknią muszą być szczudła. I Henryk i Aligier mają grandiloquentią, która przez swoją nienaturalność staje się przykrą; ton ich głosu jest często sforsowany, przeciągnięty, fałszywy. Zkąd to? oto ztąd, że figury, w których było rzeczywistego wiele, a do tego figury poematu, którego treść polemiczna i tendencyjna z natury rzeczy poetyczną nie była, z gruntu już, z urodzenia zagrożone były realizmem i prozą. Krasiński to czuł, bał się tego, chciał tego uniknąć, chciał żeby one były poetyczne, i stracił miarę; zmysł artystyczny go zawiódł, figury nie są poetyczne, a są nienaturalne i napuszone.

Podobnie stało się z językiem. Nigdzie może styl Krasińskiego nie jest tak wymęczony i męczący, jak w tym poemacie. Pełno słów ukutych umyślnie na to, żeby były

głębokie, ważne, obejmujące wiele rzeczy, dosadne, lapidarne i obrazowe, a one tymczasem brzmią nam źle w uszach, wyglądają sztucznie, rażąco. I znowu ztąd, że przedmiot treść, poetycznym nie był. Wykład historyozofii, dyskusya z rewolucyą i o niej, to tendencya, to dydaktyzm, słowem proza. On tymczasem, chciał koniecznie zrobić z niej poezyę, chciał nadstawić poetycznym językiem, wielkim stylem, wrodzoną i konieczną ścisłość rzeczy. I znowu przebrał miarę, znowu wpadł w przesadę.

Jako poemat więc, jako dzieło sztuki, *Niedokończony* jest istotnie bardzo niedokończonym. Ale jako nauka moralna wyciągnięta z historyi, jako przystósowanie tej nauki do kwestyj politycznych, słowem jako prawidło patryotycznego obowiązku, pod tym względem jest on i głęboki i piękny. Pod względem ocenienia i charakterystyki różnych defektów organicznych naszego wieku, jest mądry i trafny. Strona główna, strona tendencyi, ta odpowiada w zupełności założeniu i zamiarowi autora, — a jak dziełu zapewnia wartość i znaczenie na zawsze, choćby tylko znaczenie komentarza do pojęć autora i do jego poezyi, tak z drugiej strony znowu przez to, że jest takim komentarzem, takim wykładem jego nauki moralnej, politycznej i patryotycznej, staje się i dla tego autora pięknym pomnikiem, bo świadczy każdem słowem, że ta jego nauka była bardzo szlachetna i wzniosła.

III.

Wiersz do Elizy. Inne wiersze do żony. Trzy miłości w życiu Krasińskiego. Ich różny charakter. Miłość żony. Poezya miłosna Krasińskiego. Jej cechy, i stanowisko w literaturze. Glossa świętej Teresy. *Resurrecturis.*

Że siła jego natchnienia nie słabła, dowodzi wspomniany wyżej, teraz w Rzymie napisany wiersz, któremu dano tytuł *Roma*, a który w autografie poety nosi tylko napis *do Elizy*: wiersz jeden z najpotężniejszych uczuciem, najwspanialszych

formą, jakie Krasiński kiedykolwiek napisał. Wszystko, co było w samej głębi jego duszy jako wiara, jako miłość, jako nienawiść złego, i jako pojęcie dziejów, to wypowiada się; nie wybucha tu namiętnie jak wulkan, ale wylewa się z silniejszym niż namiętność spokojem i majestatem pewności, przeświadczenia, jak massa wód w łożysku wielkiej rzeki; one płyną spokojnie, ale nic ich nie zatrzyma, i do kresu swego dopłynąć muszą. Irydion, gdyby po swojej próbie powtórnej, przemieniony w duchu, wrócił z ziemi mogił i krzyżów do miasta niegdyś nienawiści swojej, takiemi witałby je słowami, takiego doznałby uczucia tryumfu; tryumfu nie zemsty zaspokojonej, ale zaspokojonego sumienia. Z dziejów świata wyciągnął naukę, której Rzym jest dowodem, „że jest duch „mściciel, co z bożej zasady, tkwi w dziejów głębinie, — „że ujarzmiciel, choć dziki i śmiały, przeznaczon ruinie“. Słowa są godne Irydiona, do miary jego heroicznej piersi, i duszy pół-boga. Przypomina się zaś Irydion przy tym wierszu i dlatego jeszcze, że jak on był poematem rzymskich wrażeń i obrazów, tak tu jest streszczenie i essencya sama całej tej ogromnej summy myśli i uczuć, jakie wywołuje Rzym częściowo w duszy każdego myślącego człowieka — jakie wywoływał w zupełności i sile wyjątkowej w duszy Krasińskiego. Jako forma wreszcie, jako styl, jako dobór i szyk wyrazów, jest ten wiersz — w swojej drugiej połowie — żeby użyć własnego wyrażenia Krasińskiego o wierszu Słowackiego — jedną z przedziwności polskiego języka.

Ale oprócz tych uwag, nasuwa wiersz ten jedną jeszcze, której pominąć nie można. Pisany jest do żony. Warto zatrzymać się chwilę, i zastanowić nad rodzajem tego uczucia.

Trzy razy kochał Krasiński bardzo; trzy kobiety znaczą wiele w jego życiu, i połączone są z jego pamięcią. Pierwsza, to ta, której przypisał *Irydiona* „na pamiątkę chwil minionych a jedynych“, ta, którą w listach oznacza pierwszą literą nazwiska, Pani B. Druga, ta, którą nazywa swoją Beatrix, pani Delfina Potocka. Trzecią była żona. Każda

z tych miłości była inna, każdą on inaczej czuł, a każda odmiennie odbiła i odmalowała się w jego wierszach [1]).

W pierwszym okresie, za pierwszej miłości, odbiła się w wierszach (jak widzieliśmy wyżej) tragedya i zgryzota tego uczucia; w okresie drugim jego potęga i namiętność, niekiedy jego szczęście bez granic. Cóż się wyraziło w okresie trzecim i ostatnim?

W trzecim przychodzi to, co w poezyi najrzadsze właśnie. Wzniosła, czysta, idealna, święta prawie miłość dziewicy — kochanki lub narzeczonej — ta odzywa się u poetów nieraz, stosunkowo często. Ale miłość męża do żony? tej nie widzi się prawie nigdy. Niema wierszy Dantego do Gemmy Donati; Mickiewicza znamy tylko wierszyk do *panny* Celiny; Charlotta Lengefeld, choć z pewnością bardzo kochana, nie jest nigdy poetycznym ideałem Schillera. U Krasińskiego, z wielkich poetów jedynego podobno, staje się takim ideałem żona. To miłość jego ostatnia, najwyższa; a choć jej nigdy imienia Beatrice nie daje, najpodobniejsza do tego uczucia, jakie miał Dante do zmarłej a prawie wymarzonej; bo ta miłość oznacza i skupia w sobie wszelką miłość dobrą. Beatrix już w niebie wysoko nad Dantego wzniesiona, ciągnie go wyżej, aż do najdoskonalszej miłości Boga; — ta na ziemi, obok poety-męża, z nim ręka w rękę przebywa trudną drogę życia, i razem przez miłość wszystkiego co dobre, oboje postępują coraz wyżej. Ale on wierzy i wyznaje, że ona idzie o krok przed nim i drogę wskazuje, stoi wyżej i jemu wznosić się pomaga.

Taki jest charakter, taka treść tych jego wierszy, które poświęcone są trzeciej ostatniej miłości. Namiętności już żadnej, tylko cześć, tylko uwielbienie tej, której w poufnych zwierzeniach daje żartobliwy a wspaniały przydomek *Pani Niezrównanej* (Incomparabile Donna), a która w jego oczach,

---

[1]) Ustęp ten drukowany był w *Przeglądzie Polskim* (Lipiec 1888), pod tytułem: *Miłość w Poezyi Krasińskiego.* Obecnie mało zmieniony. P. A.

w jego przekonaniu, w jego poezyi wreszcie, stoi jak objawienie doskonałej duszy i ciała piękności.

Nie od tego się zaczęło, ale na tem się skończyło.

W r. 1843, w roku ślubu, pisze na jej prośbę pierwszy do niej wiersz, a pisze jak człowiek, który się winnym czuje, bo nie tyle kocha, ile jest kochanym. Przeprasza za wszystkie bóle jakie sprawił, ale szczęścia nie przyrzeka. Owszem, myśli, że jego śmierć, gdyby przyszła, jakto przypuszczać się zdaje, mogłaby jej wrócić szczęście. I w myśli że odejdzie, zostawia jej błogosławieństwo i prośbę; nie o to, by jego i pamięć jego kochała (do tego prawa sobie nie rości), ale żeby kochała tych, których on kochał, a zwłaszcza żeby kochała jego myśl.

Jej dotrwać może wiernem twe kochanie,
Bo nic w niej nigdy niskiego nie było.

Istotnie, miłość wspólna tej wzniosłej myśli, przyczyniła się wiele do wychodowania wzniosłej miłości wzajemnej.

Czy były, jakie były wiersze do żony przez wszystkie lata pośrednie? W listach do niej, może się jakie kryją i jeszcze kiedy odkryją. My, ich nie znamy, i dla nas niewidzialna jest przemiana, jaka się w jego sercu odbywa; jak z człowieka oskarżającego się że kocha nie dosyć, robi się ten co pada na kolana i wielbi. Widzimy tylko zmianę już dokonaną. Jak w *Nieboskiej Komedyi* widmo fałszywej piękności, tak w jego sercu, w jego wyobraźni, rozwiały się i pierzchły wszystkie złudne mary niewieściego ideału, a została ta, w której wszystko było rzetelne, wszystko prawdą, piękność kształtu jak duszy szlachetność i wzniosłość.

Ziemia ta cała tak potwornie podła —
Lecz ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, tyś jedna nie mara,
A jednak w tobie ideału piękno.

Tryumf wspaniały (a bodajby nauczający) niewieściej godności i cnoty. Zwycięstwo tej, w której niema udania ni fałszu: która sztuk żadnych nie zna, ani nie używa; która ani sama kocha, ani na mężczyznę nie działa fantazyą czy nerwami, ale wszystkie jego uczucia, jeśli dobre, zrozumié i podzieli: która, kiedy cierpi, to łagodnie i spokojnie; która dręczyć nie umié, tylko się poświęcać; która miłości własnej w miłości nie ma i nie mieści; która przebacza kiedy potrzeba, a zwycięża i podbija nie „chytrością i zdradą niewiasty," ale rzetelną prawdą swojej wartości, i tem że zawsze w każdem uczuciu, czy każdem postępku, mężczyzna widzi ją lepszą od siebie. Taką każdy chce kochać — tylko tę którą taką widzi, kocha zupełnie i ostatecznie. Z nią razem, a przy niej i przez nią lepiej, kocha wszystko co boskie na ziemi, od własnych dzieci aż do ojczyzny; za nią i przez jej miłość uczy się coraz bardziej, coraz prawdziwiej kochać Boga.

A w tym związku dusz przez wzniosłe miłości jedna jest, która obie dusze rozpłomienia i w jeden żar stapia:

Za to, żeś wzgardą na pyszne orężna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogom tchnień bożych ty mężna,
Ach, już na wieki ciebie ukochałem.

A więc i w miłości ojczyzny ona jego „siłą jedyną"—ona pokrzepieniem, ona spełni w sobie ideał tej miłości, jaką podług niego być powinna I dlatego ona także ma jeden jeszcze tryumf. Miała niegdyś wielki Beatrice, kiedy poeta młody zaczynał *Przedświt* jej imieniem. Ale większą chwałę ma żona, kiedy mąż dojrzały, po wszystkich doświadczeniach i zawodach życia, w wierze i nadziei swojej niezachwiany ale utwierdzony i jak złoto w ogniu oczyszczony, u jej stóp składa wyraz swoich wiar i nadziei niezłomnych; w jej serce tchnie pewność, którą sam oddycha, na jej głowę zlewa błogosławieństwo za to że nie zwątpiła nigdy, w tym wierszu, który jest jednym z najwyższych przez natchnienie, jednym z najwyższych, najmędrszych, najlepszych przez prawdę.

O Polko moja! bądź błogosławiona,
Że gdy świat ginie i Ojczyzna kona,
Tyś uwierzyła wśród czasów zawiei
W nadzieję — przeciw samejże nadziei.

I oto trzecia miłość w jego życiu, trzeci okres w jego miłosnej poezyi. W pierwszym była zgryzota, w drugim namiętność, w trzecim jest adoracya — jest miłość ziemska, ale tak wysoka, że nadziemskiej już blizka, uszlachetniona i spotęgowana związkiem we wszystkich dobrych uczuciach i celach; jest miłość uduchowniona i do ideału piękności do doskonałości cnoty podniesiona, miłość, jak ją chrześciaństwo pojmuje i wyrabia.

Może nie będzie od rzeczy zapytać, co te wiersze znaczą, jakie ich miejsce w poezyi polskiej? Wysokie z pewnością, bo są jej wielką, świetną ozdobą. Rzecz to, która sama wpadnie w oko każdemu, kto się więcej tą poezyą zajmuje, że miłość nie jest tą struną, co się w niej najwięcej, najpotężniej odzywa. Czy mamy z tego wnosić, żeśmy do niej mniej od innych narodów skłonni, w niej nietyle co drudzy czuli lub namiętni? że u niektórych zdarza się zapewne miłość w wielkiej potędze, ale ogół niema tego stopnia wyobraźni i namiętności, który służyłby za grunt wulkaniczny gorejącej miłości poetów? Może to prawda, że większość u nas kocha serdecznie, poczciwie, nieraz rzewnie, ale spokojnie, po gospodarsku, żeby się tak wyrazić; a jeżeli tak jest, to wielkie w tem szczęście dla naszych żon i małżeństw, ale może niejaka szkoda dla naszej poezyi. Jednak wniosek, tembardziej twierdzenie takie, byłyby za śmiałe; zaprzecza im wiele rzeczywistych, wzniosłych, a nieraz tragicznych przygód miłosnych w życiu, zaprzecza *Gustaw* Mickiewicza, Słowackiego *Szwajcarya*, i wiele innych w poezyi. To wszakże prawda i fakt, że w tej poezyi miłości niewiele. Po Kochanowskim (którego pieśni miłosne nie są najlepszą częścią jego dzieł i chwały), raz się tylko z wielkim wdziękiem odzywa w *Roxolankach* Zimorowicza; niezupełnie bez wdzięku, ale bez szczególnego w *Lutni* Morsztyna. Ładnie,

poczciwie, ale bardzo spokojnie, po gospodarsku, w *Lirykach* Kochowskiego. Potem długie milczenie; potem Trembeckiego zgrabne dwuznaczności i Karpińskiego lub Kniaźnina nie zawsze zgrabne, a zawsze jednostajne i jednotonne tkliwości. Potem Brodziński, w którego poezyi (jak w jego życiu) miłość nie gra wielkiej roli, a odzywa się rzadko, łagodnie, cicho... aż dopiero z *Gustawem* zjawia się po raz pierwszy miłość potężna, namiętna, rozpaczająca i przeklinająca, szalejąca i konająca; pierwszy zakochany bohater miłosny. Z *Maryą* Malczeskiego, pierwsza w naszej poezyi postać kochającej kobiety.

Ale i u Mickiewicza także, mimo *Gustawa*, mimo *Aldony*, miłość nie jest pierwszą i główną struną poezyi; w jego poematach (z wyjątkiem czwartej części *Dziadów*, a i tu osądzona jest jako zbyteczna, chorobliwa, szkodliwa i winna) albo służy tylko za środek związania powieści, jak w *Tadeuszu*, albo, jak w *Wallenrodzie*, jest na to, żeby się czemuś większemu od siebie poddała i poświęciła. Między lirycznemi wierszami Mickiewicza, erotycznych jest stosunkowo niewiele. Jeszcze mniej między wierszami Zaleskiego, Pola, Gaszyńskiego, Garczyńskiego... Słowacki — dziwnie, bo rzecz bardzo wątpliwa, czy kiedy naprawdę bardzo zakochany — napisał i najpiękniejszy poemat miłości, *Szwajcaryę*, i nieliczne, ale w smutnym wdzięku prawie niezrównane drobne wiersze *Rozłączenie* i *Przekleństwo;* i jeden między nimi wszystkimi stworzył w swoich dramatach i powieściach postacie, w których miłość była coraz inna a zawsze urocza, umiał za swoich zakochanych mówić na wszystkie tony i sposoby, a najczęściej świetnie. (Zbigniew, Wojewodzina, panna Aniela, Semenko, Beatrix Cenci i Giani, hrabina Idalia, Jan i Diana w *Niepoprawnych* itd.).

Krasiński w swoich poematach nie stwarza zakochanych, nie myśli o miłości; używa jej tylko jako potrzebnego środka do podniesienia tragicznego efektu nieszczęścia lub poświęcenia. W *Nieboskiej Komedyi* niema jej wcale (skoro Hrabina jak cień się tylko przesuwa i znika). W *Irydionie* służy do tego tylko co pomienionego celu; odzywa się jako

stłumione marzenie Elsinoy, jako wyrzeczenie się szczęścia u jej brata; w Kornelii jednej wybucha jak wulkan, ale i sprawą główną nie jest, i służy za wyraz pewnej prawdy, i (pomimo całej swojej poetycznej piękności) za dowodzenie niejako pewnej tezy. W *Nocy Letniej* jakiś czarny rycerz zabija dziewicę i siebie; w *Niedokończonym Poemacie* zaczyna się miłość Młodzieńca do księżnej Rahoga, ale się zaraz urywa... dość, że w poematach Krasińskiego, jest czasem mowa o miłości, ale jej samej niema.

Jest zato w tych drobnych wierszach, rozrzuconych między listami...

Jaka ich cecha, jaka różnica od wierszy podobnych innych naszych poetów?

Ta, że w nich jest mniej rzewności, mniej może wdzięku niż u innych, a zato więcej namiętności. W swojem uczuciu miłości, w swoim sposobie jej wyrażenia, okazuje Krasiński dużo potęgi, dużo namiętności, dużo woli — ale zawsze więcej siły niż czułości. Rozpacza często — nigdy nie kwili. Zdaje mu się nieraz, że z tej żałości umrze — nigdy, że oszaleje. Siłą swojej myśli i swojej woli panuje nad sobą i nad rozpaczą; siłą swojej miłości nad kochanką. Smutny zawsze tak, że same jego uniesienia szczęścia są ponure, nie jest wcale melancholiczny. Zawsze w naprężeniu lub rozstrojeniu nerwów żyjący i piszący, w miłościach swoich nerwowym nie jest wcale; jak nie jest w nich rozmarzonym, choć jego wyobraźnia zawsze do marzenia pochopna. Miękki wtedy tylko, kiedy się nad kochanką lituje, kiedy jej żałuje, niema w swojej miłości tych tęsknot i skarg, tych wdzięków i gracyi, jakie ma Słowacki (naprzykład w *Szwajcaryi*) i jakie nadawać umié swoim bohaterom. Do tej miłości, naprzemian wybuchającej namiętnie i omdlewającej z tęsknoty lub nadmiaru szczęścia, albo umierającej z żalu, jego miłość niepodobna wcale. Niepodobny w tem do całego pokolenia romantyków europejskich, niema on w swojej miłości tego nadmiaru uczuciowości, tej melancholii, jaką ma i Słowacki, i Musset, i Heine, i *Gustaw* Mickiewicza. W miłości tamtych jest ten pierwiastek bierny, żeński, który Klaczko tak bystro

odkrył i opisał w *Romeu* Szekspira[1]). — Krasiński jest namiętny, ale nigdy słaby; kochający całą duszą, ale nigdy sentymentalny; porywający i zwycięzki nieraz, nigdy rozstrojony. *Minor* w poezyi miłosnej Słowackiego i innych, prędzej wkradnie nam się do serca, rozkołysze, nastroi na ton nieokreślonych marzeń, tęsknot albo pragnień; w wierszach miłosnych Krasińskiego, w samych nawet ostatecznościach zachwytu czy rozpaczy, brzmi zawsze *major* śmiały i pewien siebie, dominujący. Wrażenie, jakie on wywołuje, nie wkrada się w serce i umysł czytelnika, ale im się narzuca; wdzięku mniej, a zrazu jest jakieś wrażenie jakżeby przestrachu przed czemś potężnem i despotycznie owładającem. Ale ze wszystkich naszych poetów on jest podobno najbardziej namiętnym, i najbardziej męzkim. Kocha, wielbi, ubóstwia, kochankę ma za anioła, a siebie za ostatniego grzesznika; ale choć ona tak wysoko, a on tak nizko, choć ona za sobą ciągnie go w górę, on panuje. Otacza miłością, opieką, obroną, sypie jak może kwiaty pod jej stopy a ciernie usuwa: ale nie służy, nie jest niewolnikiem. W jego poezyi (zapewne w jego życiu) niema więzów czy pętów miłości, do niej ta utarta przenośnia nie przystaje; on się oddaje, ale się nie poddaje, jest zawsze wolny, jest zawsze wyższy, jest zawsze panem.

W tem różny — z wyjątkiem jednego może Byrona — od wszystkich poetów epoki romantycznej w Europie, a stopniem i potęgą swojej namiętności, jej charakterem męzkim, różny od innych poetów polskich. I to jest, co stanowi istotę i cechę jego miłosnej poezyi, co jej w naszej literaturze nadaje odmienne, osobne znaczenie; jak znowu formy piękność i stopień jego poetycznego talentu, stawiają ją bardzo wysoko w tym rzędzie natchnień i tworzeń.

Wiersz *Do Elizy* nasunął nam te uwagi o miłosnej poezyi Krasińskiego. Wróćmy do innej, która także odzywała się w tych czasach. Z listów do Sołtana z r. 1846, w których mówi, że odłożył na bok św. Teresę, można przypu-

---

[1]) *Wieczory Florenckie.*

szczać, że może wtedy już powstała parafraza jej wiersza, znana pod tytułem *Glossy*. Małachowski mówi (w *Krótkim Rysie*), że ona pisana była w roku 1851 (wydana dopiero w r. 1858, na prośbę krewnych i przyjaciół poety). *Glossa* ta, nie przekład, ale przerobienie, jakoby waryacya muzyczna na temat św. Teresy, ma swoich gorących wielbicieli. Ma niezaprzeczenie wielkie piękności; język i wiersz, pomimo niejakiej nadętości, jest wspaniały. Ale w przerobieniu zmienił się znacznie pierwotny charakter wiersza. W mistycznej i rozpłomienionej pobożnej exaltacyi św. Teresy, jest przecie wielka prostota wyrażeń i stylu, i z nią złączona prostota uczucia. W słowach Krasińskiego ta miłość extatyczna traci swoją prostotę, i jeżeli tak rzec można, naiwność, a nabiera exaltacyi namiętnej i gwałtownej, która, mówiąc po literacku, wygląda może piękniej i poetyczniej, ale nie ma tego charakteru pobożności, samorodnego a prostego popędu miłości bożej, jaki jest w pierwotnych własnych słowach św. Teresy.

Wreszcie, w tym roku 1852, wyszło *Resurrecturis*, także, jak mówią świadkowie, dawniej napisane, a przynajmniej zaczynane. Kilkadziesiąt wierszy zaledwie, ale w nich zawarty jest owoc doświadczeń całego żywota, i dlategoto poeta sam, i wielu z nim, stawiają ten wiersz nieledwie najwyżej, jako ostateczny wyraz jego pojęć, jako odbicie ostatniej i najwyższej epoki w życiu jego duszy. Jest w tym wierszu wszystko, co w poprzednich było pięknego i prawdziwego, a niema tego, co w nich mogło być błędnego i mylnego. Nawet choć wiersz przypisany jest *Resurrecturis*, przecież zmartwychwstanie nie jest tu tak śmiało obiecanem, tak niechybnem, jak w *Przedświcie* lub *Psalmach;* nie woła tu Krasiński: „oto idzie, idzie Pan“, ale po doświadczeniach gorzkich widzi zmartwychwstanie „gdzieś na wieków późnej fali“. Ono przyjdzie; ale jak trzeba na nie pracować i zasłużyć! Jak łatwo można mu przeszkodzić! Jak z jednej strony najściślejsza zgodność z nauką Kościoła, prawowierność najzupełniejsza, tak z drugiej wszystko co w jego dawnem pojęciu Polski mogło być przesadnie idealnem, złudnem, dumnem, a zatem mylnem, to znika; zostaje tylko

czysta i święta prawda, wiara w dobrą sprawę, oparta na sprawiedliwości Boskiej i na pracy i zasłudze ludzi, a wiara tak stała i niezachwiana, jak kiedykolwiek. Z tego względu więc można mówić słusznie, że *Resurrecturis* jest punktem kulminacyjnym pojęć Krasińskiego, jego najczystszą prawdą.

Niektórzy mówią, że poezya nie jest na wysokości moralnej prawdy i wartości. Jest tu — mówią — taka ścisłość założenia i wywodów, taka systematyczna dokładność w wykładzie obowiązków patryotycznych i im odpowiednich przepisów postępowania, że wiersz ten robi nieledwie wrażenie matematycznej formuły na zbawienie ojczyzny. „Świat ten, „to cmentarz z krwi, i z łez i błota“, ale pomimoto nie trzeba „skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca“ — tylko „po„znać siebie, być arcydziełem nieugiętem woli, być cier„pliwością, tą panią niedoli“, spokojnością, miarą, strojem w rozstroju, „w ciągłej przykładu i słowa postaci, rozdawać siebie samego swej braci“. — „Póki męczeństwo nie pewnią zwycięztwa, twem dobrem tylko a nie człowieczeństwa“, unikać męczeństwa: a wtedy, gdy „dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła“

Ze zdarzeń powodzi,
Po nad klęsk otchłanie,
Niezrodzone się narodzi,
Sprawiedliwość wstanie.

To jest bardzo prawdziwe, bardzo logiczne, politycznie mądre, moralnie wzniosłe, ale poetycznie nieco ścisłe i suche. To jest zbliżone do doskonale ułożonego syllogizmu, albo do niewątpliwie z założenia wyprowadzonej formuły na jakiś pewnik matematyczny.

Ludzie potrzebują i żądają, żeby poezya przemawiała do ich wyobraźni, żeby „grzmiącemi słowy“ wstrząsała ich uczucie; nie dziw więc, że — zwłaszcza młodym — *Resurrecturis* wydaje się zbyt ścisłe i suche. Dydaktyczny, dogmatyczny pierwiastek nie da się zaprzeczyć. Ale czy zaprzeczenia potrzebuje, czy wierszowi temu ujmuje to i szkodzi? To inne pytanie. Kto młody i wyobraźnią unoszony lubi

w poezyi szukać popędu i materyału do marzenia lub extatycznego zachwytu, ten nie znajdzie w *Resurrecturis* czego szukał, i powie, że to rzecz zimna. Ale w różnych okolicznościach i stosunkach, może w różnych latach, różnie też działa na nas poezya; i nieraz to, co młodego zimnym zostawi, to wstrząśnie do samego dna całą duszą człowieka dojrzałego. Ten młody jeszcze nie rozumié co to warte, bo nie doświadczył, jak prawdziwe i mądre. Ale kto w trudach i uciskach życia musiał się przekonać, że ono jest nieustanną, ciągle odnawiającą się walką ze złem, komu po wielkich rozwiały się i małe i najskromniejsze nadzieje, kto straszną siłę rzeczywistości nie zgłębił do dna i obliczył dokładnie, ale tylko trochę poznał w jej istocie i w jej skutkach, kto co dnia, na każdym kroku, musiał „wątpić o braci swojej", a zwalczać pokusę „rozpaczy o Bogu samym" — i kto wbrew temu wszystkiemu wié że powinien, i chce póki żyje nie dać się, nie godzić na upadek, ale ratować i dźwigać — takiemu *Resurrecturis* wyda się inaczej. Taki we wszystkich walkach, trudach, zwątpieniach, kiedy mu ręce opadają a serce zamiera, w słowach tego wiersza znajduje pokrzepienie, siłę i otuchę. Głos wyższy, duch mający prawo rozkazywania, bo uczuciem, mądrością, sumieniem i boleścią od innych większy, każdem słowem tego wiersza wskazuje mu, co powinien. W obietnice się nie bawi, ale obowiązek przypomina. Co będzie, to od ciebie nie zależy; do ciebie należy, na twojej odpowiedzialności jest, żeby być mogło. A możliwem się stanie, jeżeli zachowasz się tak, jak ci tu mówię. Kto trochę przeżył i doświadczył, ten dopiero zaczyna tak rozumieć *Resurrecturis;* i ten w omdleniach i uciskach swoich zażywa je jak kordyał, jak te krople elixiru życia, które preparowali dawni czarodzieje. Ten wié, jakie tam każde słowo mądre; wié, jak potrzebna „cierpliwość, pani niedoli"; wié jak trudno „gmach stawiać z niczego" i jak powoli idzie ta budowa; wié co za straszna i nicości blizka rzecz „rozstrój" i jak „strój" potrzebny, wié, że „męczeństwo bez pewni zwycięztwa" jest tylko „marnej sławy wieńcem", a nie zbawieniem ojczyzny; — i wié, że jeżeli *Resurrecturis* jest matematyczną

formułą na zbawienie ojczyzny, to przynajmniej dobrze wynalezioną formułą, i pewną.

Polityczny dydaktyzm jest w całej poezyi Krasińskiego od początku do końca; ale kto pod nim nie czuje i nie widzi najgorętszego ognia miłości ojczyzny, ten sam nic chyba widzieć i czuć nie umié i nie zdoła. Jest ten dydaktyzm i w *Resurrecturis*, i dobrze, słusznie, że jest. Na schyłku życia, na odchodnem, jeszcze raz ten poeta w krótkich słowach zamknął to, co przez całe życie mówił, uczył, wierzył; a jak w całej jego poezyi i całem życiu, tak w tym wierszu goreje tasama „nad śmierć silniejsza siła ukochania". Wszystko mówi, nic nie opuszcza, cośmy robić, czegośmy się strzedz powinni. Sumienie, miłość ojczyzny, honor i rozum polityczny, łączą się tu i podają nam w krótkich słowach prawidła postępowania. Zakończeniem, konkluzyą poezyi Krasińskiego, jeżeli ona miała być całkowitą i (jak ona się wyrażać lubi) dopełnioną, powinna była być taka krótka treść jego nauki. Tem jest *Resurrecturis.* Przyjmujemy dlań chętnie, nawet skwapliwie, ironiczną nazwę formuły na zbawienie ojczyzny; ale dodajemy do niej drugą. Dydaktyczna, politycznie tendencyjna poezya Krasińskiego, skończyła swoją pracę i missyę krótkim *Politycznym Katechizmem*, w którym dogmatycznie i apodyktycznie spisała jak ma się zachować naród upadły, jeżeli chce się dźwignąć i być wielkim.

Tem jest *Resurrecturis.* I dlatego słusznie jest mówić, że ono jest pieczęcią, którą Krasiński przyłożył na swojej poezyi. Na całej tej poezyi, której przedmiotem i celem była przyszłość, odrodzenie, wielkość narodu, zbawienie i chwała ojczyzny, a której to poezyi on był wyobrazicielem w mierze tak zupełnej, tak wyłącznie i jedynie, jak żaden drugi.

IV.

Przewidywania wojny Wschodniej. Zima w Warszawie. Urodzenie drugiej córki. Wojna i nadzieje. Memoryał dla Napoleona III. Śmierć Mickiewicza. Jego pogrzeb i list Krasińskiego o jenerale Zamoyskim. Kongres Paryżki. Nowa polityka Rossyi. Jej niebezpieczeństwo. Zima w Paryżu. Lato 1857 w Potoku. Śmierć córki. Wpływ na zdrowie. Ostatnie wiersze. Ostatnie listy o Polsce. Pobyt w Plombières. Napoleon III. Cavour. Postęp choroby. Zamierzona podróż do Algieru. Śmierć ojca. Ostatki życia i zgon.

Pism już nie będzie żadnych (z wyjątkiem kilku wierszy do żony); żywot poetyczny Krasińskiego jest skończony. Żywot człowieka trwać ma jeszcze lat kilka, a w tych latach na tle zdarzeń rodzinnych i wzrastającego ciągle postępu choroby, odznacza się wyraźniej jeden fakt: wojna wschodnia, z wiążącemi się do niej nadziejami i wynikłemi z niej zawodami.

Wojnę tę przewiduje Krasiński wcześnie; już w r. 1852, kiedy po powrocie z Rzymu spędza lato w Badenie. Może spotkania przypadkowe, ale dość liczne z ludźmi blizkimi samego steru francuzkiej i rossyjskiej polityki, jak Walewski i Morny, jak książę Gorczakow, podówczas poseł rossyjski w Stuttgardzie, ułatwiły mu to przewidywanie i doprowadziły do wniosku, że wojna niedługo nastąpić będzie musiała; dość, że widzi ją jasno jako nieuniknioną, a przepowiada, że materyalnym powodem i przedmiotem sporu będą Miejsca Święte. Dnia 22 listopada 1852 tak pisze do Trentowskiego: „Patrz uważnie na dwa punkta: na Londyn i Hierozolymę, „ztamtąd wyjdzie wojna. Koło grobu Chrystusa spór się „wszczął między Moskwą a Francyą, w Londynie odbywają „się straszne, choć niewidzialne zamachy, przeciwko następcy „W. Napoleona; państwo Ottomańskie chyli się ku rozbiorowi. „Powtarzam ci: patrz na Hierozolymę, patrz w stronę grobu „Chrystusa; choć strony oń spierające się, w tej chwili mniej „może oń dbają, krasząc tylko politykę swą ludzką świętem „jego imieniem, Bóg tak je powiedzie, że od tego imienia, „co zwyciężyło wieki, rozpocznie się teraz wieku naszego

„przeobrażenie. Ztamtąd wojna wyniknie! *Si vis pacem para* „*bellum*, to prawidło przewrócił Ludwik Napoleon i działa, „mówiąc: *Si vis bellum para pacem*. Tak dziś konspiruje „o wojnę, jak przed rokiem konspirował o zniesienie Izby. „Ten człowiek ma wiele ze Sfinksa w sobie, kto go nie zro„zumié, tego on pożre. Miasto krzykaczy tysiąca, świat „w nim dostał jednego *milczącego*, i ten jeden *milczący* albo „legnie, albo w *czyn* wprowadzi to właśnie, o czem roili ci „krzykacze, radząc rzezią świat do postępu gnać, a nie „umiejąc nad ten nędzny sposób innego sposobu użyć do „swoich celów! Jeśli zaś ten jeden *milczący* legnie, to po „nim zostanie tylko zamęt i znowu tylko Rzeż!“

Potem znowu z konieczności (odmowy paszportu) zima w Warszawie, w stanie zdrowia (jak tam zawsze) jeszcze gorszym; i w takim w lecie do Niemiec powrócił. Najmłodsze dziecko, córka nazwana Elizą, przyszło na świat w r. 1853. W początkach 1854 r. budzi się w nim, jak w całej Polsce, nadzieja. Nie! to nie będzie nic błahego i daremnego, to nie może skończyć się na niczem! Dla Krasińskiego mają te wypadki, oprócz wielkich obietnic na przyszłość, i poetyczny urok, przez podobieństwo jakieś z rycerską przeszłością: „Wiedziałem ja dobrze od drugiego grudnia, że inny prąd „zaczął płynąć i popychać fale na oceanie świata. Najstarsza „córa Kościoła znów idzie na krucyatę i znów z Ryszardem „Lwiego serca; inne kształty, pozory, a konieczność tasama, „a cel jeden, i znów wszystko się rozpoczęło od kwestyi „o grób Chrystusa! *Admirabilia!* Oto dopiero ukryte ścieżki „Pańskie, i mądrość ludzka, która głupstwem przed Bogiem!! „Spodziewali się tyle od 1848, nie spodziewali się niczego „od drugiego grudnia. Jakżeż niedorzeczni, i jakże wypadki „kłamstwo ich rozumom zadają!

Mimo nadzieję, przewiduję mnóstwo boleści i klęsk „i najtrudniejszych przepraw. Oh! być bez zdrowia teraz, to „najsmutniejsza z dól, czasem wielka rozpacz znachodzi się „w sercu mojem. Czy przypominasz sobie Wernyhory proro„ctwo i legendę o Bobolim? Wszystko dziwne, wszystko

„Pańskie! Raz jeszcze cię ściskam z głębi głębin serca“ (do Sołtana 21 lutego 1854).

„O sobie samym smutno marzę, często beznadziejnie, „lecz za to z tem wierniejszą nadzieją o drugich. *Credo*, „*credo, credo!* nie *quia absurdum*, ale, *quia divinum est*, „*quia miraculosum est*, któż albowiem nie widzi, że palec „Boży przyciśnięty jest do czoła świata, i że świat musi „przed tym wszechmocnym przyciskiem się przerabiać? Był „dotąd ten łeb świata z głazu, a z wosku się staje i na „wszystkie strony kapać zacznie!“ (do tegoż 25 marca).

Boi się tylko, że ta wojna może się odwlec, że Mikołaj się cofnie. „Niechże prędzej już odezwą się działa. Zawsze „lękam się, by w ostatniej chwili szatan, który tchórzem „jest, w końcu nie wycofał się, nie zasiadł na splotach ogona „i nie rozśmiał się szydersko, i nie przystąpił do zgody! „Kiedy bowiem dosadnie zgłębić chcesz charakter moskiew„ski, to proś teologa, by ci dokładny dał opis szatańskiego, „i według tego się kieruj“ (do Małachowskiego 10 marca).

Ale mimo tej obawy „nadzieję wielką czuję w sercu. „Bije, bije godzina. „Będzie Polska w imię Pana!“ Czy pa„miętasz tę zwrotkę? Daleko wtedy było do niej; dziś już „blizko. Bylebyśmy sami jakiego piramidalnego głupstwa „nie zrobili, na demokratycznej drodze“ (tamże).

Nie poprzestał Krasiński na listach, na wywnętrzaniach się przed przyjaciółmi; czuł, że przekonać, poruszyć trzeba takich, co mogą wolą swoją wpływać na wypadki i znaczyć w dziejach. Małachowski podaje następujący mało znany szczegół:

„Krasiński, w przekonaniu o ważności tej chwili i na„stępstw tej wojny dla sprawy polskiej, powziął myśl i napi„sał obszerny memoryał „O stosunkach Rosyi do Europy, o „ważności i potrzebie podjęcia i rozwiązania kwestyi polskiej „w tej chwili, w celu zapewnienia trwałego pokoju i szczęścia „Europy w przyszłości, które nastąpić i urzeczywistnić się „mogą tylko przez przywrócenie niepodległego bytu Państwa „Polskiego, położonego między Niemcami i Rosyą“. Przedsta„wiał w nim, że Francyi powołaniem, przeznaczeniem i chwałą

„jest zaprowadzenie w Europie sprawiedliwego chrześciań-„skiego położenia rzeczy i porządku. Że jedynie w takim „duchu postępując, zapewnić sobie może trwałość, wielkość „i chwałę na przyszłość.

„Tak napisany memoryał za pośrednictwem Księżnej „Stefanii Badeńskiej, ciotki Napoleona cesarza [1]), dostał się „do rąk jego na początku wojny wschodniej w Krymie „roku 1854".

W ciągu roku 1855 ton listów się zmienia, staje się smutniejszym. Wypadki nie idą tak, jakby on pragnął. Coś się w nich psuje i krzywi. Co? nie wié, ale to czuje; jak czuł powszechnie wrodzony instynkt polski. Jednak zawodu, marnego końca, nie przypuszcza Krasiński, jak nikt nie przypuszczał.

„Rzeczy żółwieją mojem zdaniem coraz bardziej, oblę-„żenie Krymskie zżółwiało zupełnie; Austrya czego się tknie, „to wprowadzi tam pierwiastek żółwiowatości i podstępu, „składającego się z wiecznej zwłoki; tymczasem Moskwa „silnieje, kupi wszystkie swoje zasoby. Jednak ufam w Boga „wszechmiłosiernego, który na nic rozetrze te wszystkie pod-„stępy ludzkie i z nichże samych wyprowadzi zwycięztwo „sprawy sprawiedliwej i kościoła przeciwko Bizantyńskim „podaniom" (do Małachowskiego 18 stycznia 1855).

Potem Małachowski jest w Turcyi, listów do niego przez cały ten czas niema żadnych. W innych też o wypadkach ledwo nieznaczące wzmianki. O wzięciu Sebastopola nawet mowy niema. Dopiero śmierć Mickiewicza dobywa z piersi Krasińskiego głęboki krzyk żalu, w którym odzywają się wszystkie dobre, gorące uczucia, jakie miał dla niego w życiu.

„Pan Adam już odszedł od nas. Na tę wieść pękło mi „serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem „i żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas

[1]) O znajomości z W. ks. Stefanią i jej życzliwości dla Krasińskiego wiele wzmianek w Listach, zwłaszcza do Małachowskiego.

„był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. „Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone „nie z głazów ale z serc tylu żywych i krwawych; filar to „był olbrzymi, choć rozpękły sam, a teraz dołamał się i runął „w przepaść. I całe sklepienie ono zadrżeć musi, i kroplami „krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego gro„bem! Największy wieszcz, nietylko narodu ale wszystkich „plemion Słowiańskich, już nie żyje.

„Smutno — smutno — smutno!“ (do Sołtana 5 grudnia 1855).

Ze śmiercią Mickiewicza łączy się inny wypadek drobny, ale taki, którego pominąć nie można, znieważenie jenerała Zamoyskiego, przy jego pogrzebie w kościele Magdaleny w Paryżu. Krasiński pisze o tem do Sołtana, 7 lutego 1856, w liście, który w zbiorze zamieszczonym nie jest. Podajemy go jak był drukowany z rękopismu należącego do hr. Michała Sołtana (syna Adama) w *Przeglądzie Polskim*, (styczeń 1877).

„W sam dzień i chwilę pogrzebu Mickiewicza, na scho„dach Magdaleny, gdy za trumną wstępował ten, co najzna„komitszy wytrwałością, odwagą, wiarą i duszy wzniosłością „z wszystkich wygnanych naszych, rzucił się nań z tyłu „Jaźwiński kapitan i dopuścił się świętokradztwa narodowego „na tym obchodzie narodowym, śmiał bezbożną i bezecną „ręką uzbrojoną w pałkę, dwa razy z wszystkiej siły ude„rzyć go w plecy. Odwrócił się spokojny jak zawsze i tyle„kroć wśród bojów najkrwawszych spokojny ów, o którym „mówię. Złoczyńca schronił się do hufca towarzyszy czy „wspólników, którzy go okrążyli i dali mu się wymknąć. „Jeden Budzyński był go za kołnierz porwał i zatrzymał, „gdy chciał w pierwszej chwili jeszcze trzeciem uderzeniem „zbezcześcić nie tego, na którego się zamachiwał, ale ten „dzień, tę trumnę, to miejsce i własny naród. Nikt zresztą „nie porwał się do obrony napadniętego, wypuścili Baraba„sza! Tak zawsze się dzieje. Ten człowiek był niegdyś straż„nikiem celnym pod Krzemieńcem, w powstaniu dorwał się „kapitaństwa, później żebrał po wszystkich domach paryzkich,

„należąc do owej szui, co po ulicach napada. Później z własnej woli zaciągnął się do pułku Sułtańskich kozaków, które „dziś pod dowództwem tego, którego uderzył; i zaciągnąwszy „się, w ośm dni zbiegł, pułk porzucił, udał się do Stambułu „i tam szynk założył. Później tu wrócił i napastował wszę„dzie najszlachetniejszego z ludzi, dowódzcę swego, który „mu zawsze odpowiadał groźnie, że ze zbiegiem niema nic „do mówienia. Takie dzieje tego niegodziwca. Ale cóż po„wiesz, ma obronicieli, ma stronników i wielu się cieszy, że „się taka obrzydliwość stała! Ah, nieszczęśliwym my naro„dem? W Barabaszach kochać się zaczynamy. Już nas ro„baki ostatecznie toczyć zaczynają. Od rzezi 1846 roku ta„kiej boleści nie doznałem. W takiej chwili, przy tej trumnie, „na schodach przybytku Pańskiego, ten, co nigdy nie zwąt„pił, ten, który jeden coś był wywiódł na przyszłość ze swoich „zabiegów i starań męczeńskich, ten, co wznowił był dopiero „co tradycyą legionów i chwycił sztandar ich z ziemi i wzniósł „go nazad ku niebu, ten o postaci tak rycerskiej i chrześci„jańskiej, o tak niespożytym żadnemi boleściami ani prze„szkodami duchu, ten wśród tłumu ziomków, z których *ża„den, żaden* na pomoc mu nie przybiegł, ten wart czci i po„dziwu za cnotę żelazną, ten najdzielniejszy, ręką podłą „uderzon,... to strach! strach nie dla niego, ale dla Polski „i Polaków! I wiesz, co wyrzekł zaraz w pierwszej chwili! „oto te słowa przedziwnie piękne: „Sądziłem, że początek „męczeństwa więcej boli“. Tylko uważano, że podczas Mszy, „co nastąpiła zaraz potem, czasem konwulsyjnie ściskał po„ręcz krzesła, na którem klęczał. Nie, w tem wszystkiem o „niego mi nie idzie. Co może dziki zwierz, podły zwierz „przeciw ludzkiej naturze i to jeszcze najwznioślejszej? Ale „mnie chodzi o te znaki zgnilizny rozsiane po społeczeństwie „naszem, ten duch stronniczy, duch zawiści, duch kłamstwa „wiekuistego, który nas opanował i sprawia, że oburzenia „dość nie ma wśród naszych z powodu takiego wydarzenia. „Zkąd idzie, że to wydarzenie zaczyna takim sposobem nas „wszystkich kalać, a przynajmniej wykazywać, żeśmy bez „ducha, *bez przeświadczenia co złe a co dobre, co święte a co*

„*bezecne, żeśmy bez żadnej opinii publicznej*, a to są znaki „śmierci! I to wszystko staje się w chwili, kiedy tak łatwo „będzie pewnym potęgom świata powiedzieć o nas: Patrzcie, „czy warci odżycia!

„Zrazu jenerał był spokoju pełen. Ale następnych dni „duch jego wpadł w ciemną boleść, gdy ujrzał, że ta sprawa „przybiera barwę stronniczej walki, że dwa obozy się kształcą, „jeden za nim, drugi za Jaźwińskim; że więc listy bezimienne, „pełne gróźb i obelg, stronnicy tego ostatniego doń piszą... „Jaźwiński także po scenie na schodach Magdaleny znów „list wyzywający napisał... Okropny to wypadek. Lecz prze„konany jestem, że Jaźwiński był podbechtany i namówiony. „Ręka, co tem kierowała, pozostała w ukryciu, a tylko nią „poruszone lalki ukazały się na jaw. Pierwiastku władzy nie„nawidzą, a że jenerał zawsze ją wyobrażał, zatem zniena„widzony jest mimo najświętszych zasług. Wszystko to gro„bowo smutne“. Baden 7 lutego 1856.

W następnym donosi liście, że odbył się sąd w tej smutnej sprawie: „Sąd osądził *hrabiego* Jaźwińskiego na „cztery miesiące więzienia tylko, a hrabia był już na wolnej „stopie, bo był znalazł takich, co kaucyą zań zapłacili. Za„tem wypuszczono go z aresztu i chodził sobie znów po mie„ście. Kalinkę, sekretarza Jenerała, niezmiernie zdolnego mło„dzieńca, w tych dniach nowy napastnik w głowę uderzył“.

Przy tej sposobności należy wspomnieć, że Władysław Zamoyski był jednym z ludzi, których Krasiński najwyżej cenił, którym najbardziej ufał, których najgoręcej podziwiał. Oddzielony od niego zawsze przestrzenią i zajęciami, które tamtego trzymały w Paryżu lub Londynie, spotykał go rzadko. Ztąd może poszło, że o tej jego przyjaźni słyszy się i wie mniej niż o innych. Niemniej jest rzeczą pewną, że jeżeli Krasiński może nie kochał Zamoyskiego tyle co Gaszyńskiego, Cieszkowskiego albo Lubomirskiego, to kochał go zaraz po tamtych. Podziwiał w nim zaś nad wszystko siłę woli i poświęcenia, niezłomny rycerski hart, co wyraził pięknie, kiedy proszony o napis na szablę honorową dla Zamoyskiego, odpowiedział: „napiszcie *Najwytrwalszemu*“. Śladów tej ser-

decznej przyjaźni i tego podziwiania, pełne są jego listy do innych przyjaciół, zwłaszcza do Małachowskiego.

A tymczasem odbywa się kongres paryzki, ten smutny kongres, dla wszystkich obfity w złe skutki, prócz Rosyi jednej. Wybuchów żalu i goryczy w listach Krasińskiego niema. Jest do Sołtana upomnienie (14 kwietnia 1856) „nie „myśl ponuro o naszej sprawie: *Speravit contra spem*, to „wielkie i święte słowo“. Ale znać z tego słowa, że i on wbrew nadziei, nadziei się trzyma, a z nowego pogorszenia zdrowia, znać, że musiał gryźć się wewnątrz i szarpać. Tym razem choroba rzuciła się na nogi. „Zapalenie stawu kola- „nowego (do Małachowskiego 6 września 1856). Leżę ciągle, „a kiedy się zrywam, to bez dwóch kul obejść się nie mogę“. To zapalenie skończyło się raną, która trwała lat parę.

Stanowisko ówczesne Rosyi, jej stosunek do Francyi i obiecywane Alexandra II zmiany w Polsce, ocenia Krasiński jak następuje:

(List z września 1856, w zbiorze nie pomieszczony, drukowany w *Przeglądzie Polskim*, Luty 1873).

...Główny nieprzyjaciel zmienił szyk bojowy na szyk pokojowy, który, pomimo, że tak się zwie, nie przestał być bojowym. Do cywilizacyi zachodniej, obróciwszy się, woła: „Patrzcie! gotówem od was wszystko przyjąć, pójść za wami, „odstąpić od dawnych myśli moich, od rozboju zamierzonego, „powszechnego całej Europy. Rękojmią tego, żeście mnie „przekonali, najlepszą dla was, to, że zacznę o wewnętrznych „myśleć naprawach. Odtąd wasze kredytowe spółki ruchome „i nieruchome mogą zacząć u mnie działać. Giełd obiecuję „kilka nowych wybudować, jeśli chcecie, nawet jedną na Sy- „birze, kolejami żelaznemi osiatkuję się wszystek. Lecz za „tyle ustępstw, za takie nawrócenie się mojego ducha do „waszej przemysłowości i zachodności, proszę o podaruneczek, „lecz o podaruneczek na wieki. Na wieki zapomnijcie o Le- „chii i przystańcie na to, że jej niemasz już, nawet, że jej „nigdy nie było“. Zarazem ku Romie obróciwszy się, woła: „Nie myślcie, bym nie mógł się rozwieść z ideą kalifatu. Do- „pókim marzył o zajęciu Carogrodu i zrabowaniu świata,

„musiałem władzę duchowną deptać władzą świecką. Alem „się przekonał, że dziś inna pora nadeszła. Pod skorupą, po „której dotąd cało i bezpiecznie z knutem w prawicy stąpa„łem, odzywają się podziemne jakieś grzmoty. Już nie dość „mi knuta na rządzenie wulkanem. Wybuchu nie chcę, a uni„knąć go tylko mogę, przejmując od was wasze wiary, po„rządek, karność duchową, hierarchię. Zatem kto wié, czy „ja z rozbójnika nagle przemienion w cywilizowanego, ze „zdobywcy w spokojnego urządziciela wewnętrznych ekono„micznych stosunków, z dziedzica srogości mongolskich „w europejskiego władcę, nie mógłbym złożyć arcykapłań„stwa po nad moim narodem, przyszłości całej dotąd marzo„nej przezemnie wszechwładztwa, na to, by zespolić mój ko„ściół z wami i uznać zwierzchność waszą. Ale patrzcie! co „za bezmiar ustępstw mieści się w tem mojem wyznaniu; „patrzcie, jeśli wstępuję na oną drogę, sami powiedzcie, ażali „wam już potrzebna jest Lechia. Drobiazg to nic nie znaczący „i już wam nie przydatny, skoro ja wszystek staję się wa„szym, a za mną oczywiście i całe plemię słowiańskie; za„tem i dla mnie wy uczyńcie coś, zapomnijcie o Lechii, przy„stańcie na to, że jej już nie masz, nawet, że jej nigdy nie „było“...

Pierwsza z tych odezw znaczy:

„Kapitałami waszemi własnemi, waszą pracą, zmysłem „i kredytem okryję się kolejami, których mi brak było do „przeprowadzenia wojsk moich z pod bieguna, aż pod Caro„gród. Że ich nie miałem, musiałem pokój zawrzeć i was „odeprzeć nie podołałem. Skoro wy sami pomożecie mi do „nich, drugi raz wam się już nie dam i poginiecie. Tymcza„sem Lechii już nie będzie, sami mi przyznacie, że jej już „być nie może. Z czego wypadnie, że bez niej, a przy ko„lejach, stanę się właśnie tem, czem mi Piotr W. przykazał „być, to jest waszym Panem, i plagą i ujarzmicielem“.

Druga zaś z tych odezw znaczy:

„Lechii dotąd nie zdołałem dobić, wszystkich próbowa„łem środków, żaden mnie ostatecznie do celu nie dowiódł. „Moc jakaś magnetyczna z obalonych jej piersi płynąca, ci-

„cha, niewidzialna, lecz spowinowacona z piorunowym pły-„nem, wszystkie moje rozbija oręże i narzędzia tortur kruszy „w moim ręku. Zdaje mi się jednak, że gdybym mógł ją „doprowadzić do oderwania się od odwiecznego jej środka „duchowego, dopełniłbym jej zguby nieodzownie. Zatem udam „przed Rzymem jak za dni Batorego i Possewina, że skła-„niam się w stronę jego, a pod warunkiem rozumie się, by „dla dobra powszechnego Kościoła, poświęcił mi szczegół Le-„chicki. *Skoro tak się stanie, skoro głosy z Rzymu słyszeć „się dadzą namawiające Lechitów do zgody ze mną, do za-„przestania walki, którą dotąd istotnie świat zachodni i ła-„ciński obronili i uratowali, stawiając ciągle czy szablą nie-„gdyś, czy męczeństwem później, kres moim zapędom, w sercach „Lechickich ostateczna rozpacz nastąpić musi.* Rozpacz osta-„teczna duchowa, złą poradniczką, ona bunt głęboki w nich „wznieci. Rozpacz przemieniona w bunt, ostatecznie ich siły „zeżre i odda mi ich dusze zbezwładnione, od Rzymu łacniej „mi przyjdzie wtedy ich odszczepić, i w tej samej chwili, „w której Rzym licząc na rozpoczęte układy, czekać będzie „na moje nawrócenie się, ja mu oznajmię, że się Lechia do „moich wiar dała nagiąć. W stosunku do Rzymu, pozostanę „czem byłem, to jest, Kalifatem, a Lechii już wtedy istotnie „nie będzie i plemię słowiańskie odtąd stanie się całe na „obraz i podobieństwo moje. Wszystkich zwiodę, uwiodę, „oszukam, jednych do czasu łudzić będę, drugich znicestwię „na wieki. Tymczasem sobie wytchnę, wypocznę, w świeże „wzrosnę przybory, przyrządy i wojska, a wtedy biada oszu-„kanym przezemnie. Poznają kim ja, i że moje imię: Zatra-„ciciel“!

„Powiedz! mylęż się? czy o tej bijącej dziejów godzinie „nie naradza się takowego rodzaju wielkie niebezpieczeństwo? „Czy list z Moskwy, umieszczon w *Civilta Cattolica*, a póź-„niej w *Univers* nie wykrywa niebezpieczeństwa onego pier-„wszej zapowiedzi? Czy nie takim torem odtąd nieprzyjaciel „myśli stąpać w Rzymie i takowym szykiem pokojowym „wynagrodzić sobie wszystkie straty poniesione za czasów „szyku bojowego? Płodny on we wszelaki fortel, podobny

„do tych bożyszcz o sześćdziesięciu piersiach, a każda nie „mleko sączy pożywne, ale zabijający jad! Kto się na jadach „doskonale nie zna, kto niemi od kolebki nie truty, kto nie „Polakiem, ten łacno uwierzyć może, iż to mleko! Jeśli się „mylę, powiedz! Chciałbym się mylić, ale po za mną stoi „postać Batorego, taka smutna dotąd, że się dała omylić „i twierdząca, że się nie mylę!

„Pan, dziś rządzący Moskwą, może i dobre chęci ma, „ale one pozostają w głębi jego łona. Skoroby chciał je za„mienić w czyn, spotkałby się z wszechmocną opozycyą. „A potem cechą charakteru moskiewskiego, iż, jak inni wsty„dzą się złego, tak oni wstydzą się dobra. Skoro coś dobrego „*popełnią*, zda im się zaraz, że się sprzeniewierzyli tradycyi „swej, że siebie samych i ministeryum Państwa zdradzili. „Więc zaraz cofają się, i by się usprawiedliwić przed duchem „nimi władnącym, za jeden ludzki czyn, dwoma lub trzema „niegodziwemi się jemu opłacają. Słabość jest znamieniem „następcy Mikołaja. Coś w jego postaci, losach, dziejach, „w spadkobierstwie wziętem po przodkach, w łagodności serca, „w braku siły rozstrzygnień, w stanie zamięszania Państwa, „w stronnictwach, na które się podzieliło, w zepsuciu warstw „wyższych, w buncie wszędzie pod stopami jego odzywają„cym się śród niższych, przypomina koleje Ludwika XVI „z ogromnemi oczewiście różnicami. Niema tożsamości ża„dnej, ale jest analogia dość uderzająca. Tesame burze go„towe, tensam koniec być może. Lecz rozwój owych burz „zupełnie inaczej wyglądać będzie, zdaje się, że stokroć „srożej i mniej po ludzku jeszcze. Bądź co bądź, pokój, któ„rym świat obdarzono, nie długo potrwa. Jeśli nowa wojna „go nie zerwie, to pęknie od rewolucyj zdarzonych czy tu, „czy tam. Niewskrzeszona Polska przyprawi ten świat o za„burzenia i klęski niesłychane. Polska bowiem była sercem „europejskiej całości. Z żył Zachodu biła krew ku niej i jej „mocą podnoszona i przelewana, rozlewała się po żyłach „Wschodu i Północy. Jakżeż chcieć po wydarciu serca z or„ganizmu jakiego, by ten organizm pozostał zdrowym i ca„łym? Zkąd takie szalone uroszczenie? takie domaganie się

„cudu na błogosławieństwo zbrodni? A przecież od rozbiorów „Polski i teraz wciąż płacze dyplomacya za straconą równo-„wagą, narzeka na ciężkie czasy, żąda przytem wiecznej „spokojności, i śmie bezpiecznie marzyć o wiecznym pokoju, „jakby nie domyśliwała się, że ciało europejskie, nad którem „radzi, pozbawiono jednej z najgłówniejszych sprężyn życia „swego. Albo wróci serce do ciała swojego, a wtedy ono „ocaleje, albo wbrew wszelkiej sprawiedliwości i wszelkiemu „rozumowi pozostanie od niego oderwanem, a wtedy Europa „przepadła, bo czyn wskrzeszenia Polski nietylko jest konie-„cznością dla cielesnej równowagi Europy, jest on czemsiś „jeszcze daleko ważniejszem i wyższem, jest dla tej epoki „całej nieubłaganą koniecznością moralną, bo jest naprawą „krzywdy wyrządzonej najświętszym prawom duchowym, rzą-„dzącym żywotem ludzkości i jej społeczeństwa. Rozbiór „był odspołecznieniem społeczeństwa europejskiego. Jeśli to „społeczeństwo chce dalej społeczeństwem pozostać i nie „dojść do ostatecznych granic rozstroju, musi nazad się „zespołecznić w tem, w czem się samo odspołeczniło. Musi „wobec Boga i wszystkich wieków i przeszłych i przyszłych „uderzyć się w piersi, wyznać winę i zadosyć jej uczynić. „Inaczej stanie się pastwą giełdzianych chuci swoich, zepsu-„cia własnego, nieprzerwanego żadną skruchą, ni żadnym „wielkim czynem, zatem doszłego do potwornych rozmiarów. „Omdleje na siłach, na rozumie, zbezczestnieje zupełnie. „wpadnie w kretynizm zbytku i rozkoszy, stanie się zbiorem „samych ciał już tylko, a ciał rozwiązłych, miękkich, trzę-„sących się od strachu, jak legiony ostatnich chwil cesarstwa „rzymskiego. Na takowe zaś ciała z błota, znajdą się inne „z gliny trwardej, wyrzeźbionej knutem, pełne jeszcze pier-„wotnych, przyrodzonych soków, i owe twarde będą deptać „po karku tych zbutwiałych. Moskal z zewnątrz, robotnik „wewnątrz rozbije skład świata tego, za to, że zamordowując „lub przystając na mord Polski, sam wrzucił własne serce „w przepaść, i rzekł: „Niech tam leży na wieki“.

Dziś, po latach już blizko czterdziestu, czy zakończenie tego listu nie wydaje się dziwnie mądrem powiedzeniem?

Czy świat nie drży ze strachu, że „Moskal z zewnątrz, robotnik od wewnątrz rozbije skład jego?“

Ze zmienioną taktyką pod rządami nowego cesarza, Krasiński dostał paszport do Francyi. Mógł być w Paryżu otwarcie, urzędownie. Skorzystał z tego, i zimę roku 1856 tam przepędził. Małachowski świadczy, że nietylko ludziom chętnie się udzielał, ale nawet na teatr chodził z przyjemnością. „Uczęszczał pilnie na prelekcye J. Klaczki, które tenże miewał o pismach i życiu Adama Mickiewicza. Cenił i podziwiał jego zdolności, znakomite pisma i chętnie go u siebie widywał. Częste miewał schadzki z hr. Montalembert, ks. A. Czartoryskim, Zamoyskim Władysławem, ze znakomitym artystą-malarzem Ary-Schefferem, którego bardzo polubił. Talent jego i pojmowanie wzniosłe, poetyczne, wykonanych dzieł i obrazów wysoko cenił. Zjawił się był w tym czasie w Paryżu spirytysta Amerykanin *Hume*. Spirytyzm w tej chwili rozbudził w tem mieście wielkie zajęcie i rozgłos. Zygmunt był przekonania, że wiele jeszcze sił i tajemnic natury, lub rzeczywiście istniejących, zakrytych jest dotąd ludziom grubą zasloną, że podobną siłą jest między innemi magnetyzm, że jednak z biegiem czasów wiedza ludzka odnajdzie jego znaczenie, własności, potęgę, zastosowanie, że nareszcie takie różne odkrycia rozszerzą widnokręgi wiedzy ludzkiej. Zaciekawiony i podniecony mnóstwem różnych opowiadań i świadectw dziwnych zjawisk, zaprosił spirytystę do siebie, śledził pilnie, i wkrótce łatwo przyszedł do przekonania, że ów spirytysta wyzyskiwał tylko w sposób śmieszny i niewłaściwy, nie prowadzący do żadnych rezultatów działanie magnetyzmu, łatwowierność publiczności“.

„Najważniejszą jednak czynnością Krasińskiego w czasie tego jego pobytu w Paryżu, było osobiste tajemne widzenie się z cesarzem Napoleonem w zamku Tuilleryjskim. Właśnie to była chwila kongresu państw Europejskich po ukończonej wojnie wschodniej. Zygmunt pojmując całą ważność chwili i przedmiotów, jakie traktowane będą na tym kongresie, sądząc, że też i polska kwestya nie powinna być zapomnianą, opuszczoną, ani pominiętą; mając ułatwiony przystęp do ce-

sarza, czuł się w obowiązku udać się do niego, użyć wszelkich sił i argumentów, aby go nakłonić do wniesienia i popierania tejże na kongresie. Otrzymał posłuchanie, na którem cesarz słuchał go z wielkiem zajęciem i zadawał pytania o położeniu Polaków pod rządami: Rosyjskim, Pruskim i Austryackim, które znał bardzo niedokładnie. Najskwapliwiej dopytywał się i żądał objaśnienia o stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych tego ostatniego państwa. Pomiędzy innemi pytaniami, wywiadywał się o byt i znaczenie religii Grecko-Unickiej, o której żadnego nie miał wyobrażenia, w końcu zapewniał, o swej życzliwości dla Polskiej sprawy“.

Zmartwiony bardzo znaczną stratą majątkową, poniesioną w bankructwie bankiera Thuracyssena, wyjechał Krasiński do kraju. Tam (1857), między Olkuszem a Częstochową, w pięknie położonym Potoku, miał przy ojcu, żonie i dzieciach spokojnie przebyć lato i do zdrowia niby powracać. I tam właśnie spadł na niego cios, który ostatecznie zdrowie to złamał, a śmierć jego przyśpieszył. Najmłodsza córeczka, czteroletnia Eliza, umarła. W kilka miesięcy później, 16 grudnia, tak o tej stracie pisze do Sołtana:

„Oddałem niebu, co z nieba było do mnie przyszło, pochowałem na cmentarzu potockim Elizkę moją, a matka „jej, ojciec mój i ja szliśmy we troje za tą trumienką, w której spoczywał aniołeczek. Nic na ziemi piękniejszegom ni„gdy nie oglądał, nad te rysy pośmiertne dziecka mojego. „Śmierć była rozwiodła jakąś potęgę nadziemską wyrosłą „z słabości, z niewinności, z męki ostatniej, przy wyrazie „której pomysły Rafaela słabizną. Eliza okropnie zmieniona, „wycieńczona biedna, chora, nie do poznania. Grom w serce „matki uderzył i strzaskał je“.

Uderzył ten grom i w serce ojca także. Jesień i zima w Paryżu spędzona nie poprawiły zdrowia, rozprzęgało się coraz bardziej. Sił do pisania nie starczyło już także, choć przychodziła czasem ochota. Raz już tylko, ostatni, błysnąć miało jego poetyczne natchnienie. Strata dziecka, zda się, jakżeby połączyła była ostatecznie dusze rodziców wspólną

boleścią, bo miłość Krasińskiego do żony nigdy nie objawiła się jaśniej, goręcej i rzewniej, jak teraz, na pożegnanie. Na św. Elżbietę, 19-go listopada, zawsze od lat kilku pisywał wiersze do żony; ostatnie do niej i ostatnie w życiu, napisane były na ten dzień w roku 1857. Cześć, uwielbienie, widoczne w wielu poprzednich, dochodzą do szczytu w tym wierszu, który jest cały skargą na siebie samego, że mógł kiedykolwiek kochać nie ją, albo ją kochać nie dosyć. On „w niwecz życie przemarnił“, on „zgasł i zwiędł od smutków“, „skarb swoich potęg utracił“, „a za to tylko, że cię nie kochałem!“ Ale dziś, choć późno „ona jedyną duszy jego siłą“, i ona spojrzeniem może zdjąć mu z głowy zgryzoty i bóle „bo już na wieki ciebie ukochałem!“

Nigdy żadna żona poety nie miała od męża takiego hymnu uwielbienia, takiego wspaniałego rozkosznego świadectwa i hołdu.

Ostatni to akkord z jego lutni dobyty. Potem już tylko, zbliżająca się coraz widoczniej, choć zwolna, śmierć. W początkach roku 1858 jeszcze ma dość sił i mocy nad sobą, żeby w listach pisać dłużej o tem, co było samą treścią jego duszy i życia, o Polsce, o jej przyszłości, o niebezpieczeństwach, które tę przyszłość mogą zepsuć i odwrócić. Widzieliśmy jego ostatni wiersz; jego ostatnia nauka, ostatni głos do narodu i jakoby ostatnia wola, znajduje się w dwóch listach z tego czasu. Jeden jest do Sołtana z 15-go lutego.

„Ten kraj także nad otchłanią, tak jak wszystkie; musi „przyjść zbawcza sprawa ojczyzn, albo sprawa posiadających „i nieposiadających pożre świat. Jedno z dwojga: albo oj„czyzny przyznane utrzymają w spoju społeczeństwo, albo „nastąpi ostateczny jego rozkład chemiczny na dwa jego „pierwiastki najprostsze, najniższe, najostateczniejsze, o któ„rych wspomniałem, najmateryalniejsze. Że ojczyzn niema, „dlatego są tylko cielesne cele; a cele cielesne wcześniej „czy później sprowadzone być muszą loicznie do najprostszego „wyrażenia, jakiem jest bójka pomiędzy bogatym a nędza„rzem. Ta bójka ostatnim jest wyrazem społeczeństwa, które „zapomniało o Bogu i zaparło się ojczyzn. Koniecznością

„pchane, mimo wszystkie przedsięwzięte środki obrony, pa-
„dnie ono jej pastwą! Nie twierdzę jednak, by to nieuniknię-
„tem już było, czas jeszcze wydobyć się z otchłani".

Drugi jest do Trentowskiego, z 9-go lutego, a w tym nie przewidywanie tylko, ale wyraźna praktyczna przestroga dla Polaków, w czem ratunek, a w czem zguba samego jej jestestwa. Przepowiednia tego stanu rzeczy, na którego urzeczywistnienia początki dziś właśnie patrzymy, a patrzymy dlatego, że ani Polska ani Europa nie rozumiała, jak jej postępować należało:

„Nie zrywaj się do walki i nie podnoś ręki przeciw
„pierwiastkowi, który jedynie dziś dzieli Ojczyznę twą od
„bezdennego morza, panteistycznego morza, że tak się wy-
„rażę, Panslawizmu. Nie myl się, po nad tą otchłanią stoi
„Polska. Jeden katolicyzm jej przegrodą od onych głębokich,
„śmiertelnych fal; gdyby nie on, jużby jej ciało po nich się
„rozbijało, i powoli topniejąc zstępowało w głąb. Czy nie
„widzisz, że wyższe, złożone organizma społeczne i polity-
„czne, wszędzie trawione rozkładem chemicznym, rozrabiają
„się; że narody, państwa, ustawy, podania, wiary, stronnic-
„twa nawet dążą do rozwiązania się i ulotnienia; że z onego
„rozkładu dwa tylko wobec siebie najniższe, najprostsze a naj-
„silniejsze żywiołowo pierwiastki pozostają, sprzeczne zażarte,
„do bójki gotowe: ubodzy i nieubodzy! na tem chce się za
„dni naszych skończyć historya świata! Jestto oznaka naj-
„olbrzymiejszego materyalizmu; bo te obozy dwa, choć pa-
„łają ku sobie nienawiścią, jednakim goreją zapałem ku
„wspólnemu bożyszczu, a tem bożyszczem jadło, rozkosz,
„używanie, wygoda, słowem materyalny cel! Wszystkie inne
„idealne odleciały z piersi ludzkich, on jeden je zastąpił,
„i, powtarzam, on dowodem, że rozkład chemiczny społe-
„czeństw, czyli śmierć Epoki, wypracowywa się w jej wnę-
„trzach!

„Katolicyzm jeden zosobiszcza narody śród plemion,
„a instytucye, hierarchie, rozmaitości i nastroje w narodach —
„temsamem, że bogaczom nakazując miłosierdzie i miłość, ubo-
„gim miłość i wiarę w pośmiertne życie, nie dozwala światu

„przemiany go rozbijającej na dwa tylko stronnictwa bijące „się o chleba kawał, lub sukna łachman, lub złota sztukę. „Wierz mi, kiedy godzina takiej bójki zwierzęcej uderzy, nie „będzie miejsca na pobojowisku dla żadnego organizmu wyż„szego, dla żadnej narodowości, dla żadnej Ojczyzny, dla „żadnego języka, dla żadnej sztuki, dla żadnej wiedzy „i nauki! Nastanie także kościół powszechny, bezróżnicowy — „ale złego! kościół ciał i chuci temi ciałami rządzących. „W to patrz, w to miej wbite źrenice! bo to prawdopodobny „koniec nasz, jeśli duch katolicki, w przedziwnej mierze „umiejący zosobiszczać wszystko, a wiązać one zosobiszcze„nia węzłem miłości, czyli harmonią zaprowadzać, nas od „tego nie ocali.. Nie patrz w drobnostki i szczegóły, patrz „się w ogół; spojrzyj mu oko w oko, a przekonasz się, że „prawdę mówię. Gdybyś zaś się nie przekonał, to przecież „moje słowa cię nie zobowiązują.

„Na północy zaś państwo Carów zaczyna lepsze dole „wskazywać i obiecywać poddanym, zaczyna nęcić plemiona „słowiańskie i lud nasz przeobrażeniami społecznemi. Co, jeśli „nie katolicyzm, może o tej chwili dziejów, w której rodzaj „ludzki gotów wszędzie za chleb i wygodniejszy żywot „wszystko, co mu cześcią, sprzedać, co, pytam się, może, „jeśli nie katolicyzm, odepchnąć lud nasz wiejski od roz„twierających mu się objęć rządu, tem mu tylko strasznych, „że są i ramionami schizmy zarazem? Mądrość uczuciowa „i przeczuciowa narodu to uznała, naród wié, że w tem jego „zbawienie! Drògi mój, masz zdanie moje, *in hoc signo vin„ces*, reszta nie zda się na nic, kto z Bogiem z tym Bóg! „A że mogą być indywidualne przesądy, ciemnoty, bezro„zumy, ani myślę przeczyć; lecz one przejdą, a duch zbaw„czy pozostanie i ocalenie wyrobi!“

To jego słowo ostatnie. Potem różne, przez lekarzy rozpaczliwie wskazywane, chwytane i porzucane środki ratunku; kąpiele w Plombières między innemi. Tam, podług opowiadania Małachowskiego *(Krótki Rys)*, leczył się także Napoleon III, i zażądał Krasińskiego widzieć. Ważnego nie zaszło na tej audyencyi nic, ile z opowiadania wnosić można;

zapewnienia, że cesarz o Polsce nie zapomni, i zrobi dla niej co tylko będzie mógł. Ale zdarzyło się przytem zbliżenie dziwne dwóch spraw, na które Małachowski zwrócił uwagę. Krasiński wezwany do cesarza, czekał na audyencyę długo, bo w gabinecie był hr. Cavour. Ten wyszedł z przyrzeczeniem wojny i pomocy — Krasiński z niczem. Może przeciwny skutek tych dwóch posłuchań byłby dla cesarza i dla Francyi lepszym. Przypomina się ksiądz Ventura mówiący cesarzowi *d'un coté vous avez l'Italie, c'est votre perte: de l'autre la Pologne — c'est votre salut.*

Plombières nie pomogło, owszem zaszkodziło jeszcze. Radzono Ems; Ems zaszkodziło tem więcej. Blizkość Drezna skłoniła Krasińskiego, że tam pojechał, dla poradzenia się doktora Waltera, do którego miał szczególne zaufanie. Walter nie pocieszył; owszem, powiedział choremu otwarcie, że z nim źle. Powrócił tedy do Paryża, a tu lekarze radzili próbować gorącego afrykańskiego słońca, jako ostatniego jeszcze możliwego środka ratunku. Gotowano się więc w drogę do Algieru. Wtedy przyszła wiadomość (w listopadzie) o chorobie ojca, a wkrótce o jego śmierci. To już ostatecznie dobiło syna. Miłość całego życia, może najsilniejsza, jaką miał do ludzkiej istoty, sprowadziła równą sobie boleść. Pani Krasińska, kiedy po pogrzebie teścia wróciła do Paryża, poznała, że drugi pogrzeb blizki. Zaczęło się półtrzecia miesiąca cierpień przedzgonnych, a w otaczających czekanie na zgon każdego dnia i każdej chwili. Kiedy się zdarzało, że sił miał trochę więcej a cierpienia mniej, brał się Krasiński gorączkowo, namiętnie, do pisania żywota ojca. Zaczął go; napisał dość dużo, bo do roku 1827; skończyć nie zdołał. Przyjaciele, bracia i siostry żony, byli zgromadzeni; czekali końca, a stracić nie chcieli ani jednej chwili jego życia. Od 10-go lutego nie podnosił się już z łóżka wcale. Dnia 19-go, w czterdziestą siódmą rocznicę urodzenia, przyjmował Sakramenta. I znowu tosamo czekanie; tosamo pytanie, czy już dziś? czy może za dni parę? czy wieczór? czy jutro rano? Dnia 23-go lutego, dzień przeszedł jak inne, bez żadnych oznak gorszych. Nad wieczorem siedział przy

chorym jego szwagier Konstanty Branicki; nagle wydało mu się, że spostrzega pierwsze oznaki konania. Posłano po księdza. Umierający przyjął jeszcze raz wszystkie Sakramenta; potem modlił się przytomnie. Skończył późnym wieczorem tego dnia 23 lutego 1859 [1]).

[1]) Dom, w którym Krasiński umarł, stoi przy ulicy de Penthiévre, nosi numer 22.

ROZDZIAŁ XII.

Krasińskiego talent, pojęcia, usposobienie, znaczenie.

Bolesne w końcu wrażenie. Wszystko Krasińskiemu zaprzecza. Jego prawda. Dwa rodzaje poetów. Poezya filozoficzna. Krasiński. Jego zdolność przewidywania i trafnego widzenia. Początki poetycznego zawodu. Drugi okres. Twórczość poetyczna. Zdolność dramatyczna. Wielkość pomysłów i jej powód. Liryzm filozoficzny i polityczny. Jego siła. Język i styl. Literackie pojęcia i smak. Wielkość poety.

Pojęcia religijne. Ich koleje i zmiany. Wiara i niechęć. Powody niechęci. Powody zwrotu. Utwierdzenie w przekonaniach. Katolicyzm Krasińskiego.

Pojęcia polityczne. Ich stałość. Znajomość ludzkich społeczeństw. Wzniosły ideał i zrozumienie rzeczywistości. Logika. Zmysł polityczny. Trzeźwość sądu i jego surowość. Podstawy nadziei i jej warunkowość. Tożsamość *Racyi Stanu* i *Rewolucyi*. Miłość wolności. Polityczny rozum.

Natura uczuciowa. Skłonność do exaltacyi. Fantazya zwrócona na siebie samego. Jej skutki w pismach i w życiu. Rodzaj jego egoizmu. Pessymizm. Stałość w przyjaźni. Temperament. Świadomość siebie. Brak zarozumiałości i próżności. Zajęcie sobą i oderwanie od siebie. Wielkość moralna. Nigdy nie zaszkodził. Nic i nikogo nie zepsuł.

Związek z współczesnym światem i z Polską. Wyobraziciel szlachetnych pierwiastków swego wieku. Wskazuje trafną drogę. Wyobraziciel obecnego stanu Polski. Jej sędzia. Jej nauczyciel. Tragedya Krasińskiego. Jego przeznaczenie. Jego wielkość. Wpływ jego poezyi. Zła lub dobra przyszłość. Nasza w tej mierze odpowiedzialność.

Mówi ukochany Krasińskiego Dante, że nie ma większej boleści, jak rozpamiętywać czasy szczęśliwe w nieszczęściu; ale jest coś gorszego, przynajmniej coś równego tej boleści, to porównanie świetnych obietnic i nadziei, porównanie marzonej przyszłości z nędzną rzeczywistością. Takim smutkiem, takim rodzajem cierpienia, przejmuje dziś poezya Krasińskiego. Kto nie doświadczył tego dodatku cierpienia, jakim po jakiemś nieszczęściu osobistem, po wielkiej stracie naprzykład, urąga człowiekowi sen. Pamięć straty ginie gdzieś jak w letejskiej wodzie; świadomość cierpienia znika przed oczyma, widzi się tę postać utraconą, słyszy się jej głos, zdaje się, że wszystko jest jak było dawniej, że się nic złego nie stało, serce bije tak lekko i świeżo jak wtedy, kiedy jeszcze nie znało co to jest rozstanie na zawsze; wtem następuje przebudzenie, sen znika, rzeczywistość staje przed człowiekiem, nie surowa i naga jak prawda, ale ohydna i straszna jak szkielet, urągająca jak wyszczerzone zęby trupiej głowy, a mocna i nieubłagana, nieodmienna i trwała jak śmierć. Takiego przebudzenia doznaje się, kiedy przestając jakiś czas w świecie poezyi Krasińskiego, wyjrzy się z niej na świat rzeczywisty. Gdzie ta nadzieja? gdzie ta pewność? gdzie obietnica niby tak rozumna i wyrozumowana, że złe musi się przesilić? gdzie zwłaszcza to rozkoszne uczucie dumy, z jakiem się widziało ową nieskażoną czystość Polski i jej wyższość między narodami? Jedno za drugiem idzie przesilenie w Polsce i w Europie, a horyzont nie rozjaśnia się *Przedświtem,* ale zaciemnia coraz grubszemi chmurami, świat coraz podobniejszy do Snu z *Niedo-*

kończonego poematu; Nieboska komedya odgrywa się coraz dalej coraz jawniej w swojej straszliwej ironii, i zdaje się zbliżać do swojej części ostatniej; ludzie, którzy w *Śnie Cezary* zeszli do grobu na to, żeby ten sen był ich siłą, przywaleni w nim zawsze i ciężej jak kiedykolwiek, i ta postać powietrzna, która po nich została na ziemi, coraz bardziej w mgłę się rozpływa — ale nie znać, żeby przez ten sen wracała im siła i życie, bo w ich grobie duszno od zabójczych wyziewów; w płucach, które oddychają atmosferą zawiści, kłamstwa, negacyi, zdrowa krew wyrobić się nie może! a choć wszystko zdaje się zapowiadać, że istotnie „rozgrzmiał się sąd w niebie po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami“, to w tym sądzie, gdyby się teraz odbył, odniosłaby tryumf jedna tylko ironia i groźba Massynissy. Ze wszystkich przeczuć Krasińskiego, jedna tylko zdaje się chcieć sprawdzić za dni naszych, przepowiednia *Legendy*. Kopuła św. Piotra się chwieje, ale nie ma św. Jana, któryby na jej zwaliskach miał zasiąść, zamiast niego jest tylko duch niedowiarstwa, stara nienawiść Chrześciaństwa i przeczenie Boga. Możnaby odwrócić do Krasińskiego samego to, co on mówi Słowackiemu:

I strón twoich granie
Zagłuszy wrzask mordu,
I nic nie zostanie
Z twojego akkordu.

Nic? Więc ten nieszczęśliwy był tak do końca i zupełnie igraszką jakiejś piekielnej ironii, że to piękne i dobre, które czcił i kochał, głosił tylko przed drugimi, jak urojony prorok łudzący siebie i drugich? że Bóg jakiś złośliwy dawszy mu wieszczego ducha, słowom jego nie dał nietylko wagi, ale nawet prawdy? więc całe jego życie, cała jego miłość, cała wiara, cała jego poezya była tylko jak sen znikomy? była złudzeniem, oszukaniem jego i drugich, była kłamstwem? Więc nie dość, że się sam zawiódł na sobie, na swoim narodzie, na Bogu, jeszcze i ten naród zwiódł, obiecując mu to, co się nie spełnia? Więc czemże on był? igraszką losu,

marą wieszcza, fałszywym prorokiem, biednym szaleńcem, któremu na śmiech włożono koronę laurową i cierniową, w którą uwierzył on i jego nieszczęśliwi towarzysze w domu waryatów, na wielką wesołość i tryumf spektatorów?

Takby się zdawało, tak świadczy rzeczywistość, tak krzyczą fakta, tak naigrawa się zwycięztwo... jeden tylko jest świadek, który jemu świadczy; cichy i zakrzyczany tak, że dosłyszeć go dziś nie można, ale jeden, który się nie myli, jeden sędzia, który w tym sądzie jemu przyznaje słuszność: ludzkie sumienie. Ale ten mówi, że on jeden pomylić się nie może, bo jeden wié co dobre a co złe. Niech urągają doktryny, niech fakta przeczą jak chcą, jest coś, co od nich nie zależy, co po nad niemi, niezmienne i absolutne sądzić będzie kiedyś doktryny i fakta, tem jest „dobre“ — a wobec tego słuszność i prawdę mają nie fakta, nie doktryny, nie rzeczywistość, ale Krasiński. I gdyby nawet nigdy zmienić się nie miało to zwycięztwo złego, które zdaje się być prawem świata, gdyby całe dzieje świata aż do końca dowodziły wielkim głosem, że on się mylił, zdołałyby tylko dowieść, że jest inaczej jak on mówił, ale tegoby nie dowiodły, że tak jak jest, jest dobrze, że nie powinno być tak jak on mówi.

Teraz, kiedy przeszliśmy po kolei wszystkie Krasińskiego dzieła, starajmy się streścić zebrane spostrzeżenia, wyciągnąć wnioski z uwag i sądów, i zapytajmy jaki on był, jaki jego stosunek do współczesnego świata i do swego w tym czasie narodu, jakie jego miejsce w naszej literaturze, w historyi naszych pojęć i dążeń, naszego umysłowego i narodowego życia?

Wielcy poeci dzielą się na dwie grupy, podług rodzaju swego gieniuszu, jego wrodzonego kierunku i własności. Jedni patrzą na uczucia ludzkiej duszy w nieskończonej rozmaitości ich odcieni i stopni, na walki ludzkiego życia w niezliczonej mnogości ich objawów i odmian, przenikają je rozumem, podzielają współczuciem, i tworzą z nich obrazy

ludzkiej natury duszy i życia, poprostu. Działa na nich, pobudza ich do tworzenia wielkość nieszczęścia i cierpienia, wzniosłość uczucia lub poświęcenia, czasem szczęście, czasem rozkosz wielkiego zwycięztwa lub wspaniałość wielkiego czynu, i to uczucie, to cierpienie, to szczęście, tę walkę, dają widzieć, uczuć, zrozumieć, w całej ich przyrodzonej wielkości, w najwyższej możliwej sile. To co stworzą, będzie typem i wyrazem na miliony podobnych cierpień, namiętności, czy stosunków; będzie najistotniejszą i wiekuistą prawdą powiedzianą o człowieku i życiu, i będzie przez to rzeczywistą nauką: środkiem i pomocą do lepszego zrozumienia człowieka, życia, nieraz samego Boga i jego prawa. Ale ta prawda, to przystósowanie, one znalazły się w dziele tego poety same przez się, mocą jego gieniuszu, nie skutkiem jego osobnego namysłu i zamiaru. On widział tylko jakiś wielki (wzniosły, straszny, bolesny, czasem uroczy) fakt, stosunek, stan duszy lub akt woli ludzkiej, i ten brał do serca, przetwarzał w wyobraźni i kreślił, nie myśląc o niczem więcej tylko o tem, że to co widzi i kreśli jest wielkie, wspaniałe, wzruszające. Takim poetą był, w ten sposób tworzył Homer, tragicy grecey, Szekspir i (z wyjątkiem *Fausta*) Göthe; takim Mickiewicz w *Tadeuszu* i w *Grażynie*, a nawet (mimo wyraźnej ich tendencyi), w *Wallenrodzie* i w *Dziadach*.

Druga grupa poetów patrzy i tworzy inaczej. Widzi zjawiska i fakta jak pierwsza, ogarnia je uczuciem i przetwarza w wyobraźni jak tamta, ale w zjawisku czy fakcie szuka jego ostatniej przyczyny; chce łączyć przyczyny ze skutkami, z tego związku zdać sobie sprawę, z niego dojść praw; które zjawiskami i faktami rządzą, wreszcie ocenić i osądzić zjawisko, fakt czy człowieka w stosunku do tych praw, wyjaśnić i oznaczyć istotę i wartość moralną tego przedmiotu, którym się zajmuje. Pierwszym w świecie przykładem, a dotąd najwyższym, takiej poezyi jest Dante. W pierwszym rodzaju tworzenia przeważa pierwiastek artystyczny, w drugim rozumowy, filozoficzny. Stopień gieniuszu u takich poetów może być tensam, lub nawet (nieraz) wyższy co u tamtych, ale jego rodzaj jest różny; i z tej różnicy

rodzaju czy kierunku ich umysłu wynika, że ich dzieła mogą być równie wielkie jak dzieła tamtych, ale nie mogą być równie piękne dlatego, że są wprost i otwarcie nauczające i dowodzące.

Krasiński należy oczywiście do tego ostatniego rodzaju poetów; jego poezya ma wszystkie te własności, te wrodzone konieczności (i niekorzyści), które jako skutek jej natury są nieodłączne od jej rodzaju; ma też niedoskonałości wynikające nie już z natury takiej poezyi, ale z natury tego poety, indywidualne, jego własne. Mówiliśmy o nich szeroko na wstępie; tu wystarczy przypomnieć tylko, a do przypomnienia dodać to jedno, że pomimo wszystkiego, co może być wrodzonym defektem poezyi filozoficznej i brakiem w jego własnym talencie, jest on w rzędzie poetów filozoficznych jednym z najwyższych, jednym z wielkich między wszystkimi ogółem poetami świata.

Podziwia się u innych (nie dalej jak u Mickiewicza), szczęśliwą harmonię uczucia, wyobraźni i myśli. U Krasińskiego tej harmonii, tej równowagi niema. U niego myśl, głębokość i siła rozumu tak góruje nad resztą, że fantazya nieraz uderza o nie skrzydłami, kiedy chce wzbić się w górę, a uczucie samo swojem natchnieniem, swojem cierpieniem bez miary, wtóruje tylko myśli, towarzyszy jej. Czytając go, nieraz trzeba się pytać, czy to poeta doprawdy? czy nie filozof i mędrzec, który z doświadczenia wieków wyciągnął treść prawdy i podaje ją jako naukę, jako przestrogę, jako groźbę. Dla niego poezya jest środkiem tylko, formą: celem jest prawda, prawda moralna i polityczna. I ztąd ten dziwny, wyjątkowy charakter jego poezyi, która często symboliczna i allegoryczna w formie, w treści jest na pół wieszczą i przeczuciową, na pół tendencyjną, polemiczną, dydaktyczną, która ma coś z proroków starego Testamentu, a coś z publicystyki. Wszystkie zarzuty robione jego poezyi, mogą być słuszne; symbolizm nie zawsze jasny, ton czasem napuszony albo znów prozaiczny, dydaktyczny, polemiczny; tendencyjność stała i ciągła i zawsze górująca nad poezyą, wszystko to prawda; i to może być prawdą, że dla tych powodów wła-

śnie, kiedyś w przyszłości poezya ta uchodzić będzie za wielki pomnik historyczny, ale nie za nieśmiertelne dzieło piękności. Tylko jednej rzeczy te wszystkie prawdy nie znoszą; to jest, że w całej poezyi europejskiej naszego wieku, z wszelką i niezbitą pewnością, nie ma jednego człowieka, którymby stan i charakter tego wieku tak rozumiał, i któryby nad nim tak głęboko cierpiał jak Krasiński. A może nie w poezyi tylko, może między wszystkimi ludźmi wielkiego umysłu i wielkiego serca, jacy byli lub są jeszcze w historyi tego wieku, mało jest serc i umysłów, któreby wiek ten tak były objęły i pojęły jak on. Czy w tym gieniuszu, bo gieniusz jest niezaprzeczenie, tkwi istotnie jakiś dar proroczy, intuicyjny? czy w tych przewidzeniach jest jakieś tchnienie nadludzkie, rewelacyjne? Że jest dar przewidywania zdarzeń, jakiś drugi wzrok dziwnie jasny i przenikliwy, to pewna, dowód jest w *Psalmie Miłości*, w *Nieboskiej komedyi;* tam ich zaprzeczyć nie może nawet ktoby się najbardziej śmiał z przepowiedni *Przedświtu* i *Psalmu Dobrej Woli.* W listach jego pełno także takich słów, których on za proroctwa nie miał, a które się jak proroctwa sprawdziły; co krok, co wiersz prawie, jakieś przepowiednie strasznego upadku Francyi (które tak w owych latach musiały wyglądać na urojenia i przywidzenia), w jednym liście (z Kassel 1841 roku), dowodzenie trzeźwe i suche, że Prusy dokonają Zjednoczenia Niemiec. A więc dar proroczy? Krasiński sam w dar taki nie wierzył. „Władza przeczuwania przyszłości sercem“, pisze on w jednym ze swoich listów (Monachium 1842 r.), „lub przedmyśliwania jej rozumem, „użyczoną jest wspólnie wszystkim i na to osobnego na„tchnienia nie potrzeba“. Daleki więc jest od przypisywania sobie daru widzeń i przewidywań, a zwłaszcza od tego, czemu na nieszczęście uległ Mickiewicz, żeby w tych przewidywaniach własnych widzieć prawdziwe Objawienia. Ale nie mogąc tego daru przewidywania zaprzeczyć, a chcąc zdać sobie z niego sprawę, w czem znajdzie się jego powody i pierwiastki? Jednym z nich, jest niezawodnie wielka logiczność jego umysłu — on nie odgaduje intuicyą i prze-

czuciem, on dochodzi ścisłem rozumowaniem do wniosków, które powinny okazać się prawdą; rozumuje tylko, ale rozumuje potężniej od zwykłych umysłów, jak człowiek gienialny. Siłą zaś tego rozumowania, jego przewodnikiem i zarazem drugim pierwiastkiem w tym jego darze przewidywania przyszłości, jest jego wielka sprawiedliwość, zmysł moralny czuły i silny jak rzadko, który wskazywał mu każde złe, i za tem złem jego skutek zaraz, jego karę. Wielka i gruntowna znajomość historyi, gienialne jej zrozumienie, i zmysł polityczny niezmiernie jasny i pewny, własność przejrzenia na wskróś natury ludzi i społeczeństw, i następujące odrazu porównanie ich z czemś w przeszłości, odniesienie ich do znanych już i ubiegłych przykładów, z tego znów wniosek, że z podobnych przyczyn wyglądać trzeba skutków podobnych; oto pierwiastki jego trafnego, niemylnego prawie daru przewidywania, o ile ten da się na pierwiastki rozebrać. Naturalnie, jak po każdym rozbiorze zostanie w końcu coś takiego, co się rozłożyć i wytłómaczyć nie daje: atom gieniuszu, i niezgłębiona tajemnica poetycznego natchnienia. Wszystkie warunki poprzednie dostępne są każdemu człowiekowi myślącemu i oświeconemu, ale bez tych dwóch ostatnich nie można być Krasińskim.

Dlaczego ten poeta, w formie, w zewnętrznym kształcie swoich pomysłów często niejasny i mglisty, jest tak jasnym, zrozumiałym, logicznym w treści i istocie tych pomysłów? Czy nie jest to skutkiem właśnie tej przewagi rozumu nad fantazyą, myślenia nad marzeniem, która jest jego charakterystyczną cechą? Kto wié, czy nie ona to dała mu tę ścisłość wywodów, tę jasność wniosków, jaką się widzi w jego dziełach i listach. Jego siła polega głównie na bystrości i pewności jego wzroku w rzeczach politycznych. Uczuciem pojmuje on te sprawy tak wzniośle, jak najwznioślejsi ludzie jego czasu; ale rozumem i rozwagą pojmuje i sądzi je w ich przyczynach i skutkach tak głęboko i trafnie, jak mało który umysł polski, nie współczesny tylko, ale jak mało który między wszystkimi, o jakich wiemy od początku naszych dziejów, aż do dni dzisiejszych.

Ale to dowodziłoby tylko, że był wielkim umysłem filozoficznym lub politycznym, nie dowodziłoby jeszcze, że był wielkim talentem poetycznym. Jakież są znamiona i świadectwa tego talentu, jakie drogi jego kształcenia?

W pierwszych, prawda że chłopięcych, a prawie dziecinnych próbach, to zwykły talent naśladowczy, z którego jedna da się wycisnąć cecha charakterystyczna (ale nie oryginalna), skłonność do sytuacyj ponurych i strasznych, i do zbytecznej przesadnej okazałości. Konwencyonalna romansowość i romantyczność, wspólna wszystkim słabszym poetom i powieściopisarzom owego czasu, skutek tego kierunku, jaki nadany był wyobraźniom wszystkich ludzi czytających, przez dwóch lub trzech wielkich poetów i pisarzy. Ta okazałość i obrazowość może zapewne być oznaką pewnego talentu, ale nie oznacza talentu głębszego ani oryginalnego. Przeciwnie zaś jak w dalszym zawodzie, w tych swoich początkach młody chłopiec tworzy tylko siłą wyobraźni. Ona jedna jest zajęta i czynna, ona jedna snuje coś i roi. Uczucie przez nią tylko pośrednio jest podniecone; myśl jest uśpiona jeszcze albo dziecinna. Oprócz tego, ten poeta, który z czasem miał być ze wszystkich poetów najmniej literatem, w pierwszej młodości jest nim wyłącznie i jedynie. Literatura pobudzała go do marzenia i do pisania, i była kresem jego ambicyi. Jak w całej literaturze polskiej przed rokiem 1830, wzgląd i kierunek artystyczny i estetyczny, odrodzenie poezyi w duchu i kształcie romantycznym, było dążeniem głównem, i wyraźniejszem (aż do *Wallenroda*) od kierunku i natchnienia patryotycznego, tak i Krasiński w młodzieńczych latach jest porwany tymsamym prądem, ma przed oczyma Walter Scotta, marzy o historycznych romansach, po za ten kres marzeniem i usiłowaniem nie wybiega.

Przychodzi wielkie wstrząśnienie, osobiste naprzód, zaraz po tem ogólne, a z niem przeobrażenie w młodzieńcu. Nie odrazu przecie, nie w jednej chwili. Gieniusz zaczyna się dobywać i rozwijać, zagłębia się śmiało w najtrudniejsze, najstraszniejsze zagadnienia swego wieku, dręczy się już i krwawi wszystkiemi jego uciskami, a dzieciństwo jeszcze

trwa, objawia się i odzywa. Rozpacze *Wygnańca*, wspaniałe i rozdzierające skargi *Ostatniego* (wierzymy, że w Genewie poczęści na papier rzucone), rodzą się w jego myśli i wychodzą z niej razem z drobnemi powiastkami, razem z błahym zawsze (nawet przypuściwszy że pięknym) Agaj Hanem. Już jest ogromna zdolność cierpienia, jest wielka dusza; i jest na to cierpienie potężny wyraz, czyli talent; ale są jeszcze literackie, a poczęści dziecinne przyzwyczajenia i upodobania, i niema jeszcze potężnej myśli. W bolesnej przykrości przymusowego pobytu w kraju i w Petersburgu, w tej samotności ducha, w jakiej tam zostawał, dokonać się musiały te w r. 1831 zaczęte walki myśli, to łamanie się z trudnemi i groźnemi pytaniami, w których myśl ta rozwinęła się i rozrosła, z których wyszła jako samodzielna, świadoma siebie, gienialna.

W *Nieboskiej Komedyi* jest nietylko zdumiewająca zdolność zgłębienia i określenia wielkich zagadnień historycznych i filozoficznych; jest także ogromna zdolność poetyczna wcielenia tych zagadnień w ludzkie postacie, ułożenia ich w obrazy i sceny. Jak przedmiot był nowym i nigdy jeszcze w poezyi nietkniętym, tak nową, nawskróś oryginalną i własną była forma (układ i budowa poematu, sposób kreślenia figur, styl, dyalog, wszystko). Nie było w tem artystycznej doskonałości, ale była wielkość. Ta forma była zbyt wyjątkowa i dowolna na to, by była wzorową; taką nie jest i być nie powinna. Poetyczna proza, jakkolwiek ją Krasiński tłómaczy i usprawiedliwia (w liście do Gaszyńskiego), jest tylko wybiegiem pisarzy, którzyby poetami być chcieli, a nie mogą. Dlatego używa jej Chateaubriaud w *Martyrach*, a za jego przykładem poszli inni. Ale u Krasińskiego miała ta forma to, co formom szczególnym i wyjątkowym daje prawo do bytu i do nieśmiertelności; miała ten dar, czy tajemnicę, że wprawiała czytelnika w zdumienie i wzruszenie, miała władzę nad jego uczuciem, nad jego wyobraźnią i nad jego rozumem. Tak jak inni poeci mieli i okazywali swoją moc twórczą w tem, że szczegółowym uczuciom czy cierpieniom ludzkiej duszy nadawali powszechność i wiekuistość

przez prawdę i przez tragiczność tych postaci i tych stosunków jakie z nich składali, tak twórczość podobną miał i okazał Krasiński, kiedy w postacie i stosunki takie wcielał dążności i namiętności zbiorowe swojego społeczeństwa i wieku. W *Nieboskiej Komedyi* jest on nietylko wielkim myślicielem, wielkim mędrcem; jest i wielkim poetą, wielkim twórcą. Jego myśl pracuje; ale w tej pracy posługuje się wyobraźnią, przyznaje jej i zostawia miejsce i prawo równe, obie tworzą razem, a choć to co tworzą jest głównie z zakresu pierwszej i pod jej najwyższy sąd podpada, to działa przecież na drugą i przez nią. Z wrodzonego instynktu zapewne a nie z zamiaru i z rozumowania, ale jest Krasiński nawet artystą. Nie w tem znaczeniu jakoby miał szkołę, rutynę, jasną świadomość i wiedzę jak ma postępować, na to by wywołać pewien effekt i sprawić pewne zamierzone wrażenie; ale jest wielkim artystą w tem, że swój przedmiot tak uszykuje, swoim scenom da taki obrót i taki koniec, swoim dyalogom takie zmiany i przerwy, swoim figurom takie w każdej chwili słowa, które wrażenie danej sytuacyi najsilniej streszczają, skupiają i podnoszą. W tych dramatach dowolnych nieregularnych, nie przeznaczonych dla sceny, jest dramatyczny zmysł tak silny, że autor ich niewątpliwie byłby mógł być wielkim tragikiem, gdyby był pisał zwykłe sceniczne tragedyc. W *Irydionie* własności te i zdolności artystyczne występują wyraźniej, może dlatego, że na planie szerszym, w rozmiarach większych i przy starannem wypracowaniu, miały do pokazania się więcej czasu i łatwości. W każdym razie są to obok filozoficznych poetyczne pomysły na wielką skalę i znakomicie wykonane. Niepodobne zgoła w tem wykonaniu do tego, co romantyczność nazywała dramatem fantastycznym. Ani łatwej fantastyczności widm upiorów i duchów, ani wyjątkowości w naturach tworzonych postaci, ani nadzmysłowego świata, ani chorobliwie excentrycznych uczuć, jak u Manfreda, ani szlachetnych aspiracyi przy niezdolności do działania, jak u Kordyana lub Wacława Garczyńskiego. Ludzie Krasińskiego nawet kiedy są chorzy na wyobraźnię jak Henryk, nie są rozstrojeni ani niedołężni; a z tym wy-

jątkiem żaden nie jest chory. Źli czy dobrzy mają tęgość, mają zdolność postanowienia i czynu, mają natury normalne i męzkie, jakich romantyczność poprzednia nie tworzyła. W układzie zaś i w sposobie pisania tych poematów, pomimo patetyczności, a niekiedy może napuszystości, niema nic mglistego i nieokreślonego; wszystko się wyraźnie siebie trzyma i z sobą łączy, wszystko stoi mocno na nogach i na ziemi, a nie buja w powietrzu; każdy wié czego chce, co myśli, co robi. Te pomysły i figury mają doskonałą świadomość siebie w swojej myśli, w swoim zewnętrznym kształcie mają rzeczywistość i uchwytność, w wykonaniu mają jasność, precyzyę, chwilami realizm. Wyszły z głowy poety jędrnego, męzkiego, niechorobliwego, ani rozstrojonego. Co daje tym pomysłom i figurom ich żywotność i wartość? oczywiście ich wielka wewnętrzna prawda, skutek wielkiego rozumu, wielkiej mądrości autora. Ale co jest tajemnicą tej wielkości, tych rozmiarów heroicznych, jakie im poeta nadaje, i pierwiastkiem głównym jego siły? Ośmieliłbym się twierdzić, że tą tajemnicą jest głębokość i namiętność jego uczucia. Miłość potężna i gorejąca wszystkiego co dobre, równa, a może jeszcze potężniejsze oburzenie na to co złe, one to sprawiły, że *Irydion* jest taki ogromny w swoich zamiarach i w swojej boleści, Massynissa taki kolosalny w swojej nienawiści, że Pankracy taki silny, bezwzględny i pewien siebie, a Henryk tak nierówny dziełu, które chce podjąć; że pogarda Rzymu Cezarów u *Irydiona*, a rozkosz Massynissy z upadku chrześciaństwa taka bezdenna i bezgraniczna, że zakończenie *Nieboskiej* takie ponure i straszne, zakończenie *Irydiona* takie surowe a zarazem tak pełne pociechy i odwagi. Złe, jak dobre, widzi ten poeta w całej wielkości ich sił i rozmiarów, w całej zgrozie i piękności ich istoty, jak mało kto drugi na świecie; i to daje mu tę siłę oburzenia i siłę miłowania, to na jego kreacyach wybija niezaprzeczone, niezatarte piętno wielkości.

Ta siła została w nim zawsze, ale zmieniła sposób wyrażania się i działania. Do jakich koncepcyj i do jakich kompozycyj mógł być jeszcze zdolnym poeta, który w latach tak młodych stworzył *Irydiona?* Ale zmienił drogę, i w ten sposób

więcej już nie tworzył. Wyobraźnia, która służyła mu tak dzielnie i świetnie, odtąd zostaje na boku jakżeby niepotrzebna. Wezwana raz do pomocy w drobniejszych pomysłach *(Trzy Myśli, Noc Letnia)* stanęła na wezwanie ale z opuszczonemi skrzydłami; siliła się na lot i udawała lot, ale naprawdę sama już się do niego nie zrywała. Później, w *Niedokończonym Poemacie,* już straciła wprawę i od ziemi prawie się nie podniosła. Co się z nią stało? czy się tak wyczerpała odrazu wielkiem dziełem, jakie stworzyła? Byłaby zapewne zdołała wydawać z siebie równe i większe, gdyby myśl, reflexya, nie była jej owładła i zagłuszyła. Kierunek filozoficzny wziął górę nad poetycznym; chwila, w której Krasiński zaczął stanowczo i namiętnie szukać całkowitego systemu prawd, i w której system ten złożył, oznacza w jego zawodzie przełom i zwrot, który dla możliwego dalszego rozwoju jego sił i darów poetycznych, był raczej szkodliwym. Poeta z usposobieniem i powołaniem, jak wskazywały jego pierwsze dzieła, przeważnie dramatycznem, zmienia ton i formę i występuje teraz jako liryk. Liryka ta zrazu jest osobistą, najczęściej miłosną, a jako taka niepospolicie potężną. Ale niebawem łączy się ona z temi pytaniami i sprawami, które obchodzą go nad wszystko, zlewa się z jego filozofią historyi i z jego nauką moralną. W *Przedświcie,* w *Psalmie Wiary, Nadziei i Dobrej Woli,* to liryzm filozoficzny, politycznie dydaktyczny; w *Psalmie Miłości* i *Żalu,* w *Dniu Dzisiejszym* jest takisam, tylko z dodatkiem wyraźnego, silnego, górującego pierwiastku polemicznego. Jakim sposobem ten dydaktyzm i dogmatyzm, ta filozofia i polityka, nie przygłuszyły i nie przydusiły poezyi? Sama wzniosłość tych myśli, które Krasiński głosił, nie byłaby zdołała uratować poezyi od niebezpieczeństwa, które logicznie grozić jej musiało, a zgubić ją mogło. Obronił ją tylko jego gieniusz poetyczny, tak rzeczywisty i potężny, że w przedmioty i treści z natury przeciwne poezyi, wlał boski ogień natchnienia i czar piękności. Nic może nie dowodzi tak jasno, tak zwycięzko, że Krasiński był wielkim poetą, jak że w tych dziełach filozoficznej i dydaktycznej treści on poetą być zdołał. Bo w *Nieboskiej,* w *Irydyonie,* on dydak-

tycznym nie był; jego nauka i tendencya tkwiła głęboko na dnie, ale przykryta, przywalona poetyczną i artystyczną twórczością, ona nie biła w oczy, nie narzucała się, nie wykładała się jak z katedry. Teraz wykłada się tak porządnie, tak starannie, tak systematycznie, tak się objaśnia i popiera wszelkiemi możliwemi argumentami, jak żeby w naukowej dyspucie lub politycznej dyskusyi — a mimo to zostaje (prawie zawsze) najistotniejszem, najrzetelniejszem i najwznioślejszem poetycznem natchnieniem. Czem się tłómaczy to pogodzenie dwóch rzeczy z natury sobie przeciwnych? Temsamem, czem tragiczna wielkość obrazów i postaci *Nieboskiej* i *Irydiona*, wyjątkową siłą miłości dobrego a oburzenia na złe. Ona to, ta siła, wybucha w *Przedświcie* wulkanicznym ustępem: *nie znam na was hańby słowa,* ona w *Psalmie Miłości* grozi tą straszną radością, co w grobie sklei kości carycy, ona patrzy *w dawno zmarłych żywe twarze,* ona chce *zginąć cząstką w trudów arcydziele,* ona słyszy, że *rozgrzmiał się sąd w niebie ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,* ona truchleje, że może sobie *na dnie przepaści nicestwo pościelem,* i ona szturmuje do nieba z podniesionemi jak Mojżesz rękami, prośbą: *Daj nam wśród sądu tego, samych zbawić siebie.* Silniejszych wyrazów, uczucia ludzkie niewiele miały na świecie; Prometeusz Eschyla mógłby swoją nieugiętą dumę wyrażać Krasińskiego słowami, Dante mógłby jego słowami gardzić, Skarga jego słowami zaklinać, upominać, gromić i grozić. Do tych szczytów potęgi, do jakich ludzkie słowo wznieść się może, dosięga poezya Krasińskiego.

Organem tej siły i jej kształtem, jest oczywiście jego język i styl. Ten wartby był, żeby mu poświęcić osobne studyum, tak jest zajmujący i dziwny swojemi przymiotami i wadami. Wielka okazałość jest jego cechą, jego naturą; bezwiedna zapewne, nieszukana, wrodzona pisarzowi, ale sztuczność jest w nim zawsze. To, co Macaulay mówi o stylu Johnsona, że jest aż sztywny od bogatych haftów jak jaki wspaniały królewski płaszcz, to dałoby się zastósować do (zupełnie innego ma się rozumieć) stylu Krasińskiego. Ta okazałość i sztuczność wszakże, nie staje się nigdy zawiłością,

to jej wielka i dziwna zaleta; ale staje się nieraz nadętością, to jej naturalne prawie nieuniknione zboczenie i wada. Przykładów jest wiele i oczywistych (zwłaszcza w *Trzech Myślach*, w *Psalmie Żalu* i w *Niedokończonym Poemacie*, często w listach, a nawet w listach do dzieci). Poprostu Krasiński wyrażać się nie lubi; jego myśl potrzebuje zawsze trójnoga czy koturnu; a koturn kiedy za wysoki przestaje być koturnem, a staje się szczudłem. Okazałość i uroczystość przesadzona staje się prozaicznością poziomą i ciężką, nieledwie przykrą przez przeciwieństwo zamierzonego wrażenia z osiągniętem. Te wady stylu dowodzą, że smak Krasińskiego nie był zupełnie czysty i pewny. Nadmiar, przesada, wskutku tego effekt chybiony, zdarza się czasem to prawda; ale uroczystość, majestat, wielkość, ale obrazowość i koloryt, ale porywająca lub przygniatająca siła wyrażeń jest częściej, a prawie zawsze.

Rzecz rzadka u poetów kolorystów, a Krasiński jest jednym z takich, on do swoich świetnych, a czasem aż nazbyt jaskrawych effektów kolorytu, mało posługuje się przymiotnikami. Wystarcza mu kombinacya czasownika i rzeczownika, ale te dobiera i zestawia nadzwyczaj szczęśliwie i umiejętnie. Może temu zawdzięcza on niezrównaną jędrność i energię swoich frazesów; ale zarazem nadużywa niekiedy tych środków. Rzadko używany przymiotnik zastępuje on chętnie i zręcznie imiesłowem; ale zastępuje go także nieraz zrobionym z przymiotnika rzeczownikiem, a to nie zawsze z korzyścią dla swego stylu. Wogóle lubi on śmiało przetwarzać przyrodzone formy słów, z doskonałego rzeczownika zrobić nowy czasownik, lub odwrotnie, z czasownika rzeczownik. Jeden i drugi ma w sobie oczywiście więcej istotnej treści, niż ten biedny przymiotnik, który sam przez się zupełnem pojęciem nie jest, tylko dopiero w połączeniu takiem się staje; zatem jędrności i energii stylu rzeczownik i czasownik służy najlepiej. Jednak przetworzenia takie, kiedy częste a zbyt śmiałe, chybiają celu i wywołują wrażenie pretensyi a nie siły. Krasiński naprzykład z *anioła* zrobi czasownik *anielić się*, a z tego znowu rzeczownik *zanielenie* lub *przeanielenie*.

Samemu Panu Bogu nawet nie przepuści, ale stworzy z niego czasownik *zbożyć się*. Prawda, że *Bóg był Słowem,* ale przecie nie słowem czasowem w gramatycznem znaczeniu.

Jakie były jego estetyczne i literackie pojęcia, zasady, czy upodobania? Miał on niewątpliwie wielką miłość poezyi. Wstęp do *Nieboskiej Komedyi,* w którym tak starannie odróżnia poezyę od poety, przytoczone wyżej liczne ustępy z listów dowodzą, że ma poezyę za najbardziej nadziemską z ziemskich rzeczy, za swoją pociechę, siłę, poniekąd za swoją zasługę; przynajmniej za dowód i świadectwo swojej wartości. Ma też widoczny popęd i dar do filozoficznego badania poezyi, do dochodzenia i określenia jej natury i jej praw. Zajmuje się wprawdzie temi kwestyami, tą teoryą poezyi mało; mówi o niej tylko przygodnie. Ale jego rozróżnienie sztuki starożytnej i chrześciańskiej (w liście do Gaszyńskiego z 26 kwietnia 1835), albo określenie istoty poezyi (do tegoż 17 styczuia 1834), dowodzi, że mógłby był stać się gienialnym teoretykiem piękności i sztuki, gdyby się był tą teoryą zajmował. W praktyce, w przystósowaniu, sąd jego bywa dla nas czasem dziwny. Nietylko przez to, że naprzykład dowodzi filozoficznie „konieczności Słowackiego“ (list do Romana Załuskiego), zamiast poprostu wskazać i wytłómaczyć jego zalety, to to tylko zwyczaj filozofowania. Ale jak zrozumieć to, że w *Panu Tadeuszu* widzi tylko „epopeję drobnej szlachty“, i jakieś podobieństwo z *Don Kiszotem?* jak to, że Laprade wydaje mu się wielkim poetą? Virgiliusz większym od Homera, Schiller od Szekspira?

Zdaje się, że on, jak sam tendencyjny zawsze jest, tak w poezyi drugich szuka i potrzebuje jeżeli nie wyraźnej i dotykalnej tendencyi, to przynajmniej wyraźnego uczuciowego i wzniosłego idealizmu. Na taki domysł naprowadza jego porównanie Szekspira z Byronem (do Gaszyńskiego 9 stycznia 1837), i z Schillerem (do tegoż z 30 kwietnia 1837). Byron „w hierarchii duchów“ wyższy od Szekspira, bo się więcej dręczył i pasował, więcej cierpiał i dążył. „Z Szekspira dowiesz się tylko, że tak się stało, z Schillera, że tak się stanie“; „Szekspir rozumiał duszę ludzką, Schiller

ducha ludzkości“. W jednym jest „prawda codzienna, w drugim prawda wiekuista, idealna“. Poeta, który tej prawdy wiekuistej nie szuka widocznie, nie tęskni za nią wyraźnie i uczuciowo, ten Krasińskiemu wydaje się mniejszym, a przynajmniej na niego samego tak nie działa. Dlatego wydaje mu się, że Göthe i Szekspir nie ma uczucia (jak zdawało się wielu romantykom sentymentalnym); dlatego niezrównany urok *Pana Tadeusza* jest mu niezrozumiałym, bo tendencya w nim bardzo ukryta, on nie kładzie w głowę „tego co się stanie“ lub stać się powinno. Uczuciowość i dążność pośrednia, ukryta, na Krasińskiego nie działa; zdaje mu się być żadną. Naodwrót, gdzie widzi wzniosłe uczucia, szlachetne myśli i dążenia, wyraźne, praktyczne wskazówki tego co być ma lub być powinno, tam gotów jest uznać (jak u Laprada) wzniosłą poezyę, choć jej niema; tam, jak w *Czarnieckim* Koźmiana, wyexaltuje się do poematu, albo mu sam (jak w tym razie) tej tendencyi zechce dodawać. Z pewnością patrzy on na poezyę ze stanowiska tendencyi moralnej i patryotycznej, nie wyłącznie, ale przeważnie, aż cokolwiek jednostronnie. Potrzebuje wyraźnego subjektywnego uczucia drugiego poety, i spotkania się jego uczucia ze swojem; gdzie tego nie znajdzie, tam zostanie zimnym, a poniekąd na zalety i na samo uczucie i natchnienie tego poety nieczułym, prawie zaślepionym. Ta zaś łatwość i potrzeba unoszenia się z zachwytu, która mu jest właściwa, sprawia, że kiedy dzieło trafi do jego uczucia i przekonania (jak Laprade), albo do jego wyobraźni (jak *Muszkietery* Dumasa), to on gotów przebrać miarę w uwielbieniu, i pasować miernego poetę na wielkiego, a romans na epopeję.

Żadnych zresztą stałych raz na zawsze przyjętych względów, reguł, zasad, tembardziej uprzedzeń, w nim nie znać. O klassycyzm i romantyzm, o które za jego młodości jeszcze się krytycy spierają, on nie pyta. Do żadnego nie należy, oba doskonale rozumié i we właściwych pięknościach szczerze podziwia. Nad chwilowe spory, pojęcia lub szkoły, jest wyższy; wié, że piękność może się objawiać w nieskończonej rozmaitości form, a wszystkie mogą być równie dobre

i uprawnione, pod warunkiem, że będą kształtem rzeczywistej i wiekuistej piękności.

Jakiekolwiek zresztą byłyby niedoskonałości jego stylu czy smaku, to zawsze Krasiński jest jednym z tych pisarzy, którzy pewnym wrodzonym, powszechnym, od natury ludzkiej nieodłącznym uczuciom, umieli nadać wyraz najsilniejszy, którzy pewne myśli, zjawiska, stosunki, najtrafniej i najdzielniej umieli w jędrnych słowach sformułować; jednym z tych rzadkich, którzy kreacyom swoim umieli nadawać wielką duszę, wielką siłę umysłu i woli, natchnąć je i ożywić wielkiemi dążnościami i uczuciami. Gdyby przyszłość miała nawet odwrócić się od wszystkich Krasińskiego myśli jako od błahych i mylnych, od wszystkich jego form jako od błędnych czy przestarzałych, to i w takim razie jeszcze miłość ojczyzny, miłość kobiety, zgroza, pogarda, nienawiść kłamstwa, podłości i gwałtu, wszystkie te pierwiastki ludzkiego życia i skarby ludzkiej duszy, znajdą w jego poezyi wyraz jeden z najsilniejszych i najdoskonalszych na świecie, wyraz zawsze prawdziwy, dopóki one zostaną na świecie.

Dodajmy do tego, że jak inni poeci byli znawcami i malarzami natury człowieka, tak on był znawcą psychologicznej natury ludzkich społeczeństw, związku między różnemi skłonnościami i namiętnościami ludzi, a dążnościami i dziejami ludzkości, znawcą praw, które temi dążnościami rządzą i z pewnych przyczyn pewne skutki wywodzą, malarzem typów i stosunków, w jakich się te namiętności, dążności i prawa objawiają; dodajmy to wszystko razem, a będziemy mieli odpowiedź na pytanie, czy Krasiński był wielkim poetą.

Filozoficznego stanowiska Krasińskiego określać i sądzić nie czujemy się na siłach ani w prawie. Pokusić się o streszczenie jego pojęć, wedle możności dokładne i wierne, oto wszystko, co mogliśmy zrobić. Dochodzić związku tych pojęć ze współczesną lub nieco dawniejszą filozofią, oznaczać pochodzenie tej lub owej myśli od tego lub owego poprzednika, wreszcie sądzić co tam prawdziwe i słuszne a co nie, to

rzecz takich, którzy istotę i dzieje tej nauki lepiej znają, a rozumieją głębiej. Długo jeszcze po nas będą ludzie zajmować się Krasińskim i o nim pisać, a między tymi znajdą się tacy, co i tę kwestyę z czasem rozważyć i zbadać zdołają. Ale są za to inne pytania, przystępniejsze, których odrazu rozwiązać nie mamy uroszczenia, ale które zadać sobie można i należy.

Jednem z takich, jest Krasińskiego przekonanie i stanowisko religijne, jego stosunek do Kościoła i wiary. Na tem polu spotyka się przeciwieństwa do pogodzenia trudne. W młodości jest nietylko żywe uczucie religijne, ale zrozumienie dziwnie głębokie i prawd wiary i natury Kościoła, obrona ich gorąca przed drugimi, zatem istotne do nich przywiązanie. Później wyznania, że ta wiara się chwieje; a jednak obok nich ślady i wskazówki wyraźne, że ona jest. Jeszcze później po ustaleniu i dojrzałości zupełnej wszystkich pojęć, przekonania i uczucia gruntownie i statecznie katolickie, a przecież i wtedy nietylko zostaje oczekiwanie epoki Ducha św. (niepewnej prawowierności), ale w listach odzywają się jeszcze przypuszczenia, że Kościół chyli się ku upadkowi, jakoby przypuszczenie, że on upaść może.

Jak to pogodzić?

Przedewszystkiem jako podstawę wyobrazić sobie trzeba uczucia i pojęcia katolickie. Kiedy Krasiński pisze do przyjaciela: „wstydź się nie być katolikiem“, mówi przez niego nie samo tylko uczucie, ani poetyczne rozmiłowanie w wierze i jej kształtach, ani tradycyjna tylko a tem mniej wyrozumowana polityczna jakaś wierność; to wszystko może w nim być w różnych proporcyach, ale obok tego jest i przekonanie. Nie jego serce tylko, jego rozum mówi także, że „Lammenais głupstwa gada“; i mówi, że Papież jak dziś w jego oczach błogosławił, tak dalej i zawsze błogosławić będzie *urbi et orbi*. Jego dusza i jego natura poetyczna, mają wrodzoną potrzebę religijnego uczucia i wiary; jego rozum wié, że bez wiary nie dojdzie ani człowiek do zupełnej prawdy, ani ludzkość do sprawiedliwości i rzetelnego postępu. Wychowanie, tradycya, własne uczucie i własne wyrabiające się przeko-

nanie, mówią mu zgodnie, że prawda jest w katolickiej wierze i Kościele. Ale zarazem jest Krasiński człowiekiem swego czasu i swego pokolenia; pragnie i wygląda uczciwego, po bożej myśli rozwikłania i uporządkowania spraw ludzkich, mniema i spodziewa się, że temu dziełu początek winien dać Kościół, a przynajmniej widocznie mu pomagać, pokazać wyraźnie, że mu sprzyja. Z pewnością stoi on na tymsamym punkcie, na którym stało wiele serc i umysłów wzniosłych, z którego dopiero rozchodziły się one w różne strony i kierunki. Jaki był kierunek Krasińskiego?

Jego, jak innych, raziło i bolało, że Kościół milczy, że zachowuje dobre stosunki z tem, co w chrześciańśtwie właśnie reprezentowało gwałt, przemoc, bezprawie, z dodatkiem wstrętnej hypokryzyi praw i zasad: że w państwie Papiezkiem praktykują się takiesame jak w Neapolu lub w Austryi Metternicha policyjne środki ostrożności i zakazy. Namiestnik Chrystusa zamiast coby miał wskazywać prostą drogę do Jego Królestwa, zostaje w zgodzie z tem wszystkiem, co jest jego negacyą; nie widzi, albo udaje że nie widzi, że w tych pozornych obrońcach Boskiego porządku, niema poczucia i poszanowania, jest urąganie wszystkich praw boskich i ludzkich. Konieczność uznawania rządów istniejących, niemożność wyzywania ich, byliby ci ludzie wyrozumieli i znieśli łatwiej; ale łatwowierność, z jaką Rzym szczerze ówczesnym rządom ufał i za swoją podporę je uważał, ta bolała i upokarzała ich gorzej. Nie widzieli zaś tego, co Rzym i doświadczeniem swojem i wzrokiem bystrym dostrzegał, to jest, że pod każdą dążność szlachetną i słuszną podszywa się zabójcza, destrukcyjna, rewolucyjna nienawiść chrześciaństwa; nie rozróżniali, że Rzym tej złej opierać się musi, sądzili, że boi się dobrej. Istotnie za Leona XII i Grzegorza XVI dwór rzymski nie zawsze dość jasno widział, gdzie się kończy dobre, a zaczyna złe, i w postępowaniu swojem nie dość jedno od drugiego odróżniał.

Dość, że widzieć Namiestnika Bożego, reprezentanta i stróża prawdy na świecie, życzliwym i powolnym dla tego, co było zaprzeczeniem i urągowiskiem Bożego prawa i po-

rządku, to była dla sumień próba i walka ciężka, pokusa niebezpieczna. Lammenais jej nie wytrzymał; Mickiewicz wytrzymywał długo, ale nie do końca. Krasiński nie był tak w swoich katolickich zasadach rozumowo i pewnie zahartowany, jak Lacordaire i Montalembert, nie przezwyciężył pokusy odrazu i stanowczo jak tamten, nie miał takiej jak oni miłości Kościoła, która trwa i nie słabnie, choć się nam postępowanie władz kościelnych wydaje mylnem, a ich pojęcie ciasnem. Ten stopień rezygnacyi przechodził jego ówczesne siły; rzeczywistość kłóciła się z jego ideałem, nie dochodziła go, psuła go. Ztąd nie bunt jak u Lammenaisgo, a później u Mickiewicza, ale żal do tej rzeczywistości i przeciw niej gorycz. Wiara zostaje, ale obok niej powstaje niechęć do tego, co Mickiewicz nazywa Kościołem officyalnym.

Na to przychodzi wpływ filozofii niemieckiej, ten wpływ, na który Krasiński tak się żali, że mu zniweczył wszystkie jego wiary. Czy zniweczył wiarę religijną? Nie; on ją tylko różnemi wątpliwościami zachwiał. Jak daleko one sięgały i czego się przedewszystkiem tyczyły, to się dziś oznaczyć nie da; tylko, znając naturę i umysł Krasińskiego można przypuszczać, że wątpliwości te raz poczęte musiały się rzucać (po kolei lub razem) na wszystkie kwestye, i wszystkie ogarniać. Jednak zdaje się, że wątpliwości nie utrzymały się zwycięzko, nie stały się przekonaniem, twierdzeniem. Przez wszystkie te lata, jak świadczą listy, Krasiński wyznaje Jezusa Chrystusa jako Boga; nieśmiertelność duszy ludzkiej wyobraża sobie niejasno, skoro przypuszcza jakieś zlanie się w łono Boga, które może być końcem indywidualności duszy; ale nieśmiertelność tę stawia zawsze jako pewnik, a odpowiedzialność tej duszy, jej zasługę lub winę, rozumie zawsze jasno i pewnie. Istota i treść wiary jest więc może nadwerężoną, ale nie jest zniszczoną. Żal do Kościoła za to rośnie; powstaje myśl, że to przemijająca forma stosunku człowieka i ludzkości z Bogiem, która może się przestarzeć i zmienić.

Wtedy jest Krasiński na tym punkcie, z którego do zerwania i buntu już tylko jeden krok. Ksiądz Semeneńko, który go poznał w Rzymie w roku 1839, mówi o nim, że

„zdaje się nie mieć wcale religii, a nawet więcej niż *zdaje się*“ [1]). Mylił się, było jej tam więcej niż się zdawało; ale nie dziw, że mógł Krasińskiego tak sądzić. Przyszłość Mickiewicza zdaje się być dla niego możliwą, otwartą. Co go ustrzegło i na tej drodze zatrzymało? Przedewszystkiem zapewne silny grunt katolickich uczuć. Czy praktyk także? O tem nie wiemy nic; a na domysł przypuszczać możemy, że nie. Człowiek zaplątany w różne miłości, których wyrzekać się nie chciał, modlił się zapewne często i gorąco; ale musiał zaniedbywać inne obowiązki religijne, skoro ich warunkiem i następstwem musiałoby być zerwanie tych stosunków jemu tak drogich. Na domysł znowu, ale sądzę, że Krasińskiemu do utrzymania się w wierze musiały pomódz *Prolegomena* Cieszkowskiego (przez co nie rozumiem, ani chcę powiedzieć, jakoby Cieszkowski był w swoich pojęciach ściślej katolickim od Krasińskiego, tylko, że mu dopomógł do ułożenia i zgodzenia pojęć nieustalonych lub sprzecznych). Cokolwiek byłoby błędnego, filozoficznie czy religijnie, w tym systemie pojęć, jaki on sobie z tą pomocą złożył, zawsze ten system dawał mu możność pogodzenia sprzeczności pomiędzy uczuciem i wiarą, a tym żalem, jaki miał do Kościoła. Prawda jest, i wiara zostanie, i Kościół także; tylko w trzeciej epoce dziejów on podniesie się także. Zmieni się jego forma, a w tej nowej jaką przybierze, zniknie to wszystko, co dziś w nim razi jako słabość czy małość. Na tem stanowisku stoi on w *Legendzie.* Nie znać tam niechęci i goryczy do Kościoła dzisiejszego; owszem, jest jakaś miłość tęskna i litościwa, jakaś wyrozumiałość na jego słabości czy błędy. Ale jest zarazem wyrok stanowczy i niecofniony przemiany, przeobrażenia, podniesienia się, jakie on przebyć musi. Taki jak jest, on nie jest „opoką“; „gniewają się“, mówi Krasiński, „bo widzą krytykę tego, co *nazywają opoką*“; ale stanie lepszym i wyższym. Ta wiara w przyszłość Kościoła sprawia, że Krasiński znosi jego teraźniejszość, choć

[1]) Ks. Smolikowski, *Pierwszy Zakon Polski w Rzymie*, *Przegląd Polski*, sierpień 1892.

jej nie pochwala; ona zatrzymuje go w Kościele, sprawia, że nie czuje potrzeby wyjścia z Kościoła, że teraz byłby silny przeciw wszelkiej pokusie wyjścia z niego, odparłby ją odrazu i z oburzeniem.

Utwierdził go w tej wierności — znowu domysł tylko — i był dalszym krokiem do statecznych przekonań i wyrozumowanej wiary, Towianizm. Pierwiastkową, zasadniczą szlachetność uczuć i zamiarów, on doskonale rozumie (dowód w listach do Słowackiego). Ale jego rozum przenika odrazu co jest w tej nauce błahego, dowolnego, bezpodstawnego; jego znajomość ludzi odkrywa i wskazuje niebezpieczną pychę pod pozorami pokory i zachwytu; jego instynkt polski i jego zmysł polityczny odgaduje odrazu niebezpieczeństwo rozprzężenia i rozkładu narodowej duszy i woli, niebezpieczeństwo zlania się w praktycznem działaniu z rewolucyą i jej środkami; i tak daleko jak Towianizm odszedł w kierunku odśrodkowym, tak on przychodzi do środka, i o ten środek się opiera. Wyszedł z tychsamych co Mickiewicz cierpień, pragnień i nadziei, miał i on podobny tamtemu żal do kościoła; ale doszedł do konkluzyi innych; a gdy zobaczył do jakich tamta droga może prowadzić, stanął tem silniej przy swoich. Żadnego nowego objawienia, żadnych nowych zakonów, żadnych cudów. Prostemi, naturalnemi środkami (przy Bożej łasce i pomocy ma się rozumieć), podniesienie ludzkości całej i kościoła w niej, do wyższej doskonałości. Jezus Chrystus nietylko nie potrzebuje, żeby ktoś po Nim Jego objawienie i zakon poprawiał, ale jest sprawcą i celem całych dziejów ludzkości; Jego żywot tych dziejów wzorem i figurą. Kościół jest nie narzędziem tylko i środkiem, ale fundamentem oczekiwanego postępu, osią tych dziejów. Z nim w jedności zupełnej i przezeń ma się dopełnić trzecia epoka i ludzkość dojść do swego celu, a on nie zmieni się, tylko się pozbędzie tych ludzkich niższych słabości, które w epoce dzisiejszej być w nim musiały jako od niej nieodłączne, nieuniknione.

To jest stanowisko *Przedświtu* i *Psalmów*, i im współczesnych listów. Zrozumienie Kościoła i jego miłość, wróciły silniejsze, bardziej wyrozumowane niż były za młodu. A jed-

nak niechęć jest i odzywa się ironią, goryczą, niesprawiedliwością nawet wielką, naprzykład we wzmiankach o spotkaniu Grzegorza XVI z Mikołajem. Jest jakaś złośliwa i brzydka przyjemność w słowach Krasińskiego o uścisku dwóch papieży, w jego wróżbie, że Rzym podkopie się w czci i powadze u ludzi. Tensam list wskazuje, co w jego mniemaniu jest powodem złego w kościele. „Połączeni są ogniwem władzy świeckiej“, mówi. Oczywiście na dnie tkwi w nim myśl (podobnie jak u Mickiewicza), że dbałość o tę władzę świecką, wzgląd na jej zachowanie i bezpieczeństwo, przeszkadza Stolicy Apostolskiej w pełnieniu jej obowiązków duchownych, zmniejsza jej rolę i jej inicyatywę w wielkich sprawach ludzkości.

Przychodzi Pius IX. Krasiński zrazu z zadziwieniem, potem z zapałem i zachwyceniem patrzy na te rządy, które zdają się zapowiadać urzeczywistnienie ideału, pogodzenie wiary z wolnością, przykład postępu dawany przez głowę Kościoła. Ale rok 1848 staje na wspak tym nadziejom. Krasiński widzi cele i skutki rewolucyi lepiej niż ktokolwiek; ale myśli, że można je odwrócić i zniszczyć, jeżeli dobre ręce ujmą te dobre zasady, pod które ona się podszywa. Na tajnej audyencyi zaklina Papieża, żeby stanął na czele włoskich dążeń do niepodległości. Papież odmawia; może się w potrzebie bronić, ale nie może wydawać wojny, ani hasła do niej. Poeta znowu myśli, że Kościół skazał się przez to na upadek i niewolę. Piusa IX zawsze podziwia, ale boi się, że „kopuła porysuje się i runie“; wierzy w ukryte zdradzieckie przymierze rewolucyi z absolutyzmem czerwonych i czarnych, którego celem jest Papieża z jego pierwszej drogi sprowadzić, uwikłać go w sidła „czarnych“, i poczęty wspaniale postęp odwrócić, nie dopuścić do połączenia wiary z wolnością.

Wreszcie po r. 1848, zwłaszcza po 1850, w listach mniej o tych rzeczach mowy (bo i listów samych coraz mniej i krótsze); ale w ostatniej jeszcze scenie *Niedokończonego Poematu* występuje trzecia epoka troistych dziejów ludzkości i obietnica Ducha św. Tylko bez żadnych do Kościoła niechęci czy uprzedzeń; a w listach do Trentowskiego takie głębokie i potężne zrozumienie istoty katolicyzmu i jego

prawdy, jakich w naszej literaturze świeckiej znajdzie się bardzo nie wiele.

Po tem przypomnieniu różnych w biegu czasu religijnych pojęć Krasińskiego, jakież można wyrobić sobie ogólne o nim pod tym względem zdanie? Nie inne, jak, że to jest katolik, który (jak większość ludzi jego wieku) przebywa różne wątpliwości, który, wątpliwości jak wierzenia swoje chce sobie rozumowo wyjaśnić i uzasadnić; który różne artykuły wiary tłomaczy sobie i rozwija na swój sposób, z nauką Kościoła niezawsze zgodny; który dalej wierzy w najwyższe przeznaczenie Kościoła i spełnienia tych przeznaczeń wygląda, a im więcej pragnie tego spełnienia, im wyżej to przeznaczenie pojmuje, tem trudniej, tem niecierpliwiej znosi małości i słabości ludzi w Kościele. Ta strona ludzka, czasem dworska i dyplomatyczna, razi go boleśnie i oburza. Ztąd gorycz względem Kościoła, ztąd wróżby jego upadku, ztąd przekonanie, że on powinien odrodzić się i podnieść. Ale ta nadzieja zmiany w Kościele, nie jest zaprzeczeniem Kościoła; tak jak pojęcia Krasińskiego o pośmiertnem życiu człowieka, choć może dogmatycznie nie ścisłe, nie są negacyą ani nawet przeciwieństwem chrześciaństwa. Jakiekolwiek są różnice między jego pojęciami a naukami Kościoła, to istoty tej nauki on nie narusza, nie myśli i nie chce z Kościołem zrywać, ani też faktycznie z niego nie występuje. Rzeczywistość nie zgadza się z jego ideałem, ten lub ów szczegół nauki nie zgadza się z jego pojęciem, ale wola zostaje wierną, nawet kiedy rozum wykracza poza ściste granice wiary, a uczucie staje się gorżkiem. W tem różnica między Krasińskim, a takimi jak Lammenais lub Mickiewicz; w tem także podobieństwo i wspólność z całym jednym prądem pojęć i dążeń w jego czasach. Takich ludzi było wielu, którzy w swojem pragnieniu sprawiedliwości oglądali się na Kościół, nie rozumieli jego rozlicznych trudności, i nie mogli pojąć dlaczego nie jest śmielszym; którzy ze wstrętem patrzeli na jego sług, kiedy ci byli podobni do świeckich dworaków i dyplomatów; którzy w najlepszej wierze i z gorliwości chcieliby byli, żeby Kościół występował i działał inaczej; którzy mniemali, że on

jest oplątany intrygami świeckich i despotycznych rządów, że dwór papiezki jest tych intryg narzędziem, świeckie panowanie archimedesowym punktem, na który one działają. Było takich wielu w Europie, a zwłaszcza wielu między Polakami, którzy prócz tego wszystkiego jeszcze byliby chcieli, żeby Papież każdy ucisk i każdy gwałt powoływał przed sąd i Boski i ludzkiej opinii. Czy w tych uczuciach nie było nic słusznego? Było dużo niewiadomości, nie dosyć względu na położenie Stolicy świętej i jego trudności; nie było (bo być nie mogło) tego doświadczenia, że świecka władza jest warunkiem swobobnego wykonywania duchownej; ale uczucie i zamiar były dobre, ideał Kościoła był prawdziwy, zarzuty czynione jego stronie ludzkiej i ziemskiej były nieraz słuszne.

Krasiński był jednym z takich ludzi; był między takimi jednym z najmędrszych i najgłębszych; ale nie mógł i on mimo całego swego rozumu wiedzieć rzeczy, które po czasie i po doświadczeniach dopiero stały się zrozumiałemi; a im goręcej pragnął pogodzenia wiary z wolnością, tem bardziej cierpiał i zniechęcał się, kiedy nie widział tego, co miał za pierwszy krok ku upragnionemu królestwu Bożemu na ziemi. Jak w wieku XVI widzimy wielu, którzy katolikami są i chcą zostać, a jednak wyrzekają na zepsucie w Kościele, albo myślą że byłoby lepiej, gdyby księża się żenili, a nabożeństwo odbywało się w językach żyjących; tak w naszym wieku Krasiński może wierzyć, że Kościół potrzebuje przemiany i odrodzenia, albo że władza świecka jest do tego przeszkodą, a wiarą i wiernością swoją, przekonaniem i wolą, w kościele przecież być. I tak jest. Jemu, jak przed trzema wiekami Kochanowskiemu naprzykład, mogło grozić niebezpieczeństwo odstępstwa, ale zostało tylko niebezpieczeństwem. Niezgodność z Kościołem jaka jest, pochodzi z rzeczy świeckich i politycznych, i do tych się tylko odnosi; wiara jest u niego gruntowniejsza i hartowniejsza, bardziej na rozumowaniu oparta i w przekonanie zamieniona, niż u ogromnej większości świeckich, czy XVI czy XIX wieku. On był tem, co za jego czasów nazywano *katolikiem liberalnym,* ale katolikiem szczerze i wzniośle. A jeżeli Montalembert, który nie

mógł wymódz na sobie doraźnego poddania się dogmatowi nieomylności Papieża, nie przestał przecie być uważanym za katolika i za jednego z najlepszych, to taksamo może i ma prawo uważanym być Krasiński pomimo dawniejszych wątpliwości a późniejszych krytyk, pomimo epoki Ducha św., która zresztą w *Legendzie* tylko oznacza jakiś nowy kościół św. Jana, a po niej tylko podniesienie Kościoła do wyższej doskonałości. To pragnienie przecież nie sprzeciwia się ani nauce Kościoła, ani jego istocie, ani jego własnym nadziejom i dążeniom.

Polityczne pojęcia Krasińskiego określają się tak dokładnie i tak ciągle w jego pismach, że opisywać je byłoby zbytecznie; co najwięcej, można zwrócić uwagę na pewne pod tym względem charakterystyczne jego właściwości.

Jedną z takich jest dziwna stałość tych pojęć. Człowiek, który pod względem religijnym doświadcza różnych wstrząśnień i przemian, który swoje pojęcia filozoficzne wyrabia pomału i pracowicie, w politycznych nie zmienia się od początku do końca. Jak rozumie te sprawy i stosunki w dwudziestu latach życia, w *Nieboskiej Komedyi,* tak samo będzie je rozumiał do końca; a jeżeli na innych polach dadzą się dostrzedz i wytknąć w samych jego pojęciach sprzeczności lub niejasności, to w pojęciach i zasadach politycznych jest najzupełniejsza jedność i zgodność; żadnego wahania, żadnego zboczenia; on zawsze taksamo myśli, a w tym sposobie myślenia wszystko do siebie doskonale przystaje i przypada. Jestże to skutkiem bierności i nieruchomości umysłu, któremu pewien skład pojęć podano, a on przyjął je z powolną łatwowiernością, albo z pedantycznym uporem przywiązał się do gotowej wyuczonej doktryny? Nie był Krasiński umysłem ani biernym, ani łatwowiernym; a ścisły i systematyczny w swojem myśleniu, pedantem i doktrynerem nie stał się nigdy; cóż dopiero w latach dwudziestu, kiedy na wyrobienie doktryny nawet czasu jeszcze nie było. W tym wieku może być pedantem jakiś biedny ciasny umysł, rad, że mu ktoś drugi powiedział co on ma myśleć, ale nie Krasiński, którego cechą w umyśle i w charakterze jest właśnie

samodzielność i niezależność, i wielkie ich zamiłowanie. Jeżeli więc w pierwszej młodości, w *Nieboskiej Komedyi,* jego pojęcia są już tak wyrobione i stałe, że się w dalszem życiu nie zmienią, ani nawet silniej nie utwierdzą, to trzeba w tem widzieć dowód, że ten młodzieniec już o tych rzeczach myślał więcej niż o innych, i że o nich myślał głębiej niż inni. Istotnie, jak nie było drugiego poety, który był tyle co on zastanawiał się nad naturą spraw i zjawisk politycznych i społecznych, tak nie było tego, któryby patrzał na nie przenikliwiej. Możnaby bez przesady powiedzieć, że jak Macchiavel między prozaikami, tak Krasiński między poetami świata niema sobie równego pod względem psychologicznej znajomości ludzkich społeczeństw. Jeden patrzy na te sprawy ze stanowiska sukcesu i uczy jak go osiągnąć, drugi ze stanowiska chrześciańskiego i moralnego; stoją więc na stanowiskach wręcz przeciwnych, na przeciwległych biegunach. Ale jak o tamtym można rzec, że przenikał naturę zjawisk politycznych, związek przyczyn i skutków, jak nikt drugi w naszym świecie, to o Krasińskim można powiedzieć bez przesady, że ją znał i przenikał jak mało kto drugi.

Staje tu w pamięci to, co on sam powiedział o Schillerze, kiedy go porównywał z Szekspirem: „jeden pokazuje to co jest, drugi to co być powinno“. Otóż on ma tę własność szczególną, że rozumiejąc i miłując lepiej niż ktokolwiek to co być powinno, doskonale, trzeźwo, jasno, widzi w rzeczach politycznych to co jest i co być może. Przymiot to rzadki między Polakami, a dopieroż między poetami! Co być powinno, to my wogóle czujemy żywo; co stać się może, to czasem przewidujemy i odgadujemy trafnie; ale rzeczywistość tego co jest, widzimy i rozumiemy zwykle gorzej. Ten polityczny idealizm, który nam jest wrodzony, ukazuje nam rzeczy w światłach i rozmiarach innych, niż one na prawdę są, czyni nas skłonnymi do złudzeń. Przykładów przytaczać nie warto; cała nasza historya tego wieku jest takim przykładem, są nim bardzo zresztą znakomici ludzie polityczni. Cóż dopiero poeci! największy z nich, Mickiewicz (na emigracyi przynajmniej), widzi bieżące wypadki prawie zawsze

inaczej, niż one są. Krasiński ma najwznioślejsze, najszlachetniejsze pojęcie tego, co być powinno; idealizm jest osią i duszą jego wiary i jego filozofii w odniesieniu do przyszłości, i wtedy może przebiera miarę. Ale ten idealizm nie przeszkadza u niego trzeźwemu, praktycznemu widzeniu i sądzeniu spraw i wypadków bieżących; idealista (czy jak niektórzy chcą ideolog) względem przyszłości, jest pozytywnym i praktycznym kiedy chodzi o teraźniejszość. W jego poezyi ukazuje się zawsze królestwo Boże na ziemi i „nowe błyszczy Hieruzalem"; ale w jego listach nie znać złudzenia, żeby ono wyjść miało z tych wypadków, które się właśnie toczą. Dwa tylko razy ma on nadzieję szczęśliwego takich wypadków obrotu, a zawsze warunkowo, z zastrzeżeniami; raz w początkach panowania Piusa IX i w pierwszych chwilach r. 1848, drugi raz w początkach wojny Krymskiej; oba razy widzi słusznie dobre pierwiastki i możliwość dobrego końca, ale rozpoznaje wyraźnie i bystro te pierwiastki i siły złe, które poczętą sprawę mogą zepchnąć z prostego toru na krzywy. Logika w przewidywaniu zdarzeń jest u niego tak ścisła, jak w sądzeniu już ubiegłych, jak w zrozumieniu i wskazywaniu tego, co interes polski w danych stosunkach wybrać i robić każe. Taksamo jak w latach dwudziestu rozumie „niedojrzałość" (jak się wyraża) powstania listopadowego, tak w latach męzkich nie zapala się do planów i działań emigracyjnych. O księciu Adamie Czartoryskim mówi zawsze z największem uszanowaniem, a o Władysławie Zamoyskim z przyjaźnią, w której jest nawet uniesienie; ale nie miesza się nigdy do tego, co oni robią. Nietylko przez ostrożność rosyjskiego poddanego, który emigrantem nie jest, ale przez nieufność i niedowierzanie do skutku. W listach do Małachowskiego, podczas wojny węgierskiej, jest to bardzo widocznem. Tak jak rozumowaniem dochodzi do wniosku na przyszłość, że zjednoczenie Niemiec dokona się przez Prusy, tak w teraźniejszości rozpoznaje doskonale, że osłabienie Austryi musi się obrócić na wzmocnienie Rosyi i ostrzega przed niem jako przed szkodą i klęską w polityce polskiej. Wstręt do

państwa i rządów Józefa II i Metternicha zostaje, ale musi ustąpić przed ważniejszym interesem polskim.

Wszystko złe jakie jest w Polsce dzisiejszej, w jakiejkolwiek warstwie narodu, polityczne, społeczne, czy moralne, widzi wyraźnie i raczej chyba aż za czarno; ani nam nie podchlebia, ani siebie nie zaślepia na to co kocha. Jak zaś godzi tę surowość sądu z tą przyszłością którą nam zapowiada? Ona podług niego jest możliwą, ale nie jest niechybną; powinna być, ale nie musi być. Owszem, o ile na kiedyś, na później Krasiński w tę dobrą przyszłość wierzy, o tyle na blizką metę przypuszcza nietylko nieszczęścia, nietylko upadki, ale nawet zepsucie i wstyd. Nawet to nie jest podług niego nie niemożliwem, że Polska przejdzie przez (częściową i chwilową) schizmę. Zostawia więc w swoich przewidywaniach miejsca dużo na złe, liczy się z siłą pierwiastków złych i nie umniejsza ani zakrywa skutków, jakie one swojem działaniem mogą osiągnąć. Jak godzi te przypuszczenia z nadzieją lepszej ostatecznej przyszłości? Godzi wiarą, że Bóg ludzkości opuścić nie może; przekonaniem, że walka złego i dobrego w historyi musi się skończyć na tym świecie, a skończyć zwycięztwem dobrego, zwycięztwem Boga; sądzi, że słuszność i świętość sprawy jest i sama w sobie siłą, i ludzi podnosić i poprawiać może, jeżeli jej miłość jest w nich rzetelna; wreszcie widzi w swoim narodzie przymiotów wiele i przypuszcza, że one mogą kiedyś przemódz złe, jakie w nim jest. Tem rozumowaniem godzi on nadzieję i wiarę lepszej przyszłości, z jasnem widzeniem teraźniejszości i z surowym o niej sądem. Ale to jest wiara w ostateczny tryumf dobrego, nie w jego tryumf blizki, ani nawet w konieczne przy nim odrodzenie Polski. Na to on liczy, spodziewa się go, ale (zwłaszcza od roku 1846 i 48) nie jest jego pewnym. Konieczną jest tylko kara za złe, bo konieczną jest sprawiedliwość Boska. Wszystkie krzywdy i uciski Polski będą ukarane i pomszczone, sprawiedliwości stanie się zadosyć. Ale ta sama sprawiedliwość zrobi, że Polska o tyle będzie należała do tego zwycięztwa dobrego, o ile na to zasłuży. Jeżeli się da zepsuć albo zepsuje sama, to

tamci zawsze swoją karę odbiorą, ale ona może się nie podnieść. Tak pojmuje Krasiński przyszłość swego narodu. Przyszłość ludzkości musi raz na tym świecie doprowadzić do urzeczywistnienia myśli Bożej; ale blizko, bezpośrednio przed nami, jest właśnie prawdopodobny, a prawie nieunikniony, alians i tryumf wszystkich pierwiastków i potęg złych. Aż do roku 1848 przypuszcza Krasiński szczęśliwy zwrot historyi; ale po nim, z jedynym a krótkim wyjątkiem wojny krymskiej, sądzi owszem, że wszystko złe jakie objawiło się wówczas, będzie dojrzewało i wzmagało się do coraz wyższej potęgi. Listy jego (najwyraźniej może listy do Trentowskiego) zawierają ogólną ale wcale dokładną przepowiednię i charakterystykę tego, co się w naszych oczach, na schyłku wieku, działo i dzieje. Gdyby Krasińskiego porównać z różnymi znakomitymi ludźmi, którzy jak on w pierwszej połowie naszego wieku „łaknęli sprawiedliwości", pokazałoby się może, że on był między nimi jednym z najgłębszych, najstateczniejszych i najtrzeźwiejszych. Jedni chcieli godzić dobry cel ze złemi środkami, i osiągali cel przeciwny temu którego chcieli, inni wymyślali nowe religie, jeszcze inni wpadali z pomysłów wielkich w dziwaczne. U Krasińskiego uzasadnienie i dowodzenie filozoficzne jego zasad (*Próba grobu* naprzykład) może się okazać dowolnem i nie sprawdzić, ale niema nigdzie odstąpienia od zasad, niezgodności między teoryą a praktyką, między celem a środkiem, i jest zmysł rzeczywistości, znajomość jej, sąd o niej o tyle bystry i trafny, o ile wzniosłym i jedynie dobrym jest jego ideał.

Zbytecznie mówić, że tylko ostatnia płytkość i niezrozumienie rzeczy, albo zła wiara, może stósować do jego opinii i zasad bieżące brukowe nazwy i definicye. Krasiński nie jest ani arystokratą, ani demokratą, tylko jest człowiekiem, który zna naturę ludzką i naturę ludzkich społeczeństw; wié co jest przyrodzonym, koniecznym warunkiem ich równowagi i siły, i tego dla nich pragnie; wié że społeczeństwo ma boski początek, że jest z natury i przeznaczenia religijnem, że bez praw ludzkich z boskiemi zgodnych musi się rozprzęgać i własnemi rękami niszczyć. Dlatego nienawidzi wszyst-

kiego, co się temu boskiemu porządkowi sprzeciwia; wié że musi być i świecki, ludzki porządek, zatem zwierzchność, świadomość jej potrzeby, świadomość, że powołania, obowiązki, stanowiska, muszą być w społecznem życiu różne; świadomość, że od zgodnego, dobrowolnego ich zajmowania i pełnienia zawisła równowaga, harmonia, szczęśliwość i wartość tych społeczeństw. Zrozumienie tego porządku i jego potrzeby wykształcić się mogło u niego, jak u wielu ludzi jego czasu, z pomocą de Maistra (choćby pośrednią, bo o nim nie wspomina i wnosić można, że niema do niego sympatyi). Ale w nim niema tego, co stanowi właśnie słabość i w wielkiej części bezskuteczność systemu de Maistra, tego mylnego pojęcia czy uczucia, że rząd istniejący jakikolwiek, jest rządem regularnym i przeciwieństwem bezprawia. Krasiński właśnie pierwszy może z pisarzy i myślicieli w Europie, a w każdym razie najgłębiej i najwymowniej, przenika i wskazuje tożsamość istoty, tożsamość zasady, tożsamość środków, między rządowym a rewolucyjnym despotyzmem i bezprawiem. On docieka i dowodzi jak nikt przed nim, że to są tylko dwa różne ciała tegosamego ducha, dwie równe sobie negacye Boskiego i ludzkiego prawa, dwie formy anarchii, które społecznie i politycznie objawiają się inaczej (choć nieraz podobnie), ale moralnie są sobie równe i takiesame. Ztąd też wróg i prześladowca nieubłagany rewolucyi, i ten, który do dziśdnia określił i potępił ją najlepiej, jest taksamo nieprzyjacielem istniejących za jego życia rządów. Nietylko tych, które są wprost — jak rosyjski — przeczeniem wszelkiego prawa a wcieleniem bezprawia, ale i tych zachodnich, konstytucyjnych, parlamentarnych, które, pod pozorami liberalizmu, kryją małoduszność i krótkowidzenie. Do jednych ma nienawiść, do drugich wstręt; taksamo jak nienawidzi demagoga, który Polskę gubi, a gardzi i brzydzi się niedołężnym czy zdrożnym wielkim panem, który o nią dbać i jej służyć nie umie czy nie chce.

Krasiński w swoich pojęciach politycznych okazuje się naprzód jako człowiek moralny i uczciwy, który nienawidzi wszystkiego co złe; potem jako Polak, który nienawidzi

wszystkiego co Polsce szkodzi; potem jako człowiek szlachetny i pełen honoru, który się brzydzi wszystkiem co małe i podłe; a wreszcie jako człowiek, który we krwi, w sercu, w przekonaniu, ma zakorzenioną i utwierdzoną miłość wolności. To jest sam rdzeń jego uczuć, z którego wyrastają i soki żywotne ciągną jego opinie. Szczegół ciekawy, a wskazujący, jak miłość wolności jest u niego nietylko wielką, ale nawet staropolską, to, że pomimo całego swego politycznego rozumu i doświadczenia, dawna polska forma rządu wydaje mu się najdoskonalszą, idealną; kiedyś, jak ludzkość dorośnie i dojrzeje do swoich przeznaczeń, wróci się i przyjmie się wszędzie Rzeczpospolita z wybieralnym królem, i wtedy będzie ona możliwą. A obok tego ten brak sympatyi i zaufania do ludności miejskich, który się w nim czasem daje widzieć, to drugi zabytek staropolszczyzny i starej szlachetczyzny, to spuścizna odziedziczona po Krasińskich z Konfederacyi Barskiej.

Wszystko razem wziąwszy, polityczne Krasińskiego dążenia i środki zgadzają się z chrześciańskiem sumieniem, z sumieniem i obowiązkiem patryotycznym w całej jego czystości i szlachetności, z niezmienną naturą ludzkich społeczeństw; od wszelkiego interesu osobistego, stanowego, czy fakcyjnego wolne, w praktycznych bieżących sprawach zgodne są zawsze z prawdziwym interesem Polski, zatem politycznie rozumne. Niema w nich uprzedzeń ani nienawiści fakcyjnych, jak niema pedantyzmu teoretycznych doktryn; fakt każdy, stosunek każdy i płynący z niego w każdym osobnym razie interes i obowiązek polski, pojęty jest zawsze i przedstawiony w swojej najistotniejszej rzeczywistości i prawdzie, bez naciągań, bez przekręcań, bez złudzeń i bez łudzenia czy siebie czy drugich. Człowiek, który najwznioślej pojmował to co być powinno, widział to co jest tak jasno i trzeźwo, jak mało kto między nami. Nie dziwimy się, jeżeli w swoich poetycznych marzeniach wydawał się komu mistycznym, w swoich filozoficznych wykładach zbyt subtelnym i abstrakcyjnym; ale choć takim mógł się wydawać, to na prawdę był, i był nawskróś, umysłem politycznym.

Niema ani podobieństwa ani potrzeby zgadywać, jakim byłby Krasiński jako człowiek czynu. Nie był takim, nie miał sposobności takim się pokazać, zapewne nie był na takiego stworzony. Ale jakim był jako człowiek? jakie rysy jego charakteru dadzą się wydobyć z jego pism i listów jako główne i najbardziej znaczące?

Oczywiście jestto przedewszystkiem natura uczuciowa. Że w tych uczuciach jest szlachetny i wzniosły, że godność i honor są samą podstawą jego postępków własnych i jego sądów o drugich, zbytecznie mówić. Jest nietylko uczuciowy, ale we wszystkich uczuciach skłonny do exaltacyi; potrzebuje, lubi i umié podnosić je do najwyższego możliwego stopnia i tonu. Jest przytem człowiekiem fantazyi. Ta fantazya poetyczna, która w dziełach jego jest niekiedy przytłumiona reflexyą, jakżeby szukała dla siebie ujścia czy odwetu, wywiera się na jego własne uczucia i życie, i na tej podstawie roi, tworzy, poetyzuje. Ciekawa jest w tej mierze różnica między Krasińskim a Mickiewiczem. Ten, choć wyobraźnią działa wogóle więcej niż Krasiński, a w *Dziadach* tworzy poemat z własnych uczuć i przejść, i siebie samego stawia otwarcie jako jego główną figurę, w stosunkach z ludzmi, w listach, w sposobie mówienia o sobie samym, nie poetyzuje wypadków swego życia. Smutniejsze czy mniej smutne, wypadki te w jego wrażeniu nie przybierają dramatycznego koloru i kształtu. On w r. 1831 nie szarpie się jak Krasiński, ani ze swego ożenienia nie robi dramatu, ani z późniejszych swoich nieszczęść tragedyi. Co dziwniejsza, Słowacki, fantazyi tak pełen i sobą tak zajęty, skarży się chętnie i często na to co go boli, ale jeżeli poetyzuje swoje życie, to w poematach, nie w listach; napisze naprzykład *Szwajcaryę* i *Przekleństwo* (dla Eglantyny), nie robi z tego przejścia dramatu w swoich zwierzeniach i opowiadaniach. Krasińskiemu przeciwnie, cokolwiek się zdarzy, wszystko przybiera ten kształt wyjątkowy i ten wyraz patetyczny. Smutek staje się rozpaczą, położenie trudne tragicznem, walka uczuć lub obowiązków piekłem. Czy to jest u niego udaniem? Nie; każde jego uczucie jest rzetelne, choć jest

czasem umyślnie dla siebie samego przesadzone; to uczucie zlewa się z jego fantazyą, staje się warsztatem, na którym ona pracuje, i pod jej wpływem ono zmienia nie swoją istotę, ale swój pozór, a czasem swoje rozmiary. Jak Henryk z *Nieboskiej Komedyi*, tak i Krasiński jest człowiek z fantazyą zwróconą na wewnątrz, na siebie samego; ona go dręczy i szarpie, najistotniejsze cierpienia i smutki podnosi jeszcze do potęgi, ale zarazem ona mu daje czuć jakiś smak i jakiś urok w tem udręczeniu. To jedyna może chorobliwość jego natury, a zarazem podobieństwo z wieloma ludźmi jego czasu.

To także jego największa wada, jako poety, i jako człowieka. W poezyi ona jest powodem przesady i napuszystości; w życiu tych postępków, w których zgodność jego uczuć i woli, albo jego słów i uczuć, wykazać się nie daje, zatem istotna rzetelność tych uczuć wydaje się wątpliwą. Trudno naprzykład uwierzyć w jego rozpacze przed ożenieniem, kiedy rozpaczając stara się przez dwa lata, i żeni się. On naprawdę nie chce, ale jednak przecie i chce; i gdyby panna, zamiast go przyjąć, była go odmówiła, byłby się zapewne złapał, zdziwił i zawiódł boleśnie, i byłby może rozpaczał na nowy temat. Trudniej wybaczyć, że ożeniwszy się, był przez długi czas złym mężem. Namiętność wprawdzie tłómaczy wiele, choć nie usprawiedliwia; ale obok namiętności jest w tem jego zachowaniu się i romansowy paradox, i filozoficzny sofizmat, i upodobanie w dramatycznych kollizyach. Narzeka na fałszywe położenie, a nie wychodzi z niego ani wyjść nie próbuje; znowu podejrzenie, że mu ono tak bardzo nie ciąży, że mu się poniekąd swoją niezwyczajnością i dramatycznością podoba.

To najsłabsza strona jego charakteru i najsmutniejsza część jego życia; ta, z której żadną miarą uniewinnić go nie można. A wynikła ona z pewnością z tego popędu czy nałogu fantazyi do poetyzowania i dramatyzowania własnego życia.

Przytem zaś nasuwa się uwaga druga, której mu oszczędzić nie można, że (w swoich stosunkach z kobietami przynajmniej) nie był wolny od egoizmu. Prawda, że nader to

rzadki wyjątek, mężczyzna — mąż czy kochanek — któryby w takim stosunku nie miał siebie za cel; ale Krasiński tym rzadkim wyjątkiem nie był. Sam oskarża się o egoizm w stosunku z pierwszą kochanką; miał go tyle, nie więcej, co każdy inny w podobnem położeniu. Względem żony w pierwszych latach pożycia, egoizm ten przeszedł zwykłe granice i rozmiary; namiętność, paradoxalne rozumowanie i poetyczna fantazya, przygłuszyły nie już sumienie męża, ale prosty głos delikatności, dobrego serca i rozsądku.

Tejsamej fantazyi przypisać trzeba jego frasobliwość, jego pessymizm w tem, co się odnosi do niego samego lub do osób jemu drogich. Usposobienie miał smutne, a życie jeszcze mniej wesołe, to prawda; ale też jak smutno i czarno wszystko koło siebie widzi! W każdej chorobie widzi już grożącą śmierć, czy ojca, czy przyjaciół, czy dziecka, i naprzód się jej goryczą poi, a często bez powodu. Niespokojność o drugich jest zawsze nerwową, gorączkową i zupełną męczarnią. Strata majątkowa przy upadłości bankiera Thurneyssena, była, prawda, znaczna i dotkliwa; ale jemu wydaje się niemal ruiną. Czasem to usposobienie nerwowe, ta skłonność do przewidywania i ten pessymizm, doprowadzają go do urojeń, powtarzających się uparcie, trwałych; naprzykład to mniemane przeczucie, że skończy w więzieniu albo na Sybirze. Czasem do pomysłów aż dziwacznych w wielkiej ostrożności; jak naprzykład owo przebranie i *incognito* w Paryżu, które omal nie doprowadziło go do pojedynku. Czy miał dziwactwa? Jeżeli, to nie wiele, i nie wielkie. Ale jest przecie pewien ślad dziwactwa w tem uporczywem nieprzyznawaniu się do swoich dzieł, przed najbliższymi, najzaufańszymi przyjaciółmi. Kiedy ich pyta naprzykład co to jest *Noc Letnia,* czyja jest, i jaka, to czy mistyfikuje, czy przesadza ostrożnością, zawsze trochę dziwaczy.

W przyjaźni był serdeczny i stały; jedyna, która się zerwała, przyjaźń ze Słowackim, zerwała się przez zbieg okoliczności, nie przez zmienność jego uczuć. Idealizować i poetyzować przyjaciół potrzebował; każdego z nich w innem, ale każdego w jakiemś poetycznem świetle widzieć

musiał. Uczynny przytem, lubiący oddać usługę, a w dobroczynności delikatny i ukrywający się szlachetnie. W życiu codziennem lubiący żeby mu ulegano, ale nie przykry, ani gniewliwy, ani zrzędny. Miewał gwałtowne wybuchy oburzenia, ale na podłość i niegodziwość tylko; dla otaczających był łagodny i dobry. Mało towarzyski, obcych ludzi i nowych znajomości unikał. Ale między zaufanymi, zwłaszcza kiedy mniej cierpiący, miał, jak mówią świadkowie, niezrównany urok w rozmowie. Nie fanatycznie przywiązani przyjaciele tylko, owszem ludzie, którzy go sądzili raczej surowo, zgadzali się na to, że kiedy go przedmiot poruszył, to mówił tak, że wszystkie jego pisma nie mają tej siły wymowy, tego wdzięku poezyi, jakie były w jego nieprzygotowanych słowach. I w takich chwilach, obok uniesień wspaniałych, zdarzała się wesołość szalona, a przynajmniej dowcip iskrzący jak fajerwerk, a ostry jak brzytwa. Przytoczony już raz ksiądz Semeneńko, pisze o nim, że jest „dowcipny nad miarę, „śmioch, i często przez godzinę nie może się utulić od śmie„chu. Zna świat cały, wszystkie wszędzie osoby; w anegdo„tach niewyczerpany“ [1]). O swoje zdrowie bardzo dbały, raczej lękliwy, był razem nieostrożny i nierozsądny, i często sobie przez brak uwagi zaszkodził. W poezyi skłonny do okazałości i pompy, w życiu jej nie lubił; skromny i prosty, dla siebie nie potrzebował niczego. W wydatkach był bardzo rozważny. Zamiłowany w pięknych rzeczach, nie miał jednak żadnych pociągów czy manii zbieracza. Jedno miał upodobanie dziwne, że cukierki lubił jak dziecko.

Anegdot o nim, powtarzanych jego świetnych słów, niema. Aż dziwnie, że ich współcześni nie przechowali i nie podali, bo zdarzać się musiały.

Czy miał miłość własną i dumę? a jeżeli miał, to jakie one być mogły? Godność i poszanowanie siebie najczujniejsze, najdrażliwsze, najszlachetniejsze miał. Ale upodobanie w sobie, dumę, próżność, zarozumiałość? Nie — tych w nim nie widać. Nie znać naprzykład dumy rodowej. Jest żywe

---

[1]) *Pierwszy Zakon. Przegląd Polski*, sierpień 1892.

uczucie i miłość szlachty i szlachectwa; ale o swoim domu jako takim on nie mówi. Czy przez rozum i takt tylko? tych miał z pewnością wiele, a przypuszczać można, że miał przywiązanie do swego nazwiska i do niektórych swoich Krasińskich, do Biskupa Kamienieckiego naprzykład. Ale żadna w tej mierze próżność, żadna przesada, nie daje się dostrzedz ani razu; a swoją godność ludzką i polską byłby czuł taksamo, i taksamo wysoko trzymał, gdyby się był urodził synem wyrobnika. Pod tym względem ani wielkiej dumy, ani małej próżności dostrzedz w nim nie można.

Ale jako poeta, jako artysta, czy jest dumny, próżny, lub zarozumiały? tak mało tych, coby od tej słabości ustrzedz się zdołali; czy on byłby takim wyjątkiem?

Znać się na sobie, świadomość swojej wartości mieć musiał. Ale mówi o niej raz, kiedy pyta: „iskra gieniuszu na cóż mu się zdała“; a ten jeden raz nie mówi o gieniuszu tylko o jakiejś jego iskrze. To znak, że czuje się w sobie pierwiastek, ale nie zupełność gieniuszu. Kiedy zbija zarzuty, robione swoim dziełom przez krytyków, broni się, ale urażonym, drażliwym, zgryźliwym, nie okazuje się nigdy. Albo nie ma próżności wcale, albo w najgorszym razie ma tyle godności i tyle rozumu, że jej nigdy nie pokazuje. Zapewne są te trzy powody razem: rozum, godność, ale i brak próżności. Co więcej: jego listy są ciągłym, obszernym, widocznie umyślnym wykładem wszystkich jego uczuć i myśli; on w nich ciągle o sobie mówi, a tak szczegółowo i obszernie, jak żeby się spowiadał, jak żeby chciał siebie samego opowiedzieć; zdawałoby się więc, że musiał sam do siebie przywiązywać wielką wagę, być dumnym z siebie. Tymczasem, rzecz szczególna i dziwnie piękna, w tych jego spowiedziach jest wszystko, prócz zarozumiałości; a raczej źle, bo zarozumiałością nie byłaby duma w człowieku tak prawdziwie wielkim, ale prócz dumy. Czy choć raz odezwie się w nim taka śmiała świadomość siebie, jaka nieraz wybucha z Mickiewicza? albo taka miłość własna, jaka tego doprowadziła do obłędów i złudzeń proroczych, jaka trapiła biednego Słowackiego jak furya? Zapewne musiał znać się na

sobie, musiał o swojej wielkości wiedzieć; tylko nie myślał o niej, tylko sądził ją rzeczą małą i błahą. To tak małe, tak nieskończenie małe, on, jego poezya, jego gieniusz, w porównaniu tego strasznego czyśćca dni teraźniejszych, w porównaniu tego bolesnego porodu, w którym ludzkość ma wydać jakiś lepszy porządek rzeczy! Bóg i ludzkość stoją naprzeciw siebie w rozstrzygającej chwili dziejów; lada chwila pokaże się, co ona warta i co on z nią zrobić będzie musiał, a wśród tego patrzeć na siebie, pytać się, jaki *ja* jestem: wielki, czy nie? cóżby to była za małość! Krasiński jest szczególnym może jedynym przykładem takiego zupełnego oderwania się od siebie, pomimo wielkiego zajęcia się sobą; jest przykładem może jedynym takiego oderwania się od siebie w człowieku wielkim; jest podobno jedynym przykładem człowieka wielkiego, w którego dziełach napróżno szuka się jednego uczucia, jednego słowa, jednej choćby przelotnej chwili złego. Pomiędzy wszystkimi wielkimi ludźmi świata niema jednego może, nie wyjmując Mickiewicza, choć ten należy do najlepszych, u któregoby zawsze i przez całe życie wszystko, uczucie, namiętności, gieniusz, tak były trzymane w karbach przez sumienie, jak u Krasińskiego.

I ta wielkość moralna, ten charakter, ten sąd wiecznie czujny nad sobą samym, którego Mickiewiczowi zabrakło w ostatniej epoce jego życia, to jest właściwe znamię Krasińskiego. On nigdy nie zboczył, on się nigdy nie zabłąkał; mówiąc o nim nie potrzebujemy ani jego usprawiedliwiać, ani siebie pocieszać przykładem Jonasza lub Dawida, bo w całem tem życiu niema upadku. Jego spowiednik mógł widzieć w tem życiu grzechy z rodzaju tych, które się mówią w konfessyonale; jego historyk, sędzia jego dzieł, nie znajduje ani jednego z tych, któreby do jego trybunału należały. Co najwięcej jedną słabość, i to słabość tylko, o której wspomnieć należy dla sprawiedliwości, i na dowód, że podziwienie dla tego charakteru nie jest zaślepieniem, to ten brak prostoty, to zamiłowanie effektu, ta skłonność do dramatyzowania swego życia, o której była mowa wyżej i nieraz.

Przecież, nie zakrywając jej ani nie starając się jej zmniejszyć, jakże nie przyznać, że ona schodzi do rozmiarów nieskończenie małych i niknie, obok prawdziwej i rzetelnej wielkości Krasińskiego, obok tego zupełnego i wyłącznego oddania się na usługi jednej myśli, tego rozpłomienienia w miłości dobrego, jak święci zatapiają się całą duszą w miłości Boga.

I to jest dopiero główny, a najpiękniejszy rys charakteru Krasińskiego.

Nie jest to rzecz mała, owszem jest ze wszystkich na świecie największa, najtrudniejsza, być tak panem siebie samego i swego życia, żeby się utrzymać ciągle w równowadze, żeby żadnemu ze swoich uczuć nie dać zapanować nad sobą tak, iżby ono uwiodło człowieka do uczynku, choćby tylko do słowa, któregoby później mógł żałować; żeby przez uczucie osobiste i przeświadczenie o własnej wielkości nie wpaść nigdy w dumę, żeby przez cierpienie, przez ciągłe rozdrażnienie, nie wpaść w gniew i niesprawiedliwość. Największym, najszlachetniejszym zdarzają się takie chwile zamroczenia umysłu i sumienia przez dumę, przez miłość własną, przez namiętność. Wielkość Napoleona nie zdołała się im oprzeć; szlachetność Mickiewicza dała się im uwieść, bo trafiło się parę razy, że Mickiewicz stał się niesprawiedliwym, a trafiło się nieszczęściem i to, że uwierzył się być prorokiem. W całej wielkości Krasińskiego tymczasem niema nic większego nad to, że ani cierpienie, ani oburzenie, ani gniew, ani wzgarda, ani wreszcie stan zdrowia chorobliwy i rozstrojony, nie dobywa z niego nigdy ani słowa niesłusznej skargi, nie zdoła nigdy zrobić go niesprawiedliwym. Nikt silniej nie gromi zasad i dążności, nikt nigdy mniej nie widzi pod temi zasadami i dążnościami ludzi.

I mało który pisarz, czy poeta, czy jakikolwiek wielki człowiek, ma prawo z czystem sumieniem tak sobie świadczyć, że nigdy ludzi niczem nie zepsuł, ani nie uwiódł, nigdy sprawie swojej nie zaszkodził, jak to robi Krasiński w tych słowach, które są wspaniałem, ale rzetelnem określeniem jego zawodu i jego charakteru: „Zapewne nie zawsze po

„chrześciańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu „postępowałem; miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego „*ja* zapominałem, że i drudzy mają *ja* swoje; ale nigdy i ni- „gdzie w niczyjem sercu *wiary* nie zniszczyłem, owszem osła- „błą krzepiłem, nieistniejącą stwarzałem, i umarłą wskrzesza- „łem. Kto powié, że odemnie się nauczył, iż człowiek nie „winien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, „odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi — kto „powié, żem kiedykolwiek przystał w drugim na jedną chwilę „niegodności, niedumy, niepowagi, żem kiedykolwiek zalecił „brak szlachetności i urody nieśmiertelnej — tego powoływam „nie przed ludzi sąd, bo ludzie nicby tu nie pojęli, ale „przed sąd Boga! Nie! przez Boga wiekuistego, nigdy „i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; „wszystką siłą ducha w niebo porywałem ich, a przynajmniej „pragnąłem ich w nieboporwania“ (do Słowackiego. Rzym, Wielkanoc 1841).

Związek Krasińskiego z współczesnym mu światem i jego w tym świecie miejsce, związek z Polską porozbiorową i w niej stanowisko, jakie są? Świat zagraniczny współczesny, z wyjątkiem kilku ludzi, nie wiedział nic zgoła o nim, o jego myślach, o drogach, jakie mu wskazywał; późniejszy, w drugiej połowie tego dziewiętnastego wieku, gdyby o nim wiedział, toby się z niego tak słowem natrząsał, jak mu dziejami swemi zaprzeczył. Polska za jego życia upajała się rozkosznie jego nadziejami, ale podstawy tych nadziei widzieć i znać, przestróg jego słuchać nie chciała. Wniosek ztąd zatem, że związek, a przynajmniej wpływ, tam żaden tu nieskuteczny bo niedostateczny; zatem i znaczenie człowieka i dzieł jego pozornie małe.

A jednak ten człowiek, wiekowi swemu nieznany, wyobrażał w sobie doskonale i wzniośle najszlachetniejszy może z wieku tego popędów; ten Polak nie dość rozumiany i słuchany, był jednym z najmędrszych, jakich Polska wydała i miała.

Kiedyś, jak się wiek ten skończy, a potomne wezmą się z kolei do rozpoznawania jego dążeń i opisywania jego dziejów, ten jego historyk przyszły, jeżeli będzie patrzał rozumnie, będzie musiał dostrzedz i powiedzieć, że jedną z cech jego znamiennych była boleść, wynikająca ze sprzeczności pomiędzy rzeczywistością jego stosunków, a tem pojęciem słuszności jakie miał; że jedną z wielkich idei, jakie w nim żyły, i jedną z jego, jeżeli nie zasług, to przynajmniej stron szlachetnych było to uczucie, iż zadaniem i obowiązkiem europejskich spółeczeństw, warunkiem postępu ich cywilizacyi i miarą jej rzetelności, jest sprawiedliwość w stosunkach między narodami i państwami. Uczucie to i przekonanie ma swoje źródło i swoją podstawę w prawdzie ze wszystkich zasadniczych najprostszej, ale najgłębszej, a zarazem najbardziej, najstateczniej zaprzeczanej nie zawsze w słowach, ale w praktycznych działaniach i dziejach. Albo jest Bóg, a w takim razie Jego prawo obowiązuje narody i państwa tak jak ludzi, i musi wykonywać się coraz lepiej w różnych stosunkach ludzkich, a to jego lepsze, pełniejsze wykonanie jest postępem, doskonaleniem, i zarazem uszczęśliwieniem ludzkiego rodu; albo Boga niema, świat jest niewiadomą, a zapewne bezcelową zagadką, a w takim razie środkiem ciężkości świata jest ta (znowu zapewne przypadkowa i niewiadoma) zagadka, która się nazywa człowiekiem, która choć sama siebie nieświadoma, świadoma jest, że ma wolę i żądzę, i ta wola czy żądza jest jedynem rzeczywistem prawem, ograniczonem jedynie mocą wykonania wszystkiego, co wola zechce, a żądza zapragnie.

Pomiędzy temi dwoma zasadami toczy się sprawa od wieków; walka między myślą i wolą Boga, a naturą i żądzą człowieka, jest treścią i istotą jak każdego ludzkiego żywota, tak i dziejów ludzkości. Od trzech zaś wieków walka ta stała się coraz bardziej widoczną; nigdy tak widoczną, jak w naszym wieku, kiedy wszechwładztwo państwa, jak mniemane rewolucyjne wszechwładztwo ludu, otwarcie przyznaje i dowodzi faktami, że potrzebą, warunkiem, istotą jednego jak drugiego jest wyzwolenie się z pod praw boskich, czyli

ich zaprzeczenie; pojęcie i urządzenie społeczeństw ludzkich jako bezreligijnych. Krasiński był jednym z tych w Europie ludzi, którzy zasadę tę zwalczali najdzielniej i najroztropniej. Najdzielniej, bo mało kto rozumiał tak głęboko, dowodził tak wymownie boskiego początku społeczeństwa, jego natury religijnej, i niemożliwości jego postępu bez uznania i zastósowania tej prawdy. Najroztropniej, bo w tem pojęciu i dowodzeniu nie zabłąkał się jak inni w marne doktryny, ale wiary i nadzieje swoje godził z trzeźwem, jasnem zrozumieniem i wieku swego, i samej istoty cywilizacyi, i rzeczywistości faktów, stosunków, i tych praw, w których objawia się logika dziejów. Pomiędzy dwoma walczącemi z sobą kształtami tejsamej idei, Racyą Stanu i Rewolucyą, on wskazywał wyraźnie i trafnie prawdziwą prostą drogę Prawa. Sprawiedliwości i Wolności. To jego związek z współczesnym światem i jego w tym świecie miejsce.

Jeżeli zaś cechą wieku i jedną z głównych sprężyn jego dziejów, jest sprzeczność między rzeczywistością tego co jest, a świadomością tego co być powinno, to tym w Europie punktem, na którym ta sprzeczność i objawiła się najwyraźniej i czuć się dawała najboleśniej, była Polska. To jest sam rdzeń jej duszy w naszym wieku; to siła poruszająca wszystkich naszych zamiarów i działań, to tajemnica naszych cnót i naszych błędów; z tego źródła wyszła nasza historya i nasza literatura. Krasiński był nietylko doskonałym wyrazem tych cierpień, ale i doskonałym sędzią tych czynów; stróżem naszych sumień, nauczycielem politycznego rozumu. Jego poezya jest protestacyą ludzkiego sumienia przeciw złemu, potestacyą Polski przeciw jej uciskom i krzywdom, jest wiarą w sprawiedliwość Boską i w karę za wszelkie złe, jest nadzieją zwycięztwa spraw dobrych; ale jest i nauką, jak sprawy dobre do zwycięztwa dojść, a jak znowu mimo wrodzonej słuszności swojej, gubić się mogą iupadać. To jest jego związek z Polską porozbiorową, z jej duchem i losem, z jej teraźniejszością i przyszłością; to jego w niej stanowisko.

A jego przeznaczenie? jego pośmiertne, dzisiejsze losy?

Klaczko, pierwszy u nas co do czasu i co do wartości znawca i krytyk Krasińskiego, w jednej ze swoich prac późniejszych dochodzi i określa, czem jest tragedya Dantego. Tragedya Krasińskiego jest smutniejsza. On nie patrzy wstecz, i nie łudzi się utrzymaniem czy wskrzeszeniem umiłowanego porządku rzeczy wśród zmieniającego się nowego świata; on „na światach ginących, na światach tworzących się“ przeczuwa świat nowy, lepszy, możliwy, i wskazuje co trzeba robić, czemu nie przeszkadzać, żeby ten świat lepszy „z chaosu mógł się wydobyć, z myśli Bożej rozwinąć“. A tymczasem już za życia wszystko obraca się inaczej, na wspak jego nadziejom; po za Polską i w Polsce samej, łączą się wszystkie siły przeciwne, „by świat w gorszą zepchnąć noc“. Umiera w wilię tego dnia wielkich złudzeń, kiedy oswobodzenie Włoch zdaje się hasłem i początkiem wszystkich oswobodzeń i odrodzeń, a po jego śmierci zaczyna się dopiero na prawdę piekielna robota Massynissy; Szatan historyczny krzywi i fałszuje prawdę, z dobrego wyprowadza złe, pod pozorami słusznych zasad stwarza swój, od dawnego jeszcze gorszy, świat po swojej myśli i woli. Niepodległość Włoch nie staje się wzorem i typem odrodzeń; obraca się na tryumf połączonego pierwiastku bezbożnej rewolucyi z niechrześciańskiem Państwem, i od tego poczyna, że ryje i kopie pod kopułą św. Piotra. Ona się nie wali, nawet nie rysuje, owszem silniejsza jest w swojej posadzie i równowadze niż była, ale jest krępowana, prześladowana, uciśniona; a jedne po drugiej, jeżeli nie narody to Państwa, przychodzą i mówią w imię niby wolności człowieka, jak w *Irydionie*, „nie służymy więcej“. W Polsce?! Zmiłował się Bóg nad Krasińskim, kiedy mu o lat kilka życia nie przedłużył. W Polsce poryw do broni tak nierozważny, tak skutku nie pewny jak w roku 1846, a po nim? Wszystko, co Krasiński widział i opłakiwał za Mikołaja i Paszkiewicza, wszystkie jego krzyki *„zewsząd Polska się wali“*, były niczem w porównaniu z tym lasem szubienic, z tą *redactio in provinciam*, na którą my patrzymy. A potem dopiero to naturalne może i ludzkie, ale niemniej przeto podłe, odwrócenie się świata od słabych i nie-

szczęśliwych, to czołganie się wszystkich przed szczęśliwym zwycięzcą, i udawanie (z czasem nawet wmawianie w siebie), że się jego niegodziwości nie widzi, to obojętne przejście do „nieporządku dziennego“ nad prawami i sprawami pobitemi, to pogardliwe a nikczemne ignorowanie i przebaczanie wszelkiego występku, wszelkiej zbrodni, na którą wzdryga się ludzka natura, a sumienie (nawet u starych pogan) oburzać się było zwykło, ten „ludzkości duch zatruty“, ta „podłość górą wszędzie“ — a nad wszystkiem „bólów ból“, „narodu duch“ nie lepszy, nie zdrowszy, nie mędrszy, ale gdzie szlachetny to nie dość roztropny, gdzie niższy to psujący się i psuć się dający, to dopiero zaprzeczenie dobrych a sprawdzenie złych Krasińskiego przeczuć, i najsroższa, ścigająca go po śmierci jeszcze ironia losu. Kiedy te przesilenia, na które on za życia patrzał, nie obróciły się na dobre, to nie mogło być inaczej jak, że złe wyszło z nich mocniejsze, zuchwalsze niż kiedy, i w swojej pewności siebie doszło do ostateczności w bezprawiu i w bezwstydzie. Co złego przewidywał, to się ziściło wszystko. I poniżenie Francyi, i zjednoczenie Niemiec przez Prusy, i przymierze „siostry gilotyny z knutem bratem“ w rosyjskim nihilizmie i francuzkich umizgach do knuta; wszystko jest, wszystko się stawiło jak zamówione. I wszystko zapowiada i stwierdza tryumf nieprawej siły, Polski nietylko zgnębienie, ale zepsucie, i szyderskie zaprzeczenie wszelkiej nadziei, że „świat nowy rozwinie się z myśli Bożej“.

„Nic nie zostanie z twojego akkordu“. Tylko śmiech szyderstwa, który z grobu Katarzyny rozlega się po Litwy zaoranych wsiach i na cerkwie zabranych kościołach, po Rusi łanach zalanych tatarskim, nie już zagonem, ale stałem osadnictwem i duchem, po brzegach Wisły i Warszawy murach, które mają być temsamem niby co brzegi Irtyszu i mury Irkucka; po wszystkich od Chin do Sandomierza i Kalisza granicach tego mocarstwa. A za jego granicami odbija się o Bałkany, Czarnogórę i Sudety, odzywa się fałszywem przedrzyźliwem echem „Boże Cara chranij“ ze wszystkich dzienników, bruków i rynsztoków paryzkich. W końcu XIX wieku,

jak nigdy może przedtem, Szatan historyczny ma prawo sobie mówić „mój duch świat stworzył i ja ziemi Panem“.

I to jest Krasińskiego tragedya. A w tej tragedyi najtragiczniejsze, najstraszniejsze to, że Polska sama przyczyniła się do takiego stanu świata, sama do własnej zguby, do tryumfu nieprawości pomogła; a pomogła przez to tylko i dlatego, że nie dość rozumiała, nie dość brała do serca to, co jej Krasiński przez całe swoje życie mówił i powtarzał.

„Cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo“, on także miałby prawo powiedzieć; i, jak Skarga, miałby prawo dodać, że nie widzi i nie wié, coby więcej mógł był zrobić, coby był względem ojczyzny swojej zaniedbał. A my mamy wszelki powód wyznać z żałością i skruchą *non fecit taliter omni nationi.* Na prawdę, przechodząc w myśli różne narody świata, nie znajdzie się może drugiego, któremuby Bóg dawał był tylu ludzi uczących tak jasno obowiązku względem ojczyzny, przestrzegających tak groźnie, że ją samochcący zgubić możemy. Twarda głuchość na te głosy, czy nie jest ciężkim grzechem, zmarnowaniem Bożej łaski? Strach o tem myśleć kiedy się wié, jak gniewnie grozi Bóg tym, co łaskami Jego wzgardzili. Z tych ludzi na oświecenie i przestrogę naszą danych, był Krasiński, i był na tem polu obok Skargi może największym. Był daremny i zmarnowany jak Skarga; to jego tragedya.

A jego przeznaczenie?

To nie kończy się z naszem życiem, ani z naszym wiekiem. Być przed przyszłością świadkiem, wyrazem, pomnikiem, wszystkiego co wiek nasz poruszało; być oskarżycielem wszystkiego, co w nim złe i podłe, rzecznikiem i obrońcą wszystkiego, co prawe i wzniosłe; dać obraz „piekła dni teraźniejszych“ i jego czyśćca, wszystkich w nim zbrodni i wszystkich boleści; być dowodem, jak w tym wieku pojmował się rzetelny honor i prawe sumienie; być miarą, że był i jak wysoko sięgał chrześciański i cywilizacyjny ideał; być kiedyś tego wszystkiego przed potomnymi świadkiem, to jedna połowa jego w przyszłości przeznaczeń.

A połowa druga odnosi się do Polski, i w niej się zamyka. Z dzieł jego może nie wszystko zostanie, może formy jego poezyi okażą się przemijające, nie wieczyste; może (jak się to ludziom nieraz zdarza) to, co w myśli swojej i w dziele swojem sam miał za najważniejsze okazać się właśnie najmniej trwałem i pewnem; podstawy i główne części jego systemu, troistość w człowieku i w dziejach, konieczność śmierci jako warunku odrodzenia, może to wszystko okaże się tylko świetnem rozumowaniem nie rzeczywistą prawdą, to być może. Ale jeżeli nawet tak się stanie, to zostanie z niego zawsze wiele niewzruszonego, wiekuistego, prawdziwego na wskróś i na zawsze. Zostanie miłość ojczyzny skrzywdzonej i wyraz tej miłości; zostanie ideał tej ojczyzny, który, albo jest taki jak on go czuje i rozumié, albo nie jest wcale, a w takim razie nie byłoby ani ojczyzny ani jej przyszłości; zostanie drogoskaz, który tej ojczyznie wskazuje gdzie jest przyszłość, jaką być powinna, jaką jedynie być może, i jak do niej dążyć i dojść należy i można. Jaką ta przyszłość będzie, tego dziś nikt z nas nie wié. Ale jeżeli Bóg da, że będzie dobra, to kiedyś wieki przyszłe patrząc na nią i zestawiając ją z Krasińskiego dziełami, powiedzą: „oto dlatego z głębokiego „upadku wznieśli się tak wysoko, że taką wskazywano im drogę, „a oni tą drogą statecznie i śmiało dążyli". Jeżeli broń Boże przyszłość będzie zła, to znowu potomni powiedzą: „jakże „mogli do swego celu dojść, kiedy wskazywano im drogę „prostą i pewną, a oni po niej stale i śmiało dążyć nie umieli „czy nie chcieli". Przeznaczenie Krasińskiego w Polsce dzisiejszej i przyszłej, to na dnie otchłani pokazywać nam znak i szlak wybawienia, to w imię Ojczyzny i jej miłości gromić wszystko złe jakie w nas jest, a krzepić i hartować, rozjaśniać i rozpłomieniać co dobre; to dodawać odwagi, wiary, miłości i roztropności, to być „głosem męzkim gdy się w męztwie chwieją", być „strojem w naszym rozstroju", być jak miedziany wąż na puszczy, na którego omdlewający, schorzały Izrael obracał oczy, a z którego czerpał nadzieję życia i siłę do życia.

Na to on jest przeznaczony, tego on zawsze zdolny, na to on dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebny.

W tym naszym smutnym wieku, kiedy zacierają się wszystkie znamiona odrębnej i silnej osobistości, kiedy wszystkie dusze i wszystkie charaktery idą pod jeden strychulec, w tym wieku, który jak żeby wysilony nie umie zdobyć się na nic nowego, silnego, własnego, czy to w ludziach, czy w dziełach, jest Krasiński jedną z tych rzadkich postaci, które są i wielkie, i zarazem zupełnie własne, do żadnych innych nie podobne. W tym wieku, którego każdy rok znaczy się w historyi zapisując na jej kartach smutne słowo *Przedświtu:* „I coraz podlej na tej ziemi było“, stoi jak otucha, jak pociecha i jak wzór, ta wielka postać człowieka, którego życia jedynym faktem był ból, który jak Łazarz, chory i cierpiący siedział jak Job na rumowisku złożonem ze wszystkich smutków i cierpień, a gdzie się obrócił, gdzie się sam siebie dotknął, tam się uraził: tam bolało albo nieszczęście ojczyzny, albo bólów ból narodu duch zatruty, albo zawiedziona nadzieja, albo strach przed czarną rozpaczliwą przyszłością świata, albo niesprawiedliwość ludzi, albo wreszcie palił wstyd, nie własny, ale piekący jak własny; w którym nie było jednego miejsca nie zranionego, nie obitego, nie zbolałego — a który przecież nie płakał nad sobą, nie syknął na nikogo, nie znamiętnił się w przekleństwo, ale im więcej cierpiał tem więcej kochał, tem silniej wierzył w dobre, i jak męczennicy na torturach „wzrok utopion trzymał w niebie“, jak „Dant za życia przechodząc przez piekło“ widział niebo nad sobą otwarte. W tym wieku małych dusz i małych uczuć, taka miłość dobrego, taki śmiały i silny głos prawdy, choć głos wołającego na puszczy, to coś więcej jak wielkość jednego człowieka, to zasługa przed Bogiem samym. A kto wié, czy i nie zadośćuczynienie za płaskość, małość i złość wielu; i gdyby kiedyś, nasz kraj, albo nasz wiek, wzięty na sąd, jak niegdyś Sodoma, miał się zastawić od zguby pewną liczbą szlachetnych i wzniosłych, tedy pomiędzy tymi w pierwszym rzędzie powinienby zastawić się Krasińskim.

I jeszcze jedno. Uważano słusznie, że nasz wiek, jak żeby w nim wyschły były soki żywotne, w swoich latach późniejszych, powtarza tylko, ale nic stwarzać nie umié: że po Byronie, po Mickiewiczu, skończyła się jego oryginalność i twórczość. I to prawda. Przeciw tej prawdzie zaś podnosi się i świadczy jedna tylko poezya Krasińskiego. Nie najpiękniejsza jako taka zapewne, ale pierwsza w swoim rodzaju w Europie i dotąd jedyna, pierwsza poezya historyi i społeczeństw, zupełnie nowa i nigdy jeszcze nie widziana, oryginalna, jak tylko coś oryginalnem być może, pomimo wszystkich usterków piękna, wzniosła natchnieniem, myślą głęboka i potężna, a znaczeniem obchodząca nie swój naród tylko, ale europejska, utrzymuje i ratuje poezya Krasińskiego prawie sama jedna w Europie, sławę twórczości naszego wieku w późniejszych jego latach. Nietylko historya, Literatura europejska także mogłaby zastawiać się Krasińskim, gdyby jej kto zarzucił, że nie ma w niej wielkich pomysłów, że nie ma „sprawiedliwych“.

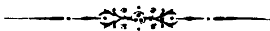
Czy ta poezya, zamiast ratować swój naród, nie zaszkodziła mu raczej? to pytanie wielkie i ważne. Wielki krytyk Krasińskiego, Klaczko, zapytuje z przestrachem, czy mogła być poezya zdrowym pokarmem dla narodu z natury skłonnego do marzeń, pełnego fantazyi, który ma jakąś naturę pegazową, zaprzęgać się nie daje, rzeczywistości nie lubi, patrzy na nią z góry lub udaje, że jej nie widzi dlatego, żeby w niej ciężko orać nie potrzebował? Czy mogła dla takich być zdrowym pokarmem poezya, która z natury skłonnym do rozkochania w sobie i samochwalstwa mówiła, że są wybranym na ziemi narodem i obiecywała pewne, konieczne zwycięztwo. „Polsce“, mówi on dalej, „nie brakło „nigdy na Jeremiaszach lamentujących, ani na Ezechielach „przepowiadających w niewoli Babilońskiej odbudowanie „świątyni, ale Izajasza, któryby jej rozrachował sumienie, „gromił; wołał o skruchę i poprawę, tego nie miała“. Że Krasiński widział Polskę i dawną i przyszłą, w świetle zbyt pięknem, to prawda. Że jego poezya mówiąc nam, że dobra sprawa zwyciężyć powinna i musi, bo jest dobrą,

może w niejednego, może w wielu, może w ogół nawet wpoiła wbrew jego woli nadzieję zbyt wielką, taką, że na ziemskie warunki zwycięztwa oglądaliśmy się za mało, a na tamte liczyli zbytecznie, to być może. Wpływ jej na wypadki, które poprzedziły rok 1863, nie na ludzi kierujących, ale na tych, którzy byli kierowani, nie da się zaprzeczyć. Ale mówiąc o tem, trzeba przypomnieć i stwierdzić to, że naprzód ona temu nie winna, jeżeliśmy wyciągnęli z niej naukę, jakiej w niej nie było. Ona wprawdzie obiecywała zwycięztwo, ale pod warunkami; ona nietylko nie kazała czekać cudu z założonemi rękoma i wierzyć, że wygrana spadnie z nieba jak manna na puszczy, ale kazała pracować, orać, siać, zbierać, nie oglądać się na mannę; jeżeliśmy nie zrozumieli, to my winni, a nie ona. Powtóre, trzeba przypomnieć to, że jeżeli nawet były w niej rzeczy fałszywe lub szkodliwe, to były obok nich inne, które na dziś, na jutro, na zawsze, są prawdą niezmienną, świętą, najwyższą, i jedyną zbawczą. Że „najwyższy rozum, cnota“ jest prawdą nie moralną tylko, ale polityczną, że „nie dru-„gich śmiercią, lecz własną bezpłodnie, kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie“, to prawda, nietylko moralna, ale historyczna; że „kiedykolwiek rozgrzmi się sąd w niebie po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami“ mamy „wśród sądu tego sami zbawić siebie“, a zbawić możemy tylko świętemi czynami, i dlatego prosić mamy o dobrą wolę, to także prawda. A więc z tego wszystkiego wniosek? wniosek jest, że byleśmy chcieli, poezya Krasińskiego nie przyniesie nam szkody. Ona swoje skończyła, ta poezya wieszcza, która z przepaści nieszczęść wróżyła Polsce przyszłość szczęśliwszą; zamilkła, powiedziawszy jaka ta przyszłość być powinna, i od czego ona zależy. Teraz kolej, teraz czas na prozę. Nie na prozę pisaną; „słowo tylko to marna połowa arcydzieł życia“, ale na prozę działania i pracy; czas na rozróżnienie w poezyi, Krasińskiego czy innej, tego, co jest podchlebnem i złudnem, od tego, co jest prawdziwem i zdrowem. Teraz czas nie „kołysać się łódką na marzeń jeziorze“, ale co poezya głosem śpiewała, „wcielać pomału w kształt dotykalny“: „nie znać słowa i czy-

nów rozdziału, nie mówić o ojczyznie tylko, albo nad nią tylko płakać, albo o niej krzyczeć“, ale w kształt dotykalny wcielać gorżką naukę *Nieboskiej komedyi*, naukę *Irydiona*, „nienawiść i zemsta nic nie buduje i nie wskrzesza“, naukę *Psalmów*, tę cnotę, która jest najwyższym rozumem. Epoka poezyi zamknęła się u nas, wieszcze pomarli; zostaliśmy tylko my prości ludzie, i mamy teraz zdać próbę, czyśmy ich rozumieli, czy oni się nam na co zdali, czy też na tyle tylko co Izraelowi prorocy. Sprawdzenie przepowiedni, lub ich zaprzeczenie zależy od nas. Ku czemu się ma? U nas podobno *Psalm Żalu* powinienby brzmieć głośniej niż *Psalm Nadziei*, bo trzy inne, *Wiary*, *Miłości* i *Dobrej Woli* tak zagłuszone, że ich prawie nie słychać; a na horyzontach takie się ukazują północne zorze *Nieboskiej komedyi*, takie zaprzeczenie wszelkiej ojczyzny, że aż ze strachem pytać się przychodzi, czy kiedyś nie będziemy żałować tego, co się nam dziś w poezyi Krasińskiego złudnem wydaje, bo jego czas był szczęśliwy w porównaniu z naszym, w którym przepada coraz bardziej ideał wiary, ideał wolności, ideał ojczyzny i wszystko, co było pięknem w naszym świecie. A może też także, może ma słuszność wydawca francuzkiego przekładu Krasińskiego, syn jego, kiedy mówi, że na dwa wieki przed upadkiem Polski, wśród samej pomyślności i potęgi, wróżono jej zgubę: dziś, dziwnie, wśród samych nieszczęść, na dnie upadku, powtarza się ciągłe przeczucie zbawienia. Może się sprawdzi to, jak sprawdziło się tamto. Ale pośród nadziei czy obaw, pokus rozpaczy lub pokus zuchwałej pewności siebie, jednem trzeba się przejąć i tem jednem żyć, że rzecz rozstrzygniętą jeszcze nie jest; a jej rozstrzygnięcie na naszej odpowiedzialności, na naszem sumieniu: że poezya Krasińskiego może stać się prawdą, jeżeli my naprawdę zechcemy i zdołamy wziąć ją do serca.

KONIEC.

SPIS TREŚCI.



OMYŁKI DRUKU.

str.	*wiersz*		*jest*	*czytaj*
22	4	od góry	odo	*do*
43	7	„	zrodnią	z*b*rodnią
127	2	„	czuł	cz*cił*
213	9	od dołu	przyjąć	przy*jść*
218	9	„	stwierdzenie	*ut*wierdzenie
225	8	od góry	władzę	*wiarę*
235	12	„	Rzymianie	Rzymia*nin*
243	12	od dołu	posunęła go	posu*niętego*
247	7	od góry	pojęcia	poj*ęcie*
258	17	„	lud	l*ó*d
267	13	„	nie	*mi*
279	10	od dołu	ustach	us*z*ach
282	5	„	rozpatrz	rozpac*z*
299	9	„	jeszcze czem jest	jeszcze czem*ś* jest
305	1	od góry	poczęła	pocz*ęł*a
320	9 i 10	„	ponurem. Ta łatwa sztuczka	ponurem*, ta* łatwa sztuczka
341	2	„	kościele	*w* kościele
402	8	„		opuszczone *razu* (odrazu)
404	17	od dołu	w grubie	w gr*o*bie
438	4	od góry	plami	plemi
446	5	od dołu	charakteryczmym	charaktery*sty*cznym
450	11	„	także	tak*ie*
474	4	„	wydarły	wydar*ty*
482	6	„	czuł	cz*cił*
600	2	„	w nie	w nie*j*

W KRAKOWIE.
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

